

REPATRIACJA jak BUMERANG. ŚLADAMI RODZINY MAŁACHOWSKICH .

Saga rodu Małachowskich, próba zatrzymania czasu

PAMIĘTNIK MICHAŁA JANUSZA MAŁACHOWSKIEGO

1. PROLOG

*Głęboka jest studnia przeszłości. Czy nie należałoby jej nazwać bezdenną?
(Tomasz Mann, Józef i Jego Bracia).*

Motto: Mógłbym się znacznie bardziej starać, żeby ten pamiętnik odzwierciedlał wspomnienia w pełniejszym świetle, aczkolwiek końcowa wersja będzie zazwyczaj zgodna z myślą filozofa: miej więcej niż pokazujesz i mów mniej niż wiesz.

Dla tych, co stwierdzą, że ten pamiętnik jest nieciekawym, bym przytoczył z kolei myśli pewnego artysty: szczęśliwi ci, co widzą piękność w miejscach nieciekawych, gdzie inni tam nic nie widzą. Wszystko ją posiada ale nie wszyscy to widzą.

2. Tragiczny los Żydów pewnego miasteczka

Nie zawsze będę wspominał wydarzenia chronologicznie. Zacznę od wydarzeń interesujących szerszą społeczność, bowiem dla nich wydarzenia dotyczące rodziny Małachowskich, są niewątpliwie mało istotne. Pierwsze wspomnienia litewskiego okresu mego życia, zwróciły się do pewnego bardzo tragicznego zdarzenia w roku 1941. Wydarzenie dotyczyło zamieszkującej w litewskich miastach i miasteczkach narodowości żydowskiej.

Żydzi

W okolicznych miasteczkach naszego dworu znajdującego się na Litwie na pograniczu łotewskim, przed wojną w morzu litewskiej ludności mieszkają Żydzi, którzy znaleźli tam przyjazne warunki do osiedlenia się. Przed wiekami przybywają oni z Europy zachodniej, gdzie ich nękały fale prześladowań, czy wręcz okrutne wypędzenia z kraju (Hiszpania). To się dzieje w średniowieczu. Nie wszystkich wypędzono, reszcie musiało tam wyjątkowo coś doskwierać, skoro zdecydowali się na osiedlenie, obawiam się w najbiedniejszej krainie w całej Europie. Sądzę, że po zwinięciu swoich interesów na przykład w Hiszpanii, nabywają działki na Litwie oraz dzięki swoim umiejętnościom w różnych gałęziach rzemiosła tudzież handlu, szybko przystosowują się do nowych warunków, mieszkańców i klimatu.

Niejasna jest przyczyna ich wyboru terenów Rzeczypospolitej obu narodów, a nie np. Łotwy, Estonii czy Finlandii. Na Litwie oni nie mają gospodarstw rolnych. Do nabycia większych arealów ziemi pewnie nie mają środków, może ochoty harować tak jak ówczesni chłopci pańszczyźniani. Mam wątpliwości, czy wieś przypominająca przedstawioną w sztuce „Skrzypek na dachu”, gdzieś istniała. Żydzi nie zajmowali się uprawą ziemi, czy hodowlą zwierząt wiejskich. Tak ich widziałem ja, a także wszyscy moi znajomi na Litwie jak i w Polsce. Z tego co wiem, w Rosji było nie inaczej. Żydzi osiedlający się w naszych krajach posiadają wystarczające środki na nabycie pewnego obszaru ziemi, wybudowanie domów oraz założenie jakiegoś biznesu. Tak czy owak egzystują z prowadzenia różnych warsztatów rzemieślniczych oraz z handlu. Służba zdrowia jest przez nich stopniowo opanowywana również. Przed wojną już niektóre miasteczka są w większości zamieszkałe przez Żydów. Pandelys, miasteczko znajdujące się w odległości 18 km od nas, jest przez nich zamieszkałe z grubsza rzecz biorąc 30%. Wiele swoich spraw załatwiają we własnym zakresie za pomocą swoich urzędników i specjalistów. Mieszkają w oddzielnej części miasteczka. Chronią ich żydowscy nieuzbrojeni policjanci, aczkolwiek ponoć przestępców nie mają. Skoro chodzi o płaszczyznę towarzyską, czy urzędową, oni się niemal nie stykają z Litwinami ani z ich władzami. Szeroką przestrzenią styczności Litwin-Żyd, były wszelkiego rodzaju wzajemne usługi i handel, najczęściej wymienny towar za towar.

Przed wojną nigdy nie było słycać o utarczkach między Litwinami i Żydami, jeżeli już, to nie w naszych stronach. Nieznane są napaści Litwinów na Żydów. O tak dobrze znanych pogromach społeczności żydowskiej w innych krajach, tam nigdy nie słyzy się. Jednym z wyjątków, gdzie te dwie społeczności się stykają ku obustronnej korzyści, to były sprawy handlowo-usługowe. Przypomnę tu, że nie tylko dawniej, lecz przed wojnami światowymi, o ile chłop posiadał jakieś pieniądze, to suma była nieznaczna, a chęć jej pozbycia się jeszcze mniejsza. Wielokrotnie byłem świadkiem jak w krytych - przypominających cygańskie – furach, Żydzi przywożą dla rolników różne wyroby przemysłowe, np. ubrania, buty, naczynia, narzędzia, które oferują rzadko za pieniądze, najczęściej za pewną ilość produktów rolnych. Potrafią na poczekaniu podać ilość tych rolnych produktów za oferowany towar. Rolnik może by otrzymał na targu więcej za swoje produkty, jednak wtedy musiałby tam się fatygować i liczyć się z nieudaną sprzedażą. Wiedzieliśmy o konieczności targowania się, lecz oszustw w postaci złego towaru bądź nad wyraz odbiegającej od normy ceny, raczej nie spotykało się. Na tym udany handel trwający latami powinien polegać. A należy zdać sprawę z ówczesnych warunków transportowych, najczęściej koniem, po drogach z wyżłobionymi głębokimi koleinami przez koła z żelazną obręczą, względnie zimą saniami pokonując głębokie zasy na nieodśnieżanych drogach. Po takich drogach dzisiejsze auta poruszałyby się z trudem, może terenowe i to z prędkością nie większą niż 40 km/h.

Jednak trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, tak jak w Polsce, jednocześnie tam krążą wówczas niesamowite zmyślane krzywdzące opowieści o groźbach związanych z Żydami. Niektóre makabryczne jak np., łapią dzieci, wrzucają je do beczki z nabitymi gwoździami, żeby mieć krew, nie spamiętałem, po co. Ponoć tylko dzieci w te brednie wierzyły. Ja oraz moje rodzeństwo nie byliśmy wyjątkami. Pewnego razu dorośli przebywają gdzieś w polu a w domu my sami urzędujemy. Patrzymy przez okno, a na dziedziniec wjeżdża wóz ciągniony przez jednego konia a na wozie trzej dziwnie wyglądające indywidua. Natychmiast rozpoznałem to towarzystwo. Krzyknąłem:

- Żydzi przyjechali!

Grozą powiało w pokoju. Wprawdzie jeszcze nie w okrutnych beczkach ale znaleźliśmy się w niezłych opałach, bez dwóch zdań! Nie twierdzę, że dorośli wierzyli w bajki oczerniające w makabryczny sposób ten naród. Tymczasem dzieci nie muszą mieć wiele dowodów, aby w to wierzyć. Tu zaznaczam, że najstarsi z nas mieli zaledwie około 10 lat w momencie całkowitego zniknięcia Żydów w tym kraju. Zatem chowamy się bezzwłocznie pod stół, na szczęście okrytym długim, aż do podłogi sięgającym obrusem, siedzimy cicho, jak myszy pod miotłą. Dwóch Żydów wchodzi do pokoju, widzę tylko ich buty z cholewami (zawsze takie nosili), pytają po litewsku czy ktoś jest, między sobą coś po żydowsku szwargoczą, w końcu widzimy z ulgą ich wychodzących. Oni mieli zwyczaj objeżdżać okolicę oferując swoje towary, skupując płody rolne lub zwierzęta a zwłaszcza drób i konie. Nasz strach jest niechybnie związany z opowiastkami o niebezpiecznych Żydach. Kto te powiastki tworzył? Nie obwinałbym tym kościoła, Żydzi mając swoją zamkniętą religię, nikogo nie namawiają do judaizmu, nie tak jak to robili i robią, np. Świadkowie Jehowy. Tymczasem nie udzielanie się towarzysko czy kulturalnie z otoczeniem czyni z nich element obcy i z pewnością niezbyt sympatyczny. Pewnie nie inaczej postępowali w innych krajach europejskich, które częściowo z tych powodów musieli opuścić.

Po powyższym opisie relacji między tymi społecznościami, staje się kompletnie niezrozumiała sytuacja, jaka zapanowała na Litwie po wkroczeniu na jej terytorium Niemców. Mianowicie na Litwie Żydów spotyka zagłada w czasie okupacji niemieckiej. Podobnie jak w Polsce. Tymczasem sposób przeprowadzenia tej zagłady jest niespotykany gdzie indziej. Opiszę to niżej. Litewski holokaust jest w znacznej mierze nieopisany. Chętnym do wykonywania egzekucji wręczają nawet karabiny z amunicją, tworząc umundurowane formacje wyszkolone do wykonania tego zadania. Są to ludzie marzący o zabiciu kogoś. Pod warunkiem bezkarności. Takie indywidua są też spotykane w innych narodach.

Dodatkowa uwaga dotyczy sytuacji jaka się wytworzyła z chwilą wkroczenia niemieckich wojsk do naszych krajów. Otóż, niebagatelną przyczyną znęcania się nad żydowską ludnością, był fakt wypuszczenia z więzień wszystkich skazanych. Nie trzeba tu być specjalnie bystrym, aby przewidzieć co nastąpiło. Wśród nich byli przecież także zbrodniarze. Niewątpliwie pokażą część zbrodni na Żydach im

należy przypisać, a nie narodowi polskiemu czy litewskiemu. Wszak przed napaścią niemiecką zbrodniarze byli trzymani w zamknięciu. Jakoś tego ważnego wątku w czasach oskarżeń Polaków nie widać. Natomiast nie można pominąć faktu zbrodniczego przyłączenia się licznych, niekaranych Litwinów do bandytów uwolnionych przedtem w wyniku wojny.

Gdy sowieckie wojska zaczęły się do Litwy zbliżać w 1944 r., ci zbrodniarze coraz bardziej stali się nerwowi. Ostatecznie dobrze wiedzieli co ich czeka. Po wykonaniu tego zadania, część z nich wciąż była przydatna Niemcom. Bowiem niektórzy zaciągnęli się do organizowanych przez Niemców formacji zbrojnych działających w okupowanych krajach Europy, głównie w Polsce. Wielu z nich wycofało się z Niemcami na zachód.

Pozostali zbrodniarze ponoszą karę po zajęciu Litwy przez Sowiety po 1944 roku. Jednak dla odmiany po postępowaniach sądowych. Mimo, że jest mowa o sądach sowieckich to werdyktów trudno byłoby krytykować, wszak jest mowa o morderstwach niewinnych ludzi. Chociaż pewnej ilości tych zbrodniarzy udaje się przeniknąć na zachód, przy tym obawiam się, udaje się im w większości uniknąć konsekwencji. Gdy w roku 1999 odwiedzam tamte litewskie okolice planuję porozmawiać o tych makabrycznych wydarzeniach. Trudno uwierzyć jednak w promieniu 5 km od naszego byłego siedliska nie ma tam żadnego domu, a było niemało, nawet widocznych z naszego siedliska, dziś tylko pola po uprawach kołchozowych. Poza promieniem 5 km nikogo nie znałem przed wojną. O tak delikatnych wydarzeniach można rozmawiać jedynie ze znajomymi. Wiedziałem jedynie o egzekucjach gdzieś w pobliżu Rokiszkis. Pewnie mój ojciec Michał (1908-1989) więcej wiedział, nigdy o tym nie rozmawiałem z nim. Wybaczcie ale nie przyszło mi nigdy do głowy, aby o tych tragicznych wydarzeniach z nim porozmawiać. Jedynie mój dziadek Jan Małachowski (1885-1956) mieszkający wówczas koło Poniewieża nie pytany, o tych strasznych wydarzeniach wspominał gdy go spotkałem w Polsce w 1956 roku. Między innymi mówił wówczas o okaleczaniu Żydów w trakcie pędzenia ich na miejsce egzekucji.

Tu pewna dygresja związana z Holokaustem. Uważa się Polaków za współwinnych tych tragicznych zdarzeń. Wytyka się nam lokalizację obozów zagłady

w naszym a nie jakimś innym kraju. Według mnie musieli tu je lokalizować, zwłaszcza, że w Polsce w razie sprzeciwu okolicznych mieszkańców, mogliby ich łatwo krwawo spacyfikować, bez żadnych konsekwencji. Przytacza się argument, dlaczego nie we Francji. Otóż Francja cieszyła się w czasie wojny względną wolnością. Tam Niemcy masowo nie mogli mordować ludności. Na terenach zamieszkałych przez Niemców powstawały obozy zagłady gdyż Niemcy byli władzy posłuszni. W Polsce protestujący mógł oczekiwać jedynie śmierci. W Polsce Niemcy nie tworzyli zbrojnych formacji z Polaków, tak jak to czynili na Litwie, gdyż broń mogłaby przeniknąć do partyzantki.

O Żydach mówi się to i owo, ale wybaczenie, my natychmiast odczuliśmy nieobecność ludzi tej narodowości. Muszę powiedzieć - w sensie negatywnym. Zwłaszcza to dotyczyło handlu, a przede wszystkim służby zdrowia. Najlepsi lekarze oraz weterynarze byli Żydami. Gdy ich zabrakło, ludzie próbowali sami się kurować niż szukać lekarza.

Przy okazji zwrócę uwagę na zdarzające się w historii akty wypędzania ludności. Może, gdyby ludzie znali lepiej historyczne dzieje Żydów, nie postąpiliby z nimi w taki sposób? Wspomnę tu o znanym masowym wypędzeniu Żydów z Hiszpanii pod koniec XV wieku, zatem niemal 5 wieków wcześniej. Wówczas normy traktowania ludności były raczej surowsze od tych, jakie panowały w wieku XX. A jednak Hiszpanie dali Żydom cztery miesiące na sprzedanie bądź zamianę swego mienia. Żeby osiedlić się, m.inn. w Polsce, mogli tu wykupić dla siebie potrzebny obszar ziemi. Hiszpanie na skutki ekonomiczne związane z brakiem Żydów nie musieli długo czekać. Rozwinięty przez nich handel oraz rzemiosło natychmiast padło. Nastąpiło załamanie gospodarcze całego kraju. Swój wkład w kiepską sytuację wniósł też brak arabów, przepędzonych uprzednio z Hiszpanii. Oni z kolei unowocześniali rolnictwo. To działo się w ostatniej dekadzie 15 wieku. Żeby się ratować Hiszpanie zaczęli odkrywać zamorskie lądy i tam szukać korzyści gospodarczych.

Analogia do Polski i Litwy jest widoczna. Tu także Żydzi zniknęli z naszego życia. Nagle pojawiły się, trwające dziesięciolecia, znaczne kłopoty gospodarcze. Nie było takich możliwości rekompensaty ich braku, jakie mieli Hiszpanie czerpiący środki z

odkrytych zamorskich posiadłości. Zwykle nasze kłopoty wiążemy z narzuconym nam systemem sowieckim. System też się dołożył do tej sytuacji. Aczkolwiek, jeśli w tamtym okresie spojrzymy na inne kraje DL, które nie posiadały takiej ilości Żydów jak my, to zauważymy, że chętnie wyjeżdżaliśmy tam po zakupy. W naszym kraju zdecydowanie sytuacja gospodarcza była najgorsza. Ubyła pewna warstwa społeczna wprawiona przez wieki w handlu, rzemiośle, służbie zdrowia a nawet w produkcji przemysłowej.

Gdy taki pogląd wyłożyłem jednemu z moich kolegów profesorów, ten się oburzył: - jak to, nie wiesz, przecież sowieci kupowali nasz węgiel i statki za bezcen, żywność także! Jak mogło być bogato w Polsce? W tym jest częściowa prawda, lecz Żydzi potrafią handlować, a nawet wejść z komunistami w pewne układy lub się sprytnie im sprzeciwić, a nasz rząd tego nie czynił, bo był uległy jak owieczki, wystarczyło, że się sam wyżywił (Urban). A sprzeciwić się jednak można było, najbardziej spektakularny przykład to Ciauczesku. Wysłał sportowców na olimpiadę w Atlancie mimo zakazu. Dla Żydów handlowców w PRL to byłby problem żyć czy z głodu umrzeć. Okazuje się, że zgodnie z życzeniem Sowietów, żywność głównie eksportowaliśmy na zachód. Jednak uzyskane stąd dolary wymieniane były na tzw. ruble transferowe. Taką relację otrzymałem od osoby zatrudnionej w tamtym okresie w handlu zagranicznym żywnością. Może Żydzi z tego obowiązku jakoś by się wykręcili.

Nie umniejszając winy Litwinów w zabijaniu Żydów, należy zauważyć, że w sumie główną winę ponosi system, rząd, który na to zezwala. W końcu w każdym narodzie znajdzie się pewna ilość bandytów. Wyobraźmy sobie, co by się działo np. w Nowym Jorku, gdy w pewnej chwili rząd oświadcza: - „od tej chwili zezwalamy na bezkarne rabowanie, wręcz zabijanie Polaków i Latynosów”. Z pewnością tam są ‘ludzie’ do tego zdolni. Szybko by się za to wzięli, bez dwóch zdań. W każdym narodzie są psychopatyczne typy, ich marzeniem jest zadanie innemu człowiekowi cierpienia. Takie typy już od małego przejawiają działania krzywdzące dla innych. Niemało takich się spotyka. W czasach, gdy to nie było karane przez prawo, takie typy swoje sadystyczne skłonności wyładowują na bezbronnych zwierzętach. Dodaję, tacy wybierają wyłącznie bezbronnych, wszak nie rzucą się z nożem na niedźwiedzia.

Musi to być działanie bezpieczne. Gdy dorastają stają się groźniejsi. Potem znęcają się nad swoimi dziećmi i żonami, czując się bezkarni. W wojsku zdarzają się takie typy także. Ostawiona fala, podoficerowie czy nawet oficerowie bywają nienasyceń zadając cierpienia podwładnym. Chętnie by dokonali jakiegoś makabrycznego czynu. Nie czynią tego, gdy jest normalna władza, obawiając się konsekwencji, czy potępienia ze strony przyjaciół oraz rodziny. Z pewnością przez całe życie czują się niespełnieni. Tymczasem, gdy taki 'człowiek' widzi sprzyjające okoliczności nie obawiania się przykrych konsekwencji, a władza daje zezwolenie na takie czyny, a jeszcze lepiej, gdy dodatkowo jest oddalony od znajomych, te jego ciche marzenia stają się możliwe do spełnienia.

Niewątpliwie wśród sporej ilości różnej narodowości wykonawców zagłady Żydów tacy psychopaci się znaleźli. To, co opowiadał mnie mój dziadek, nie będę tu przedstawiał. Samo zastrzelenie Żyda dla nich było za mało, musieli jeszcze nasycić się okrucieństwem.

Istnieje nie do końca wyjaśniony problem aprobacji otoczenia tych makabrycznych czynów. Aczkolwiek w przypadku solidarnego sprzeciwu oraz potępienia tych mordów, takie działania w masowej skali nie miałyby miejsca. Aż nie chce się wierzyć, ale ciche zezwolenie otoczenia na Litwie musiało mieć miejsce. Z tego co spałem, o żadnym przymusie do mordowania wówczas nie było słyhać. Nie sposób wykluczyć chęci rabunku także, jako motywu działania wykonawców mordów.

Zachowały się liczne dokumenty o kompletnie nieuzasadnionych mordach ludności cywilnej przez niemieckich żołnierzy w Polsce, bądź palenia domów. Rosyjscy żołdaci w Niemczech nie byli lepsi. Wśród nich też nie brakuje psychopatów. W armiach alianckich pewnie też byli tacy, lecz tam panuje dyscyplina. Ostro karze się przypadki znęcania się nad cywilami czy jeńcami. W Polsce formacji zbrodniarzy Niemcy nie tworzą. Widocznie obawiają się przejęcia broni oraz amunicji przez oddziały partyzanckie. Na Litwie takich obaw nie było. W Facebooku można napotkać na coraz liczniejsze opisy tragicznych dziejów litewskich partyzantów. Natomiast dotyczą one okresu po rozpoczęciu Sowieckiej okupacji w 1944 r i ich walka była skierowana przeciwko okupantom.

Litewscy bandyci ponoszą zasłużoną karę po wkroczeniu Sowietów, za wyjątkiem tych, którzy zdołali przedostać się z Niemcami na zachód zmieniając nazwisko. Uzupełniając ten tekst w 2011 r. muszę podzielić się pewną refleksją. Znana jest książka Grossa 'Sąsiedzi'. Sam tytuł jest mylący. Zazwyczaj uważa się, że wśród sąsiadów przeważają ludzie, z którymi mamy niemało wspólnych spraw, czasem nawiązują się jakieś przyjaźnie. W tym kontekście Żydów bym sąsiadami nie nazywał. Wyłącznie przez wzgląd na bliską odległość sąsiadami ich można było nazywać. Jak w tym kontekście wypada zdanie: 'przez całe swoje życie byli dobrymi sąsiadami, a mimo to zabrali się za mordowanie'. Gdy czytamy niżej przytoczony wywiad Żydówki to liczę na to, że moja uwaga o sąsiedztwie Żydów i Litwinów staje się zrozumiałe.

Mój kolega mieszkaniec Warszawy opowiadał o wrażeniach po wejściu na ulice zamieszkałe niemal wyłącznie przez Żydów. Odnosiło się wrażenie innego miasta i to nie polskiego. Taka sytuacja koegzystencji dwóch narodów w jednym państwie jest spotykana we świecie. Czasem musi upłynąć wieki, żeby te narody się złączyły w jedną całość. W 20-tym wieku bym powiedział, że Żydzi i Litwini, czy Polacy jeszcze wiedli równoległe życie. My na Litwie też takie wrażenie mamy, jak spamiętałem, żydowski Pandelys żył własnym życiem, przynajmniej jego część. Nie było żadnych towarzyskich relacji z nimi. To nie znaczy, że się z nimi wówczas nie spotykamy, tymczasem to dzieje się na gruncie biznesu bądź niektórych usług nie tylko biznesowych jak na przykład lekarskich czy prawnych. Czasami w okresie życia w Polsce Ludowej słyszało się opinie w rodzaju: gdyby teraz, tak jak przed wojną, było mnóstwo Żydów, to prawdopodobnie mimo beznadziejnie głupiego rządu, to towarów w sklepach, zwłaszcza żydowskich, by nie brakowało. Ten naród jest zaradny życiowo, więc w tym stwierdzeniu jest niemało prawdy.

Gdybyśmy chcieli dopełnić wizerunek tego narodu, niesposób pominąć ich braku zainteresowania problemami obrony państwa, w którym aktualnie przebywali. Żadnych przejawów patriotyzmu nie przejawiają. przez wzgląd na znaczne wyobcowanie wewnątrz państwa. Można to wyjaśnić małą różnicą warunków ich egzystowania w różnych państwach. Mogli zamieszkać na Litwie, czy przenieść się do ościennego państwa. Jak wiadomo, bardzo się w tym względzie mylili. O ile pod

rządami polskimi przed wojną jakoś żyli, to już pod sąsiednimi niemieckimi na nich czekała śmierć. Gdyby włączyli się do pomysłów obrony przed agresją, państwo jako całość byłoby lepiej zabezpieczone w obliczu agresywnych sąsiadów. Aczkolwiek ocena szans ocalenia z uwagi na dwóch potężnych agresorów była delikatnie mówiąc znikoma.

Kończąc temat losów narodu żydowskiego, chciałbym rozszerzyć wspomnianą wyżej refleksję o roli Żydów w Polsce i na Litwie. Parę zdań o ich roli w Polsce napisałem wyżej. Teraz uzupełnię tę myśl, gdyż z pewnych względów ich rolę bagatelizuje się. W całym okresie ich zamieszkiwania w Polsce oraz na Litwie ten naród odgrywał istotną rolę w obydwóch państwach. Zwłaszcza rola ekonomiczna była istotna. Należy ją oceniać, jako dodatnią. Zwłaszcza w naszych dwóch krajach. W innych krajach oni nie stworzyli zwartych społeczności miejskich, więc też ich rola nie była tak istotna jak u nas. Ludzie starsi pamiętają, że pokaźną ilość istotnych do egzystencji spraw załatwiano się korzystając z usług Żydów. Żeby wspomnieć o transakcjach bankowych, pożyczkach, wszelkich towarach, nieruchomościach, rzemiosłach, usługach prawniczych, czy zdrowotnych. Wiele fabryk powstało dzięki nim, co zmniejszyło bezrobocie. Gdy ich nagle zabrakło, to wszystko zaczęło szwankować. Na Litwie to może nie było zbyt odczuwalne, bo została włączona do gospodarczego organizmu ZSSR, lecz w Polsce odczuliśmy to wyraźnie i to znacząco. Towary znikły ze sklepów na dziesięciolecia, bowiem produkcja ich spadła. W innych dziedzinach stało się analogicznie źle. Obecna generacja ludzi urodzonych po wojnie, nie widzi tej przyczyny. Winą obarczają system komunistyczny. A tymczasem, proszę sobie przypomnieć sytuację w Czechosłowacji, NRD, na Węgrzech, nawet w Rumunii i Bułgarii było lepiej niż w Polsce. Tam Żydzi nie byli tak mocno wpleceni w system ekonomiczny tych krajów, ich było mniej, podczas gdy u nas aż ok. 3 milionów!. Ktoś powie, system zawinił, wystarczyło go zmienić w 1989 roku i wszystko wróciło do normy. W tym, jednak istotną rolę odegrała znaczące wsparcie Zachodu pod każdym względem. Wtedy wchodzimy w niemal każdej dziedzinie w system zachodni, w handlu, usługach, przemyśle.

To był czas gdy Litwa została „wyzwolona” przez Wehrmacht od niezwykle krwawego epizodu rządów Sowieckich w latach 1940-1941. Narodowość, która

uciskała wówczas Litwinów, to Rosjanie, w czym pomagali im skwarpliwie niektórzy Żydzi. Zatem nic dziwnego, że po czerwcu 1941 roku Litwini mogli urzeczywistnić swoją żądzę odwetu. Rosjanie byli poza zasięgiem, a tymczasem Żydzi w większości pozostali na Litwie, aczkolwiek ci winni uciekli z Rosjanami.

Niemcy swoją zbrodniczą politykę likwidacji narodu żydowskiego, rozciągnęli na inne podbite kraje – nie inaczej potraktowali Litwę. Ułatwieniem tej polityki był znaczny wzrost niechęci do Żydów na Litwie oraz przedwojenna paramilitarna organizacja wśród cywilów pod nazwą Szaulai (strzelcy). Część z nich ocalała w czasie rocznych rządów sowieckich. Niemcy wręczyli im karabiny, a potem zachęcili do mordowania Żydów mieszkających, zwykle w sąsiednich miasteczkach. O tym, że te rzezie się odbywały, wszyscy wiedzieliśmy, jednak szczegółów opisywanych przez naoczego świadka nie znaliśmy. Tymczasem jeden z szaulusów znany naszej rodzinie, pewnego wieczoru przyszedł do nas, żeby odwiedzić swego przyjaciela pracującego jako parobek w naszym gospodarstwie. Pod wpływem alkoholu rozwiązał mu się język i mimo zakazu opisał ze szczegółami zagładę Żydów, w czym brał udział, zastrzegając się „ja do nich nie strzelałem”. Gdy to opowiadał, miałem niespełna 11 lat, częściowo zapamiętałem tę rozmowę, a częściowo w późniejszych latach ten epizod był wspominany przez moich rodziców, więc nic dziwnego, że te wydarzenia tkwią do tej pory w mojej pamięci.

Ten tragiczny jesienny dzień 1941 roku dla litewskiego miasteczka Pandelys zaczął się w miarę normalnie. Nic nie zapowiadało nadchodzących okrutnych wydrzeń. Wstawał pogodny poranek. Jak co dzień piekarz Finkelman (mój ojciec Michał gdy był w tym miasteczku, kupował u niego chleb i dla dzieci słodkawe obwarzanki nanizane na sznurku) ładuje do wozu wypieki, żeby wcześniej je porzwozić mieszkańcom miasteczka. Obywał się bez pośrednika – sklepu. Natomiast od pewnego czasu zapotrzebowanie na jego towar jest znacznie mniejsze, bowiem ilość mieszkańców miasteczka zmniejszyła się. Stało się tak, gdy Niemcy rozpoczęli wojnę z Sowietami w czerwcu 1941 roku, którzy szybko opuszczali tereny Litwy. Większość Żydów ze swoimi bliskimi usiłowała dostać się do Łotwy. Wszak do granicy było blisko. Jednak ich zawrócono, bo prawie nikt nie miał prawa przekroczenia granicy. Wrócili z powrotem, jednak na skutek działań

wojennych, wiele ich domów zostało spalonych. Niektórzy zdecydowali się przed tym zabrać się z uciekającymi Rosjanami. Rabin powiedział wtedy:

– niech każdy kieruje się własnym rozumem. Możecie zostać w Pandelys lub zabrać się z Sowietami, a po wojnie wrócić. Ja zostaję, bowiem Niemcy w czasie ostatniej wojny nam nic złego nie czyniły, to i teraz nie mają powodu, żeby nas krzywdzić. Tak czy inaczej, będę tam gdzie większa część miasteczka.

Jednak mimo wypowiedzi mądrego rabina, wiele rodzin miasteczka w pośpiechu podążyła za Czerwoną Armią pozostawiając swoje domy pod opieką sąsiadów. A żołnierze niemieccy maszerowali lub jechali dniem i nocą na wschód, nie czyniąc ludności nic złego. Dlatego piekarz Finkelman ma teraz mniej klientów. Od jakiegoś czasu te przemarsze ustały.

Tymczasem dzisiaj piekarz jest nieco zaniepokojony. Z oddali dolatują do niego jakieś hałasy. Na horyzoncie pojawiają się jacyś ludzie. Zaczynają się zbliżać do miasteczka. Okazuje się, że zbliżają się idąc wszystkimi drogami prowadzącymi do Pandelys. Większość ma karabiny. Piekarz w pośpiechu wraca do swego domu. Za chwilę młody Litwin z karabinem w ręku wchodzi bez pukania do jego domu, każe wszystkim opuścić dom. Finkelman usiłuje mu wmówić, że wystarczy gdy sam ojciec wyjdzie, poco dzieci i żona mu potrzebni? Wyrażnie zezłoszczony przybysz, zamiast odpowiedzi, z gniewnym wyrazem twarzy wypycha całą gromadę na dwór, pędząc ich do centrum miasteczka. Podobnie postępując pozostali Litwini, wybierając jedynie żydowskie domy, głośno łomocą w drzwi i każą wszystkim, bez żadnych wyjątków wychodzić i gromadzić się na placu. Mają tam coś oświadczyć. Nie minęło parę godzin, a wszyscy mieszkańcy wśród krzyków i lamentów znaleźli się na wskazanym miejscu. Zebrała się grupa wyłącznie Żydów w sumie z grubsza rzecz biorąc 100 osób. Przed wojną społeczność żydowska w miasteczku liczyła około 300 osób. Jak wyżej zostało wyjaśnione, część opuściła miasteczko. Wówczas rabin powiedział:

– Dlaczego nas męczycie? O co chodzi?

Jeden z Niemców dowodzących napastnikami krzyknął:

- Mamy was wszystkich bez wyjątku przewieźć do Polski. Tam będzie tworzone wasze państwo. Teraz wchodźcie do tego domu.

Otaczał ich oddział uzbrojonych szaulusów dowodzony przez Kalpokasa (mój były nauczyciel, kilka lat po zakończeniu wojny został pojmany przez NKWD, osądzony i rozstrzelany). Całością dowodził oficer niemiecki. Rabin i kilku innych zaczęli krzyczeć, że jakaś Polska im nie potrzebnaa, mają tu dobrze, swoje źródła zarobku i proszą aby ich zwolniono. Odpowiedzią były przekleństwa. Gdy mimo to protesty narastały, jeden z Niemców wyciągnął pistolet i tak, jakby to by była zwykła rzecz, wśród przekleństw, zastrzelił po kolei rabina i dodatkowych dwóch mężczyzn, którzy najbardziej energicznie protestowali. Chyba to zrobił żeby podkreślić powagę sytuacji i beznadziejność sprzeciwu. Wobec tak niespotykanych i okrutnych, dokonanych na oczach wszystkich mieszkańców morderstw, rozległ się ogólny krzyk bólu, rozpacz i przerażenia. Oprawcy tym się nie przejmowali. Gdy stwierdzili, że już wszyscy są zebrani, zapędzono ich do synagogi a drzwi zaryglowano. Tam ten krzyczący i lamentujący tłum nieszczęśników pozostawiono pod strażą.

Tymczasem oprawcom nie chciało się stać w nocy przed domem. Gdy sobie posnęli, Żydzi znaleźli wyjście z więzienia i po cichu każdy dotarł do swojego domu. Rano oprawcy odkryli ucieczkę i wczorajsza procedura wypędzania nieszczęśników powtórzyła się. Trzymali ich cały następny dzień i noc w zamknięciu.

I nadszedł ten dzień straszliwy, tragiczny, obfity w niespotykane okrucieństwa. Wcześniej rano drzwi synagogi otworzono i wśród krzyków oraz strzałów wypędzono mieszkańców Pandelys na plac. Gdy już maltretowani ludzie oczekiwali pozwolenia na powrót do swoich domków, wszak już się dość nacierpieli, oprawcy uformowali kolumnę złożoną z mężczyzn, kobiet oraz dzieci. Pod eskortą popędzono tych biednych, przestraszonych ludzi szosą w kierunku Rokiszkis. Niebawem nadszedły ciężarówki do których wszystkich wpędzono. Ludzie z mijanych po drodze wiosek spoglądali na ten przejazd, nie wiedząc gdzie i w jakim celu ci lamentujący nieszczęśnicy są wiezieni. W pewnej chwili, w dużym lesie ciężarówki się zatrzymały. A tymczasem jedna ciężarówka pojechała dalej. Zatrzymała się przy wykopanym w ziemi obszernym i głębokim dole i czekających przy nim uzbrojonych szaulusów pod dowództwem Niemca. Żydom kazano wysiąść z pojazdu. Następnie,

wśród bicia i przekleństw wszystkich krzyczących i lamentujących nieszczęśników powpychano do wykopanego dołu. Nie dając chwili na refleksję bandyci zaczęli strzelać do mężczyzn, kobiet, starców i dzieci, bez wyjątku. Ludzie błagali o litość. Nie zdawali sobie sprawy kogo w istocie błagają, nie ludzi lecz dzikie zwierzęta. Te błagania wywoływały u oprawców zwiększoną rządzą krwi. Echa krzyków, lamentów i strzałów niosły się po tym litewski lesie, który z pewnością nigdy w dziejach narodów zamieszkujących te ziemie, czegoś tak okropnego nie widział. Stopniowo wszystko pokryło się ciszą. Jeszcze pojedyncze strzały rozlegały się. W końcu ta makabryczna strzelanina ustała, nie było widać żadnych ruchów w dole. Zwłoki przysypano cienką warstwą ziemi. Niebawem nadjechała następna ciężarówka z następną grupą mieszkańców Pandelys. Proceder się powtórzył aż ostatni pojazd został opróżniony a jego zawartość została zamordowana. Oprawcy pośpiesznie zasypali ciała i szybko oddalili się. Przy tym należy zaznaczyć, że nadal w tym dole zostało dużo miejsca dla następnych ofiar z innych miasteczek.

Trudno w to uwierzyć, ale przebieg tej tragedii, pewnego wieczoru w naszym domu, przy wódce opowiedział jeden z młodych oprawców. Opowiedział, zamilkł i resztę wieczoru siedział w kącie nie odzywając się do nikogo. Słuchaczom także zrobiło się smutno, wpadli w coś z rodzaju zamyślenia, może wspomnień o ofiarach. Wszyscy poczuli się nieswojo, zdając sobie sprawę z ogromu nieodwracalnej, niedającej się cofnąć tragedii, istotnych zmian w okolicy i życiu każdego z nich.

Nasuwa się pytanie, jaka była przyczyna tego okrucieństwa? Mieszkańcy Litwy traktowali Żydów jakby to byli obcy przybysze, którzy właśnie osiedlili się obok. Takie tragedie nie występowały w innych krajach, nie licząc pojedynczych przypadków. Niektórzy sądzą, że przyczyna może leżeć w braku na Litwie zażyłości w stosunkach z Żydami, po za formalnymi. To nie wytrzymuje krytyki. Idąc po ulicach Warszawy spotykasz mnóstwo ludzi z którymi nie doznajesz zażyłości. I co, zabijasz ich? Być może współpraca Żydów z Sowietami dodała oliwy do ognia. Tymczasem w Polsce znane są kulturalne więzi z Żydami. Akceptowani i podziwiani na przykład byli Tuwim czy Słonimski, przyswajanie na stałe pewnych słów z języka idysz, wspomnę tu słowo „kciuk”. Więzy tworzyły się już wśród wspólnych zabaw dzieci. Jako przykład przytoczę wyliczankę w ich języku, starsi ją pamiętają: uno – due – like – fake - torba

– borba – usme – smake – deus – deus – kosma – teus – akacyjor – baks. Stąd rodziła się tolerancja, która się przenosiła do szkolnych ławek i dalej do pracy. A tymczasem na Litwie tego nie doświadczyłem.

Zastanawiając się nad tym bestialskim wydarzeniem, nasuwa się następująca refleksja. Już w głębokiej starożytności, w pewnym momencie Egipcjanie przestali zabijać pojmanych nieprzyjaciół. Zamiast to czynić, zatrudniali ich przy różnych pracach, głównie przy kopaniu kanałów. W wieku XX-tym pojawiają się pewne narody (Niemcy, Rosjanie, Litwini, Łotysze, Ukraińcy i tp.), wracający do metod stosowanych w bardzo głębokiej starożytności. Mimo już głęboko zakorzenionych wartości chrześcijańskich. Przedstawiłem tu zdarzenia w Pandelys. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, że na całej Litwie podobne krwawe zdarzenia wówczas miały miejsce, niestety.

Pamiętajcie, skoro chodzi o sposób zagłady narodu Żydowskiego, to nie było takie okropne jak to mogło wynikać z tego, co przedstawiłem. Było to o wiele bardziej makabryczne. Tego opisywać nie sposób. Taki los spotkał wszystkich mieszkańców, litości nie było nawet dla niemowląt.

Należy prawdzie spojrzeć w oczy, aczkolwiek w internecie w wersji litewskiego języka można przeczytać wypowiedź świadka z tamtych czasów w postaci następującej. Wódz szauliusów Kalpokas spowodował aresztowanie Żyda Jofego pomagającego sowietom w represjonowaniu Litwinów. Jofe został przekazany Niemcom, którzy jego oraz wielu niewinnych Żydów wywieźli i rozstrzelali. Z opisu tego wynika, że Niemcy wówczas zajmowali się tym makabrycznym mordowaniem Żydów. Mojej wersji tych wydarzeń nigdzie we wspomnianych internetowych opisów nie spotkałem.

Znaleziony w Internecie list Żyda Smidta.

Wspomnienia Żydów o tych okropnych czasach na Litwie są umieszczone w Internecie. Znajdujemy je po wywołaniu za pomocą Google na przykład hasła Rokiskis lub Pandelys. W Internecie natknąłem się na stronę, którą zamieszczam niżej, list Żyda oraz wywiad z Żydówką z Południowej Afryki. Są to ludzie urodzeni

przed II wojną światową na Litwie w miasteczku Pandelys. Mnie to mocno poruszyło, w końcu miasteczko Pandelys gdzie się oni urodzili i jakiś czas mieszkali, było mi dobrze znane! Jest ono odległe około jedynie 12 km od Eikiniszek, w miejscowości gdzie mieszkałem. Wówczas znajduje się tam popularny w okolicy targ, nieraz ojciec zabierając mnie jedzie tam coś sprzedać. W miasteczku jedna trzecia mieszkańców była narodowości żydowskiej. Kupujący byli niemal wyłącznie Żydzi, oni też dyktują ceny. Nie trzeba być specjalnie byстрыm, żeby się domyślić, że ceny kupna dyktowane przez nich nie były dostatecznie wysokie. Skoro się chciało lepiej sprzedać, należało uparcie negocjować, lub podróżować dalej, do Rakiszek (Rokiszkis) około 25 km od nas. Dzieci żydowskie języka litewskiego nie znały. Dorośli muszą się go nauczyć, chociaż mówią z właściwym dla tego narodu akcentem. Szlifują ten język w czasie targów z chłopami, do szkół litewskich nie uczęszczają. Tymczasem w Polsce owszem, spotykało się żydowską młodzież w szkołach polskich.

W niżej załączonych tekstach pisanych przez Żydów, znajduje się wiele prawdy o tamtych czasach, wszelako w niektórych przypadkach są fragmenty, które nie do końca są prawdziwe. W tamtych okropnych czasach mamy w sąsiedztwie znajomego, jak wyżej wspomniałem, szaulusa około 20 letniego młodzieńca, którego Niemcy zaopatrzyli w karabin i on łącznie z podobnymi do siebie bandytami wykonywał egzekucje Żydów. Zabijali ich grupami po kilkadziesiąt osób, a nie jak w załączonych niżej wspomnieniach napisano: 13000 na raz, jest to technicznie niemożliwe. Niewątpliwie są znikome szanse na uratowanie się świadka mimo egzekucji, jak on to przedstawia, aczkolwiek takiego cudownego przypadku wykluczyć nie można. Może tak napisano, aby uwiarygodnić w końcu prawdziwe wydarzenia.

Nie włączyłbym tych wspomnień, gdyby to dotyczyło innych odległych od Eikiniszek miejscowości. Te listy rzucają dodatkowe światło, niezależne od moich wrażeń, na to krwawe wydarzenie i dodatkowo na stosunki tam panujące przed wojną.

Pierwszy odcinek to list Żyda przedstawiającego się jako Abras Smidt, mieszkającego w Pandelys przed przyjściem Niemców na Litwę. Ten list już pisze po

wojnie w czasie pobytu w sanatorium we Włoszech, adresowany do Ruth Green mieszkającej w Cape Town. Nie jest podana data pisania tego listu. Nie jest jasne, jak zdołał uniknąć losu innych współbraci. Pewnie zdołał ewakuować się w czerwcu 1941 roku, gdy Rosjanie opuszczali Litwę. Ucieka do Rosji służąc tam w ich armii. On po wojnie odwiedza Pandelys oraz w liście do swoich kuzynów mieszkających w Południowej Afryce opisuje co zastał w Pandelys, w którym mieszkał przed wojną z kuzynami, do nich właśnie kierowany jest poniższy list. Opisuje też przebieg likwidacji Żydów przez litewskich bandytów w okresie okupacji niemieckiej. Szczegóły zna od ludności po przeprowadzeniu 'śledztwa' w czasie wizyty w Pandelys po wojnie. Zresztą takie śledztwa po wojnie na Litwie Żydzi przeprowadzają drobiazgowo, ścigając winnych rzezi. Najczęściej winowajcy byli zsyłani do sowieckich łagrów. Jednak nie sądzę, żeby zdołali odnaleźć jakieś dowody tych zbrodni. Bowiem przed nadejściem Rosjan zwłoki wydobywano z ziemi i pospiesznie spalano. On mógł do odpowiednich dokumentów zajrzeć. Smitd opisuje przygody niejakiego Jankiela, który jakimś cudem zdołał wydobyć się z pod warstwy ziemi po egzekucji. Po czym rowerem, mimo rany postrzałowej, przedziera się do sowietów. Ten epizod jednak zbyt realistycznie nie wygląda. Tak czy inaczej, te tragiczne dla Żydów czasy nadeszły po napaści Niemców na Zw. Radziecki, a opis przebiegu kaźni jest jak najbardziej realny. Dodatkowo przytaczam wywiad z Żydówką Ruth, była mieszkanką Pandelys.

Latter to Ruth Green, Cape Town

My dearly loved Cousins,

I kiss you and hold you. I feel as though I can see you. I cry. I cry for our suffering and joy. Believe me, until I came to Italy I did not cry, not even when I was in Lithuania four months ago. I went all over and I did not cry and now I can't hold back my tears. They are pouring from my eyes. Don't be cross with me at what I am going to write to you, crying as you can see. They are tears of joy - soft tears.

My dears, I lived in order to get that first letter from you telling me that my dears are well. I have read your letter hundreds of times. I cried, suffered and suffered and re-suffered my dear ones. So much suffering that it is no wonder that I became ill. It

is a wonder, a miracle that I managed to arrive in May in Ponedel [Pandelys], my birth town. I came to your house. The house still stands just the same as it was before - the little yatka, the butchery, is there, the stable is there, the garden is there, the brunem well where you got the water from is there. But my dearly beloved father Joseph, my mother Freda, Chaya and Rachmiel, my sister and brother-in-law and their small children - all, all are gone! It is a miracle that my heart did not collapse. Then I felt happy to think that my dear ones were safe in South Africa. Ruth, even the colour you and I painted on the floor before you left for South Africa is still there. Then I got hardened and started to investigate the facts about the Lithuanian bandits, About everything and everybody and I am going to write briefly about what happened.

When the War started nobody realized that Germany would soon overrun the cuntry of Lithuania. They thought that they had time to get out - first the children, young women and old parents. But it was not to be that way. The Red Army was good for nothing - they too ran like the devil himself. The Lithuanian Catholic Christians started against the Russian "Savetsky Vlest" but they could not fight the Russians, so they started instead with the Jews.

All roads were blocked and only a few Jews managed to escape. My father, and Rachmiel with his two horses and the family and all the Jews from Ponedel drove to the border of Sevenishick [Suvainiskis] but the Lithuanian Roman Catholics had closed the road. They robbed and beat the Jews so they had to go back to their houses in Ponedel.

After a few weeks in their homes instructions were issued that all Jews were to gather at the big market place. The Lithuanian Bandits shot the Rabbi, Berka, the son of Moses, and Rufka, the son of Ichick. Once all the Jews were together they were pushed into a big stone house belonging to Simcha Shmuel Shies. They were locked in for days. After this they were driven on foot to Rakeshik [Rokiskis] 28 kilometres from Ponedel. About 13 000 Jews were driven from Rakeshik to Melumel, 3 Km from Rakeshik, to the big forest there. There the young Jewish men had to dig a big hole. They dug not knowing why. Then the Lithuanian Bandits started shooting. They shouted "Kind und Kerk."

The last to be shot was Jankel Shreiberg. The bullet hit him on the shoulder. He fell on top of them. He was not dead. The Lithuanians covered them with just four inches of soil. The cries from the grave were enough to kill. Jankel soon pushed away some soil so that he could breathe and waited until dark set in. Then he pushed away enough soil so that he could get out. He knew Rakeshik and had a friend who had a bicycle. He went to the house where the bicycle stood at the back of the house and off he went riding to the border at Dvinsk. The Russians still held the town. He rode at night, ate grass, and hid in the forest during the day time. It happened about the 13th October. He escaped deep into Russia.

Our house is still there but almost the whole town has been burned down, from Mr Meliz up to our house has been burned down. From our house to the end of Birz street remains. The other side of the street from the Shammass's house down to the end of Simcha Shmuel Shies's house is also still there.

Now I will write about whom from my family remained alive. My brother Iserke is alive and well and has a wife and child. He was a great general in the Russian army and lives in Klapeda near Memel. He is a Director, but would love to get out - it is difficult with a small baby. His sister Chaya was a good child and ran away with him to Russia at the beginning of the war. After the war they came to Lodz in Poland where she met a young man, Meyer Shumaker, and got married. Eliyahu walked to Czechoslovakia and Austria, and over the mountains of Austria to Italy until he came to Milan where he was so ill that the authorities sent him to a good place to get well, a sanatorium run by the organization, the Joint.

I am sick with lung trouble. I am honestly sick. All the tragedies I went through, and the sufferings in the Russian Army broke my health completely. I have been here for two months - who knows how much longer I will have to be here. The doctors and the sisters are very nice to me. They want me to get fatter. I must eat more but I have no appetite and the food does not always taste nice.

I thank you Ruth for the two pounds you sent me. I bought something that I like. I cannot always manage to eat. Don't get cross with me. The doctors and sisters beg me to eat. I promised I will eat. Oh! I want to get well, I so want to see you all. My dear ones, this letter is the first one to you all. Please you must all write to me. My dear, I cannot write any longer although I have a lot to tell. I will write again later. Regards to all those who are from Ponedel. The Sister will not allow me to write any more as I am bleeding and I must lie flat.

Your cousin, Abras Smidt,

Merano Sanatorium ATDC, Italy.

Wywiad z Żydówką Green znaleziony w Internecie

Teraz przytoczę ściągnięty z Internetu wywiad przeprowadzony z Żydówką urodzoną w Pandelys (zwany przez nich Ponedel), gdzie spędzała swoje dzieciństwo. Do niej jest adresowany powyższy list. To wynika z pierwszego zdania reportera, który z tą kobietą przeprowadził wywiad.

From Gwynne: "Here are a few details about the woman who received the letter, as I interviewed her to get details about her childhood in Ponedel."

Interview with Ruth Green

19 March 1992

I, Ruth Green, was born in a small town in Lithuania known as Ponedel. My late father was known as Josef (in Hebrew) or Jossel (in Yiddish) My son carries his name-but in English it is Joey. My father came from Rakeshik (Rokiszkis)-a big

town which had a doctor on the spot, a dentist to pull out teeth, a register for people doing crimes and two policemen as well. These did not have guns- they had sugar sticks in their mouths- because nobody in Rakeshik committed crimes.

Twenty eight miles away was a smaller town called Ponedel. There we just had a Rov who married you, made the brisses, got a sandak if the child was a boy and also buried you. Divorce was unknown. Everyone there was happy until G-d finally separated them.

My father was the fourth child of his parents. My grandfather was Joshua Oblowitz, my grandmother was Rosie (Raisel) She got married when she was 17. She had her first child. The second was Itzchak Oblowitz who later had the dress shop in Salt River where every smart women bought her dresses. Then came a daughter Leah and then Joseph, my father was born. When he was born, his older brother was already married with a son, Sydney. So my father was 8 months younger than his nephew.

The law in Russia was that if there was more than one son in the family you had to serve in the Army when you were 21. As my father was the younger of two brother, he had to go into the army. You had to be 21 because then you were mature. When he had finished his army service he came back to the little town of Rakeshik. He had been in the army for 5 years and he had also spent 18 months in America - he did not like America because he had to work on Saturday, so he had come back.

The town remained calm-there were no Christians, just Jews. Nobody went to jail, there was no jail, there was no crime, nothing. The Jews lived like one community. G-d forbid someone died -every one cried. When there was a simchah, every one rejoiced. When there was a wedding, there were no invitations - forget about it - everyone came. The weddings took place in summer because the winter snow would drive the priests away. The wedding would take place next to the synagogue. The women would make a cholent - do you know what a cholent is? You would heat up the oven with coal or wood, then you would put into a big pot

made of crockery, not of stainless steel, meat, not chicken, with beans, barley and carrots and would place this in the oven. You would also put in another narrow pot of chickory - not coffee, we had no coffee and cover it up. The oven would be closed with wood and a long long piece of material and the cholent would cook or simmer from Friday 4 p.m. until 12 or 1 on Saturday and it was the best food ever eaten. And the wedding went on. When the women were finished with the chores they would put on their dresses and everybody would go to the wedding. When the bride was led to the bridegroom, the bridegroom with his father and the father on the other side would go to pray. If the son was the only son and he was staying with his parents, the bride who had just been married to the parents's son would know when she took her first foot step, at 5 o'clock or whatever time the wedding was, that now she had a shviger- a mother-in-law. She learns that two fingers come together - the shviger/mother-in-law and the shmuel(?) daughter-in-law- and those two fingers come together to make 'v' for victory. It is one root(?) But the respect that the daughter-in-law would give to her mother- in-law is dead today, it no longer exists - even in America where there are many Jewish people, this respect no longer exists and the daughter- in- law never likes the mother-in- law.

The life in the little town was very hard. Nobody had money- a few were better off. We had a house, we had a stable. My father built on a little yardka - a small place for groceries and meat - we killed cattle. We had our own well with a bucket to draw up water. We had no lights, no lavatory inside- no such thing. Our cloakroom [outhouse] was built of wood and underground there was a special deep hole made of cement and every two days men would come and clean it away-so life was primitive. One thing, no matter how rotten the Roman Catholics in Lithuania were, I never ever heard of a young girl walking home from school, or walking even as late as 11 or 12 p.m. at night being raped or touched or robbed of their money. But one thing they did do - they had German hunter dogs - G-d forbid if its owner was not around and they went for your ankle, you had no ankle left!

Moje uwagi na temat listu oraz wywiadu załączonych powyżej

Z powyższego drugiego odcinka z Internetu, wywiadu Ruth Green można sporo się dowiedzieć o społeczności żydowskiej mieszkającej przed wojną w Pandelys

oraz Rokiszkis. Nic nie mówi o ich losie, ani jak się uratowała. Może uciekła wraz z rodziną przed Niemcami w głąb Rosji. Chociaż późniejsze wydostanie się aż do Afryki południowej, jest mało prawdopodobne. Opisuje zwyczaje Żydów w przedwojennym okresie i w tym litewskim regionie. Czasem nie jest jasne, które z wymienionych miast ma na uwadze. A tymczasem pewna różnica wg moich wspomnień istniała. Pandelys był w jednej trzeciej zasiedlony przez Żydów. W większym mieście Rokiszkis już się nie spotykało wielu Żydów. W ich egzystencji oraz dochodach pokaźną rolę odgrywa rzemiosło oraz handel z okoliczną ludnością. Lekarze, dentyści, prawnicy, szewcy, krawcy przeważnie byli Żydami. Chociaż handel wymienny wówczas przeważa.

W swoim liście Ruth już nie widzi niemal całkiem ludności litewskiej, a pieniędzy także. Każdy wie, mogli egzystować dzięki zdolnościom do pomnażania pieniężnych zasobów, handel, pożyczki, banki to domeny ich działalności, podstawy ich egzystencji. Opisuje to, co pamięta, jako dziecko. Dzieci żydowskie w sumie nie stykały się z litewskimi. Wydaje się, iż naród żydowski dążył do wypierania miejscowej ludności z pewnych upatrzonych miasteczek. W Polsce też ten proces był zauważalny. Nie słyszało się o mieszanych małżeństwach. Proces mieszania się tych narodowości nie istniał. Być może, z tego między innymi powodu, w razie kłopotów, żadna z tych narodowości nie mogła liczyć na wsparcie drugiej narodowości.

Te jej wspomnienia są zaprawione dużą dozą fantazji. Opisany w tym wywiadzie czas dość dobrze pamiętam. Jeździmy do tych miasteczek, tam oczywiście Żydów spotykamy. Oni, tak jak to opisano w liście, prowadzą odrębną egzystencję. Zarówno nam, jak i większości litewskiej ludności ich wyodrębnienie nie przeszkadza, mimo, że ich sposób na życie jest zgoła odrębny od otoczenia. Mało tego, nie wiele detali z ich zwyczajów przedostaje się na zewnątrz. Te tajemnice intrygują otoczenie. Czasem o ich zwyczajach gawędzi się dodając niemało nie do końca prawdziwych, krzywdzących tę ludność opowieści, bajeczek. Potwierdzam brak mi znanych w okolicy aktów przemocy wobec Żydów przed wojną. Gdyby przed wojną nie izolowali się, tak jak się teraz mówi, gdyby próbowali się integrować ze społeczeństwem litewskim, może nie doszłoby do tak tragicznych zdarzeń. Mimo braku spotkań na

gruncie towarzyskim, przed wojną nie było tak źle. Zresztą z wyżej zamieszczonego wywiadu to wynika. Twierdzi ona, że nie były znane przypadki prób gwałtu. „I never ever heard of a young girl walking home from school, or walking even as late as 11 or 12 p.m. at night being raped or touched or robbed of their money”. My też nie słyszeliśmy wówczas o czymś takim. Jak z tego wynika, o pieniądzach jednak wspomina, równocześnie pisząc: *'Nobody had money'*. Chroniły ich jednolite dla wszystkich obywateli przepisy prawne. To w konstytucji było zagwarantowane. Pytanie czy wszyscy ją respektowali. Pogromy Żydów są znane w czasach caratu. Tam konstytucja nie obowiązuje, wyłącznie ukazy cara są respektowane.

Wybuch niespotykanego gdzie indziej okrucieństwa tudzież bestialstwa skierowanego do Żydów z chwilą, gdy żadne prawa ich nie chroniły, można wyjaśnić, tak jak w liście napisano, jednym słowem: bandytyzm. Na Litwie biorą się za tę krwawą robotę bandyci bądź ludzie o takich skłonnościach, marzących skrycie o zadawaniu cierpienia innym ludziom. Tak czy inaczej, typów bandyckich nie brakuje w żadnym kraju. Dodatkowo, Niemcy na to zezwalają. Mało tego, dają im mundury, gdyż Niemcy nie znoszą uzbrojonych cywilów, muszą mieć nad tymi formacjami kontrolę. Jak wspomniałem, uzbrajając ich w karabiny i zaopatrując w odpowiednią ilość amunicji. Płacić im za tę 'pracę' nie muszą, wszak mogli sobie skompensować rabunkami.

Jak już wspomniałem, ciekawostką jest moje spostrzeżenie, że wykonawcy tych okrutnych egzekucji nie spotykali się ze zdecydowanym potępieniem reszty ludności litewskiej. W sensie na przykład zerwania stosunków sąsiedzkich czy towarzyskich. Nic z tych rzeczy! Uczciwi ludzie słuchali ich opowieści (pewnie bardziej drastyczne momenty były pomijane) z zażenowaniem, co prawda, lecz wyraźnego potępienia nie było słyhać. Chociaż zdawano sobie sprawę, że nic dobrego z tych mordów nie wyniknie. Prędzej czy później za te czyny winni będą musieli odpowiedzieć, ponieść dotkliwą karę lub usiłować się ukryć gdzieś w świecie. W czasach wojennych słuchacze tych krwawych opowieści, byli częściowo uodpornieni na przypadki śmierci. Nie można tych słuchaczy oceniać z obecnej perspektywy, patrząc przez pryzmat obecnych, względnie uporządkowanych relacji międzyludzkich. Wszak dużo się działo w temacie śmierci ludzi tam gdzie Sowietom lub Niemcom udało się dotrzeć.

Ubocznym skutkiem braku Żydów był ubytek dobrych specjalistów w wielu dziedzinach.

Te egzekucje trwały jakiś czas, wszelako zdecydowanie krócej niż holokaust w Polsce czy w innych krajach. Potwierdzam, iż Pandelys był w znacznym stopniu zamieszkały przez Żydów, lecz w każdym miasteczku ta narodowość istniała. Nieprawdziwa jest wypowiedź Ruth, że w tym miasteczku mieszkała jedynie społeczność żydowska. Ich liczebność stanowiła tam z grubsza rzecz biorąc 1/3 mieszkańców, lecz byli skupieni w pewnej części miasteczka. Nie słyszałem, tak jak to było w Polsce, żeby Żydów wywożono z Litwy do obozów zagłady. W Polsce bandyci bezpośrednio nie zabijali Żydów (oczywiście były wyjątki). Tu już nie brakuje przykładów rabunków oraz wydawania ich Niemcom (szmalcownicy).

Moje wspomnienia o metodzie zagłady Żydów na Litwie, znalazły potwierdzenie w opisie książkowym, znalazłem to we wspomnieniach niemieckiego oficera w czasie jego pochodu przez Litwę w czerwcu oraz lipcu 1941 roku (wojna Niemcy-ZSRR). Opisuje tam masowe egzekucje żydowskiej ludności (bez wyjątku, starych, kobiety, dzieci, mężczyzn) dokonywane w lesie przez zbrojne, odpowiednio umundurowane oddziały litewskie. To nie były samorzutnie tworzące się bandy. Były formacje ochotników organizowane przez Niemców. Nie musieli grozić Litwinom: - jeśli nie będziecie zabijać Żydów, to my was zabijemy. Za ich formowanie, szkolenie, uzbrojenie oraz zachęcenie do mordowania, odpowiedzialni są Niemcy.

Nasuwa się pytanie, dlaczego tylko w małych krajach bałtyckich Niemcy w taki sposób postanawiają tzw. kwestię żydowską rozwiązać? Może wyjaśnienie leży w nastrojach ludności. Tam Niemcy nie obawiają się przenikania broni do partyzantki, bowiem narodowa partyzantka w sumie nie istniała na Litwie, była natomiast rosyjska zrzucona na spadochronach. Podczas gdy np. w Polsce, gdyby Niemcy uzbroili oddziały wybranych Polaków, mogłoby nastąpić dobrowolne lub pod przymusem przekazywanie broni partyzantom. Ta broń mogłaby zostać zwrócona przeciwko Niemcom. Więc Niemcy woleli nie tworzyć takich oddziałów jak na Litwie.

Pisałem w ten sposób dawno, lecz w dzisiejszej prasie (22.01.2011) czytam wywiad z prof. Szewachem Weissem byłym ambasadorem w Polsce. Urodził się w

Polsce, następnie po pogromie Kieleckim (ponoć ok. 1946 r.), wyjechał z rodziną do Izraela. Proszę zauważyć podobieństwo mojej dawnej i jego obecnej oceny tych wydarzeń. Należy rozliczać nie cały naród, lecz poszczególnych bandytów – co zresztą w znacznym stopniu uczyniono pod względem ich karania. Natomiast pojawiają się i to dość często potępienia całych narodów. Tego rodzaju uogólnienia nie powinno się traktować poważnie, zwykle jest to powiązane z kampanią wyborczą.

Weiss uważa za istotne zrozumienie natury tzw. marginesu społecznego - ludzi, których moralność pozwala na dokonywanie bestialskich czynów. - W czasach wojny granica między marginesem a większością zmienia się. Margines się rozszerza i to bardzo. Był okropny bałagan, w końcu nie było rządu, który mógłby zaprowadzić dyscyplinę - zaznaczył. Ja tu bym dodał, - był rząd popierający oraz kierujący obszarami działania bandytyzmu! Szukając jakiegoś 'zysku' związanego ze sposobem zagłady Żydów, jednocześnie należałoby się spodziewać przykładowego ukarania oprawców. W większości zostali straceni, wywiezieni na długoletni pobyt w obozach na Syberii, bądź uciekli na zachód. A niewątpliwie byli to bandyci. Litwa powinna odczuć brak czynów bandyckich przez dziesięciolecia. Czy tak było? Tak czy inaczej, w sumie to było chore, co się działo z Żydami pod okupacją Niemiecką.

Problem holokaustu jest dyskutowany i jego zrozumienie pogłębiane w zasadzie nieprzerwanie. Jest grudzień 2019 rok, pojawia się nagle oskarżenie przedwojennego rządu polskiego. Wg Putina przedwojenny ambasador Lipski proponuje Niemcom podobno zbrodnicze rozwiązanie kwestii Żydów. Ano wywieźmy ich do Afryki (chyba chodziło o Palestynę). Putin uważa już sam pomysł za zbrodnię polskiego rządu. Tymczasem to nie wydaje się być takie zbrodnicze, czy to nie uratowałoby Żydów? Do końca wojny zostałyby od 3 do 4 lat, międzynarodowa pomoc ich uchroniłaby od głodu i mogliby wrócić. Jednakże, jak wiadomo, Hitler wybrał inne rozwiązanie, fatalne dla Żydów. Ale, ale, czy to oskarżenie Rosjan nie jest przypadkiem, jak to nieraz bywało kłamliwe? Gdy Lipski negocjował z Niemcami Polska jeszcze była niepodległa, on usiłował nie dopuścić do agresji Niemiec. Najistotniejszą kwestią, o którą się kłócili, był korytarz do Gdańska. A kwestia żydowska Polski nie dotyczyła, to był wówczas wyłącznie problemem Niemiec. Ten,

kto posądza Lipskiego o naleganie na Hitlera, żeby on wysyłał niemieckich Żydów do Afryki jest niewątpliwie ostatnim głupcem. Ktoś musiał Putina wpuścić w maliny. Wszak to był 1939 rok, jeszcze o likwidacji narodu żydowskiego nie zdecydowano, a na bank Lipskiego o radę nie pytali. Wałkowano problem tak zwanego korytarza. A w Polsce problem Żydów był całkowicie obcy, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Zatem w końcu których Żydów Lipski miał proponować przesiedlanie do Palestyny czy na Madagaskar? Tak czy inaczej nic takiego nie mogło mieć miejsca.

3. JEDZIEMY DO POLSKI!

Tymczasem nasza rodzina przetrwała całą II WŚ bez osobowych strat. Materialne straty były znaczne, jak u prawie wszystkich. W przełomowym dla losów naszej rodziny roku 1946 w końcu marca przyroda już się budzi z zimowego snu, zanika ciemna i mroźna zima, nadchodzi wiosna a zielone liście na drzewach zaczynają się wykluwać z pąków, gdy nasz 50 wagonowy transport wjeżdża do POLSKI! Po opuszczeniu Litewskiej Republiki Sowieckiej wjeżdżamy w obszar Prus (obecny obwód kaliningradzki). Krajobraz się zmienia, budynki gospodarcze murowane, różnica kolosalna w porównaniu z widokami, do których byliśmy przyzwyczajeni na Litwie. Miasta częściowo zniszczone z powodu wojny, lecz zdecydowanie różniące się od litewskich. Niewielkie Prusy przecinamy dość szybko, nie licząc postoju związanego z zamianą pociągów w Królewcu. Wreszcie opuszczamy ZSRR, nasz transport przekracza granicę Polski. Po drobiazgowej kontroli paszportów wraz z papierami zezwalającymi na wyjazd z ZSSR jako repatrianci, wjeżdżamy do Polski! We wszystkich towarowych wagonach z hukiem drzwi zostają rozsunięte, rozradowane twarze wychylają się na zewnątrz sunącego powoli pociągu, młodszy wyskakują z wagonów (ja wraz z bratem Genkiem też) i biegnąc obok pociągu ile sił ryczymy, ci biegnący i ci wychyleni w drzwiach:

- Polska!, Polska!, Polska!

Może nawet głośniejszy niż żołdacy idący do ataku w czasie niedawno zakończonej wojny, krzyczący 'za rodzinu, za Stalinu uraaaaaa!'. Tego nie słyszeliśmy na froncie, lecz w czasie ich ćwiczeń, musztr, to i owszem. Mam wrażenie, że oni mogli krzyczeć w czasie ćwiczeń i w filmach, już w sytuacji gdy w każdej chwili groziła

śmierć, ten głos pewnie był cieńki i drżący. Żeby być sprawiedliwym muszę jednocześnie stwierdzić, że okrzyki Niemców też były w okresie wojny przez nas słyszane. Przypomina się mnie oddział niemiecki stacjonujący w łotewskim miasteczku Nereta. Tam kończyłem szkołę podstawową mieszkając w internacie. Oni chórem ryczą: „Adolf hitla!!!”

A my w tej chwili jesteśmy tu i teraz, gdzie? W Polsce! Zapominamy o trudach związanych z pakowaniem rzeczy, z dowiezieniem ich na stację, o dwudniowej podróży w towarowych wagonach, w każdym po trzy rodziny. Nawet o radosnych chwilach swojego życia na Litwie zapominamy. Radość ogarnia wszystkich pasażerów. Mnóstwo z nich płacze z radości. Mimo, że nic nie wiemy, co przyniesie los.

W tym momencie wytwarza się sytuacja nie do pozazdroszczenia. Biegając wraz z młodszym o rok bratem Gienkiem (15 i 14 lat) trzymam go za rękę, gapiąc się na nieznaną okolicę nie zauważamy, a pociąg niezmiennie przyspiesza, wszyscy wskakują do wagonów, oprócz nas. Tymczasem widzimy oddalający się pociąg. Ten widok nas w pierwszej chwili zatyka, z przerażenia nie możemy wydobyć głosu. Wreszcie zaczynamy drzeć się, co sił: ‘Poczekajcie!!!’ W pociągach towarowych nie ma przejścia między wagonami, więc maszynista nie ma jak zawiadomić, niestety. Nie jesteśmy w stanie pociągu dogonić, bo Gienek jakoś słabnie, może wobec stresu jego bieg wygląda marnie, zazwyczaj lubi biegać i to szybko. Chociaż z drugiej strony, twierdzą, że stres może wyzwalać dodatkowe możliwości. Pociąg, jak to pociąg, oddala się, a my w szczerym polu. Co robić? Dalej biegniemy, aczkolwiek wiedząc jak pociąg szybko się porusza nadzieja na dogonienie gasta. Nasi rodzice to widzą, ale są bezsilni. Podobno jakąś kiełbasę nam na pożegnanie, przetrwanie wyrzucili, niezauważyliśmy i przepadła. Pomyślałem, że pewnie do sierocińca trafimy. Jednak pociąg nam z oczu kompletnie nie znika, na szczęście. Wręcz się zatrzymuje, co jak wiadomo, raczej do pociągu nie pasuje. Nie wiem jak maszynista się dowiedział o nas. Może już poprzednio woził repatriantów i widział podobne przypadki. Tak czy owak, kompletnie wyczerpanych wciągają nas do wagonów. O tej nauce wciąż potem pamiętamy zwłaszcza gdy w czasie naszych dalszych przejazdów, na stacjach należało odejść od wagonów po wodę. Naszych wagonów

nie spuszcza z oczu obawiając się, żeby nie odjechali beze mnie. W końcu jechaliśmy bez rozkładu jazdy, moment odjazdu był słodką tajemnicą, nie wiem kogo, może zawiadowcy stacji. Nigdy przedtem nie doświadczyłem podobnej przygody. Zagubienie się w obcym kraju bez środków na przeżycie na pewno nie byłoby coś czego należałoby nam życzyć i to na samym początku przygody z Polską.



Wprawdzie to nie jest nasz wagon, ale on i ludzie w nim wyglądali podobnie

Po wjechaniu do Polski oczekujemy jakiegoś powitania, lub coś w tym rodzaju, może zapomogę pieniężną na początek wręczą. Skąd? Nic z tych rzeczy, za wyjątkiem możliwości kupienia chleba oraz darmowej paszy dla bydła, mogliśmy liczyć jedynie na bezpłatny kolejowy przejazd do miejsca przeznaczenia. Jednocześnie w czasie przejazdu przez Polskę, nie budzimy zainteresowania mieszkańców. Tak jak by nas unikają. Moja żona warszawianka (wówczas 7-8 lat) wspomina widok transportu stojącego pod koniec 1945 roku na Dworcu Wschodnim w Warszawie. Tak opisuje widok transportów z repatriantami:

- Wówczas, wszędzie w kraju panował niedostatek, jak to po wojnie, ale czegoś tak nędznego i cuchnącego jak te rodziny w transporcie, to nie widzieliśmy w życiu. Idąc do swojego pociągu na dworcu Wschodnim, obchodziliśmy te transporty

szerokim łukiem, muszę to wyznać dziś ze wstydem, wszak to byli Polacy, dotkliwie skrzywdzeni przez sowieckich najeźdźców, cudem ocaleni. Smutne to... A swoją drogą, to była w sumie niewątpliwie pogładowa lekcja dla Polaków, w jakich warunkach w Rosji egzystują ludzie. Potem żałowałyśmy swego postępowania, należało ich jakoś wspomóc, mimo własnych sporych braków żywności i odzieży. W końcu dodanie otuchy i życzliwych słów też by się liczyło.

Ten transport zapewne był wypełniony wracającymi aż z Syberii, Kazachstanu. Ich informowano, aby nie wysiadali w Warszawie, bowiem nie znajdą mieszkania, tymczasem na zachodzie Polski czekały na nich opuszczone przez Niemców w niezłym stanie domy. Gdyby dość szybko tych obszarów nie zasiedlono Polakami, to była realna groźba cofnięcia decyzji oddania tych ziem Polsce. Aczkolwiek okazało się, te obawy były płonne, bowiem te ziemie zostały szybko wypełnione Polakami, tak wracającymi z poza nowej wschodniej granicy jak i z przeludnionych pozostałych obszarów kraju. Sybiriakom wręczano jakąś kasę. Mogli coś kupić z żywności. Opowiadano jak to wyglądało w praktyce. Na postojach w miastach wysyłano dzieci po zakupy żywności. Według relacji powracających z Syberii, w sklepach zazwyczaj takie rozmowy się odbywały:

- mamy kupić chleba i coś do chleba,
- dzieci, dlaczego jesteście takie brudne i obdarte,
- bo wracamy z Sybiru.

Dalej już pytań nie było, sprzedawczyniom oczy jakoś się zaszkliły, wręczały żywność, a pieniędzy za nią nie chciały brać. Tak należało ich przyjmować, bowiem wszystko im sowieci odebrali, jedynie, czego nie zdołali im odebrać to była ojczyzna, gdyż mieli ją w swoich sercach, w miejscu trudno dostępnym dla łap kacapów. Ona czekała na swoje dzieci. Przy okazji chciałbym nadmienić, że polskie dzieci z Syberii wracały także przez Iran. Jak opowiadano, w irańskich sklepach nie inaczej zachowywały się tamtejsze ekspedientki. Metody sowieckie były znane we wszystkich graniczących z nimi krajach. Nieźle 'dobrzy' ludzie sowieccy musieli tym dzieciom dać 'popalić', skoro to było widać bez pytania tych dzieci o szczegóły. Trudno jest to wszystko dziś wyobrazić. A jeszcze trudniej zrozumieć sens dręczenia

dzieci. Może ktoś naiwnie powie: - „to jest usprawiedliwione, przecież soweci prowadzili ciężką wojnę”. Takie usprawiedliwienia płynęły równocześnie z Kremla. Raczyliby zapomnieć przy tym o historii, wywozili na początku 1940 roku, tymczasem nie licząc wojny fińskiej, wojnę mieli półtora roku później. A te straszne warunki wywiezieni mieli od początku przesiedlania. Przesiedleńcami ich nazywano, a nie katorżnikami jak za caratu. No, ale to już zupełnie inna para kaloszy, wymagająca opisywania w grubych książkach. Przedsięwzięcie dokumentacji gehenny zesłańców jest niezwykle trudne, gdyż to tam się działo i minęło sporo czasu. Nie twierdzą, że brak jest publikacji na ten temat. Chodzi tu o jakieś opracowanie przypominające historyczną solidną książkę. Nad tą częścią historii należałoby się pochylić. Przy okazji pewne sprostowanie. Uważa się zwykle, że Iran ponosił koszty związane z utrzymaniem i leczeniem cywilnej polskiej ludności. Prawda jest taka, że to finansowała Wielka Brytania, a środki na to czerpała z polskiego rządu w Londynie. Uchodźcy byli potem przemieszczani do innych krajów. Żaden kraj za wyjątkiem Indii, nie ponosił tych kosztów. Gdy się mówi obecnie o jakimś rewanżowaniu się przez przyjmowanie uchodźców to mamy do czynienia z nieporozumieniem. Rząd powinien organizować opiekę w uzasadnionych przypadkach, a obywatele to wspierać.

Tymczasem w naszym transporcie takiego ubóstwa nie ma. Przekonani, że nic dobrego w przypadku pozostania na Litwie, nas nie czeka, opuszczamy swoje miejsce zamieszkania zabierając z sobą pokaźną ilość żywności i różnych rzeczy. Nasza rodzina wypełnia nimi aż pięć zbitych naprędce z nieheblowanych desek, dużych skrzyń. Rolnicy wieźli dodatkowo krowy, konie, świnie itd. Po sprzedaży na Litwie dobytku i różnych rupieci jesteśmy zaopatrzeni zarówno w ruble jak i w ważniejsze od nich czerwonce. Więc w porównaniu z Sybiriakami mieliśmy lepsze warunki na start w nowe życie.

Oprócz radosnej chwili związanej z wjazdem do Polski, równocześnie pojawia się niepokój. Przy wjeździe informuje się nas, że będziemy cały czas jechać przez ziemie odzyskane gotowe do zasiedlenia, opuszczone przez Niemców. Skoro ktoś sobie życzy, to może w każdej chwili wyładować się z wagonu i szukać sobie miejsca do zamieszkania. Mamy jeszcze złudzenie, że te zapewnienia są

prawdziwe, jednak przed naszymi oczyma rozciąga się niepokojący obraz. Gdy tak jedziemy, po pewnym czasie jeden z naszych współpasażerów mówi:

- Nie wiem czy widzicie, co ja widzę? Mijamy wsie i pojedyncze gospodarstwa, lecz one wszystkie są zasiedlone! Pewnie mało jest wolnych domów? Tak mi się przynajmniej wydaje.

Równocześnie nam ten niepokój się udziela.. Zaczynamy się niepokoić brakiem opuszczonych siedlisk w zasięgu wzroku. Mój ojciec przytomnie zauważa:

- Każdy chce mieszkać blisko kolei. Może dalej są wolne gospodarstwa, jeszcze niezasiedlone.

- Może tak jest, ale tylko pod warunkiem, że już Niemców tam nie ma.

Nie wiemy wówczas, że niemal wszyscy Niemcy zdążyli opuścić te ziemie. Nas w ogóle przed wyjazdem nikt nie informował o sytuacji na poniemieckich ziemiach. Nikt nas nie namawiał do wyjazdu, więc pewnie nikt z organizujących wyjazdy nie był zorientowany, jakie tam są warunki. Od początku przekroczenia granicy, obszary, przez które nasz pociąg jedzie były poniemieckie, w tamtym momencie (rok 1946) już zasiedlone przez ludność polską. W Braniewie, o ile się nie mylę, po zatrzymaniu pociągu informuje się nas o możliwości wymiany naszych zarówno rubli jak i bardziej wartościowych czerwońców na złotówki w miejscowym banku. Po dokonaniu wymiany, w naszej rodzinie przybywa fura złotych. Matka nasza mówi na ten widok:

- dość mam pichcienia na piecyku wam i sobie jedzenia, idziemy do restauracji.

Jak rzekła tak robimy, cała rodzina zwała się do restauracji, nie wyłączając 2 letniej Luśki. Kelner podszedł i pyta nad wyraz grzecznie, co chcemy na obiad. Mama mówi: - tego, co Polacy najbardziej lubią w tym kraju.

Zatem kelner nie musi czekać na nasze zamówienie i powiada:

- z pewnością flaki.

To nas zaintrygowało. Spoglądamy po sobie nieco zbici z tropu, w końcu na Litwie nic takiego o nazwie dającej się przetłumaczyć na 'flaki' oraz nadającego się do

spożycia zdecydowanie nie było. Słowo to w groźbie 'wypruję ci flaki' istniało, ale po wypruciu są zbyt wredne żeby to jeść... brrr. Obecnie, znając nasze upodobania, obawiam się, że ta potrawa nie jest najbardziej ulubioną dla większości mieszkańców naszego kraju, natomiast nasz kelner ma inne zdanie. Widząc na naszych twarzach zdziwienie, na nasze zapytanie, co to jest, wyjaśnia, pewnie żeby na starcie nas nie zniechęcić,

- jest to dość gęsta zupa z wołowiny.

Myślmy sobie: skoro wołowina, to nie może być nie do zjedzenia, wszak byłoby szkoda złotych tak na początku zmarnować. No to prosimy pięć porcji. Pewnie szybkość realizacji zamówień w restauracji zadziwi czytelnika, lecz w owych czasach tak było! Przy późniejszych wizytach w krajowych restauracjach, a zwłaszcza za granicą, zazwyczaj zbyt długo nad spisem potraw się zastanawiałem, a kelner niecierpliwie wisił nad moją głową bądź go najczęściej nie było w pobliżu. Niewątpliwie to człowieka nieco krępuje (gdy on wisi oczywiście). Wracając do naszej restauracyjnej przygody, na wygląd podane flaki nie są dostatecznie zachęcające, próbuje Ojciec (37 l.), potem ja, Mama (35 l.) i mój brat. Siostrze Marylce (12 l.) już sam zapach się nie podoba. Nie powiem, żeby smak tej potrawy był zachwycający. W sumie później też, zresztą w zależności, kto tę potrawę przygotowywał. Natomiast będąc nieco głodny, jako dorastający chłopak – wszystko, co by podali zjadłbym. Mnie z ojcem było „nam wsio ryba”, jak mówią Rosjanie. Dlaczego tę potrawę Polacy lubią, nie jesteśmy wówczas w stanie zrozumieć? Może problem leży w przyprawach, których w tamtym momencie w naszej potrawie brakuje. Wraz z ojcem konsumujemy swoje i dodatkowe odrzucone przez resztę rodziny, porcje flaków. Reszta rodziny zamawia jakieś zupki, no i dodatkowo kotlet mielony na drugie danie.

Wywiązuje się dyskusja w celu ustalenia, jaką część zwierzęcia pokrojono na paski, aby te flaki ugotować. Skłaniamy się do stwierdzenia, że to paski długo gotowanej skóry, bądź może pokrajanego w paski twardego mięsa. Na Litwie (a także w Polsce – salceson) żołądki zwierząt rzeźnych po dokładnym oczyszczeniu, były używane, jako coś w rodzaju pojemników czy torby do której napychano skrawki

wieprzowiny (głowizny) wraz z przyprawami po czym to zaszywano. Takie coś ma konsystencję stałą, można to krajać jak chleb.

Po obiedzie rozmowa toczy się na temat faktu, iż nam się udało wydostać z ZSRR i przyjechać do Polski, więc humory nam dopisują, w końcu jak na razie szczęście nas nie opuściło. Jak taka operacja wydostania się z ZSSR była możliwa? Wprawdzie zawarte było porozumienie między Polską a ZSSR dotyczące przesiedlania ludności polskiej do Polski, lecz dotyczyło to Polaków, którzy przed wojną byli obywatelami Polski. Nasza rodzina przed wojną miała obywatelstwo litewskie. Tymczasem miejscowe władze niezbyt rygorystycznie podchodziły do tego porozumienia i łapówki umożliwiły dostanie się na transport do Polski. Tak czy owak należy tu zaznaczyć, że według ustaleń porozumienia, nasza rodzina przedostała się do Polski nielegalnie. W końcu przed wojną nie mieszkaliśmy w Polsce, lecz na Litwie. Takie nielegalne przesiedlenie Polaków może ułatwiać fakt wiążący się z wrogim (nieprzyjaznym) nastawieniem do Polaków dużej części Litwinów chcących się nas pozbyć wsparte łapówkami (niespecjalnie drogocenne) wręczanymi odpowiednim osobom. Nas to kosztowało wahadłowy zegar ścienny głośno wydzwaniający okrągłe godziny oraz wzorzysty dywanik na ścianę. Czytelnik zapewne w tym miejscu powie: - „No dobrze, ale tu się opisuje fragmenty jakiejś przygody, jakiejś repatriacyjnej rodziny. Wszystko jest zawieszona w próżni. W jakim celu oni do Polski wjechali? W końcu od urodzenia mieszkali w innym kraju, nigdy Polskę nawet nieodwiedzili”. Żeby tę lukę wypełnić, muszę się cofnąć o parę ładnych lat i przedstawić wybrane szczegóły dotyczące tej rodziny w aspekcie historycznym.

4. ŚLADAMI RODZINY MAŁACHOWSKICH

Będę teraz opisywał historię naszej rodziny. Rodziny Małachowskich. Zatem można powiedzieć, rozpisywać się będę głównie o sprawach dotyczących także mnie. „Ależ ja nigdy nie napisałem jednego słowa o czymś innym, jak tylko o sobie - nie czuję się do tego upoważniony” - Gombrowicz. Też będę o sobie. Będę

postępować według zasady: lepiej patrz w przeszłość, zwłaszcza że, patrzenie w przyszłość działa depresyjnie. Jak sądzę tak się powinno postępować w obliczu pojawiających się na horyzoncie problemów do rozwiązania, w końcu te z przeszłości zostały tak czy inaczej w większości rozwiązane. Natomiast komuniści, wprost przeciwnie, usiłują właśnie przyszłość gloryfikować (BĘDZIE od każdego według zdolności a każdemu według potrzeb). Tu pragnę przypomnieć pamiętny, prowadzony przez Chruszczowa XXII zjazd ich partii (ponoć ok. 1961 roku). Ten prymityw, wręcz określił datę 1980 rok wcielenia w życie komunizmu. W skrócie dla młodszych podaję: każdy będzie miał za darmo mieszkanie bez jakichkolwiek opłat, sklepy bez sprzedawców (nie dodali, że też bez towarów), darmowe leczenie, sanatoria, transport, słowem wszystko bezpłatne. W tym momencie ktoś przytomnie zwrócił uwagę o konieczności występowania pewnych braków w sklepach, choćby na przykład kawioru. Wszak nie da się go więcej dostarczyć niż jesiotry produkują, a każdy taką potrawę by chciał mieć na stole, ha, ha, ha. Nadmieniam, że ta uwaga nie była zgłoszona na tym zjeździe, nie było takiego śmiałka. Dziś to wygląda humorystycznie, tymczasem w tamtym momencie ci idioci w ten sposób sformułowali swoje urojone myśli i to był oficjalny program. W końcu, Chruszczow wówczas nie występował w spektaklu jako komik. Przy okazji taka refleksja. Filozofowie parający się w polityce powiadają: - mają władzę nad tobą gdy coś masz, aczkolwiek gdy nic nie masz to już nad tobą nie mają władzy. To jak pogodzić to zdanie z komunizmem, gdzie własności nie ma? Przy okazji, czy zauważyliście dość dziwne u Rosjan sformułowanie: nie mówią, że coś posiadają, lecz w formie „u mienia jest maszyna”. Ona aktualnie jest u mnie ale może ją ktoś zabrać, no i po maszynie.

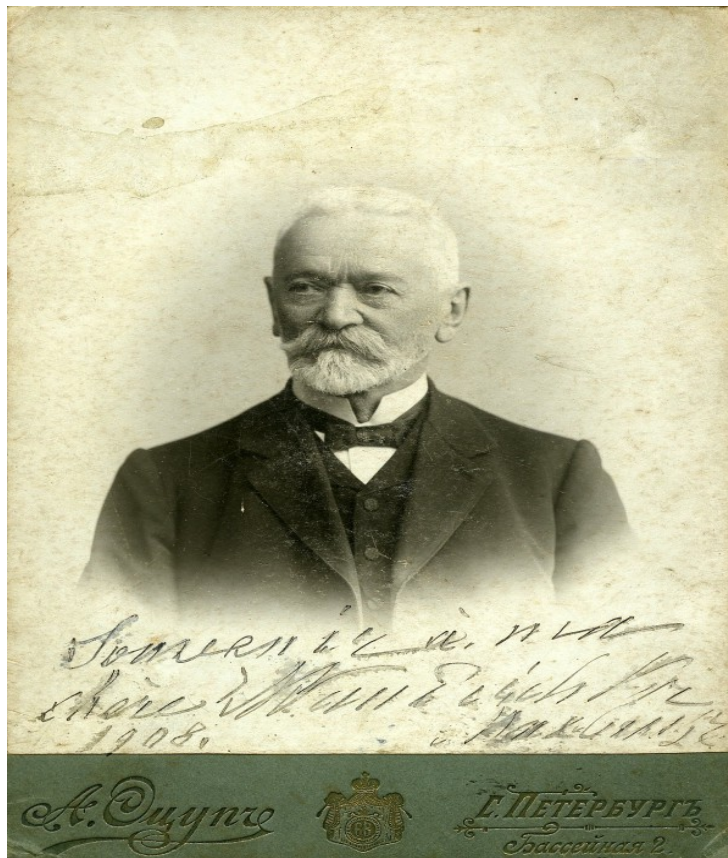
Biorąc pod uwagę zawodność prognozowania, zawracam, zatem do przeszłości próbując kroczyć śladami rodziny Małachowskich. Jaką drogę przeszedł ród Małachowskich (raczej to konkretne odgałęzienie), do wydarzeń opisanych w poprzednim rozdziale? Penetrowanie przeszłości nie było i nie jest łatwe, w końcu nie włączyłem się do tego pochodzenia od jego początku. Żeby tych śladów nie zgubić, będę musiał nieraz zatrzymać się na dłużej, bądź nawet zawracać. Nie wszędzie te ślady są wyraźnie odcisnięte. W pewnych miejscach są niewyraźne, zatarte, wręcz się urywają w niektórych momentach, względnie gdzieś w oddali giną. Nie jestem w stanie podążać wzdłuż wszystkich śladów. Nie muszę chyba tu specjalnie wyjaśniać,

że często członkowie mojej rodziny byli zmuszani do przedzierania się przez gęste kolczaste zarośla. Tam ślady się zacierają. Natomiast końcowe fragmenty śladów są nienaruszone. Wędrówka bez zwracania uwagi na boki może nie być pożyteczna do końca. Spoglądanie na boki przynosi niemało korzyści, można się spodziewać uzyskania wielu informacji. Tak czy owak staram się spoglądać na wszystkie strony, czasami wręcz zbaczać z drogi Małachowskich. Nieraz idę śladami Litwinów, Żydów, Niemców, sowietów czy naszych bohaterskich powstańców. Wszędzie tam, gdzie mnie coś zacieka. W końcu jednak będę usiłować wrócić na właściwą drogę. Nasza rodzina od strony mojej mamy (po kądzieli), była od niepamiętnych lat osiadła na Litwie w miejscowości Eikiniszki. Niemal w sąsiedztwie opisanego wyżej tragicznego Pandelysa.

Przodkowie mojej mamy (po kądzieli).

Kossarscy. Piszący te słowa rodzi się 6 lipca 1931 r. (w tym samym roku co Michail Gorbaczow) we wsi Eikiniszki (lit. Eikiniszkis) na Litwie. Dokładnie w miejscu, gdzie od bardzo dawna była osiadła rodzina z gałęzi mojej mamy. Rodzina Michwitzów pochodziła z Prus.

Jest to Michvitz (1840-1910), mój pra-pra-dziadek po kądzieli. Zdjęcie z 1908 roku. Niżej



Moja babcia po kądzieli. Lucja Kossarska primo voto Michvitz(1885-1930). Córka Michvitza. Była matką 3 córek. Rok 1913.

Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Osiedlili się na Litwie około 1820 roku, zakupili w Eikiniszkach okazały obszar ziemi. Na zdjęciu przedstawiony jest mój pra-pradziadek po kądzieli Michvitz

(1840-1910) urodzony w tej rodzinie, w 1865 roku żeni się. Do tej rodziny należała ziemia o powierzchni z grubsza rzecz biorąc 1000 ha. Po pierwszej wojnie światowej, w wyniku reformy, skurczyła się do około 200 ha. „Młodym” Michwitzom w 1865 roku rodzi się córka – moja prababcia. Jej córka, moja babcia Lucja rodzi się w 1885 r. Wychodzi za mąż za Antoniego Kossarskiego około 1905 roku (mój dziadek po kądzieli). On, jako oficer służył w wojsku carskim i brał udział w pierwszej W.Ś. Ziemia naszej posiadłości od strony północnej i zachodniej styka się z granicą łotewską, a od strony wschodniej z jeziorem o takiej samej nazwie jak wieś (jest na załączonej mapie, aczkolwiek wieś już nie istnieje). Znikła z chwilą procesu kolektywizacji po II W. Ś.. Przy okazji stwierdzam znaczne powiększenie się jeziora, nie wiadomo, dlaczego. Musieli zasypać jedyny strumyk, którym woda jeziora wypływała w kierunku Łotwy. Natomiast woda deszczowa z pól spływała do jeziora nadal. Sądziłem, że po tylu latach jezioro zaniknie, zwłaszcza że, nawet w środkowej jego części wodna roślinność sięgała powierzchni wody. Tymczasem zwiększyło się i to zdecydowanie. Z tego co pamiętam, między zabudowaniami a jeziorem istniało uprawiane pole! Dziś łącznie z drogą, pozostał skrawek o szerokości około 30 metrów i tyle.

Zamieszczam kilka zdjęć z okresu przed i w czasie 1WŚ. Dotyczą one rodzin ziemiańskich moich krewnych. W tamtych czasach, żeby takie zdjęcia uzyskać, należało przywieźć i odwieźć fotografa mającego zakład w odległym o 25 km mieście. Mam wrażenie, że to jest jedna z przyczyn znikomej ilości takich zdjęć. W myślach próbuję porównać np. zdjęcie pierwsze ze zdjęciami, jakie robiliśmy w czasie spotkań naszych współczesnych, zaprzyjaźnionych par w ogródku działkowym u państwa Powiłańskich. Ustawiono tam na dworze stół z jedzeniem i napojami, filiżanki z kawą i pary w podobnym wieku. Może mniej wykwintnie ubrane panie i panowie. Osoby na załączonej fotografii wydają się być mniej przepracowane, nad wyraz pewne siebie, wzbudzające szacunek i jakby władcze... Tak czy inaczej raczej nie podszedłbym do nich z okrzykiem: cześć, jak się trzymacie? Takie odnoszę wrażenie i tyle. Dla wyjaśnienia zastrzegam się. Pewnie myślicie, że jestem dumny wobec takich a nie innych przodków. Nic z tych rzeczy. Mam swoje osiągnięcia i nie muszę podpieierać się przodkami.



Eikiniszki. Tak wyglądał podwieczorek w sadzie dwóch rodzin ziemian litewskich w 1908 r. Stoi pan Michvitz (już wyżej przedstawiony), trzyma w ręku filiżankę. Niżej, moja pra-pra-babka. Ponoć w zależności, kto przyszedł, posługiwali się językiem niemieckim, rosyjskim lub litewskim. Polski język pojawił się z chwilą przybycia Antoniego Kossarskiego. Całkowicie różniące się od tego zdjęcia, mam wspólne, współczesne zdjęcie mojej rodziny z przyjaciółmi wykonane na działce.

Z mojego punktu widzenia (mieszkam w Warszawie), trudno byłoby, nawet na Litwie, znaleźć większe 'zadopie' od Eikiniszek, nawet w czasach przed II wojną światową. Brak prądu, 7 km do najbliższego sklepu, lekarza, szkoły, telefonu. Do najbliższego pociągu czy autobusu, przedstawiciele władzy, banku było blisko 30 km. Jedynym środkiem komunikacji była kolaska (bryczka) ciągnięta przez konia bardzo nierówną z koleinami drogą.

Nie wiem, dlaczego jazda konna nie była praktykowana, przynajmniej w naszej okolicy. Wszak konno, jak to pokazują na westernach, niektóre sprawy pewnie szybciej, sprawniej i taniej załatwia się. A tymczasem w Polsce także na wioskach jazdy konnej nie praktykowano. Na pytanie, dlaczego? Rolnicy wyjaśniali to oszczędzaniem sił tego zwierzęcia. Konie muszą być wypoczęte, aby mogły wydajnie pracować. Chłopskie konie trudno byłoby zmusić do nieprzerwanego biegu na trasie 20-30 km. Do jazdy konnej musiałby być utrzymywany specjalny koń, rumak bym powiedział. Konno te odległości pokonuje się szybciej od pieszego.

Co prawda w powojennej trylogii filmowej „Sami swoi” i td. widzimy ujęcia wieśniaków konno jeżdżących – lecz mam wrażenie, że tu nieco przesadzono. Chociaż na polskich przedwojennych filmach występują panicze jeżdżący konno, czy jakieś przejażdżki zaproszonych gości na polowaniu czy wycieczce. To dotyczyło majątnych właścicieli ziemskich. Ale rozpisało się mi o koniach. Ktoś by pomyślał, że jestem ekspertem od tych pięknych zwierząt.

Rowerów nie używano, głównie przez wzgląd na kiepskie drogi. Przy okazji chciałbym podzielić się następującą uwagą. Mnie zawsze zastanawiał fakt bardzo późnego wynalezienia roweru. Nad tym należałoby się pochylić. Stosunkowo nieskomplikowana maszyna, niepotrzebująca silnika. Nietrudno ją wykonać nawet z drewna. Mimo już istniejących nad wyraz bardziej skomplikowanych urządzeń z metalu, rower został wynaleziony późno. Tak czy inaczej, w końcu można byłoby go spokojnie wykonać już w starożytności. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. O rewerze piszę, także w obliczu uzasadnionego poglądu, że moment wprowadzenia go do rodzajów transportu zapoczątkował przyspieszenie ewolucji człowieka.



Eikiniszki, w sadzie (1919). Pierwsza od lewej stoi Lucja Kossarska (moja babcia po kądzieli), z małymi córkami Łucją, Jolantą i Wandą (moja mama). Wówczas tam nie pielęgnowało się trawników.



Goście weselni w 1930 roku, na weselu moich rodziców.

Wracając do opisu dziejów rodu, Wanda Małachowska (1911-1989) (z d. Kossarska) i Michał Małachowski (1909-1989) – to moi rodzice. Po ślubie w 1930 roku zamieszkali w Eikiniszkach. Są pokazani na załączonym zdjęciu. Moje rodzeństwo to: Eugeniusz (1932-1994) r), Maryna (1934-2021)) oraz Łucja (1944-). Na moim chrzcie rodzice chcieli mi nadać imię Janusz, a tymczasem litewski ortodoksyjny ksiądz kategorycznie odmówił stwierdzając nieistnienie takiego świętego. Zgodził się na kompromis, otrzymałem, więc dwa imiona Michał Janusz. Używane jest to drugie imię. Nie będę przytaczał ich litewskich odpowiedników. Mam szczęście, bowiem skoro się trafiło na księdza nacjonalistę to imię litewskie mogłoby zostać nadane, na przykład Kejistutis i dyskusji nie było. Nie chcę powiedzieć, że imię brzydkie, lecz w Polsce to wyglądałoby dziwnie. Gdyby urzędnicze imię się dyktowało, to by pytała jak to się pisze. Przy okazji nadmienię o przekazywaniu urzędnikom angielskim swoich nazwisk. Nie mam tu na myśli polskich nazwisk, lecz Anglików. Otóż oni muszą literować swoje nazwiska, może za wyjątkiem popularnych. Spowodowane to jest ich mową, gdyż niektóre litery nie są wymawiane. W naszym kraju tego się nie spotyka, więc się nie ma wprawy w szybkim literowaniu. W Anglii miałem na początku z tym pewien problem, ale nauczyłem się zamiast wymawiać swoje nazwisko w banku, od razu: my first name emaisieiczeiel and my surname emeieleisieiczoudablejueskeiai i urzędniczka te moje imię i nazwisko szybko i bezbłędnie sobie zapisuje.

Małachowscy. Wyżej pokazane zdjęcia oraz tekst dotyczą rodziny po kądzieli. W tym miejscu rozpoczynam przedstawianie rodu Małachowskich, czyli moich krewnych po mieczu. Pamiętnik ten głównie dotyczy członków rodziny Małachowskich wywodzących się z tych Małachowskich, którzy kiedyś używali herbu NAŁĘCZ. Pewne fragmenty tu przedstawione mogą zainteresować osoby z poza rodziny, jak sądzę. Dość dobrze znane są dzieje tej rodziny od strony ojca (po mieczu) w okresie, gdy się osiedliła na Litwie, aczkolwiek raczej mgliście przedstawiają się dzieje poprzednie. Małachowscy naszej gałęzi wywodzą się z rodziny o tym nazwisku osiadłej w Gdańsku. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.



Moi rodzice Wanda (1911-1989) Michał (1908-1989) Małachowscy. Rok na zdjęciu błędny p.b. 1930.

Głowa tej rodziny, (o imieniu zapomnianym) ur. ok. r. 1830. ożenił się ze Szwedką, którą mój prapradziadek poznał w wyniku swoich częstych podróży do Szwecji, gdzie sprzedawał towary rolnicze (głównie zboże). Ona w ok. roku 1840 rodzi syna Konstantego, który (mój pradziadek) w roku ok. 1870 przenosi się na obszary litewskie. Zachowało się kilka wspomnień związanych ze Szwedką, gdyż odwiedzała swego syna Konstantego, Była to pani nad wyraz elegancka, wydawała niemało kasy na stroje, perfumy. Po jej wizycie jej syn z powodu uczuleń, zarządzał wietrzania pomieszczeń. W tej gdańskiej rodzinie rodzi się kilkoro dzieci, pozostali, czyli rodzeństwo Konstantego, zamieszkują obszary polskie. Tu dygresja nie piszę Litwa ani Polska, zwłaszcza że, wówczas tych państw nie było. Tak twierdzą poniektórzy historycy. Osobiście, będąc patriotą tak bym tej kwestii nie ujął. Polska czy Litwa nie zginęły, w tamtym okresie istniały, pomimo rządów carskich czy cesarskich. Taka sytuacja tych krajów musiała się prędzej czy później skończyć. Mój pradziadek po mieczu, Konstanty jeszcze w Gdańsku żeni się z Heleną Szefer (moja prababcia, Niemka z Gdańska). Konstanty, przed przeniesieniem się na obszary litewskie, studiował z opłakanymi skutkami prawo na uniwersytecie gdańskim. Potem jego ojciec kupił mu na obszarach litewskich majątek ziemski o nazwie Podubyses nad rzeką Dubisai. Jak się potem okazało, to nie był dobry pomysł. Natomiast w ten oto sposób rodzina Małachowskich, raczej jej część, wyemigrowała z ziem polskich i znalazła się na litewskich. To mogło się zdarzyć około r. 1870. W rodzinie Konstantego urodziło się trzech synów (Paweł, Konstanty i w 1880 mój dziadek Jan) oraz córka Teresa.

Zarówno ziemie polskie jak i litewskie w tym okresie były pod zaborami. Ale to już zupełnie inny temat – historyczny bym powiedział. Ze względu na okresowe zniewolenie obu narodów, można pojęć Polska i Litwa używać. Zwrócę uwagę na drogę wędrówki naszej rodziny. Jak wspominałem, pradziadek Konstancy w roku 1870 przeniósł się z ziemi polskiej na Litwę, a po II W.Ś. jego potomkowie powrócili na ziemie polskie. Część tej rodziny nawet osiadła w Gdańsku! Pętla się zamknęła. Wyspiański (urodził się, żył i umarł pod zaborami) to ujął tak: „Polski na świecie nie było, próżno by było Jej tam szukać, Ona była w sercach Polaków”. Tak czy owak bym powiedział, mimo wielu lat przebywania w środowisku litewskim, w naszych sercach Polska przetrwała. A przechować łatwo nie było, oj nie było... Znaliśmy paru w okolicy, niby nazwisko polskie, a Polska im ‘wisiąca’. Języka nie znali, deklarowali się, jako Litwini. Nie krytykuję ich za to. Litwinem można być równie dobrze jak Polakiem. Litwini, jak sądzę, są bardziej odporni na wynarodawianie się. Swoją drogą ten problem może być ciekawy. Część naszych kuzynów Litwinów tuż po II W.Ś. wyemigrowało do Kolumbii. Obecnie odwiedzili swoich krewnych na Litwie. Aktualnie wciąż mówią płynnie po litewsku, mimo, że to jest już czwarte pokolenie! Tymczasem w Anglii spotykałem Polaków urodzonych jeszcze w Polsce, których dzieci nie mówiły już po polsku. Nadmieniam przy okazji, że moje pokolenie mieszkając na Litwie, porozumiewało się między sobą różnie; używając obu języków. Łatwiej nam było rozmawiać po litewsku, więc gdy rodzice nie słyszeli używaliśmy tego języka. Mama specjalnie o to nie czepiała się nas. Ojciec natomiast był rygorystyczny: - Polski ma być używany i już! Dzisiejsi pochodzenia polskiego repatrianci z Ukrainy nie tylko nie znają języka swoich ojców, lecz mają ukraińsko-rosyjskie nazwiska oraz imiona. Nic polskiego w nich nie ostało się.

Wracając do dziejów rodziny, Konstanty Małachowski z rodziną mieszkają w majątku Podubyses jedynie około 10 lat, bowiem tam w porze nocnej „straszyło”. Jakieś pukania, otwierania drzwi, wręcz ściąganie kołdry z pradziadka Konstantego.... Z całym szacunkiem dla mojego pradziadka, ponoć będąc dość lęklwym przypisuje te hałasy wrednym duchom (bo komu w końcu?). Wiążą to z nieszczęśliwą dziewczyną przybraną córką poprzedniego właściciela majątku, która popełniła przedtem samobójstwo w tym domu po młodzieńczej miłości, zapewne jednostronnej. W tamtych czasach takie skrzywdzone duchy były dokuczliwe. Jednocześnie wówczas cuda były bardziej ewidentne. Na przykład, gdy trzeba było udowodnić, że ktoś powinien być święty, znaleźli się bez problemu świadkowie lewitowania tego kandydata. Kilka kandydatów na świętych potrafiło za życia przelatywać w kościele nad wiernymi. Obecnie to się nie zdarza, a szkoda, mogliby pobić na olimpiadzie nie jeden rekord. Oceniając te wyczyny racjonalnie, należy stwierdzić: - to były bujdy na resorach. Słowem, pradziadek za Chiny nie chciał tam mieszkać. Sprzedaje więc majątek Podubyses i następnie kupuje część majątku Niewieżniki w powiecie Poniewież (Panewieżis). Tam już nie straszy i może pradziadek spokojnie wypoczywać. Dożywa sędziwego, jak na owe czasy, wieku – 73 lata. W latach ostatnich swego życia, będąc panem na 1000 ha, zaniemógł. Był w stanie jedynie leżeć. Jeden z jego wnuków, mój ojciec, miał w pamięci taki obrazek. Co kilka dni należało Konstantego gruntownie umyć. Nie wyrażał zgody na drewnianą, pokaźnych rozmiarów balię, bowiem obawiał się tendencyjnego utopienia. Na szczęście znalaziono wyjście. Znajdował się duży solidny, wykonany z drzewa dębowego stół. Zwykle był używany do rozbioru mięsa tuczników. Zatem dwie służące zdejmowały z niego długą lnianą koszulę, brały nagiego pradziadka za nogi i ręce, kładły go na tym stole. Następowало polewanie wodą, mydlenie i szorowanie jednej strony, następnie go obracano i to samo czyniono ze stroną drugą. Po płukaniu i wycieraniu nagiego pradziadka transportowano do łóża i ubierano w koszulę. Syn Konstantego a mój dziadek Jan dostaje w spadku ten majątek wraz długami, ok. 300 ha + 90 ha lasu, żeni się w 1904 r z Oną (Anną) Antonajtyte (Litwinka). Rodzą im się następujące dzieci: Jan (1905-1956) zdaje małą maturę w polskim gimnazjum w położonym w środku Litwy Poniewieżu. Wówczas liceum nie istniało w szkołach, a gimnazjum miało 4 klasy i uczęszczało się do niego

po 8-klasowej podstawówce. Dopisuję tu w 2016 r. Nasz aktualny rząd wraca do ówczesnego systemu. Jedyna różnica leży w nazwie: Wówczas gimnazjum obecnie liceum. Mój ojciec Michał (1908-1989) też kończy swoje wykształcenie na małej maturze w Poniewieżu, Henryka (1909-2006) po ukończeniu gimnazjum wyjeżdża do Polski, Piotr (1910-ok. 1975) oraz Irena (1913-2011) ukończyła polskie gimnazjum w Poniewieżu. Ta opowieść wszelako nie będzie dotyczyła dalszych losów tego majątku, jego los się dopełnia licytacją kilka lat po pierwszej wojnie. Wydaje się, iż mój dziadek nie był dostatecznie zapobiegliwy. Mnie się tłumaczył niesprzyjającą mu polityką rządu, z tym się częściowo zgadzam – od biedy, można to wyjaśnić zbiegiem niesprzyjających okoliczności, tak mi się przynajmniej wydaje.

W warunkach, gdy takie widmo snuje się po nocach, nie sposób mieszkać



Moi Dziadkowie po mieczu Ona (Anna) i Jan oraz ich dzieci Jan, Michał, Piotr i Henryka. Na zdjęciu obok dzieci mój ojciec Michał, jego rodzeństwo Jan, Piotr i Henia nieco starsze oraz dodatkowo Irena, została na Litwie i była Litwinką z wyboru.

Mieszkająca obecnie na Litwie siostra mego ojca ciocia Irena w 1990 r. w Poniewieżu prosi o wyciąg dotyczący majątku Niewieźniki, na tym wyciągu m.in. widnieje określenie tej ciotki, jako córki bojara. Sporządzono to w carskiej Rosji. Wynika z tego, że mój



To jest klasa maturalna mojej mamy w Poniewieżu. Mimo, że Polacy stanowili mniejszość na Litwie i pod względem kariery, bardziej się opłacało ukończyć szkołę litewską, to jak widać, co roku polską szkołę kończyła okazała grupa Polaków. Rok 1929.



Tak się wówczas kąpało. Tu zgrana klasa maturalna mojej mamy w 1929 r. kąpie się w rzece koło Poniewieża. Moja mama druga w górnym rzędzie.



Grupa litewskich ziemian z kilkoma pannami na wydaniu. 1908 r.

Mój ojciec będąc więc bratem cioci Ireny był synem bojara. Ojciec urodził się i wychował w Niewieźnikach, już w wieku 22 lat przenosi się do Eikiniszek (dzisiaj nie istniejącej wsi), żeniąc się w 1930 roku z moją mamą, otrzymując mocno zadłużony majątek, podobnie zresztą, jak przedtem jego ojciec Jan. W 1930 ojciec zabiera się energicznie za odnowienie zrujnowanego majątku.

Jak wynika z przytoczonych dziejów naszej rodziny, mam krew składającą się z wielu składników: polska, niemiecka, szwedzka, litewska. Ważne, kim się czuję – bez dwóch zdań – Polakiem. Ponadto, jeśli tytuł bojara jest dziedziczny, to niechybnie zarówno ja jak i mój brat jesteśmy bojarami, o kurczę! Dziś do tego można się przyznać – w końcu komuniści przestali rządzić. Mógłbym używać tego ‘tytułu’, tylko mam wrażenie, że nikogo to już nie ‘kręci’.... A ja to mam w sumie gdzieś. Wspominam o tym i tyle...

5. W EIKINISZKACH

Moja rodzina i dalsi krewni

W tym rozdziale powrócę do dziejów rodzin moich rodziców, opisując tym razem je nieco szerzej.

Kossarscy. *W Eikiniszkach litewskiej wsi przylegającej do granicy łotewskiej, na początku 20 wieku (rządy carskiej Rosji) jest usytuowany pokaźny majątek ziemski. Od wieku 19-tego właścicielami tego majątku byli Michvitzowie. Antoni Kossarski żeniąc się z jego córką Łucją staje się następnym właścicielem majątku. Przed reformą rolną przeprowadzoną przez litewski rząd po i w czasie pierwszej W.Ś. ten majątek liczył z grubsza rzecz biorąc 1000 ha (kwadrat 1kmx1km = 100 ha, to by w sumie dałoby obszar kwadratowy o boku 3 km z hakiem!). Ponoć jego praprzodkowie byli pochodzenia tatarskiego, przed zmianą nazwiska na szlacheckie, przodkowi o nazwisku Kossa nadano za zasługi dla Rzeczypospolitej. Antoni wychowuje 3 córki: Jolanta, Wanda oraz Łucja Kossarskie. Gdy czarne chmury zaczęły się zbierać nad caratem uciekając przed nadchodzącymi wojskami niemieckimi w okresie pierwszej W.Ś., rodzina mojej matki tzn. moja babcia Łucja bez męża wraz z w.wym. 3 córkami ucieka w głąb Rosji.*

Nie udało mi się ustalić, dlaczego uciekali w głąb tak niegościnnego, zamieszkałego przez głodomorów kraju. Pewnie ulegli carskiej propagandzie o okrucieństwach Niemców. A tymczasem ci co nie uciekają, stosunkowo nieźle wspominają najazd Niemców w czasie pierwszej W.Ś. Ostrzeżenia odnośnie okrucieństwa Niemców okazały się nieprawdziwe, nic takiego nie miało miejsca. Zresztą Niemcy w sumie Litwinów traktowali łagodnie, co nasza rodzina dobrze pamięta z okresu II W.Ś.. Z obecnego punktu widzenia niewątpliwie takie przemieszczenie się z dziećmi wygląda na mało roztropne. Wszak kto by chciał się chronić w takim kraju jak Rosja? Tak tylko się pytam i tyle. Tymczasem należy na tę decyzję spojrzeć z perspektywy historycznej. Wówczas mieszkali w rejonie Gubernii Kowieńskiej. Jak by na to nie spojrzeć, to była ucieczka nie do obcego państwa. W

tamtych latach już kilka pokoleń Litwinów i Polaków było częścią imperium rosyjskiego i większość w pewnym sensie oswoiła się z taką sytuacją.

Moja babcia Łucja z trzema córeczkami po niezbyt długiej wędrówce, znajdują jakieś pomieszczenie w mieście Wielkie Łuki, to jest około 450 km na wschód od Eikiniszek. Wspominają okropny tłok w chacie, gdzie mieszkali. Wszystkie dzieci śpią na piecu zbudowanym nad kuchnią, a że się kotłują, jak to dzieci, to się zdarzyła tragedia: spychają najmniejszego do kotła z wrzącą wodą. Okropny śmiertelny wypadek! Grupa rosyjskich sąsiadów podżegana przez rodziców ofiary dąży do zlinchowania jednej z córek mojej babci. W wyniku interwencji rozsądniejszych, do kolejnej tragedii nie dochodzi. No proszę, nigdzie nie ruszając się siedzieliby bezpiecznie w swojej posiadłości, zamiast tego wyraźnie prosili się o niemałe kłopoty. Takiej ucieczki przed Niemcami nie było w czasie II WŚ, za wyjątkiem nieznaczej liczby Żydów.

Jedynie ich ojciec Antoni Kossarski, carski oficer, mój dziadek, tam nie jedzie, skoro jest wojna, to jako wojskowy bierze udział w skutecznej obronie przed Niemcami miasta Dynenburg (dziś Daugpilis na Łotwie). To się działo pod koniec I WŚ, w czasie znanej ofensywy wojsk niemieckich na Rosję. Zapewne dziadek Kossarski zdecydował się bronić dostępu do Wielkich Łuków gdzie przebywa jego rodzina. Mój syn Olgierd zwiedził tę twierdzę oraz stwierdził, iż jego pradziadek fatalnie się spisał, bowiem twierdza jest mocno nadwerżona. Sądzi, że w wyniku działań wojennych. Potem, po jej zwiedzeniu, sprostował swoją ocenę. W końcu ta twierdza tylko częściowo uległa zniszczeniu. Najlepszy dowód na to, to fakt historyczny skutecznego odporu ataków niemieckich do chwili zawieszenia broni na froncie wschodnim, mimo znacznych sukcesów niemieckich na sąsiednich odcinkach frontu, bowiem Ryga została zdobyta. Jak długo mój dziadek tam wojował jest trudno ustalić, bowiem to miasto było terenem późniejszych walk w okresie rewolucji także.

Po zakończeniu działań wojennych mój dziadek sam, bez rodziny, wraca do Eikiniszek. Żona z córkami wraca znacznie później. W międzyczasie w swoim domu spotyka go okropny los. Według relacji mojej Mamy, a jego córki, zostaje przez chłopów uśmiercony (nie wiadomo, w jaki sposób). Tak czy owak, mój dziadek

Antoni będąc oficerem, cudem uniknął śmierci z rąk Niemców a potem bolszewików, tymczasem poniósł śmierć z rąk morderców. Chłopi to czyniąc liczyli na bardzo prawdopodobne zaginięcie reszty rodziny i wejście w posiadanie jego ziemi. W czym spotyka ich srogi zawód, bo żona zamordowanego wraz z córkami niebawem wracają do Eikiniszek. Dziadek zostaje pochowany na rodzinnym cmentarzyku, jakieś 300 m od domu. Tam także jest miejsce pochówku innych, poprzednich krewnych. Obecnie cmentarzyk jest w opłakanym stanie, kompletnie zdewastowany. Jakieś hieny cmentarne rozkopały groby szukając zapewne złotych zębów. Przy okazji kradną także płyty z nazwiskami pochowanych.

Nie trzeba mieć dużej wyobraźni, żeby wczuć się w sytuację mojej babci. Zabili jej męża, generała, to dlaczego nie mieliby w nocy zamordować bezbronną kobietę nie oszczędzając przy tym jej trzech małych córeczek? Dla niezbyt pewnej ochrony zatrudnia parę służących i jakoś nie zginęły. Chce przynajmniej pozbyć się zabójcy, lecz nie było możliwości go ująć oraz ukarać. Litewski język jest zupełnie inny niż rosyjski, a wiadomo, za caratu niemal wszyscy sędziowie od 100 lat byli Rosjanami. Po wojnie oni zostają wypędzeni z kraju, a litewskich sędziów nie ma. Tak czy owak panuje bezprawie. Nie ma komu przeprowadzić śledztwa w sprawie tej zbrodni. Więc groźny/i zabójca/y pozostaje/ją na wolności. W sprawie zbrodni nikt nie kwapi się przeprowadzać śledztwa. Na szczęście żadnych napaści i zagrożeń nie doświadczają. Kto dokonał tej zbrodni? Pewne poszlaki wskazywały na powróconych z wojny żołnierzy carskich. Wszak oni byli zaprawieni w zabijaniu obszarników w okresie rewolucji, nie posiadali też ziemi.

Po powrocie z Wielkich Łuków, wdowa po zamordowanym mężu oraz 3 córki zarządzają majątkiem. Litewski rząd przeprowadza reformę polegającą na zabranii pokaźnej części ziemi. Pozostawili około 150 ha. Reszta ziemi przekazana została rolnikom bez odszkodowania. Okoliczni chłopi otrzymali to o co zabiegali drogą przestępstwa. Wiązało się to z ogromnymi zadłużeniami majątku. Całe zadłużenie majątku, po dokonaniu reformy po pierwszej W.Ś. sływa na dwór. To oczywiście jest potworna niesprawiedliwość, w końcu zadłużenie powinno być proporcjonalnie zmniejszone, wszak po reformie do dworu należy mniej ziemi. To dotyczyło majątków ziemian o innej narodowości niż litewska. Sąsiedni majątek zajmował Litwin Jonas Ladyga, potraktowano go zdecydowanie łagodniej. Natomiast w

przypadku Eikiniszek, żadnych ulg nie przyznano. Jonas oraz jego brat generał, byli patriotami litewskimi, to skutkowało represjami gdy nastąpiły rządy sowieckie już w okresie II W.Ś. Jonas z rodziną został wywieziony wówczas na Syberię, powrócili po kilku latach, ale ziemi nie otrzymali. Tymczasem generała potraktowano surowiej: w 1941 r go rozstrzelano. Miał 4 synów z których dwaj przedostali się do Polski i zamieszkali w Gdańsku pod nazwiskami Łodyga.

Długami dotyczącymi ziemi Eikiniszek, nie są obciążane gospodarstwa chłopów litewskich, którzy przejmują część dworskiej ziemi. Około 1930 r. majątek ulega podziałowi, córka Jolanta otrzymuje 50 ha, Wanda 65 ha oraz Łucja 30 ha. Dłużne weksle, z tego co pamiętam, zostały umieszczone na szafie, a mój ojciec musiał je jeden po drugim spłacać. Ojciec nie przewidując przyszłych zawirowań historycznych, spłacał te zadłużenia aż do końca okupacji niemieckiej już w czasie II WŚ!

Najmłodsza córka mojej babci, moja ciocia, Łucja przenosi się do Kowna (Kaunas). Tam studiuje oraz tuż przed II wojną wychodzi za mąż za geometrę Micewicza (Polak). Rodzi im się syn Stanisław. Ciekawostką jest, że on swoją specjalność częściowo zdobył studiując w Paryżu. Natomiast na całe studia zabrakło funduszy, mimo tych braków, po przybyciu do Polski, był wysoko cenionym na Warmii specjalistą w zawodzie. A pracy było mnóstwo, wszak każdemu rolnikowi należało odmierzyć odpowiedni areal poniemieckiej ziemi. Gdy mieszkamy w Eikiniszkach, zazwyczaj jest wielka radość, gdy ciocia Łucja będąc jeszcze panną odwiedza nas (moja chrzestna).

Mój Ojciec miał, liczne rodzeństwo, lecz nikt z nich nas nie odwiedzał, częściową przyczyną były trudności komunikacyjne, odległości – jak to na Litwie nie są zawrotnie duże, wszelako to nie były czasy samochodów. Moja ciocia Lusja (najprzystojniejsza z sióstr) spędza letnie wakacje w Eikiniszkach, w swoim miejscu urodzenia. Przyjeżdża też zimą. Ma łyżwy złączone z butami, na jeziorze wykonuje piruety.



Mimo zamieszkania od wielu pokoleń w środowisku litewskim, wciąż były żywe kulturalne wspomnienia wyniesione z regionów polskich. Rok 1930, Poniewież.



Moja ciocia Łucja (pierwsza od lewej) z koleżankami z klasy maturalnej w strojach kąpielowych w 1932 r. Wówczas panienki z 'dobrych' domów nie pokazywały zbyt wiele swego ciała (na Litwie, a w Polsce może było inaczej, tak mi się przynajmniej wydaje).



Tu ciocia Łucja (pierwsza od prawej) z koleżankami z klasy maturalnej na łyżwach na zamarznętej rzece w Poniewieżu. Dziś takich widoków nie spotyka się. Czy ktoś widział grupę zaprzyjaźnionych dziewcząt wspólnie jeżdżących na łyżwach, mimo ułatwień, jakie dają w miastach sztuczne lodowiska?

Czego jak czego, ale miejsca na piruety na jeziorze czy rzece było pod dostatkiem. Te łyżwy w końcu zostawia u nas, moja mama nawet zabiera je do Polski. Może któraś z córek zainteresuje się sportem łyżwiarskim? Jednak to nie następuje. Stosunki rodzinne utrzymujemy także z rodziną mego stryja Jana.



Polskie gimnazjum w Poniewieżu w latach międzywojennych nie było całkiem odcięte od europejskiej kultury. Jak widać, uczennice kolekcjonowały zdjęcia znanych na świecie ówczesnych aktorów.

Miejsce na podsumowanie gałęzi po kądzieli mojej rodziny. Chodzi tu o Kossarskich. Moja babcia Kossarska wyszła za mąż za Antoniego Kossarskiego, który miał siostrę i brata, którzy zmarli bezpotomnie. Babci córka Jolanta wyszła za Stasiulisa, mieli troje dzieci Władysław, Aldona i Irena. Nam nic nie jest wiadome o ich potomstwie. Córka Wanda wyszła za Michała Małachowskiego mieli czworo potomstwa, o nich pisałem drobiazgowo. Córka Łucja wyszła za Antoniego Micewicza, mieli syna Stanisława z żoną Barbarą, mieszkają w Olsztynie nie posiadają potomstwa. Z tego wynika, że nazwisko Kossarski zanikło.

Małachowscy. Tak jak moja mama, tak równocześnie mój Ojciec razem ze swoimi rodzicami oraz rodzeństwem na początku pierwszej W.Ś. ucieka w głąb Rosji. Oni się zatrzymują aż w Samarze, okropnie tam głodują. To się dzieje w okresie pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej. Ojciec wówczas około 10 letni, przez całe późniejsze życie nie jest chętny, aby o tym opowiadać..Ilekroć o tamtym głodzie wspomina, wciąż ma oczy pełne łez, mimo upływu nawet 70 lat! Musiały to być koszmarnie przeżycia, zwłaszcza dla dzieci. Na przykład zimą żywili się owocami jarzębin. Zwykle twierdzi, że nikt nie potrafi tak zakwasić grzybów krowiaków jak to robiły wtedy rosyjskie kobiety. Jeżeli ktoś nie wie, co to za grzyby, to powiem: to są zwykłe grzyby o pokaźnych rozmiarach (nimi wypełnia się głodny żołądek), nie są trujące wszelako wyjątkowo niesmaczne, przez naszych grzybiarzy raczej pomijany gatunek. Ten 'przysmak' ojciec zapamięta na całe życie! Jego siostra, moja ciocia Henia jadła tam nawet mydło. Żeby nie być jednostronnym, muszę powiedzieć, że nie wszyscy w tamtym momencie tak cierpią z głodu. Rodzina mojej babci po kądzieli (matka wraz z 3 córeczkami) będąc na wyjeździe w Wielkich Łukach, tak bardzo nie cierpią.

Dalsza moja wędrówka odbywać się będzie śladami potomstwa mego dziadka Jana, który był jednym z synów Konstantego. Pierwszego z rodu Małachowskich osiadłego na Litwie. Skupimy się głównie na losach mego ojca Michała oraz jego rodziny, a także jego brata Jana. Zatem Michał był wnukiem Konstantego. Biorąc za żonę Wandę Kossarską, 'wzenił się' on w majątek położony w Eikiniszkach, jak wspomniałem to była mała wioska przylegająca do granicy łotewskiej w powiecie Rokiszkis. Niemal równocześnie, w drugą spadkową część tego majątku wzenił się Stasiulis, bowiem poślubił Jolantę, Wandy siostrę.

Wszystkie trzy siostry to absolwentki polskiego gimnazjum w Poniewieżu. O ile się nie mylę, obecne władze litewskie takiej szkoły średniej tam nie utworzyły. A trzeba pamiętać o przedwojennych zatargach o Wilno między Polską a Litwą. Mimo to polskie gimnazjum tam istniało. No, ale wówczas na Litwie mieszkało znacznie więcej Polaków niż obecnie. Po ukończeniu nauki do Eikiniszek wróciły Wanda i Jolanta. To była mała wioska, około 12 chłopskich gospodarstw wraz z 2 dużymi gospodarstwami nazywanymi dworami. Właścicielami ich byli mój ojciec Michał ożeniony z Wandą, miał 95 ha wraz z ziemią dzierżawioną od Łucji oraz A. Stasiulis (Litwin), z żoną Jolantą, miał około 50 ha.

Od 1930 roku moi rodzice zamieszkują w starym dworze w Eikiniszkach. Stasiulisowie budują nowy drewniany dom (on, jako naczelnik odcinka straży granicznej Litwa-Łotwa, jeździ do pracy motocyklem). Jednocześnie budują gospodarcze budynki, które postawili w odległości około 400 m. od starego naszego dworu. Oba zabudowania - nad jeziorem. Jezioro nie było pokaźne, obecnie znacznie większe. Gdy się łodzią wypłynęło na jezioro, to zabudowania obu siedlisk odbijały się w tafli wody. To był zachwycający obraz, zabudowania nad jeziorem oraz takie same odwrócone w wodzie. Gdy widzę odbicia w wodzie zabytkowych budowli pokazywanych na zdjęciach bądź w TV, wciąż mi się te widoki z czasów dzieciennych przypominają. Stasiulisowie mieli troje dzieci: Władis (ur. 1931), Aldona (1932) i Irena (1933). Obaj właściciele zatrudniali do wsparcia służące wraz z parobkami. W obliczu słabej mechanizacji rolnictwa, pomocników jest pokaźna ilość, tak czy owak - gospodarstwa w sumie mało wydajne, niestety.

Opisując sytuację mieszkańców tej okolicy niesposób pominąć dziką przyrodę. Podczas moich wizyt w Eikiniszkach, które miały miejsce w środku lata w latach 90-tych ubiegłego wieku, kilka godzin spacerowałem brzegiem jeziora. Uderzył mnie fakt całkowitego braku dzikich ptaków, a o zajęcach, sarnach czy lisach nawet nie wspomnę. A tymczasem bardzo klarownie jawią się w mojej pamięci ich niezliczone ilości w latach przedwojennych. Nie odkryję tu Ameryki, jeśli wymienię bociany, wrony, sroki, jaskółki, wróble, szpaki, pliszki, sójki. Wszystko to fruwało wokół domu. Były też bardziej stroniące od ludzi czajki, skowonki czy kuropatwy. Na jeziorze pływały kurki wodne, nury i kaczki. Pewnie trudno przyjdzie mi przekonanie czytelnika, że obecnie tam w środku lata niczego takiego nie zauważyłem.

W czym tkwi przyczyna takiej bardzo przykłej zmiany przyrody? Takiego zniknięcia wszystkiego co żyje? Co się w tej okolicy takiego stało? Mieliśmy w dziejach świata zniknięcie dinozaurów. Ponoć nie jesteśmy pewni, ale można to wyjaśnić uderzeniem olbrzymiego bolidu, lub gwałtownym oziębieniem z innego powodu. Tu jednak w Eikiniszkach byłbym skłonny wykluczyć powyższe przyczyny. Zdziałała trzecia, nie mniejsza w skutkach katastrofa – komunizm. Tu nieco przeszarżowałem niewątpliwie. A poważnie - chyba zaskoczę czytelnika. Przyczyną był całkowite usunięcie ludzkich siedlisk w promieniu kilku kilometrów od jeziora. Sowieckie władze spowodowały wyburzenie obu dworów i okolicznych ludzkich siedlisk. Powstały jednolite pola uprawne zamiast. Przed wojną w bezpośredniej styczności z jeziorem były dwa zamożniejsze siedliska po 90 ha i 50 ha oraz trzy mniejsze, nie licząc chłopskich zabudowań rozsianych dalej. Zabudowania były upiękzone drzewami o różnych gatunkach. Taką okolicę mieliśmy przed wojną w Eikiniszkach, tymczasem obecnie poza świerkami na 100 arowym cmentarzysku żadne drzewo nie rośnie.

No i teraz przypomnijmy co nam wpaja się bez ustanku z inicjatywy ekologów. Mówiąc w skrócie: ludzie nie powinni zbyt zachłannie zwierzętom zabierać pola czy lasy. Jak widać są wyjątki. Dotyczą one wymienionych wyżej gatunków. Otóż, będą one tam gdzie ludzie. Nieźle się czują tam gdzie rolnicy będący w posiadaniu większych arealów, wokół swych domów sadzą jakieś dęby, klony, brzozy, lipy.. Tak jak mieliśmy to na Litwie przed wojną, Podobnie zresztą wyglądały także inne dworki. Tak czy inaczej ludzie już są bardzo potrzebni zwierzętom. Niektóre z nich będąc w stanie dzikim, bez obecności ludzi, giną niestety (wróble, jaskółki). Szpaki nawet

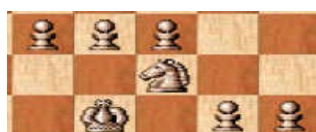
potrzebują domków lęgowych wykonanych przez ludzi. Natomiast leśne zwierzęta też mają swoje nawyki. Lasy należy bez dyskusji chronić. W ich przypadku ludzie nie są niezbędni do szczęścia.

Można by się zastanowić, czy w przypadku jak w okolicach opisanego jeziora posadzenie tu i ówdzie kępek drzew, tak jak to było przed wojną, lecz bez ludzi, nie skutkowałoby odzyskaniem utraconej populacji ptaków? Sądzę, że bez mieszkających tam ludzi jedynie nieliczne dzikie ptaki i nie te wyżej wymienione, tam by się zagnieździły. Zastanawiając się nad tą dziwną sytuacją, przypomniałem sobie wypowiedź ornitologa o zwyczajach orła bielika. Ten drapieżny ptak buduje swoje gniazda daleko od ludzkich osiedli. Podobne zwyczaje mają inne drapieżniki – jastrzębie. Większość drapieżnych ptaków preferuje strategię trzymania się od człowieka dalej niż na przykład bocian, wróbel, sroka, szpak czy wrona, więc te ostatnie wraz ze swym potomstwem mogą się czuć w miarę bezpiecznie. Z drugiej strony, także drapieżnik nie ma spokoju. Z pewnością wielu z nas obserwowało przylot jastrzębia i ataki małych ptaków na niego (głównie szybkich i zwinnych jaskółek). Leć sobie tam gdzie twoje miejsce, jak najdalej od naszych gniazd! Kończąc ten problem zapewniam, że nie sugeruję potrzeby zasiedlania lasów, parków, puszczy. Tam są inne gatunki ptaków radzących doskonale bez obecności ludzi. Oczywiście pomoc człowieka jest tam mile widziana przez zwierzęta. Może te moje wywody wydają się zbyt arbitralne, podobno nic nie jest całkowicie czarne czy całkiem białe. Jednak tak czy inaczej ptaki i ludzie tam razem egzystowali, gdy ludzi zabrakło, ptaki odfrunęły – to fakt. Sądzę, że pozostawienie samych drzew, sytuacji nie zmieniłoby. Na zakończenie przyznaję się – nie jestem ornitologiem, pewnie ci specjaliści od ptaków znają opisane wyżej zwyczaje tych zwierząt. Natomiast opisany, rzeczywisty przykład może być interesujący.

W moim opisie często pojawiać się będzie nazwisko Stasiulis, zwłaszcza że, przed wojną losy tej rodziny są mocno powiązane z naszą rodziną. Dorośli ustalają wspólnie plany gospodarcze wraz z ich realizacją, dzieci razem chodzą do szkoły i wspólnie (bez udziału innych dzieci) wymyślają zabawy. Czasem, co przyznaję z zażenowaniem, zabarwione erotyzmem – na usprawiedliwienie przypominam nasz wiek – poniżej 10 lat, więc nic złego nie mogło się dziać. Nikt z dorosłych nigdy w tym nie uczestniczył. Przywódcą był Władysław, najstarszy z nas, on to głównie

wymyślał zabawy. Dzieci Stasiulisów nie znały polskiego. Rozmawialiśmy z nimi po litewsku.

Z tego co pamiętam, mnie, jako jedyne Stasiulis zainteresował szachami, bowiem jego syn Władysław za Chiny nie chciał się tego uczyć. Początkowo mnie mniej interesowały szachy, lecz bardziej cukierek, który na wstępie otrzymywałem. Miał cudowny smak oraz był zawinięty w piękny kolorowy papierek. W końcu najbliższy sklep z cukierkami to 7 km w jedną stronę! A więc, w taki sposób, każdorazowo zachęcał mnie do gry, a po jej ukończeniu otrzymywałem następny cukierek. Z pewnością nie powinniście się dziwić mojemu zainteresowaniu grą w szachy. Oprócz cukierkiem mój wuj nagradzał mnie przejażdżką na jego służbowym motocyklu. Te wizyty tak wspominam: po wejściu do sieni zaczynam zgodnie z życzeniem cioci czyścić nogi, a wuj mówił: - nie baw się z tymi nogami, choć grać. Wtedy mogę wejść do jego pokoju oraz godzinami gramy. Wuj jest nad wyraz zadowolony, potem wychwala moje postępy przed rodzicami. On oczywiście z nieskrywaną satysfakcją wygrywa. Do czasu. Co by za dobrze mu nie było, po roku chwytam sens tej gry i zaczynam coraz częściej wygrywać! Bardzo to go irytuje. Mało tego, posuwa się do cofania ruchów! To z kolei mnie irytuje, wszelako wobec mojej sytuacji, to jest bez znaczenia. Po niekorzystnym dla wuja wyniku gry, już po jej zakończeniu upragnionego cukierka nie otrzymuję! Nie jestem w tamtym momencie na tyle przebiegły, aby wujowi dawać wygrywać, tymczasem gdy widzę swoją przewagę niezmiennie, aczkolwiek nierozsądnie dążę do upokorzenia wuja. Po tych szachowych partiach, które wujowi poszły nie tak, przestaje mnie przyjmować, zapraszać do gry. Ostatnią partię gram z nim mając 8 lat. To był okres, gdy on najczęściej przegrywał, aż pewnego razu mocno wkurzony wręcza mnie pudełko z szachami, przy tym słucham w osłupieniu jego kategorycznego oświadczenia o zakończeniu naszych partii szachowych. Mówi wówczas: - weź te szachy sobie, ja już nie mam ochoty grać. Cóż, wziąłem pudełko pod pachę i do domu – a tam partnera do gry już nie znalazłem. Może o rok młodszy brat, ale musiałbym mieć cukierki.....



Fragment szachów

Po inwazji sowieków w 1940 roku czarne chmury zawisły nad biedną Litwą, Rosjanie zaczynają dokonywać na niewinnych Litwinach bestialskich represji. Wywożą na Sybir czy do Kazachstanu niemało rodzin, a niektórych tak się obawiają, że na miejscu rozstrzelują. Mego partnera od szachów, wuja też rozstrzelują a żonę z trojgiem dzieci wywożą do kraju Ałtajskiego. Dla służby granicznej ruscy nie mieli litości.

A Jego szachy do dziś posiadam. Obecnie jego postępowanie rozumiem (lecz nie pochwalam). W końcu ta gra daje satysfakcję oraz chęć gry, gdy od czasu do czasu, a najlepiej często się wygrywa, bądź lepiej, – gdy szanse wygrania są 50%, wszak w takim momencie żadna ze stron nie zniechęca się i nie rezygnując z gry. Może w partii następnej lepiej mi pójdzie? W Polsce grywam od czasu do czasu w szachy – ostatnio jedynie z komputerem. Mieszkający ze mną syn, tak jak poprzednio brat, nie przejawia szachowych upodobań, woli komputerowe gry zamiast. Cukierki dziś nie są przynętą niestety. Nie jestem dobrym szachistą, z komputerem, jak wiadomo, trudno coś konkretnego powiedzieć, bowiem tam się ustawia poziom trudności. A z graczami czasem wygrywam czasem przegrywam, tymczasem również zetknąłem się z takimi, z którymi wciąż przegrywałem – co jest ciężko znieść. W tym tkwi dylemat, skoro ja z kimś permanentnie wygrywam, to ta osoba ze mną nie ma ochoty grać. I odwrotnie, skoro z kolei ja z kimś wciąż przegrywam – to ja nie mając nadziei na wygraną, nie palę się do rywalizacji z taką osobą. Z drugiej strony, ta gra jest czasochłonna, koliduje z nauką oraz z pracą, za wyjątkiem okresu emerytury bądź gdy się jest graczem zawodowym. Ale to już zupełnie inny temat. Ciekawostką może być spotykane u niektórych osób, specjalne uzdolnienia do tej gry, jak na przykład przejawiające się w umiejętności grania bez widoku szachownicy. Będąc w akademiku miałem dwóch takich kolegów, studentów fizyki. Jeden z nich potem bierze udział w rozgrywkach ligowych (prof. Adam Kujawski). Wspominam ich leżących wieczorem w ciemnościach na swoich łóżkach oraz grających w szachy bez szachownicy! Niezbędna jest wyjątkowo dobra pamięć, żeby wykonane ruchy oraz układ figur pamiętać. Obaj byli zdolnymi studentami, a potem zdolnymi naukowcami.



To są dzieci Małachowskich oraz Stasiulisów. Rok 1935. Brak moich dwóch siostrzyczek. Od prawej: Władas Stasiulis, Janusz Małachowski, Aldona Stasiulis, Gienek Małachowski, Irena Stasiulis.

Wszystkie dzieci Stasiulisów oraz Małachowskich są chrzczone w kościele w Onuszkis. Wraz z Władasem chodziliśmy do tego kościoła na nauki przed 1 komunią (7 km w jedną stronę). Tylko ja przystąpiłem do 1 komunii. Rodzina Stasiulisów, bowiem przed tą kościelną uroczystością została wywieziona na Syberię przez bandyckich kacapów (1940 r.).



Moi rodzice Wanda i Michał w oknie drewnianego dworku w Eikiniszkach (Litwa, 1934 rok).

Wywózka na Syberię rodziny cioci

Każde przymusowe przesiedlanie rodzin jest niewątpliwie tragiczne. Wszyscy członkowie rodziny są wówczas nagle odrywani od wszystkiego, do czego byli przywiązani, nie wspominając źródeł pozwalających na egzystencję. Znamy z historii szereg przykładów takich wymuszonych przesiedleń. Wymienię kilka. Pod koniec 16 wieku Hiszpanie wydalili ze swego kraju Żydów. Na sprzedaż i spakowanie się dając im aż 4 miesiące. Pod koniec 19 wieku Rosjanie wypędzając Żydów, na spakowanie dając 3 dni. W 1940 roku bolszewicy przesiedlali rodziny na Sybir czy Kazachstan, a na spakowanie dawali 1 godzinę. Tak czy owak, postęp widoczny!!!

O trzeciej nad ranem we wrześniową noc w 1940 roku, ciężarówka podejżdża pod dom Stasiulisów. Wściekły zapewne z powodu niewyspania, bandyta NKWD nakazuje rozbudzonej rodzinie w ciągu godziny spakować się oraz wsiąść do ciężarówki wraz z zabranymi tobołkami, tyle ile się da unieść. Nie sposób, więc kacapów inaczej określić jak zdziczałą hordę. Niepodważalnym faktem jest, że przez Lenina i jego następców został zatrzymany proces zwiększania się dorobku humanitarnego tego narodu. Nie dajcie się zwieść wyjątkom, oni są mistrzami przystosowywania się do otaczających ich warunków. Wszak trening trwał ponad 70 lat! Nie można wykluczyć, że i dalej trwa. Znana brytyjska historyk zajmująca się warunkami zsyłek na Syberię oraz dalszą gehenną zesłańców, tak charakteryzuje Rosjan: - zesłańcy „znali z doświadczeń własnych lub swoich rodziców nieprzewidywalność, nieefektywność i bezlitość Rosjan”. Oczywiście są znani pisarze (Gorki), poeci (Majakowski) czy reżyserzy filmowi (Siergiej Eisenstein) działający w tamtym okresie. Określa się ich jako ' prostytutki Stalina'. Nie sposób pominąć także masowe gwałcenie kobiet przez żołdatów w okresie II WŚ. Doświadczyły tego nie tylko Niemki. W armiach innych narodów zjawisko to było marginalne.

Wracając do naszej opowieści o wywózce rodziny Stasiulisów, wytworzyło się zamieszanie z powou najmłodszej 6-cio letniej Irenki, której nie można było znaleźć (najmniejsza na fotografii) bo gdzieś się zawierusza, a wyznaczony czas już mija. Kacap przynagla do odjazdu a rodzina bez dziecka nie chce się ruszać. Robi się zamieszanie, tymczasem w końcu zguba się odnajduje, wszyscy są wpychani do ciężarówki i ruszają. Kacap wie, gdzie ta rodzina się udaje. Do kraju głodomorów, mimo jeszcze nie ogarniętego pożogą wojenną. Powinien zatem pozwolić im na zabranie całej żywności. Wówczas na Litwie czego jak czego ale żywności nie brakowało. Zwłaszcza majątniejsi, mieszkający na wsi mieli pokaźne ilości wędzonych kielbas, szynki a przede wszystkim słoninę wędzoną i soloną. Taka metoda działania Sowietów jaka dotyczyła Stasiulusów nie była w wytycznych Kremla. Najlepszym dowodem na to były przypadki spotykane przy przesiedlaniu w 1940 roku na Sybir ludności polskiej z kresów wschodnich. Jak się czyta wspomnienia ofiar, to nawet spotykało się zadziwiająco humanitarne przypadki. Żeby nie być jednostronnie uprzedzonym, zgodnie z nielicznymi relacjami wywożonych osób, przytaczam tu fakty zachęcania do zabrania większej ilości mienia. Także spotykana była sprzedaż zostawionego mienia przez administrację sowiecką i wysyłanie zesłańcom uzyskanych rubli. Te wyjątki świadczą o bandyckich metodach jakie stosowano powszechnie. Nie było odgórnego nakazu aby zabraniać zabierania większej ilości w końcu swojej własności. Ułatwiłoby to przetrwanie zwłaszcza w początkowym okresie po zsyłce. Może także w miejscowości do której zesłańcy trafiali, miejscowe władze miałyby mniej problemów z nieco zaopatrzonymi zesłańcami. Omawiając to wszystko, dochodziliśmy do wniosku, żeby nie do końca obarczać centralnych władz wyrządzeniem krzywdy zesłańcom przy organizacji wywózek. To była w dużej mierze inicjatywa bandytów ubranych w oficerskie mundury armii sowieckiej. Natomiast centralne władze są odpowiedzialne za wydanie nakazu wywózek, jak również za nie ukrócenie popełnianych przy tym przestępstw.



Moi cioteczni siostry i brat rok przed wywózką na Sybir. Rok 1939. Od prawej Irena, Władysław, Aldona Stasiulis.

Wracając do moich krewnych, czy sądzicie, że kacap pozwolił zabrać ile chcieli? Skąd? Zaplombował spichrz i dom, żeby następnego dnia przyjechać, wszystko co wartościowe zabrać do swojego mieszkania w Rokiszki. Po czym te zrabowane dobra rozdzielał wśród członków nowej administracji sowieckiej lub wysyłał do swojej rodziny w Rosji. Zabieranie na zsyłkę kompletnej rodziny, łącznie ze starymi schorowanymi osobami, też było konieczne, bowiem nie mogliby pomieszczeń plombować. Pozostawiona osoba mogłaby cenne rzeczy i żywność przenieść do sąsiadów i po przyjeździe po nie następnego dnia ruscy znaleźliby figę z makiem. Zatem procedura wywózki była opracowana drobiazgowo, sądziliśmy, że raczej oddolnie a nie na Kremlu.

Tymczasem samego Stasiulisa kacap odłącza od rodziny. Żeby go po paru dniach rozstrzelać (wg relacji córki Aldony). Nie ulega wątpliwości, Stasiulis, jako komendant okolicznego odcinka granicy Litewsko-Łotewskiej jest nad wyraz niebezpiecznym dla imperium Stalina. W chwili egzekucji ma 32 lata. Nie nadaje się do łagru, zbyt znaczne ryzyko. Może w końcu jakąś granicę na Sybirze wytyczyć! Zastanawiam się, czy czasem, władze sowieckie nie były zbyt strachliwe. Tak mi się przynajmniej wydaje. Bo jak to wyjaśnić? Może znając historyczne przykłady myśleli, tak jak kiedyś Stenka Razin czy Spartakus, niechybnie taki Stasiulis na Syberii mógłby zorganizować pożądaną powstania? Tak czy owak lepiej takich likwidować - i po strachu. Tym bardziej, że za taki mord w państwie bezprawia się nie odpowiada. Taki sam tragiczny los spotyka większości ludzi służby granicznej,

policjantów, wojskowych, leśników na Litwie, którym się nie udało schronić za granicą.



Naczelnik straży granicznej Stasiulis z żoną oraz synkiem (Władas). Rok 1933. Jeszcze kilka lat będą się cieszyć wspólną i dostatnią egzystencją w kapitalistycznym kraju.

W Polsce decyzje o deportacjach zostały podjęte już 5 grudnia 1939 r., a więc w niespełna cztery miesiące po zajęciu nowych ziem. Biuro Polityczne KC WKP(b) wraz z Radą Komisarzy Ludowych ZSRR podjęły decyzję o usunięciu z okupowanych ziem tzw. „elementów niepewnych”, czyli w większości Polaków zamieszkujących tereny Zachodniej Ukrainy i Białorusi. Przy okazji, skąd takie nazwy? Przecież gdy polskie granice wytyczano przed 1920 rokiem, to ani Białorusi ani Ukrainy nie było na żadnej mapie. Nie wiem, czy ta uchwała dotyczyła też Litwy. W 1940 r. na Litwie następują wywózki na Syberię połączone z okrutną rzezią ludności, na szeroką skalę, tak się dzieje wtedy we wszystkich krajach, do których bandyckie łapy kacapów mogły sięgnąć. W Polsce to się dzieje w większości z oficerami w Katyniu. Ku zmartwieniu Sowietom, Litwa, Łotwa, Estonia to kraje poddające się im bez oporu, więc kacapy nie mają jeńców wojennych, zatem NKWD musi pojedynczo wyłapywać oraz rozstrzeliwać potencjalnych przeciwników. Dotyczy to policjantów, pograniczników, oficerów oraz wyższych urzędników. ‘Likwiduje się’ ich, w sumie kompletnie. Obawiam się, że czegoś podobnego nawet w zamierzczłych, barbarzyńskich czasach nie czyniono. Chociaż Rzymianie ponoć

potrafili w podbitych krajach mordować wszystkich mieszkańców (zatem Rosjanie mieli wzorce do naśladowania).



Ładowanie do wagonów na Syberię

Sowieckie zbrodnie można przyrównać do metod hitlerowców z korzyścią dla tych ostatnich. No tak, ktoś powie, a Holokaust to się nie liczy? Liczy się, lecz masowe powodowanie śmierci ludności w okresie stalinizmu, też należy brać pod uwagę. Że wymienię tu wywózki na Syberię, głód – zwłaszcza na Ukrainie. Amerykański generał George Patton właśnie w takiej kolejności te nacje ustawił. Lokalne decyzje, co do poszczególnych osób musiały być podjęte przez miejscowych enkawudzistów. Natomiast, jak należy sądzić ich żadna kara nie dosięgła po destalinizacji. Za holokaust dosięgła. Nieraz się słyszy od Rosjan: - wy Polacy nienawidzicie Rosjan za wymordowanie znacznie mniejszej liczby ludzi (jeżeli policzyć ofiary związane z wywózkami, to ta liczba może się okazać nie być tak małą), równocześnie potraficie utrzymywać dość znośne stosunki z Niemcami, którzy wymordowali u was aż 6 milionów! To prawda, lecz Niemcy uznali swoją winę, a winnych ukarali. Przywódców nawet wieszali. Tymczasem w Rosji nikt nie został ukarany za zbrodnie na Polakach czy Litwinach. Na tym polega różnica. A swoją drogą dodałbym do tego spojrzenie odwrotne. Rosjanie mimo olbrzymich krzywd doznanych od Niemców, utrzymują z nimi dość znośne stosunki tak polityczne jak i gospodarcze podobnie jak Polska. Z Polską stosunki w obu obszarach są chłodne. Tymczasem oni od nas żadnej

krzywdy nie doświadczyli, mimo tego jeszcze przez wiele powojennych lat Polacy byli karani w zasadzie nie wiadomo za co.

Wracając do krajów bałtyckich, bez wątpienia, w 1939 roku te państwa dostały się w łapy niezłych bolszewickich bandytów, pojedyncze zagrożone osoby uciekają na zachód, głównie elity rządowe. Takie postępowanie sowietów wydaje się być dziwne. W świetle oficjalnej historii sowieckiej, kraje nadbałtyckie były sowieckimi republikami od 1917 r. Tak czy inaczej, gdyby tak było, to logicznie rzecz biorąc, mordowali własnych urzędników, policjantów i sferę rządową! Z tym zastrzeżeniem, że przed wojną na szczęście żadnych sowieckich urzędników, ani tym bardziej enkawudzistów na Litwie się nie spotykało. Kraje nadbałtyckie były niepodległe.

Przebieg wywózki według opowiadania Aldony był następujący. Po dowiezieniu ciężarówkami na stację, kobiety oraz dzieci upycha się w wagonach bydlęcych. Zamknięci w nich od zewnętrznej strony, z dodatkową eskortą, 3 tygodnie jadą na Syberię. Załatwiają się na podłogę, na odludziu są postoje gdzie wszyscy opuszczają wagony a kobiety sprzątają podłogi. Dzieci głodne oraz spragnione krzyczą, położyć się do spania jest trudno. Pamiętać należy, że to ma miejsce nie w czasie wojny. Istnieją, zatem środki na przyzwoity transport. A mo że ich nie mieli? To taka psychologiczna, lecz bandycka metoda: - dziś macie fatalnie, za to po przyjeździe będzie się wam wydawało, że jest wreszcie dobrze. Wreszcie przyjechaliśmy, o jak to dobrze!

Natomiast po przyjeździe dobrze im nie jest! Co by za dobrze im nie było, zmuszali do pracy nie płacąc za nią i nie dostarczając równocześnie ani żywności ani ubrań czy butów! W listach do nas ciocia błaga o paczki z żywnością, odzieżą. Przypominam ponownie, nie mamy wtedy wojny. Za Chiny nie da się trudności z żywnością tłumaczyć zniszczeniami wojennymi. Wojna wybucha gdzieś tam, daleko, za półtora roku dopiero. Swoją drogą nawet w czasach niewolnictwa Amerykanie karmili swoich murzynów do syta. Rosjanie ich nazywają przesiedleńcami. Przywiezieni na Syberię ciężko pracują w kołchozach, nie tylko im nie płacą, lecz w żywność nie zaopatrują w wystarczającej ilości.



Jolanta Stasiulis (z d. Kossarska). Wyżej jej dzieci. Razem wywiezieni do Kraju Ałtajskiego.

Na przykład takie zdanie do nas pisze: - 'z pola zdołałam nazbierać dla nas ziarna na okres zimowy'. Natomiast z dostarczeniem im paczek mamy trudności, nie jest tak, jakby Jolanta sobie życzyła. Pierwsza wiadomość od cioci dociera do nas pod koniec 1940 roku. W połowie 1941 roku bandyckie państwa rozpoczynają między sobą wojnę i na długie lata nas rozdziela front. Podsumowując, sytuację zesłańców należy ocenić tak: - co by za dobrze im tam nie było, mieli zapewnioną 10-cio godzinną pracę, bez wynagrodzenia, należytego wyżywienia, obuwia, ubrań. Słowem, żyć nie umierać!

Ogólne uwagi o wywózkach na Sybir.

Powiadają: - wywózki na Sybir to nic nowego, car wywoził to i komuniści wywozili. Nic bardziej błędnego niż ta opinia. Otóż, car wywoził jedynie ludzi, którzy złamali prawo. Prawo tego cara, nie musiało być sprawiedliwe w odczuciu społecznym. Tymczasem komuniści wywózką karali ludzi zupełnie niewinnych według ich prawa!

Co więcej, wywózką karali całą rodzinę. Opróżniali całe mieszkanie z ludzi. Zabierali przy tym obowiązkowo nawet bardzo starych. Ktoś może spytać: - a po jakiego czorta im starzy potrzebni tam na Sybirze? Wszak to jest znaczne obciążenie. Otóż, chodziło im o opróżnienie mieszkania, żeby nikt nie przeszkadzał gdy następnego dnia kacapi przyjadą ciężarówką, odplombują mieszkanie, a wszystko co ma jakąkolwiek wartość bez skrępowania zabierają. Ponadto, aby mieć pewność, że mienie nie zostanie porozdawane sąsiadom, robili najazd z zaskoczenia. Tak się stało z mieniem Stasiulisów. Dlatego nie pozwalają aby zesłańcy załadowali swoje mienie do kilku skrzyń. Pozwalają jedynie co nie co zabrać do ręki. Liczne opracowania historyczne są dokumentami potwierdzającymi, że Hiszpanie i carat wysiedlali Żydów uprzedzając ich o tym (patrz Skrzypek na Dachy). Wysiedleńcy mieli prawo rozporządzać swoim mieniem w dowolny sposób. Ale u Sowieców było inaczej, krzywdą ludzi się nie przejmowano. Priorytetem był własny złodziejski interes. Podobną złodziejską metodę po wojnie nasze UB zastosowało wobec Ślązaków wyrwanych z domów i wywożonych do obozów (np. Jawoźno). Nauka nie posła w las.

Czy ewentualne zezwolenie na zabranie skrzyń z dobytkiem i żywnością byłyby dla organizatorów zesłania przeszkodą nie do pokonania? Tak tylko się pytam. Takie skrzynie nam repatriantom lokalna władza (nie Sowieci) pozwoliła zabrać. Wagon jest na tyle wysoki, żeby po skrzyniach można byłoby chodzić. Mogliby kacapy na to zezwolić, lecz co by im wówczas zostało? Dodać należy, to mienie nie było przekazywane państwu. Musieliby mieć jakieś magazyny, a tego nie było. Oni między sobą rozdzielali meble, naczynia, urządzenia, odzież i żywność.

Jak wyjaśnia się problem wywózek? My, którzy zostaliśmy niewywiezieni, często nad tym faktem zastanawialiśmy się. Wprawdzie te nasze dyskusje nie do końca były twórcze – nie prowadziły wszak do poprawy losu wywiezionych. Jednak doszliśmy do konkluzji, moim zdaniem – nigdzie nie podnoszonej. Przede wszystkim należy zaznaczyć, że o przyczynach wywózek mogli medytować jedynie zwykli obywatele. Bowiem tamtejsza władza tego tematu w mediach nie poruszała oraz zakładała szlaban na wszelkie wypowiedzi na ten temat. W prasie nie było wzmianek o tych tragicznych dla ludności wydarzeniach. Nie wiadomo dlaczego ludzie zaczęli

uważać, że wywózką są karani kułacy i inne zasobne rodziny dla ułatwienia zakładania kołchozów. Wywożono ponoć jedynie wrogów ludu pracującego. Według nas obserwatorów tego procederu, prawda jest zgoła inna. Wrogo nastawieni do kołchozów byli wszyscy rolnicy, a do władzy większość obywateli, w równym stopniu bogatsi jak i biedniejsi. Nieliczni bogatsi chłopcy czy urzędnicy nie mogli być liczącą się przeszkodą. Siły represyjne Sowieców były liczne i sprawne, mogły być pewne niemal bezkonfliktowego przebiegu procesu kolektywizacji. Ponadto wywózką były objęte także rodziny nierolnicze. Na zsyłce ubogich nic by nie zyskali, przecież mienie ich jest znikome. Taka jest prawda dotycząca wywózek i tyle. Władcom w Kremlu zależało na zastraszeniu ludności. Jednym ze sposobów były właśnie wywózki połączone z wywłaszczaniem. Zastanawiam się dlaczego na temat tego procederu nie spogląda się z punktu widzenia bandycko-złodziejskiej przedsiębiorczości lokalnych struktur (chyba) NKWD. Realnie rzecz biorąc kremlowscy władarze nie mieli możliwości kontroli detali związanych z wywózkami. To co ustalali to mogły być jedynie ogólne wytyczne.

Nasi aktualni Sybiriacy są zorganizowani, odbywają spotkania, na których wspominają swoją niedolę, mogliby też przy okazji pochylić się nad losami ich dobytku, pozostawionego w chwili wywózki. Natomiast zdają sobie sprawę z trudności związanych z takim śledztwem. Oni się znaleźli w odległości tysięcy kilometrów od pozostawionego mienia. Gdyby można było rzucić nowe światło na ten problem w formie konkretnych udowodnionych faktów, to byłoby dodatkowe obciążenie zbrodniczych dokonań Sowieców. Może jakieś odszkodowanie? Badanie porzuconego mienia rzuciłoby dodatkowe światło na ten nieludzki system, który jest chwalony między innymi przez współczesnych kremlowskich władców. Putin staje się historioznawcą, jak kiedyś Stalin językoznawcą.

Tuż po wywózce z nimi nawiązujemy kontakt listowny, wysyłamy tam parę paczek. To się urywa po czerwcu 1941 roku. Teraz naszą od Stasiulisów rodziny przedziela front aż do końca 1944 roku. W tym momencie już mieszkamy gościnnie u stryja koło Poniewieża. Wywiezieni nie znają naszego nowego adresu. Piszemy na ich stary adres po osiedleniu się w Polsce, jakiś czas nie mamy środków na paczkę. Po śmierci Stalina sytuacja materialna oraz prawna ludności Syberii poprawiają się.

Jolanta (matka), Wladas i Aldona wracają około 1956 roku na Litwę. Irena zaś decyduje się na zostanie tam, w końcu pracuje na Syberii w tajdze, jako leśniczy. Ze zdziwieniem dowiadujemy się, iż ciocia Jolanta nie jest zadowolona z warunków, jakie zastała na Litwie i tym razem dobrowolnie wraca na Syberię a tam po kilku latach umiera na raka. Wladas żeni się z Rosjanką, która po przyjeździe na Litwę, po pewnym czasie go zostawia by wrócić do Rosji, a sam Wladas mieszka teraz w Rokiszkis. Aldona wychodzi za Litwina kowala i dziś mieszka w Oniszkis, 12 km od Eikiniszek..

Rodzeństwo Stasiulisów odzyskuje swoje 50 ha ziemi. W ciągu 15 lat pozostawione przez nich zabudowania zostały zlikwidowane. Nie decydują się na nowo budować oraz gospodarzyć, oddają ziemię w dzierżawę kooperatywie, która wyłoniła się na bazie kolchozu. Kooperatywa ma ułatwiony start w 1990 roku po przejęciu zabudowań wraz z kolchozowymi rolniczymi maszynami. A rodzeństwo oprócz swoich osobistych dochodów otrzymują jakieś dodatkowe fundusze z dzierżawy. Swoją cioteczną siostrę odwiedzam niespodziewanie w 2002 roku. Nie znałem jej adresu, lecz w kooperatywie go zdobywam. Mieszka w przyzwoitym murowanym jednorodzinny domu. Nie wiem dlaczego, tymczasem nie odczuwam serdeczności w czasie 2 godzinnych odwiedzin, przecież nie widzieliśmy się 62 lata! Może trudności językowe były pewną przeszkodą. Przed wojną rozmawialiśmy po litewsku. Ja ten język zapomniałem, a ona rozmawiała płynnie w tym języku oraz dodatkowo po rosyjsku. Ja z kolei rosyjski w potocznej formie znam słabo. Późniejsza korespondencja urwała się, przestała odpisywać. Podejrzewam, że może chodzić o jakieś wpływy z dzierżawienia ziemi. Może z naszej części też coś mają? Być może nieludzkie traktowanie jakich doznała, odcisnęło swoje piętno na jej charakterze. Z jej relacji wynikało, że wszędzie wietrzy podstęp działający na jej niekorzyść.

Natomiast nasze rodzeństwo nie usiłuje dochodzić takich praw do tam zostawionej ziemi, chociaż do tej pory te 60 ha w postaci dokumentów, posiadamy. Część naszej rodziny mieszka w Kownie oraz w Wilnie. Żona mojego krewnego Juliusza po dziadkach odziedzicza ziemię w Pandelys (12 km od Eikiniszek). Toczyli boje o zwrot tej ziemi, a biurokraci, jak pisze, robią wszystko, żeby tej ziemi jego

żona nie otrzymała. W końcu wygrała i przekazała tę ziemię miastu jako darowiznę. Władze miasta utworzyły tam park. W świetle tego przykładu nie wydaje się realne odzyskanie naszego majątku, w końcu ona mieszka na Litwie i jest Litwiną, a mimo to miała takie trudności.

6. JAK NAM SIĘ ŻYŁO NA LITWIE?

Dzieje majątku Eikiniszki pisałem wyżej. Tu powtórzę istotne fragmenty związane z sytuacją materialną w jakiej rodzinie Małachowskich przyszło egzystować. Jak już wspomniałem, w okresie 1 WŚ tudzież po jej zakończeniu, do 1930 roku w Eikiniszkach był jeden dwór, właścicielką była moja babcia Łucja Kossarska. Dwór wówczas jest w trudnej sytuacji gospodarczej, bowiem ciąży na nim zadłużenie i jest w wyniku działań wojennych ogołocony z inwentarza oraz narzędzi. Właściciele uciekli w głąb Rosji. Gdy moi rodzice obejmują w 1930 roku gospodarstwo, mój ojciec Michał ma zaledwie 22 lata a Wanda 20 i żadnego doświadczenia w prowadzeniu, w końcu niemałego gospodarstwa wiejskiego 65 ha oraz dzierżawią 30 ha młodszej niezamężnej siostry. Mojej mamy starsza siostra Jolanta wychodzi za mąż za komendanta straży granicznej. Oni w odległości 500 m budują drugi dworek oraz otrzymują 50 ha ziemi. Żeby obraz utrudnień był pełniejszy, należy zaznaczyć, że ponadto w spadku otrzymują do spłacenia nagromadzone spore długi. One powstały w czasie 1 WŚ oraz po niej. Co to znaczy, wiedzą obecnie ci, co zaciągają większe długoterminowe kredyty w bankach, na przykład na spłatę mieszkania. W tym przypadku jednak spłaca się coś, co się aktualnie nabywa, tymczasem spłacanie długów zadłużonego gospodarstwa już jest zupełnie inną parą kaloszy. Babcia po kądzieli wówczas jest wdową od zakończenia WŚ. Ponadto jest chorowita, mimo to, zamiast spłacać długi wołała, zresztą słusznie, wszystkie trzy swoje córki kształcić w odległym o 70 km Poniewieżu. One kończą polskie gimnazjum w tym mieście w 1930 roku, wówczas to jest średnie wykształcenie, z maturą, nie było liceum. Moi rodzice spłacają dług majątku aż do 1943 roku. Dlatego poziom naszego życia określiłbym, jako niski. Mówiło się u nas, o lepszej sytuacji ekonomicznej gospodarujących na naszej byłej ziemi niektórych sąsiadach - litewskich chłopach, np. Szakonas. A za granicą Łotyszom jeszcze lepiej się powodzi

(nasza ziemia przylegała do granicy z Łotwą). Ta sytuacja nie jest związana z małymi wpływami z gospodarstwa, lecz z konieczności spłaty zadłużenia oraz inwestycji związanych z inwentarzem i narzędziami. Okoliczni chłopci to wszystko posiadali, bowiem w czasie wojny nie opuszczali swoich gospodarstw. Po pewnym czasie przychody gospodarstwa w sumie stają się niemałe. Spore wpływy wiążą się z produkcją zboża, ziemniaków, hodowli bydła oraz trzody chlewnej. Codzienne odstawianie znacznej ilości mleka do mleczarni też daje regularne dochody. Sytuacja materialna Stasiulisów jest lepsza od naszej, żyją na wyższym poziomie, mieli ładnie umeblowany, czysty drewniany dom, zabłoconym dzieciom wstęp do wnętrza ich domu był zakazany. To dotyczyło nie tylko nas, lecz ich własnych dzieci także. Przedtem należało się umyć, zwłaszcza nogi. Gdy już aura zmuszała noszenia obuwia, wystarczyło je przed wejściem zdjąć. Stasiulis wówczas ma pensję naczelnika straży granicznej i jakoś się udaje mu wykręcać od spłaty długów, a ich wysokość jest porównywalna do naszych i nie jest anulowana. Permanentnie jego spłaty są odraczane. On nie bardzo dba o gospodarstwo – może miał zamiar je sprzedać i wyjechać do miasta.

Co by za dobrze im nie było, sielanka się skończyła z chwilą wywózki na Sybir. Gdy ojciec w czasie wojny kończy spłacanie swoich długów, zaczyna spłacać długi Stasiulisa. Liczy na ich powrót, to przynajmniej nie będą zadłużeni. Oczywiście nie przewiduje, że w tym czasie spłacanie swoich oraz jego długów jest pozbawione sensu.



Od lewej: Łucja Kossarska, jej siostra a moja mama Wanda i mój ojciec Michał. Rok 1932, Eikiniszki w szuwarach jeziora. Mimo kłopotów humor dopisuje.

W początkowym okresie znaczącą rolę w uruchomieniu produkcji rolnej naszego gospodarstwa oraz w szkoleniu młodego małżeństwa w zakresie właściwego prowadzenia czynności gospodarczych i wychowaniu dzieci odgrywa matka mego ojca Anna (Ona) Małachowska, Jej zasługi są wprost bezcenne – wspominamy Jej wskazania później przez lata oraz z nich korzystamy. Wszelako niestety, wyjeżdża jeszcze przed wojną do Kowna do córki Ireny, która potrzebuje jej wsparcia ze względu na narodziny Andrzeja, wnuka Anny.

Jak wspominam warunki życia na Litwie? Wydaje się, że w tamtym, przedwojennym okresie w Polsce było nie inaczej. Pokazując raczej prymitywne warunki, w jakich w tamtym momencie egzystujemy, należy widzieć dobre strony tego okresu życia naszej rodziny, także. Nie ma potrzeby abym przekonywał, że w ówczesnych warunkach praca na roli była wyczerpująca fizycznie, zwłaszcza w tamtym niezmechanizowanym okresie. Nasza rodzina z tą niemiłą stroną rolnictwa się styka dopiero po przyjeździe do Polski i objęciu 8 hektarowego gospodarstwa na Warmii. Natomiast na Litwie nasza rodzina posiada do obróbki aż 90 ha, niemało domowych zwierząt. Dzięki zatrudnionym pracownikom, osobiście niewiele

pracujemy fizycznie! Warunki życia, owszem, są prymitywne, podobnie jak w tym czasie w Polsce zresztą, lecz żywność raczej ekologiczna, własna, sprawdzona. Nawet podstawowy chleb był wypiekany w okazałym piecu z własnej mąki. Dzieci uczęszczają do szkół, nie tak jak w innych, sporo mniejszych gospodarstwach, gdzie muszą pracować wraz z rodzicami na roli. Tych ostatnich warunków częściowo doświadczamy dopiero na Warmii, gdzie mimo to nie rezygnujemy z kształcenia się. Od tej chwili zajmę się przedstawieniem w bardziej drobiazgowy sposób, warunków życia naszej rodziny na Litwie.

Posiłki

Jak wspominałam, na naszych stołach prawie wyłącznie leżą produkty, które wytwarzamy własnymi metodami. Niemal nic nie kupujemy do posiłków. Trzy produkty oraz ich przetwory pod różną postacią goszczą na naszych stołach codziennie, są to: mleko, na miejscu wypiekany chleb i ziemniaki. Ziemniaki są wtedy produktem codziennie goszczącym na naszych stołach. W różnych postaciach: gotowane, smażone, czy po starciu w postaci placków z dodatkiem mąki. Przypominam smażone placki, które spożywaliśmy z gorącą kapustą ze skwarkami. Oprócz tych produktów z naszej 'farmy' wymieniłbym, także jajka, masło, sery, zbożowe produkty z mąki z własnego ziarna po zmieleniu w młynie. Ziarno wieźliśmy do autentycznego wiatraka (podobnego do tego, z którym walczył don Kichot) – w tamtym momencie musiała być pogoda wietrzna, żeby młyn mógł pracować!

Niemal codziennym rarytasem dla dzieci było gogel-mogel. To chyba dla dzieci jest pożądane. Z jajka wykluwa się żywy kurczak, a więc ono zawiera wszystkie składniki niezbędne do funkcjonowania żywego organizmu. Masło było wytwarzane na miejscu. Do tego służy wówczas urządzenie w postaci wysokiej i wąskiej drewnianej beczułki napełnianej śmietaną, którą należało ubijać kijkiem z zakończeniem przypominającym narciarskie kijki. Wykonuje się nim pionowe ruchy. Po pewnym czasie tego ubijania wytwarza się masło. W poniemieckim gospodarstwie zostawione takie narzędzie ma bardziej zmechanizowaną postać. Beczółka była szeroka, a ubijanie polegało na kręceniu korbką, co wywołało obracanie się wirnika wewnątrz napełnionego śmietaną naczynia. To wymagało

mniejszego wysiłku, ponadto wytwarzało się jednorazowo szybciej większą ilość masła. Jako produkt uboczny, wytwarza się przy tym dodatkowo maślanka. Często mamy wyjątkowo sycącą i smaczną jajecznicę, smażoną ze sporą ilością skwarek. Tak, kurze jajka odgrywały w sumie znaczącą rolę w naszym odżywianiu.

Do dodatkowych produktów zaliczyłbym różne kasze oraz oczywiście mięso oraz jego przetwory np. w postaci słoniny (boczk), mamy zawsze własną szynkę i kielbasę. Większość produktów mięsnych była wędzona względnie solona. Nie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego na Litwie, zarówno w Polsce mięsne produkty żywnościowe są w zasadzie oparte na wieprzowinie. Patrząc przez pryzmat zarówno robocizny jak i kosztów lepiej się opłaca produkcja wołowiny. Świniom należy dostarczyć trzykrotnie w ciągu dnia specjalnie przygotowane pożywienie. Jest to pracochłonne oraz kosztowne. Jałówki czy byczki same się pasą. Wystarczy jednokrotnie wykonać ogrodzenia areалу, na którym rosną odpowiednie rośliny i gdzie się pasą zwierzęta.

Oto przykład naszego dziennego menu. Co drugi dzień na śniadanie ręcznie wytwarzane zacierki, jeśli komuś ta nazwa nic nie mówi to wyjaśniam, że z dzisiejszych potraw zacierki przypominają makaron (być może 6-cio jajeczny) zalany gorącym mlekiem. Zatem, rolę makaronu spełniały ręcznie wyrabiane małe kluseczki na mące z jajami oraz wodą. To jest potrawa mleczna. Po przyjeździe do Polski spotkaliśmy przykłady wytwarzania przez wiejskie pracowite gospodynie makaronu. Okazało się, że wystarczy ciasto tak długo wałkiem obrabiać, aż stanie się bardzo cienkie. Następnie go ostrym nożem pokroić w wąskie paski i po ptokach! Skoro jesteśmy przy mleku, to należy wymienić różne produkty otrzymywane w warunkach wiejskich z tego surowca. żeby wymienić podstawowe to mamy śmietanę, masło, twaróg czy ser uzyskany po sprasowaniu sera między dwoma deskami. Maślanka jest latem dobrym napojem orzeźwiający. Jednocześnie, w przypadku jej nadprodukcji, można ją dodać do pożywienia świń, zwłaszcza zimą. Na śniadanie a także na kolację do zbożowej kawy względnie kakao mamy wypiekany w domu chleb spożywany z serem, dżemem, wędliną.

Na obiad zupa jarzynowa z kawałkami mięsa, względnie grochówka, bez drugiego dania. Na deser ciasto lub pyszny kisiel. Ta potrawa była przygotowywana na bazie

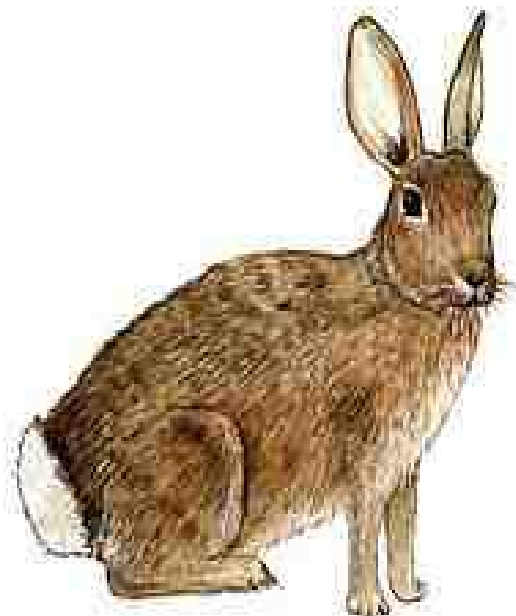
zurawin bądź latem z wiśni. Na kolację zsiadłe mleko z gorącymi ziemniakami, względnie kaszą obficie okraszonymi skwarkami z boczku oraz wytopionym ze słoniny tłuszczem. Z ziemniakami także kojarzą się mnie pracołonne placki ziemniaczane. Wytwarzano też sałatki z pokrojonych ogórków, jajek, gotowanej fasoli oraz grochu, zamiast majonezu gęsta śmietana. Jest też podwieczerek. Słodkie ciasta także były na naszych stołach, zwłaszcza w okresie świąt. Żeby nie zwiększać ilości stron pamiętnika poświęconych tematom kulinarnym, pomijam temat ciast.

Zresztą, także w czasie naszego pobytu na Warmii menu zbytnio nie odbiegało od litewskiego, z tą różnicą, że podstawa wyżywienia, czyli chleb nie był wypiekany w domu, a kupowany w odległej od nas o 3 km piekarni. Wracając do tamtych czasów, przypominam okazałe beczki wypełnione kiszoną kapustą lub ogórkami – wystarczały na całą zimę! Przed zimą kilka beczek z tymi warzywami kiszono. Z tego co pamiętam, w dniach szatkowania kapusty oraz jej upychania do beczek, wszyscy mieli pełne ręce roboty. Kapusta nie była ubijana w beczkach przez bosc dziewczki, lecz ciężkim drewnianym ubijakiem to się robiło.

Zazwyczaj na okres zimowy zostaje wraz z nami jedna służąca ze swoją rodziną z dzieckiem – małą dziewczynką, która pewnego razu zachorowała na zapalenie opon mózgowych i zmarła, niestety. W okresie letnim pracy, a co za tym idzie, także służby jest więcej, to przekładało się na zwiększone problemy żywieniowe. Pamiętne były święta zwłaszcza Bożego Narodzenia. Wówczas przygotowuje się więcej potraw, bez alkoholu. Karpie w tej okolicy nie ma, ratuje sytuację ojciec – w przeręblach potrafi złowić kilka karasi. To jest nad wyraz dobra w smaku ryba, z kształtu karpia przypomina, lecz zwykle kilkakrotnie od niego mniejsza. Do wigilijnego stołu przed wojną zazwyczaj zasiadamy wspólnie ze Stasiulisami, a w czasie wojny wraz z rodziną stryja Jana. Oni zamieszkują wtedy w posiadłości Stasiulisów. Dla dzieci najważniejsze są prezenty, o tym każdy wie. Czasem przychodzi św. Mikołaj, wówczas nasz tata znika na pewien czas. Nieraz jednak rodzice nam tłumaczą niemożność odwiedzeń Mikołaja trudnymi warunkami na dworze, ale niechybnie przybędzie w nocy. Wówczas prezenty się znajdowało rankiem w pończochach. Oczywiście, obowiązkowo stoi niemała pachnąca jodłowa

choinka, pięknie przez nas wszystkich strojona. Najbardziej nas interesują wiszące na niej długie cukierki, zawinięte w kolorowe papierki. Po świętach pozwolono je schrupać.

Na okres jesieni oraz zimy żywność jest przechowywana w swironie (solidny budynek murowany z kamieni, przechowywano tam zboże, czyli spichrz, taką nazwę



Pierwszy zając drugi królik

też napotkałem w życiorysie Adama Mickiewicza, gdzie na zdjęciu ich dworu jest też swironek), który jest zamykany na dużą kłódkę. Kłódka była częściową ochroną przed kradzieżą cennych wędzonych szynek i kielbas. Jest to jedyny budynek, który ocalał i stoi w całej okazałości, aczkolwiek nie używany, bez drzwi – po nim zlokalizowałem nasze siedlisko. Obecnie zaliczony do zabytków. Prowadziliśmy dodatkowo hodowlę drobiu oraz królików. Było, zatem mięso oraz jaja, lecz nie mam wątpliwości, że kur mogłoby tam być więcej, niestety w obliczu sprzeciwu mego ojca, było ich nie więcej jak jakieś 2 tuziny. Ojciec był zdania, że drób zjada znaczące ilości zboża przez okrągły rok, które należało sprzedać, żeby mieć kasę na służbę, własne potrzeby oraz spłatę zadłużenia. Pamiętam stadka gęsi oraz kaczek, które korzystały ze stawu. Może też w tej niechęci mego ojca odegrały poprzednie z opłakanymi skutkami próby jego ojca zrobienia interesu na hodowli drobiu. Tę przyczynę bym zaliczył do kategorii psychicznych. Wszystkim wbiło się do pamięci

straty związane z prowadzoną przez mego dziadka hodowlą stada złożonego z około 100 gęsi.

Dziadek był pod wpływem udanych transakcji w hodowli gęsi w obszarach ówczesnych ziem litewskich i polskich. Przed 1 W.Ś. także po jej zakończeniu, szacuje się, że sam eksport gęsi wynosił 1,5 miliona sztuk. Mocno uproszczona opowieść o tym przedsięwzięciu wygląda następująco. Po czym jak gęsi dorosły do sprzedaży należało je utuczyć i przetransportować do punktu skupu. Wszelako, takiej ilości mój dziadek Jan Małachowski nie był w stanie wozem przewieźć 15 km do miasta. Żeby zaoszczędzić na robieniu klatek niezbędnych do transportowania gęsi, zatrudnił służbę do pędzenia tego stada 'na piechotę'. Wyglądało to na niezły oszczędnościowy pomysł, z tym, że gęsi takiego marszu (mając krótkie nogi) nie mogły wytrzymać. W jednym dniu nie mogły pokonać takiej odległości bez odżywiania się i picia w dodatku. W drodze część zaczęła odmawiać dalszego marszu, część ginęła z wyczerpania. Do celu dotarli nieliczne, w dodatku były w opłakanym stanie, z trudem się poruszały, sprzedano je po znacząco niższej cenie. Wszystkim stało się zrozumiałe, że nie tak ten transport należało wykonać. Cóż, jednak należało się nie lenić, ale wykonać ponad 10 sztywnych klatek. W nich gęsi przetransportować. Może 2 wozy by wystarczyły. Tak czynią hodowcy drobiu, jeśli często mają do przewiezienia te ptaki. Najpewniejsze jednak jest dostarczenie do miasta ptaków uśmierconych i oskubanych. Łatwiejszy jest transport. Jednorazowy biznes dziadka nie przewidywał takich inwestycji. To była wersja przebiegu wydarzenia przyjęta i modyfikowana przez krewnych bez konsultacji z dziadkiem. Wszelako dziadek podczas swego pobytu w Polsce, tę historię mnie przedstawił następująco.

- Miałem na głowie majątek o znacznym areale około 1000 ha. Z tej historyjki wynika wniosek taki, że nic nie robiłem tylko gęsi hodowałem. W rzeczywistości należało zakontraktować w różnych firmach różne uprawy no i planować hodowlę inwentarza. Dużo czasu spędzałem w mieście. Banki, pożyczki, spłata weksli, giełda, zabiegałem o kontrakty na zasiewy, trzodę chlewną, rogaciznę – to moje pole działania. O poszczególne sprawy w majątku dbali pod rygorem odpowiedzialności, różni najemni ludzie. Byli od trzody chlewnej, od rogacizny, od Inu, konopi, różnego

zboża. To byli specjaliści w swoich zadaniach. Temu od gęsi (nowicjusz w tym fachu) poleciłem zakup młodych, karmienie i sprzedaż w mieście. Sam tym się nie zajmowałem. Muszę przyznać, że on poprzednio takiego dość skomplikowanego zadania nie miał do wykonania. Po przyjęciu tego zajęcia, niczym innym się nie zajmował. Miał dużo czasu do zaplanowania etapu hodowli gęsi, ich transportu i sprzedaży. Końcowy etap okazał się żalospny. Ktoś powiedział, że prawdziwy męszczyna jest ten który dobrze kończy. Dziadek mi mówił, że często zatrudnieni ludzie popełniali jakieś błędy. Zwłaszcza, gdy coś wykonywali po raz pierwszy. Jakiś mądry ekonomista stwierdził, co następuje: 'skoro jakieś przedsięwzięcie ma jakąś szansę niepowodzenia, to na bank się nie uda'. Proszę ocenić, czy to przedsięwzięcie dziadka miało szansę niepowodzenia. Doprawdy, nie wiem.

Dodatkowa uwaga. To się działo w okresie tuż po I WŚ. Wówczas nie traktowano



zwierząt jak obecnie. To były coś w rodzaju przedmiotów. Nie litowano się nad cierpiącymi zwierzętami. Wyobrażam sobie jaki raban by podnieśli współcześni obrońcy zwierząt na widok staniających się z wyczerpania wędrujących po drodze gęsi. Wówczas to była w sumie tylko strata na skutek nie

przemyślanego działania i tyle.

Gęsi mego dziadka (mogłyby być jego).

Znacie powiedzenie „wyszedł na tym jak Zablocki na mydle”. Nasunęła się mi pewna analogia do przygody dziadka. Otóż ów Zablocki wyprodukował mydło, umieścił je w szczelnych wg niego drewnianych pudłach, zamiast przetransportować to drogą ladową, spławiał te pudła rzeką. Jednak długie namoczenie pudeł skutkowało przedarciem się wody do ich wnętrza i stopniowy zanik towaru. Analogicznie jak zmniejszanie się stada gęsi.

Jak wynika z tych zapisków, żywiliśmy się produktami wytwarzanymi w tym kraju. Natomiast mogę wymienić dwa produkty, które były w powszechnym użyciu, lecz nie mogły być produkowane na Litwie. Były to kakao, nafta niezbędna do oświetlenia oraz mniejsze ilości innych produktów. W te produkty były zaopatrzone sklepy prowadzone przez Żydów, którzy sprowadzali je na Litwę tylko dla siebie znanym sposobem. W składzie naszego pożywienia znaczącą rolę odgrywała fasola i groch oraz inne warzywa. Grochówkę wraz z kawałkami kiełbasy i boczku jeszcze dziś mile wspominam. Niestety, moja żona nie ma ochoty grochówki przyrządzać. Zamiast tego rodzaju zupy, woli ugotować zupę z soczewicą, czasami też z fasolą. Soczewicowa zupa przypomina nieco grochówkę.

Pokaźną rolę w posiłkach odgrywają także bliny wytwarzane zarówno z mąki jak i ziemniaków, które zimowały w specjalnym, oddzielnym, głęboko wykopanym budynku, na strychu, którego buszowały króliki. Oczywiście bliny spożywamy wraz z różnymi dodatkami (sery, dżemy itp.). Produkty, jak z tego wynika, są zdrowe. Gazu, prądu, węgla nie ma. Obiady spożywamy wspólnie ze służbą, jemy to samo, dlatego być może obiady nie są specjalnie wykwitne. Kosztują mniej. Jak wspomniałem był wprawdzie drób - kury, gęsi, kaczki, to porcje byłyby znikome, przez wzgląd na konieczność dzielenia na przykład gęsi na stosunkowo dużą ilość ludzi. Na co dzień drób zostawialiśmy w spokoju. Za to spożywaliśmy drób w czasie świąt. To był świąteczny posiłek. Służba przebywała wówczas w gronie swoich rodzin na wsi. My sami mogliśmy się rozkoszować świątecznym posiłkiem na przykład w postaci pieczonej kaczki względnie gęsi, palce lizać. Może takie rozwiązanie wygląda na samolubne? Być może, nie mam zamiaru zaprzeczać. Z drugiej strony służba w okresie świąt w swoich domach też przyrządzała lepsze posiłki.

W dniu powszednim kucharka zazwyczaj gotuje główny posiłek w bardzo dużym garnku. Tam jest zupa, często grochówka, kapuśniak na jakiejś kaszy z ziemniakami, dość gęsta z kawałkami mięsa czy kiełbasy. Drugiego dania nie przyrządza się. Służba zwykle zjada po 2 lub 3 talerze tej zupy. Nasz stały parobek, specjalista od orki, Paukztelis (ptaszek) koszmarne siorbie, dzieci z niego się nabijają, krzyczymy:

- trzymajcie się dzieci, bo on nas wciągnie razem z zupą.

Nam to była zabawa, ale dorośli... Inne posiłki jemy oddzielnie, - bowiem różne są pory wstawiania i kładzenia się mieszkańców dworku. Makaronu ani ryżu nie znaleźliśmy. Chleb czy ciasta są wypiekane w domu. Z leśnych jagód, malin czy żurawiny robiono pyszne konfitury, pasowały do mleka, naleśników. Często mamy gorące ziemniaki z zsiadłym mlekiem, to jest dobre zwłaszcza latem. Przy okazji czy wiecie, w Anglii nie znają zsiadłego mleka, według nich to mleko jest zepsute, nadające się wyłącznie do wylania do zlewu. Z tego co pamiętam, uprawialiśmy sporo warzyw: kapusty, pomidorów, ogórków, marchwi, pietruszki itp. Niektóre warzywa poznaliśmy dopiero w Polsce np. pory, selery, papryki. Przy okazji kapusta nie była w czasie rośnięcia opryskiwana, a mimo to bez gąsienic. Na swojej działce pod Płońskiem raz spróbowałem kapustę uprawiać, a skutek tego był opłakany - gąsienice ją doszczętnie skonsumowały. Tymczasem ogromne pola kapusty u rolników nie są niepokojone przez motyle i gąsienice. Jest dla nich toksyczna. Ludzie natomiast wszystko zjedzą. Pomidory i ogórki były wówczas (również na Warmii) zdrowe, nie było mowy o opryskiwaniu jak to jest konieczne dziś. Z nich robiono zapasy na zimę. Po przyjeździe na Warmię dziwiliśmy się, sąsiadom, chłopom z Mazowsza oprócz kapusty, buraków, marchwi niemal nic nie uprawiają z warzyw, od nas się tego uczyli. wszelako z oporami, wszak w końcu mieli inne nawyki żywieniowe.

Nasza okolica na Warmii tuż po wojnie nie była zelektryfikowana, zatem takie urządzenia jak lodówki nie były znane. Nie powiem nic odkrywczego, jeżeli zaznaczę, że w obecnych czasach każda awaria lodówki jest dla rodziny katastrofą. Tymczasem wówczas takich katastrof nie było. To jest przykład porzekadła 'dusza nie boli czego oczy nie widzą'. Wobec braku lodówki, nieodzowna była wędzarnia. Była to zwykła przybudówka do budynku większego, wykonana z grubych belek,



szczelnie do siebie przylegających. Wewnątrz wędzarni specjaliści od tych konstrukcji, wykonywali coś w rodzaju pieca, wytwarzającego dym, który nie ulatywał przez komin, lecz wypełniał wnętrze tego budyneczku.

Tak wędzone produkty żywnościowe były trwałe.

Wnętrze wędzarni miało konstrukcję odpowiednich drewnianych prętów, na których się wieszało szynki, boczek, kielbasy. Wszystkie te specjały po pewnym czasie zmieniały swoją barwę i co jest istotne, w przypadku zastosowania odpowiedniego drzewa jako źródła dymu, ich walory smakowe polepszały się. Ich trwałość się wydłużała również. Nie było potrzeby intensywnego solenia.

Piło się na Litwie zwykle mleko, kawę zbożową, kakao (to musieli importować), mleko zsiadłe (częste w użyciu np. z ziemniakami, jak wspomniałem), kompoty, napoje z soków, wodę ze studni a równocześnie wyjątkowo tam popularny kwas chlebowy. Nigdy herbatę czy kawę naturalną. To przyzwyczajenie moja Mama Wanda (Dziunia) przeniosła do Polski, nigdy herbaty czy kawy u Niej nie było. Skoro jestem przy temacie picie, to muszę też opisać picie alkoholowych wyrobów. Nie przypominam, aby w zasięgu moich rąk było coś kupionego z tego towaru. Ani wina, ani wódek z kolorowymi nalepkami nie widziałem. Widywało się jednak w sobotnie wieczory podpiętych, względnie wręcz kompletnie pijanych wieśniaków. W końcu w każdej okolicy tego kraju napotykało się wieśniaków wtajemniczonych w niuansy technologii produkcji bimbrowy. Czyniono to ze zboża nie z ziemniaków. W Polsce oba surowce były a może i dalej są stosowane.

Z ulubionymi przez dzieci słodyczami jest w tamtych czasach raczej marnie. Najbliższy sklep w odległości 7 km. Może to ratowało, częściowo przynajmniej, nasze zęby. Cukierki zastępujemy 'gogiel-moglem'. Jajek i cukru nie brakuje. Mankamentem tego przysmaku, jest konieczność trudnego starcia tej mieszaniny. Ojciec spłaca długi majątku regularnie, nie tak jak Stasiulis, w końcu ówczesne władze litewskie skonfliktowane z Polską, nie żartują, tylko czyhają na to, żeby ten polski majątek zlicytować. Nie dotyczy to Litwinów. Do spłacenia długu trzeba mieć lity, ówczesna stabilna waluta litewska, podobnie jak przedwojenny polski złoty. Banki często wyrażały zgodę na spłatę zadłużenia produktami rolnymi. Także wynagrodzenie najemnym pracownikom, ojciec rzadko uiszcział w gotówce. Zatem,

na pierwszy rzut oka wydaje się, jeśli się posiada wystarczająco wielki aerał ziemi, to można żyć całkiem znośnie. Służba w pocie czoła pracuje, właściciel tylko tym zarządza, nie brudząc rąk. Część zebranych płodów idzie na wynagrodzenia, a pozostała do nieprzepracującego się właściciela. Być może tak to wyglądało w wielu posiadłościach, aczkolwiek ojciec do takiego etapu nie zdążył dotrzeć wobec długów do spłacenia oraz wojny. Miał na to tylko 14 lat.

Raczej rzadko są kupowane inne towary spożywcze, różne od tych które się wytwarza na wsi. Ponadto, mamy wówczas 2, 3 ule – miodu nie brakuje także. Czyli dosłownie rzecz biorąc, mieszkamy w krainie mlekiem i miodem płynącej. Ale jak wiadomo, to nie wystarcza. Pszczoły przeżywały zimę, mimo braku dokarmiania i leczenia. Marny los ich spotyka z chwilą nadejścia Rosjan w 1944. Wojska niemieckie i ich sojusznicy przemaszerowały przez naszą miejscowość tam i z powrotem a ulami się nie zainteresowały. Tymczasem pierwsi bolszewicy, którzy do nas wpadają, ku naszej bezsilnej rozpaczce podpalają te ule i zjadają miód razem z woskiem niszcząc roje. Obawiamy się, że nie tylko u nas to czynią, widać było wprawę. Zastanawiające jest brak reakcji dowództwa, niewątpliwie to jest zwykły niszczący rabunek w kraju, który należy do Związku Radzieckiego. W głębi Rosji, na przykład koło Smoleńska też tak rabowali? Barbarzyństwo! Jeden sezon bez miodu, wszak za rok wyjeżdżaliśmy, nie było za bardzo, czego żałować. Drogi czytelniku! No to skoro oni tak postępowali tu i tam i gdzie indziej, to należy się dziwić, że jakieś pasieki wzdłuż ich zwycięskiego pochodu dzisiaj istnieją. A ponieważ wszędzie maszerowali, to spustoszenia musiały być ogromne.



Tak wówczas wyglądały ule w sadzie

Zimą służby było mało, późną jesienią część zwalniano. Jak wspomniałem, w sumie zostawała jedna rodzina służąca. Mieli oni mnóstwo pracy. Wymieniłbym dwukrotne dojenie około 20 krów, podawanie bydłu i koniom głównie siana. Zanim

jeziro zamarzło, inwentarz sam pił, gdy nadchodzi zima, już nie jest tak łatwo. Wówczas dla nich wodę trzeba wyciągać ze studni żurawiem i nosić ją do zwierząt, lub je przyprowadzać do studni.. Dla trzody chlewnej należało ugotować ziemniaki. Służba także zajmowała się utrzymywaniem czystości i pracami w kuchni. Niewątpliwie w czasach dzisiejszych tacy pracownicy mocno protestowaliby. Jednak oprócz wynagrodzenia mieli mieszkanie wraz z wyżywieniem. Z tego powodu zatrudnienie takich osób nie jest zbyt kosztowne. Na wiosnę są zatrudniane dodatkowe kobiety i mężczyźni do prac polowych, aż do jesieni. W tych miesiącach jest wyjątkowo gwaro, krzyżują się polecenia, pytania, reprimendy, płacz i krzyki dzieci, w sumie harmider nieopisany. Bez żadnej przesady, ręczne dojenie krów jest czaso i pracochłonne, jak wspomniałem, zwykle mamy ich około 20 sztuk. Tym się zajmowały służące. Mleko daje regularny dochód przez cały rok w postaci gotówki. Jest odwożone codziennie do mleczarni. Doprawdy, wynalazcy urządzeń elektrycznych do dojenia krów należy przyznać jakąś prestiżową nagrodę. Nobla w dziedzinach podobnych do tej, nie przyznaje się niestety.

Uroczyście świętowaliśmy Boże Narodzenie i Wielkanoc. Dla dzieci, jak wszędzie zresztą było wiele radości, wszelako u nas służba wówczas znikła do swoich domów, czy krewnych. Nie było zmiłuj, rodzice a zwłaszcza nasza Mama musieli brać się do pracy. My dzieci tych niedogodności świątecznych nie odczuwaliśmy. W okolicy były prawdziwe artystki w rzeźbieniu jajek na Wielkanoc, co pokazuje zdjęcie. Oczywiście, wykonane nie w ówczesnych czasach, lecz aktualne na Litwie.



Na koniec tematu związanego z żywieniem, nie mógłbym pominąć znanej nie tylko na Litwie potrawy – kołduny litewskie. Tymczasem przygotowanie tej potrawy to nie przelewki, wobec tego rzadko ją widywaliśmy na stole. Wspomniana wyżej, moja babcia po mieczu Anna (Ona) Małachowska umiała je wykonać jak należy. Na pożegnanie, gdy opuszczała Eikiniszki, żeby na resztę swego życia zamieszkać u

swojej córki w Kownie, wykonała dla nas tę potrawę. Składników wówczas wykonanych kołdunów nie pamiętam, jedynie w pamięci utkwiła tragiczna śmierć barana – niezbędna dla udanego dzieła. Przytaczam tu składniki i sposób wykonania kołduna: Kołduny litewskie – składniki na podstawie wiarygodnych przepisów:

- po 20 dag pieczeni baraniej i [połudwicy wołowej](#)
- 1 [cebula](#)
- 1 łyżka [masła](#)
- 2 łyżki [bulionu](#)
- sól
- [pieprz](#)
- 1 łyżeczka [majeranku](#)

Ciasto:

- 20 dag [mąki](#)
- [jajko](#)
- [woda](#)
- sól

Kołduny litewskie - sposób przygotowania: Mięso oczyść i drobniutko posiekaj. Cebulę obierz, posiekaj, zetrzyj na tarce. Przelej wrzącą wodą, osącz. Na patelni rozgrzej masło, podsmaż cebulę i dodaj ją do mięsa. Masę przypraw porządnie solą i pieprzem, wymieszaj z majerankiem i bulionem. Wyrabiaj tak długo, aż będzie jednolita i elastyczna, niezbyt ścisła, ale też i nie płynna. Zagnieć ciasto pierogowe z mąki, jajek, szczypty soli i odpowiedniej ilości ciepłej wody. Rozwałkuj je cieniutko, wykrój małą szklaneczką krążki, pośrodku każdego utóż porcję masy mięsnej. Przygotowane pierożki mocno sklejać, a potem partiami gotuj w osolonej wodzie, aż wypłyną na powierzchnię. Wtedy wyjmij łyżką cedzakową i osącz. Możesz podawać je w rosole lub z cebulką i boczkiem. Jak moja babcia z tym się uporała, doprawdy nie mam pojęcia.

Ubrania

Nawet ubrań mało się kupowało. Z pewnością były wówczas kosztowne, gdyż nie zapomnę widoku zwłaszcza chłopów chodzących w ubraniach pokrytych łatami. W czasach obecnych takiego obrazu się nie widzi, chyba, że w celach dekoracyjnych ktoś łatę przyszyje lub dziurę w portkach wytworzy nie pozwalając mamusi jej załatanie. Możliwości zakupu ubrań istniały, bo Żydzi różne wyroby wozili po wsiach, wymieniając je na produkty rolne. Na przykład, zwykle pytali o skóry zwierząt domowych. Umieeli je wyprawiać, aczkolwiek musiały być w odpowiednim stanie, żeby można je było sprzedać. Jak je wstępnie przygotować chłopci to wiedzieli. Żydzi sprzedawali gotowe kozuchy. Ciekawostką było brak kozuchów o rozmiarach dziecięcych. Wszak jest to sort ludzi najbardziej marznących. Dzieci jednak szybko rosły a kozuch zostawał. Tak postępowano z oszczędnościowych powodów.

Uprawiano len, konopie oraz hodowano owce na wełnę. Kobiety wieczorami, zwłaszcza zimą przędły nici z wełny względnie lnu, które częściowo gdzieś oddawano do warsztatów tkackich. Przy czym mniej skomplikowane części garderoby jak swetry, skarpety, rękawice, szaliki, czapki wytwarzano na miejscu z wełnianych i lnianych nici. Te wyroby farbowano również. Babcia Małachowska była dobrą prządką, potrafiła też nam ciepłe swetry i rękawice wytwarzać.

Buty należało kupować, lub u szewca na miarę zamówić. Nie był stosowany jeden z polskich zwyczajów wiejskich, gdzie latem wierni do kościoła szli niosąc buty, które przed kościołem na stopy naciągano (mimo porzekadła: buty powinny człeka nieść a nie odwrotnie). Skóry na buty na Litwie nie brakowało. Problem był a pewnie wciąż jest z szyciem obuwia. Przy okazji, przypominam uciążliwy ból marznących stóp w okresie zimy. Zwłaszcza w czasie dłuższej jazdy saniami. Jednocześnie nieuniknione są częste niegroźne odmrożenia. Chwila nieuwagi a nos, uszy czy policzek stały się białe. Należało to miejsce natychmiast natrzeć, najlepiej śniegiem! Kozuchy były zimą powszechnym odzieniem, często w wyjątkowo fatalnym stanie, co dowodzi o ich częstym noszeniu. Bez kozucha z reguły trudno było w tamtym czasie przetrwać zimę bez uciążliwych przeziębień lub odmrożeń. Z roku na rok klimat w naszym regionie się ociepla, więc się cieszyć z tego należy. Nam globalne ocieplenie nie szkodzi. Te kraje, którym szkodzi niech z tym zjawiskiem walczą. Może należałoby na ten problem spojrzeć mniej samolubnie? Natomiast nawet

gdyby Polska całkowicie wyeliminowała emisję dwutlenku węgla, to temperatura na Ziemi obniżyłaby się ponoć nie więcej niż jakieś jedną setną stopnia. Bez porównania z USA czy Chinami! Niech oni redukują tę emisję. Jako fizyk, bym nie lekceżył możliwości czerpania bezemisyjnej energii z reakcji termojądrowej. Kiedyś to może nas zbawić. A może coś innego, na przykład wodór?

Na końcu przypomnę powszechny zwyczaj noszenia przez chłopców spodni skróconych powyżej bądź nieco poniżej kolan. Nie tylko latem, lecz także zimą, wówczas dodatkowo grube wełniane pończochy. Szkoła nie szkoła, komunია, czy inne uroczystości, zawsze krótkie spodenki. Obecnie nie widać uczniów podążających do szkoły w krótkich spodenkach. Takiego widoku także nie uświadczysz na ulicy. Natomiast obecnie, w okresie letnim widzimy, co prawda rzadko, dorosłych mężczyzn w krótkich spodenkach, czego przed wojną nie widziało się. Takie sobie odwrócenie mody. W owych czasach wszystkich szokowały widoki w filmach żołnierzy brytyjskich maszerujących w Afryce w krótkich spodenkach. To tyle w temacie spodnie – spodenki.

Oddzielną uwagę poświęcę bardzo niewdzięcznej pracy jaką wówczas było pranie odzieży. W późniejszych czasach pojawiła się pralka, co uczyniło traktowanie prania jako zwykłą domową czynność. Może na świecie zwłaszcza w miastach już te urządzenia były znane, tymczasem jak to wyglądało w ówczesnych warunkach? W okolicy byli ludzie biegli w produkcji mydła, którego podstawowym surowcem był tłuszcz padłych zwierząt. Otrzymywaliśmy mydło w postaci prostokątnych kostek koloru brunatnego. Początkowo pranie gotowało się w dużym garnku, potem do balii z wodą umieszczano się tzw. tarę. Zwykle jedna ze służących w samej koszuli tarła z mydłem o tarę odzież. W celu wysuszenia tak wypraną i wypłukaną odzież i pościel wieszano się na sznurkach obok domu. Prasowanie też było pracochłonne, tak zresztą jak dziś, dodatkowo należało żelazko co pewien czas napełniać żarzącym się węglem. Ta praca była wykonywana zwykle raz w tygodniu. Ile czasu zajmowała? Niewiele się pomylę jeżeli jednej osobie damy na to w sumie cały dzień, przy czym zwalnając ją od innych prac!

Służba zdrowia

Z tym tematem bym powiązał problem higieny. Pewnie mało kto mi uwierzy, tymczasem higiena osobista była wówczas na litewskiej wsi na wyższym poziomie niż na wsi niemieckiej! Stwierdziliśmy ten fakt będąc na Warmii. Otóż przed wojną u Niemców na wsi poziom higieny był niższy niż na Litwie! Na niemieckiej wsi ludzie po wyczerpującym dniu pracy myli się używając do tego celu miednic z wodą. Na Litwie – podobnie. Zarówno na litewskiej jak i w niemieckiej wsi w budynkach nie tworzono toalet. Jestem tego naocznym świadkiem. Tymczasem na wsiach litewskich były budowane łaźnie w postaci oddzielnych budyneczków. Raz w tygodniu ją uruchomiano, wszyscy dokładnie tam się myli. W wysokiej temperaturze w atmosferze pary, można dokładnie się umyć i zrelaksować się, bowiem to trwa parę godzin. Tego urządzenia nie było w poniemieckich wsiach, czego nam po przyjeździe dotkliwie brakowało. Tymczasem tak zwany wychodek, zarówno na Litwie jak i na Warmii, na wiejskich terenach, był budowany z drewna umiejscowiony z dala od budynku mieszkalnego. Było w nim wiadro z wodą oraz papier... gazetowy. Nad wyraz niewygodne rozwiązanie, zwłaszcza zimą.

Skoro o czystości mowa, to nie zawadzi przypomnieć, że naczynia po posiłkach, nawet, gdy były silnie zatłuszczone, nie myło się z użyciem czegoś w rodzaju 'ludwika'. Do tego służyła gorąca woda. Pomyje nie wylewano na dworze, lecz używano, jako ciecz do sporządzania posiłku dla świń. Po ludwiku – nie nadawałaby się do świń.

Niewątpliwie zdecydowanie gorzej wyglądała służba zdrowia, była ona ogromnym problemem zwłaszcza w naszej okolicy. W tym miejscu asekuruję się: jeżeli coś krytykuję, to staram się aby to była krytyka konstruktywna, w tym sensie, że dany problem mógłby zostać rozwiązany przy dobrej woli rządzących. Każda choroba była nieszczęściem dla rodziny. Szpital i prawdziwi lekarze byli w odległym o 25 km Rokiszki. Telefonów nie było, chorego trzeba było wieźć bryczką, po bardzo kiepskich drogach. Mamy wówczas dość komfortową 'kolaskę', pojazd dwukołowy, na resorach, z nastawianym, w razie potrzeby daszkiem. Na szczęście u nas przy pracach nie zanotowano groźnego wypadku. Lecz były inne schorzenia wymagające natychmiastowej interwencji lekarzy.

W okolicy zdarzały się wypadki śmierci dzieci. Mała dziewczynka naszych pracowników zmarła na zapalenie opon mózgowych mimo leczenia w szpitalu. Oprócz tego rodzaju chorób, w obliczu niskiej higieny w zakresie żywienia, niemytych rąk przed posiłkami oraz spożywania niektórych warzyw niedokładnie oczyszczonych z ziemi (jajeczka pasożytów znajdują się w ziemi), prawie wszyscy mieli jakieś pasożyty w jelitach. Zwłaszcza tasiemce. Z czego one są zbudowane, skoro soki trawienne ich się nie imają? Mam wrażenie, z podobnego tworzywa, z jakiego nasze żołądki się składają. Ta dolegliwość przejawiała się w następujący dla wszystkich przejrzysty sposób. Zarażony tym pasożytem człowiek jest osłabiony, bowiem one wczepiają się do ścianek jelit, żywią się krwią.

Takie symptomy dotyczące dzieci nie alarmują rodziców. Mówią: - o dziecko, biega to jest zmęczone i nieco chudnie. W tym momencie radzę czytelnikowi na chwilę odstawić jadło i napoje. Otóż, będąc w wieku 4 lat o mało nie udusiłem się, gdy po zażyciu leku przeciw tym pasożytom, skłębione białe długie robaki hurtem ruszyły przez gardło. Jeszcze dziś pamiętam tęczowe koła, które widziałem dusząc się oraz bezradne łzy mamy kapiące na moją twarz. Ratunku nie było - czekało się biernie, co z tego wyniknie. Pomijając fakt, że telefonu tam nie było, to w tej sytuacji pewnie i lekarz nie wiele mógłby pomóc. Należałoby proces leczenia odpowiednio ustawić od początku kuracji. Może nie powinno się zbyt dużej dawki leku jednorazowo stosować? Jednak będąc z natury dość silny fizycznie jakoś się uratowałem. W okolicy dzieci i dorośli w większości przypadków, tak czy inaczej z tym radzili. Odpowiedni lek był dostępny. Przepraszam za zbyt drastyczny opis, lecz to jest pamiętnik, nie powinien on zawierać wyłącznie przyjemne zdarzenia. Dość powszechną, zaraźliwą chorobą był świerzb. Wstrętna, trudna do wyleczenia dolegliwość skóry. Dokładniejsza higiena i odpowiednia maść pomagały w leczeniu.

Skoro mowa o lekach, to one tak jak dziś, były dostępne w aptekach. Nasza apteka znajdowała się w odległości 25 km. Jechało się do niej 4 godziny. W aptecce w tamtych czasach jedynie niewiele pozycji leków było sprowadzanych z farmaceutycznych fabryk. Większość aptekarz umiał sam wyprodukować. Zatem po zamówieniu należało kilka godzin poczekać, aż lek zostanie wytworzony, lub przyjechać po niego następnego dnia. W czasach dzisiejszych nie inaczej, na

zamówiony lek nie raz trzeba przychodzić do apteki w dniu następnym – muszą sprowadzić go z hurtowni.

Jak wspomniałem, znaczącą rolę wówczas odgrywa łaźnia. U nas jest to oddzielny budynek nad jeziorem. Tu w Polsce nazywają to łaźnią fińską względnie parową bądź sauną fińską. Obowiązkowo wykonana z drewna, wewnątrz gładko obrobiona w celu uniknięcia skaleczeń nagiego ciała. Do ścian muszą być zamocowane drewniane szerokie półki do siedzenia czy leżenia. W kominku nagrzewane są kamienie, polewa się je wodą. Kamienie są duże i silnie nagrzane, powodując natychmiastowe wyparowanie wylewanej wody i napełnianie pomieszczenia gorącą parą. Następnie wszyscy nago wchodzimy do środka. Jeszcze dziś pamiętam, mogłem wytrzymać wyłącznie pełzając po podłodze, tak okropny był ukrop – czym wyżej tym goręcej. Poklepuje się ciało brzozowymi witkami. Gdy się ma dość, wszyscy biegną latem do jeziora, a zimą w śnieżne zaspę, żeby się ochłodzić. Przy tym nie odczuwa się nieprzyjemnego mrozu, jak to się dzieje bez tej łaźni. Kąpiel odbywa się nago, w katolickim kraju mężczyźni i kobiety oddzielnie. W Finlandii koedukacyjnie. Jak wspomniałem, na Warmii tęskniliśmy za łaźnią, niestety nie było środków na jej budowanie. Nigdy już potem w łaźni nie

myłem się. To była jedna z rzeczy, za którą tęskniliśmy po przyjeździe do Polski.

Fragment wnętrza łaźni parowej

Dzieci niezależnie od pogody, między posiłkami bawią się na

dworze. Odnosimy niemal codziennie jakieś rany. Zazwyczaj to są zadrapania, ukłucia, rozcięcia. Bardzo rzadko coś poważnego. Skaleczenia smarowało się

utlenioną wodą czy jodyną. Pewnego razu, wspieram służącą przy mieleniu mięsa za pomocą maszynki. Tymczasem kręcenie korbką jest uciążliwe, wobec tego kucharka kręci a ja palcami wpycham mięso. No i jeden palec ulega skróceniu na wysokości nasady paznokcia. Podstawową czynnością było odkażanie polegające na obmyciu zranienia i zwilżeniu go wodą utlenioną bądź niemiłosiernie szczypiącą jodyną. Unika się w ten sposób zakażenia. Następnego dnia jazda kolaską 30 km do lekarza, który wyrokuje, że już paznokieć mi nie odrośnie (nie ma racji). Pamiętam, te bolesne zmiany bandaży gojenie się długo trwało, a dotyczyło to ręki prawej, więc w szkole nie mogłem pisać.

Jeszcze jeden przykład. Pewnego razu ojciec pojechał do Rokiszek do szpitala na operację. Chodziło o usunięcie paznokcia z palucha. Ponoć była to zaawansowana grzybica niszcząca paznokieć. Być może w czasach teraźniejszych, w dobie możliwości znieczulania (znieczulające zastrzyki), ten zabieg nie wygląda na kłopotliwy, aczkolwiek wówczas tatę musieli uśpić, a mimo to czuł ból, gdy mu jak opowiadał, 'skuwali' ten paznokieć. Tak to wówczas wyglądało.

Transport

Transport był najpoważniejszym problemem i bolączką przedwojennej Litwy. Trudno sobie wyobrazić ówczesne środki służące do przemieszczania się ludzi, kiedy patrzymy na to z perspektywy aktualnie dostępnych środków transportu: samochody osobowe, ciężarówki, autobusy, kolej i dodatkowo drogi asfaltowe. Obecnie nie jest problemem przemieszczanie się z miejsca na miejsce, nawet, jeżeli odległości są znaczne. Wówczas przejazd trzęsącą się na wyboistych drogach kolaską do odległego o 30 km miasta i z powrotem, oznacza ogromne zmęczenie podróżnych. Niewątpliwie dyktatorskie rządy prezydenta Smetonasa problemem transportu nie interesowały się kompletnie. Głównie w obliczu braku nacisków ludności. Wyłącznie w krajach gdzie nacisk wyborców jest realny, drogi powstają. W PRLu nacisk wyborców nie istniał, więc też dróg nie budowano. Nieco naciśnięto i Gierek zbudował drogę szybkiego ruchu Warszawa-Katowice. Wysiłek gospodarczy przedwojennej Polski był nastawiony na budowę przemysłu, czego na terenie naszego kraju nie czyniły wcześniej mocarstwa zaborcze. Tymczasem teraz ziemie pomorskie zostały doszczętnie przez Sowietów ogołocone z przemysłowych

maszyn. Kraje Europejskie budowały autostrady nieraz w nad wyraz trudnym górzystym terenie, a w nizinnej Polsce był zastój. Proszę się przejechać po Grecji czy Italii, autostrady ciągną się setkami kilometrów, mimo, że co kilkadziesiąt



kilometrów
przebijają
skaliste góry.

Tak
wyglądały
drogi na Litwie
przed II wojną
(w Polsce też).

Wracając na przedwojenną Litwę, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, drogi są katastrofalne. Jedzie się własną kolaską drogą o dwóch równoległych koleinach, a między nimi ścieżka wydeptana przez koni. Gdy widzę nieraz obraz filmowy dotyczący okresu bez samochodów i drogę bez kolein takich, jakie opisałem w poprzednim zdaniu, to mi się wydaje, że producentom filmu zabrakło wyobraźni. Taka droga po deszczu zamienia się w kałuże trudne do przejechania, zwłaszcza gdy wóz jest ciężki. Zimą transport odbywa się z użyciem wyłącznie sań. W czasach teraźniejszych, gdy człowiek podróżuje zimą podgrzewanym autem, powracają wspomnienia podróży na saniach. Po godzinie jazdy wszystko zaczyna boleć od mrozu: najpierw nogi, potem ręce, twarz, nos, uszy. Takie chwile przeżywamy w Eikiniszkach, a potem na Warmii. W czasie deszczu, podróż nie jest do pozazdroszczenia, nierzadko przemaka się do suchej nitki. Na szczęście, nasza rodzina posiadała kolaskę z brezentowym nasuwany dachem. Co skutkowało mniejszą dokuczliwością pogody deszczowej w czasie podróży. Dziś w czasie jazdy autem asfaltową drogą, niezależnie zimą, czy w czasie deszczu, gdy wewnątrz jest

przytulnie, ciepło, czasem przypominają się mi poprzednie pełne udręki podróże. W przejeździe przez miasteczka, droga w tamtych czasach była nieco inna. Przynajmniej środkowa część miasteczek była wybrukowana. Zaokrąglone kamienie bruku powodowały trudną do zniesienia trzęsionkę bryczki. W zasięgu około 25 km od Eikiniszek nie było ani kolei ani autobusów. Po takiej drodze rowerem też nie łatwo się jechało.

Dopisując do tego obrazu Litwy, po odbytej tam wizycie, co nastąpiło niedługo po uzyskaniu przez nią niepodległości, stwierdziłem znaczne zmiany tego obrazu w wyniku rządzenia przez sowietów. Obecnie ten kraj jest pokryty drogami asfaltowymi oraz autostradą! Mam wrażenie, że gdyby nie okupacja sowiecka, obraz nie byłby taki. Jaki cel Moskwa miała, żeby w kraje bałtyckie tak inwestować, trudno zgadnąć. Oczywiście to ułatwia szybką interwencję w razie niepokojów a jednocześnie dojazd do portów bałtyckich staje się ułatwiony. Obecnie Litwa, w przeciwieństwie do nas, nie musi budować wiele nowych dróg czy elektrowni jądrowej, tyle tylko co robi to utrzymuje ich należyty stan (oczywiście nieco przesadzam). Podobnie Ukraina dużo zyskała w okresie ZSRR. Żeby wymienić energetykę jądrową (17 reaktorów), metra w większych miastach, autostrady, Polska w tym czasie z tych rzeczy nic albo mało. Natomiast nie posunę się tak daleko, żeby żałować niewcielenia nas po wojnie do sowietów jako republiki.

Ulubione zajęcia dorosłych

Nieco o rozrywkach. Ojciec oraz Stasiulis mieli broń myśliwską, polują głównie na swoich polach na zające a na kaczki także, które przelatują na żer pod koniec lata z jeziora nad budynkami w kierunku pól ze zbożem. W tamtym momencie wystarczy siedzieć na ławce przed domem i pif-paf do kaczek. To były wyczyny Ojca, Stasiulis jako krótkowzroczny, był tematem żartów Ojca (dla Stasiulisa mniej śmieszne), mawiał:

- idziemy polem obok siebie, dubeltówki gotowe do strzału, wtem z pod nóg wrywa się zając, ja krzyczę: zając, strzelaj, a on (na szczęście dla zająca), krzyczy gdzie, gdzie?



W początkowym okresie, gdy panie były młodsze, od sportu nie stroniły. Tu widzimy siostry Kossarskie z przyjaciółką w grze, którą wówczas zwano krykietem. Moja mama na kolanach.

Na opowieści po polowaniach należy patrzeć z przymrużeniem oczu, w końcu nawet Bismarck to zauważył twierdząc: "nigdy nie kłamie się tak wiele jak przed wyborami, podczas wojny i po polowaniu". Po upolowaniu zająca, kaczek czy kuropatw, nasza suka myśliwska Diana wyszukuje je w trawach i przynosi zdobycz do myśliwego. Po kilku dniach jednak kaczki omijają zabudowania szerokim łukiem, unikając niebezpieczeństwa. Następną zwierzyną łowną były kuropatwy. Na nie poluje się jesienią, są wtedy bardziej tłuste. Zimą są na śniegu dobrze widoczne nawet ze znacznej odległości, wszelako w tamtym momencie na nie się nie poluje, wszak są nad wyraz wychudzone. Jednak latem już nie jest łatwo je bez psa wypatrzeć, bowiem mają zwyczaj przyczajenia się w kępkach traw bez ruchu, trzeba niemal na nie nadeprnąć żeby się poderwały do lotu. Czując niebezpieczeństwo siedzą nieruchomo w kępkach traw. Te ptaki mają taką szarą barwę, iż trudno je człowiekowi wypatrzeć nawet z odległości kroku. Do polowania należy mieć odpowiedniego psa, który je wywachuje biegnąc szybko po polu. Gdy napotka kuropatwy pies zwykle jest oddalony od myśliwych. Ma przy kuropatwach stanąć bez ruchu czekając aż myśliwi się zbliżą. Wówczas na odpowiednią komendę rzuca się

na ptaki, które są szybkie, momentalnie się podrywają do góry do lotu z głośnym furkotem, a myśliwy z dubeltówki do nich strzela. Jeśli strzał jest celny, pies zdobycz znajduje i przynosi.

Nawiasem mówiąc, w Eikiniszkach te 'trofea' myśliwskie nie dają odczucia znacznej odmiany sposobu żywienia, w końcu zdobycz mała a ludzi niemało. Nie spotykało się grubszej zwierzyny, takiej jak dziki. Wówczas chodzi głównie o rozrywkę. Ponieważ ojciec za taką rozrywką nie przepadał, to polowania odbywały się rzadko, więc to było swego rodzaju wydarzeniem u nas. W końcu ojciec przez wzgląd na trudności w spłacaniu długu dubeltówkę sprzedaje a polowania się urywają.



Tu z kolei pokazuję dość rzadko spotykany w naszych czasach obrazek oswojonych bocianów.

Na początku lat trzydziestych w rodzinie naszej i Stasiulisów bociany miały niemało pracy. Bowiem w latach 1931 do 1934 w obu sąsiadujących rodzinach, naszej i Stasiulisów, przyszło na świat aż sześcioro dzieci! Coś w rodzaju lokalnego boomu urodzin. Nic dziwnego, że na ilustracji bociany zmęczone dostarczaniem dzieci odpoczywają, czekając na smakołyki. Na Litwie nie wyobrażano, aby ktoś mógł bociana skrzywdzić. W Polsce spotykały się po wojnie widoki, gdy ktoś na targu miał do sprzedania oskubanego bociana, udającego gęś czy indyka! W czasie naszej chwilowej nieobecności, z gniazda bocianiego na naszej stodole raz wybrano bocianie pisklęta w celach spożywczych!

Jaki był mój ojciec?

Z tego co wiem, nie miały wpływ na charakter mego ojca wywarł kilkuletni głodowy pobyt w rosyjskim mieście Samara. To działo się w okresie pierwszej wojny światowej i dotyczyło jego osoby w wieku od 7 do 10 lat. W tamtym czasie okropnie głodował i obawiam się, że nie uniknąłby śmierci głodowej gdyby nie wsparcie różnych ludzi. Pamiętając tamte koszmarne lata i pomagających ludzi, później będąc w lepszej sytuacji stara się wspomagać potrzebujących pomocy, w końcu na własnej skórze doświadczył, czym jest brak żywności. To co teraz napiszę, może się wydawać naciągane, lecz te wsparcia świadczone przez ojca potrzebującym, doczekały się rewanżów w różnej postaci, choć na to nie liczył. Podam ważniejsze przykłady.

1. Zazwyczaj na wiosnę wyjeżdża do oddalonej o 10 km wioski ruskiej. W niej mieszka sama biedota. Co przekładało się na znaczne bezrobocie w tej wiosce oraz brak problemów dla ojca w zakresie znalezienia chętnych do sezonowej pracy w naszym gospodarstwie. Pewnego razu do jego wozu przybiegła dziewczyna wraz z niemowlęciem na ręku błagając:

- Panie kochany, niech mnie pan weźmie do pracy. Nikt mnie z tym dzieckiem nie chce. Nie mam z czego żyć.

Ojciec bez wahania wyraża zgodę. Niewątpliwie samotne osoby nie obciążone dziećmi, lepiej się nadają do pracy, ale ojcu być może się przypomina głódówka w Samarze, wczuwa się w sytuację osoby głodnej dodatkowo obciążonej dzieckiem, zaprasza ją wraz z dzieckiem do naszego domu. Pracowała kilka lat, potem wróciła do swojej wioski, wyszła za mąż, słowem jakoś ułożyła sobie życie. Odwdzięczyła się nam w następujący sposób.

W chaotycznym okresie wojennym dochodzi w naszej okolicy do bezkarnych gwałtów i morderstw. Zwłaszcza w krótkim okresie napaści Hitlera na Stalina w 1941 roku. Dzięki powiązaniom z wioską ruską ta przygarnięta dziewczyna, dowiaduje się i nas informuje o wycofującej się z sowietami uzbrojonej bandzie rusińskich komunistów, która ma zabić mego ojca (33 lata) i jego starszego syna (10 lat), czyli mnie. Oni byli wściekli na swój los, gdyż sowieci kilkoro z nich zatrudnili jako milicjantów. Tymczasem teraz wszystko runęło. Nagle skończyła się ich władza,

źródła dochodów – trzeba wszystko rzucić i wiać. Muszą ratować swoją skórę, bowiem milicjantów Szaulisy przy pomocy Niemców rozstrzelali. Z ojcem postanawiamy zejść milicjantom z drogi i się ukryć. Zbliżyliśmy się do naszego jeziora, który na brzegach jest porośnięty nigdy niekoszonymi dość wysokimi wodnymi roślinami, głównie tatarakiem. Tam na początku lipca, częściowo zanurzeni w wodzie czekamy aż zagrożenie minie. Spoglądamy ukryci na uzbrojonych ludzi kręcących się na podwórku, gotowi w każdej chwili lepiej się zamaskować. Nie było możliwości obrony przed nimi, w końcu żadnej broni nie posiadaliśmy. W sumie nie bardzo było wiadome, co ich skłoniło żeby się podjąć takiego czynu. Z tego co wiem, pewnie otrzymali od kogoś nakaz to uczynić. Zwłaszcza że, nigdy z tą społecznością nie mieliśmy najmniejszych zatargów. Jak się potem dowiedzieliśmy, ta nasza ucieczka była uzasadniona, bo milicjanci dopytywali się o nas. Na szukanie nie mieli czasu, w końcu musieli ratować własne skóry przed Niemcami.

2. Pewien małorolny litewski chłop o nazwisku Gadiszkis, poprosił ojca, żeby zatrudnił jego 15 letnią córkę do pasania naszego bydła. Nie było ogrodzeń, więc należało do jej obowiązków pilnowanie, aby bydło nie wyrządzało szkody w zasiewach. Pewnego razu zagapiła się i roczna jałówka nażarła się zbyt dużo koniczyny. Dziewczyna nie zorientowała się w niebezpieczeństwie, jałówka położyła się i zdechła z powodu wzdęcia. Gdyby pastuszka była bardziej doświadczona, to stworzenie byłoby do uratowania. Wobec wyrządzenia tak sporej szkody, ojciec tej dziewczyny do mojego ojca powiada:

- Oczywiście zabieram córkę do domu i nie będziemy domagać się zapłaty za jej pracę i bardzo proszę nie domagać się odszkodowania za jałówkę.

Mój ojciec puszcza jednak przewinienie płazem, a dziewczę dalej u nas pasła bydło i to nie jeden rok. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w drodze do Eikiniszek, przejeżdżając wiele wiele lat później w 1999 r. wraz z ciocią Ireną przez miasteczko Czedesai, zawitamy do jednej z chat pytając o drogę do Eikiniszek (7 km). Informacji udzieliła właśnie owa pastuszka. Nie widać było u niej wrogości zważywszy na 'wyzysk' jakiego doznała 60 lat temu i to mimo nad wyraz długiej edukacji komunistycznej w tym zakresie.

To potraktowanie pastuszki też zostało wynagrodzone w następujący sposób. Znamienny i typowy dla zbrodniczego systemu sowieckiego przypadek dotyczył wezwania stawienia się w gminie, które doręczono ojcu na początku 1945 r., z nakazem przyniesienia radioodbiornika w celu jego rejestracji. Równocześnie takie wezwania otrzymali inni posiadacze odbiorników. Na szczęście ojciec tej pastuszki, komunista Gadiszkis, gdy zobaczył mego ojca idącego do gminy wraz z radiem pod pachą, krzyknął:

- niech pan szybko wraca z tym radiem do domu i go dobrze schowa.

Więcej nic nie mówił. Ostrzeżony ojciec dobrze ukrył radio. Mało tego, Gadiszkis trzymał rękę na pulsie i ratował naszą rodzinę z opresji, także podczas organizowanych co pewien czas wywózek na Syberię. Gadiszkis zasłużyłby zapewne nawet na jakiś pomnik, gdyby nie postępował w taki szlachetny sposób wybiórczo, bym powiedział. Z odbiornikami natomiast, komuniści urządzili perfidny bandycki podstęp. Po oddaniu odbiorników wszystkim ich posiadaczy zapędzono do stodoły, zaryglowano drzwi i podpalono stodołę. Wszyscy zginęli w okrutnych męczarniach. To był jeden ze zbrodniczych sposobów zastraszania ludności, żeby sobie ułatwić proces zakładania kołchozów. Dodatkowo, bandycko-rabunkową metodą weszli w posiadanie odbiorników radiowych.

A swoją drogą, jeden przykład bestialstwa Polaków jest szeroko znany na świecie. Chodzi o Jedwabne. Mimo, że to był pojedynczy zbrodniczy incydent, jest ciągle przypominany światu. O identycznych sposobach stosowanych przez Sowietów nikt nie pisze, wszak to dotyczyło tylko Litwinów nie Żydów... Natomiast z kolei Niemcy poinstruowali wybranych Litwinów, tych o bandyckich skłonnościach, w jaki sposób Żydów należy zgładzić stosując bardziej 'humanitarne' metody – rozstrzelaniem. Może to jest przyczyną, że o te sprawy Żydzi nie specjalnie gnębią Litwę. Oni nie męczyli Żydów w obozach jak to czynili Niemcy. Przy okazji napomnę, że śledczy buszujący na Litwie nie byli w stanie odkryć grobów masowo mordowanych Żydów. Dlaczego? Ano z powodu wykonywanych pod niemieckim nadzorem głównie pod koniec 1943 i w 1944 roku systematycznych ekshumacji z tych grobów. Zwłoki palono a kości zmielono. Nie żałowali wysiłku, wszak musieli ratować własną skórę.

3. Gdy rodzina Stasiulisów była już zapakowana do ciężarówki, pamiętając ze swego dzieciństwa, jaka jest sytuacja rodzin w Rosji, a zwłaszcza na Sybirze i chcąc uchronić tę rodzinę od głodu, Ojciec wręczył Stasiulisowi (szwagrowi) plik banknotów, a ten się rozplakał. Zresztą tę kasę niechybnie jakiś kacap zawłaszczył, a jemu się nie przydały, bo go niebawem rozstrzelali.

4. Na Litwie wobec wypędzenia z domu rodziny brata mego ojca, Jana przez Niemców, w okresie okupacji niemieckiej, ojciec otaczał ich opieką przez 3 lata. Po wojnie, już w Polsce, po przedwczesnej śmierci Jana, regularnie wspomagał bratową z czwórką dzieci. Bratowa z kolei, tak się przyzwyczaiła do pobierania tej pomocy, że śmiertelnie się obraziła na moich rodziców, gdy oni nie wyrazili zgody na przyjęcie, jako niepłatącego sublokatora jej 30 letniego syna Ryszarda. Nadmieniam, rodzice wówczas mieszkali w Nowej Hucie w jednopokojowym mieszkaniu. Kontakty listowne zostały definitywnie zerwane.

Spróbuję wyciągnąć pewne wnioski związane z charakterem mego ojca. Dwa pierwsze przypadki dotyczyły okresu przedwojennego i osób niezamożnych. Nie mógł przewidzieć rewanzu. Dwa pozostałe przypadki to okres wojny i związane ze wspomaganiami krewnych, też jakkolwiek rewanz miał znikome szanse. Tak czy owak działania ojca nie były, bym powiedział, wyrachowane.

Z przytoczonych przykładów wynika, że w miarę swoich możliwości należy wspierać zwłaszcza krewnych będących w rzeczywistej trudnej sytuacji. Ponoć czynią to głównie ludzie, którzy sami doświadczyli trudnych momentów w życiu. Są zatem, zdolni wczuć się w sytuację innych.

Potwierdzeniem tego może być przekazanie całego spadku dalekiej krewnej przez siostrę mego ojca, Henrykę Makowicz. Ona też przechodzi przez okres straszliwego głodu w Rosji. Swoją wyłączną spadkobierczynią moja ciocia czyni nigdy niespotkaną daleką krewną córkę wdowy i na tyle z dalekim pokrewieństwem, że nie przysługuje jej żadna ulga w podatku spadkowym.

No a teraz czas na podsumowanie w myśl powiedzenia: 'dobro dobrem się zwraca'. Przedstawione zostały ważniejsze zdarzenia. W opisanych dwóch pierwszych przypadkach, zwroty były bym określił 'z najwyższej półki'. W zamian za

wsparcie o charakterze materialnym, ojciec uniknął dwukrotnie śmierci (mnie przy okazji jak nadmieniałem, też się upiekło). W tym miejscu bym przytoczył znane porzekadło. Jak Bóg Kubie tak Kuba Bogu. Pozostałe przypadki nie owocowały wyraźnymi rewanżami.

Ojciec w zasadzie nie wykrzykiwał wulgarnych słów, nawet w zdenerwowaniu. Z tego co pamiętam, na Litwie tylko jedno słowo stosowane przez niego w chwili dużego wnerwienia się, było to 'zdrajca'. W Polsce już nie używał takiego 'przekleństwa', zamiast tego bardziej powszechne 'cholera'. Nigdy nie usłyszeliśmy słów na k czy na ch. Przy okazji należy zwrócić uwagę, że często te 'przerywniki' są nadużywane. Jak ktoś określił taką mowę: - on tak często stosuje przerywniki na k i na ch, że nie jestem w stanie zrozumieć sensu jego wypowiedzi! Tak tylko dodam, pewnie nie było czego żałować.

Podsumowując może przytoczę wskazówkę A. Słonimskiego co do zachowania się: „Gdy nie wiesz, jak się zachować, na wszelki wypadek zachowuj się przyzwoicie”.

W Polsce mój ojciec polubił morze. W ramach wczasów pracowniczych, co lato wyjeżdża więc z mamą nad Bałtyk. Był pewien, że kąpiel w wyjątkowo zimnym Bałtyku przekłada się na poprawę jego zdrowia. Na przykład, uporczywy ból w łydce ustawał. Nawet pewnego razu w wieku 50 lat decyduje się na piesze przejście wzdłuż wybrzeży morza. Po trzech dniach wędrówki rezygnuje. Twierdził, że nikt nie chciał go przenocować na jedną noc, więc musiał zrezygnować. Obecnie problem noclegów nie istnieje, chętnie przenocują odpłatnie nawet na jedną noc. A przy braku noclegowych udogodnień wystarczy się zaopatrzyć w ważący 2 – 3 kg jednoosobowy namiocik. Rozsądniej jest dobrać sobie odpowiedniego towarzysza podróży. W przypadku braku takiego, dobrze jest zabrać z sobą psa. Rażniej się śpi w namiocie, gdy pies leży obok. Łatwo jest radzić komuś jak się zabrać do tak trudnego przedsięwzięcia, równocześnie siedzieć wygodnie w domu.. W ostatnich latach swego życia lubi wyjeżdżać na wczasy w góry. Ostatni raz w roku 1989 mając 80 lat, wybrał się tam z kolegą działkowiczem. Pierwszego dnia poszli pospacerować na dłuższą wędrówkę po górkach, następnego dnia rano wstał i pyta kolegę,

- też dziś pójdziemy na spacer?

To były jego ostatnie słowa, bowiem po wypowiedzeniu tego zachwiał się, upadł i nastąpiła niemal natychmiastowa śmierć.

Ogólne uwagi o okolicy i ludziach

Gdy tam mieszkaliśmy, jezioro w Eikiniszkach było mniejsze niż obecnie. Mimo to nie pamiętam, żebyśmy zdołali je obejść dookoła. Ojciec stawiał w nim odpowiednie sieci wieczorem a do rana zazwyczaj kilka ryb w nich się złapało. Zimą też ryby łowiono, zwłaszcza że, lód trwał długo, był gruby i rybom brakowało tlenu. Wystarczyło wówczas wyrąbać przerębę, a ryby wypływały żeby zaczerpnąć tlenu. Łatwo je było w tym momencie złowić. Jak wiadomo w czasach obecnych takie metody są srogo zabronione. Jezioro było dobrze zarybione i nie stwierdzono znacznego ubytku ryb wywołanego taką rabunkową metodą. Zimą niemal nie mieliśmy służby, zatem w nieogrzewanym pokoju te ryby w stanie zamrożonym czekały na spożycie. Smażono je lub gotowano wyśmienite zupy rybne. Wobec zmieniających się przypraw miały różne smaki i wygląd.

Tak było w okresie zimowym. Gdy zima mijała, ryby nadal nie miały spokoju. Bowiem w tamtych przedwojennych czasach, niektórzy miejscowi chłopcy wyspecjalizowali się w łowieniu ryb za pomocą tzw. ościeni. Wyglądem one przypominają trójząb na pomniku Neptuna. Tych zębów oścień ma więcej. O ile ma się wprawę to można nim czasem rybę nadziać, dość łatwo jedynie w okresie ich tarła. One wtedy wiosną podpływały pod brzeg, żeby tam w cieplejszej nieco wodzie złożyć ikrę. W tym momencie wprawny 'rybak' mógł je nadziać na oścień. Jest to obecnie srogo zabronione także. W naszej rodzinie takiego narzędzia nie posiadaliśmy.

W niedziele wychodzimy wspólnie ze Stasiulisami na spacer, zazwyczaj po naszych i ich polach. Przy tym zaznaczę, że nawet na długotrwałych spacerach nie musieliśmy spacerować poza obszarami naszych ziem. W końcu mój ojciec posiadał 65 ha, dzierżawił dodatkowo 30 ha siostry Łucji wraz z 55 ha wuja Stasiulisa. To były połacie łądu dość znaczne. Gdy po odzyskaniu przez Litwę niepodległości wybierałem się w odwiedziny tych okolic, to planowałem przemierzyć posiadłość „od

końca do końca”, jak to stoi w piosence góralskiej. Tymczasem wystarczyło rzucenie okiem na ten koniec by ochota na wędrówkę wyparowała. Ponadto nasze ziemie przylegają do granicy łotewskiej, a po tamtej stronie były duże lasy (są tam wciąż, niewiele zmniejszone). My dzieci, także same po tych polach biegamy. Atrakcją, zabarwioną emocją, były nasze wypadki przez strzeżoną granicę. Docieraliśmy wręcz do łotewskich zabudowań. Należało jedynie wypatrzeć chwilę, gdy strażnik litewski czy łotewski idący z karabinem, oddali się dostatecznie daleko. Raz wpadliśmy. Gdy wracaliśmy, strażnik łotewski wycelował w nas karabinem i nakazał wracać w głąb Łotwy. Po czym zamknął naszą ‘bandę” w stodole. Po paru godzinach przyprowadził tłumacza. Gdy się wyjaśniło, że jesteśmy dziećmi komendanta straży granicznej, to nas wypuszczono. Ale strachu wówczas najedliśmy się, bez dwóch zdań. Zwłaszcza w tej stodole. Gdy idziemy z komendantem odcinka granicznego (Stasiulis), to wypad w te lasy jest możliwy niemal legalnie.

W czasie spacerów z rodzicami dzieci zwykle biegają przed rodzicami a nie za nimi. Uwielbiamy te spacerki bez dwóch zdań. Rozmowy odbywają się w dwóch językach, Stasiulis patriota litewski oraz jego dzieci władają jedynie litewskim, zatem my do nich też zwracamy się w tym języku. Rodzina Małachowskich oraz żona Stasiulisa mówili po polsku. Używanie przeze mnie i moje rodzeństwo języka litewskiego, zwłaszcza w domu było srogo karcone przez mego ojca. Nie chodzi o jakąś wrogość do litewskiego, lecz o nie zapominanie polskiego. Bo w końcu gdzie, jak nie w domu możemy ten język stosować? Tu wtrączę taki spóźniony pomysł, bez wątpienia byłoby pożyteczne, gdybyśmy po przyjeździe do Polski, w domu używali języka litewskiego. Nie uciekłyby ten język z pamięci dzieci. U moich rodziców ten język nie uległ zapomnieniu, aż do ich śmierci. Nasza Mama miała zdolności w rysunkach. Namawiamy ją czasem na rysowanie nam różnych wizerunków, zwłaszcza zwierząt. Nie było wówczas w naszym zasięgu książeczek dziecięcych. Podziwiamy rysunki mamy, bo były nad wyraz udane. Gdy opowiada nam jakąś bajkę, czasem udaje się nam ją uprosić, żeby narysowała na przykład babę jagę. Wówczas takie rysowanie traktujemy jako zamiennik dziecięcych ilustrowanych książeczek.

Ponoć w gimnazjum w Poniewieżu też z tej umiejętności słynęła. Ciocia Henia Makowiczowa, zanim uciekła do Polski (10 lat przed wojną, wówczas granica była zamknięta), uczęszczała do gimnazjum w tej samej klasie, co nasza mama. Wspominała o uzdolnieniach mojej mamy Wandy, co było permanentnie wykorzystywane z okazji zwłaszcza imienin nauczycieli. Chodziło o rysowanie i śpiewanie. Ciocia twierdziła, że moja mama mogłaby odnieść jakieś sukcesy gdyby w tym kierunku podkształciła się i pracowała. Uzdolnienia i umiejętności w tym kierunku były jak najbardziej samoistne. Nikt ją nie kształcił w rysunkach. We wszystkich szkołach, w których była zatrudniona kierowano ją na lekcje rysunków. Mam wrażenie, iż niefrasobliwie straciliśmy szansę zorganizowania jakiejś pracowni malarskiej. No, ale przeszło, minęło i nie powróci – jak niemało innych szans. Może wykształciłaby jakiś własny styl. Żadne z dzieci nie posiada takich umiejętności. O, pardon, moja siostra Lutka ma pewne zdolności w tym kierunku. Bardziej udane rysunki publikuje w internecie, lecz także bez wykształcenia w tym kierunku.

Oprócz rysowania i śpiewania, nasza mama też w sposób barwny opowiadała bajki. Nie wiem dlaczego, ale pozostał w mojej pamięci jeden wierszyk, przywieziony jak twierdziła z Wielkich Łuków po pierwszej wojnie światowej. Ten wierszyk tak wygląda:

*Adin, dwa, tri, czietyri, piat,
paszol zajczik pagulat,
tri achotniki pribieżali,
priamo zajczika strelali,
pif paf oj oj oj umirajet zajczik moj.*

W czasach ich rewolucji ponoć zmienili w tym wierszyku słowo achotniki na bolszewiki. Bardzo żałowaliśmy tego zajczika, mimo widoku upolowanego zająca, którego ojciec czasami przynosił (którego żałowaliśmy także). Skoro jestem przy temacie 'nasza mama', to wspomnę też o jej awersji wobec kotów. Koty w naszym domu zawsze były, ale nigdy nasza mama ich nie pogłaskała i nigdy one na jej kolana nie wskakiwały. Owszem dbała o ich wyżywienie, lecz uczucia do tych

zwierząt nie miała. Tego widocznie nie mogła znieść jedna z kotek, gdy mieszkamy na Warmii. Żeby jakoś zdobyć przychylność mamy, pewnego razu przynosi upolowaną na dworze mysz i kładzie ją na podłodze przy nogach swojej pani. Zwierzęta jak widać, tak jak ludzie też bywają wazeliniarze. Tak sobie porównuję i tyle... W mieście mama zwierząt nie trzymała.

Przy okazji wspomnę też o innym zdarzeniu świadczącym o naszych dziecinnych nastawieniach do zwierząt. Przed wojną, w jednym z naszych pokoi mieszkają uzbrojeni w karabiny pogranicznicy. Pewnego razu, gdy rodziców w domu nie było, urządzają sobie dla zabawy strzelanie do wróbelki siedzących na drzewach. To było jednorazowe zdarzenie. Gdy zaprzestają tej makabrycznej zabawy, my dzieci biegniemy wyszukiwać wróbelków pod drzewami. Widzimy, że niektóre z nich są martwe, ale część ranna. Zgarniamy je wszystkie do kosza, wpadamy do pokoju. Pojawia się pytanie, czym je opatrywać? Z szuflady wyciągamy prześcieradło, tnemy go na paski i owijamy nimi biedne ptaszki. Parę wróbelków lżej rannych dało się uratować. Z tego co pamiętam, największym zapałem w tej akcji ratunkowej odznacza się moja siostrzyczka Majka, wówczas ok. czteroletnia. Te skłonności jej pozostają, w końcu jest felczerem w Jaworze. Przyjaciółka rodziny Sabina w swoim pamiętniku, pracę mojej siostry porównuje do tej, jaką wykonują obecnie lekarze rodzinni.

Wracając do mojej opowieści, bez wątplenia nie trzeba opisywać reakcji mamy, gdy widzi na podłodze pocięte najlepsze prześcieradło. Podobną dewastację pościeli widać było w serialu „Sami Swoi”. Natomiast nam się wówczas upiekło, gdy się mama dowiaduje, że ta dewastacja łączy się z naszymi litościwymi serduszkami. Zważywszy na wiele zdarzeń, których byliśmy świadkami i które przeżywaliśmy, już po paru latach nasze serca zahartowują się. Jeśli rozumiecie co mam na myśli, a są to działania wojenne, opowieści znajomego szauliusa (strzelca) o mordowaniu rodzin żydowskich, widok sześciu półnagich Litwinów zadżganych bagnętami przez żołdatów i tym podobne okropieństwa, obce w normalnych czasach. Może za wiele piszę o mamie, tymczasem, skoro my jej dzieci, o niej nie napiszemy, to już nikt tego nie zrobi i ta postać zaniknie z upływem lat, w końcu nie była, nie wyłączając większości z nas, osobą rozpoznawalną medialnie. W 1988 roku nie chorując

obłożnie nasza mama odchodzi w nocy. Ojciec ją rano znajduje siedzącą w kuchni, już martwą. Pewnie poczuła się źle i poszła do kuchni po tyk wody. Po upływie 3 miesięcy od tego zdarzenia tata też umiera. Oboje nie doczekali czasów transformacji ustrojowej w 1989 roku, upadku PRLu i rozpadu ZSRR – zabrakło parę miesięcy – oczywiście by się ucieszyli z tych wiadomości. Wobec ogromu Rosji, nie wierzyli w możliwość nastąpienia czegoś takiego.

Praca – personel, służby w Eikiniszkach

Przed II W.Ś. naszą ziemię obrabiają wynajmowani pracownicy. Dla mnie mgliście rysują się niektóre postacie ze służby, wyraźniej te osoby, które kilka lat pracowały i z którymi się stykałem częściej. Zapamiętałem takich pracowników jak Pauksztialis (ptaszek), silny jak tur Balys, Jonas Gadiszkis, Juranas. W niedziele nasi pracownicy lubią odpoczywać nad jeziorem, o ile oczywiście aura sprzyjała temu. Nas chłopców wówczas zwłaszcza interesują zmagania zapaśnicze parobków. Oczywiście Balysa nikt nie jest w stanie pokonać. Jednak przyszła kryska na Matyska. Pewnego razu on też doznaje goryczy porażki. To się dzieje za sprawą młodego dobrze zbudowanego Łotysza, który przekroczywszy granicę przyłącza się do naszej grupy biwakującej nad jeziorem. Nam się udaje zachęcić Balysa i Łotysza do zapasów. W trakcie zmagania z Balysem ku naszej rozpacz, Łotysz stosuje sprytny trik polegający na podcięciu nóg naszego Balysa, wskutek czego ten runął na ziemię jak długi. A dopingowaliśmy Balysovi. To była, można powiedzieć, moja pierwsza przygoda jako kibica na zawodach międzynarodowych.

Są też służące ze wsi Manejki – narodowości ruskiej. Ich językiem nie jest rosyjski, lecz bardzo rosyjski przypominający (może białoruski), jednocześnie litewski oczywiście znały. W czasie odwiedzin swoich dziecinnych stron w 2001 roku spotykam w Czedasaj naszą byłą pastuszkę. Zupełnie przypadkowo pytając ją o drogę. Oczywiście ta ruska wieś była nastawiona przyjaźnie do sowietów. W 1939 r. entuzjastycznie ich witają jako wyzwolicieli z pod kapitalistycznego litewskiego jarzma. Kilku z nich wcielono do milicji i gdy sowieci w 1941 r. pod naporem Niemców się cofali, nasza rodzina poczuła się zagrożona przez tych milicjantów. Piszę o tym zagrożeniu w innym miejscu. Na szczęście to trwało jeden dzień,

bowiem w 1941 w czerwcu, pod naporem wermachtu sowieci i ich współpracownicy chyżo pomykali.

W obliczu zatargu o wileńszczyznę Litwini niechętnie przyjażnią się z Polakami. Mimo to utrzymujemy przyjazne relacje z większością sąsiadów. Nie tylko spotykaliśmy się z osobami przez nas najętymi do pracy. Równocześnie z sąsiadami rolnikami prowadzimy pogawędki (w języku litewskim), zwłaszcza zimą. Niewiele z tych tematów mogę przytoczyć – pamięć jest zawodna. Pewnie nie ma czego żałować. Na marginesie zwracam czasem uwagę na język prowadzonych dialogów, może to jest wynikiem mojej irytacji, gdy czytając dawne pamiętniki szlachciców podróżujących po Litwie i dalej, odczuwałem braku informacji o używanym w dialogach języku.

Zaciekawiała mnie jako 12-to-letniego chłopca wojenna opowieść leciwego Witautasa Szakonasa. Niewątpliwie wojował jako żołnierz cara wówczas narodu rosyjskiego jak i litewskiego. Przypominam kraj jego wojennej epopei – Mandżuria oraz nieprzyjaciele Japończycy. Dopiero w Polsce doszedłem, że ta wojna była prowadzona w latach 1904-5. Zakończyła się klęską carskiej armii. Nie piszę rosyjskiej, zwłaszcza że, w niej byli wcieleni przedstawiciele wielu narodów m.inn. tysiące Polaków i Litwinów. Oficjalnie nie podaje się ilu Polaków car Mikołaj II tam wysłał, lecz znane są wizyty Piłsudskiego i Dmowskiego w Japonii w celu pozyskania jeńców z tamtej wojny, ciągle przetrzymywanych w japońskich obozach. Mówili o tysiącach Polaków. A ile ich zginęło, także ocalało i wróciło z resztkami armii carskiej? Tego nikt nie liczył. Ogólna liczebność żołnierzy polskich i litewskich na początku wojny mogła sięgnąć nawet dziesięć tysięcy. Witautas niewątpliwie brał udział w tej wojnie. Opowiadał o kilkutygodniowej jeździe pociągiem, o marszu po wyładowaniu. Twierdził, że znacząca część żołnierzy carskiej armii poległa, zmarła z powodu chorób, bądź została wzięta do niewoli japońskiej. On wśród niedobitków i uciekinierów uratował się, gdyż jako młodociany był przeznaczony do dostarczania amunicji, którą ładował na konia i dostarczał walczącym żołnierzom. Teren był wyjątkowo nierówny pokryty wzgórzami, więc wozem się nie dało. Musiał wielokrotnie w ciągu dnia pokonywać odległość skład broni – front. Po pewnym czasie uciekający żołnierze go zawrócili. Uciekali w pośpiechu pozostawiając

Japończykom całe zaopatrzenie. Maszerując do kolej, przez wiele dni cierpieli straszliwy głód. Sądzę, że maszerując tam, zdążyli spustoszyć wsie, więc teraz po drodze nic do jedzenia nie mogli znaleźć. Stwierdził: - wręcz jedliśmy liście z drzew. Następnego dnia po jego opowiadaniach, dokonałem próbnego spożywania młodych liści. Nie było to takie straszne, jak to wynikało z opowiadania Witautasa – może na Litwie liście mają lepszy smak niż w Mandżurii? Do kraju wrócił krańcowo wyczerpany. Jak wiadomo, agresywne ambicje cara legły w gruzach, tymczasem o weteranach nie zapomniał on do końca. Na przykładzie Witautasa to widać jak na dłoni, bowiem jako młodzieniec kawaler otrzymał 5 ha ziemi. Nie trzeba wspomnieć, że to nie była carska ziemia lecz została oderwana od ziemi moich przodków. Wdzięczności do moich przodków nie wykazywał, a do cara – owszem.

Jak twierdził, już na wojnę 1914 roku car go nie zmobilizował. Nam to opowiadał po ponad 40 latach od tych wydarzeń i ciągle był jedną z najbardziej chudych postaci w okolicy. Miał brata Antonasa, którego do wojska nie pobrali, bowiem miał wrodzoną wadę budowy ciała, mieszkali obok siebie. Innych w ich wieku w okolicy nie było, niektórzy w oresie I ŚW zostali wcieleni do wojska i nie powrócili.

Jak wiadomo z danych historycznych, na tych wzgórzach Mandżurii w wyniku wielu bitew poległy setki tysięcy żołnierzy obu stron i tam ich pogrzebano. Znany jest nastrojowy walc (biały walc, Mandżurskie Stopki) przypominający te tragiczne walki. Rosyjska treść piosenki sugeruje, że to byli bohaterowie, gdyż bronili swojej ojczyzny, co nie do końca jest prawdą. Gdzie Mandżuria, a gdzie Rosja? W sumie prawda jest taka, że car usiłował dokonać rozszerzenia granic swego kraju. Będąc agresorem, miał dużą ochotę, aby zagarnąć nie tylko Mandżurię, ale i Koreę. A skończyło się stratą nawet Mandżurii. Pamiętam, pytałem go, dlaczego nie postarali się Japończyków pobić. Powiedział, że Rosjanie chcieli tego, lecz Japońce wyjątkowo zaciekle atakowali, a Litwinom i innym narodowościom to wisało. Ci, którym nadarzała się okazja – poddawali się. Wśród ocalałych nie znalazł swego serdecznego kolegi Jonasa. A swoją drogą, młodych żołnierzy szkoda, zwłaszcza nie Rosjan. Na zdjęciach wykonanych na pobojuwisku widać w wysokiej trawie pokaźną ilość krzyży prawosławnych a także katolickich. Chyba się zgodzicie, że tak

daleko i nie wiadomo za co, swoje życie kończyć jest bez wątpliwości tragiczne. Ten biały walc w taką właśnie zadumę wprowadza.

Przy okazji wspomnę o pamiętniku, na który natknąłem się w 'google.pl, pamiętniki". Są tam wspomnienia z tej krwawej wyprawy polskiego żołnierza. W carskim wojsku służbę odbywali przodkowie wielu polskich rodzin. Na przykład odbywał przymusową służbę dziadek mojej żony. Służba wówczas była wieloletnia, zatem żołdacy imali się różnych forteli aby zostać z niej zwolnionym. Dziadek poprosił babcię o przysłanie maści wywołującej ropiejące owrzodzenia. Ponieważ lekarz nie był w stanie dziadka wyleczyć ze wrzodów, to pewnie ze względu na bezpieczeństwo pułku, zwolnił go ze służby mówiąc: - Boh adin znajet czto eto za bolezn. Po wykurowaniu się, żeby uniknąć ponownego wcielenia do wojska, pojechał do Kanady, gdzie pracował przez parę lat jako drwal. Zauważcie – za cara można było wyjeżdżać za granicę. Bolszewicy z tym kategorycznie skończyli.

Wracając z międzynarodowych wydarzeń do bardziej osobistych, muszę wspomnieć, że tak jak wszędzie, tak i w naszym gospodarstwie, przed II W.Ś. mamy mało maszyn, więc pracy i zatrudnionych ludzi musiało być niemało. Mało tego, praca w tych warunkach jest też nad wyraz mozolna, bez dwóch zdań. Praca na polu oczywiście jest ciężka, wspominam pracochłonne wykopki ziemniaków. Swoją drogą, dopiero po przyjeździe na poniemieckie gospodarstwa natknęliśmy się na stosunkowo proste wynalazki, powiedziałbym wręcz w zasięgu możliwości wykonania przez wiejskiego kowala, znakomicie ułatwiające pracę na roli. Przykładem może być mechaniczna koparka do ziemniaków, urządzenie do równomiernego rozrzucania na polu obornika, czy narzędzie do rozrzucania siana, aby po skoszeniu szybciej obsychało.

Jest zadziwiające, że te proste narzędzia (nie maszyny) były nieznane na Litwie, a może i w Polsce, w kontekście ich wynalezienia w Europie w połowie XIX wieku. Mamy bydła okresami nawet około 30 sztuk, krowy łaciate plus konie, owce i świnie. To było niemałe stado, a więc i obornika niemało. Wówczas pewne problemy pojawiają się, gdy należy codziennie wyprowadzać bydło na odpowiednie pastwisko. Gdy oglądam amerykańskie westerny, gdzie bydło było pędzone przez kowbojów, wciąż mi przed oczyma pojawia się ta czynność wykonywana w Eikiniskach.

Oczywiście skala jest nieporównywalna, zwłaszcza dla potrzeb filmu. Tamci farmerzy mieli ogromne pastwiska i stąd pokaźna ilość bydła, czy aż w takich ilościach, jak na filmach, to inna para kaloszy. Tymczasem do utrzymania w ryzach 30 krów, też musiały być zatrudnione 3 osoby; 2 po bokach i jedna z tyłu. Krowy były po nocy głodne i często zbaczały, żeby po drodze poskubać zasiewy.

Niemalego trudu wymagała inna czynność, a mianowicie wyjątkowo pracochłonna i nieprzyjemna jest wykonywana wiosną oraz jesienią praca związana z wydobyciem i wywożeniem obornika. W okresie zimowych miesięcy zwierzęta przebywały w oborze i oczywiście produkowały obornik. Co jakiś czas robiono im ze słomy świeże posłanie, żeby się zbytnio nie brudziły. W sumie po kilku miesiącach wytwarzała się gruba warstwa ściśle ubitego obornika i trudno było go widłami usuwać. Wszystkie zwierzęta mieściły się w olbrzymim pomieszczeniu – oborze. Ilekroć słyszałem potem o stajni Augiasza to widziałem w wyobraźni naszą oborę. Służba miała ciężką około 10-dniową cuchnącą pracę. Tam były małe okienka, a więc fetor niesamowity i to wymagające niemałego wysiłku wrywanie gnoju za pomocą wideł. Że też oni to znosili – dobrze, że stamtąd wynieśliśmy się, dziś nikt by tego nie miał ochoty robić. Dziś obory tak nie wyglądają i problemu z nawozem pracownicy nie mają. Pracą, bardzo ciężką i nieprzyjemną, było też wiezienie obornika na pole i w miarę równomierne jego rozrzucanie.

Natomiast orkę zaliczyłbym do szczególnie mozolnych długotrwałych prac, chociaż też niełatwych. Podziwianym specjalistą był parobek Pauksztelis, poczynając od żniw dzień w dzień pojedynczym pługiem orał te ogromne pola aż do wystąpienia mrozów. W zachodniej Europie wówczas już stosowano traktory, a nawet, gdy ich brakowało, dwa silne konie ciągnęły podwójny pług. Na Litwie niemal nie spotykało się tak silnych koni. Oracz przychodził wyłącznie na obiad, przy czym podwieczorek w postaci bańki mleka i kilku pająd chleba ze słoniną, ja mu zanosilem na pole. Wówczas siada na specjalnie zostawionym snopku słomy, je i nieco odpoczywa. Jak jego żołądek taki posiłek mógł wytrzymać bez katastrofy to zostanie jego tajemnicą. Tu dodatkowo bym dodał, że według poczynionych badań, mleko dla dorosłych ludzi jest wręcz szkodliwe. Taka teza miałaby ewolucyjne wsparcie, dorośli nie powinni odbierać mleka dzieciom. Nic nowego nie napiszę, skoro dodam, że

omawiany oracz odpoczywał częściej, chociażby przez wzgląd na konie – to nie traktory, muszą odpocząć i jednocześnie coś zjeść (traktory też konsumują paliwo). Zresztą konie musiały być wymieniane po paru dniach takiej pracy.

Dojenie krów było piekielnie mozolne, 2 razy dziennie doi się ręcznie 25-30 krów, nie wyłączając oczywiście sobót, niedziel, świąt! Byka nie było, dopiero w Polsce mi uświadomiono, że byk musi być niespokrewniony ze stadem. Ten fakt jest potwierdzony zmniejszaniem się populacji niektórych dzikich zwierząt w Afryce, zwłaszcza gepardów. Tam to zjawisko występuje, wszak stada są od siebie znacznie oddalone. Może o tym wieśniacy Polski, Litwy, Rosji nie mieli kiedyś pojęcia i dlatego mamy krowy mniej mleczne, a konie słabsze w porównaniu z pociągowymi końmi na zachodzie.

Okres żniw przy okazałym gospodarstwie to ogromna praca. Koszenie, wiązanie, zwózka do stodoły. Natomiast już mamy mechaniczną kosiarkę na zboże i na siano. Po zwiezieniu zboża przyjeżdżała do nas młockarnia, tak jak obecnie kombajn, napędzana silnikiem spalinowym z tą różnicą, że kombajn wymłaca zboże bezpośrednio na polu. Młócenie naszego zboża odbywało się w stodole po całkowitym zakończeniu akcji żniwnej.

Prądu nie mamy. Były, zatem w użyciu lampy i latarnie naftowe o różnej konstrukcji. Oświetlenie w domu nie było dostatecznie jasne, co było dokuczliwe zwłaszcza w okresie jesiennym i zimowym.

Ojciec wówczas mało fizycznie pracował, wyjątkiem było obsiewanie pól. Robił to osobiście ręcznie, według niego inni obsiewali nierównomiernie (coś z tego u mnie zostało – krytykowałem sposób siania przez żonę pietruszki na działce, obraziła się i już nic na działce nie robiła od tego czasu). Na mechanicznej kosiarce ciągnionej przez konie, też siedział osobiście. Zapamiętałem też niektórych sąsiadów: Antonas i Vitautas Szakonasy, Gadiszkis, Juranas. W niedzielę jechaliśmy 'kolaską' do kościoła Onuskis. Na honorowej ławce przy ołtarzu siedziała w tamtych czasach rodzina grafów Komaras. Po przyjeździe do Polski nazywał się Komar. Złoty medalista olimpijski w pchnięciu kulą, Władysław Komar może był spokrewniony z nimi, lecz pochodził z innej litewskiej miejscowości.

W tamtych czasach często jeździmy po kiepskich drogach. Załatwiamy wtedy różne sprawy urzędowe, jak spłata kolejnych dłużnych weksli, równocześnie odwiedzamy targowiska w Rokiszkis, Panemunis, Pandelys. Mieliśmy dość wygodną, jak na owe czasy, wyżej opisaną kolaskę na resorach. Z brezentowym dachem postawianym w razie deszczu. Kolaskę ciągnął pojedynczy koń. Wieśniacy takich kolasek nie posiadali, musieli, więc cierpieć w czasie kilkugodzinnej jazdy w deszczu czy zimnego wiatru. Wyjazdy ojca kolaską, najczęściej do oddalonego o 25 Rokiszkis, były związane nie tylko z długami, lecz też z chęci sprzedaży na przykład konia.

Zawsze nalegałem, aby ojciec mnie zabierał na te wyjazdy. Tylko jedna moja przygoda związana z wyjazdem pozostała w mojej pamięci. Gdy ojciec na targu był zajęty targowaniem o cenę konia, będąc w wieku przedszkolnym powędrowałem uliczkami Rokiszkis. Zastępują mi drogę jacyś chłopcy i pada pytanie:

- Ar tu nori gauti i snuki? Co w naszym języku oznacza: - czy chcesz dostać w pysk? Oczywiście tego nie chciałem, problemów w tej miejscinie nie szukałem, więc odpowiedziałem: - Ne! t.j. nie! Oni się śmiejąc oddalili. Potem ojciec miał chwile niepokoju, zanim jeżdżąc po uliczkach mnie zlokalizował w tej miejscinie. Podczas tej przygody byłem mały, ale jeździłem z ojcem nawet jako 13 letni chłopiec. W Rokiszkis w 1944 roku, mieszkając u pewnej wdowy, na stacji, uczęszczałem do gimnazjum. Po udanej transakcji ojciec podjeżdżał pod dwór Komorowskich (tak, z tej rodziny wywodzi się nasz prezydent), zostawiał mnie w kolasce i wpadał do środka, aby po polsku pogawędzić z domownikami. Nie jestem pewien, z kim on tam rozmawiał ale tematem zapewne były problemy związane ze spłatami zadłużenia. Ze względu na niezapowiedziane wizyty, nie byłem zabierany do tego domu. Zawsze otrzymywał torebkę cukierków. Mówiono, że tam była fabryka tych smakołyków.

Wracając do problemu jakości dróg, jak już wspomniałem, w czasie moich trzech wizyt już po uzyskaniu przez Litwę niepodległości, mogłem stwierdzić, że komuniści wybudowali całkiem niezłe drogi asfaltowe. W końcu potrzebne im były m.in. do komunikacji z obwodem Kaliningradzkim i portem Kłajpeda. Wątpię czy gdyby Litwa była wolna, te drogi by powstały. Nie inaczej na Łotwie, wybudowali dobre asfaltowe drogi ułatwiające komunikację z ważnym portem, jakim jest Ryga.

Wizyta w Eikiniszkach 1999 roku

Tu przedstawię aktualny stan posiadłości Eikiniszki, mimo niechronologiczności opisu. Czytając o dawnych wydarzeniach, dobrze jest wiedzieć jak ta sceneria obecnie wygląda. Na wizytę do miejsca mego dzieciństwa w okresie ZSRR nie otrzymywałem zezwolenia, odbywam ją dopiero w roku 1999. W czasie wypoczynku w Druskiennikach, jadę do Kowna do cioci Ireny, namawiam ją do towarzyszenia mi w podróży do Eikiniszek. Gdy zbliżamy się do tej miejscowości, to oczekuję, że za chwilę wyłoni się aleja, po bokach której rosną wysokie klony i dęby. Ta aleja prowadzi do starego dworu zbudowanego między wysokimi klonami i lipami, które ten dom chronią przed dokuczliwymi wichrami. Z innych zabudowań spodziewam się ujrzeć dużą murowaną oborę połączoną ze stajnią, drewnianą stodołę i kamienny spichrz (swirnas) Obok jezioro i rodzinny cmentarzyk. Wokół jeziora, zabudowania chłopskie. Nieopodal masywne zabudowania Stasiulisów. Układam w myśli litewskie zdania, które powiem obecnym gospodarzom naszych zabudowań.

Wszelako spotyka mnie rozczarowanie. W miarę zbliżania się do tego miejsca, moje wyobrażenia rozwiewają się jak mgła pod wpływem promieni słonecznych. Wyobrażenia czy oczekiwania zostają mocno skorygowane przez rzeczywistość. Widzę jezioro, spichrz i cmentarzyk. Nic więcej, żadnych drzew i sąsiednich zabudowań, koniec kropka. Zabudowania Małachowskich i Stasiulisów zostały zlikwidowane, jednak o miejscu, w którym stały, nie było trudno zorientować się, bowiem nadal stoi tam nasz swironas jako częściowo zdewastowany pustostan. Dziś nikt nie mieszka koło jeziora i nie ma żadnego śladu po tych gospodarstwach. Jedynie stoi kamienny nasz swirnas, także mały cmentarz naszych przodków – rozkopany przez złodziei – hieny cmentarne. Mam wrażenie (podejrzewam, że nie tylko ja), że umarłym należy umożliwić spokój. Tu nadmienię, że nasz swirnas, według litewskiego internetowego opracowania, został zaliczony do zabytków nieopodal umiejscowionego litewskiego dworu. Rzecz w tym, że zabudowania tego dworu są odległe od naszych o 5 km.



Swirnas (spichsz), wybudowany pod koniec 19 wieku. Należał do Kossarskich a później do Małachowskich. Wnętrze tego budynku z poddaszem było podzielone na wiele prostokątnych drewnianych przegród na zborze. Obecnie opisany w Internecie jako zabytek. Tam nie ma wzmianki o naszym siedlisku.

Cały areal naszej posiadłości został jakoś wyrównany, nawet pagórki zniknęły! Także z internetowej historii wymazany. Dziś tam są równo obsiane pola, aż do lasów po stronie łotewskiej. Przykre zderzenie z rzeczywistością. Na uwagę zasługuje nawet zmiana wyglądu jeziora. Musieli odciąć drogę odpływu nadmiaru jego wody, bowiem jego powierzchnia znacznie się powiększyła. Teraz bezpośrednio z brzegu można wejść do wody. Przed laty, gdy poziom wody był regulowany jej odpływem rzeczką, wejście do wody było możliwe jedynie w kilku wąskich miejscach, utrzymywanych sztucznie w celach kąpania się lub pojenia bydła. Pozostała część ukształtowała się przez wieki i miała postać coś w rodzaju dywanu, który się niebezpiecznie sprężyste ugiął pod stopami. Twierdzono, że w przypadku jego przerwania, człowiek zapada się w toń i to bez możliwości ratunku. Zwłaszcza dzieci w to wierzyły i nigdy nie próbowały "wywoływać wilka z lasu". Bydło także tego nie próbowało.

7. POBIERANIE NAUKI

Mój okres w szkołach litewskich

Gdy kończę 6 lat postanawia się, że czas rozpocząć moją edukację. W odległości 400 m od naszego dworku był dworek mojej cioci Jolanty. Miała ona syna Władasa o

miesiąc starszego ode mnie, więc nas obu zaprowadzono do 2 klasowej szkółki odległej aż o 3 km. Prowadzą nas do niej odcinkami po drodze, odcinkami ścieżkami, w końcu dla sześciolatków to było wystarczająco skomplikowane. Pytają czy sami wrócimy ze szkoły. Władasiem zapewnia rodzica, że tak. A więc powiedziano nam, że sami musimy do domu wrócić. Wiedząc, że Władasiem lubi się przechwalać, nie do końca wierzę w jego znajomość trasy do szkoły. Zatem na lekcji niezmiennie jego pytam czy na pewno nie zabłądzimy powracając. Mimo jego zapewnień nie daje ten problem mi spokoju. Nie jestem przekonany i dalej go pytam. Nauczycielka nieco zdenerwowana krzyczy:

- vaikai ne kalbeti!, (dzieci nie rozmawiać!).

Ale dla mnie 6 latka był ważniejszy problem powrotu do domu i dalej Władasiem pytam. W końcu nauczycielka szowinistka krzyczy:

- Lankai ne kalbeti! (Polacy nie rozmawiać).

Władasiem powiedział zdecydowanie

- asz esu Lietuvis ne Lankas (jestem Litwinem nie Polakiem)-

W końcu jego ojciec był Litwinem, mówili w domu wyłącznie po litewsku. Jego żona Jolanta, siostra mojej mamy, ukończyła polskie gimnazjum, ale mimo to, że była z domu Polką (Kossarska), dzieci nie uczyła tego języka. W ten oto niespodziewany sposób, w szkole dzieci się dowiedziały, że przybył ktoś różniący się od nich. A więc już pierwszego dnia w szkole stałem się 'malowanym ptakiem', którego należy dziobać, jak to sugestywnie w swojej pseudo-biograficznej powieści przedstawił Jerzy Kosiński, wszelako w znacznej mierze kłamliwej. Tam przedstawia perypetie żydowskiego chłopca wśród polskich rówieśników. Według autora, okrutnie go maltretowali. Nie wszystko było zgodne z rozsądkiem, logiką! Podam dla przykładu jeden epizod. Tego żydowskiego chłopca (w domyśle Kosińskiego), zimą zawlekają nad staw, wyrębują w nim przerębel i wsuwają go pod lód. Sądząc, że już nie żyje, odchodzą. On wydobywa się spod lodu i przeżywa. Tak, jakby go posadzili na drzewie, a on z niego zeskoczył. Zgadzać się, to się nie trzyma kupy! A

malowany ptak, to bocian przez wiejskich łobuziaków pomalowany i wypuszczony do swoich pobratymców, którzy go atakują, wszak różni się od pozostałych.

Wracam do mojej, zdecydowanie mniej drastycznej przygody, może, jak w Polsce czyta się powyższy szkolny dialog, nie wydaje się on szokujący, tymczasem proszę sobie wyobrazić u nas podobną sytuację: nauczycielka krzyczy:

- hej wy tam Litwini (bądź Ruscy albo Cyganie, czy Żydzi) uspokójcie się!

Dla nich nie byłoby to z pewnością miłe, a reszcie klasy ubaw. Trzeba być psychologiem, albo samemu przez to przejść, aby wczuć się w sytuację, którą opisuję. Do pierwszej klasy zaczynam chodzić mając 6 lat. Inne dzieci w tej klasie są siedmioletnie. 6-cio latek jest nieco słabszy od 7-mio latka. Ci młodszy mogą się czuć niepewnie w szkole. Radziłbym nie tworzyć takiej mieszanki, albo wszyscy 7-latkowie albo wszyscy 6-latkowie. Raz idąc do szkoły przyłaczamy się do innego chłopca. Wywiązało się jakieś nieporozumienie i dostaję od niego ciężką butelkę z mlekiem po głowie. Zabolęło, zapamiętałem zawrót głowy, więc po dotarciu do szkoły skarżę się na niego nauczycielce. Ona bez sensu:

- butelka się rozbiła?

- nie,

zgodnie z prawdą odpowiedziałem. Nauczycielka z poważną miną:

- No to nic się nie stało.

Taka reakcja nauczycielki, to przecież olbrzymia niesprawiedliwość, agresję powinna potępić. Więc po powrocie do domu opowiadam ojcu o zdarzeniu oraz o reakcji nauczycielki. Ojciec na to:

- jutro jak go spotkasz to daj mu w mordę, ale mocno.

Bierze moją rękę i uderza nią swój policzek, a więc dokładnie pokazuje jak to mam zrobić, gdy spotkam tego chuligana. Zgodnie ze wskazówką, po spotkaniu go następnego ranka, na przywitanie wymierzam mu siarczysty policzek. Dziwne, tym razem nie rzuca się na mnie z butelką, lecz zaczyna beczeć (taki mazgaj o rok starszy). Oczywiście skarży się nauczycielce, która mnie okropnie beszta oraz

ustawia w kącie klasy (zdziwiłem się, że nie spytała czy mi ręka nie zabolą). Taka to sprawiedliwość! Moich rodziców ona nie wzywa, w końcu zna przyczynę mojego postępków i swoją niesprawiedliwą reakcję w dniu wczorajszym. Przy okazji muszę poświadczyć jedno: w litewskich szkołach bicie uczniów przez nauczycieli było surowo zabronione. Do kąta tak, ale nie bicie, co masowo występuje w Polsce w owych czasach. Mój kolega ze studiów Staszek Salamonik wspominał piekący ból uderzenia linijką w otwartą dłoń. Od tego czasu wiem jak reagować na zaczepki. Nigdy atak na mnie nie pozostaje bez takiej czy innej odpowiedzi. Ponoć przez pewien czas byłem przekonany o bezkarności, gdy się kogoś uderzyło w głowę przedmiotem, na przykład butelką bądź kijem. Ale gdy się uderzy ręką, następuje kara.

Do trzeciej oraz czwartej klasy uczęszczam w Czedasai, jest położona nieco dalej, około 7 km od domu. Przebywam tam na stacji u kościelnego organisty. Kierownikiem szkoły jest energiczny głośno mówiący nauczyciel o nazwisku Kalpokas. Niemcy go zaopatrzyli w karabin z amunicją. Niewątpliwie był faszystą. To się przekłada na nienawiść do Polaków, wszak zarówno Litwini, jak i Niemcy mają na pieńku z Polakami. Staram się mu nie wchodzić w drogę, tymczasem wciąż moje niedociągnięcia wyszydza. Pewnego razu, gdy nie odrabiam w domu jego lekcji wrzeszczy na całą klasę. Twierdzi przy okazji, iż już nadszedł moment, żeby z Polakami się rozprawić, czy coś w tym rodzaju. Następnie na przerwę wychodzi na boisko szkolne z karabinem i zaczyna strzelać do wron siedzących wysoko na drzewach. Obawiam się, że w myślach widział, iż strzela do Polaków (a może do mnie). A swoją drogą, to była 'piękna lekcja' dla uczniów, strzelać bezinteresownie, dla zabawy do ptaków. W domu o zajściu nic nie mówię. Dopiero w Polsce o incydencie powiedziałem ojcu. Stwierdził, - należało wówczas powiedzieć o tym, bom z Kalpokasem porozmawiał. Natomiast wówczas wolałem nie wplątywać ojca w awanturę z nim, zwłaszcza że, go widziałem strzelającego bardzo głośno z dużego karabinu... W Internecie jest opis wspomnienia świadka Litwina z okresu wojny i po niej o 'moim' Kalpokasie. Napisane w języku litewskim. Był dowódcą Szauliusów. Jego oddział w pewnym okresie liczył 300 członków. Są tam opisane jego dokonania w okresie okupacji niemieckiej, gdy z Niemcami współpracował. Piszę o nim w miejscu gdy ścigano partyzantów sowieckich zrzuconych z samolotów do litewskich

lasów, którzy pewną zimową nocą nas obrabowali. Wówczas mój nauczyciel przy pomocy swego oddziału i oficera Niemca usiłował załatwić sowieckich partyzantów. Powracam do relacji świadka. Świadek poruszył też drażliwy obecnie wątek żydowski. Kalpokas ujął i przekazał Niemcom komunistę Żyda Jofego. Niemcy jego i przy okazji innych niewinnych Żydów gdzieś wywieźli i rozstrzelali. Świadek wspomniał też o zwalczaniu przez Kalpokasa na Wileńszczyźnie oddziałów AK. Tymczasem w okresie okupacji sowieckiej, aż do końca 1945 roku Kalpokas walczył o wolność kraju. Potem ukrywał się, dopiero w 1952 roku po ujęciu i procesie go stracono. Pozostawił ukrywającą się żonę, dwie córki i synów bliźniaków, którzy w całym okresie ZSRR nie mieli łatwego życia bowiem nazywano ich synami bandyty. Obecnie jest uważany za bohatera. Wśród wielu uczących mnie nauczycieli, takiego też zaliczyłem.

Jadę na Łotwę, gdzie kończę ostatnie klasy szkoły podstawowej.

Miasteczko Czedasai posiada kompletną szkołę podstawową. Mogłem w tym miasteczku spokojnie tę szkołę ukończyć. Jednak po dwóch latach kategorycznie oświadczyłem rodzicom: - wybaczcie ale chcę do innej szkoły. Nie miałem, bowiem ochoty nadal być nękanym przez Kalpokasa, który w miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej wojowniczy i radykalny. Wszelako o właściwej przyczynie chęci zmiany, rodzicom nie mówiłem. Było kilka możliwości zamiany, bowiem w okolicznych miasteczkach też istniały szkoły podstawowe. Zdecydowano na szkołę litewską w łotewskim przygranicznym miasteczku Nereta. Więc rodzice zdecydowali o moim kształceniu dalej w szkołach litewskich, aczkolwiek w nieco dalszym Dyneburgu szkoła polska też istniała.

Przy okazji zwracam uwagę, iż wówczas jestem, jak to jest przyjęte nazywać 'native speaker' dwóch języków: litewskiego i polskiego. Często się spotyka ludzi płynnie mówiących w kilku językach. Aczkolwiek 'native speaker' to coś wyższego niż płynność.

Zatem ostatnie klasy szkoły podstawowej ukończyłem na Łotwie (Nereta), gdzie istniały dwie szkoły umieszczone obok siebie: szkoła litewska oraz łotewska obie z internatami. Do szkoły litewskiej uczęszczali łotewscy Litwini. Wyjątkiem byłem ja –

litewskim Polakiem. Dzieci litewskie na Łotwie siłą rzeczy język litewski kaleczyły. Lepszy byli w łotewskim języku. Nawet można było usłyszeć dzieci rozmawiających między sobą po łotewsku. Dlatego mój język litewski był najlepszy. Miałem pewną przewagę pod tym względem, gdyż lekcje odbywały się po litewsku. Trochę to dziwne, ale nie było tam przedmiotu 'język łotewski'. Wszak dzieci mieszkające na Łotwie po ukończeniu szkoły litewskiej mogły nie umieć pisać po łotewsku! Chyba w innych krajach tak nie było.

W końcu uwolniłem się od dokuczliwych uwag na temat swojej narodowości. Łotwa przed wojną graniczyła z Polską, a w tamtych czasach, było to jedyne graniczące z nami państwo ustosunkowane przyjaźnie do Polaków. Na Łotwie rzadkością były szkoły bez internatów. Łotysze mieli w większości pokaźne gospodarstwa, stąd odległości spore do szkół.

Na Łotwie nauka jest inaczej zorganizowana. W tej miejscowości obok siebie stały dwa internatowe budynki: większy dla Łotyszów a mniejszy dla Litwinów. Zarówno nauka jak i życie internatowe były dość sprawnie zorganizowane. Opiszę to. Po wejściu do stołówki, wszyscy na początku stoimy przy stołach, Łotysze odmawiają pacierz (kalwini – odmiana protestantów), potem my po litewsku (katolicy) to samo, a oni w tym czasie stoją, następnie rozpoczynamy konsumpcję. To jest dobra lekcja tolerancji narodowościowej oraz religijnej. Jakim jesteś to twoja sprawa, nic mi do tego, najwyżej zdrowe zaciekawienie. Po śniadaniu wracamy do swoich klas. Po lekcjach i obiedzie jest krótka przerwa, kolejne 3 godziny odrabiania lekcji w dużej sali, podobnie jak na przedpołudniowych lekcjach, jest wówczas cicho, pod nadzorem nauczyciela. Po dniu ciężkiej pracy, WFie i po kolacji idziemy się umyć pod prysznicem. Wychowawca każdorazowo przypomina, żeby nie zapomnieć o umyciu uszy i między nogami. Śpimy wszyscy chłopcy w jednym długim pomieszczeniu na poddaszu szkoły. Łóżka ustawione w dwóch rzędach. Dziewczyny w podobnej sali.



Pokazuję tu zdjęcie trzech amerykańskich studentów uczestników starcia na śnieżki.

Zimą, gdy jest już dużo śniegu, staczamy codzienne łotewsko-litewskie bitwy na śnieżki. Pod kontrolą nauczycieli. Staliśmy wówczas w odległości 15 metrów od siebie. Dwa szeregi wymieniają rzuty śnieżek. Ich było zdecydowanie więcej, trudno było wytrzymać taką nawałę 'zimnego ognia'. Czasem obrywamy bolesne razy, bowiem oni nie byli fair, zdarzali się tacy, co uprzednio produkowali złodowaciate twarde śnieżki. Żeby nie wywoływać tego rodzaju eskalacji (ich było zdecydowanie więcej), my ze swej strony takich sztuczek nie stosowaliśmy.

Wydaje się, że matma tam miała przyzwoity poziom. Odczuwam to w polskich szkołach. Przedtem oraz potem będąc na stacjach prywatnych, po lekcjach w domu mało się uczę, bowiem nikogo nie obchodziło czy lekcje odrobione. A zadawano niemało prac domowych. Oczywiście, moimi postępami w nauce interesowali się rodzice. Tymczasem w tamtym internacie, też zamiast odrabiać lekcje, często, pisujemy liściki do siedzących w tej sali koleżanek. W sumie to pisanie należy do części naszego czasu pożyteczniejszego niż okresu nicnierobienia.

Nereta była na tyle odległa od naszego domu, około 14 km, że w soboty nie wracam do domu. Pewnie rodzice zbytnio nie tęsknili za pierworodnym. Na

usprawiedliwienie bym wyjaśnił, że wówczas także w soboty się do szkoły szło. Zatem dwie godziny w sobotni wieczór ktoś musiałby jechać po mnie i zaraz dwie godziny z powrotem. Następnego dnia to samo, żeby mnie odwiedzić. Takie rozwiązanie byłoby uciążliwe. Przez wzgląd na zamykanie internatu w sobotę po południu, przenosiłem się na jedną noc aż do wieczora w niedzielę do rodziny miejscowego policjanta nazisty. On miał zwyczaj w sobotę wieczorem tego się upić, wówczas chwycił rewolwer i łąził wokół swojej chaty krzyząc, - dziś to muszę jakiegoś bandytę zastrzelić, niech którego tylko spotkam koło mego domu. Strzelił ze dwa razy i wracał do domu. Trochę się go bałem, żeby mnie będąc pod wpływem, za bandytę nie wziął.

Pewnie nie przypominałem mu bandytę, no i jakoś przeżyłem te jego pijackie napady. To był okres okupacji niemieckiej, był więc faszystą. Po czym jak Niemcy wycofywali się pod naporem rosyjskim, on z rodziną zabrał się z nimi. Słuch po nich zaginął.

Uciekinierzy znaleźli się w rejonie Rygi w kotle otoczonym przez Rosjan. Trudno było liczyć na powodzenia tych ucieczek. Niemcy mieli na głowie ewakuację swoich wojsk. To czynili drogą morską, jak też przebijając się z okrążenia. Z zachodnich wojennych danych istnieje opis przygody brawurowego niemieckiego oficera czołgisty, który na czele dwudziestu tygrysów, zdołał się przebić przez sowieckie okrążenie i połączyć się ze swoim wojskiem. Pociągnął za sobą resztę okrążonej armii niemieckiej. Tymczasem Łotyszom nie było wesoło. Nikt ich nie ratował. Wiadomo – mnóstwo Łotewskich rodzin wywieziono na Sybir.

Łotwa uchodziła za przyjaciela Polski. Jednak jest pozekadło: przyjaciół poznaje się w biedzie. Jak wiadomo, Polska graniczyła z Łotwą i mieliśmy z nią, w przeciwieństwie do Litwy, dobre stosunki sąsiedzkie. Jednak tu muszę wspomnieć o przykrych niespodziankach jakie nas spotkały w okresie napaści Sowietów na nasz

kraj. Polscy żołnierze, wobec ogromnej przewagi armii sowieckich i niemieckich po 17 września 1939 roku, nie stawiali w zasadzie oporu. Znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie w tym wąskim obszarze wileńszczyzny. Jednakże próby przekroczenia granicy łotewskiej kończyły się tragicznie. Łotysze obawiając się inwazji Sowieców zwracali uciekinierów. Sowieci ich natychmiast rozstrzelali za przestępstwo nielegalnego przekroczenia granicy. Zatem oficerowie, a nawet zagrożone rodziny przekraczali granicę litewską. Litwini nie zwracali ich Sowiecom. Część znalazła tu schronienie a niektórzy wędrując dalej na terenie Litwy przekraczali słabo strzeżoną granicę litewsko-łotewską. Dalej do Rygi i na zachód. Jak widać Litwini, mimo niechęci do Polaków, postępowali bardziej humanitarnie niż znani z przyjaźni do Polaków Łotysze, natomiast ta przyjaźń dotyczyła czasów przedwojennych. Jak wspominałem wyżej, takiego polskiego oficera podziwiałem gdy maszerował po ulicy miasteczka Rokiszki. Był w mundurze i żaden litewski policjant go nie zatrzymywał. Sądzę, że to nie jest moja, 8 letniego wówczas chłopca bujna wyobraźnia ani ten oficer był jakimś przebierańcem, bowiem ze szczegółowym opisem takiej marszruty można się zapoznać we wspomnieniach Polaka, który w tamtym okresie po wielu przygodach tą drogą przedostał się na zachód.

Jeszcze w czasie okupacji niemieckiej, po ukończeniu szkoły podstawowej w Nerete, nasza klasa jedzie do Rygi na egzamin z zakresu szkoły podstawowej (a nie w obliczu niestrawności do rygi pojechałem). To był warunek uzyskania świadectwa tej łotewskiej szkoły (8 klas). Na sali egzaminacyjnej oczekują na nas litewscy nauczyciele z Litwy oraz z Łotwy też. Do egzaminu byliśmy dobrze przygotowani, bez problemów zdaję.

W okresie wojny między Niemcami i Sowiecami Ryga jako portowe miasto ma dla Niemców znaczenie strategiczne. Przeładowywano tam wojska oraz zaopatrzenie wojenne. Widziałem tam po ulicach maszerujące kolumny wojsk niemieckich, a po chodnikach snujących się żołnierzy. Jadę tam pierwszy raz w życiu koleją z wagonami osobowymi. Ten wielki ciężko sapiący smok robi na mnie niemałe wrażenie. Czyste wagony z toaletą też czystą. To się dzieje w czasie okupacji niemieckiej. Może oni ten nawyk czystości wprowadzili, nie jestem pewien czy przed

wojną tak to wyglądało na Łotwie. W czasie wojny należało dbać o czystość, żeby się zabezpieczyć przed epidemią.

Następnym razem jechałem pociągiem osobowym już w Polsce w roku 1946. Z tego co zapamiętałem, to brud w wagonach. Lokomotywy wyrzucały masę sadzy i jeśli wiatr był słaby bądź wiało w przeciwnym kierunku niż kierunek ruchu pociągu, do wagonów dostawało się sporo sadzy, która osiadała na pasażerów. Potem lokomotywy zaopatrywano w zatrzymujące sadzę filtry, było znośniej podróżować. W Polsce w pociągowych toaletach do czynności higienicznych, o ile coś tam było, o tyle nie więcej niż skrawki papieru gazetowego. Na ścianach toalety widniały napisy polityczne w rodzaju 'sraj Polaku śmiało na Bieruta ciało'. On był wtedy prezydentem i ma okazały grobowiec w alei zasłużonych na cmentarzu wojskowym na Powązkach. Były też napisy wychowawczo-pouczone w rodzaju 'nie myśl chamie, że srasz smalcem, nie podcieraj doopy palcem'. Wszak zdarzali się tacy co tak czynili, gdy zabrakło kawałków gazet - obrzydliwość. Dowodem wymazy na ścianach.

Nawiasem mówiąc zamiast do litewskiej szkoły w Nerecie, mogliby mnie rodzice posłać do też niezbyt odległego Dyneburga, dziś Daugavpils. Tam było polskie gimnazjum! Ono istnieje nadal. Dlaczego tak nie zrobili moi rodzice? Ze względu na brak w tym czasie planów emigracji do Polski, patrząc przez pryzmat przyszłej kariery zawodowej swego syna na Litwie, będzie w znaczący sposób ona ułatwiona po wykształceniu w szkołach litewskich niż w polskich. Moja mama i jej siostra ukończyły polską szkołę średnią, co skutkowało zakazem bycia nauczycielkami, mimo średniego wykształcenia, co było wystarczające do nauczania początkowego.

Rokiszki (Rakiszkis)

Po egzaminie w Rydze, od września 1944 r. wstępuję do pierwszej klasy gimnazjum w Rokiszkis (jest niedaleko od Daugavpils!). W tamtym momencie z kolei, na Litwie już panują sowieci. Tam na stacji mieszka nas troje, ze mną syn sąsiedniego litewskiego właściciela dworu Ladyga oraz córka kierownika szkoły w Czedasai, Kaļpokaite. Tak, z Zitą, córką tego samego kierownika szkoły, który mnie dręczył. Mieszkamy w jednorodzinny drewnianym domku u wdowy Litwinki. Jej syn

w okresie okupacji niemieckiej, wstąpił (a może został wcielony) do litewskich specjalnych formacji zbrojnych i wysłany do 'służby' na tereny Polski. Stacjonował w Busku. Opisywała swego syna, jak większość matek, jako bardzo dobrego człowieka. Chętnie wszystkim pomaga.

Jak w rzeczywistości było, nie można być pewnym. Wiadomo natomiast jak się zwykle Litwini czy Łotysze zachowywali podczas pełnienia tej służby. Przed wyjazdem odbywali specjalne szkolenia oraz postępowali według instrukcji przeznaczonych dla nich. Muszę kiedyś będąc w Busku poprosić starszych ludzi o okres okupacji. Mój przyjaciel Włodek Bedełek mieszkał w Warszawie w czasie okupacji niemieckiej. Pytałem go czy widział Litwinów? Odpowiedział, że były formacje nieniemieckie, inne nieco naszywki na mundurach, między sobą używali jakiegoś języka, jednak to nie był niemiecki ani rosyjski. Kim oni są, nikt z otoczenia Włodka pytać nie śmiał. Można było oberwać kolbą zamiast odpowiedzi. Oni pełnili jakieś warty przed niemieckimi urzędami lub chodzili uzbrojeni po ulicach. W okresie okupacji, zatem lepiej było nie powodować zainteresowania takich żołnierzy swoją osobą. Z tego wynika, iż mojej Litwinki synek nie postępował zbyt łagodnie, gdyby tak postępował mógł mieć kłopoty u przełożonych. A może jak wówczas niektórzy Litwini, był wrogo do Polaków ustosunkowany? Prosiła, żebym się poprosił ludzi w tym miasteczku o jej syna. Czy ona sobie wyobrażała, że syn będąc w tym miasteczku przez parę lat w służbie niemieckiej, nic nie robił tylko bratał się z Polakami pomagając im, którzy w rewanżu kontynuują jego chronienie teraz z kolei przed władzami Polski? Matki w takim przypadku chwytają się każdej sposobności aby odnaleźć syna, czy mieć isierkę nadziei, bez dwóch zdań. Dopisuję tu: będąc w Busku parę razy nie spotykałem sędziwych miejscowych ludzi żeby o to się zapytać.

Gdy chodziłem do męskiego gimnazjum w Rokiszkis w 1944/45 r., to w całej szkole byłem jedynym Polakiem. Epizodu nauki w Rokiszkis nie wspominam najlepiej. Mało tego, zdecydowanie nie mogę być dumny z wyników nauki. Moje oceny oprócz matmy, były na poziomie opłakanym. Po powrocie ze szkoły bowiem, nigdy żadnych zadanych prac nie wykonywałem, za to obrywałem dwóje. Bowiem w perspektywie był wyjazd do Polski. Przed wojną to miasto znajduje się blisko granicy polskiej. Stąd silne emocje nacjonalistyczne w niektórych rodzinach. Niezależnie kto,

w tamtych czasach zagarnia Litwę, Niemcy czy Rosjanie niechęć skierowana jest najczęściej przeciw Polakom. Nieprzyjemnie jest wśród takich ludzi przebywać. Chociaż ich zrozumieć od biedy można, wg powiedzenia 'punkt widzenia zależy od punktu siedzenia'.

Po wkroczeniu Rosjan w 1944 roku ulicami miast (doświadczam tego w Rokiszkach) zaczynają wieczorami grasować kilkunasto-osobowe bandy rosyjskich wyrostków w wieku około 10 lat. Nie są w szkole, bowiem rosyjskich jeszcze nie było. Często się zdarzały napady na nas wracających ze szkoły. Po raz pierwszy spotkamy się z bezrabunkowymi napadami, powstaje słowo 'chuligani'. Oni, bynajmniej nie napadają żeby rabować, lecz zajmują się biciem napotkanych nieznanym im litewskich dzieci. W tych watahach starszych nie widzimy, starsi są żołnierzami względnie szkoleni w tym kierunku a częściowo polegali na frontach. Ci chuligani uważają Litwinów za mięczaków a siebie za twardzieli i pragną to wszystkim pokazać. Pochodzili z rodzin rosyjskich robiących na Litwie nowe porządki. Muszę tu zamieścić uwagę, że takie sceny nie występowały we wszystkich miastach, bowiem po upływie kilku miesięcy znalazłem się w nieco większym mieście Poniewieżu, a tam nic takiego nie miało miejsca.

Taką scenkę opiszę. Wówczas 13-letni wracam ze szkoły i niespodziewanie mnie otaczają około 10-letni Rosjanie w liczbie około dziesięciu. Zaczynają pięściami oraz kopniakami atakować. Mając w ręku ciężką teczkę i będąc nie ułomkiem (13 lat), zaczynam ją wokół siebie obracać. Paru po uderzeniu przewraca się i zaprzestają ataków. Mam nad nimi przewagę paru lat oraz ciężką teczkę z książkami i jakoś obroniłem się nie ponosząc uszczerbku na zdrowiu.

Gdy po latach moja żona usłyszała tę moją opowieść, skomentowała to sarkastycznie:

– nie wierzę w to! Opisujesz to jak byś był Longinusem Podbipiętą z mieczem tnącym Tatarów.

Ja na to poirytowany nieco wobec braków dowodu oraz chcąc się odgryźć:

– wiesz, przed przybyciem Sowietów, ani na Litwie ani w Łotwie po ulicach miast nie grasowały bandy młodocianych chuliganów. Z nimi zapoznałem się na własnej skórze gdy Sowietci nadeszli i niestety także w Warszawie, ale tu były polskie bandy. Nasze narody słowiańskie jednak mają coś wspólnego.

O warszawskich bandach to nie był mój wymysł, bowiem miałem z nią do czynienia w parku. Żona nie odzywała się do mnie do końca dnia. A powinna powiedzieć:

- tak, Litwini ani Łotysze nie mieli młodocianych band, ale mieli znacznie groźniejsze dorosłe bandy do mordowania Żydów, których z kolei Polacy nie mieli. Żona tak nie powiedziała, gdyż o takich okropnościach mogła nie wiedzieć.

Mam tam wtedy w Rokiskis starszego ode mnie o trzy lata przyjaciela (Jonas Juranas) pochodzącego też z Eikiniszek, jest zatrudniony w Rokiskach jako milicjant. Pytam go, dlaczego tych chuliganów nie karzą. Nam ich karać nie wolno, powiada. Litewska milicja nie śmiała ich doprowadzać do porządku. Ciekawy jestem ile lat nie śmiała tego czynić? W końcu musiała z tym się jakoś uporać. A może nie... Aczkolwiek po 1990 r na bank z tym się uporali.

Ktoś ten problem tak wyjaśnił. Rosjanie, w celu utrzymania w ryzach mieszkańców w podbitych krajach, próbują wszczepiać im strach przed Rosjanami. Zaczynają to czynić już od najmłodszych lat. Nie karzą rosyjskie dzieci za tego rodzaju ataki. Potem, gdy taki zastraszone osobnik dorośnie to mu przez myśl nie przejdzie, aby się przeciwko Rosjanom buntować. Dokładnym przebiegiem takiej psychologicznej 'edukacji' zajmują się politrucy. Teraz dopisuję do tego wywodu. Jest marzec 2014 r. Czy nie widać tego w konflikcie Rosja-Ukraina? Ukraińcy tacy śmiali w mordowaniu bezbronnych Polaków na Wołyniu w latach czterdziestych ubiegłego wieku, tymczasem na Krymie oraz w Doniecku potulnie dają się rozbrajać Rosjanom. Sami opisują jaki przebieg miał jeden z takich incydentów. Kilku uzbrojonych Rosjan wchodzi na teren stacjonowania ukraińskiej kompanii wojska i bez żadnej walki ją opanowują. Bez wątpliwości – boją się Rosjan, mają to już w genach. Gdyby Polacy usiłowali opanować Lwów to założę się, bez krwawej walki by się to nie odbyło! Potem w Kijowie odznaczyli dowódcę tej jednostki pułkownika, nie zgadniecie za co. Ten bohater nieustraszenie przyszedł z domu i wkroczył na teren

swojej rozbrojonej jednostki. I to całe ich bohaterstwo. Czy oni walczył z Rosjanami? Nic takiego w korespondencji nie było! Było też uznane za bohaterstwo maszerowanie w zwartym szyku kompanii do niewoli. A okres wielkiego głodu w latach trzydziestych - Ukraińcy masowo woleli umierać niż walczyć z Rosjanami. Sądzę, że takie strachliwe nastawienie do Rosjan musi z czasem zanikać. Następne wolne pokolenie w razie zagrożenia będzie bohatersko walczyło i to przeciwko Rosjanom, bez dwóch zdań! Tu dopisuję na początku 2022 roku. Wszystko co napisałem o tchórzliwości Ukraińców niniejszym odwołuję! Aczkolwiek zmiany przewidziałem.

Zważywszy na moją narodowość, mam w gimnazjum w Rokiskis przechłapanie' u kolegów' w klasie. To nieco mi się dało we znaki. Do tego czasu, jak wspominałem, pobierałem nauki na Łotwie w miasteczku Nereta. Żadnych narodowościowych waśni tam nie zauważyłem, jeżeli nie liczyć bitwy na śnieżki z Łotyszami. Jednak miasto Rokiskis było przed wojną blisko Polskiej granicy i nie brakowało wrogo do Polaków nastawionych szowinistów litewskich. Jeden z uczniów imieniem Algirdas (Olgierd) był przez swojego tatę wyjątkowo wrogo do Polaków nastawiony. Przesiąkł chłopak tą nienawiścią. Reszta klasy to akceptowała nie angażując się zbytnio w nasze spory. Przebieg takich antagonizmów przypominał następującą myśl mądrego hindusa Gandiego. Mówił on tak:

początkowo cię ignorują.

potem cię wyśmiewają,

potem cię usiłują pobić,

na końcu ty wygrywasz.

Na pewno nie usiłuję tu porównywać moich utarczek z walką Hindusów o wolność. Tymczasem w takiej kolejności te moje utarczki wówczas przebiegają. Te spory między nami często kończą się rękoczynami, poważniejszymi – średnio raz na miesiąc. Na szczęście dla mnie, jestem od niego nieco silniejszy. Po kolejnym mocniejszym uderzeniu, jego zapał do awanturowania się ulega ostudzeniu, a ja go nie 'dobijałem'. W sumie moją taktykę bym nazwał obronną. W końcu nie zależało

mnie na pobudzeniu reszty klasy do śpieszenia jemu z pomocą. Jest bowiem, taka mądra myśl: 'i lew doopa, kiedy hien jest kupa'. Jednak zawsze, gdy zaczynał mnie poszturchiwać, oddawałem i to z nawiązką. Chodziło mi o to, żeby wszyscy w klasie widzieli – bezkarnie mnie uderzyć nie da się. Trochę dziwiłem się, w końcu reszta 28 chłopców była raczej wrogo do mnie nastawiona, lecz nikt inny fizycznie mnie nie zaczepiał. Wszak wiedzieli, że po zaczepce musieliby się ze mną bić, a na to widać zbytnej ochoty nie mieli. Tylko jeden od bójki nie stronił. A swoją drogą, czasem zastanawiałem się, dlaczego niemal codziennie wszczyna te zaczepki skoro będąc słabszym wciąż boleśnie obrywa? Zwłaszcza po przerwie świątecznej jest nasycony nienawiścią do Polaków. Podejrzewałem duży wpływ tatusia szowinisty. Takich dokuczliwych ludzi rzadko się spotyka, zwłaszcza w pracy. Należy ich jakoś od innych odseparowywać. Jakoś dawałem z nim radę, jednak ta sytuacja mnie męczyła, byłem niezmiennie zestresowany. Jednak widziałem światełko w tunelu, dało się odczuć wprawdzie niechęć do mnie reszty klasy, lecz nikt oprócz jednego, mnie nie próbował obrażać. Zatem na przykładzie 30-osobowej męskiej klasy mogę stwierdzić, że przejawy nienawiści do Polaków były sporadyczne. W końcu żyli w tamtym momencie pod jarzmem sowietów i problem Polaków zanikał, czy nie powinni swą nienawiść z Polaków przenieść na Rosjan? Może fakt, że Litewska Republika Radziecka odzyskała Wilno, miało dla nich znaczenie? Jak wynika z relacji pochodzących od moich krewnych z Litwy, u nich nie wykształciła się specjalna niechęć do Rosjan. Przypisuje się to propagandą w okresie gdy byli włączeni do ZSSR. Niewątpliwie powrót ich historycznej stolicy i całej Wileńszczyzny bez pomocy Rosjan byłby niemożliwy! Wszystko szczęśliwie się skończyło. W sumie Litwa w porównaniu z okresem przedwojennym zyskała terytorialnie po oderwaniu się od Sowietów, inaczej niż Polska.

Wówczas wcale nie byłem dumny bycia Polakiem. Muszę przyznać, że od czasu do czasu zadawałem sobie pytanie, dlaczego jestem inny niż pozostali? Lepiej gdybym był Litwinem, byłbym wówczas równy innym chłopakom. Wszelako nie poddawałem się nigdy, takie wyjście nie było dla mnie opcją. Być może nawet takiej możliwości nie było. Nic by nie dało moje oświadczenie, że jednak od tej chwili jestem Litwinem. Gdy czytam na temat problemów, jakimi się borykają na przykład prześladowani Żydzi bądź homoseksualiści, to mam wrażenie, że ich sytuację

rozumiem, porównując ją do ówczesnej swojej. Na szczęście to trwało tylko kilka miesięcy. Nie miałem wówczas żadnego klasowego kolegi. Może takie drobiazgowo opisy moich perypetii na Litwie wydaje się zbędne, nie istotne, nie warte szczegółowej relacji? Być może, ale tylko na przykładzie da się to zrozumieć. Młodzi ludzie potrafią być dokuczliwi, na przykład słynny amerykański wynalazca Edison był nękanym tylko za odmienny akcent od reszty studentów.

Poniewież (Panevežis).

Po kilku miesiącach nauki z ulgą przenieśliśmy się do Poniewieża, gdzie kontynuowałem naukę. To miasto było bardziej oddalone od granicy z Polską. W trylogii Sienkiewicza niemało przygód odbywa się w miasteczkach i majątkach szlacheckich właśnie umiejscowionych w pobliżu tego miasta. W tej szkole wyraźnych nacjonalistycznych działań i nawet wypowiedzi niemal nie słyszę. Ostatecznie od dłuższego czasu Wileńszczyzna nie należała do Polski i ludzie pozapominali o fakcie oderwania tej ziemi od Litwy. Może powodem są także dwaj nauczyciele pochodzenia polskiego. Jeden groźny przez wzgląd na przedmiot (matematyk). W klasie teraz poza tym jest nas 5 Polaków. Wszyscy oczekiwaliśmy na transport do Polski, nauczyciele też. Wałęsałem się po mieście. Było, co oglądać, bowiem to były lata 1945-46 i było już po wojnie na Litwie.

Rosjanie się panoszyli zaprowadzając swe porządki w znany barbarzyński sposób. Na przykład taki widok: na przykościelnym placu leży sześć młodych do pasa rozebranych mężczyzn, mają poprzebijane bagnetami ciała. Nikt z ich rodzin, nawet matki nie mają odwagi, żeby się do nich zbliżyć. Przyznanie się do pokrewieństwa, skutkuje murowaną Syberią. Bowiem komuniści panicznie się boją ludzi inaczej od nich myślących. Starają się takie osoby odepchnąć jak najdalej od siebie. Z tymi nieboszczykami było tak, mimo przyjscia sowietów na Litwę, w okolicy Poniewieża i nie tylko, powstają oddziały partyzantów. Dopisuję teraz, że świadkowie tamtych czasów stali się bardzo aktywni na stronach Internetu. Można opisy tych krwawych zdarzeń znaleźć. To są najczęściej grupy młodych Litwinów uzbrojonych przez Niemców, wysługujące się im parę lat temu, na przykład w zabijaniu Żydów, zwalczaniu partyzantki sowieckiej, nie wyłączając AK, względnie szkoleni w celu wysłania ich do buntowniczej Polski. Sowietów ich wyłapywali i zabijali, nawet gdy się

poddawali. Ładowali na wozy, przewozili do okolicznych miasteczek, układając ich w miejscach dostępnych dla każdego. Nieboszczyki w Poniewieżu, zapewne nie zdążyli zabrać się z uciekającymi Niemcami. Na skutek doniesienia zostali zaskoczeni, po poddaniu się, w czasie konwoju do miasta żołdacy zakłuli ich bagnetami. To miało miejsce zimą 1944/45. Tego rodzaju grupy Litwinów, trudno byłoby nazwać zorganizowanymi przeciwnikami sowieckiej władzy, oni innego wyjścia nie mieli, tylko się ukrywać. O zbrojnych akcjach nie słyszałem. Dopiero po odzyskaniu przez Litwę niepodległości pojawiły się publikacje świadków takich akcji. Nazwiska niektórych partyzantów litewskich były nowym władzom znane. Trudno ich porównywać do naszej zorganizowanej partyzantki np., do AK czy do WIN bardziej aktywnego w czasie oraz po wojnie. Chociaż i naszych partyzantów spotyka podobny los. Natomiast nie słychać było o torturach, takich jak np. na Rakowieckiej w Warszawie. Tam raczej szybko zabijano. Podejrzewam, że mając dwie opcje do wyboru skazaniec by wolał szybką śmierć niż przed śmiercią tortury. Jednak najlepiej by się czuł bez żadnej z tych opcji.

A zatem bez żalu opuszczam 'kolegów' z Rokiszek, następnie w mieście Poniewież, w środku Litwy, podejmuję dalszą edukację bez zagrażających mnie szowinistycznych konfliktów. Teraz, gdy to wspominam, dochodzę do wniosku, że z szowinistycznymi ekscesami spotykałem się jedynie w szkołach. Poza szkołą, w otoczeniu sąsiadów, nie przypominam sobie żadnego tego rodzaju incydentu. Czyżby, niektórzy oczywiście, nauczyciele to podsycali? Uczniowie po opuszczeniu szkoły normalnieją, bym powiedział. Spotykam się z aktualnie mieszkającymi na Litwie Litwinami także. To są krewni bądź uczestnicy konferencji. Czasami pytam ich o stosunki z Polakami. Niezmiennie odpowiadają, że są do końca poprawne. Z drugiej strony nieco niepokojące wieści, zwłaszcza z Wilna, przynoszą nam media. Lecz media muszą z czegoś żyć. Z pojedynczego, sporadycznie występującego zdarzenia, potrafią zrobić aferę. Aczkolwiek, kilka spraw jest wciąż nierozwiązanych, pewnie jakoś je rozwiążą. Wymaga to czasu. Gdy człowiek przygląda się konfliktom grupy ludzi z władzą, to zwykle dobra wola władzy w załatwieniu zgłaszanych bolączek wystarczy, żeby konflikt wygasł. Tu litewski rząd mógłby się zgodzić na rozwiązanie kilku spornych spraw. Wystarczy wymienić pisownię nazwisk, tabliczki dwujęzyczne na niektórych ulicach, programy nauczania w szkołach czy zwrot

własności. Takiej woli nie widać jak na razie. Często decydują głosy wyborców – cóż, demokrację w końcu mamy.

W zasadzie do 1940 roku w klasach litewskich wisi portret ich prezydenta o nazwisku Antanas Smetona, z wąsem i małą bródką. Był dyktatorem, podobnie jak nasz Piłsudski przez kilka lat. Dyktatorem był też prezydent Łotwy. W przedwojennym okresie ci prezydenci mocno ograniczali rolę parlamentu. Smetona rządził na Litwie gdzieś od 1926, nieprzerwanie. W 1939 roku Niemcy okupowali część Litwy z Kłajpedą. O ile się nie mylę, warstwy rządzącej nie prześladowali. Tymczasem w 1940 Sowieci postanowili włączyć Litwę do swego raju, w tym celu pod groźbą inwazji, ogłosili ultimatum i stanęli na granicy z Litwą. Smetona decyduje się bronić. Nawet mój 32 letni ojciec zostaje zmobilizowany jako kierowca. Dowozi żołnierzy ciężarówką do granicy. Tymczasem parlament litewski się sprzeciwia wojnie, wydając Sowiecom pozwolenie na wkroczenie. No i Rosjanie weszli bez przeszkód, wszak litewskich żołnierzy rozpuszczono do domów. Oficjalna wersja wydarzeń, obowiązująca w Rosji (nawet aktualnie), to wkroczenie sowietów na Litwę było zgodne z normami międzynarodowymi, wszak parlament litewski to zaakceptował. O ultimatum nie wspomina się. Smetona z żoną przezornie ucieka do Szwajcarii a potem do USA, do syna. Tam zaczął pisać historię Litwy, lecz nie dokańcza dzieła, w końcu ginie w pożarze domu syna w 1944 roku. Jego żona żyje jeszcze 20 lat.

Następna sprawa to pisownia nazwisk. Litwini twierdzą, że pisownia nazwisk jest uregulowana raz na zawsze ich regułami gramatycznymi i to obejmuje wszystkie narodowości na całym świecie. Za nic z tych reguł rezygnować nie zamierzają. Polacy, jako buntowniczy naród z tym usiłują walczyć. Otóż, twierdzę, że Litwini te reguły gramatyczne stosują wybiórczo! Przynajmniej wówczas, gdy tam mieszkam tak było. Przykładem może być transformacja mojego nazwiska. Czym bardziej szowinistycznie nastawiony był nauczyciel, tym bardziej moje nazwisko figurujące w dzienniku, odbiegało wyglądem od Małachowski. Jako 6 latek zacząłem edukację w pobliskiej szkółce. Tam ojciec wymógł żeby pisali Malachovskis. W dalszej szkole już byłem Malachauskis, w kolejnej Malakauskis czy nawet Malakauskas. Moje imię też przerabiali na litewskie Mikolas, Jonuszis. Tak czy inaczej w czasie teraźniejszych

sporów z wileńskimi Polakami niech nie wciskają nieprawdy, że muszą nazwiska przekształcać, bo taka jest ich gramatyka. Tu niektórym politykom chodzi wyłącznie o wyeliminowanie polskości z ich kraju. Znajomi Litwini twierdzą, że te spory podsycają politycy, licząc na zwiększone poparcie w wyborach. Gdyby tak było, to by źle świadczyło o głosujących, bo to jest dowodem, że większość Litwinów popiera wrogość do Polaków. Żeby wybory wygrać, tam szowinizm popierać się opłaca.

Z moich przytoczonych tu zdań wynika moje zaangażowanie w sprawach wileńskich Polaków. Pragnę jednak podkreślić, że popierałbym także prawa innych grup narodowościowych do tożsamości. Moje przekonania są oparte na własnych przeżyciach. Każda mniejszość narodowa wnosi do kultury kraju, w którym mieszka, niemało dodatkowych wartości. Walczyć z tym nie wolno. Tu bym przytoczył ewidentny dowód, iż istnieje sposób na różne pisanie nazwisk Litwinów. Proszę przeczytać spis reprezentacji Litwy w piłce nożnej, ludzi z ich obywatelstwem. Niemal połowa z nich posiada nazwiska nieprzekształcone. Przytoczę tu nazwisko Veryga, Ladyga. Wybaczcie bracia Litwini, ale z tych przykładów wynika, iż jednak można oficjalnie mieć nazwiska nie tylko z litewskimi końcówkami. Nadmienię, że piłkarze chcąc być rozpoznawalnymi za granicą, nie mogą pozwolić na zniekształcanie nazwiska.

Uważam, że jakakolwiek zmiana nazwiska, jest nielogiczna. Mogą się zdarzać nieporozumienia. Wszak, nie ulega wątpliwości, że na całym świecie nazwisko oraz imię precyzyjnie definiuje daną osobę. Skoro Litwin zmieni czyjeś nazwisko, to jego posiadacz, czyli na przykład ja, mogę powiedzieć, że wykroczenie, o które mnie oskarżacie nie ja popełniłem, lecz inny człowiek o nazwisku np. Malakauskas. Dopiero teraz zaczyna się domagać od nich unormowania tej sprawy. Dla sprawiedliwości, my też czasem nazwiska przekręcamy. Szekspir, Waszyngton. Można tak pisać dla uproszczenia w książkach. Tak piszemy dla ułatwienia, mając wciąż na uwadze te wybitne osoby. Taką wybitną historyczną postacią na Litwie był wielki książę Vitautas. W naszych książkach historycznych zwie się Witold. Tymczasem, gdy aktor Washington jest opisywany, tego nazwiska nie przekręcamy. Ciekawe, Rosjanie nie protestowali, mimo przekręcania nazwisk swoich 'bogów' – u Litwinów nie ma Stalin czy Lenin, lecz Stalinas oraz Leninas i było wszystko OK. W

tym przypadku, jest jednak inna para kaloszy. Rosjanie mając inny alfabet zmieniają nazwiska obcokrajowców do niepoznania. Rosjanie zwykle piszą tak jak cudzoziemiec swoje nazwisko wymawia. Nie tylko Litwini to czynią, lecz Łotysze postępują nie inaczej. Można łatwo o tym się przekonać po nazwiskach sportowców, zwłaszcza łotewskich piłkarzy czy hokeistów lodowych np. Kovalovs lub Kovalskis. Tymczasem oni tylko trochę zmieniają nazwisko i jego właściciel nie protestuje. Przytoczę też przygodę, jaką (jak wieść niesie) zaznał nasz ambasador na Litwie.

Pan ambasador Polski na Litwie Jerzy Bahr wybrał się do wileńskiego dentysty. Potem dentysta wystawił rachunek panu ambasadorowi wypisując rachunek na nazwisko Jurgis Bahras.

Ambasador zaproponował mówiąc:

-Nazywam się Jerzy Bahr.

Dentysta uparł się mówiąc: - po litewsku nazywacie się Jurgis Bahras.

Ambasador: - Ale ja mam legitymację ambasadorską wystawioną przez litewskie ministerstwo spraw zagranicznych na nazwisko Jerzy Bahr.

Dentysta dalej się upiera: - Po litewsku nazywacie się Bahras.

Wtedy ambasador włożył płaszcz oraz wyszedł z gabinetu.

Dentysta na schodach krzyczy: - hej, nie zapłaciliście rachunku!

A na to ambasador: - Przyjdzie Jurgis Bahras to zapłaci!

Na marginesie, z kim jak z kim, jednak z dentystą bym nie zadzierał. Na Litwie, jak wspomniałem, chodzimy do litewskich szkół, gdzie system nauczania przypominał panujący w polskim szkolnictwie. Jak już kilka razy wspomniałem, w litewskich szkołach (za wyjątkiem trzech klas na Łotwie) cierpię w obliczu szowinizmu litewskiego, rozbudzonego w tym narodzie po zajęciu Wilna przez Polaków. To się odczuwało zarówno z uwagi na nauczycieli jak i uczniów. Moje potknięcia są wtedy przez nauczycieli zazwyczaj bardziej eksponowane niż innych, natomiast uczniowie obrażali mnie słownie, (oni są mistrzami w komponowaniu obraźliwych rymowanych, pożałuj Boże 'wierszyków'), to denerwowało mnie, a zatem nie raz i nie dwa musiałem się wdawać z nimi w bójki. Przypominam, że wołali na mnie

- 'ej tu czeba poczeba' (hej ty trzeba potrzeba).

Po pewnym czasie wpadłem na pomysł, żeby wyśmiewać ich wymowę np. mówiłem - co ty, masz w gębie goowno (szudas) i nie możesz prawidłowo wymówić. To oczywiście nic mądrego, o dziwo, skutkowało, bowiem przestali w ten sposób wyzywać, wszelako to nie znaczy, że nie wyzywali czysto po litewsku. Reasumując, nie są to dla mnie czasy, które miłe wspominam. W takim przypadku człowiek czuje się nieco zestresowany, niezmiennie należało się pilnować, o relaksie nie ma mowy. Byłem nieco na marginesie. Nie miałem w szkołach kolegów. Nikt ze mną nie miał ochoty się przyjaźnić. Jak wspominałem na Łotwie tego rodzaju przykrości nie zaznałem. Miałem tam paru mieszkających na Łotwie kolegów, którzy kilka razy mnie gościli w weekendy w swoich domach.

Cóż, chcąc być bezstronny, muszę uzupełnić. W Polsce w szkołach z kolei jestem przezywany Żmudzinem z Psichkiszek, (mimo, że w 'Eikiniszki' brakuje literowych zbitek 'kiszki') – najczęściej ta nazwa wywoływała uśmiech, mimo że na Suwalszczyźnie mnóstwo jest miejscowości o podobnych nazwach (równocześnie niemało z nich zawiera 'kiszki'). Zawsze odnosiłem wrażenie, że w tym nie było złośliwości, tylko śmiechu. W litewskim 'kiszki' oznacza 'zając' – a więc nic śmiesznego. Na przykład nazwę powiatowego miasteczka Rakiszki na polski przekłada się, jako coś w rodzaju Zajęczkowo. W Polsce nigdy ze względu na takie przytyki nie denerwowałem się, nie licząc jedynie jakiegoś kuksańca, którego czasem mógł żartowniś oberwać (wszak nikogo nie kręci posądzenie o wyprodukowanie przez psie kiszki). Wracając do czasów litewskich, w Poniewieżu w gimnazjum było nas 5 Polaków. Trzymamy się razem, a gdy jakiś szowinista na przerwie nam 'podskoczył', sprawiamy mu manto, czyli dawaliśmy im popalić, jak się to dziś mówi. Dziwiło nas jedno. Litewscy chłopaki nie tworzyli zorganizowanych grup, aby nam dołożyć. Może to ich cecha narodowa? Ujemną stroną tego okresu było z kolei to, że w obliczu bliskiego wyjazdu do Polski, definitywnie przestałem się interesować szkolną nauką, zwłaszcza odrabianiem lekcji w domu.

Konsekwencje szybko się pojawiły. Brak zainteresowania pracą w szkole owocuje wieloma dwójkami. Wytyka to nauczyciel matematyki (Polak) mojemu ojcu w czasie jazdy do Polski. Nauczyciel z radami kierowanymi do mego ojca posuwa się zbyt daleko w przyszłość, bowiem uważa, żeby z kształceniem syna na tym skończyć,

‘szkoła podstawowa mu wystarczy do uprawiania w Polsce roli’. Tak to ojcu wówczas powiada. Nauczyciel chyba nie zdążył zauważyć moich matematycznych umiejętności, skupiając się na ocenianiu nas na podstawie odrabiania zadań domowych, czego nigdy nie wykonywałem, ale to co się działo w czasie jego lekcji rozumiałem. Kartkówkę nie uznawał. Ojciec tymczasem ani przez chwilę nie wątpi w moje potencjalne możliwości. Tak mi to przedstawił, nie mam pojęcia, na jakiej podstawie, oczywiście nie w obliczu moich licznych dwójek. Los był dla mnie łaskawy, bowiem moje i tego nauczyciela drogi definitywnie na zawsze się rozeszły w kierunkach przeciwnych. Mam tu na myśli sens geograficzny tych dróg. Matematyk na Dolnym Śląsku, ja na Warmii. Ponieważ, moje oraz rodzeństwa kształcenie miało miejsce w różnych szkołach, czytelnik może się pogubić w tym. W celu zobrazowania tego, podaję wyjaśnienie w postaci przytoczonej tabeli, która wybiega czasowo poza okres tu opisywany.

Chronologiczna kolejność edukacji mojej osoby.

2-klasowa szkółka miejscowa, 3 km do przejścia, moje lata tam: 1937/39, Genka: 1939/41, Marysi: 1941/43.

Czedasaj, szkoła podstawowa, 7 km (mieszkam na stacji), moje dodatkowe 3 klasy 1939/42, Genka: 1941/43; Marysi: 1943/45.

Nereta na Łotwie, w internacie 1942/45, kończę tu szkołę podst., Genek: 1943/45.

Rokiszki i Poniewież gimnazjum męskie 1945/46, rozpoczynam 1 kl. Gimn., nie dokończyłem tam 1 kl. Gimn., gdyż w 1945 przenosimy się w okolice Poniewieża i tam kontynuuję naukę.

Olsztyn, Szk. Ogólnoksz. męska w 1946/47 wracam do 1 kl. i po ukończeniu jej przenoszę się do Morąga, gdzie w Ogólnokształcącej koedukacyjnej w latach 1947/51 robię maturę ogólnokształcącą. Genek oraz Marysia tam kończą szk. podst. Mieszkamy w internacie. Nie tak jak w Nerecie, mimo większej odległości (30 km), zawsze w weekendy jesteśmy w domu.

Warszawa, Uniwersytet, kierunek Fizyka, w latach 1951/55 uzyskuje dyplom magistra. W 1955 rozpoczynam pracę naukowo-dydaktyczną w Wojskowej Akademii Technicznej na stanowisku asystenta i starszego asystenta.. W 1968 r. bronię tezy pracy doktorskiej nauk technicznych, na temat tranzystora polowego. Mianowanie adiunktem.

W 1975 r. uzyskuje stopień doktora habilitowanego na podstawie badań teoretycznych kontaktu metal-półprzewodnik. W tym też roku otrzymuję etat docenta.

Cały rok 1984 pracuję na Uniwersytecie Nottingham w Anglii.

W 1991 r. otrzymuję tytuł profesora nauk technicznych z zakresu elektroniki (nadał go prezyd. L. Wałęsa).

W 1994 r. otrzymuję etat profesora nadzwyczajnego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie, obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Techniczny im. Jana Długosza.

W 1997 r. otrzymuję etat profesora zwyczajnego (nadał go minister) w Uniwersytecie Humanistyczno-Technicznym im. Jana Długosza w Częstochowie.

W WAT pracuję na drugim etacie do 2002 r. W UHT do 2005 r.

Po rocznej przerwie w pracy, od 1.09. 2006 pracuję do września 2013 r. jako prof. zwycz. na Politechnice Radomskiej, gdzie prowadzę wykłady z Fizyki Technicznej, Elektroniki oraz Technologii Informacyjnej oraz zajmuję się wspólnie z prof. Adamem Dubikiem teoretycznym badaniem laserowej akceleracji naładowanych cząstek, takich jak elektron, proton, deuteron. Rezultaty badań publikujemy w języku angielskim w szeregu czasopismach o zasięgu międzynarodowym, a także prezentujemy na międzynarodowych konferencjach naukowych. Wydajemy też dwie monografie w języku angielskim.

8. MOI PRZYJACIELE Z LAT SZKOLNYCH

Niemal każdy młody człowiek ma przyjaciół, z którymi może porozmawiać na tematy w danej chwili ich nurtujące. Czasem te przyjaźnie bywają nad wyraz bliskie, długotrwałe. Najczęściej jednak nie wytrzymują one próby czasu. Ponoć istnieje pewna prawidłowość w zawieraniu przyjaźni. Mianowicie, naszymi przyjaciółmi na ogół stają się znajomi nie przez wzgląd na dobry ich wygląd, lecz tacy, których poglądy przypominają nasze, prościej: powinien ich interesować obszar problemów, pokrywający się w znacznym zakresie z moimi. Można więc, wówczas te poglądy wspólnie rozwijać i wzbogacać. Te poglądy czy upodobania się zmieniają, ulegają modyfikacji pod wpływem czasu bądź zmieniających się okoliczności. Zatem nie mam zamiaru ich opisywać. Podobno kogo można zaliczyć do swoich przyjaciół można zweryfikować popadając w jakieś tarapaty i o pomoc zwracając się do właśnie określonego przyjaciela. Ponieważ nie miałem takiej okazji, więc przyjaciół nie sprawdzałem. Oto przykłady moich przyjaźni.

Litwa, do 1946 r.

Mój brat cioteczny Władis Stasiulis (1931-2005), był przyjacielem, powiedziałbym od kołyski. Miał tyle lat co ja, razem bawimy się oraz chodzimy do szkoły, siedzimy w tej samej ławce. Wywiezienie jego w wieku 9 lat na Sybir jak nożem ucięło naszą przyjaźń. To był cios, który boleśnie przeżyłem. Władis w tym okresie ze mną chodzi do Onuszkis na nauki przed pierwszą komunią. Pamiętam po jego wywózce pierwszy raz idę tam sam. Idę ze ściśniętym gardłem, wiedząc, że już zawsze tak będzie. Gdy ksiądz pyta, dlaczego Władis nie przyszedł, to zamiast odpowiedzi zaczynam beczeć (takim beksą wtedy byłem). Późniejsze przeżycia mnie zahartowały, moja Matka twierdziła: - ty nigdy nie płaczesz, masz twarde serce. Co nie do końca jest prawdą.

Skoro już jestem w okresie nauk udzielanych przez księdza, nie zniknęło z mojej pamięci moje zapytanie skierowane do niego podnieconego opowiadaniem o szczęściu czekającym każdego po dostaniu się do nieba. Spytałem go, co będziemy jedli w niebie. Nie pamiętam, jaką minę przybrał duchowny, lecz odpowiedział, że

dusza nie potrzebuje wiele jedzenia, jedynie nieco picia, ale za to czegoś co będzie miało wspaniały, niebiański smak, a to coś nosi nazwę NEKTAR. Przede wszystkim tam dusza będzie słuchać śpiewów aniołów, picie nieważne. To musiał zaczerpnąć z mitów, bowiem o piciu nektaru tam stoi. Dłgie lata o takim słowie ani produkcji nie słyszałem, aż pojawiły się NEKTARYNKI. Dziś żona dziwi się, podczas gdy o kupnie wielu zamówionych przez nią produktów mogę zapomnieć, lecz o nabyciu nektarynek już nie. Dlaczego mimo upływu dziesięcioleci o tym epizodzie nie zapomniałem? Bowiem wracając od księdza dość brzydko cały problem skomentowałem Władasowi. Wiesz, mówię, mnie w niebie nektar by interesował, bo anielskie śpiewy mam w doopie (mówiłem po litewsku, więc to wygląda lepiej bo w szikinei). On tę moją niefortunną uwagę powtórzył w swojej rodzinie. Ciocia zwróciła uwagę mojej mamie, że Janusz ma zły wpływ na Władasa. No i wytworzyło się coś w rodzaju napięcia między rodzinami.

Litwin Jonas Juranas (1927-1945), jest kolejnym moim dobrym przyjacielem, starszy ode mnie o 4 lata, chłopiec sierota, mieszkał w sąsiedztwie u swoich dziadków. Podziwiałem go, był już odcytany, w szkole prymus. Często razem chodzimy, rozmawiamy po litewsku. Ta przyjaźń skończyła się tragicznie. Po przyśściu sowietów w 1944 r. żeby przeżyć, będąc w wieku 17 lat, wstąpił do milicji. Chodziłem z nim po Rokiszkach, on z karabinem, czasem wręcz strzelał dla zabawy (chodziłem wówczas do gimnazjum w tym mieście). Byłem świadkiem incydentu. Podszedł do nas jegomość z pretensją, bowiem w mieście zabronione jest strzelanie. Jonas bez problemu się z tym zgodził. Mówię Jonasowi: jesteś milicjantem, co on sobie myśli, postrasza go. Jonas tylko się uśmiechnął. Był lubiany nie tylko przeze mnie, lecz jednocześnie przez moich rodziców. Był bardzo zdolnym uczniem, dużo czytał. Obchodząc się nieostrożnie z karabinem postrzelił się w brzuch. Taką wersję przynajmniej podano. Jak to się odbyło w rzeczywistości, nie wiadomo. Dorośli dziwili się, w jaki sposób on mógł postrzelić się w brzuch długim karabinem? Odwiedziłem go w szpitalu, miał tułów owinięty zakrwawionym bandażem, był załamany, lekarz zajrzał do wnętrza brzucha by stwierdzić, że jelita są uszkodzone. Nie umiał ich zszyć. Tak czy owak Jonas nie mógł ani jeść ani pić. W sumie czekała go niechybnie śmierć. Z pewnością nie było to samobójstwo – o

tym świadczy jego rozmowa ze mną. Zapadły w mojej pamięci ostatnie w jego krótkim życiu zwierzenia.

- Janusz wiem, że z tego nie wyzdrowieję. Umrę, a z moich marzeń nic nie wyjdzie.

- Nie mów tak, a jakie masz marzenia Jonas?

Łzy mu ściekały po policzkach, moje też. Po zastanowieniu się, powoli powiedział:

- Nie wiem tego, ale w dorosłym życiu coś ważnego bym zrobił. Tego, czego jeszcze nikt nie zrobił. Zrobiłbym coś, co nie tylko dla mnie, lecz jednocześnie dla ojczyzny byłoby ważne. W tej chwili nie wiem, co by to było, ale na pewno coś takiego ważnego bym zrobił. A teraz wszystko się kończy, a nic do tej pory nie zrobiłem.

Dużo tu było słów 'zrobić', ale tak akurat zapamiętałem, nie na przykład 'napisać'. Kto z nas w młodości takich marzeń nie miał? Potem te marzenia ulegają stopniowemu zapominaniu. Człowiek w konfrontacji z otoczeniem, zaczyna bardziej realnie swoje możliwości oceniać. Jeszcze zająrzałem do lekarza i trochę bez sensu mówię mu: - Jonas nenori mirti (Jonas nie chce umierać). Nie pamiętam odpowiedzi, a w końcu co na to można odpowiedzieć? Po kilku dniach wdały się zakażenia i zawiadomili mnie o jego śmierci. Odbył się milicyjny pogrzeb, z salwą karabinową – tę stratę ciężko przeżywałem. Był piątkowym uczniem. Może by coś w życiu osiągnął. Nie licząc brata oraz stryjecznego brata, do momentu wyjazdu z Litwy następnych przyjaciół nie miałem. Dodam jeszcze taką ciekawostkę, ilekroć oglądam film z Danielem Craigem (znanego z roli Jamesa Bonda), natychmiast przypominam Jonasa. Miał twarz bardzo podobną do aktora. Błękitne oczy, prosty nos i podobny grymas ust.

9. OKRES WOJENNY NA LITWIE

Początkowy okres wojny

Można usprawiedliwić Litwę, jako małe państwo (oczywiście nie jest najmniejsze w Europie) oficjalnie w działaniach wojennych drugiej W.Ś. udziału nie brała,

aczkolwiek w latach wojny poniosła niemałe straty ludności. Pewien były akowiec z Wileńszczyzny w rozmowie ze mną określa problemy Litwinów w sposób następujący: Litwini wciąż trzymają z tym, który w danej chwili jest silniejszy oraz który im oddać Wileńszczyznę obiecuje. Ponadto dobrze by było, żeby ten chwilowy najeźdźca jest do Polaków wrogo usposobiony. Oczywiście ten osąd nie dotyczy wszystkich obywateli, aczkolwiek bym przychylił się do zdania, że takich nie brakuje. Zatem postępowanie pragmatyczne Litwę ocaliło. A obecnie w dobie demokracji większość decyduje, jaki rząd jest wyłaniany. Zarówno Niemcy jak i Rosja do takich państw dla Litwinów pasowały, gdyby jeszcze narodu nie gnębiły.

Chronologię zdarzeń historycznych na Litwie od 1 września 1939 roku trudno jest ustalić na podstawie dzieł historycznych. Polaków to w końcu mało interesuje, mają w tym okresie własne, tragiczne problemy. Rosyjscy historycy piszą tak jak im władza nakazuje, przedstawiając historię zgodnie z wolą władzy. Można tu dodać, że nie raz i nie dwa potrafią zmienić w historii nie tylko interpretacje lecz także fakty, co jest gdzie indziej niespotykane. Litewskim historykom też do końca wierzyć nie podobna. Ich opisy są zwykle skażone nacjonalizmem. Przedstawię więc jako naoczny świadek swoją wersję, jak sądzę bliską prawdy. Niemcy byli stosunkowo dla Litwinów łagodni. 1 września roku pamiętnego, przemaszerowali przez ten kraj aż do polskiej granicy, którą przekroczyli gdyż z nami wojowali. Potem Niemcy opuścili zarówno Wileńszczyznę jak i Litwę, spełniając obietnicę zawartą w pakcie Ribentrop-Mołotow. Niemcy Sowiecom pozwolili na inwazję Litwy gdzieś w połowie 1940 roku. Wojska sowieckie stanęły na granicy litewskiej i wręczyli Litwinom ultymatum: albo się poddacie albo wojna, macie 3 dni. Po zawirowaniach między prezydentem i parlamentem, Litwa się poddała i sowieci ją okupowali. Historycy II WŚ umieścili na mapach groźne strzałki przedstawiające kierunki uderzenia na granice Polski zarówno przez armie Wehrmachtu, jak i armie Armii Czerwonej. Nie ma tam skrawka naszej granicy niezaatakowanej, nie licząc kilkudziesięciu kilometrów z Rumunią. Żaden kraj takiej sytuacji nie miał. Na Litwie Sowieci przebywali aż do 22 czerwca 1941 roku. W tym dniu rozpoczęli szybkie cofanie się przed Wehrmachtem. Litwini polubili Niemców za oswobodzenie od sowieców, gdyby jeszcze Klajpedę zwrócili... W czasie całej wojny na Litwie Niemcy trzymali niemiecko-litewską administrację,

wszak Litwini to był łagodny sort ludzki dla Niemców. Nawet Polaków tam Niemcy nie gnębili. Tymczasem w Polsce rządili niemal wyłącznie niemieccy kryminaliści.



Napaść Niemców w 1939 r. To były ciężkie chwile dla Polaków

Wracając do pamiętnego września, nasza rodzina słuchając radia była przygnębiona wiadomościami, jakie napływały z Polski. Dwa bandyckie kraje dobijają samotnie walczącą Polskę, a mimo sojuszy nikt nie spieszy ze wsparciem. Moskiewska Prawda zachłystuje się doniesieniami z Polski: - „Pod ciosami Czerwonej Armii wraz z Wermachtem Polska pada”. Dziś utrzymują, że oni najechali Polskę, gdy już była pokonana. Ostatnio nawet sugerują, że w ogóle nie dokonali inwazji na Polskę. Oni wkroczyli do zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi, podczas gdy takich państw nie było!

Tymczasem, mimo dwóch potęg walki trwały jeszcze w pierwszych dniach października. Takie szydercze tytuły na łamach tej kłamliwej gazety pojawiają się. Wszelako mimo wszystko, gest Francji oraz Anglii należy ocenić z uznaniem. Wypowiedziały 3 września wojnę Niemcom i tym samym, zamiast pokoju, te państwa uwikłały się w ciężką, długotrwałą, wymagającą wielu ofiar, wojnę. Jednocześnie, trzeźwo myślący Niemcy wypowiadali takie zdanie: - dziś mamy zbyt wielu do pokonania i niechybnie znowu wojnę przegramy, znowu tak jak w poprzedniej wojnie mamy dwa fronty, jeden na wschodzie a drugi na zachodzie. Tu należy dodać, że na zachodzie prawdziwy front dopiero się wytworzy. Z drugiej strony, należy zwrócić uwagę na niebywały respekt, jaki był odczuwany we Francji, przed niemieckim wojskiem. W czasie inwazji na Polskę, do ochrony swoich zachodnich granic Hitler

pozostawił tylko 2 dywizje. Podczas, gdy Francja, wówczas dysponowała 40 dywizjami, a mimo to nie śmiała w sposób zdecydowany uderzyć na Niemcy. Może, gdyby na to zdecydowała się, wojna by się szybko skończyła? Tak wówczas sądzono. Tymczasem, jak się okazało, Niemcy potrafiły przez parę dobrych lat zadawać ciężkie straty na dwóch frontach znacznie silniejszym przeciwnikom niż Francja. Więc niewiadomo jak by w 1939 roku ewentualna ofensywa francuska wspomagana przez Brytyjczyków przebiegła, bowiem na wschodzie panował wówczas aż do czerwca 1941 roku błogi spokój, a przyjaciele sowietów zaopatrywaliby Niemców w surowce.

Żadne inne państwo na świecie wówczas nie zdobyło się na wystąpienie przeciwko Niemcom. Wprost przeciwnie, niemal wszystkie pozostałe państwa w ten czy inny sposób wspierały Niemców. Dobrowolnie, lub zmuszone do tego. Nawet te najechane przez Niemców.

Znane są liczne przykłady kolaboracji znacznych części narodów europejskich. Przykładem mało znanym może być Norwegia. Dopiero niedawno Norweskie władze udostępniły dane dotyczące, znacznej części norweskiego społeczeństwa. O ich współpracy z nazistami nawet rodziny nie wiedziały. Prawda wyjrzała z udostępnionych personalnych akt. Współpracowała także część narodów Jugosławii, Słowacji, krajów bałtyckich, potem Rosjan (Własow), no i mimo wypowiedzenia wojny także Francuzi.

Mamy radio i pierwszy raz zauważam mego ojca z oczami wypełnionymi łzami. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem u ojca. To zrobiło na mnie niemałe wrażenie. Miałem 8 lat i pewnie niewiele z tego rozumiałem. Z tego co pamiętam, to nadawane przez polskie radio wzruszające piosenki wojenne. Jedne były raczej niestosowne do tragicznej sytuacji, jak 'wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...' inne bardziej pasowały, jak chociażby marsz bojowo i wzruszająco śpiewany przez chór: 'Bo w pierwszym szeregu podąża na bój, piechota, ta szara piechota...' Moja mama, ze względu na upodobania w śpiewaniu, słowa tych piosenek zapisywała, razem śpiewaliśmy je. Słowa dotychczas pamiętam.

Może nie w takim stopniu jesteśmy wówczas przygnębieni jak Polacy w kraju, ale byliśmy nieliczni na Litwie tak reagujący. Jako ośmioletni chłopiec mocno przeżywam porażki polskich wojsk. Dorośli musieli mi tłumaczyć, dlaczego niemieckie wojska wygrywają a nie polskie. Litwini raczej się cieszą z wojny, - wszak Wilno do nich wracało. Chociaż mają mieszane uczucia, bowiem Niemcy im zabierają kawał bałtyckiego wybrzeża z ukochaną Kłajpedą. Żeby nie było wątpliwości to miasto przechrzcili na Kamel. Właściwie na Litwie aż do końcowych miesięcy drugiej wojny światowej nie było stoczonych żadnych bitew. My wówczas nie pozwalamy, aby przy nas źle o Polsce mówili. Polskę wciąż mamy w sercach.

Prawowity litewski rząd nie ma się z czego cieszyć po upływie kilku miesięcy od rozpoczęcia wojny. Zresztą i Litwinom bielmo spada z oczu, gdy Rosjanie tam wkraczają w 1940 roku. Już wolą sytuację, w jakiej się znajdowali przed wojną, nawet bez Wilna. Takiego piekła jakie sowievi im urządzili, nigdy nie zapomną. Od tego czasu poglądy Litwinów pokrywają się z naszymi. Piszę o tym niżej.

Trudno nam było zrozumieć, jak mogło dojść do tych obu napaści na Polskę, Wszak Polska miała wówczas twarde pakt o nieagresji wzajemnej zarówno z Niemcami jak i sowietami, dodatkowe sojusze o wzajemnej pomocy w razie wojny z Francją i Wielką Brytanią. Co można było uczynić ponadto? Krytykuje się rząd polski a zwłaszcza Becka. Znany jest przez lata nam wpajany pogląd: -: beznadziejna polityka polskiego przedwojennego rządu doprowadziła do katastrofy. Tylko, że mądrali krytycy nigdy nie podają alternatywnych rozwiązań wobec tych, jakie były stosowane przez polski rząd. Po prostu dlatego, gdyż takiego rozwiązania w tamtym momencie nie było. Te pakt nie uratowały nasz kraj przed cierpieniem. Przed wrześniem Litwini twierdzili, że Niemcy się przygotowują do inwazji na Polskę. Ojciec ich przekonuje, to nie jest możliwe, w końcu te państwa są związane paktami o wzajemnej nieagresji. A dodatkowo Polska ma gwarancje Anglii oraz Francji. Tymczasem okazuje się, dla Niemców nie jest to jakkolwiek przeszkodą. Podejrzewa się, że Hitler nie liczył na wypowiedzenia wojny przez te sojusznicze państwa.

Z wiadomości, jakie napływają z Polski drogą radiową, Zapamiętałem bestialskie zrównanie z ziemią miasteczka Wieluń oraz stolicy Warszawy. W W-wie wówczas

przebywa moja terażniejsza żona, ma wtedy niecałe półtora roku. Jej rodzice wspominają o nieustających w ciągu niemal miesiąca wybuchach bomb. Jedne z pierwszych słów jakie wymawia moja 1,5-rocza późniejsza żona to są: - 'bum-bum-bum'. Z wiadomości radiowych dowiadujemy się o mordowaniu cywilnej ludności przez zarówno lotnictwo jak i żołnierzy niemieckich.

Do czego są potrzebne takie okrucieństwa, czemu ma to służyć? Zadajemy sobie to pytanie. Tymczasem wyjaśnienie pojawia się dopiero zdecydowanie później, po wojnie. Chodzi o wystraszenie ludności, która uciekając przed Niemcami tarasuje drogi, utrudniając wykonywanie przegrupowań wojsk polskich. Tymczasem dla Niemców ludność cywilna na drogach nie była żadną przeszkodą niemożliwą do usunięcia.



Taki kształt miały niektóre bomby lotnicze. Tu rdza ją nieco oszpeciła. Zwykle wówczas błyszcząły nowością.

Druga przyczyna to nerwowość niemieckich żołnierzy wędzających tu i tam i gdzie indziej za nieprzyjacielem. Przed inwazją ich ostrzegano, że Polacy tylko czekali na okazję, żeby jakiegoś Niemca zatłuc. Prewencyjnie więc strzelają pierwsi w sytuacjach podejrzanych. Jak wynika z ich raportów oraz listów do swoich rodzin, w niemieckich jednostkach panuje nerwowość, nie są rzadkie przypadki wybuchu

nocnych gwałtownych strzelanin do nieistniejącego wroga. Wówczas są ofiary niewinnej ludności jak też wśród własnych żołnierzy.

Postępując według tej strategii, niemieckie wojska zużywają wyjątkowo rozrzutnie swoją amunicję. To oczywiście było naszym tylko częściowym zmartwieniem. Bowiem w końcowym okresie agresji na Polskę, Niemcom zaczynają wyczerpywać się zapasy nagromadzonej przed inwazją amunicji, a na dodatek zaopatrzenie nie nadążało z dowozem amunicji na odległy front. Produkcja amunicji też była niewystarczająca. O tym na powojennym procesie w Norymbergu mówią sędzi tam marszałkowie niemieccy. Z trudnej sytuacji zostają wybawieni przez Sowieców. Nie muszą już kontynuować podbijania wschodnich obszarów Polski. Jest to istotny fakt w zmaganiach w wojnie Niemiecko-Polskiej. Był przemilczany przez wszystkie strony, aliantów oraz Niemców, aż do 1990 roku. Sowieci też to ukrywali. Ten fakt był dla wszystkich niewygodny, bo świadczy o istotnej roli Sowieców w klęsce Polski. Gdyby ta dodatkowa inwazja nie nastąpiła, impet wojsk niemieckich zostałby spowolniony. Może wtedy na zachodnim froncie alianci intensywniej zaczęliby wojować.... Można by taktykę nieoszczędnego zużywania amunicji przez Niemców uważać za błędną. Wystarczyłoby skupić się na niszczeniu sił zbrojnych. Ten błąd Hitler popełnia w czasie tzw. bitwy o Anglię także, bombardując Londyn zamiast lotniska. To komentowano po wojnie. Nie zataja się go w tym przypadku. Natomiast w opisach ataku Niemców na nasz kraj już niemal nie znajdziecie tego wątku .

Przy okazji nasuwa się pytanie: dlaczego aliantom udawało się dostarczać sowiecom zaopatrzenie w amunicję i żywność w czasie ich zmagania z Niemcami? Tymczasem gdy Polska walczyła, to takiej pomocy nie było. W Wielkiej Brytanii Niemcy zamiast się skupić na niszczeniu angielskich samolotów, lotnisk, zaczynają nękać ludność cywilną intensywnie bombardując miasta (podobnie jak w Polsce). Ta taktyka w znacznej mierze przekłada się na niepowodzenie Niemców. Cała inwazja na Anglię poszła Hitlerowi nie tak. Tymczasem obecnie historycy brytyjscy twierdzą, że krytyczna sytuacja angielskiego lotnictwa to mit. Nie do końca przedstawiana po wojnie sytuacja odzwierciedlała rzeczywistość. Wprawdzie siły lotnictwa brytyjskiego w rejonach atakowanych przez Niemców były już na wyczerpaniu, lecz lotniska

dalsze i samoloty tam znajdujące się zostały w niezłym stanie. Air Force było nie do pokonania i to niezależnie od taktyki Hitlera. Brytyjski premier Churchill o tym wiedział, stąd jego pewność siebie w czasie ataku na Wyspy.

Napaść na nasz kraj we wrześniu 1939 r. i późniejszą napaść Niemców na sowiechy, bym porównał do napaści na człowieka przez dwa wilki, które mocno pokaleczywszy człowieka rzuciły się na siebie chcąc zagarnąć zdobycz wyłącznie dla siebie. Pojawia się pytanie czy człowiek czuje sympatię i wdzięczność do jednego z wilków, pozostawiam bez odpowiedzi. Gdy jeden wilk załatwi drugiego to i tak człowiek nie uniknie swego okrutnego losu. A wdzięczność do sowieckich wyzwolicieli była i dalej jest propagowana w naszym kraju. Nie brak i obecnie takich opinii. Analogia nie jest doskonała, ze względu na dodatkowe cele, nie związane z Polską, o które te agresywne mocarstwa walczyły.

Nie mogę się powstrzymać w tym miejscu żeby nie wspomnieć o agresji sowiektów na Finlandię, co nastąpiło w 1938 r. Widząc przykłady łatwych niemieckich zdobyczy w Austrii i Czechosłowacji, sowieci napadają na małe państwo, żeby odebrać im kawałek terytorium. Wszak, czego jak czego, ale sowiektom własnych terytoriów z pewnością nie brakowało! Dziś Rosjanie obwiniają Stalina za tę napaść. Tu nasuwa się refleksja, skoro ktoś sądzi, że za tym zmienionym poglądem pójdzie zwrot zagarniętych (ukradzionych) Finom ziem, to grubo się myli. To tak, jak by złodziej powiedział: wiem, ukradzenie twojego auta jest przestępstwem, aczkolwiek, skoro sądzisz, że go zwrócę, to się grubo mylisz. Złodziej pozostanie wciąż złodziejem, mimo różnych deklaracji.

Gdy wojna toczyła się w naszym kraju, najtragiczniejsze były oczywiście śmierci ludzi. Tymczasem także tragiczne były powszechne popadanie w stan szoku. Jakie formy to przybierało? Mój przyjaciel Maciek Niedzielski (1932-) mieszkał w tamtym momencie w Milanówku pod Warszawą. Tak to relacjonuje wrześniową gehennę swojej rodziny:

- Jest chwila zbliżania się frontu, wtem zdenerwowany ojciec zarządza pieszą ucieczkę (transport przestał działać) na wschód. Idziemy więc, szosą ojciec, matka,

ja (7 lat) oraz mój brat (5 lat). W pewnej chwili ojciec oświadcza zdumionej rodzinie, że Niemcy zabijają mężczyzn, a innych mieszkańców nie ruszają, ja muszę szybciej



Dwie watahy wilków spotkały się gdzieś w środku Polski

uciekać, a wy sobie jakoś poradzicie, następnie przyspieszył kroku. Widzę ojca szybko oddalającego się szosą oraz znikającego z naszych oczu. Matka jakiś czas wlecze się z nami i tobołkami sporo wolniej. Mnie zaczyna boleć noga. Stajemy i wracamy bez ojca do domu. Zachowanie ojca bym tłumaczył stresem. On wraca do domu, gdy wojna Polski z Niemcami oraz sowietami się kończy.

Na podstawie tego przykładu nietrudno sobie wyobrazić, jaka groza ogarnia ludzi słyszających potworny huk rozrywających się wokół bomb. U niektórych wręcz uczucia rodzicielskie zanikają. Nawiasem mówiąc, brat ojca Maćka (stryj) zachowuje się w okresie wojny zgoła odmiennie. Jest znanym dowódcą w walce podziemnej w okresie okupacji, jednocześnie przywódcą powstania warszawskiego na Żoliborzu, z pseudonimem 'Żywiciel'. Dostaje się do niewoli niemieckiej. Na procesie w Norymberdze dowódca wojsk niemieckich von Bach-Zelensky wspomina go, jako bardzo aroganckiego oficera w czasie negocjacji o kapitulację powstańców. Ci co dostali się do niewoli niemieckiej, przeżyli wojnę. Bowiem przyznano im prawo konwencji Genewskiej, jako jeńcom wojennym. Niemcy to akceptowali, a Rosjanie nie. Niemcy nawet żołd im wypłacali. Nie wszyscy akowcy w kraju przeżyli późniejszy okres prześladowań. On umiera w Londynie, jest pochowany (ponoć symbolicznie) na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie obok swoich żołnierzy-powstańców, którzy nie mieli tyle szczęścia co ich dowódca, bowiem padli w

Powstaniu. Istnienie oddziałów partyzanckich też świadczy o tym, że pokaźna ilość ludzi nie ulega panice, natomiast w miarę swoich sił przeciwstawia się okupantowi, nie wyłączając walki zbrojnej.

Chciałbym w tym miejscu wtrącić pewną uwagę dotyczącą początków II WŚ. Otóż historycy w swojej większości np. Norman Davies czy Rosjanin Suworow lansują strategię Stalina wyglądającą w przybliżeniu tak: Stalin po zawarciu z Niemcami paktu o nieagresji nie miał zamiaru, zresztą jak zawsze, tego paktu przestrzegać. Z tym się można zgodzić. Tymczasem Sowietci zaczęli gromadzić w obszarach przygranicznych znaczne ilości wojska, równocześnie nie wykonując obronnych umocnień. Też prawda. To wojsko miało uderzyć na Niemcy, lecz niestety Niemcy ich wyprzedziły, bowiem w czerwcu 1941 uderzyły na sowietów. Taki pogląd jest lansowany przez wymienionych wyżej autorów.

Co w tym poglądzie bym zmienił, to jedynie moment, w którym Stalin miał zamiar zaatakować Niemcy. Zarówno w czasie wojny jak i tuż po wojnie panował następujący pogląd. Potem zarzucony. Otóż chytry Gruzin nie miał zamiaru wyprzedzić Niemców co do momentu ataku. Wierzył Hitlerowi, bowiem sądził, że on ma wystarczająco wiele kłopotów na zachodzie, żeby angażować się w dodatkową awanturę z sowietami. Gruzin kombinował tak: niech Hitler mocno osłabi się w wojnie z zachodem. Może nawet zacznie przegrywać i w tym momencie ruszymy na Niemców. A więc tu nie chodziło o to, jak się sugeruje: o karygodne spóźnienie się z rozpoczęciem wojny przez Stalina. Takiej strategii Stalin według mnie, nie mógł mieć, zwłaszcza po niefortunnej ofensywie na małą Finlandię. Uderzymy, gdy Hitler będzie dogorywał. Zachód będzie nam za to niechybnie wdzięczny obdarowując kilkoma wschodnio-europejskimi państwami. Wszak przed wojną sowieccy wojskowi polską armię uważali za bardzo silną. Widząc, jak bez większych problemów Niemcy ją pokonali, nie mogli marzyć o uderzeniu na Wermacht! W tym poglądzie nie jestem osamotniony. Ostatnio w szeregu wypowiedzi historyków daje się podobną opinię usłyszeć. Oczywiście to były Stalina mżonki bym powiedział. Nie wiadomo, czy na zachodzie zostałyby zorganizowana inwazja na Niemcy, przynajmniej w dostatecznie krótkim czasie. Niemcy jak wiadomo, odcięci od surowców i nękan

nalotami, nie mogli dłużej być bezczynni, a w Europie byli w stanie uderzyć jedynie na Sowiety, żeby sytuację poleprzyć. A jak poleprzyli to wiemy.

Kończąc te rozważania zwracam uwagę, że wyżej przedstawione te czy inne rozważania nie muszą się pokrywać z rzeczywistymi planami ówczesnych agresorów. Niestety ich prawdziwych intencji nie poznamy z uwagi chociażby na postępowania aktualnych władz pragnących ukryć pewne niewygodne fakty. Kreml w tym przoduje, nadal w tajnych archiwach są niedostępne dokumenty. Z drugiej strony, także moje wywody nie mogą być odrzucone – brak na to dowodów. Natomiast już nikt nie neguje dużego zaskoczenia Stalina wiadomością o rozpoczęciu inwazji, ona już trwała w najlepsze, a on nie wierzył. Jak to możliwe? Był przecież pakt i na karku Hitlera wypowiedziana na zachodzie wojna! Jako przykład przytoczę tu głęboko ukryty przez wszystkie kraje dla nich niewygodny fakt związany z kapitulacją Japonii. Oficjalnie podano, że Japonia skapitulowała wobec zagrożenia atomowym bombardowaniem. Japońscy generałowie gotowi byli poświęcić kilka miast (tych bomb nie mogło być dużo) i organizować długotrwałą obronę swoich ponad 3 tysięcy wysp. Jednak w obliczu zagrożenia okupacją części kraju przez zbliżających się Sowieców, zdecydowali się na szybkie poddanie niemal całego kraju Amerykanom. Wszak Japończycy dowiedzieli się o losie części Niemiec pod okupacją sowiecką. Nie ma co się dziwić, że dopiero po upływie wielu lat ta prawda zaczęła przenikać do świadomości społecznej. W sumie żadne mocarstwo, zwyciężkie czy pokonane nie jest zbudowane takim wyjaśnieniem.

Na początku września 1939 r. Litwa na krótko zostaje bez walki zajęta przez Niemców, którzy potem z sowietami na krótko dzielą się tą częścią Europy. Niemcy wycofują się ze sporej części Litwy (za wyjątkiem obszaru z Kłajpedą). Polski do 17 września Niemcy nie zdążyli podbić. Pozostałą wschodnią część podbijają sowieci. Oni zagarniają Litwę aż do końca czerwca 1941, wcielając ją do ZSRR, jako republikę oraz zmieniając przy okazji historię w podręcznikach szkolnych. Według wtedy panującej wersji, Litwa była od zakończenia rewolucji październikowej republiką sowiecką. Obecnie powtórnie zmieniają historię, bowiem skoro parlament litewski poprosił o przyłączenie ich państwa do związku sowieckiego, które szybko wyraziło na to zgodę, to wersja z republiką stała się zbędna. I to było prawdą, z tym,

że taką zgodę wyrazili po otrzymaniu ultimatum: albo się poddadacie albo wojna. Czytałem ich historię – nie jestem pewien czy znowu coś zmienili. Z tego wypływa morał o nie konstruowaniu bujdy na resorach, w końcu to pociąga ciąg dalszych kłamstw. Gdyby od początku pisali tak jak było, nie byłoby problemów. Wychodzi z tego przysłowiowy ‘śmiej na sali’. Dla kogo są te niekończące się kłamstwa? Ludzie wiedzą swoje, najczęściej historię prawdziwą. Podejrzewam, że w naszych pisanych historiach takich kłamstw wówczas nie było. Nasi historycy przyjmowali inną taktykę, przemilczania niewygodnych dla rządu historycznych epizodów. W końcu to jest lepsze – nie ma potrzeby zmieniać faktów czy tłumaczyć się z kłamstw, wystarczy co nie co opuścić a potem o ile jest brak sprzeciwu - dopisać.

W 1940 r. sowieci zaczynają na Litwie, podobnie jak na terenach zagarniętych Polsce, masowo wywozić na Syberię względnie rozstrzeliwać element wrogi (tu dygresja: skoro według poprzedniej wersji historii, przez 20 lat na Litwie rządili, więc musieli sami ten wrogi element wyprodukować!!!). Ten terror trwa na szczęście krótko, do chwili napaści Niemców na ZSRR w czerwcu 1941 r. W 1940 r. rodzina Stasiulisów zostaje wywieziona. Wówczas każdy powtarzał ostrzeżenie: jutro mogą przyjść po ciebie! Tak czy inaczej naszej rodzinie, jako obszarnikom, w tym okresie grozi poważne niebezpieczeństwo. Jesteśmy wytypowani na wywózkę na Sybir. Czeka nas wywózka, tak pewna, jak amen w pacierzu. Na szczęście w dalszej kolejności. Nie zdążyli tego dokonać (ich strata – nie naszej rodziny), zwłaszcza że, Niemcy sowiecom w tym przeszkadzili wywołując z nimi wojnę.

Agresorzy.

Jeżeli się przyjrzemy historii, to przykładów państw, którym moglibyśmy przykleić etykietkę „agresor” nigdy nie brakowało. Żeby nie być posądzonym o pisanie całej historii, zacznijmy od początku XIX wieku. Wówczas taką etykietkę bym przykleił Francji, Prusom z Niemcami, Austro-Węgrom, Rosji. Aż do naszych czasów wybuchały duże konflikty zbrojne, wojny. Łatwo jest zauważyć pewien promyk nadziei, czyli pozytywnej strony wojen. Otóż po każdej wojnie któreś z agresywnych państw stało się nieagresywne. Z reguły to było państwo pokonane, przed wojną będące agresorem. Bez pokonania agresora i to w krwawej wojnie, nie można było liczyć na zmniejszenie liczby agresywnych państw. Po wojnach napoleońskich

pokonana Francja już nie zagrażała – przestała być agresywna. Po 1 WŚ, to samo spotkało Austro-Węgry, po II WŚ – Niemcy i Japonia. Obecnie została Federacja Rosyjska, Chiny, Korea Północna. Wniosek: one staną się państwami pokojowymi, wtedy i tylko wtedy gdy przedtem zostaną pokonane w wojnach! Przecież przywódcy państwa agresywnego dobrowolnie z władzy nie zrezygnują. Wewnętrzne przeobrażenia w państwie agresywnym nie doprowadzą do takich zmian, patrz rewolucja bolszewicka i poprzednio francuska. Tak jak to się odbywało w historii, zwycięskie kraje muszą zrobić „porządek” wewnątrz pokonanego agresora. Jednak to nie wygląda optymistycznie, bez dwóch zdań. Jest znane powiedzenie: historia lubi się powtarzać.

10. PO NAPAŚCI NIEMCÓW NA ZWIĄZEK SOWIECKI

I nadszedł pamiętny czerwiec 1941 r. Litwini oraz równocześnie nasza rodzina wyzwoliliśmy się od krwawych represji sowietów. Jak nożem uciął ustały, wtrącania ludzi do więzień, wywózki na Sybir, rozstrzeliwania. Z zastrzeżeniem, że to nie odnosi się do Polski. Zauważmy, te nieludzkie represje spotykały ludzi, którzy nic złego sowietom nie zrobili. Tymczasem niespodziewanie te nieszczęścia zniknęły, bowiem Niemcy powtórnie zawitali na Litwę z chwilą napaści na sowiety (poprzednio byli tam krótko w 1939 roku). Wówczas na Litwie, pod naporem Niemców, wszyscy, którzy zdążyli się splamić współpracą z sowiecką władzą, pośpiesznie wycofują się na wschód. Wśród nich niektórzy mężczyźni wśród biednych wieśniaków zwanych Rusinami. Ich język zdecydowanie się różnił od rosyjskiego. Być może to był język używany przez Białorusinów. Mieszkali w wyodrębnionej wsi odległej o 10 km od Eikiniszek. Z nadejścia Niemców, także nie cieszyli się Żydzi. Dla nich nastąpiły tragiczne czasy.

W czasie krótkich rządów sowietów, Litwa poniosła spore straty w ludności oraz oczywiście w gospodarce także. Natychmiast nastąpił okres niedoboru żywności. To nie był okres wojenny! Tłumaczenie hymnu sowieckiego, którego właściwe słowa starsze pokolenie pewnie zna (Jeśli zawtra wojna, jeśli zawtra pachod, my sewodnia

w pachodu gatow), miało postać taką: „Jesli zawtra wojna, lasziniu nebera apie sviesta neber ka galvoti””. (Jesli zawtra wojna, zabrakło słoniny a o maśle nie ma co marzyć). Niemało gospodarstw zostaje pozbawionych właścicieli. Zazwyczaj bywa odwrotnie, na opuszczoną nieruchomość mają chęć liczni spadkobiercy, wszelako za rządów sowieków jest odwrotnie. Na opróżnione gospodarstwo Stasiulisów wywiezionych na Syberię do Ałtajskiego kraju, Niemcy przywożą z głębi Rosji w 1941 roku rosyjską rodzinę kołchoźników z trójką dzieci, bez głowy rodziny. Ich obowiązkiem jest praca na ziemi Stasiulisów. Pracują tam do przyścia Rosjan w 1944 r. Raczej pełnią rolę parobków oraz służących. Nie przywieźli ze sobą żadnego gospodarskiego sprzętu, czy gospodarskich zwierząt. Pracowali na ziemi Stasiulisów zarządzanej przez mojego stryja Jana. To był swego rodzaju prezent Litwie ze strony Hitlera: Rosjanie wywieźli niektóre rodziny litewskie do pracy darmowej do Rosji, więc my dziś wam dajemy na te opróżnione gospodarstwa rodziny kołchoźników, żeby tę opuszczoną ziemię obrabiali za darmo. Trzeba podkreślić, że nie byli gorliwi w pracy. Oni byli pod nadzorem stryja Jana. Nie wnikaliśmy w warunki pracy tej rodziny. Był tam chłopiec 14 letni. Opowiadał barwnie o bójkach młodzieży sąsiednich kołchozów. Mimo, że przed wojną przebywali na wsi, to wielu produktów spożywczych nie znali. Z żalem powracali.

Znając realia rosyjskie nie jesteśmy zdziwieni, w końcu kołchoźnicy byli do takiej pracy i warunków przyzwyczajeni, dlatego niezadowolenia nie wykazywali. Mówili nam, teraz dopiero wiedzą, jak wygląda życie poza kołchozem. Na nasze uwagi, że są tu uwięzieni i nie mogą stąd się ruszać, odpowiadali, w końcu z kołchozu też się ruszać nie mogli, więc jesteśmy do tego przywykli, a zresztą nigdzie nas nie ciągnie. Otrzymują niezłe wyżywienie oraz nieco zapłaty. Nie do wiary, lecz przedstawiają swoją sytuację w Rosji następująco. Mimo pracy na kołchozowej wsi, niektórych podstawowych produktów żywnościowych nie mieli lub odczuwali ich dotkliwe braki. Przypominam na przykład, masła nie mieli od ponad 10 lat! A należy zaznaczyć, iż te opowieści dotyczyły czasów przedwojennych, nie wojennych....

Jak wspominałem, mój stryj Jan Małachowski (1907-1960) zamieszkuje wówczas w domu Stasiulisów, bowiem z żoną Jadwigą, córką Iwoną, synem Ryszardem zostali wypędzeni przez Niemców ze swego gospodarstwa pod Poniewieżem (12

ha). Tam zamieszkała rodzina Niemiecka. Przenoszą się więc, do majątku Stasiulisów, gdzie mieszkają do chwili wkroczenia Sowieców. Wówczas wracają na swoje gospodarstwo opróżnione przez Niemca. Tam się rodzi im druga córka Wanda (1944-2010). Ta rodzina nie była przystosowana do pracy na dużym gospodarstwie. Jan miał inną filozofię zarabiania na rodzinę, przed wypędzeniem go przez Niemca, posiadał młockarnię oraz na niej zarabiał jeżdżąc z nią po okolicy (przed wypędzeniem przez Niemca, i po powrocie także). Prowadził też zakład wylęgania kurcząt. Na gospodarstwie Stasiulisów natomiast rodzinę Jana wyręcza w pracy, jak wspomniałem, rodzina rosyjskich kołchoźników, zapewne ku zadowoleniu obu rodzin.

Nie wszędzie Niemcy prześladowali Polaków. Nasza rodzina wręcz prosperuje lepiej w czasie okupacji niż przedtem. Ojciec zaczyna wprowadzać, powiedziałbym, nowoczesne metody gospodarowania (częściowo zachęcony oraz poduczony przez Niemców). Np. przyjeżdżają kupcy z Danii, dają Ojcu kredyt, za który kupuje nasiona koniczyzny, zasiewa nią prawie całe pole orne, po wymłóceniu sprzedaje Duńczykom nasiona, a oni płacą za nie dobrą cenę. Dania wprawdzie została przez Hitlera najechana, lecz wobec braku oporu była niemal niepodległa, dlatego Duńczycy mogli takie interesy robić. Po odliczeniu kredytu zostaje spory zysk oraz pasza koniczyzny dla bydła. Czytałem gdzieś, że Niemcy też obecnie tak gospodarzą – od kredytu do kredytu. Ojciec pospłacał wtedy resztę dłużnych weksli (niepotrzebnie, jak się potem okazało).

Niestety z tych dwu- czy trzyletnich zysków niewiele skorzystaliśmy. Jak wspomniałem, zarówno w okresie I WŚ tudzież później majątek się zadłużył, należało więc, ten dług spłacić. To dotyczyło także majątku Stasiulisów. Zarobiona kasa poszła na spłaty, a wojna się skończyła razem z majątkami. Wówczas na Litwie panowało przekonanie, że Niemcy po zagarnięciu części Rosji, zakończą wojnę. Zważywszy na głód Rosja musiałaby paść, zwłaszcza że, Niemcy odcięli ją od ziem rolniczych. Tymczasem jak wiadomo, nic z tych rzeczy się nie zdarzyło. A to, w obliczu olbrzymiej ilości żywności dostarczanej sowiecom przez USA. Beczki wypełnione żywnością dostarczone przez USA uratowały czerwoną armię od śmierci głodowej. Skoro nadal ktoś jest przekonany o wystarczających własnych zapasach

do wyżywienia żołdatów, to powinien się spytać tych, którzy widzieli, czym żołdatów karmiono. Oni nic innego nie mieli do żywienia żołdatów jak konserwy produkcji USA, tzw. swinnaja tuszonka, którą Amerykanie im dostarczali w beczkach. Widziałem to na własne oczy! Nawet chleba nie mieli, sam otrzymałem od nich puszkę tych konserw za bochenek chleba. Nic zresztą dziwnego. Obszary rolnicze były zajęte przez Niemców. Plony lat 1941 do 1944 były nieosiągalne dla armii sowieckiej.

Gdyby nie gigantyczna pomoc USA w postaci dostarczanej żywności oraz uzbrojenia, ZSSR by padł bez dwóch zdań. 10 milionów wojska trzeba wykarmić, a nawet chleba brak. Przy okazji należy wspomnieć o znacznych niedoborach żywności w Związku Sowieckim nawet przed wojną. Słyszałem opowieści kołchoźników o braku niektórych produktów rolnych na wsi. Wymieniali brak mięsa, tłuszczów i produktów mlecznych. Mój teść przebywając w czasie wojny na przymusowej pracy w Ulm, rozmawiał z jeńcem wojennym Rosjaninem, który skarżył się na skąpe racje żywności przydzielane przez Niemców, że jest ciągle głodny. Mój teść go pyta:

- A w Rosji to lepiej jadałeś?

- Tak, zawsze byłem syty, bo pracowałem w cukrowni, gdy kierownik nie widział, to jadłem cukier całymi garściami i byłem syty.

Tak wyglądała sytuacja przed wojną, gdy mieli do dyspozycji żyzną Ukrainę tudzież inne ziemie. Wyjaśnia się to znanym określeniem wydajności kołchozów - „tam dziesięciu pracuje a stu pije”. To wszystko Niemcy odcięli na 3 lata. W końcu brak wsparcia między innymi żywnościowego ze strony USA, niechybnie przełożyłby się na militarną klęskę sowieców z uwagi na głód w szeregach armii. Pewnie też jesteście tego zdania? Tak tylko się pytam i tyle. Po wojnie zostały ujawnione dane także odnośnie pomocy USA kierowanej do koalicji antyhitlerowskiej w zakresie uzbrojenia. Ocenia się, że 75% ogólnej pomocy przeznaczone było Wielkiej Brytanii a reszta głównie Sowietom. Nie były to ilości bagatelne. Kilka tysięcy samolotów i tyleż czołgów, okręty, amunicja, paliwo a także materiały na mundury. Takie obrazki wspominamy: - porządne sukna na mundury oficerów, czołgi z literami USA. Sowieci

na pytanie co one oznaczają, odpowiadali Ubit Sobaku Adolfu, twierdząc, że to ich produkt. Wielka Brytania spłacała ostatnie raty tych zobowiązań jeszcze w 21 wieku. ZSSR odmówił spłaty twierdząc, że krwią żołnierzy już spłacili, tak jakby Amerykanie ofiar wojennych nie mieli. Tymczasem pomoc USA dla ZSSR była olbrzymia. Oczywiście o tym byliśmy w okresie wojny przekonani, jednak konkretne liczby stały się dostępne dopiero po okresie komuny w Polsce. Zdumiałem się takim zestawieniem: w 1943 roku w Rosji wyprodukowano 3 samoloty, USA dostarczyło im 3500 samolotów.

Przy okazji nieco moich uwag odnośnie wojny Hitler-Stalin. Po wojnie szeroko rozpowszechnione było twierdzenie: Ruscy, jacy są wszyscy widzą, tymczasem w końcu nas uratowali przed Hitlerem. Gdyby nie Ruscy, to ponoć Hitler miał w planach nas wymordować, tak jak to uczynił z Żydami. Nie zamierzam temu przeczyć. Ten pogląd był wręcz wygodny naszej ówczesnej zależnej od Rosjan władzy – powinniśmy być wdzięczni im za nasze ocalenie bez dwóch zdań. To też przez kolejne lata po wojnie odpłacaliśmy im za ocalenie przystówiowym już milionem ton węgla po 1,5 \$ za tonę. Tymczasem Amerykanie, także Anglicy po wyzwoleniu Belgii, Holandii, Danii nie domagali się materialnych dowodów wdzięczności. Wyczerpana wysiłkiem wojennym Wielka Brytania w ciągu szeregu powojennych lat borykała się z niedostatkiem. Co więcej, wspomagali te kraje w ramach planu Marshalla.

Powstaje pytanie, jak racjonalnie Rosjanom odpowiedzieć na twierdzenie, że są naszymi wybawcami od niechybnego unicestwienia? Oni 'gdybają' mówiąc o tym, to my też 'pogdybajmy'. Wyobraźmy sytuację, jaka by powstała, gdyby nastąpiła klęska sowietów. W tym miejscu pozwolę sobie na nieco fantazji (powyższa propagowana przez komunistów opinia też jest fantazją). Wyobraźmy sobie, że USA nie udziela sowietom ani zapomogi żywnościowej ani uzbrojenia, lub ta pomoc jest niewystarczająca do odniesienia zwycięstwa nad Niemcami. Niemcy zajmują ich państwo, naftę oraz inne surowce. Przez jakiś czas Niemcy byłiby zajęci likwidacją komunistów w Rosji tudzież robieniem tam swoich porządków. Rosja jest oczyszczona z komunistów. Cała Europa jest w rękach Hitlera! Tymczasem, jak wiemy, dzięki broni jądrowej Amerykanie pokonują Japonię. Przy okazji pytanie: po

jaką cholerę Amerykanie prosili Stalina o pomoc przy wojnie z Japonią? Skoro byli w posiadaniu broni jądrowej.

Przypomnijmy, Amerykanie prowadzili wojnę z Niemcami. Musieliby tę wojnę zakończyć jak najszybciej. Nie można mieć wątpliwości, że nie inaczej jak to uczynili w Japonii. Tam użyli broni jądrowej, żeby nie ponosić dalszych strat wśród swoich żołnierzy. Zatem, żeby nie ponosić znacznych strat w Niemczech, musieliby zmusić ich do kapitulacji bronią jądrową. USA będąc już w posiadaniu broni jądrowej, nie miałyby innego wyjścia, jak wystosować Niemcom ultimatum o bezwarunkową kapitulację. W przypadku nie przyjęcia, następuje rzucenie bomby jądrowej na kolejne miasta na terenie Niemiec. Kapitulacja oraz koniec wojny jest jedynym wyjściem dla hitlerowców. Przypominałoby to sposób zakończenia wojny z Japonią. Dalsze posunięcia byłyby podobne jak to się odbyło w Japonii czy RFN. Dotyczyłoby też Rosji, pozbawionej komunistów dzięki Hitlerowi. Wszędzie 'zainstalowanie' demokratycznych rządów byłoby realne. Tymczasem historia potoczyła się tak jak wciąż się toczy.

Tak czy owak nie popieram tych, co usiłują nas nakłaniać do wyrażania dozgonnej wdzięczności Czerwonej Armii, bowiem jej zawdzięczamy lata zapaści ekonomicznej jak też ograniczenie wolności. Bez „wyzwolicieli” mielibyśmy rząd demokratyczny z terytorium w przybliżeniu, jak przed wojną. Niewątpliwie nastąpiłby też rozpad ZSRR jak to się stało dopiero w 1991 roku. Tymczasem historia potoczyła się inaczej, a 'gdybanie' nic tu nie pomoże. Piszę o tym wyłącznie, żeby utrzyć nosa ludziom ciągle przypominającym, dlaczego powinniśmy być wdzięczni zbawczej Armii Czerwonej, stawiając ją pomnikami.

Przy okazji chciałbym tu przytoczyć usiłowania generała Georgia Pattona. Otóż należał on do nielicznych amerykańskich przedstawicieli kół wojskowych oraz politycznych, którzy rozszyfrowali Stalina. Nawet usilnie zabiegał o wszczęcie działań wojennych przeciwko Sowietom. Pragnął zmusić sowietów do cofnięcia się do swoich przedwojennych granic. Wypierając ich armie z innych krajów. Niestety jego usiłowania spełzły na niczym. Bowiem prezydent Roosevelt a potem Truman będąc otoczeni doradcami prosowieckimi, lub czysto sowieckimi szpiegami, nie chcieli podejmować działań sprzecznych z interesem sowietów. Sam gen. Patton

zginął w 1945 r w Niemczech jako ofiara wyjątkowo tajemniczego wypadku drogowego. Podejrzenia padły na wywiad sowiecki. Kierowca ciężarówki na prostej drodze zjechał na lewy pas zderzając się czołowo z samochodem generała. Generał znalazł się w szpitalu, z którego miano go przetransportować z Niemiec do USA, gdyż był w dobrym stanie, tymczasem nagle nastąpił zgon. Wielka liczba dziennikarzy tam go odwiedzała. Podejrzewano otrucie. Kierowca ciężarówki nigdy nie stanął przed sądem. Śledztwa nie było. Dodatkowo należy przytoczyć powiedzenie Pattona, że w Związku Sowieckim panuje zdecydowanie bardziej nieludzki ustrój niż faszyzm niemiecki. Jeżeli go się nie zniszczy, tego skutki będziemy odczuwać przez długi czas. Ludzkość bardziej cierpi i będzie cierpieła ze strony Rosjan, niż to miało miejsce z powodu Niemców. Tymczasem bardziej sprawiedliwą oceną, zwłaszcza z punktu widzenia Polaków, byłoby zrównanie szkodliwości obu systemów: komunizmu tudzież faszyzmu (Niemców i Rosjan). Tak czy inaczej, nieudane piwo które nawarzyli wymienieni dwaj prezydenci USA, musieli wypić ich następcy i nie tylko oni, lecz cały demokratyczny świat.

Partyzantka sowiecka na Litwie

Raz czy dwa dają się nam we znaki sowieccy partyzanci. Wdarli się w czasie niemieckiej okupacji zimową nocą do naszego domu, ogołocając nas z żywności doszczętnie. Zapewniali, że władza sowiecka nam to zwróci wraz z medalem za współpracę. Może powinniśmy się o to upomnieć u Putina? Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że obecność partyzantki sowieckiej na terenie Litwy w okresie okupacji niemieckiej, nie wróży nic dobrego mieszkańcom tego kraju. Nikt tam nie słyszał o jakiegokolwiek dywersyjnej działalności tych ludzi. Jednak już o rabowaniu mieszkańców i owszem. To byli ludzie zrzucani nocą z samolotów. Taka praktyka była stosowana także przez aliantów zachodnich. Tymczasem w tych przypadkach partyzanci byli zaopatrzeni w środki pieniężne niezbędne do przeżycia i wykonania powierzonych zadań na okupowanym terenie. Czy sowieci też w takie środki zostali wyposażeni, tego nie wiem. Zdobyty u nas łup ładują na nasze sanie żądając konia, który potrafi sam wrócić do domu. Przyszli piechotą, a łup ciężki, więc nie udźwigną – musi być koń. Ojciec decyduje się poświęcić do tego celu naszego pocziwego, nad wyraz rozgarniętego, 6-letniego konia o imieniu Taruk. On ich gdzieś zimową

nocą zawozi. Następnego dnia w południe widzimy koń z saniami wchodzi sam na dziedziniec oraz staje. Był znany z podobnych wyczynów, np. Ojciec nocą wyruszał z interesami do Pandelysa bądź do Rokiszek a potem wracając odsypiał na kolascie, koń nie przejmował się sytuacją, a po pewnym czasie widzimy już na środku dziedzińca stojącego z kolaską oraz w niej śpiącym woźnicą. Dziś wobec ruchu samochodowego, taki wyczyn byłby niemożliwy. Drugi koń, którego dobrze pamiętam, to 8 letnia klacz Geifa. Żołnierz niemiecki szedł ze swoim cofającym się oddziałem w kierunku Bałtyku (1944). W tym napięciu zostawia u nas rewolwer oraz lornetkę, aczkolwiek po godzinie wraca po te rzeczy i oświadcza, że zabiera się konno Geifą (mimo braku siodła) bo inaczej nie dogoni oddziału. Protesty nic nie dają. Obiecuje, konia puścić wolno po dogonieniu oddziału. Jednak nigdy nasza klacz nie wraca. To było do przewidzenia – pierwszy chłop widząc idącego samotnie konia, zaprowadziłby go do swojej stajni.

W letnim okresie Niemcy w czasie postojów zwykle nie korzystali z kwater ludności wiejskiej. Może obawiali się braku higieny. Oni wybierali mniej gęsty las i tam stawiali swoje namioty. My dzieci, z ciekawością przypatrywaliśmy się tym żołnierzom. Do postugi mieli cywilnych mężczyzn, pewnie to byli wybrani jeńcy z Armii Czerwonej, nie Rosjanie. Raz nawet generała wypatrzyliśmy. Wyróżniał się lampasami na spodniach. Po ich odmaszerowaniu rzucamy się na penetrowanie tego obozowiska. Nic tam cennego nie znajdujemy. Pozostawiali trochę amunicji do karabinów czy do broni krótkiej, nieco żołnierskiej żywności, jak kromki ich chleba w opakowaniach (to była jakaś sprasowana mieszanina chleba oraz kawałków zasuszonych warzyw) itp. Były tam także niedopite butelki wina i innych alkoholi, jakieś znaczki. Cofające się wojska niemieckie, jak z tego widać, mimo braku amerykańskiej pomocy, były daleko lepiej zaopatrzone od nacierających Sowietów. Wszak gospodarka Niemiec i podbitych krajów funkcjonowały w miarę normalnie.

Wracając do sowieckich partyzantów, oni tam nie byli, żeby walczyć z Niemcami, nic z tych rzeczy. Zamiast tego, robili rozeznanie, wywiady u miejscowej ludności, kogo potem likwidować, wywieźć na Syberię lub wciągnąć do władzy. Do swego oddziału włączali zwykle paru litewskich komunistów. Wszak języki litewski i rosyjski nie mają nic wspólnego, nie tak jak polski. Nie słyszymy wówczas, aby ci partyzanci

kogokolwiek ukarali. Niemcom taka partyzantka nie przeszkadza specjalnie, więc nie prześladują ją na Litwie. Tymczasem wydaje się, że tę opinię o partyzantach sowieckich, można by przenieść do innych krajów. W filmach oni w sporej mierze są pokazywani jako odgrywający rolę nie mającą z rzeczywistością nic wspólnego. Przesadnie wyolbrzymione są bojowe wyczyny tej partyzantki. Wysadzanie transportów z bronią, burzenie mostów, nic z tych rzeczy! Tymczasem polscy partyzanci, głównie mam na uwadze działające w Polsce oraz na Wileńszczyźnie oddziały AK, oprócz wywiadowczej roli, jednocześnie ochraniali ludność nie tylko przed Niemcami, ale i Ukraińcami czy Litwinami. Jeżeli chodzi o dwie ostatnie narodowości, to utarczki miały wydźwięk szowinistyczny. Ta działalność AK niewątpliwie ocaliła życie wielu Polakom. Tymczasem partyzanci sowieccy przygotowywali plany, kogo karać a kogo popierać w przyszłym okupowanym kraju. Dotyczy to nie tylko cywilnej ludności, lecz AK również. Jak się okazało po wojnie, mieli zgromadzone dane dotyczące oddziałów polskiej partyzantki, co pociągnęło za sobą dość sprawną likwidację oddziałów AK oraz ich dowódców. Niemcy tyle o naszej partyzantce nie wiedzieli, co wiedziało NKWD. Mimo, iż na tych terenach Niemcy a nie sowieci rządzą kilka lat! Inwigilację oddziałów polskiej partyzantki prowadziły zarówno niemieccy jak i sowieccy okupanci. Jedną z metod było wysyłanie prowokatorów udających chęć bycia partyzantem. Partyzanci byli nieufni względem takich ochotników, mieli swoje metody weryfikacji. Zwykle prowadzili z kandydatem długie rozmowy w trakcie których ewentualny kandydat mógł się potknąć. Te metody są tajne, lecz przeciekło jedno potknięcie: jeżeli kandydat zamiast słowa „sowiecki” użył słowo „radziecki”, nie ryzykowano i go rozstrzeliwano.

Po zakończeniu wojny m.in. zarzuca się AK, brak współpracy z partyzantką sowiecką. W świetle tego, co tu piszę, taka współpraca byłaby samobójstwem. Okupacja niemiecka była dość długa. Mimo Stalingradu oraz innych nieszczęść Niemcy cofają się powoli, a że przestrzenie Rosji duże, to cofanie się trwa długo. Sowietnicy wiedzieli, że kraje bałtyckie wpadną im w łapy a może i Polska. Dlatego właśnie instalują w tych krajach sowiecką partyzantkę. Może i były przykłady pewnych akcji zbrojnych partyzantów sowieckich. Nie do końca w to byłbym skłonny wierzyć, należy sądzić, że to był kamuflaż ukrywający ich prawdziwe cele, a także okazja do lepszej penetracji AK w przypadku wspólnych akcji.

A jak wyglądała sytuacja na Litwie w okresie okupacji niemieckiej? Na Litwie nie było litewskiej partyzantki wymierzonej przeciw Niemcom. Została zrzucona na spadochronach partyzantka sowiecka. Jak wspomniałem, jej jeden oddział nas nocą odwiedza. Uprząż naszego konia była wzmocniona liną spadochronową, a więc to był zrzut spadochronowy. Nie jestem pewien czy wszystkie grupy tej partyzantki postępują wówczas jednakowo, jak ta, która była w lasach powiatu Rokiszki. Tymczasem pewne przesłanki mam żeby to przedstawić następująco. Zadanie tej partyzantki nie polegało na zwalczaniu okupantów, więc tego nie czyniła. Skoro Niemcom krzywdy nie czynili to Niemcy też za bardzo jej nie zwalczają.

Jak wspomniałem, zadaniem tej partyzantki było przygotowanie pola pod przyszłą komunistyczną władzę. Raczej prace wstępne do oczyszczania tego pola. Gdyby sowiecka partyzantka zajmowała się atakami na Niemców czy likwidacją fizyczną wybranych osób w okresie niemieckiej okupacji, to niechybnie rozsierdziłaby Niemców, którzy by ich dość łatwo zlikwidowali, w końcu sowieci nie mieli oparcia we wsiach. W swoich szeregach mieli komunistów mówiących językiem tubylców. Ci którzy do nas się wdarli po prowiant zwracali się do nas poprawnym litewskim językiem. Ta partyzantka nikogo nie zabijała, nawet znanych przeciwników władzy radzieckiej. Nasz stały parobek Pauksztialis, nieco ograniczony, wciąż stary kawaler, mówił to, co w danej chwili myślał, mimo, że czasem nie wypadało tak mówić, np., gdy nas zimową nocą 'odwiedzili' sowieccy partyzanci pytali go jak jest traktowany w pracy. Nie zdając chyba sobie z tego sprawę, że wpędza nas w murowane kłopoty, powiada:

- oj ciężko tu, dużo i ciężkiej pracy mam. Muszę dużo pracować, a nie mam dobrego zdrowia.

Po takim czymś powinna być bolszewicka sprawiedliwość wymierzona, jak amen w pacierzu. A oni tylko:

- nie męczcie go tak.

Niewątpliwie za takie coś ojca by rozstrzelali, bez dwóch zdań, lecz byli w dobrych humorach mając na saniach zrabowane od nas szynki, kiełbasy, słoninę itp., jedynie ojca pouczyli. Po wojnie wyjaśniło się, że z reguły, rzucanych za linię frontu, na teren

nieprzyjaciela, dywersantów zaopatrywano w walutę obowiązującą na tym terenie. Mogliby zatem, nam zapłacić za żywność. Ten rabunek odbył się w okresie przed Bożym Narodzeniem. Musieliśmy przetrwać zimę sami wraz ze służbą z niedoborem żywności.

Jak się później okazało, już w pierwszych tygodniach po powtórny wkroczeniu w 1944 r. Sowieci mają listy obywateli Litwy. Na tych listach są przeznaczeni do natychmiastowego rozstrzelania a na innych do wywózki na Syberię. Dowodem tego jest natychmiastowe przystąpienie do tych czynności po wypędzeniu Niemców. Nie muszą czekać na działania nowo tworzonej administracji państwowej. Oni wrogimi elementami mają już rozpracowany, nazwiska podane na tależu. Po ich usunięciu uniemożliwili tworzenie niezależnych struktur władzy, lecz takich, które będą posłuszne sowietom.

AK a partyzantka radziecka. W kontekście moich doświadczeń z terenu Litwy, istnieje usprawiedliwienie wrogiego stosunku AK do partyzantki sowieckiej. Niestety dopiero po wkroczeniu sowietów na tereny Polski ujrzano światło dzienne ta wiedza oraz lekkomyślność tych oddziałów AK, które próbowały z nimi współpracować w czasie okupacji niemieckiej. Ułatwiali im wykonać powierzone przez komunistów zadanie, wszystkich akowców oraz ich dowódców mieli jak na dłoni. Tylko nieliczne oddziały polskiej partyzantki zdołały uniknąć natychmiastowej likwidacji po wkroczeniu sowietów. Te oddziały jakiś czas usiłują walczyć z komuną. Mam na uwadze np. oddział Ognia. Jestem przekonany o takiej misji sowieckiej partyzantki w krajach późniejszego bloku sowieckiego. Czasem oni brali udział w akcjach zbrojnych, lecz mam wrażenie to były akcje łączone z miejscową tubylczą partyzantką. Jak wyżej wspomniałem chodziło o poznanie tych ludzi. Nie jestem tego pewien, tymczasem w interesie takiej sowieckiej partyzantki byłoby potajemne przekazywanie Niemcom wiadomości dotyczących AK. Natomiast takie działanie byłoby niebezpieczne, bowiem przeznaczenie sowieckiej partyzantki mogłoby ulec dekonspiracji wśród akowców. Mam wrażenie, iż dowództwo AK nie podejrzewało tej perfidii. Jeżeli sowieci w ten sposób współpracowali z Niemcami, to nie mogli dopuścić do ujawnienia Niemcom faktu, że informacje pochodzą od sowietów. Dowódcy naszej partyzantki mieli utrudniony wybór strategii, bo przewidzenie biegu

historii, jak np. porozumienie jałtańskie było wówczas trudne. Z chwilą, gdy sowieci zaczynają wypierać Niemców z naszych terenów, ta sprawa się wyjaśnia, sowieckie leśne oddziały wówczas już nie muszą się kamuflować. Dopiero wtedy dochodzi do starć między AK i oddziałami NKWD.

Może nie odkrywam tu Ameryki, tymczasem nie odnotowałem wyżej przedstawionego poglądu. Raczej uważa się sowiecką partyzantkę za zwalczającą Niemców a przy okazji zbierającą potrzebne informacje. A w rzeczywistości, żeby móc wykonać bez większych przeszkód to drugie perfidne, zdradzieckie zadanie, **muszą** unikać walki z okupantem. Taki przebieg działania tej partyzantki na terenach Litwy miało miejsce niemal w 100%. Nawiasem mówiąc ten problem mógłby stać się tematem jakiejś pracy magisterskiej. Autor jej musiałby dokonać badań działalności poszczególnych oddziałów partyzantki sowieckiej, jest to coraz trudniejsze zadanie przez wzgląd na wymieranie ewentualnych świadków a także ze względu na niewątpliwe starania komunistycznych władz w kierunku niszczenia tak niewygodnych dla nich dokumentów.

Moje wywody na temat partyzantki sowieckiej mogą być do pewnego stopnia nieścisłe. W końcu moje uwagi są oparte na spostrzeżeniach lokalnych. Można byłoby je obalić przytaczając ewentualne wiarygodne przykłady znaczących akcji zbrojnych sowieckich oddziałów partyzanckich, lecz żeby przeczyć moim wywodom, te akcje musiałyby być wykonane samodzielnie, bez udziału np. AK. Powtarzam, chodzi o tereny niebędące przed wojną w obrębie Związku Sowieckiego.

Jak już wspomniałem, wdarcie się sowieckiego partyzanckiego oddziału zimą nocą do naszego dworku, może być przykładem potwierdzającym powyższy pogląd. Członkowie tego oddziału mówią ojcu o konieczności zawiadomienia władz o tym fakcie. Gdy ojciec następnego dnia donosi o tym, władzom niemiecko-litewskim, to zostaje zorganizowana zbrojna wyprawa w celu zlikwidowania sowieckiego oddziału. Grupą ok. 20 uzbrojonych Litwinów dowodzi oficer niemiecki. Jego zastępcą jest mój nauczyciel Kalpokas. Wówczas nie tak jak w Polsce, dość znaczna liczba młodych Litwinów legalnie posiada w domach karabiny oraz specjalne mundury przydzielone przez Niemców. Jeden z uczestników tej wyprawy nam, jako stronie zainteresowanej, tak relacjonuje ze szczegółami przebieg wyprawy na partyzantów:

- Ślady sani po śniegu były wyraźne, prowadzą do lasu, bandyci nie starali się tych śladów zatrzeć. Oni mają tam w lesie swoją bazę. Gdy do nich się zbliżamy, nagle bandyci otworzyli gwałtowny ogień z broni automatycznej, co nas zmusiło cofnąć się. Oficer niemiecki oraz Kalpokas usiłowali opanować panikę, Niemiec groził nam rewolwerem. Tu spotkała nas miła niespodzianka, zdziwiliśmy się, bowiem bandyci nie strzelali do nas, lecz ostrzegawczo po drzewach a na nas tylko gałązki spadały, nikomu nic się nie stało. Mimo to, nie wyraziliśmy ochoty na ponowny atak i powróciliśmy do domów.

To potwierdza moją tezę, sowieccy partyzanci nie chcą w tamtym momencie mieć żadnych kłopotów, a niewątpliwie mieliby je gdyby były ofiary wśród atakujących. Nie po to oni są zrzućani na te tereny. Litwini nie ponawiają tej wyprawy do lasu, mimo zlokalizowania siedziby partyzantów. Niemcy także ich niepokoić nie zamierzali. A szkoda, mogliby odzyskać nasze szynki i kiełbasy!

W okresie wojennym, mieszkam na Litwie. W tamtym momencie uczeniem się interesuję się tylko na tyle na ile to było konieczne do prześlizgiwania się do kolejnej klasy. Moje kształcenie się odbywa w różnych miasteczkach z dala od rodziny. Nikt mnie nie otacza specjalną troską i nie chroni od niebezpieczeństw, jakie na człowieka czyhają w okresie wojennym. Mając, więc mnóstwo wolnego czasu, wobec braku kontroli, włóczę się z kumplami po miasteczkach. Interesują nas wówczas obce wojska ich uzbrojenie, czasem jakieś ćwiczenia przeprowadzają. Na przykład w ramach ćwiczeń, wyjątkowo widowiskowe rozwalanie oddalonych celów za pomocą armatki. Front był zwykle gdzieś daleko. Jak wspomniałem, w okresie letnim Niemcy zazwyczaj obozują w lasach, gdy opuszczają obóz znajdujemy tam niemało ciekawych rzeczy. Partyzantki sowieckiej nie obawiali się! Podejrzewam, że w Polsce, przez wzgląd na obecność partyzantów, takie beztraskie wojskowe obozowiska, dodatkowo z generałem, nie zdarzały się. Niemcy w czasie wojny brali ogromne ilości jeńców sowieckich. Byli oni przewożeni, a następnie gdzieś osadzani w obozach jenieckich, te transporty widywaliśmy. Część tych jeńców, raczej pojedyncze osoby, były zatrudniane do różnych prac przy niemieckich oddziałach.

Powtórne wkroczenie Sowietów

Litwini się cieszyli parę lat po pozbyciu się Sowietów (jak bardzo - widziałem osobiście). Dla porównania dodam, że w Polsce okres niemieckiej okupacji był wprost wyniszczający dla ludzi i gospodarki. A na Litwie było znośnie, jak na okres wojenny. Do czasu. Aż tu zaczynają się dziać dla nich niepojęte rzeczy – Niemcy, zamiast pchać Sowietów dalej i dalej na wschód, pod naporem Armii Czerwonej (wspomaganej przez dostawy USA) rozpoczynają cofać się na zachód. Punkt zwrotny tej wojny, mnie 12 letniemu chłopcu zapadła w pamięci ilustracja w litewskiej gazecie. Na pierwszej stronie było zdjęcie żołnierza Wehrmachtu wychylającego się z okopu i trzymającego w zamachu za długi trzonek granat. Podpis był coś w rodzaju - „pod Stalingradem mimo bohaterskiej walki niemieckich żołnierzy musieliśmy chwilowo cofnąć się pod naporem przeważających sił bolszewików”. Aż w 1944 Rosjanie powtórnie wkraczają, przepędzając z Litwy Niemców. Obawiam się, iż nie ma potrzeby opisywać przygnębienia Litwinów w obliczu ich doświadczeń z poprzedniej wizyty Sowietów. A czy w Polsce odczucia społeczeństwa były podobne jak na Litwie? Nie wiem, wówczas w Polsce nie mieszkałem. Kilka zapytanych osób włącznie z byłą sekretarzką partii, jednomyślnie twierdziło, że były wówczas zaabsorbowane chronieniem swego dobytku przed rabującą “czerwoną zarazą”.

Teraz niekończące się kolumny Rosjan idą na zachód. Między sobą debatujemy: - „skoro taka ich masa maszeruje nieprzerwanie, to gdzieś na zachodzie musi się wytworzyć coś w rodzaju otchłani w którą oni bezpowrotnie wpadają i znikają, bo inaczej wytworzyłby się na drogach olbrzymi zator.. Któryś z żołnierzy wyjaśnia nam w sposób dość makabryczny rzeczywistość, bowiem na końcu, na linii frontu w większości oni giną, zatem zator się nie wytwarza. W końcu należy zauważyć, że Rosjanie mają jeńców niemieckich również. Tymczasem w przeciwieństwie do Niemców, nigdy ich nie zatrudniają przy swoich oddziałach – mają ciągle pod dostatkiem swoich żołdatów. Natomiast zbierają jeńców w kolumny oraz prowadzą codziennie pod eskortą do prac, zazwyczaj przy odgruzowywaniu. Takie sceny widywaliśmy na Litwie, już w Polsce ponoć sami Polacy odgruzowywali miasta.

Widzę niemieckich jeńców jak by to było dziś, idą karnie czwórkami, w Poniewiezu, wysocy w długich wojskowych płaszczach Wehrmachtu, wymizerowani,

jacyś zrezygnowani, patrzyli pod nogi z beznadziejnie smutnymi minami. Całkiem nie przypominali tych zwartych sprężyste maszerujących kolumn na początku wojny. Nie widziałem przypadku, wrogich gestów czy okrzyków litewskiej ludności kierowanych do tych jeńców. Widać było, delikatnie mówiąc, że jeńcy niemieccy nie są przekarmiani. Ludność tymczasem nie dokarmia ich w czasie przemarszu, po pierwsze, jak to w czasie wojny, nadmiaru żywności nie ma, a po drugie nigdy człowiek nie mógł być pewien reakcji eskortującego żołdaka. Oni mieli reakcje nieprzewidywalne tudzież dalekie od humanizmu. Idąc do szkoły jestem świadkiem takiej sceny, kobieta wiezie coś konnym zaprzęgiem, koło zsuwa się z osi, nikt z przechodniów bądź nie chce albo nie jest w siłach, żeby jej pomóc. W końcu woła w kierunku maszerującej kolumny jeńców:

- towarzyszc daj tu czterech Niemców, niech mi koło założą z powrotem!

No to towarzyszc zatrzymuje kolumnę jeniecką wyznacza czterech, trzech podnoszą nieco wóz, jeden nasadza koło na oś, a także znajduje zatyczkę. Robią to chętnie i sprawnie, wszak nieraz coś za pracę otrzymują np. kawałek chleba. Tak się działo na Litwie, ponoć Rosjanie pozwalali wojskom polskim przetrzymywać jeńców niemieckich tylko w początkowym okresie (były obozy jenieckie). Z relacji mieszkańców Polski wiem, iż w Polsce scen przypominających wyżej opisaną raczej się nie spotykało, wszelako używano jeńców do prac związanych z odgruzowaniem.

Aż do zakończenia wojny, sowieckie oddziały przemieszczają się na zachód przez terytorium Litwy oraz Polski. Poległych na oddalonym o kilkaset kilometrów froncie, ktoś musiał zastąpić. Ruch sowieckich wojsk odbywa się w jednym kierunku; na zachód. Żadne oddziały nie wracały. Większość sowieckich żołnierzy ginęła na froncie, gdyż ich generałowie nie liczyli się ze stratami. Dla nich istotny był sukces. Bardzo spektakularne było wyjaśnienie marszałka Żukowa skierowane do generała Eisenhowera po zakończeniu działań wojennych w Niemczech. – „Jak oczyszczaliśmy pole minowe potrzebne do ataku czołgów? A no, przed tym atakiem pędzimy piechotę przez to pole”. Miny wybuchały pod nogami żołnierzy, po czym ten obszar stał się dostępny dla czołgów.

W tym okresie ludność jest narażona na rabunki tudzież gwałty. Drobne gospodarcze zwierzęta należy dobrze ukryć. Nam powystrzelano większość wypuszczonych na wolność w celu ocalenia od zagłady królików oraz kur, sąsiadce na stawie pływające kaczki zostały powystrzelane i tp. Kobiety były narażone na gwałty. Latem 1945 roku, żeby się ukryć przed żołdatami, moja mama z cicią postanawiają w okresie postojów sowietów, nocować w stodole na sianie. Miały wówczas po 33 lata. I to był błąd. Bowiem 'usłużni" sąsiedzi o tym donoszą żołdatom. Według relacji mojej mamy, po wdarciu się do stodoły brutalnie dobierają się do nich. Mama opowiedziała jedynie co się z nią działo, nie dopytywaliśmy się o cicię. Moja siostrzyczka Lusia, wówczas półroczna spała przytulona do mamy, więc mama mówi o tym żołdatowi biorąc go za rękę i dotykając nią córeczkę. Żołnierz pogłaskał główkę, po czym daje spokój mamie. Ponoć z cicią działo się nie inaczej, bowiem miała przy sobie córeczkę w identycznym wieku. To był dodatkowy przykład nad wyraz nieprzyjaznego postępowania litewskich sąsiadów wobec nas Polaków. Należy wiać z tego kraju jak najszybciej! W końcu groziło nam znaczne i ciągle niebezpieczeństwo związane z donosicielstwem do władz sowieckich.

Będąc w miarę sprawiedliwy, wspomnę też o dobrym uczynku żołdatów. Moja kilkumiesięczna siostra Lusia nagle dostaje silnej gorączki, a nie mając na widoku żadnego lekarza, rodzice zwracają się do oficera sowieckiego. On tę wiadomość przekazuje swojemu lekarzowi. Sowiecki lekarz nakazuje sanitariuszce podać określony lek, który być może ratuje życie mojej siostrzyczki.

Działania wojenne nas bezpośrednio omijają. Natomiast pojawiają się liczne niebezpieczeństwa, zwłaszcza dla dzieci żądnych silnych wrażeń. Przechodzące armie pod koniec wojny, pozostawiają stosy amunicji, są błyszczące, świeżo wyprodukowane oraz zazwyczaj porządnie złożone przy brzegach szos. Głównie na Łotwie, bowiem tam były lepsze drogi. Po litewskich nie chciało się większym oddziałom poruszać, maszerowały tylko piesze kolumny, nawet czołgi nas omijały. W okresie wojny granicy między Litwą a Łotwą nie strzeżono. Wędrujemy więc sobie kilka kilometrów po Łotwie w poszukiwaniu pozostawionego sprzętu wojennego, głównie amunicji. Chodzi nam zwłaszcza o główce (zapalniki) pocisków moździerzowych. Metrowy pękaty pocisk ma na czubie przykręconą na gwint

głowicę - zapalnik, który eksploduje, gdy pocisk wystrzelony przez działą uderza w przeszkodę.



„Pociski moździerzowe

Saperzy mogą bezpiecznie ten zapalnik odkręcić za pomocą specjalnych kluczy. My natomiast musimy go rozruszać stukaniem za pomocą kamienia. Gdyby nastąpiła wówczas eksplozja to nie byłoby, co z nas zbierać. Powstałby pokaźny lej a po nas ani śladu. Rodzice by nie wiedzieli, co się z nami stało. Jednakowoż jak wiadomo niekontrolowana eksplozja wówczas nie nastąpiła... wówczas. W jakim stopniu to jest niebezpieczne, wskazują środki ostrożności podejmowane przez saperów, w przypadku znalezienia niewybuchów. Obowiązkowo opróżnia się w tym przypadku okoliczne budynki. A przecież chodzi jedynie o odkręcenie zapalnika....

Wyżej opisane głowice, po odkręceniu od korpusu pocisku, stanowiły dla nas skarb. Wystarczyło je włożyć do plecaczka i w stosownym momencie rozpałić gdzieś ognisko, do niego włożyć zapalnik, następnie w ukryciu czekać. Zazwyczaj to się odbywało w przestrzeni otoczonej rozległymi polami. Na naszym polu było miejsce z licznymi dołami po wydobytych do celów budowlanych żwirze. Dość bezpieczne schronienie na takie ‘zabawy’. Głowice po rozgrzaniu się w ognisku bardzo głośno eksplodowały, a z ogniska nie zostawało ani śladu, odłamki gwizdały nad głowami. O dziwo, z kolei tego, to my się nie baliśmy. Ognisko musiało być solidne, żeby przed eksplozją nie zgasło – gdyby tak się zdarzyło, mielibyśmy rozterkę, czy do tego ogniska się zbliżyć.

Nie zawsze oczekiwanie na wybuch miało charakter jedynie ekscytujący. Tym razem rozpałamy ognisko w środku niewielkiej polanki w łotewskim lesie. Chodzi o sprawdzenie, jak wybuch w lesie grzmi. Stojąc ukryci w pewnej odległości za drzewami przyglądamy się ognisku z włożonym w nim zapalnikiem czekając na jego

wybuch. Wtem powiewa grozą. Z leśnej dróżki wyłania się człowiek. Powoli idzie nieznamy nam chyba Łotysz. Zamieramy z przerażenia. Być może powinniśmy mimo wszystko podnieść alarm, lecz my nie możemy z grozy wydobyć głosów ze ściśniętych gardeł. Po prostu nas ogarnia jakiś paraliż. Tylko myśli jak błyskawice przelatują w naszych głupich mózgach. Zaraz coś się okropnego stanie. Człowiek zostanie rozerwany w strzępy, jak amen w pacierzu. Jest człowiek, a za chwilę zostaną z niego tylko strzępy...Dla nas murowane kłopoty. Jednak on się niczego nie spodziewając, spokojnie zbliża się do tego ogniska, bierze płonąca gałązkę, następnie zaczyna przypalać papierosa. Chcemy, żeby jak najszybciej tego papierosa przypalał. Nam się wydaje, że to się odbywa bardzo bardzo powoli. Ku naszej uldze, po przypaleniu papierosa w końcu rusza dalej ścieżką leśną. Dobrze się składa, że Łotysze mieli gotowe papierosy, na Litwie skręcano je przed użyciem, ponadto nie kręciło go, żeby przy ognisku nieco się ogrzać, a było chłodnawo... W następnej chwili rozbiegamy się, jakby nas stado wilków goniło. Po pewnym czasie słyszymy wybuch, którego echo niesie się przez cały las.

Czy byśmy odpowiadali za zabójstwo, sądzę, raczej nie, nikt w tamtych czasach w detektywów się nie bawił. Jego rodzina by pomyślała, że musiał się bawić z jakimś granatem i tyle. Wybuch był potężny, zapalnik był wielkości granatu, z powodu fali uderzeniowej, po ognisku nie zostawało żadnego śladu. Wówczas czas nagrzewania się zapalnika był dłuższy niż czas, jaki ów człowiek spędził przy ognisku i nikt nie ucierpiał. Być może ten człowiek mógł zostać 'jedyńie' poraniony, na przykład nogi stracić. Musielibyśmy wówczas go ratować. Lepiej nie rozważać tego. Krańcowa głupota tudzież brak jakiegokolwiek odpowiedzialności, bez dwóch zdań.

Gdy dorośliśmy, czasem zadajemy sobie pytania. POCO nam były potrzebne tak skrajnie niebezpieczne zabawy? Lecz to było takie podniecające...Takie niebezpieczne zdarzenia, do których człowieka coś pcha, jest związane ze wzrostem stężenia adrenaliny w organizmie. Może to jednak jest potrzebne do rozwoju człowieka? Kto wie? Lecz do jakiego rozwoju, to nie mam pojęcia. Zarówno odkręcanie zapalników od pocisków, jak i oczekiwanie wybuchu w ognisku było wówczas wyjątkowo podniecające, bez dwóch zdań! Dziś wydaje się bardzo głupie! Rozpisuję się o tych przygodach, gdyż to już bezpowrotna przeszłość, z tego co

wiem w teraźniejszych czasach młodzież inaczej spędza wolne chwile, przy komputerze, podróżach, nauce. Te nasze przygody mogą wydawać się egzotycznymi. Natomiast media czasami donoszą, że tu i ówdzie zdarzają się nieszczęśliwe wypadki czy to z niewybuchami czy też bombami domowej roboty. Najbardziej znanym przykładem nieszczęścia związanego z niewybuchami, to śmierć wrocławskich chłopców. Między ofiarami wybuchu niewypału we Wrocławiu był braciszek Wandy Rutkiewicz – dlatego między innymi, media to nagłośniły. Przy okazji wspomnę, że u swojej Cioci Henryki Makowicz mieszkającej na Wspólnej parę razy spotkałem matkę naszej słynnej alpinistki już po jej śmierci. Miała tragiczne przeżycia: śmierć synka, zabójstwo męża i na koniec śmierć córki, wszystko w tragicznych okolicznościach. Wystarczy, co sądzicie?

Już w Polsce pytam ojca czy wiedzieli o naszych 'wyczynach" z pociskami. Mówił, że zapewne mi się to przyśniło i tak to zostało, nie usiłowałem go przekonywać, że to nie były marzenia senne. Potrafimy być dyskretni, ani pary z ust na ten temat. Sza, koniec, kropka. Niech żyją w świadomości, że dzieci przeżyły tamte trudne czasy dzięki troskliwej opiece, zapobiegliwości i czuwaniu rodziców.

Natomiast bez ofiar się nie obeszło. Ale już po wojnie, takie nieszczęście jednak nie omija naszą rodzinę. To się dzieje dopiero po przyjeździe do Polski, ofiarą jest Rysiek Małachowski (1934-2005), mój stryjeczny brat, towarzysz opisanych wyżej przygód. Nam z bratem te fascynacje zanikły, Ryśkowi – pozostały. Pewnego razu mieszkając w Elblągu, usiłuje on rozebrać na drobne części niewielki zapalnik. Tymczasem, w trakcie tych usiłowań następuje nieoczekiwana eksplozja. To się dzieje w wigilię. Mocno krwawiącego poranionego setką odłamków, 14 letniego chłopca zabiera pogotowie, ściągnięto chirurga z domu. Lekarz się spieszy, nie usiłuje ratować chociażby części dłoni. Ją amputuje. Rysiek oprócz prawej dłoni (był praworęczny), wielu ran zwłaszcza na nogach, traci także jedno oko. Było zagrożenie życia ze względu na znaczną utratę krwi. A była eksplozja sporo mniejszego zapalnika niż te, którymi w czasie wojny 'zajmowaliśmy się". Jak wspomniałem, to się stało w okresie Świąt Bożego Narodzenia już w Polsce. Były plany, aby ja wraz z rodzeństwem złożył wówczas wizytę w Elblągu. Tymczasem, pojechała tylko moja siostra Marysia. Ją rozbieranie zapalnika nie interesowało.

Gdybyśmy z bratem tam byli w czasie 'eksperymentu', mogło być więcej ofiar... Jako dzieci nie w pełni zdawaliśmy sprawę z zagrożenia konsekwencjami dotyczącymi całego życia, takich jakie spotyka okaleczonego Ryśka, braku prawej dłoni oraz oka. Tymczasem już na początku powstał bardzo poważny problem w szkole – będąc praworęcznym, musiał się na nowo uczyć pisania lewą ręką. To była męczarnia. Do końca życia nie założył rodziny. Pracował głównie jako magazynier.

Skoro już zacząłem wspominać niebezpieczeństwa czyhające na nas dzieci, to wróć do czasów wcześniejszych, kiedy też ich nie brakowało. A mianowicie, ojciec dobrze pamiętał sytuacje groźne, nie do końca tak niebezpieczne, jak wyżej opisana. Na przykład: mając około 5 lat wdrapuję się na wysoki stary klon, żeby się lepiej przyjrzeć światu z wysoka. Dzieci zawiadamiają mego ojca o moim wyczynie, on przybiega, następnie bardzo spokojnym głosem namawia mnie, żebym powoli schodził. Nic mnie wówczas się nie stało. Ojciec musiał się tym wyjątkowo przejąć skoro mnie o tym wspomniał parę miesięcy przed swoją śmiercią, to znaczy ok. 54 lata po tym zdarzeniu. Był wyraźnie dumny ze sposobu, jakiego użył. Pomyślałem wtedy, gdyby mój syn tam się wdrapał (na szczęście byli ostrożniejsi), może bym powiedział

– synu siedź tam spokojnie,

następnie bym się po niego wdrapał na drzewo, wszak ojciec w tamtym momencie jest zaledwie 28 letni. Wszelako jak wynika z tego opisu, jestem wprawiony w wdrapywaniu się na drzewa, zaczynałem trening, tak jak dzisiejsi tenisiści, już jako 5 letni chłopczyk. Gdyby ojciec wspiał się na drzewo, być może byśmy razem przy schodzeniu z drzewa spadli.... Tak to mogło wyglądać, gdyż nigdy go nie widziałem w wyczynach sportowych. Był wówczas wprawdzie młodym mężczyzną, lecz nie trenował wspinanie się na klony.

Na Warmii wprawdzie wokół zabudowań nie brakuje drzew do wspinania się, lecz Niemcy wszystkim drzewom poobcinali gałęzie do wysokości około 3 m. Może, żeby uniemożliwić dzieciom niebezpiecznego wspinania się, lub zawadzały o pojazdy. Musielibyśmy przytargać długą i ciężką drabinę w celu dosięgnięcia jakiejś gałęzi. Nie chciało się nam aż tak trudzić, bowiem tu wszystko było nowe, więc nie

brakowało innych ciekawszych zajęć. Nie pytałem ojca dlaczego na Litwie nie obcinano gałęzi.

Następnym niebezpieczeństwem zagrażającym zarówno na Litwie jak i na Warmii naszemu zdrowiu czy życiu, jest lód na jeziorze, zwłaszcza w Eikiniszkach. Pierwszy mróz na początku zimy skutkuje pojawieniem się tafli lodu na jeziorze. Natychmiast pojawia się dodatkowa zabawa. Biegamy po uginającym się tudzież trzaskającym dość cienkim lodzie. Na początku zimy lód nawet cienki, jest dość wytrzymały. Udaje się nam nie wpaść do wody. Dorośli są dość daleko. Gdyby któremuś z nas to się przytrafiło, ratunku nie byłoby. Przy okazji ostrzegam, na wiosnę lepiej na lód nie wchodzić. Nawet, gdy nie jest cienki, jest nad wyraz zdradliwy, łamliwy. Rodzice oczywiście zabraniali takich zabaw. Tymczasem w pełni zimowego sezonu bezpiecznie ślizgaliśmy się po jeziorze. Nie było dużej frajdy, bowiem mieliśmy łyżwy dość prymitywne, każdorazowo pracowicie przykręcane do naszych codziennych butów.

Na szczęście moi synowie nie przejawiali ochoty ani biegania po cienkim lodzie, ani wchodzenia na drzewa, mimo, że drzew nie brakowało gdy mieliśmy wypady do lasu czy na działkę w Smoszewie. Nie musiałem, więc sprawdzać swojej strategii ich ratowania z opresji. Dla tych, co na wysokie drzewa mieli ochotę się wspinać, podaję informację, obawiam się, niezbyt oczywistą. Otóż, bezpieczniej jest wspinać się na drzewo, niż z niego schodzić! Niewątpliwie wspinanie się wymaga większego wysiłku, lecz człowiek widzi gałęzie czy konary, na które stawia stopę. Natomiast już schodzenie w dół jest szczególnie dla dzieci wyjątkowo niebezpieczne, wiem o tym z własnych doświadczeń. Wówczas tułów zasłania miejsca, na które ma stanąć stopa. Skoro na takie miejsce stopa nie trafia, to zwłaszcza dziecko nie utrzyma się na rączkach - lepiej nie wybrazać, co się stanie. Takie wyjaśnienia mogą być przydatne dla ewentualnych rodziców. Nawiasem mówiąc, nie wspinałem się na drzewa tak sprawnie jak Tarzan, parę razy przydarza mi się spaść z drzew, na moje szczęście z wysokości niewielkiej. Ojciec był przekonany, że to był mój pierwszy tudzież ostatni wyczyn. Dzieci, do normalnego rozwoju fizycznego potrzebują nieco wysiłku. Wtedy nie mamy w swoim zasięgu bardziej bezpiecznych zabaw, takich jak rowery, boiska, piłki, tenis. Tak czy owak uprawiamy sport taki, jaki był w naszym zasięgu. Że był

niebezpieczny – nie nasza wina. Na końcu dodam, że chęć zaimponowania rówieśnikom i pokazanie swojej odwagi i możliwości tu odgrywa dużą rolę.

Mimo wojny, przez naszą oraz pobliskie okolice nie przewala się front, nie ma bunkrów, okopów, bombardowania samolotami i artylerią ani atakowania wzajemnego wrogich armii, wiecie co mam na myśli. Mam wrażenie, że w ostatniej wojnie, takie fronty z okopami wrogich armii nie były zbyt częste. Dopiero po jakimś udanym manewrze okrążenia przeciwnika, powstawał front bezpośrednio atakujących i broniących się dywizji. W naszej okolicy nic takiego na szczęście nie powstało. Dopiero taka sytuacja wytworzyła się w rejonie Rygi. Nad nami, najczęściej bardzo wysoko przelatywały grupy bombowców. Samoloty przelatywały w różnych okresach wojny, dniem i nocą wysoko nad naszymi głowami. Po wysokości tonu, jaki samoloty wydawały, jesteśmy w stanie rozróżnić sowieckie od niemieckich. Niemieckie wydzielają nieco wyższy ton. Mogliśmy się mylić, bowiem wiele sowieckich samolotów były „made in USA”.

Nie wiadomo dlaczego, jednak nasza miejscowość jest pewnego razu zbombardowana – najedliśmy się strachu co niemiara (tacy byliśmy tchórzliwi). Swoją drogą to bombardowanie przez lotnictwo sowieckie zapadłej wioski wydaje się nam raczej dziwne. W końcu front już dość dawno przez nas się przetoczył. Niemcy szybko się wycofali, zatem już byliśmy podłączeni do Związku Sowieckiego. Były to wysoko lecące bombowce sowieckie, nagle bez zniżania się zaczynają zrzucać na naszą wioskę bomby. Wojsk żadnych nie było w okolicy, dlatego właśnie stwierdzamy, iż zdecydowali się nie narażać na zestrzelenie przez niemieckie samoloty bądź artylerię przeciwlotniczą. Naraziliby się gdyby zdecydowali się wykonać zaplanowane bombardowanie, zwłaszcza wobec wyraźnej poprawy celności artylerii niemieckiej. Więc pozbywają się bomb, następnie niezagrożeni wracają szczęśliwi na swoje lotniska. Zapewne zamierzali te bomby rzucić do jeziora, lecz byli wysoko, może za późno jezioro zauważają, więc trafiają w wioskę. Takie wytłumaczenie częściowo mogą potwierdzić powojenne wypowiedzi amerykańskich lotników. Pod koniec wojny Niemcy mają wprawdzie zniszczone lotnictwo, lecz wciąż nad wyraz sprawne działa z odpowiednio przystosowanymi przeciwlotniczymi przyrządami optycznymi i się bardzo wprawili w zestrzeliwaniu

samolotów działami 20 milimetrowymi. Gdy jakiś samolot amerykański decyduje się na celniejsze bombardowanie albo ostrzeliwanie pozycji niemieckich to musi zwolnić, zmniejszyć wysokość lotu. Lotnik amerykański powiedział:

- no i wówczas często samolot jest trafiany przez artylerię.

Zatem Amerykanie ze względu na celną artylerię, niszczyli pozycje wrogów lecąc z wielką szybkością i raczej na znacznej wysokości. Rosyjskie samoloty były sporo wolniejsze od amerykańskich, mogły padać łupem artylerii. Woleli więc te bomby zrzucać tam, gdzie tej artylerii nie było, oczywiście o ile tego przełożeni nie wiedzą. Wybierają więc oddalone od miast jezioro Eikiniszki.

Wówczas nikt z sąsiadów nie ucierpiał. W tamtym momencie zorientowaliśmy się jak ludzie mocno bombardowanie przeżywają. Nigdy nie zapomnę tego potwornego strachu. Na filmach takie sceny się ogląda dość spokojnie, nie widać, żeby aktorzy się bardzo bali, w rzeczywistości to jest ogromny stres. Bomba jest niewidoczna, nie wiadomo gdzie spadnie i czy za chwilę nie rozerwie człowieka na kawałki, a wybuch ogłuszający. Ja w tym czasie przebywam na dworze kryjąc się w rowie. Może ludzie chroniący się w piwnicach w czasie bombardowania miast tak tego nie odczuwali, zazwyczaj coś jest nad głową, co może bombę zatrzymać. Mój wówczas 32 letni teść przebywa w czasie wojny w Niemczech na przymusowych pracach w mieście Ulm. Alianci często bombardują węzeł kolejowy, gdzie teść pracuje. Podobnie jak ja twierdził, że przeżywał tak wielki stres, iż każdorazowe bombardowanie przez aliantów tego miasta, u teścia skutkowało silną biegunką. Teść, gdy to opowiadał, wplatał też surrealistyczne zdania, bowiem przed każdym bombardowaniem śniła mu się matka. Jestem przekonany, że te bombardowania odbywały się niemal codziennie. Wybaczcie ale częste bombardowanie nie przekłada się na wzrost odwagi mieszkańców miast, żołnierzy na froncie - podobnie.

Brak działań wojennych na pograniczu Litwa-Łotwa, po wojnie się wyjaśnia. Jak się później okazuje armia czerwona nie goniła Niemców do Bałtyku, lecz zdołała ich zamknąć w dużym kotle wokół Rygi. Zaczynają przeprowadzać ewakuację statkami. Sowieci twierdzą o wzięciu do niewoli znacznej ilości wojska. Później zachodni historycy prostują ten epizod wojny. Wówczas się okazało, że u Sowieców

propaganda sukcesów armii czerwonej jest ważniejsza od prawdy historycznej. Otóż 20 tygrysom z bohaterskim dowódcą czołgów lejtenantem niemieckim udaje się przebić korytarz na zewnątrz tego kotła na stronę zachodnią, którym niemal całe wojsko niemieckie przedziera się poza pierścień sowietów.

Oczywiście zarówno cofające się na początku 1945 r. oddziały niemieckie, jak i postępujące za nimi później sowieckie rabują nasze majątki. Zabierają tak potrzebne w tamtym momencie żywność oraz konie. Sowietci polowali pepeszami na nasze ptactwo domowe oraz króliki, które poprzednio wypuściliśmy w celu ich ocalenia. Dzięki lasom zdołamy ocalić 2 konie, które przyjechały później do Polski. Natychmiast sowieci zaczynają robić swoje porządki.

Sowieci odbierają nam większość ziemi, zostawiając, o dziwo 15 ha (dowcipnie, te 15 ha należały do nas tylko na papierze!). Kołchozy organizują później, po naszym wyjeździe do Polski. Opowiadano nam, że na początku pędzili przymusowo chłopów na pola do pracy, nic im za to nie płacąc. Nie pozwalając na przeniesienie się do miast. Dla litewskich chłopów nastają ciężkie czasy, bez dwóch zdań. Och, jak za Niemcami teraz zaczynają tęsknić, bardzo ich brakuje! Nasza rodzina już wówczas była daleko, lecz nie trzeba być wybitnie inteligentnym, żeby być pewnym, że za czasami przedwojennego wyzysku przez obszarników, jeszcze bardziej tęsknili. Bowiem człowieka na wsi nic bardziej nie gnębi, jak brak możliwości planowania przedsięwzięć i wymuszanie wykonywania prac ograniczonych odgórnymi nakazami, a dodatkowo, które nie są w jakiś sposób związane z wynagrodzeniem.

11. POLACY NA LITWIE PRZED I PODCZAS DRUGIEJ WOJNY

W rejonie gdzie przed wojną mieszkamy w zasadzie nie było ludzi, znających język polski. Byli tacy, co do których można mniemać, iż byli kiedyś Polakami, lecz wynarodowili się. O tym domyślaliśmy się z typowych polskich nazwisk. Przykładem może być nasz sąsiad Lodyga. W litewskim nie ma takiego wyrazu. My w bliższej oraz dalszej okolicy nie mamy Polaków, żyliśmy w 'morzu' litewskim. Dziwne, w końcu w domu mówimy wówczas cały czas po polsku. Tymczasem z tego co pamiętam, gdy ojca nie ma w domu, już zaczynamy czasami rozmawiać po litewsku, bowiem był lepiej przez nas opanowany, zwłaszcza gdy w relacjach należało powtórzyć fragment wypowiedzi Litwina. Nie było konieczności przetłumaczenia danego zdania. Tymczasem ojciec znając przypadki zaniku mowy polskiej w polskich rodzinach, bardzo się złościł na nasze litewskie gadanie. Swoje reakcje ojciec zapamiętuje, bowiem tuż przed śmiercią, pyta mnie:

- chyba dobrze robiłem, że awanturowałem się na wasz litewski?

Powiedziałem: - oczywiście.

Lecz po zastanowieniu się dodaję:

- gdy już byliśmy w Polsce mogliśmy od czasu do czasu sobie po litewsku pogawędzić, to byśmy języka nauczonego nie zapomnieli.

- po co ci ten język jest potrzebny? – pyta.

No właśnie – po co? Dam przykład. W okresie tzw. władzy ludowej w Polsce nasze środki przekazu są beznadziejnie kłamliwe. Takie ocenianie mediów jest obusieczne, dla władzy czasem powraca czkawką. Na przykład pragną przekazać społeczeństwu jakąś wiadomość o zdarzeniu, które w rzeczywistości zaistniało. Nikt wówczas nie jest pewien czy przekazany obraz jest do końca prawdziwy czy kompletnie zfałszowany. Nie było sensu słuchać wiadomości. Władzy nie każda prawda była na rękę. Jedyne wyjście są wówczas zachodnie radiostacje, Wolna Europa, Londyn, Waszyngton. Szkopuł w tym, że są zagłuszane przez specjalnie w

tym celu wybudowane, kosztowne urządzenia nadające nieprzerwanie coś w rodzaju warkotu mieszaniny dźwięków o różnej tonacji. Nie sposób w tym momencie jest cośkolwiek rozróżnić co mówi spiker 'wrogiej' radiostacji. Tymczasem działanie tych zagłuszających urządzeń pokrywa tylko terytorium państwa, na terenie którego, ono funkcjonuje oraz dotyczy audycji nadawanych w języku tego państwa. Zatem znając inny język bez przeszkód dowiadywał się słuchacz, co w rzeczywistości się zdarzyło. Jakiś czas jestem w stanie wszystko zrozumieć, co spiker z Wolnej Europy mówi po litewsku. Potem już jest z tym coraz gorzej. Przypuszczam dlatego, gdyż nie słucham tych stacji regularnie. Mankamentem słuchania w obcym języku jest repertuar. Litewskie wiadomości nie zawsze były interesujące dla Polaków oraz nie zawsze nas interesujące wiadomości nadawali Litwini.

Ojciec mieszkając na Litwie, w rubryce narodowość ma wpisane Polak, mimo, że władze nakłaniają na wpisanie Litwin obiecując niemało ułatwień, korzyści. Tymczasem utrzymanie takiego wpisu ułatwia później uzyskanie zezwolenia na wyjazd do Polski. Przykładem innych Polaków może być wspomniany wyżej Komaras nosił tytuł graf – niżej od hrabiego. Niektórzy w tamtych stronach uważają ich za Niemców (ze względu na tytuł graf), raczej zniemczonych Polaków. Jednak przypuszczam to jest mało prawdopodobne, w końcu w tej okolicy w ogóle Niemców nie było, to w jaki sposób mogliby się zniemczyć. Oni potem przyjeżdżają do Polski, przybierając nazwisko Komar. W czasie odwiedzin na Litwie tych okolic w 2003 roku widziałem, że zachowały się zdjęcia grafa Komarasa oraz jego rodziny w archiwach kościelnych w Onuszkis. To nie jest ojciec naszego kulomiota, gdyż on podaje miejsce swego urodzenia Kowno. Mieszkając na Litwie i będąc w kościele, przypominam ich siedzących na wyróżnionych ławkach z boku ołtarza. Innymi przykładami są rodziny o mieszanej narodowości jak moja ciocia Jolanta (matura w polskim gimnazjum), która jak wspomniałem, wychodzi za Litwina (Stasiulis). Oni w domu używają litewskiego.

Tymczasem nasz złoty medalista olimpijski Władysław Komar (1940-1998). Urodzony 11 kwietnia 1940 w Kownie w ziemiańskiej oraz usportowionej rodzinie też Władysława Komara i Wandy Jasieńskiej (ojciec Vladislavas Komaras był reprezentantem Litwy w biegu płotkarskim na 110 m, matka zaś mistrzynią i

rekordzistką Polski w pchnięciu kulą). Matka wraz z dziećmi uciekła z Wilna do Polski w 1944, kiedy mąż, członek ZWZ - AK został zamordowany przez litewskich faszystów w swoim majątku Rogówek. Władek okres szkoły podstawowej spędza w prowadzonym przez siostry zakonne sierocińcu w Otorowie koło Poznania. Nasz olimpijczyk jest pochowany w Warszawie na Powązkach.

Moi rodzice byli Polakami, kształcili się w Poniewieżu w polskim gimnazjum. Z jednej strony, takie wykształcenie jest pożyteczne dla utrzymania świadomości narodowej, lecz z drugiej strony, wobec silnych nastrojów szowinistycznych na Litwie, polskie świadectwo maturalne było zdecydowanie niżej oceniane niż litewskie. Zwłaszcza to się dawało odczuć przy staraniu się o pracę. W sytuacji moich rodziców ta różnica nie odgrywała roli. Nasza rodzina w domu używa języka polskiego. Do służby mówimy po litewsku. Między Eikiniszkami a Czedasai jest wtedy majątek rodziny o nazwisku Lodyga (wspominałem o nim wyżej). Przypuszczam, że kiedyś mógł to być Łodyga, czyli Polak. Chodziłem z jego synem do szkoły, nie znał ani słowa po polsku. O perypetiach tej rodziny piszą w litewskim Facebooku. Nie będę tu tego przytaczał, poza informacją, że część młodszego pokolenia zdołała się przenieść do Gdańska równocześnie nastąpiła zmiana Lodyga na Łodyga. Wszelako ich zabudowania wciąż stoją, chociaż w fatalnym stanie.

W czasie swoich studiów fizyki na Uniwersytecie Warszawskim w trakcie zdawania egzaminu z fizyki doświadczalnej profesor Andrzej Sołtan przeglądając mój indeks zauważył Eikiniszki, jako moje miejsce urodzenia, przy tym bardzo się tym faktem interesuje. Mówi mi wówczas, że w pobliżu zwykł przed wojną spędzać swoje wakacje u cioci.

Obecnie na Litwie Polacy są skupieni w Wilnie oraz w jego okolicach. Ci, co byli rozproszeni na pozostałym obszarze Litwy, szybko się wynarodowili, bądź jak my wyjechali do Polski. Wileńszczyzna się nie wynarodawia, bowiem to jest skupisko Polaków ze szkołami polskimi. Lokalne władze litewskie usiłują wynarodawiać tych Polaków. Stosują metody stopniowego zmniejszania ilości szkół polskich, zmieniania ich programów nauczania, jak też usiłują tę społeczność rozcieńczyć. Na przykład zamiast zwracać uwagę na nieruchomości w Wileńszczyźnie, starają się zachęcić do osiedlania się z dala od tego rejonu. Jednak już w Wileńszczyźnie

przydzielają Litwinom. Żeby się nie przeliczyli, wszak ci przesiedleni Litwini mogą się wynarodowić. Przy okazji wspomnę, że w Polsce na Suwalszczyźnie żyje liczna społeczność litewska. Mają swoje szkoły oraz kulturalną działalność. Czy ich się pod jakimś względem gnębi? Należałoby nad tym się pochylić. Na pewno jest im nieco trudniej niż Polakom. Bez szkicu (na pewno subiektywnego) ważniejszych cech charakterów Litwinów, trudno byłoby zrozumieć sytuację, w jakiej przyszło egzystować na Litwie polskiej mniejszości narodowej. Zatem kolejny rozdział poświęcam Litwinom. Zresztą, czy czegoś w tym temacie można być pewnym? Nasza noblistka Szymborska mówiła: pewność jest piękna, ale niepewność piękniejsza. Aczkolwiek czeski ksiądz Tomas Halik mówił: - co nie jest chwiejnym, jest nietrwałe.

12. LITWINI

Swoje wrażenia przedstawiam tu z punktu widzenia nastolatka, w większości na podstawie obserwacji ludności wiejskiej, głównie w okresie przedwojennym. Niewątpliwie powojenny okres okupacji sowieckiej przedstawione tu moje wrażenia nieco zmienił. Po wojnie nieraz spotykam się z krewnymi z Litwy, którzy zamieszkują w Kownie oraz Wilnie. Naród litewski jest wyłącznie katolicki. Łotysze za granicą to kalwini, na kościołach koguty zamiast krzyży. Przed wojną te narody były bardzo religijne. Okupacja sowiecka tę religijność nieco stępia. W czasach przedwojennych, jeśli coś nie idzie tak jak się oczekuje, wciąż szukają przyczyny często nie tam gdzie ona leży:

- dlaczego Bóg mnie pokarał? Musiałem coś zgrzeszyć.

Natomiast, gdy się powiedzie, wówczas przypisują to powodzenie swoim walorom oraz dodatkowym wsparciem Boga. Nie jestem pewien jak tam teraz ta 'filozofia' wygląda. Być może i w Polsce na wsi tak rozumowano w tamtych czasach. Nawiasem mówiąc, podejście przypominające tamtejsze, nietrudno zauważyć aktualnie, także w Ameryce Łacińskiej. Tam aktualnie panuje podobna interpretacja niepowodzeń oraz sukcesów. Niedawno usłyszałem wypowiedź brazylijskiego piłkarza po przegranym meczu:

- dlaczego Pan Bóg nas pokarał? Jaki grzech popełniliśmy?

Gdyby Bóg ingerował w ten mecz zgodnie z życzeniem tego piłkarza, to wygrałaby gorsza drużyna. Na szczęście Bóg nie ingeruje w nasze sprawy.

Zarówno Litwini tudzież Łotysze rzadko w tamtych czasach zamieszkują we wsiach o zwartej zabudowie. Litwin zazwyczaj na kawałku swojej ziemi centralnie umieszczał zabudowania. Przekłada się to na spore odległości do przejścia do kościoła, szkoły, sklepu. Podobnie było na Łotwie. W USA farmy też tak wyglądają, z tą różnicą, że tam obszary posiadanej ziemi są daleko większe. Także odległości do pokonania są niemałe. Ponoć to przyspieszyło proces motoryzacji w USA. Zdziwił nas kompletnie inny widok obszarów wiejskich na Ziemiach poniemieckich. Tu w sumie wyłącznie królują wsie o zwartej zabudowie. Litwini byli biedniejsi od Łotyszy, chodzili na Łotwę do pracy. Budowali oraz nadal budują raczej małe parterowe chatki z drewna, obawiam się, że tylko dwuizbowe (oczywiście są też bogatsi z okazalszymi domami).

Uwielbiają organizowanie wieczornych potańcówek, to przeważnie ma miejsce w naszym dworku. Lubią i potrafią śpiewać zbiorowo. Tymczasem po przyjeździe do Polski zauważam różnicę w temacie śpiewanie. W Polsce mamy pewne piosenki, znane w całym kraju, śpiewane na obozach, wędrownkach, spotkaniach. Wiecie, o co chodzi (Szła dziewczeczka do laseczka...., O mój rozmarynie...., Jak dobrze nam zdobywać góry....). Tam tego nie ma. Być może ich nie słyszałem? Są piosenki lokalne. Ani słowa ani melodia nie są ambitne. Np. „rami, rami, rami naktis, tik ne rami mano szirdis...” a w tłumaczeniu:

- spokojna (3x) noc, tylko nie spokojne moje serce’.

Nie są śpiewane w szybkim tempie, więc śpiewanie na głosy nie jest trudne. Można to tłumaczyć słabą penetracją kraju przez media. Przed wojną radio było rzadkością. Zresztą się nie upieram – być może nie znam innego rodzaju ich piosenek.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia pięknego fragmentu na temat polskich piosenek, w zawężeniu militarnym. Któż w naszym kraju nie zna ich? Taki opis znalazłem w powieści ‘Popiół i Diament’ Jerzego Andrzejewskiego. „Śpiewano tę piosenkę o płaczących wierzbach, które się rozszumiały, tu i tam i gdzie indziej,:

na ulicach i podwórkach, w pociągach i lokalach. Krążyła z ust do ust, wywołując tamte minionie lata walki, opiewając chwałę chłopców z lasu, dolę i niedolę ich partyzantki. Jak niegdyś żołnierz maszerował borem, lasem, jak niegdyś rozkwitły ginącym pęki białych róż i jak rozbrzmiewała ponad pobojowiskami dziarska piosenka o pani wojence, którą wszystko ze siebie potrafią dać z lekkim sercem chłopcy malowani.” Jak widać z tego opisu, piosenki te były znane dość powszechnym stopniu. Przed wojną nie słyszałem litewskich piosenek tego rodzaju, niestety.

Swego rodzaju ciekawostką jest forma, w jakiej Litwini zwracają się do innych ludzi. Każdy naród ma swoje zwyczaje w formie zwracania się do innych niespokrewnionych czy niezaprzyjaźnionych ludzi. W krajach anglosaskich to forma ‘you’ nikogo nie razi, no być może królową, duchownego, profesora. Gdyby to tłumaczyć na polski, to wyszłoby ty albo wy. W naszym kraju do nieznanego per ty jest niegrzecznie się zwracać. Do nawet nieznanym towarzyszom partyjnym można zwracać się per wy, czyli you. Do przełożonych – ‘sir’ się stosuje. U nas ‘ty’ wymaga zgody, żeby się tak zwracać, wszak inaczej to zaraz słyszy się ‘nie pasalem z tobą krów’. Wtedy się odpowiada: ‘A z kim pasales?’. A na Litwie zależy od klasy społecznej. Wieśniacy między sobą, niezależnie, znają się czy nie, używają drugiej osoby liczby pojedynczej ‘tu’. Tymczasem do mojego ojca zwracali się per ‘ponas’. Do miejskich ludzi to forma ‘tamsta’ była używana. Ponoć w czasach sowieckich ta forma zwracania się została wyeliminowana. Tak jak u siebie, sowieci przeforsowali formę drugiej osoby liczby mnogiej. Na Litwie to im się powiodło, dziś do nieznanego osoby w ten sposób się zwracają (w polskim to by było ‘wy’). Tu zamieszczę wskazówkę dla odwiedzających ten kraj: skoro zwracamy się do Litwina po polsku, nie należy mówić: - ‘czy może mi pan powiedzieć gdzie...’, tylko ‘czy możecie mi powiedzieć gdzie...’. Forma ‘pan’ wywołuje zdziwienie także tam mieszkających oraz mówiących po polsku.

W litewskich szkołach dokuczali mi twierdząc, iż Polacy to tchórze, bowiem wykazała to wg nich ‘wojna’ o Wilno, gdzie Litwini zabijali Polaków pokotem, którzy się kryli za górką. Mają o tym odpowiednie piosenki. To nie tak było! Skąd! Jak to się wszystko potoczyło dowiedziałem się dopiero w Polsce. Oddział 5000 legionistów

(połowa dywizji) Żeligowskiego w początkowych latach 1920 pokonali Litwinów, którzy mogli wystawić wówczas do 8 dywizji żołnierzy wyszkolonych w carskiej armii w czasie pierwszej wojny światowej. Ale nie wystawili. Nawet w naszej wiosce było takich trzech byłych carskich żołnierzy. To jest pewna zagadka, może był brak uzbrojenia. Mój kuzyn Litwin mimo matury o prawdziwym przebiegu aneksji wileńszczyzny dowiedział się od emnie. Ofiar tej 'wojny' było nad wyraz mało po obu stronach. Mam pamiątki polskiego oficera z tej 'wojny'. Po polskiej stronie było 5 ofiar. Jak mogą tak kłamać, przecież wówczas to było kilkanaście lat po tych zdarzeniach, nie jakaś tam odległa historia jak Grunwald. Przed wojną, gdy o tym Litwini rozmawiają, żyje mnóstwo świadków tamtych wydarzeń. Być może dziś u nich historia jest solidniejsza?

Tymczasem wcześniej, gdy w 1920 roku, Polacy krwawo zmagali się z bolszewikami, Litwini stanęli po stronie tych ostatnich. Są znane starcia stoczone między Polskimi i Litewskimi wojskami. Jaka była tego przyczyna? Litwini byli pewni wygranej bolszewików, więc bezpieczniej dla nich było trzymać ich stronę. W końcu inaczej być nie mogło. Armia Tuchaczewskiego oraz niezwyknięta do tej pory kilkudziesiąt tysięczna konnica Budionnego, nie mogły zostać pobite przez stosunkowo niewielką Polskę.

W polskim wojsku odczuwała się, więc wrogość do Litwy. Jak to możliwe? Po długim okresie unijnej więzi, wspólnych bojach przeciwko wrogom z zachodu i wschodu, wspólnym zrywom w powstaniach, nagle łączą się z bolszewikami przeciwko Polakom. To dzieje się przed najazdem Żelichowskiego. Narastała wrogość do Litwinów. Może to było częściową przyczyną późniejszego podboju Wileńszczyzny. Sądźcie, że będąc na Litwie w ich szkolnej historii uczyłem się o tej ważnej wojnie? Tymczasem nic z tych rzeczy – żadnej wzmianki, tak jakby nie zdawali sobie sprawy, że nie byłoby ich państwa w dwudziestoleciu międzywojennym, gdyby Polacy nie pokonali bolszewików.

Innym tematem jest też brak tej wojny w rosyjskich opracowaniach historycznych. Gdy rządził Stalin nie opisywano tego, gdyż uważało się, że on częściowo jest odpowiedzialny za klęskę. Po jego śmierci winą obarczono właśnie Stalina. Ciekawostką jest, że nasi historycy z ochotą taką tezę zaakceptowali. Gdyby Stalin

pozwoił Budionnemu wesprzeć Tuhaczewskiego, Armia Czerwona by wygrała. Tymczasem nic z tych rzeczy. Budionny był związany walkami z oddziałami polskimi. Wręcz dążył na pomoc. Zajął Lublin, Zamość i poniósł klęskę pod Komarowem, wycofał się. Początkowo zwykle po ciężkich starciach odnosił sukcesy. To wszystko trwało do końca sierpnia. Tymczasem Tuhaczewski już 15 sierpnia był przegrany. Gdyby nawet jakimś cudem Budionny by się oderwał od polskich wojsk i zdążył podejść pod Warszawę, to i tak nasze wojsko z którym wojował, też by podążyło na odsiecz stolicy. Tak czy inaczej wynik wojny był przesądzony. To nie był żaden "cud nad Wisłą", lecz taki był rozkład sił i strategii. W dalszych latach to się zmieniło.

Litwini uważają się za naród bohaterów oraz odważnych ludzi. Swój hymn rozpoczynają słowami 'Lietuva tevine musu, tu didviriu žeme....(Litwo nasza ojczyzno, ty ziemio bohaterów...). Każdy naród szczyli się swoimi bohaterami. Co natomiast na ten temat przekazują dane historyczne? Otóż znane są najazdy łupieskie Litwinów na sąsiednie kraje. Polskie ziemie nie są wyjątkiem. Chcę tu zaznaczyć, że nie potępiam tego. W tamtych czasach każdy kraj to czynił, nie wyłączając Polski. Litewskie wyprawy zapędzają się nawet na Mazowsze. Podbijają spore obszary należące obecnie do Białorusi oraz Ukrainy. Te obszary są wówczas słabo zaludnione. Litwini w pewnym okresie byli zmuszeni do najazdów ze względu na głód. Na miejscu byłoby przypomnienie znanego w Polsce powiedzenia: 'wali głodna Litwa', niekoniecznie dotyczące Litwinów. Niewątpliwie jest to w tamtym momencie wojowniczy a może łupieski naród, być może częściowo dzięki temu przetrwał podboje ze strony Rosjan. Wiemy, że mogą się szczylić pewnymi zwycięstwami w średniowieczu. Nawet się szczyli w podręcznikach historii rozszerzeniem swych granic aż do Morza Czarnego. Dane historyczne podają, że owszem docierali tam. jednak nie dbali o podbite ziemie dzisiejszej Białorusi i Ukrainy, lecz wręcz łupili mieszkańców. Taka strategia skutkowałą utratą tych obszarów. Polaków zdobycze były trwalsze. Polacy bowiem próbowali zakładać coś trwalszego, grody, zamki i chronić chłopów przed najazdami Tatarów, jednocześnie wyzyskując osiadłą ludność. Litwini wspólnie z Polakami odnosili wspaniałe zwycięstwa np. Grunwald, bądź w bitwach przeciw Moskwie czy Turkom. Wiadomo z historii, że nie sposób odmówić męskości wojskom litewskim w wojnach np. z Turkami, Moskalami. Natomiast z pamiętników wynika, że dowódcami wszystkich

jednostek, jak wynika z zachowanych spisów, są wymieniane osoby o polskich nazwiskach. Czytając różne pamiętniki o bitwach, w których jest wymieniana nazwa 'litewskie oddziały' natykamy się na sformułowania np.

- na prawym skrzydle uderzyły chorągwie litewskie.

W pamiętnikach są spisy dowódców polskich oraz litewskich chorągwi. Nigdzie jednak nie natknąłem się na nazwisko o wydźwięku litewskim, wygląda na to, iż nie tylko dowódcy byli Polakami – nigdy w pamiętnikach nie spotkałem wzmianki, że się mówiło w litewskim języku. Należy przypuszczać, że to byli Polacy a nazwa wojska jest związana z regionem skąd żołnierze pochodzą. Należałoby się nad tym pochylić. Aczkolwiek we wczesnym okresie tworzenia się księstwa litewskiego nazwiska litewskich książąt były w 100% litewskie. Potem, przynajmniej w polskich pamiętnikach, stopniowo zanikały. Tymczasem Litwini tego nie komentują, zresztą w polskich pamiętnikach brak jest wyjaśnień także dotyczących narodowości czy języka, tak jak by to wówczas było coś, co jest oczywiste i nie wymaga wyjaśnień. Musieli tam być także żołnierze innych narodowości. W czasie powstania styczniowego w 1863 roku na polskich terenach i na litewskich są tworzone oddziały powstańcze bohatersko walczące o wyzwolenie narodowe, mimo archaicznego uzbrojenia. Więzi z Litwą były dość ścisłe. Polscy historycy twierdzą, że one były korzystne dla obu narodów. Tymczasem, o ile pamiętam coś z historii tam przedstawianej, Litwini nie uważali te więzi za dobroczynne dla nich. Unia Lubelska to błąd, Jagiełło to zdrajca. Może ich raziła polska dominacja w wojsku. Być może dziś interpretacje uległy zmianom?

Ze współczesnych litewskich bohaterów najbardziej znani są Darius i Girenas, lotnicy, przed wojną przelecieli Atlantyk. Niestety w Niemczech ulegli śmiertelnemu wypadkowi. Mają swe podobizny na banknotach. Nieoficjalnie o ten wypadek oskarżają Niemców. Ci lotnicy to w sumie byli amerykanie litewskiego pochodzenia. Jeden z nich to inżynier lotnictwa pracujący od wielu lat w USA. Odnosi się wrażenie, że ten przelot to coś w rodzaju reklamy samolotu.

Przed wojną Litwa jest niepodległa, lecz mniejsza: Niemcy zabrali Kłajpedę, Polacy Wileńszczyznę. Tego nam nigdy nie wybaczą, a zapominają, iż dzięki 'cudowi

nad Wisłą' oni też byli 20 lat niepodlegli, a w czasie realizacji tego „cudu” odgrywali rolę kija w szprychy (zdarzały się nawet poważne zbrojne starcia). Głównie w obliczu prognozy niewątpliwego upadku Polski. Nie z sympatii do bolszewików, lecz oczekując od nich nagrody w postaci wileńszczyzny. Niechęć do Polaków na Litwie panowała i śmiem twierdzić, że wciąż panuje o mniejszym natężeniu. Jednocześnie u pozostałych naszych sąsiadów panuje nacjonalizm. W jakiej formie to się przedstawia dzisiaj na Litwie? Oto przykład: w okręgu wileńskim odbywają się wybory do lokalnych władz. Kandyduje m.inn. Rosjanin. Polacy głosują na niego a nie na ubiegającego się o ten sam urząd Litwina. Lietuvos Rytas czy inna gazeta taką postawę wyborców Polaków mocno krytykuje. Tymczasem jak należy ocenić taką krytykę z punktu widzenia demokracji? Niechybnie nic innego jak jaskrawe usiłowanie łamania praw wyborczych i zarazem czysty nacjonalizm. Czyli nawołują: - głosujcie na Juranasa wszak jest Litwinem bez względu na jego kompetencje. Nie trzeba dodawać, że Litwini by nie zagłosowali na Polaka. Może to nastawienie stopniowo się zmieni, mam wrażenie, że można na to liczyć. Na tym kończę subiektywną charakteryzację ludności litewskiej i stanowiącą mniejszość ludności polskiej. Wyżej przedstawiłem także ludność żydowską. Najliczniejszych narodów powiązanych z terytorium Litwy w otocze historycznej.

13. WYJAZD DO POLSKI - REPATRIACJA

Przygotowanie do wyjazdu do Polski

To, co opisałem wyżej, dotyczy w bardziej szczegółowej postaci, niezbyt długiego okresu – od początku lat 30-tych do 1946 r. Nasza rodzina w roku 1944 po wejściu władzy sowieckiej rozpoczyna długotrwałe starania o repatriację do Polski. Jak piszę wyżej na temat repatriacji, między rządami Polski i Moskwą zostało zawarte jakieś porozumienie dotyczące tego problemu. Umowa zawężała zakres repatriacji do osób będących przed wojną obywatelami Polski. W czasie tej akcji tego zbyt rygorystycznie nie przestrzega się na szczęście. Na początku naszych starań w 1944 r. w naszej rodzinie miła niespodzianka, rodzi się moja siostrzyczka Luśka. Ten

fakt nieco spowalnia tempo starania się o wyjazd. Ustalamy, że wyjazd będzie możliwy, gdy dziecko będzie 2 letnie. Po czym nasza rodzina przenosi się, jak piszę wyżej, do naszego stryja Jana Małachowskiego pod Poniewieżem, miasta, z którego transport ma ruszyć do Polski. Przeprowadzka z Eikiniszek do stryja (70 km) to też w tamtych warunkach, jest dla nas niemałym wyzwaniem. W pierwszym etapie, w sierpniu 1944 r., wozem ciągnionym przez jednego konia a drugiego przywiązanego z tyłu, przewożona jest moja mama z Genkiem, Marysią oraz Lutką w ciągu dwóch dni. Tuż po wojnie polscy chłopcy bardzo szybko w swoich wozach zainstalowali koła z ciężarówek z oponami 'łysymi', takimi, jakie nie nadają się do ciężarówek. W tym wyprzedzili Niemców, którzy przed wojną wprawdzie posiadali już traktory, lecz wszelkie pojazdy konne posiadały koła drewniane z żelazną obręczą. W dłuższych podróżach, jazda takim wozem stanowi dla pasażerów tudzież koni istną udręką, zwłaszcza w obliczu nienaprawiania, czy nawet tylko wyrównywania dróg z głębokimi koleinami wyżłobionymi przez te żelazne koła. Jazda musi być powolna, tempem piechura. Te 70 km pokonywało się w 2 dni. Konie muszą być co pewien czas zamieniane. Nasza kolaska bardzo przydatna do innych celów, zostaje sprzedana, do przeprowadzki się nie nadawała.

Po ich wyjeździe zostaję sam na gospodarstwie w Eikiniszkach. Po 2 tygodniach ojciec wraca. Przed swoim wyjazdem, mój byt załatwia połowicznie (mam 13 lat), bym powiedział. Wykupuje dla mnie codzienne obiady u rodziny litewskiej mieszkającej tuż za granicą, na Łotwie. Nasze ziemie rozgranicza rów graniczny. Tam codziennie zjawiam się w porze obiadowej. Obiad nie był taki, jaki teraz przywykliśmy zjadać. Zazwyczaj składał się z talerza zupy ugotowanej na jarzynach z kawałkami mięsa i nic więcej. Rodzice nie pomyśleli o zaopatrzeniu mnie w jakąś kasę, ani o śniadaniu, ani kolacji. Jeden dzień wytrzymuję jakoś, a potem znajduję sposób na swoje wyżywienie. Mianowicie na półce stał słoik z miodem a w ogrodzie dorodne ogórki. Przez niemal 2 tygodnie na śniadanie oraz kolację mam wówczas jednakowy zestaw: ogórek posmarowany miodem. To były najśłodsze (ale dosłownie) dwa tygodnie w moim życiu. Po prostu 'dolce vita' bym określił.

Wreszcie przyjeżdża ojciec, kończy się moje 'dolce vita' i rozpoczynamy przygotowywanie do ostatecznego opuszczenia Eikiniszek, których moi rodzice już

nie mieli ujrzeć, a ja dopiero po 50 latach. Tu muszę zaznaczyć, z Litwy nie dlatego wyjeżdżamy, bo jej nie możemy znieść. To była konieczność. Sprawa życia lub śmierci. Czekala nas egzekucja mego ojca, a pozostała rodzina - na Sybir czy Kazachstanu. Zatem z ojcem, w ciągu miesiąca przygotowujemy się do drugiego etapu. Po czym wyruszamy z resztą dobytku, tą samą drogą do stryja. Aż do początku 1946 roku mieszkamy u stryja. W tym okresie uczęszczam do gimnazjum w Poniewieżu, mieszkając u stryja mojej matki o nazwisku Kossarski. Nasz wyjazd do Polski następuje w połowie marca 1946 r. Pewna część Litwinów nam tego zazdrości, niektórym z nich drogą przekupstwa udaje się też wyjechać, spotykamy takich w transporcie nieznających ani słowa polskiego.

Latem, gdy mieszkamy jeszcze pod Poniewieżem, biegamy po okolicy, tworzymy trójkę bojową (ja, Rysiek oraz Genek), bowiem nieraz napotykamy chłopców litewskich chcących nam dołożyć. Negocjacji nie znamy. Musieliśmy wymyślać skuteczną broń. Początkowo pod wpływem powieści o Indiańskich wojownikach, powstaje pomysł konstrukcji łuku i strzał. Próby nie są zachęcające. niemało pracy przy wykonaniu strzały, która nie chce lecieć dostatecznie daleko, a w dodatku po wystrzeleniu jest tracona. W końcu nad wyraz skuteczne okazują się proce na gumę z dętki samochodowej, nie na kamyki, lecz na kawałki pociętego 4 mm drutu żelaznego z ostrymi zadziornami. W czasie lotu pocisk jest mało widoczny, przy czym nie śmierniconośny, jednak mógł lekko ranić i skutecznie odstraszać. Wszelako tylko nieosłonięte, bądź jedynie koszulą osłonięte części ciała były narażone. Po pierwszych potyczkach nasi przeciwnicy zaopatrują się w 'pancerz' w postaci czapek oraz grubszych kurtek. Oni początkowo rzucali w nas kamieniami. To wyglądało raczej dziecinnie. Pewnego jednak razu lepiej się uzbrają, coś takiego! Atakują nas wprawdzie nadal kamieniami o wielkości kurzego jajka, jednak już obracanymi na sznurku, po rozkręceniu go wyrzuconymi w naszym kierunku z dość sporą prędkością i na dalsze odległości leciały niż gdyby to czyniono gołą ręką. To była broń starożytnych wojsk, a jest znana pod nazwą proca, tak jak nasze na gumce. Mimo, iż byli to chłopcy najwyżej 14 letni, to kamienie w ten sposób wyrzucone groźnie warczały nad naszymi głowami, mogły niechybnie zabić gdyby trafiły w głowę (nasze pociski z proc - tylko ranić). Zwłaszcza jeden z nich odznaczał się znaczną wprawą w 'bombardowaniu' nas. Z tego co pamiętam, ani razu nas nie

trafiono, głównie wobec małej celności tej broni, a także te kamienie w czasie lotu były widoczne – nietrudno było się uchylić. Tym, którzy nie doceniają groźby tej broni, przypomnę fatalny przypadek Goliata ugodzonego kamieniem wyrzuconym z takiej procy przez Dawida. W starożytnych wojсковych potyczkach, wobec chmary pocisków, trudno byłoby przed czymś takim się bronić.

Tymczasem my trafiamy kilka razy, nasze pociski w czasie lotu były w zasadzie niewidoczne. Ani my, ani oni nie dążymy do zbytniego zbliżania się. Przed bitwą obowiązkowo odśpiewałem jedną zwrotkę piosenki, której się nauczyłem, przy pomocy mamy, słuchając we wrześniu 39 roku polskiego radia (piszę o tym w innym miejscu). Oto tekst zagrzewającej do boju piosenki o pięknej melodii, śpiewanej przez polską piechotę.

Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój,

nie noszą ni srebra, ni złota,

lecz w pierwszym szeregu podąża na bój,

piechota, ta szara piechota.

I na inną melodię refren:

Maszerują strzelcy, maszerują,

karabiny błyszczą, szary strój,

a przed nimi drzewa salutują,

bo za naszą Polskę idą w bój.

Z pewnością - po takim wstępie mamy zapał do potyczki. Przy okazji podzielę się taką refleksją. Od tamtych chwil, tej piosenki nie słyszałem, ani w szkole, ani na studiach, dopiero gdy się ożeniłem w 1960 r., usłyszałem moją teściową, gdy śpiewała ją pracując w kuchni. Skoro odnosicie wrażenie, że te potyczki miały charakter zabawowy, to się mylicie. To nie były przelewki, można by było je porównać, pod względem zaciętości, do bójek zdarzających się nieraz na wiejskich sobotnich potańcówkach.



Obie strony dążyły do skutecznego zranienia przeciwnika. Po przyjeździe do Polski nigdy tego rodzaju starć nie organizujemy. Jest to dowód ich nacjonalistycznego podłoża. Ze względu na tę pieśń, nie bardzo było wiadomo, kto wtedy był większym nacjonalistą, oni czy my. Kto wie, czy do tego rodzaju potyczek nie dochodziłoby na Warmii gdyby część rodzin niemieckich na tych ziemiach pozostała po wojnie. Pozostali jedynie autochtoni.



Ta szara piechota

A swoją drogą w starożytnych bitwach sznurkowe proce są uważane za nad wyraz groźną broń. Tymczasem, żeby skutecznie razić nieprzyjaciela muszą być używane przez dobrze wyćwiczonych, silnych wojowników i pociski wyrzucone z dużą prędkością równocześnie z setek proc. Na nas leciały, na nasze szczęście pojedyncze (4 chłopcy), niezbyt celne, dobrze widoczne kamienie, nie trudno ich

uniknąć. Mimo to czuliśmy przed nimi respekt. W przypadku pokazywanych na historycznych filmach, przed szeregami wysuwają się procarze, rozkręcają na sznurkach zawieszane kamienie oraz wyrzucają je jednocześnie na nieprzyjaciela. Tylko tarcze mogą wtedy chronić biedne głowy tudzież nogi przeciwników. To jest broń wyjątkowo niecelna, tymczasem gdy celem są setki przeciwników, dodatkowo skupionych w szeregach, to może skutecznie zdeorganizować te szeregi, zwłaszcza na początku bitwy.

Po wejściu Sowietów w 1939 i 44 r. nasza rodzina zostaje wpisana na listach osób przeznaczonych do wywiezienia na Syberię. Tymczasem Ojciec ma nienajgorsze układy z miejscowym sekretarzem komunistą Gadiszkiem, który tylko przez siebie znanymi sposobami odwleka chwilę naszej wywózki, w końcu oświadcza, że już nie mają kogo wywozić, w tych warunkach dłużej nas chronić nie jest w stanie, więc radzi żebyśmy się gdzieś wynieśli. To się dzieje w sierpniu 1944 roku. Wówczas jak piszę wyżej, przenosimy się do domu stryja oddalonego od Eikiniszek o 70 km w pobliżu Pniewieża. Na ówczesne czasy kiepskiej komunikacji, to okazuje się być odległością wystarczającą do ukrycia się przed wywózką. Do Polski wyjeżdżamy w marcu 1946 roku – z wszystkich krewnych my pierwsi wyjeżdżamy. Gdyby nie ten komunista nasze losy byłyby zgoła inne, bez dwóch zdań. Jego siostra u nas służyła, widać bratu się nie skarżyła. Druga siostra tego samego komunisty Gadiszkiśa służyła u Stasiulisów. Po skończeniu służby ma duże pretensje związane z wynagrodzeniem za pracę. W naszej rodzinie panuje pogląd, iż tragedia rodziny Stasiulisów jest powiązana ze sprawą wynagrodzenia siostry Gadiszkiśa.

Mieszkając pod Poniewieżem u mego stryja Jana, drogą przekupstwa ojcu udaje się uzyskać zezwolenie na wyjazd do Polski. To przekupstwo nas nie rujnuje. Wystarczyło zanieśenie odpowiedniemu Litwinowi zabytkowego zegara (pokaźnych rozmiarów, wahadłowy, wydzwaniający godziny jak dzwon) wraz z dywanikiem dla jego żony, wyprodukowanym w Samarkandzie. Nazywało się to repatriacją, czyli powrót do ojczyzny. To się zgadza, w końcu jak wspominał wyżej ród Małachowskich wywodzi się z Gdańska, następnie jego część przebywała na Litwie, niezbyt długo – nieco dłużej niż jeden wiek (aczkolwiek aż 4 pokolenia). Przypominam przy okazji, że w 19 wieku, pojęcia Litwa czy Polska nie były tak

klarowne jak to jest obecnie. Natomiast gdyby ktoś powiedział, że ani Litwa ani Polska w ciągu około 120 lat nie istniały, to byśmy zaprotestowali. Razem z nami istniały pod czasowym zaborem agresorów.

Czy jedziemy do Polski z entuzjazmem? Rodzice, bez entuzjazmu, wiadomo, oni jedni zdają sprawę, że jedziemy w nieznaną z czwórką dzieci w tym dwuletnia córka. Co na nas czeka w Polsce nikt nie jest w stanie przewidzieć. Wszelako innego wyjścia wówczas nie mamy. Pełen entuzjazmu jestem tylko ja, miałem niecałe 15 lat oraz byłem gotów na wszystko, żeby się tylko wyrwać z Litwy. Tym bardziej, wiedząc o wyjeździe przestaję się interesować tym, co się dzieje w szkole (gimnazjum w Poniewieżu) co się przekłada na grad dwójek. W obliczu takich faktów znalazłbym się w nieciekawej sytuacji. Takich zaległości odrobić się nie da! Z chwilą wejścia do wagonu moje wszystkie dwójki pozostają na peronie! Chyba nie dziwicie się mojemu nastrojowi? Przrzekam sobie, że w Polsce będę się wystrzegał dwój. Co do Genka czy Maryli, to obawiam się, że nie bardzo wiedzieli, co się szykuje. Dla nich to było zapewne obojętne.

Wyjazd z Litwy

Tymczasem w wyniku kluczowej decyzji, następuje długo oczekiwany pamiętny dzień opuszczenia naszego przystankowego miejsca u stryja i wyjazdu z Litwy. Jak już pisałem, przed wyjazdem mieszkamy u mojego stryja, 12 km od Poniewieża, miasta gdzie czeka pociąg mający nas przetransportować do Polski. Nasz przejazd na stację w Poniewieżu (12 km) wygląda następująco. Cztery konie ciągną dwie fury wyładowane naszą rodziną wraz z niezbyt estetycznie pozbijanymi z desek pięcioma skrzyniami z dobytkiem. Jestem świadkiem sprzeczki rodziców. Ojciec: - nie musimy zabierać aż 4 beczek solonej i wędzonej słoniny i boczku. Przecież nie jedziemy na Syberię a do bogatej Polski. Matka: - nie jestem całkowicie pewna, gdzie oni nas powiozą. Potem okazało się, że ta zapobiegliwość naszej mamy była dla nas wszystkich zbawienna. Nie chodziło wyłącznie o pożywienie. Te żywnościowe produkty pełniły w wygłodzonej Polsce rolę waluty.

Jedną furę powozi mój ojciec. Do pomocy w tym transporcie jednocześnie z nami jedzie drugi zaprzęg z skrzyniami zawierającymi pozostały dobytek. Powozi nim mój

nieoceniony stryj Jan ze swoimi końmi. Stryj z nami nie zabiera się do Polski. Podąża do Polski pół roku później, wybierając Elbląg zamiast wsi. Dwie krowy przywiązujemy z tyłu fur, jedna nie chciała do Polski (nie chciała zapewne oddalać się od dobrze jej znanych pastwisk), muszę całą drogę iść za nią, smagając i zachęcać ją do posuwania się za wozem (dla obrońców praw zwierząt oświadczam: niezbyt boleśnie smagałem – jedynie zachęcałem do marszu).

Dodatkowo w tym czasie jak na złość szaleje mroźna pogoda ze śniegiem oraz deszczem, całą twarz mam oblodzoną, wełniane palto i także to, co pod paltem wszystko staje się mokre, w butach też woda chlupie, dodatkowo wieje porywisty zimny wiatr. Okropnie marzną w czasie tej 12 kilometrowej wędrówki. Mimo tych niedogodności skarżyć się nie zamierzam, wszak już pierwsze kroki w kierunku Polski zostały poczynione! Tak czy owak, skoro rozpoczęliśmy przesuwanie się w kierunku wymarzonej Polski, należy to kontynuować! Bowiem od paru lat jesteśmy tzw. bezetami (byłymi ziemianami, gdyż ziemi już nie mamy). Tymczasem niespodziewanie słucham w osłupieniu jak mama mówi do taty coś takiego :

- Michał, może to jest jakiś znak z niebios, żeby zostać.

Tata na to

- Nie mamy gdzie zostać. Matka, w końcu zaczęliśmy podróż do nowego życia! Nie ma drogi odwrotu! Klamka zapadła! Wio!

Co z kolei przyjmuję z ulgą. Swoją drogą, sprawa jest zamknięta, opcja powrotu nie istnieje. Na furze jest też niewesoło. Jest jednak obszerny kożuch, którym dzieci, a zwłaszcza 2 letnia Lusja, zostają szczelnie przykryte. Co by za dobrze nam nie było, wbrew oczekiwaniu nie wchodzimy po tych 12 km do ciepłego pomieszczenia, żeby się ogrzać i wysuszyć. Nic z tych rzeczy. Na nas czekał zimny towarowy wagon, a drugi na 2 krowy, 2 konie i kilka drobniejszych zwierząt. Ładowanie dobytku trwało kilka godzin w deszczu ze śniegiem. Nam w tym pomógł nieoceniony stryj. W czasie wyładunku-załadunku drżałem z zimna. Po skończeniu tej pracy nie było lepiej. Dziwne, ale nie zachorowałem po tej zimnej wędrówce. Reszta rodziny, też przetrwała bez choroby. Załadowanie wszystkich wagonów już trwało dwie doby, bowiem niektórzy repatrianci przybywali z opóźnieniem.

Ładujemy wszystko do wagonów towarowych. Jak wyglądało wnętrze wagonu? W jednym towarowym wagonie udaje się upakować 3 rodziny z bagażami. Wszyscy mają rzeczy nie w walizkach, lecz tak jak my, w skrzyniach, które zajmują całą podłogę w wagonie. Na te skrzynie kobiety układają jakieś kołdry, koce, kożuchy. Z upychaniem w wagonach zwierząt jest kłopot, w końcu nie są przyzwyczajone do tego, aby ktoś je do wagonu wprowadzał po stromej z desek zbitej platformie uginającej się pod ciężarem zwierząt. Jest więc niemało trudu z perswazją. Na tym się kończy załadunek ludzi wraz ze zwierzętami.

Gdy się uporaliśmy z załadunkiem oraz wykonaniem odpowiednich przegród w wagonie ze zwierzętami, dorośli siadają wewnątrz wagonu obok siebie, wyciągają flaszki coś mocnego oraz piją na intencję szczęśliwej podróży. O nas dzieciach nie zapomina się, nalano do szklaneczek jakiegoś zabarwionego na czerwono soku. Mimo, że się nie znamy, czujemy jakbyśmy byli od dawna jedną rodziną. Uwaga: - rozmawiamy po polsku! Jedna rodzina mieszkała na Litwie tylko kilka lat. Na początku wojny tam z wileńszczyzny uciekając przed sowietami się przesunęła. Druga rodzina, podobnie jak my, w tym kraju mieszkała od dawna. Nasi towarzysze podróży to byli mieszcuchy. Jeden był na Litwie nauczycielem, drugi zaś weterynarzem. Mieszkając tam polskiego języka nie zapomnieliśmy. Natomiast z rodziną weterynarza w języku polskim nie dało się porozumieć. Z dziećmi pod koniec naszej jazdy już dało się. Także polskie imiona nam dano. Ja należę do czwartego pokolenia, bowiem na Litwę przybył mój pradziadek. Obecnie wracający z Rosji, Kazachstanu czy Ukrainy repatrianci, należący do drugiego czy trzeciego pokolenia, nie znają polskiego. Noszą ruskie imiona i nazwiska. Czy można ich uważać za dumnych z bycia Polakami? Tak tylko się pytam i tyle...

Jazda przez Litwę odbywa się szybko, z jednym postojem po drodze w Kownie związanym z doczepianiem już załadowanych wagonów z dodatkowymi repatriantami. W czasie jazdy głównie leżymy, nie ma możliwości chodzenia, podłoga przykryta twardymi, okazałymi skrzyniami, skutkowało znacznym obniżeniem sufitu. Nic się pod naszymi ciężarami nie ulega zniszczeniu. Małe dzieci, w tym nasza Lusja, łażą wtedy po całym wagonie, nie omijając obcych legowisk. Przy drzwiach wagonu znajduje się niezastawiony kawałek podłogi, tam

umieszczamy żelazny piecyk z rurą-kominem wychodzącym na zewnątrz. Służy do ogrzewania oraz gotowania. Tymczasem dodatkowo ustawiamy nasz samowar z Tuły. Młodszy pewnie nie wiedzą, na jakiej zasadzie to urządzenie gotuje wodę przydatną do parzenia herbaty. Woda jest doprowadzana do wrzenia dzięki małemu ognisku rozpalanemu każdorazowo w dolnej części urządzenia. Para osób była w stanie samowar obsługiwać. Należy mieć do tego małe suche drewnianki. Samowar był w podróży przydatny i co najważniejsze cały czas sprawny. Mam wrażenie, że tam nie było części, która mogłaby uleże awarii. W wagonie to urządzenie pracowało przez cały dzień, niezależnie od wspomnianego piecyka. Po przyjeździe na stałe miejsce zamieszkania był używany początkowo sporadycznie potem wcale. Łatwiej i szybciej wodę zagotowuje się korzystając z już palącej się, z cegły zbudowanej kuchni, względnie z kuchenki elektrycznej. Do samowara bowiem, należy początkowo znaleźć, następnie posiekać drobne i suche kawałki drewna, potem rozpaść, dość długo czekać aż się woda zagotuje. Za to, w nim długo woda jest gorąca, głównie z uwagi na niecałkiem wygasłe ognisko.

Wreszcie odjazd, po krótkim postoju w Kownie, ruszamy w kierunku Polski. Ani ciasnota w wagonie, ani inne niewygody związane z kiepskimi warunkami wspólnej egzystencji nie wywołują żadnych, powiedziałbym, uzewnętrznionych pretensji, niesnasek. Każdy każdemu jest teraz gotów spieszyć ze wsparciem w zakresie swoich oczywiście bardzo ograniczonych możliwości. Taka atmosfera panuje od początku podróży aż do jej zakończenia. Natomiast więzi przyjaźni między tymi trzema rodzinami urywają się po zakończeniu podróży, niestety. W czasie podróży obiecujemy sobie przyjaźń i odwiedzanie wzajemne, być może jakieś pomaganie w nowych warunkach. Wszelako w tym pośpiechu wyładowywania się z wagonów oraz szukania miejsc do osiedlenia się, po prostu się pogubiliśmy, żeby już nigdy się nie spotkać. Trochę to smutne. Nasi towarzysze podróży byli wesołymi, uczynnymi, przyjemnymi ludźmi. Z pewnością mieli interesujące życie po osiedleniu się.

W sąsiednim wagonie mamy żywy inwentarz (krowy, konie, świnie, drób). Przypadał jeden prosiaczek na jedną osobę, bowiem karmienie tych zwierząt jest niewąskim wyzwaniem w tych warunkach. W odpowiednio wykonanych przegrodach tego wagonu, po jednej stronie przywiązane stały konie, po drugiej krowy zwrócone

łbami do siebie. Między drzwiami tworzy się zatem alejka, gdzie po otwarciu drzwi wrzucało się głównie siano oraz stawiało się wiadra do pojenia. Ustawiamy tam klatki z nielicznymi egzemplarzami drobiu i prosiaków. Trzody chlewnej o dużych rozmiarach nie brano, pewnie w obliczu gabarytów a także konieczność zdobycia pokażnej ilości różniącego się od siana pożywienia. Nieocenione źródło zaopatrzenia w świeże krowie mleko jest niemal w zasięgu ręki, zwłaszcza istotne dla małych dzieci np. dla naszej Lusi. Kury pewnie zestresowane w dziwnych warunkach, urządziły sobie strajk i w zasadzie nie znosiły nam jajek, a liczyliśmy na to, wszak to były miesiące przed Wielkanocą. Chleb dostarczała władza, posiadamy też spore zapasy własnej żywności. Na postojach inwentarz żywy karmimy oraz poimy. Od Poniewieża do Ostródy jazda trwa 4 dni z postojami, głównie związanym z przeładunkiem na polskie wagony w Królewcu (Kaliningrad).

Przebieg przeładunku wymaga osobnego opisu. Jesteśmy zaniepokojeni oczekując ciężkiej pracy związanej z przeładunkiem całej zawartości wagonów. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Nagle i niespodziewanie nadeszła odsiecz. Tę dość ciężką pracę bowiem, wykonują niemieccy jeńcy. Przed przeładowaniem pytamy pilnującego jeńców żołdaka ile przeładunek będzie kosztował, odpowiada, nic, oni też nie płacili naszym za pracę. To był argument celny! Jak Bóg Kubie tak Kuba Bogu (bogami byli niedawno Niemcy a my Kubą, chociaż Niemcy teraz już nie bogami). Podstawiono polskie, jeszcze puste wagony równolegle obok litewskiego zestawu wagonów z repatriantami. Niemcy jak zwykle w długich wojskowych płaszczach, mimo, że byli wymizerowani oraz niewątpliwie głodni, lecz przeładowują nasze rzeczy sprawnie. Za nasze krzywdy, dobrze im tak! Chociaż zaznaczę tu, u Litwinów nie było i nie ma nienawiści do Niemców. Analogiczny pobłażliwy stosunek do niewątpliwych agresorów udzielił się także nam, tam mieszkającym Polakom. Z desek tworzą mostki między wagonami, po czym wszystko w mig przeciągają, razem z inwentarzem. Od naszej rodziny otrzymują zapłatę w postaci sporego kawałka solonej słoniny, za co uniżenie dziękują, następnie niezwłocznie ją jeden jeniec chowa pod płaszczem. Do niemieckich jeńców jesteśmy już przyzwyczajeni, bowiem w każdym litewskim mieście ich wówczas przetrzymuje się. Jak już wspomniałem, w Polsce tych jeńców nie widziałem. Na Litwie mówiło się: - z ich powodu miasta ucierpiały, niech teraz odgruzowują je. No tak, mimo, że w Polsce też

miasta i wsie z ich winy były zniszczone, ba, nawet na większą skalę niż na Litwie, a jednak odgruzować muszą Polacy. Ponoć sporadycznie tuż po wojnie w Polsce spotykało się obrazek z Niemcami uwijającymi się przy gruzach, lecz w 1946 już ich nie było, część powróciła do Niemiec, część do Rosji.

14. NARESZCIE POLSKA!!!

Na Dolny Śląsk

Sam wjazd do Polski oraz emocje z tym związane zamieszczam wyżej. Po przekroczeniu granicy, po krótkim postoju w Braniewie oraz dalszej kilkugodzinnej jeździe docieramy do Ostródy, tam transport się zatrzymuje, po czym część repatriantów wyładowuje się. My wahamy się, wyładowywać się czy nie. Tamci zostają na Warmii. Jednak znaleźli się tacy w transporcie co sądzili, że będzie bezpieczniej, bardziej od Sowietów się oddalić, a także osiedlić się w południowej, cieplejszej części Polski i decyduje się jechać na Dolny Śląsk, my z nimi też.

*W okolicę Legnicy zajeżdżamy w dwa dni. Tymczasem miny nam zrzedły. Większość spotykanych ludzi, to czerwonoarmiejcy. Nie wiadomo dlaczego, wszak od zakończenia wojny minął rok? Co się dzieje? Dziwna i niepokojąca sytuacja, bez dwóch zdań. Cały czas musimy chronić swój skromny dobytek. Oglądane gospodarstwa zdewastowane i zrabowane przez nich oraz polskich szabrowników. Zasiedlone domy są w dobrym stanie, tymczasem nieliczne jeszcze wolne odpychają swoim wyglądem ewentualnych poszukujących miejsca do osiedlenia, domami bez okien i drzwi. Szosami jechali na zachód polscy osadnicy siedzący zazwyczaj na wyładowanych drabiniastych wozach. Na wschód natomiast, żołdacy kierowali ciężarówki, dodatkowo potężne niemieckie konie ciągnęły ciężkie wozy kierowane przez sowieckich żołnierzy, wyładowane różnorodnym wojennym łupem. Wiozły nie tylko różne maszyny ale także płody rolne. Konie nie są w stanie pokonywać znacznych odległości w takich warunkach, tak czy inaczej żołdacy musieli te dobra rabować z **tej, wschodniej strony** Odry, zatem z Polski i dowozić wszystko na stacje kolejowe.*

Potem po osiedleniu się repatrianci wiedzieli, kto odpowiada za dewastację niemieckich domów. Osadnicy byli zdziwieni brakiem jakiegokolwiek ziarna bądź żywego inwentarza w poniemieckich gospodarstwach, wiedzieli gdzie to wszystko powędrowało. Dlaczego na to pozwalano? Dobre pytanie i tyle. Niemcy uciekając nie mogli tego wszystkiego ze sobą targać. W przeciwną stronę na zachód już nie widziało się pustych wozów wracających po kolejny ładunek. Rosja jest odległa, nie dla koni do pokonania powtórnej drogi. One ciągnęły wozy do najbliższych stacji kolejowych. Na stacjach widzieliśmy Rosjan wszystko to ładujących do wagonów towarowych, konie tudzież ciągnięte przez nie wozy także. Zgoda, mieli prawo to czynić. Niemcy swego czasu zachowywali się nie inaczej. Wybaczcie ale rabunek mienia znajdującego się na wschód od linii Odra-Nysa był bezprawny. W Jałcie drobiazgowo ten problem został rozwiązany. Wszystko, co Niemcy zostawili jest własnością państwa, do którego ta ziemia została przydzielona. Jak by na to nie patrzeć, to był bez dwóch zdań, rabunek polskiej własności. Skoro zaś chodzi o nas, to z obawy, że ten teren będzie należał do Sowieców oraz zniechęceni stanem jeszcze wolnych gospodarstw, postanawiamy wracać (nie na Litwę oczywiście), lecz w kierunku Warmii. Gdzie będąc poprzednio, żołdatów niemal nie widzieliśmy. Dlaczego? Sądziliśmy, że ten bałagan już tam się skończył, bo się wcześniej zaczął.

Z powrotem w kierunku Warmii

Na powrót na Warmię decyduje się jeden wagon a drugi to żywy inwentarz. To są nasze wagony, wszystkie 3 rodziny z wagonu godzą się nie wyładowywać się w Legnicy. Ponieważ są tylko dwa wagony, więc nas wiozą z długimi postojami na dworcach. Wracamy do znanej nam Ostródy. Podróż teraz trwa aż 3 tygodnie – mało kogo interesowały dwa wagony.

Na stacjach szukamy siana, zboża dla inwentarza i wody, ten problem leży głównie na moich oraz ojca barkach. Zresztą ojciec z innymi dorosłymi gdzieś znika na postojach. Potem mówi o trudach negocjacji wznawiania podróży. W czasie naszego powrotu z Dolnego Śląska na Warmię z mojego o rok młodszego brata wsparcia oczekiwać nie mogę, bowiem jest okropnie wycieńczony chorobą (nękają go wówczas nieustające biegunki), z dnia na dzień staje się coraz słabszy, to jest czerwonka, groźna choroba, lecz na szczęście młody organizm jakoś ją

przewycięża. Ojciec jak wspomniałem zniknął na stacjach. Ja biegam wówczas z wiadrami do kranu i noszę wodę koniom i krowom, dodatkowo szukam wagonów z sianem, porządnie przez Niemców związanego w roku ubiegłym w postaci sześciaków (ciężkie) i go przynosiłem bydłu, nikt tego nam nie broni, wszak wiedzą jaka jest sytuacja. Nie do końca dla mnie było jasne, dlaczego na stacjach kolejowych nie brakowało siana? Wszak zwykle go tam nie widzisz. Może nadprodukcja siana była związana z wojennym wyniszczeniem bydła?

Pozostali członkowie rodziny znoszą jakoś podróż bez chorób. Łącznie z dwuletnią Lusią. Mamy w czasie podróży mleko oraz sporo różnych zapasów np. suchary, kapusta, ogórki, wędliny. Wprawdzie wiedzieliśmy przy wyjeździe z Litwy, że Polska niedaleko, lecz nie do końca byliśmy pewni gdzie nas powiozą, być może nie tam gdzie obiecują a np. na Syberię czy do Kazachstanu – nikt wówczas Sowiecom nie wierzył – stąd te zapasy i okazały się przydatne nie tylko w podróży. Przewidywaliśmy też, że po osiedleniu się na wsi, możemy odczuwać niedobory żywności. Wiele miesięcy się czeka zanim ziemniaki czy zboże staje się dojrzałe do zbiorów. Krewni, którzy pozostali na Litwie potem się przyznali do ostrożności. Z nami nie chcieli jechać dlatego, bo woleli na żywym przykładzie sprawdzić, gdzie nas zawiozą oraz jakie są warunki na osiedlenie się. Dzięki uniknięciu Syberii zapasów żywności nie straciliśmy i się przydały, zwłaszcza że, po osiedleniu się nikogo z miejscowych władz nie interesuje, czy mamy co jeść. Potem dowiadujemy się o pewnych środkach, które przez rząd na nasz cel zostały przeznaczone, tymczasem do nas nie docierały. Nie ma czemu się dziwić, wszak w trudnych powojennych latach, każdy pragnął dla siebie uwić jak najwygodniejsze gniazdko. Mam nadzieję, większość nie z krzywdą innych. Tymczasem osiedlający się w miastach, dzięki natychmiastowemu zatrudnieniu, znaleźli się niewątpliwie w lepszej sytuacji.

Warmia

Po ponownym przyjeździe do Ostródy i wyjściu z wagonu nieopodal stacji natknęliśmy się na niezamieszkały piękny 3 pokojowy z łazienką i kuchnią domek. Murowany z zachowanymi drzwiami oraz oknami, lecz już bez mebli. W urzędzie, gdzie z ojcem poszedłem, zgłosiliśmy chęć osiedlenia się w tym domku, urzędnik spytał ojca

- jakie ma pan wykształcenie?

- Mam. małą maturę z polskiego gimnazjum na Litwie.

Urządник powiedział żeby ojciec poczekał. Zadzwoił gdzieś, porozmawiał przez telefon chwilę i powiada:

- no to wystarczy. Proszę się wprowadzać do tego domku. Kasjera na stacji kolejowej w Ostródzie potrzebujemy. Skoro panu odpowiada ta praca, za dwa dni na przeszkolenie i potem do pracy na kolei.

W obecnych czasach takie wykształcenie nie wystarcza, natomiast czy kasjer musi być po maturze, nie jestem pewien. Niewątpliwie tuż po wojnie wymagania nie są wygórowane. Tata się zastanawia, ja go zachęcam do przyjęcia propozycji. Wszelako w końcu zdecydowanie ofertę odrzuca. Mamie o tej propozycji mam nie mówić. Wiadomo było, że mama do wiejskiej harówki się nie pali, a mając polską maturę mogłaby liczyć w Ostródzie na jakąś urzędniczą posiadłość. Muszę ojcu obiecać milczenie o kolejowej propozycji. Posiada konie, krowy oraz pragnie pogospodarzyć. Z tego względu ojcu służba na kolei nie mieściła się w jego planach na życie w Polsce. Po krótkim zastanowieniu zdecydowanie rezygnuje. Trochę namawiam go do tego zawodu jednak w sumie nic nie mogę wskórać. Miał, dodatkowy argument na odmowę. Pewnie pensja będzie marna, a ma na utrzymaniu żonę i czworo dzieci. W 1946 roku, a także potem ludność miejska nie miała łatwo, głównie ze względu na braki żywności. Na wsi było znośniej. Wyżej to przedstawiłem odwrotnie, jednak miałem na myśli okres początkowy. Wiele lat później, pytam mamę czy wiedziała o tej kolejarskiej propozycji. Potwierdza, iż ojciec kiedyś jej o tym powiedział, lecz nie komentuje tego, było minęło.

Nie wiadomo jakby życie w Ostródzie nam się układało przy ojcu kolejarzu i może mamie urzędnicze. Może nie przyjmując tej propozycji uniknęliśmy jakiegoś nieszczęścia. Mam wrażenie, że później ojciec trochę żałował tej odmowy. Proponowany nam domek wprawdzie nie miał umeblowania, jednak po sprzedaniu inwentarza moglibyśmy go umeblować. Byłaby stała pensja lub nawet dwie, praca nie tak męcząca jak na roli. Dzieci nie musiałyby się pętać po internatach, dodatkowo Ostróda to niemałe miasto. Zresztą po dziewięciu latach gospodarowania

porzuca w końcu wieś. Przeprowadza się do Nowej Huty, gdzie po skończeniu kursu znajduje pracę, lecz też nie lekką - zostaje spawaczem. Z tego przykładu widać jak od chwilowej decyzji zależy przebieg dalszego życia wielu osób.

Z tego, co opisałem widać, że mój ojciec doświadczył kilka ewidentnych tego rodzaju momentów w życiu. Jednym z nich była opisana wyżej decyzja podjęta w Ostródzie. Kolejarze w tym mieście musieli się postarać o innego kasjera. Jednocześnie te zwrotne momenty ojca wpłynęły w zdecydowany sposób na losy naszych rodzin. Życie nas wszystkich byłoby oczywiście inne, lepsze czy gorsze, któż to wie.... *Que se ra sera, whatever will be, will be, the future not ours to see...* Gdybyśmy zostali w Ostródzie, mielibyśmy inne prace, innych mężów, żony, no inne dzieci także...Ze względu na możliwość czytania tego tekstu przez nasze żony tudzież mężów, muszę dodać, pewnie inni partnerzy byłiby gorsi niż aktualni. Przy okazji podam 'prawdę życiową'. Każdy mąż jest nad wyraz przebiegłym spryciarzem. Zdołał stosując różne triki i obietniki szczęśliwego życia, nakłonić kobietę do małżeństwa, w którym ona w rzeczywistości kuchci, sprząta, pierze, prasuje, rodzi i niańczy dzieci a na dodatek chodzi do pracy. Mąż w zasadzie tylko chodzi do pracy.

Poszukiwanie miejsca na ziemi. Na rozstajnych drogach

Skoro decyzja o odrzuceniu propozycji pracy na kolei została podjęta, pozostawiając resztę rodziny w wagonie, wsiadamy (ja z ojcem) do wozu, który przywieźliśmy w wagonie, władujemy dwie czy trzy skrzynie z dobytkiem, zaprzęgamy jak wspomniałem 2 konie, które przywieźliśmy z Litwy i pojawia się rozterka: w Ostródzie, w tym miejscu, z którego startujemy, odchodzą w różnych kierunkach cztery główne szosy, a zatem rozstajne drogi. Którą wybrać?

Wybieramy więc, przypadkowo szosę (początkowo ulicę) prowadzącą, jak sądzimy, bezpośrednio za miasto w kierunku północnym – w kierunku Eikiniszek (bez zamiaru dotarcia do nich!). Gdybyśmy w tamtym momencie wybrali inną szosę, nasze życie potoczyłoby się inaczej. Ten fragment życia naszej rodziny bym przyrównał do zasiedlania zachodnich połaci Ameryki przez imigrantów z Europy. Oni też ruszali na zachód, niektórzy częściowo na północ wyładowanymi wozami, w celu znalezienia swego miejsca na dalsze życie. Polscy osadnicy zajmowali falami

ziemie opuszczone przez Niemców, a Europejczycy w Ameryce zajmowali ziemie opuszczane przez Indian, dobrowolnie lub nie. Z zaciekawieniem przeczytałem powieść amerykańskiego pisarza o zasiedlaniu Północnej Ameryki. Bardzo obrazowo, oparty na realiach geograficznych i czasowych, opisany został niemal pół roku trwający przejazd kolumny wozów, budowa domów, trudy codziennego życia w nowych warunkach.

Może ktoś niezorientowany w realiach tamtego okresu sądzi, iż my osiedleńcy napieraliśmy na Niemców a oni stopniowo przesuwali się na zachód, tak jak to się działo z Indianami w niektórych przypadkach. Nic z tych rzeczy. Niemcy już dawno zwiewali przed nacierającymi Rosjanami, w końcu im groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Polscy osadnicy widzieli jedynie pojedynczych Niemców. W 1946 niemal wszyscy byli już za Odrą. Otóż oni uciekali przed nacierającymi Sowietami. Zostali i to na kilka lat jedynie nieliczni. Polscy osadnicy zajmowali całkowicie opuszczone gospodarstwa na wsi tudzież budynki w miastach. Oczywiście wyjątki się zdarzały. Część rodzin niemieckich zdecydowało się na pozostanie. O ile mi wiadomo, nikt ich do wyjazdu nie przymuszał. No to skąd to wypędzenie oraz muzeum w Berlinie tak nazwane? Raczej ten epizod można byłoby nazwać ucieczką Niemców przed Sowietami. Należy jednak przyznać, bo w przypadku gdyby Niemcy nie uciekali, to pewnie wypędzanie musiałyby nastąpić. W końcu w Jałcie ustalono, iż na tych ziemiach mają mieszkać Polacy, których część z kolei została wypędzona z ziem zagarniętych przez Sowietów.

Wracam do przygód naszej rodziny. Więc jedziemy z ojcem początkowo szeroką szosą, zaczynają się lasy. W tym momencie skręcamy na prawo w węższą szosę, po kilku kilometrach wyłania się malownicza niezasiedlona wioska wśród lasów. Pewnie zamieszkiwali w niej za czasów niemieckich pracownicy lasów, drwale – nie dla nas. Wokół nie ma pól uprawnych.

Wyjazd z lasu w kierunku miasteczka Łukta.



Po wyjechaniu z lasu, droga prowadzi przez kilkanaście kilometrów po równinie dość gęsto zabudowanej gospodarstwami chłopskimi. Mówię

do ojca:

- tato to wszystko wygląda beznadziejnie. Tak jak byśmy byli w jakimś od dawna zasiedlonym państwie, jak na Litwie, wszędzie już mieszkają ludzie. Może powinniśmy jechać pociągiem dalej, do Odry. Być może tam jest coś wolnego.

Ojciec po zawahaniu się na to:

- być może masz rację, ale jeszcze kawałek możemy pojechać. Jak nic nie znajdziemy, to nie będziemy mieli innego wyjścia, jak dalej naszym wagonem powędrować lub zamieszkać w mieście. Pojawiła się więc nadzieja powrotu do Ostródy.

Ujechaliśmy jakieś 20 km od Ostródy, aż do miejsciny Łukta docieramy. Tam wszystkie domy są zamieszkałe, tymczasem ojciec wchodzi do budynku władz gminy Łukta w celu pytania o wolne gospodarstwo w okolicy. Po chwili przychodzi i mówi, o napotkaniu niegrzecznego urzędnika, który powiedział, żeby ojciec sam sobie szukał. Usiadł na wozie i zaczyna rozmyślać, co robić dalej. W końcu grzebie w swoich tobołkach, wyciąga kawałek wędzonej słoniny czy boczku, po czym idzie tam po raz drugi. Nie wiem, o czym tam rozmawiali, jednak po chwili przychodzi do wozu wyraźnie w lepszym humorze, dzierży kawałek kartki na której był narysowany plan jak jechać wraz z istotną pieczętką na dole. W tej przygodzie pomocnym okazał się kawałek słoniny. Urzędnik skierował nas do odległej o 9 km miejscowości Kojdy. Twierdził, iż tam zastaniemy w dość obszernym gospodarstwie samotnego człowieka

oraz mamy mu powiedzieć w imieniu władz, żeby się wynosił, wszak jest szabrownikiem. Mamy mu oświadczyć w imieniu władz, że grozi mu aresztowanie za tę 'działalność' jak amen w pacierzu. Jedziemy więc dość zwawo aż konie się spocily. Zgodnie z pożekadłem kujemy żelazo póki gorące. Nadal wzdłuż tej drogi wszystkie domostwa są zasiedlone.

Przejeżdżamy przez tory, mijamy wieś Mostkowo, dalej 3 km i wreszcie wpadamy do małej wioski o nazwie Kojdy, napotkanego wieśniaka pytamy gdzie jest gospodarstwo bez rodziny z jednym człowiekiem. Wskazuje na pierwsze po prawej stronie. To są dość okazałe zabudowania oraz jak ojcu powiedziano w Łukcie - 8 ha, które do tego gospodarstwa są przydzielone. Tłumy szabrowników z ziem rdzennie polskich nie próżnowały. Jeden z nich właśnie w tym domu obecnie rezyduje. Na podwórzu stoi wyładowany wóz i obok koń. Gdy wjeżdżamy na podwórko ze swoim majdanem, z domu wychodzi człowiek średniego wzrostu lecz nie wyglądający na spracowanego wieśniaka. Ojciec oświadcza,

- dzień dobry, przyjechaliście tu, żeby się osiedlić na stałe w tym domu,

szabrownik ze zdziwioną miną, mówi podniesionym głosem:

- jak to? Żartujesz pan? Nie widzisz pan, ja tu przecież osiedliłem się, o koń i wóz, będę ja tu gospodarzył a nie pan,

ojciec nie dając za wygraną, na to:



Tak wyglądała wówczas droga do Kojd. Obecnie pewnie asfaltowa.

- w gminie powiedzieli nam, że pan tu jest nielegalnie, z tego powodu musi pan stąd wyjechać! O tu, widzi pan tu jest pieczętka.

Szabrownik zrobił pogardliwą minę i już mniej podniesionym głosem mówi:

- wiesz pan, gdzie ja mam tę pieczętkę i te władze w gminie?

Wobec tego, że ojciec nie bardzo wie gdzie on te władze ma, więc robi się nieciekawie. Może rok temu taką sytuacją nie przejmowalibyśmy się – pokaźna ilość gospodarstw była do zasiedlenia, tymczasem w 1946 roku sytuacja była odmienna. Jak wspomniałem mijaliśmy kilka wiosek, lecz we wszystkich byli już osiedleńcy. Z punktu widzenia organizatorów zasiedlania – to niewątpliwie sukces. My mamy w tym momencie inne odczucie – lepiej byłoby, aby więcej gospodarstw było wolnych. Tak czy inaczej trzeba walczyć. Zatem Ojciec jeszcze próbuje jedną z metod, które dość skutecznie wytrenował na Litwie no i przed chwilą zastosował w gminie. Podszedł bliżej do tego gościa i mówi:

- Wiem, pan poniósł pewne koszty przyjeżdżając tu.

Ponieważ on prowadzi chytrą grę, licząc na spodziewaną zapłatę z naszej strony, więc oświadcza:

- a coś pan myślał, to nic nie kosztuje? Jeszcze ile! Zamiast gdzieś zarabiać na chleb, tu czekam na przybycie mojej rodziny.

Po tych słowach, robi się nam nieswojo. Rozmowa jeszcze trwała jakiś czas, aż w końcu za pewną ilość złotych wraz z poćciem słoniny, a dodatkowo pewnie nie szukał kłopotów z urzędnikami gminy, odstępuje nam siedlisko, następnie zaprzął konia i odjechał! Radujemy się z ojcem cha, cha, cha. Szabrownik mówi jeszcze, że w tej sytuacji będzie musiał dla rodziny znaleźć inne gospodarstwo. Tak jak było do przewidzenia, było nieco wolnych, niezasiedlonych gospodarstw lecz mocno zdewastowanych, jednak dalej od torów kolejowych. Kojdy znajdują się w odległości 3 km od stacji kolejowej. W sumie wówczas gospodarstwo rolne, jak widać, nie było w wygórowanej cenie – poćcie słoniny plus para setek złotych.

Oglądamy nowo nabyte zabudowania. Zauważam na dziedzińcu... opla. Czarny z szerokimi wystającymi po bokach progami. Niestety ma sporo usterek. Przede wszystkim brak wszystkich czterech kół oraz wszystkie szyby powybijane, lecz silnik wraz z bakiem na benzynę w porządku. On tak stał potem na podwórku, siadaliśmy dla zabawy za kierownicą, a po dwóch latach z gminy przyjechali ciężarówką i opla zabrali. Szanse na uruchomienia go przez nas były znikome. To był jedyny pojazd we wsi. Podczas gdy w czasach dronów, obraz tej wsi ze zdjęcia przez drona był krańcowo inny. W czasie weekendu wioska była dosłownie zapchana samochodami. Opel oplem a przecież najistotniejsze to właśnie przed chwilą zdobyte zabudowania. Wszystkie, od tego momentu nasze budynki są pokryte czerwoną dachówką. Teraz mamy solidny, murowany, piętrowy dom, a jak ze zdziwieniem stwierdziliśmy, jest nawet umeblowany. Zwykle wówczas już nie tylko mebli nie było, ale okien także. Trudno byłoby rozpocząć normalne życie w domu bez drzwi, okien czy mebli. Jeszcze nie powstały wówczas usługi ze stolarzami wykonywającymi roboty budowlane. Środków na opłacanie tych usług też nie mieliśmy. Dom stoi na lekkim wzniesieniu. Prostokątne podwórko wybrukowane kamieniami. Na lewym boku mamy komórkę, kurnik, chlew, obora, stajnia. Następny bok, to duża stodoła, jedyna drewniana konstrukcja. Prawy bok to spichsz, warsztat i druga obora. Będziemy mieszkali w obszernym budynku. Na parterze sień, 4 pokoje i duża kuchnia, na piętrze korytarz, 4 pokoje i dodatkowe 4 na poddaszu z ukośnym sufitem.

Na nasze szczęście, ten jegomość dobrze dobytku pilnował, lecz rodziny zapewne sprowadzać nie zamierzał, przynajmniej nie na wieś – nie wyglądał na wieśniaka. W ten sposób, gospodarstwo w dobrym stanie wpada w nasze ręce dość przypadkowo. Być może wówczas pod tym względem było lepiej dalej na zachodzie, bliżej Odry. Tym niemniej, uznaliśmy znalezienie tego gospodarstwa za szczęśliwe zdarzenie, tego kalibru, o którym się mówi: - nie w kij dmuchał!

Po wniesieniu przywiezionych rzeczy do domu, ojciec niezwłocznie wraca wozem do Ostródy, gdzie rodzina z niecierpliwością czeka na wieści. Pewnie dociera tam już nocą. Ja natomiast rozglądam się po zabudowaniach, wtem rozlega się znajomy jeszcze z Eikiniszek klekot bociani. Spoglądam do góry, a na stodole w bocianim

gnieździe wita mnie klekotem okazały bocian wraz ze swoją partnerką. One regularnie potem, co roku przylatują. W dole one widziały dolinę Pastęki, rozległe



Nasze bociany, wiernie nam towarzyszyły w naszych latach znoju na Warmii

łaki idealne do szukania pożywienia. Jedyny raz nie byliśmy w stanie uchronić tych ptaków od dotkliwej straty. W czasie naszej nieobecności w domu, podrostek sąsiadów wdrapuje się aż do gniazda bocianów zabiera wszystkie pisklęta w celach spożywczych. Pozostały dorosłe ptaki, które ku naszej radości, mimo tej tragedii nie rezygnują z tego gniazda, w latach następnych powracają. Temu podrostkowi robimy karczemną awanturę, połączoną z groźbami. To odnosi skutek, więcej takich numerów nam i bocianom nie robił.

Dalej rozglądam się po podwórku i mam wrażenie, że czegoś tu brak. Po pewnym czasie odczułem pragnienie. No tak, brak studni. Wchodzę do domu mając nadzieję na znalezienie kranu, jak w mieście. Rozczarowanie, nic takiego nie znalazłem. Na kuchni stał garnek z wodą, ugasilem pragnienie. Dopiero wieczorem problem studni został wyjaśniony dzięki wizycie sołtysa. Otóż zamiast studni wieś posiada dwie pompy głębinowe umieszczone obok drogi. Dlaczego takie niewygodne rozwiązanie Niemcom wystarczyło?

Ojciec po dotarciu do Ostródy, zamiast przywitania z radością oznajmia:

- mamy dom!

Jak mi potem opowiadał, po tej wiadomości, cała rodzina rzuciła się na niego, uściskom, radości końca nie było. Pytali go o wszystko, jaki dom, jakie inne zabudowania, jacy sąsiedzi. Ponieważ nie miał czasu na rozejrzenie się więc odpowiadał – zobaczycie. Władowali do wozu pozostałe skrzynie z dobytkiem,

przywiązał krowy do wozu, a następnego dnia (można było jeszcze przenocować w wagonie), powoli osłabione podróżą konie dowiozły to wszystko do już naszego gospodarstwa.

Ja w tym czasie, to zdobyte raczej w przypadkowy sposób gospodarstwo solidnie pilnuję. Jestem też dość dobrze uzbrojony, bowiem w poniemieckich rupieciach znajduję karabinek sportowy (flower) z garścią amunicji prochowej. Potem to wszystko trzymam w niezawodnym, jak się okazało, schowku. Wtedy i dziś za to grozi więzienie. Od czasu do czasu, pod nieobecność rodziców, z niego urządzam strzelanie, aż do wyczerpania amunicji. Rodzice o tej broni nie wiedzieli. Po naszym opuszczeniu Kojd, karabinek zostaje w schowku. Może to wygląda na sytuację niezbyt poważną z tym karabinkiem, w końcu niejednokrotnie nas ostrzegano, żeby mieć się na baczności. To był jak by nie było, okres powojenny, na bandytów wprawdzie nie natknęliśmy się, ale strzeżonego Wielu chłopów, jak się potem przekonamy, ma nieautomatyczne zwykłe wojskowe karabiny. Żeby nie rzuciły się w oczy w czasie ich noszenia, mają do połowy obcięte lufy. Taką broń zwano potocznie obrzyny. Jest, więc to broń niezbyt celna i raczej krótkiego zasięgu, tymczasem mimo to nad wyraz groźna. Chłopi używali obrzynów do polowania, głównie na dziki. Wówczas niezwykle płochliwe zwierzęta. Tych zwierząt po wojnie jest mnóstwo, w nocy przychodziły do ziemniaków rosnących na polu, a więc w okresie raczej jesiennym.



Tak wyglądała łąka. Teraz bym ten widok określił jako 'szwedzki stół' dla naszych wymizerowanych krów oraz koni.

Wystarczyło w nocy kilka godzin przy kartoflisku poleżeć z obrzynem, żeby coś upolować. Łatwo powiedzieć: 'wystarczy poleżeć' w zimną noc, bez ruchu i rozmów nawet szeptem. Wszak dziki mają nad wyraz czułe powonienie oraz wyostrzony słuch, więc nie zawsze polowanie się udawało. Należało wiedzieć gdzie usadowić się, zależało to od kierunku wiatru. Opowiadano, że pozycja leżąca jest wygodna, lecz sprzyja zaśnięciu, zwłaszcza po dniu pracy. Zdarzało się obudzić rano i zauważyć ślady rycia dzików. Dzik ma pojemny żołądek, więc po posilaniu się stada tych zwierząt, straty w ziemniakach są bolesne. Takie kłusownictwo oczywiście było i nadal jest surowo karane, nie tylko polowanie, lecz przede wszystkim posiadanie broni. Wobec zagrożenia, że sąsiedzi mogliby do władz donieść, więc nocne polowania odbywają się bardzo dyskretnie. Dotyczyły jedynie dzików. Stopniowo ten proceder zanikał. Główną przyczyną było wyczerpywanie się zapasów amunicji. Jak w warunkach panującej ciemności trafiali do zwierzęcia, pozostaje tajemnicą kłusowników.

Obecnie widzimy zmianę obyczajów tych zwierząt. Wędrują sobie nawet po miastach i niczego się nie boją. Zdarzają się też ataki na ludzi. Czy to jest swego rodzaju ewolucja? Pewnie tak, gdyż ewolucja wg Darwina nie polega na walce (modyfikacja komunistów), z której wychodzą zwycięsko silniejsi. Ewolucja to zdolność przystosowania się do zmieniających się warunków egzystencji. To jest wyjaśnienie przybliżone.

Nasz przyjazd do Kojd odbywa się w drugiej połowie kwietnia. Wydawało się, że złapaliśmy Pana Boga za nogi! Jednak rzeczywistość okazała się mniej różowa. Jak już wspomniałem, dotąd nasza rodzina własnoręcznie nie uprawiała ziemi i nie zajmowała się doglądaniem inwentarza. Z chwilą wylądowania w Kojdach nasz styl życia uległ radykalnej zmianie. Rozpoczęliśmy nieustającą dziewięcioletnią harówkę. Trawa na naszej łące już zieleńiła się. Natychmiast krowy wraz z koźmi prowadzimy na łąkę. Nie wiem, co byśmy robili gdyby tej trawy jeszcze nie było! Nie było możliwości zdobycia dostatecznej ilości siana. Nie trzeba opisywać zapału, z którym nasze niezmiernie wygłodniałe stworzenia zabrały się do skubanie trawy.

Kojdy

To był kwiecień 1946 roku, wiosna a równocześnie rozpoczęła się wiosna naszego życia. Mimo wielu przeciwności, zmartwień, a z upływem czasu nieuniknionych przypadków odejścia niektórych członków naszej rodziny do ponoć lepszego świata (do Wieczności lub nicości – jak kto woli), nasze życie się odmieniło na lepsze. Chociażby dzięki otworzeniu się przed nami perspektyw, jednakowych dla wszystkich mieszkańców tego kraju (choć się mówi – wszędzie są równi i równiejsi). Czego na Litwie nie mogliśmy oczekiwać. Nawet obecnie, gdy ten kraj jest w Unii Europejskiej, ponoć Polacy mieszkający na Litwie są traktowani jak obywatele drugiego sortu. Tymczasem nasi krewni tam mieszkający do dzisiaj, kategorycznie temu zaprzeczają, ale oni są Litwinami.

Wreszcie mieszkamy wśród prawdziwych Polaków. Bowiem nie są bynajmniej tak jak my repatriantami z przedwojennej zagranicy, lecz przybyszami z obszarów po wojnie należących do Polski. Głównie z okolic Garwolina. Dwóch z naszych sąsiadów, powracając z niewolniczej pracy w Niemczech, na swojej drodze do rodzin natknęli się na opuszczone gospodarstwa, które objęli w posiadanie, po czym sprowadzili do siebie swoje rodziny. Obaj pełnili po jednej kadencji funkcje sołtysów. Jeden z nich pracę u bauera nie wspominał źle. Drugi tej niewoli nie mógł jednak wybaczyć bauerowi, który nie zdołał uciec przed Rosjanami. Już w kraju w stanie upojenia raz wyznał sąsiadom, że na oczach rodziny zastrzelił tego bauera. Przy tej czynności skorzystał z automatu żołdata. Czy tak makabrycznie to się wydarzyło, kto wie? Przecież bauer go życia nie pozbawił. W końcu mógł swego ciemżyciela jakoś inaczej ukarać.

Czy się okaże, że sąsiedzi będą nas traktować tak jak to czynili Litwini? Nie mogliśmy być pewni tego. W końcu nieco różniliśmy się od reszty tej wsi. Byliśmy jedynymi repatriantami, ku naszemu zdziwieniu, nasza mowa nieco różniła się od mowy sąsiadów. Z czasem, w wyniku rozwiązywania wspólnych problemów, poznaliśmy mentalność tego narodu, zarówno mieszkającego na wsi jak i w mieście. Powinniśmy przedtem zapoznać się z opisami charakteru Polaków. Takich publikacji nie znaleźliśmy. Obecnie są dostępne. Oto niektóre.

Sławomir Mrozek pisał, że Polaków umiłowanym zajęciem jest walka z przeważającymi siłami wroga.

Stanisław Wyspiański, że Polacy są chorzy na zanik woli. Wszystko mają i warunki i ideologię i wielkie cele, ale niczego im się nie chce.

Julian Ochorowicz jednak uważa, że Polacy mają umysły bardzo lotne, lecz mało ścisłe. Co przekłada się na: „co głowa, to rozum”. Porównując z innymi, stwierdzimy, że gdy zbierze się trzech Niemców, zaraz tworzą związek, a trzech Polaków – to cztery stronnictwa. A nawet w stronnictwie jedni gadają a inni pracują.

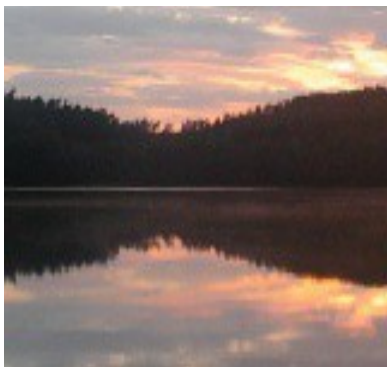
Ksiądz prof. Józef Tischner natomiast wytyka Polakom indywidualizm znikający w samotności i wtedy rodzą się w sarmacie kompleksy. Wśród nich najczęściej kompleks niższości, często leczony alkoholem. Pod wpływem którego, ten kompleks znika, a pojawia się złudzenie wyrastania ponad przeciętność z pominięciem rzeczywistości. Marzenia zastępują rzeczywistość. W końcu jednak, na szczęście, należy stwierdzić, że występują ludzie o cechach bardziej wartościowych. Dzięki nim „Polska jeszcze nie zginęła”.

No i bądź tu mądry! W sumie jaki jest ten Polak?

O tych definicjach wówczas nie wiedzieliśmy. Może, gdybyśmy wiedzieli, to byśmy sobie powiedzieli: - w jakie bagno się pakujemy! cha, cha, cha. Ale stopniowo o takich czy podobnych cechach Polaków zapoznawaliśmy się i do nich przyzwyczailiśmy a może też część ich przyswoiliśmy, przystosowaliśmy się do nich. Jak jesteś między wrony, to trzeba krakać jak one. Ogólnie rzecz biorąc, nie trudno z nimi wytrzymać. Nie jest tak źle, jak ci mędracy przedstawiają.

Warmia i Mazury bardzo nam się podobały pod względem widoków natury. Byliśmy w stanie o tym się przekonać, także w czasie ostatniej fazy podróży. Wiele lasów i jezior – więcej tego wszystkiego niż na Litwie. Mówię wam, coś pięknego. Spotkanie dzikiego biegającego zwierzęcia nie było wówczas specjalnym wydarzeniem. Przy każdym wyjściu w pole czy na łąki widziało się zającą. Taki widok staje się rzadszy z upływem czasu. W lesie buszowały dziki (dziś też tego nie brakuje), sarny, jelenie (tych wydaje się jest mniej). natomiast zliczenia wykazują, że

saren jest więcej niż dzików. Dużo ptaków widziało się, tak jak na Litwie. Z upływem lat niektóre gatunki jakby zanikają (skowronki, czajki).



Jezior i to nad wyraz pięknych na Warmii i Mazurach nie brakuje

Pięknem przyrody zachwycamy się w chwilach odpoczynku, gdy nie trzeba ciężko pracować na polu w upale. Bynajmniej nie jest tak, że „chłop sobie śpi, a zborze podlewane przez deszcz z chmórki sobie rośnie”. Niemców już wówczas rzadko się spotykało, chociaż nie opuściły naszej wsi o nazwie Kojdy (przedtem tę wieś nazywano Kulany), około 60 letnie niemieckie kobiety w liczbie 5 wraz z 9 letnią i 15 letnią dziewczynkami. Jedynie młodsza wyjechała potem do Niemiec, reszta zostaje na miejscu wiodąc nędzniejsze życie niż polscy osadnicy. Nigdy nie zwierzają się dlaczego zostały. Należy przypuszczać, że niektórym zwłaszcza starszym ludziom się wydawało, iż jest niemożliwe aby ta ziemia należąca od wieków do tak potężnego państwa mogłaby zostać zabrana na zawsze przez znacznie słabsze państwo. No i cierpliwie czekały na powrót Niemców, aż do swojej śmierci nie nauczyły się mówić po polsku. 15 letnia Krysta była według mojego gustu dość urodziwa i inteligentna. Tymczasem w jej sytuacji, jedyne co mogła robić to zatrudnić się u chłopów jako stała służąca. Niewiele jej płacili, głównie plonami, więc chętnych do zatrudnienia nie brakowało. Szybko nauczyła się mówić po polsku nie wymawiając oczywiście poprawnie ‘r’. Chętnie chodziła z nami na wiejskie potańcówki w soboty. Potańcówki się odbywały w sąsiedniej wsi. Z tego co pamiętam, to gęsty kurz unoszący się w pomieszczeniu. W czasie przerw obficie skraplano podłogę, jednak ten kurz ponownie się wzbijał gdy w ciepłym pomieszczeniu podłoga wysychała. Dla urozmaicenia tańców, od czasu do czasu wybuchają bójki. Nie brałem w nich udziału, nikogo zresztą nie znałem i dlatego nie oberwałem.

Niezbyt szeroka w tej okolicy rzeka Pasłęka. Uwielbiamy w niej pływać oraz łowić raki. Ryby były sprytniejsze od raków i od nas.



Należące do nas łąki przylegają do wijącej się wzdłuż łąk, pięknej rzeki Pasłęki z czystą wodą. Nie wiadomo dlaczego, tymczasem raki po paru latach znikają i to kompletnie. Uwielbiamy częste letnie kąpiele w rzece. Jedną z atrakcji jest obecność Krysty wyłącznie w majteczkach, co u nas, nastoletnich chłopców budzi duże zainteresowanie. Nie należy się dziwić, że nieraz ją namawiamy na te kąpiele.



Jednak w czasie kąpiele dotknąć się nie pozwala, nad wyraz ostro reaguje na takie próby. Po latach, gdy odwiedzamy tę wioskę, dowiadujemy się, że starsze Niemki poumierły, nie doczekawszy powrotu Niemców, a Krysta wyszła za mąż za pijaka, będąc bita przez męża, urodziła kilkoro dzieci, wiodła nędzne, ciężkie życie. W tej wiosce było kilka polskich dziewcząt w naszym wieku. Jako uczeń a potem student budziłem ich zainteresowanie. Wszelako na poważniejsze 'podboje' czasu, a być może częściowo odwagi, brakowało. Zresztą wkrótce wioskę opuszczamy.

Ojcu przydzielono 8 ha ziemi, nie specjalnie urodzajnej z lekkimi wzniesieniami.

Tymczasem jesteśmy w tej wiosce. Nie mamy innego wyjścia, musimy włączyć się solidarnie, całą rodziną w pracę fizyczną na roli. Z bratem skopałem przydomowy ogródek, po czym nasza Mama (była wiosna), tak jak ja obecnie na działce, pracownicy zasiewa przydomowy ogródek przywiezionymi z Litwy, nasionami warzyw. Po kilku dniach kiełkują ogórki, marchewki, pietruszki, kapusta oraz pomidory uprzednio podrosłe w skrzynkach w ciepłym domu. Ojciec bierze się za oranie przydzielonego pola. W poprzednich przygodach związanych z mieszkaniem na wsi raczej przyglądamy się wynajętym ludziom, gdy pracują.

Obecnie w końcu zdajemy sobie sprawę z ciężkiego znoju związanego z życiem na wsi. Niemcy mając traktor wraz z odpowiednimi narzędziami rolniczymi, a pewnie parobków także, tak ciężko nie pracowali jak my. Chociaż niewątpliwie mieli więcej ziemi niż 8 ha na każde gospodarstwo. Traktorów Sowietów nie pozostawili ani jednego – wszystkie wywieźli do swoich kolchozów, razem z innymi narzędziami przystosowanymi do traktorów. Ci z Niemców, którzy posiadali paliwo wyjechali na nich. Zostaje natomiast niemało narzędzi przystosowanych do koni. Jedno z nich, roztrzaskałkę do suszącego się na łąkach, skoszonego siana, nie była nam przedtem znana. Tę czynność poprzednio wykonywano ręcznie za pomocą wideł oraz grabi. Praca na wsi jest mozolna, w końcu obecność wielu zwierząt domowych wymaga ciągłej opieki. Nie wyłączając niedziel, świąt, rolnik oraz jego rodzina jest w ciągłym ruchu.

Z upływem lat, począwszy od drugiej połowy wieku 20-go, ten obraz ulega zmianom na polskiej wsi pod względem narzędzi ułatwiających pracę. Tymczasem rolnik nie ma nadal wolnego od pracy czasu. Można to zmienić, lecz wymaga głębokich przeobrażeń wsi. Przede wszystkim ziemia nie może być tak rozdrobniona. Widziałem reportaż z Niemiec. Pokazana w nim praca na roli może być alternatywą zmieniającą ten stan rzeczy. Bauer posiada 100 ha ziemi i jednego traktorzystę zatrudnianego sezonowo, latem. Ma piękną wilię, obszerny garaż na narzędzia rolnicze i żadnych innych budynków ani zwierząt. Bierze kredyt z banku na nasiona, środki ochrony roślin, sztuczne nawozy oraz na części zamienne narzędzi rolniczych. Zasiewa cały areał jednym rodzajem zboża zakontraktowanego, a więc bez obawy możliwości jego zbycia. Żadnych hodowli zwierząt. Czekają aż

zboże dojrzeje, kosi go kombajnem, po czym zawozi do punktu skupu. Reasumując, Niemiec ocenił, że po spłaceniu kredytu zarówno dochód jak i czas pracy są porównywalne z zarobkiem i czasem pracy inżyniera pracującego w fabryce. Następnie orze pole i td. Zimą samodzielnie konserwuje sprzęt. To jego praca w tym okresie. Ma żonę i troje dzieci. Żona czyni zakupy, opiekuje się dziećmi, zawozi je autem do szkoły, przyrządza posiłki oraz sprzęta. Ma, więc pracę i warunki przypominające życie w mieście.

O tym nie ma wzmianki, lecz jakiś przydomowy ogródek na warzywa, kwiaty pewnie mają. Dobrze byłoby mieć kury, a może świnie, ziemniaki posadzić, więcej warzyw by się przydało, jakiś sad – no i jesteśmy w realiach polskich ha, ha, ha. W warunkach opisanych przez Niemca, żyje się tak jak w mieście, można mieć weekend wolny, czy bez problemu wyjechać z rodziną na parutygodniową wycieczkę. Nasi rolnicy, nawet ci 100-hektarowi, o tym mogą tylko pomarzyć.

Może także w naszym kraju takie gospodarstwa powstaną. Wiem o jednym 100 ha gospodarstwie. Tymczasem w obliczu uprawiania różnych zbóż, trzymania krów, tuczników, drobiu itd. prowadzenie takiego gospodarstwa jest okropnie pracochłonne i daleko im do warunków, w jakich mieszka i pracuje inżynier wraz z rodziną w mieście. Bowiem w takich warunkach pracy, rolnicy muszą zapomnieć o 8 godzinnym dniu pracy, wolnych weekendach, wycieczkach oraz zrównaniu swego poziomu życia z ludnością miejską. Ten gospodarz zatrudnia też dodatkowych pomocników. Gospodarstwa, o strukturze wyżej opisanej w przykładzie niemieckim są niewątpliwie bardzo wydajne ekonomicznie.

Na odzyskanych ziemiach był problem szabrowników, którzy nadciągnęli równocześnie z osadnikami z pozostałych części kraju. Przybywali z całej Polski, posiadali długie żelazne pręty, którymi kluli ziemię w poszukiwaniu zakopanych przez Niemców dóbr (skarbów). Bowiem Niemcy byli pewni powrotu na te ziemie i to niebawem. Ślady po udanych znaleziskach były dobrze widoczne. Niemcy opuszczając te ziemie nie byli w stanie całego swojego dobytku ze sobą zabrać. Niemało pozostawili w mieszkaniach a część bardziej cennych rzeczy zakopywali w pobliżu swoich domów bądź w stodołach. W naszej stodole zastaliśmy trzy duże doły z resztkami desek od skrzyń.. Te 'bogactwa', jak kiedyś kopalnie złota (gorączka

złota), przyciągnęły rzesze Polaków z innych regionów kraju. Zabierali oni znalezione narzędzia, meble, naczynia gospodarskie, ubrania, wywożąc je dla siebie czy na sprzedaż. Ten proceder trwał jakiś czas zanim te ziemie nie zostały zasiedlone.

Ja bym nie potępiał tych ludzi, była bieda i może to nie była kradzież. Nie szabrownicy, to ktoś inny by te 'skarby' zabrał. Pierwszymi, którzy do tych „skarbów” się dobrali to byli Rosjanie. Wywożenie wyposażenia fabryk przez Rosjan jest dobrze znane. To odbywało się nie tylko w Niemczech, lecz równocześnie zupełnie bezprawnie na terenach przyłączanych do Polski.

Niemcy z uwagi na to mieli początkowo trudności ekonomiczne. Tymczasem jak ekonomiści tę sytuację oceniają, wywożenie przestarzałych urządzeń miało drugą, korzystną stronę także. Te braki zmusiły Niemców do odbudowy przemysłu od podstaw, przy okazji go modernizowały. Nie bez wsparcia USA – plan Marshalla. Tymczasem Rosjanie, mając starszy niemiecki sprzęt, długo posługiwali się starszymi rozwiązaniami w dziedzinie technologii. Znana jest u Sowieców spora produkcja po wojnie niektórych wyrobów, jak na przykład przyrządów optycznych czy aparatów fotograficznych. Taką produkcję umożliwiły wywiezione urządzenia fabryczne z Niemiec.

15. LOSY RODZINY PO OSIEDLENIU SIĘ W POLSCE

Praca na roli i sąsiedzi.

Osiedliliśmy się na Warmii w kwietniu. Ta moja opowieść powstała na bazie notatek, jakie przez życie robiłem oraz z tego, co zapamiętałem. Po przyjeździe pierwsze wrażenie to cisza, bez turkotu kół wagonu, wreszcie mieszkamy w dużym murowanym, piętrowym domu, sami w 8 pokojach. Na piętrze ja z bratem mamy oddzielne sypialnie! Tymczasem zauważamy wadę w konstrukcji zabudowań naszego gospodarstwa. Otóż dom mieszkalny wraz z pozostałymi budynkami jak stodoła obory, spichrz oraz inne pomocnicze budynki tworzą prostokąt. To jest OK.,

lecz w środku tego prostokąta jest cuchnąca gnojówka! Takie usytuowanie jej ma na celu zmniejszenie pracochłonności podczas usuwania odchodów bydła. Niemcy robili to często i nie transportowali tego daleko, wywalali to na środek podwórka, jakieś 30 m od okien domu! Bydła mieli niemało, pewnie także ziemi sporo więcej niż nasze 8 ha. Co by za dobrze im nie było, niemiłe zapachy przez okna oraz drzwi wdzierały się do domu, zwłaszcza przy niekorzystnym kierunku wiatru. My natomiast, zmieniamy ten proceder, zgodnie z przyzwyczajeniem, usuwamy nawóz jedynie na jesieni oraz na wiosnę i w rezultacie staje się zapachowo znośniej. Usuwamy ten naturalny nawóz bezpośrednio na pole, więc pod nosem tej gnojówki już nie mamy.

Nieoczekiwanie problem opału zastaliśmy rozwiązany, bowiem w piwnicy było kilka ton węgla kamiennego i do rozpalenia sporo drzewa w komórce. Węgla nam wystarczyło do końca pobytu w Kojdach. Przy okazji nadmienię, że na Litwie węgla nie widzieliśmy. W początkowym okresie zamieszkania nie mamy prądu. Obecnie to oznaczałoby niemal tragedię. W ścianach są porządne gniazdko, obok wsi linia wysokiego napięcia tudzież budynek transformatorowy, a prądu nie ma. Żeby on był, to musiałaby jakaś elektrownia działać. One były jednak zniszczone wskutek działań wojennych i rabunkowej wywózki urządzeń przez Rosjan.

W początkowym okresie nasze posiłki są identyczne jak na Litwie. Takie jak opisałem wyżej. Tak jak na Litwie, początkowo z lampy naftowej korzystamy. Po roku, gdy prąd włączyli to oprócz światła mamy teraz silnik elektryczny do młockarni, równocześnie pojawiły się inne elektryczne urządzenia. Lodówki czy innych elektrycznością napędzanych urządzeń (poza radiem) nadal nie mamy, aż do końca pobytu na Warmii. Obecnie z takimi brakami byłoby ciężko egzystować. Wszyscy takie urządzenia posiadają. Gdy na skutek jakiegoś huraganu, na kilka dni wyłączają zasilanie elektryczne, to powstaje problem na tyle poważny, że media o tym nagłaśniają na cały kraj. Nawet gdy takie coś ma miejsce za granicą, nie wyłączając tak daleki kraj jak USA.

Nasza wieś liczy 10 gospodarstw, a więc należy do małych. Trochę dziwnie czujemy się mieszkając po raz pierwszy we wsi z zabudowaniami usytuowanymi blisko siebie. Gospodarstwa w tej wsi są oddalone od siebie wręcz tak blisko jak 20

kroków jeden dom od drugiego. Wszystkie blisko szosy i w dość dobrym stanie. Na Litwie takie wsie były i wciąż są rzadkością. Tam domy są otoczone całym arealem ziemi należącej do danego gospodarstwa, więc domy były od siebie raczej sporo oddalone. Z jednej strony to wygoda, na swoje pole do pracy nie trzeba było daleko wędrować, tymczasem z drugiej strony do sklepów czy szkoły było na Litwie daleko.

Jak wspomniałem ziemię zachodnie nie zostały zasiedlone przybyszami z obszarów zagarniętych przez Sowieców. Większość i to znaczna, to były rodziny z innych obszarów zwanej potocznie 'centralnej Polski'. Trochę nas ten fakt dziwi, po co oni tu przybyli skoro musieli przedtem gdzieś mieszkać. Nic nie pasowało do tego obrazu. Skoro zdecydowali poprzednie miejsce opuścić, to je sprzedali i powinni być bogaci. Tymczasem żadna z tych rodzin nie jest bogata, wszędzie bieda aż piszczy. Do tej pory nie wiem w jakiej sytuacji te tysiące rodzin poprzednio egzystowały. Nie sądzę, że mieszkały pod mostami. Wspominali o folwarkach, lecz tam były też jakieś mieszkania, no i dziedzicom ziemię odebrano, którą szczodłą ręką władza chłopów obdzielała. Przy okazji podkreślano jaka ta władza dobra. Czy istnieje możliwość przeniesienia takiego postępowania władzy na płaszczyznę relacji międzyludzkich? Wpadam do czyjegoś mieszkania, zabieram TV oraz wręczam go komuś nieposiadającemu takiego urządzenia. Czy byście wówczas nazwali mnie dobrym? Nawet nie wszyscy obdarowani tak by sądzili, jednak jeżeli chodzi o ziemię to ją brali. Znam tylko jeden przypadek rolnika, który odmówił przyjęcia ziemi i to nie z powodu jej nadmiernej ilości jaką już posiadał. Swoją drogą, obdarowani mimo zaleceń władzy mogliby właścicielowi coś odpalić w ramach dobrowolnej rekompensacji. Czy takie przypadki się zdarzały? Tak tylko się pytam i tyle... Wówczas odbierano ziemię tak zwanym obszarnikom. Mało kto uważał ten proceder za niesprawiedliwy. Tymczasem z biegiem czasu powstały i ciągle powstają porównywalne obszarowo posiadłości rolnicze z arealami takimi jak przedwojenni obszarnicy. Wobec powszechnej akceptacji procesu odbierania ziemi obszarnikom, proponuję powtórzenie tego procederu nowym obszarnikom. Zabrać i rozdzielić innym! Co wy na to?

Mowa naszych sąsiadów wydaje się nam nieco dziwna. Prawie wszyscy przybyli z pod Garwolina, mówią gwarą, my zaś zaciągamy kresowo, lecz oni uważają, że

mówimy bardziej po miejsku. Bardzo się dziwimy po przybyciu do Polski, że każdy dorosły za wyjątkiem rodziny i przyjaciół, tu jest 'pan', przynajmniej jest tak nazywany, niezależnie od majątku czy wyglądu. Najdłużej do tej sytuacji musi się dostosowywać ojciec. Mówi zdziwiony. - Żeby do zwykłego chłopca czy żebraka, mówić 'pan', co za zwyczaj? Na Litwie przed wojną sposób zwracania się zależał od statusu, do mego ojca per 'ponas', ojciec zaś per 'tu'. Obecnie na Litwie doszło do zmiany, do obcego się zwraca wzorem angielskim tzn 'wy, you', (powiedzcie gdzie jest ulica Witautasa).

Są też drobne językowe nieporozumienia. Na przykład na pytanie 'czy pan już zasiał owies?', chłop odpowiada 'no!'. Nikt na Litwie słowa 'tak' w ten sposób nie wyrażał. Nawiasem mówiąc, oczywiście przyswoiliśmy to 'no'. Będąc po latach w Anglii nieopatrznie zastosowałem to wyrażenie rozmawiając z dziekanem. Na pytanie czy dzisiaj dobrze mi się przy komputerze symulowało eksperyment, mechanicznie odpowiedziałem 'no'. Zaczął się dopytywać dlaczego. Trochę zdziwiony, moje postępy zreferowałem. To spytał dlaczego twierzę, że niedobrze się pracowało. Ja na to: - tak nie powiedziałem, a on mówi, iż usłyszał 'no'. W Polsce używa się wyrażenia 'to jabłko jest dobre'. Na Litwie przyzwyczajeni byliśmy do słowa 'smaczne'. Słowo 'dobry' zarezerwowane tam jest dla ludzi, psów itp. Na przykład mówimy „lisia jama”. Na Litwie tylko 'lisia nora'. Tu 'łyżka wazowa'. Tam 'połonik'. Te różnice łatwo akceptujemy.

Było mnóstwo różnic w mowie, nie trzeba zaznaczać, że to my musieliśmy zmieniać wyrazy czy też zbitki słów, żeby być zrozumiałym. Bez przesady – gwarowych słów nie zaczęliśmy używać. Z okolic Garwolina chłopci unikają wymowy 'ż, sz, cz', to też była dla nas nowość. Innym przykładem jest obraźliwe nazwanie kogoś dziadem (np. ty dziadzie). Słowo 'dziad' na Litwie to nie obraźliwe przezwisko lecz określenie osoby sędziwej i tyle. Gdy pytamy w Polsce, co to znaczy, to zdziwieni wyjaśniają, że to jest określenie osoby płci męskiej i oznacza przede wszystkim, jako będącej w głębokiej nędzy oraz dodatkowo bezwartościowej istoty, taką z którą nie warto się zadawać, nie koniecznie sędziwej. Ciekawe, należałoby takiej osobie raczej współczuć nędzy oraz ją wspomóc. Chyba jednak to jest

obraźliwe - nie jestem nędzarzem a on kłamliwie takim mnie nazywa. No i się wyjaśniło.

Moja Mama nauczycielką w wiejskiej szkółce

Cisza się kończy, gdy po roku godzimy się, żeby w dwóch pokojach naszego domu została otwarta 2 klasowa szkoła. Na podstawie posiadanego świadectwa maturalnego polskiej szkoły ogólnokształcącej (ukończonej na Litwie w roku 1929) moja Mama zostaje zatrudniona na etacie nauczycielki szkoły podstawowej w Kojdach. No, ale w końcu coś zyskujemy. Moja Matka jest jedyną nauczycielką w tej szkółce. W rezultacie, finanse naszej rodziny ulegają poprawie. Mama uczy tam dzieci w 1 oraz 2 klasie oraz prowadzi kursy dla analfabetów. Może dziś to wygląda dziwnie, tymczasem wówczas nie brakuje dorosłych osób nie umiejących czytać ani pisać. Czasami wówczas wspomagam mamę w nauczaniu analfabetów, bowiem te kursy odbywają się w niedziele. Dodam tu, że na Litwie tego zjawiska nie było.

Nieco później w tym samym roku przyjeżdżają z Litwy dwaj bracia Ojca także. Osiedlają się w mazurskich miasteczkach oraz Micewiczowie (cioci rodzina), którzy znajdują mieszkanie w Olsztynie dzieląc dwupoziomowe mieszkanie z rodziną niemiecką inżyniera od wodociągów, którego Polacy nie tylko nie wypędzili, lecz wręcz zatrzymali. W końcu ktoś te wodociągi musiał uruchomić. Przy okazji pewna analogia, Amerykanie i Rosjanie polowali na niemieckich specjalistów zwłaszcza od broni rakietowej, a my na specjalistów od kanalizacji i wodociągów, być może także inne specjalności wymagały wsparcia niemieckich specjalistów. W przeciwieństwie do Amerykanów, po paru latach ich zwalnialiśmy. Wrócili głównie do NRD, ale także do NRF.

Wówczas, dzięki uprzejmości rodziny Micewiczów, w tym mieszkaniu przebywam na stacji w okresie jednego roku nauki, od poniedziałku do soboty, bowiem



uczęszczam do męskiego gimnazjum w Olsztynie. Jest nam ciasno, kuchnia, pokój, łazienka i mała komórka, głównie jako skład żywności.

Zamek w Olsztynie

To jest dom o szeregowej zabudowie – kilka domów piętrowych stykających się ścianami. W dolnej kondygnacji tego mieszkania zamieszkiwał inżynier Niemiec z żoną wraz z niezbyt urodziwą córką na wydaniu, a Micewiczowie w górnej kondygnacji. Córka Niemców zakochuje się w polskim robotniku. Ta sytuacja przekłada się na niemal codzienne awantury, bowiem rodzice nie mogą się pogodzić z jej wyborem i decyzją wyjścia za mąż. Krzyki niemieckiej rodziny są na piętrze dobrze słyszalne. Natomiast, gdy ja z 4-letnim Staszkiem (z litewską go początkowo nazywamy Stasis) nieco intensywniej po podłodze poskakaliśmy, to inżynier zaraz po schodach się wdrapuje, następnie coś tam po niemiecku wygraża, na przykład zapamiętałem słowa, które potem Staszкови wykrzykiwałem: przy różnych okazjach, zazwyczaj gdy skakał,

– rue Kinder!’ (cicho dziecko).

Gdybyśmy chcieli porównać hałaśliwość i głośność obu incydentów, to należałoby pierwszeństwo przyznać rodzinie niemieckiej. W końcu głupia córka nie wiedziała w jakie kłopoty się pakuje wiążąc się z prostym polskim robotnikiem, aczkolwiek szczerzej miłości wykluczyć się nie da (nikt wie jak byłoby – tak by Niemiec powiedział). Do Staszka kierował te słowa, w końcu miałem już 15. Widząc w takim wieku żołdatów sowieckich nie jest pewien jak bym zareagował – tak sądziłem. Staszek też nie jest w tym momencie zbyt przestraszony. Zresztą go uspakajam mówiąc po litewsku, że teraz Niemców nie musimy słuchać, bowiem wiedziałem, że Niemiec tego języka nie zna. Nigdy on nie wnosił do cioci skarg na nas. Wszelako język polski pan inżynier starał się opanować. Dowodem może być wywieszka przytwierdzona na wewnętrznej stronie oszklonych drzwi, gdy domownicy opuszczali mieszkanie. Na której widniał napis: „Nikt jest w domu”. Swoją drogą, to była niezła wskazówka dla włamywaczy, o ile zrozumieli sens wywieszki – złodziej nie mógł być pewny czy w końcu tam ktoś jest czy nie, a zatem może to było bezpieczniejsze niż „nikogo nie ma w domu”. W naszej mowie, a być może i w jakiejś innej mowie, są przykłady podwójnego przeczenia. Stąd dla uczących się naszego języka wynikają problemy.

Ciekawostką, której pewnie Staszek nie pamięta, była konieczność rozmawiania z nim po litewsku. Nie znał początkowo zupełnie polskiego. Ja jeszcze nie zdążyłem zapomnieć tego języka, więc on niewiele ma okazji, aby wprawić się w polskim. Z uwagi na to rozmawiamy z nim wyłącznie po litewsku. Niemiec już był oswojony z dźwiękiem polskiego. Pytał Micewiczów w jakim języku oni mówią, bo to nie wygląda ani na polski ani na rosyjski.

W znacznie późniejszych latach Niemcy, byli właściciele tych jednopiętrowych mieszkań, odwiedzili obecnych lokatorów w towarzystwie tłumaczki. Byli mile zaskoczeni stanem mieszkań a zwłaszcza ogródków. 'Tu zamiast ogródków z pięknymi kwiatami, było klepisko, po którym biegaliśmy' – stwierdzili. Takie wrażenie odnieśli poprzedni miejscy właściciele budynków. Nie znam reakcji odwiedzających posiadłości wiejskich. Mogły być krańcowo inne. W latach powojennych jedynie co ulegało zmianie na wsi, to popadające w ruinę zbędne budynki gospodarcze. Nic się nie budowało. Obecnie nasza biedna wioska jest zapchana osobowymi samochodami i dodatkowymi budynkami.

Mam zapisaną rozmowę ze Staszkiem. Pytam po litewsku jak bardzo kocha mamę? Mówi 'łabai' znaczy bardzo. A jak kocha tatę? Mówi 'biszki' znaczy trochę. A jak mnie, też 'biszki'. Jego tata Antoni, wobec tego, że był z zawodu geometrą, wiosną, lato i jesień spędza w terenie, rzadko zaglądając do domu. Z tego powodu więź z synem nie jest zbyt mocna. Co nie oznacza oczywiście, iż syna nie kochał. i wzajemnie. Staszek okazał się kochającym synem, właśnie w trudnym okresie nowotworowej choroby ojca. Pamiętam przyjechał do mnie z Olsztyna do Warszawy z pytaniem czy znamy jakiegoś uzdrowiciela.

Swoją drogą nie wiedzieliśmy, dlaczego w tej rodzinie, gdy byli na Litwie, a jednocześnie w pierwszym roku w Polsce, mówiło się po litewsku. Oboje byli niewątpliwie Polakami, kończyli polską szkołę średnią. Taką drogą Polacy mieszkający na Litwie, a pewnie w innych krajach także, szybko się wynaradawiają. Podziwialiśmy dalekosiężną mądrość wuja Antoniego. Ona polegała na odpowiednim lokowaniu oszczędności. Zarabiał nieźle, jak na owe czasy. Wynikało to z jego pracowitości oraz wielkiej ilości pracy do wykonania – wszak nowe ziemie należało podzielić między rolnikami i to poprawnie udokumentować. Część tej pracy

wykonywał zimą będąc w domu. Ciocia w wolnych chwilach mu pomagała. Był wysokiej klasy specjalistą w tym zawodzie. Bowiem wykształcił się przed wojną w Paryżu! Po wojnie wszyscy, co mieli jakieś oszczędności, zazwyczaj je lokowali w PKO, a nie w skarpetce. Jak to w banku, wciąż coś przyrastało, przynajmniej formalnie. Antoni zaś skupywał na czarnym rynku złote rublówki, nazywane potocznie małpkami. Były i są z 24 karatowego złota! No i na tym wygrał, bowiem ceny rubłówek szły w górę. Tymczasem złodziejski rząd robiąc wymianę pieniędzy, złotówki znajdujące się w banku i w skarpetce wymienił tak, że zredukował ich wartość aż trzykrotnie! Ta redukcja nie dotyczyła cen i poborów. Oszczędzający inaczej niż Antoni stracili aż 2/3 oszczędności. A on nic nie stracił, wręcz zyskał. Gdzie te rublówki chował? Jak rodzina wieść niesie – w niepozornej lasce odpowiednio wydrążonej! Być może to była bujda na resorach, kto to może wiedzieć? Ten proceder był w opowieści żony Antoniego do swojej siostry, w formie utyskiwania na okresowy niedobór złotych w jej gospodarstwie domowym. Bliscy Antoniego po jego przedwczesnej śmierci (rak) nic nie mówią na temat tej ciekawostki (ostateczne losy rubłówek), a pytać nie wypada. Znaczna ich część zapewne została wydana, gdy Antoniego dopadła długotrwała choroba, związana z kosztownym leczeniem.

Nie upłynął cały rok pobytu w Polsce, a Staszek zaczyna mówić też po polsku, bowiem w ich rodzinie przestaje się używać litewskiego. Szkoda, bowiem my także w domu nie używaliśmy tego języka, z uwagi na to ulega on zapomnieniu. A byliśmy przez pewien czas dwujęzyczni i to na poziomie 'native speakers'! Polskiemu językowi pewnie by to nie zaszkodziło gdybyśmy w domu, między sobą po litewsku. Będąc jeszcze na Litwie przeczytałem parę książek napisanych po polsku, pamiętam Robinsona. Do września pochłaniam powieści, żeby się oswoić z literackim językiem polskim, nawet w tym celu biorę korepetycje w Olsztynie u nauczycielki polskiego. Niby znałem przedtem język polski, lecz raczej wersję potoczną, w stopniu nie wystarczającym w szkole. O brakach w ortografii lepiej nie wspominać. Korepetycje usunęły niektóre braki. Oczywiście doświadczyłem niemało potknięć językowych. Jedno potknięcie, nie wiem dlaczego, zapadło w mojej pamięci. Mój koleżka Andrzej pyta gdzie się ja urodziłem? W Litwie – powiadam.

- mówi się na Litwie.

Szybko to przyswajam i potem go pytam:

- czy się urodziłeś na Polsce?

On na to ze śmiechem:

- ha, ha, ha, mówi się w Polsce!

Na Litwie rozmawiając po polsku, używaliśmy w odniesieniu do wszystkich państw jednakowo 'w'. A tu bądź mądry, na Łotwie, na Węgrzech, lecz poprawnie jest we Francji, ale w Szwecji, w Rosji, w Szwajcarii... Słuszne jest powiedzenie: - 'Polska język jest trudna'. Ponoć brak jest uzasadnienia tych różnic. Inne niuanse językowe to: 'Chodź tu Kaziu, do ciebie przyszedłszy Józek'. Tymczasem nie spotykało się na Litwie wyrażen typu lwowskiego, jak: 'ja przyszedł do ciebie'. Przy okazji zanotuję ciekawostkę dotyczącą języków. Otóż skrupulatne badanie języków poszczególnych narodów prowadzi do wniosków o pochodzenie tych narodów. Na przykład tacy badacze ustalili skąd narody słowiańskie napłynęły do tych obszarów Europy, w których mamy obecnie kilka państw słowiańskich. Ustalono, że kolebką Słowian jest dorzecze Wołgi. Początkowo wędrujący Słowianie zalegli jednolicie pewne obszary, potem Hunowie w drodze do Rzymu z pewnego obszaru ich przepędzili, więc po bokach Słowian nie ruszali.

We wsi, w której mieszkamy, oprócz Bielewiczów, nie mamy przyjaciół. Już przy wjeździe do wsi widzimy wprawdzie pewne zainteresowanie, lecz żadnego przywitania. Jedyne stary sołtys nas wieczorem odwiedza, żeby oznajmić, kim on jest. Z wdzięcznością przyjmuje podarunek – kawałek solonej słoniny. Swoją drogą, chyba zauważyliście, ile razy ta nasza słonina tudzież boczek ułatwiała nam życie. Na to nie liczyliśmy. Jak wspomniałem, w czasie pakowania dobytku na Litwie, ojciec zgłaszał pretensje do naszej mamy o nadmiar żywności. Tymczasem, jak każdy wie, jednak tych produktów wówczas w kraju brakowało, więc nie byłoby czym ziemniaczków podsmażyć, czy urzędników przekonać.

Nasi sąsiedzi, to rodziny mieszkające przed wojną w Polsce, będące bez ziemi lub mające tam mało ziemi, mieszkający w folwarkach. Ludzie bez ukończenia nawet

paru klas szkoły. Trzech mieszkańców wsi zaliczali się do obytych na szerokim świecie, bowiem w czasie wojny pracowali na warunkach niewolniczych u bauerów. Niestety, większość jest krańcowo zawistna. Wyczuwa się ich zawiść z powodu wszystkiego: pensji naszej mamy (była nauczycielką 2 klasowej szkółki), że dzieci są uczniami i jakoś w nauce radzą, syna studenta, 4 krów itp. Gdy tylko są w stanie nam zaszkodzić, robią to z upodobaniem nie bacząc na własne szkody przy okazji poczynione. Na przykład po trzech latach funkcjonowania zlikwidowali szkółkę, długo o to się starają u władz gminy, gdyż urzędników ocenia się także ilością szkół. Teraz muszą dzieci co rano wozić 3 km do innej szkoły, a dzieci z sąsiedniego PGRu nawet 4 km. Tymczasem Małachowskiej być może się urwie pensja. Ku ich rozczarowaniu, nie urwała się, bo mama idzie śladami swoich uczniów do sąsiedniej szkoły. Ponadto, między zjednoczonymi dotąd rolnikami naszej wsi w ataku na Małachowskich, pojawiają się rysy. Związane to jest z dowożeniem i odwożeniem małych dzieci do szkoły. Niby ustalają jakąś kolejność, lecz bywają różne sytuacje i ktoś musi jechać po za kolejnością.

Tymczasem zawistni sąsiedzi nie odpuszczają, teraz postanawiają w nas uderzyć z innej strony. Docierają do olsztyńskiej partyjnej gazety. Zaproszona do naszej wsi reporterka, odwiedza parę gospodarstw, nas pomijając, napompowana wieściami od naszych sąsiadów, pichci artykuł w gazecie o takiej treści:

- „oprócz małorolnych gospodarzy w Kojdach jest kułak Małachowski, któremu nie wystarczą 4 krowy, doi również wiejską biedotę”.

Po takim reportażu, w ówczesnych czasach, zazwyczaj nic dobrego nie wynikało. W tym miejscu należałoby zaznaczyć, że wszyscy gospodarze w Kojdach mają wówczas po 8 ha przydzielonych odgórnie po równo, nie wyłączając ojca. Ojciec nikogo nie zatrudnia do pomocy. Tymczasem w artykule takich informacji reporterka nie umieściła. Wówczas panowała cenzura, jednak w tym artykule była wyraźna autocenzura. Niestety etykieta 'kułak' może przełożyć się na zwiększenie tak zwanych obowiązkowych dostaw płodów rolnych oraz zwierząt rzeźnych. Na szczęście wywózka na Syberię nie grozi, już nie. A obowiązkowa dostawa oznacza znacznie zredukowaną zapłatę. To może prowadzić do bankructwa gospodarstwa. Dzieciom w szkole także etykieta ojca kułaka nie ułatwiała życia. Ciekawy jestem,

jaki reportaż by ona napisała gdyby nie mogła dostać w sklepie mleka, sera, masła, w obliczu niskiej produkcji tych towarów, w przypadku spełnienia jej marzeń o jednej krowie w gospodarstwie. Na szczęście w gminie wówczas rządzą niegłupi ludzie (chyba wówczas głupota wzrastała z rangą urzędu) i ku niezadowoleniu 'życzliwych' sąsiadów' sprawa' zdechła.

Mieliśmy powodzenie w olsztyńskiej prasie, gdyż w ciągu tych 9 lat naszego pobytu na Warmii, mój brat Genek też został opisany. Taki był tekst: - „we wsi Kojdy syn bogatego gospodarza zakochał się z wzajemnością w biednej dziewczynie. Rodzice syna sprzeciwili się małżeństwu. Biedne zakochane dziewczę targnęło się na swoje życie. Ponoć była w ciąży”. W rzeczywistości ten opis mijał się z prawdą. Mój brat Genek, bo o nim tu mowa, kochał się w niej platonicznie. Tymczasem pewnego ranka zauważył chłopaka z tej samej wsi, który wyskakiwał z okna tej dziewczyny. Zatem ona była zakochana, ale w kimś innym. Genkowi nie zostało nic innego jak zakończyć tę znajomość. Ona będąc w ciąży i nie mogąc liczyć na kochanka, potem truła się, lecz nie ze względu na Genka. On w tym nie maczał palców.

Należałoby tu zaznaczyć (może niezbyt skromnie), wszak nasza rodzina nie starała się nikomu szkodzić. Na przekór rzucanych nam pod nogi kłód, nie widzimy żadnego interesu, żeby komuś te kłody podrzucić. Wprost przeciwnie, nieraz sąsiadom pomagamy. Przykładem takich uczynków były dzielenie się przez ojca z sąsiadami wiadomościami z dziedziny praktycznej weterynarii. Wówczas fachowe usługi weterynaryjne na odzyskanych ziemiach były rzadkością. Ojciec posiadał kilka praktycznych umiejętności w tej dziedzinie. Pewnie znalazłoby się niemało przykładów. Nieraz zdarza się wzdęcie krowy spowodowane jednorazowym spożyciem przez nią nadmiernej ilości zielonej paszy np. koniczyny, która zanim ulegnie strawieniu, w wyniku fermentacji wytwarza gaz w przewodzie pokarmowym. Bez odpowiedniego zabiegu zwierzę ginie. Ojciec wiedział, w którym miejscu oraz jak głęboko należy nożem przekłuć skórę, aby nagromadzone pod dużym ciśnieniem gazy uszły wykonanym otworem. W przypadku nie wykonania takiego zabiegu krowę czekałaby niechybna śmierć. Dodatkowo potrafi umiejętnie wyłamywać kły warchlakom.

Na koniec krytycznych uwag o sąsiadach wspomnę o roku 1953, gdy ojciec opuszczał swoje gospodarstwo w Kojdach. Po pozbyciu się ruchomej własności, miał możliwość za nieformalną opłatą pobraną od jakiegoś upatrzonego rolnika, właśnie jego na opuszczone gospodarstwo 'zasiedlić'. Wybrał gospodarza o nazwisku Turek, któremu to gospodarstwo przekazał bez żadnych opłat z jego strony. Dla niego to była jak wygrana na loterii, bez dwóch zdań. Odwiedzamy to gospodarstwo po 30 latach. Liczyliśmy na coś przypominającego podziękowanie memu ojcu? Nic podobnego. Jedyne zdanie dotyczące darczyńcy to było: - ale wasz ojciec nie zwykł był wylewać za kołnierz. Taka to jest czasami ludzka wdzięczność. Ojciec, rzeczywiście nie wylewał za kołnierz, lecz na to były szanse jedynie w sobotni wieczór, gdy spotykał się z Bielewiczem, jedynym zaprzyjaźnionym sąsiadem. Po opuszczeniu wsi nawet taka przyjemność mu przepadła, nie był alkoholikiem bez dwóch zdań. Dożył 80 lat

Czy brzydkie uczucie, którym jest zawiść jest nieuchronna?

Dopisuję tu o współczesnych przejawach zawiści w naszym kraju. Otóż jest popierana przez Unię akcja stawiania elektrowni wiatrowych. Każdy je już widzi. Pojawiły się liczne protesty, z różnych regionów kraju napływają do władz alarmujące donosy o ich szkodliwości dla zdrowia, o nadmiernym hałasie. Ci, co się pofatygowali, żeby się pochylić nad tym problemem, doszli do następujących wniosków. Każdy może sprawdzić, jaki to hałas, raczej lekki szum. O dziwo, nie protestują ci, na których gruncie te wiatraki są zamontowane, a więc ludzie najbardziej narażeni na szkodliwość tych urządzeń. Protestują sąsiedzi, w obliczu zwykłej zawiści o kasę, jaką otrzymuje ich sąsiad za dzierżawienie kawałka swojego gruntu, a która ich ominęła. Krzyczą: 'zabierzcie te wiatraki dalej', nie dodając, bo dla nich najważniejsze to, aby te wiatraki były umieszczone poza gruntem sąsiada.

Przy okazji jakiś psychiatra powinien się zająć przejawami tak bezinteresownej zawiści. Żadnej korzyści zawistnik z przytoczonego tu przykładu nie ma (za wyjątkiem gdyby wiatrak został przeniesiony na jego grunt). Wręcz przeciwnie, sam traci, gdyż sędzę, iż bogaty sąsiad może być czasem przydatny w większym stopniu niż biedny, który może prosić o pożyczkę. Natomiast będąc bezstronnym należy zwrócić uwagę na prawne ograniczenia w nowych inwestycjach budowlanych, jakie

obowiązują w otoczeniu wiatraka. Taka inwestycja bowiem może obniżyć wartość otaczających wiatraki gruntów. Ten problem zawiści można także rozważać ogólniej w aspekcie stosunków międzynarodowych. Jeżeli w jakimś kraju źle się dzieje gospodarczo, to zazwyczaj w naszym kraju ludzie się cieszą. Natomiast spytajcie ekonomistów, co o tym sądzą. Niewątpliwie ocenią taką sytuację jako dla nas niekorzystną. Chodzi o zmniejszenie naszego eksportu do takiego kraju.

W tamtych wariackich czasach jesteśmy pod rządami prezydenta agenta Sowietów Bieruta Mało tego, gospodarza posiadającego więcej niż dwie krowy należało według centralnych wytycznych prześladować. Bierut nie przejmował się, wszak on potrzebne produkty otrzymywał. Równocześnie wyróżniali tych, którzy odstawiają dla państwa więcej płodów rolnych. Na szczęście nie wszędzie w gminach siedzieli idioci (wystarczyło ich w rządzie). Obecnie jestem posiadaczem działki pracowniczej o powierzchni niecałe 500 m². W czasach PRLu miałbym wszędzie z górki, w końcu byłbym nie małorolnym lecz mikrorolnym chłopem.

W Łukcie, naszej gminie, urzędnicy byli na poziomie i ojciec z nimi nie doświadczał wielu problemów. W naszej gminie rządzą rozsądniejsi ludzie od tych w rządzie! Jednocześnie sprzeczność z wytycznymi dotyczącymi ilości bydła i trzody, leżała w żądaniu tych idiotycznych władz o jak największe obowiązkowe dostawy żywności, w tym mleka. Wówczas przez wzgląd na braki żywności w sklepach, zmusza się rolników do dostaw pewnej ilości płodów rolnych po niekorzystnych cenach, oczywiście dla rolników. Jak się później okazało, te braki były pogłębione zmuszaniem naszego państwa z kolei do obowiązkowych dostaw do Sowietów oraz innych krajów naszego obozu. Bowiem, te kraje pospieszyły się z zakładaniem krańcowo nieefektywnych ekonomicznie kolchozów. Te oraz inne przyczyny, jak chociażby zacofana produkcja rolna, miały swoje przełożenie na braki rynkowe artykułów spożywczych. Tymczasem, gdy taki pogląd przedstawiłem bratu stryjecznemu mojej żony, który w okresie PRLu zajmował się eksportem głównie szynki, to on skorygował mój pogląd. Twierdzi, że do krajów DL nie wysyłamy wtedy produktów żywnościowych, które możemy sprzedać w krajach płacących twardą walutą. Sowietci tę naszą strategię popierają. Nasze nieszczęście polegało na konieczności odsprzedaży Sowietom uzyskanych w ten sposób dewiz. Otrzymujemy

od nich ruble transferowe w zamian. Ponoć inne kraje DL potrafiły się przed takim wyzyskiem bronić. Tam sklepy były lepiej zaopatrzone w żywność w porównaniu z naszymi.

Kto szukał sobie siedliska na Ziemiach Zachodnich?

Tak jak już wspomniałem, po przyjechaniu sądzimy, że ziemie zachodnie odebrane od Niemców, będą zasiedlone przez ludzi z transportów ze wschodu. Jednak tak nie było. Przedwojenna wieś w Polsce była nad wyraz przeludniona a miasta tego nadmiaru przyjąć nie były w stanie. Ten nadmiar runął na ziemie zachodnie. To byli pierwsi osadnicy – mieli najbliżej, nie musieli ubiegać się miesiącami o pozwolenie na wyjazd ze Związku Sowieckiego. We wsi, gdzie znaleźliśmy swoje miejsce w Polsce, tylko nasza rodzina była z zagranicy. Reszta gospodarstw została zasiedlona właśnie tym ‘nadmiarem’ z przedwojennej Polski. Co było istotne, oni przybyli pierwsi, więc mogli się zaopatrzyć w narzędzia czy meble zabierając to z innych opuszczonych gospodarstw. Zresztą także mogli wybierać siedliska o lepszych budynkach. Myślę sobie jak by wyglądał nasz kraj gdyby nie puste do zasiedlenia zachodnie obszary. Oczywiście, przez wzgląd na zabór naszych terenów wschodnich, z których ludność została przemieszczona na zachód, zwycięskie mocarstwa musiały nam te ziemie sprezentować. Dlaczego za tym nie poszło prawne odebranie własności wysiedlanym Niemcom? Taki akt uniemożliwiłby Niemcom sądowe odzyskiwanie swoich nieruchomości. Nawiasem mówiąc mimo tego przesunięcia ludności, problem przeludnienia wsi istnieje nadal.

Po upływie paru lat zostaje przymusowo w naszej wsi osiedlona rodzina ze wschodnich obszarów gdzie grasowały bandy UPA. To było, mimo różnych obiekcji natury humanitarnej, genialne rozwiązanie tego problemu, pozbawione oparcia w ludności bandy UPA i inne, wkrótce wynoszą się z Polski. Przesiedleńcy obecnie domagają się odszkodowań. Na przykładzie tej rodziny mogę stwierdzić, że przynajmniej skoro chodzi o jakość budynków to zyskali a nie stracili, trudno mi się wypowiadać o jakości ziemi. Z tego przykładu wynika, iż jedynym skutecznym sposobem rychłego zakończenia krwawych wojen z fanatykami religijnymi działającymi w pewnych obszarach Pakistanu czy Afganistanu, jest wysiedlenie

ludności z pewnych obszarów tych krajów. To jest bezprawie? Zgoda, lecz Talibów inaczej nie pokonają.

Problem wypędzonych Niemców z ziem zachodnich

Refleksja na temat wypędzonych Niemców. Piszę o tym, przez wzgląd jak gdyby na osobisty udział w tej 'akcji". W Niemczech bardzo się żałuje wypędzonych Niemców z ziem obecnie należących do Polski a przed wojną do Niemiec. Ostatnie międzynarodowe ustalenia podają wielkość strat ludności polskiej w II wojnie na poziomie z grubsza rzecz biorąc 6 milionów, Niemiec ok. 2 milionów, 1 milion wypędzonych. Mam na ten temat wyrobione zdanie, w końcu znam odczucia ludzi wypędzonych z ich własnych siedlisk. Z pierwszym takim przypadkiem spotykam się wiosną roku 1940 na Litwie, gdy wysiedła się na Syberię rodzinę mojej ciotki. Z drugim – dwa lata później, gdy do nas przyjechała rodzina stryja. Zostali wypędzeni przez Niemców ze swojego domu i ziemi, którą uprawiali. Dobytek przywieźli jednym wozem jadąc 70 km. Byli nieco przygnębieni, wszak się zwalili na utrzymanie naszej rodziny i to w okresie wojny. Nasza rodzina też została wypędzona z dobrze zagospodarowanego oddłużonego dworku pod groźbą wywiezienia na Syberię. Nietrudno wyobrazić odczucia tych trzech rodzin. Nie byliśmy agresorami ani wobec Niemców ani Rosjan. Wprost przeciwnie – to oni byli agresorami. W żaden sposób nie czuliśmy się winni. A mimo to zostaliśmy ukarani – wypędzeni ze swych domów. Z pewnością nikt nie powinien mieć wątpliwości, co do znacznej różnicy między naszymi i niemieckimi wypędzonymi.

Wracając do problemu Niemców opuszczających ziemie przyłączone do Polski. Byli winni wywołania wojny, więc ponieśli karę. Rodzaj kary wybrali zwycięskie państwa. Czy ona jest adekwatna do winy? Nie Polakom o tym sądzić. Jak przebiega proces opróżniania ziem przydzielonych po wojnie Polsce? Należy zwrócić uwagę na następujące fakty. Po pierwsze, część Niemców zostaje, którzy twierdzili, że reszta uciekła przed bolszewikami. Można to nazwać wypędzeniem w końcu, większość uciekła a dziś niezmiennie mówią o wypędzeniu (jest drobna różnica). Po drugie, czy nie powinni pogodzić się na 'wypędzenie' mając świadomość bycia sprawcą śmierci tylu milionów. Ja bym wolał być wypędzony a nie zabity. Po trzecie, jechali do Niemiec, wprawdzie zniszczonych, lecz wciąż jeszcze

bogaty. Nie jechali na utrzymanie krewnych. Mieli wsparcie od rządu oraz od zwycięskich mocarstw.

Czytałem ostatnio wspomnienia wypędzonych. Opowiadają o nad wyraz niewygodnych warunkach w pociągu w trakcie ich przejazdu na zachód. Polacy wyrywali im walizki, dla postrachu strzelali. O żadnym zabitym nie wspominają. Tu mieli do czynienia ze zwykłymi zdemoralizowanymi w czasie wojny rabusiami, podejrzewam, że nasze państwo na rabunki nie zezwalało. System ochrony przed takimi przestępstwami dopiero się tworzył. W końcu Niemcy ewentualnie posiadali prawo się bronić. A czy rozstrzeliwani w czasie okupacji niemieckiej Polacy mogli myśleć o obronie skoro to była polityka państwa?

Zresztą, na temat kosztowności zapakowanych w walizkach, czy one częściowo nie były jakoś związane z rabunkową polityką Niemiec w podbitych krajach? Czytałem niedawno wspomnienia Niemki z okolic Gliwic.

- Wojna, - powiada, - my jej wcale nie odczuwaliśmy, gdzieś daleko była, dostatnio nam się żyło do chwili aż przyszli Rosjanie. Kobietom niemieckim oczy się otworzyły dopiero po wojnie. Zaczęły mówić, że jednak rząd Niemiec był winny w tej wojnie. Jak można narażać własnych obywateli na śmiertelne niebezpieczeństwo?. Swoją drogą niewątpliwie mamy tu do czynienia z perfidią. Niemożliwe, żeby były tak ograniczone, żeby nie zadawać w czasie wojny sobie pytań w rodzaju: kto jest agresorem w przypadku zagarnięcia przez Niemcy takich małych państw jak Dania, Norwegia, Belgia, Holandia. Z trudnością można zrozumieć, że uległy propagandzie w przypadku Polski. Przecież Niemcy zostały zmuszone do obrony, skoro Francja tudzież Anglia im wojnę wypowiedziały. Aczkolwie każdy powinien zrozumieć, że małe kraje w końcu agresorami nie mogą być...

Dla Polaków wojna też była daleko a jednak żyło się w nędzy i głodzie. Niemcom, mimo prowadzenia kosztownej, z całym światem wojny, żyło się dostatnio! Ponadto zawartość walizek nie jest w 100% własnością Niemca w wagonie. Te kosztowności są jakoś powiązane z ich dobrymi warunkami życia w czasie wojny, kosztem rabunkowej bandyckiej polityce hitlerowców w podbitych krajach. Należy też nie zapominać o stosowaniu przez Niemców wypędzania rodzin w czasie wojny i

osadzanie swoich w opróżnionych mieszkaniach czy gospodarstwach. Przykładem jest los mojego wyżej wspomnianego stryja Jana. W 1942 roku zmuszony do opuszczenia gospodarstwa i nikt się go nie pytał czy ma gdzie się przenieść, nie wspominając o wspieraniu wypędzonych. Przygarnęliśmy ich. Gdyby Niemcom w wojnie się powiodło to ten proceder z pewnością by rozszerzali z aprobatą społeczeństwa. Poza tym, prowadzenie wojny na taką skalę, niewątpliwie jest ogromnie kosztowne. Na to składały się wszystkie podbite kraje. Po to zresztą zostały podbite.

A teraz przeskakuję z okresu wojennego do 2011 r. na ten temat. Nie mogę się od tego powstrzymać, w obliczu uchwały Bundestagu ustalającej dzień wypędzonych, a potem utworzenie poświęconego im muzeum. Mnie się wydaje, że nie mamy dnia upamiętniającego Polaków rozstrzelanych przez Niemców, a należałoby go uchwalić. Statystyki historyczne podają przybliżone liczby. Wystarczy pospacerować po Warszawie czy innych polskich miastach. Co raz widzi się wmurowane w budynki tablice oznajmujące 'tu Niemcy rozstrzelali 60 Polaków, tu 84 itd.'. Może warto uchwalić w odwet Bundestagowi 'dzień rozstrzelanych Polaków przez Niemców'. Drogi czytelniku, skoro będziemy cicho, to oni dalsze dni będą uchwalać. W końcu cały świat będzie wiedział o krzywdach tylko Niemców w czasie II wojny światowej, że tylko oni cierpieli, a inni wyrządzali im krzywdy. Poczekajmy nieco, a będzie dzień zabitych Niemców przez AK także. Erica Steinbach dopięła swego przez utworzenie muzeum wypędzonych w Berlinie. Przy okazji może ktoś powie, czy tam jest umieszczony też epizod z akcji wypędzania Polaków po zajęciu Gdańska i okolicy przez Niemców we wrześniu 1939? Niemcy akcje wypędzania zaczęli więc o kilka lat wcześniej! W okresie okupacji także wypędzali mieszkańców podbitych ziem, aby następnie opuszczone miejsca zasiedlać Niemcami bądź volksdeuczami. Ericę powinno się pod przymusem (z własnej woli by nie chciała) poprowadzić ulicami Warszawy, na których są zamontowane tablice o rozstrzelanych Polakach. Taki spacer koniecznie piechotą, żeby miała czas się zastanowić co to znaczy stanąć przed plutonem egzekucyjnym, spacer musiałby trwać ze 2 dni, wszak tak wiele jest tych tablic. Wyjaśniając przy tym, że większość z nich to byli przypadkowi przechodnie złapani na ulicy. My powinniśmy utworzyć muzeum pod nazwą 'Muzeum rozstrzelanych'.

Bez wątpienia bardzo zasłużony dla naszego kraju Prof. Bartoszewski w wywiadzie dla niemieckiej prasy jednak wygłasza bardzo niefortunne, kłamliwe zdanie:

- Niemców w czasie okupacji się nie bałem, bałem się Polaków.

Krytyczny głos pewnej pani na temat tej wypowiedzi w Polsce zostaje zakrzyczany:

- profesor jest ekspertem, historykiem oraz świadkiem tych wydarzeń, a pani nie zna się na tych sprawach! – krzyczą.

Trudno to komentować, gdyż się nie zna szczegółów, lecz na przykład mógł się Niemców nie bać gdyż spotkanie z nimi miało znikome szanse, bądź wygląd zewnętrzny zabezpieczał jego zatrzymanie. Profesor w czasie okupacji był raczej krótko w Oświęcimiu, później pieczołowicie chroniony przez Polaków (nie Niemców!). Powiedziałem znajomemu, który spędził okupację w Warszawie:

- wyobraź sobie człowieka z wyglądu i ubioru Żyda idącego bez gwiazdy Dawida ulicą w czasie okupacji w Warszawie. Co mogłoby go spotkać?

Odpowiedział:

- O ile miał szczęście nie napotkać bandytę czy szmalcownika, to by mógł nawet przejść przez całą Warszawę mijając setki ludzi. Bez rzadnej wątpliwości już pierwszy żołnierz bądź policjant niemiecki lub sojusznicy nie pokazywałby mu nakazu aresztowania, lecz złapałby go za kołnierz, po czym odprowadził tam skąd się nie wraca.

Bartoszewski się Niemców nie bał gdyż pewnie ich nie spotykał, a być może nie miał powodu żeby się ich bać. Raz spotkał ich i wylądował w Oświęcimiu. Miał szczęście, zwolnili go, a potem się raczej Niemcom nie narzucał, jak sędzę, pokazywał się wyłącznie Polakom i o dziwo mimo tak wielkiego, jak mówi, zagrożenia z ich strony, przetrwał. Według mnie ta jego wypowiedź utwierdziła obecnych Niemców, że oni w Polsce nic złego nie robili – w końcu sam profesor, Polak, historyk, świadek tamtych wydarzeń tak twierdzi. Zło czynili Polacy, według tego eksperta, więc za te czyny spotykała ich zasłużona kara.

Przytaczam tu inną opinię. Działania policji w Generalnym Gubernatorstwie opisuje Czesław Madajczyk w książce "Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce".

"Metody stosowane przez władze policyjne są bezwzględne, okrutne i niegodne człowieka. Obejmują łapanie ludzi w domach, na ulicach, placach, w lokalach, rozstrzeliwanie i wieszanie bez wyboru czy dochodzenia winy (zbiorowa odpowiedzialność), stosowanie katuszy w celu wymuszenia zeznań lub dla materialnych korzyści, różne wyszukane fizyczne tudzież duchowe udręki przy męczącej pracy i w warunkach sanitarnych sprzyjających chorobom i śmierci. Wydaje się, że każdy pretekst jest dobry, by Polaka okaleczyć bądź zniszczyć" – koniec cytatu. O Żydach tu nie wspomina, pewnie opis byłby jeszcze bardziej makabryczny. A Bartoszewski Niemców się nie bał....

Dodatkowo opinie ze strony samych Niemiec. Dyskusja na ten temat rozpoczęła się dopiero w latach osiemdziesiątych, gdy generacja wojenna zaczęła odchodzić z aktywnego życia. Punktem zwrotnym jest książka Christophera R. Browninga "Zwykli ludzie...", która pokazała, jak przeciętni niemieccy policjanci na wschodnich terenach Polski stawali się zbrodniarzami. Po tej, a także innych podobnych publikacjach rozpoczyna się w Niemczech dyskusja, której kulminacją jest wystawa o zbrodniach Wehrmachtu. Drugą pozycją jest książka historyka niemieckiego Jochena Bohlera „Najazd 1939”. Z dokumentów tam przedstawionych, popartych zdjęciami, wynika, że Żyd nie tylko Niemców się musiał obawiać. Polaków także, lecz na to można patrzeć przez pryzmat warunków ustalonych przez Niemców wraz z przez nich zawinioną biedą na terenach okupowanych. Tak też to jest w tej książce przedstawione.

Żeby nie było niejasności, nie jestem przeciwny różnym muzeom. Mamy też muzea dotyczące wojny, lecz powinny być tak urządzone, żeby zwiedzający je mogli wyrobić zdanie zbliżone do rzeczywistości na temat epizodów mając na uwadze, w jakich okolicznościach i uwarunkowaniach pokazywane eksponaty są umiejscowione. Wykluczony jest fałsz. Nie byłem w berlińskim muzeum, tymczasem z jego nazwy wyłazi (jak szydło z worka) jego tendencyjny charakter. Wojna trwała 6 lat a epizod wypędzania tylko kilka miesięcy. Gdyby wojny nie było, to tego epizodu nie byłoby. Zresztą sami spowodowali te wszystkie nieszczęścia, niewątpliwie

cierpieli z własnej winy. Idee głoszone przez Hitlera popierali niemal wszyscy Niemcy. Nie jestem pewien czy widzieliście to słynne zdjęcie wykonane kilka lat przed wojną. Zdjęcie około tysiąca cywilnych Niemców pozdrawiających swego wodza wyprostowaną ręką. Z całej masy wyłowiono jednego, który takiego gestu nie uczynił.

Natomiast zupełnie inaczej należy spojrzeć na tragedię ludzi rozstrzeliwanych w polskich miastach. Czasami próbuję porównywać odczucia człowieka opuszczającego swe domostwo (wypędzenie) z innym pechowcem (często kompletnie niewinnym) stojącym przed plutonem egzekucyjnym. Niewatpliwie mamy tu kolosalną różnicę. Według mnie w tamtym berlińskim muzeum powinny być umieszczone chronologicznie zdjęcia, łamanie polskich granicznych szlabanów przez żołnierzy Wehrmachtu, bombardowanie polskich miast oraz cywilnej ludności na szosach w czasie ucieczki, rozstrzeliwanie cywilnej ludności, wyrzucanie z własnych domów ludności polskiej bez przydzielania jej nowych siedlisk i na końcu wozy bądź ciężarówki wiozące wygnańców niemieckich do nowych, przygotowanych miejsc zamieszkania. Ze względu na muzeum wypędzonych Niemców, to tych ostatnich zdjęć mogłoby być sporo więcej. Czy tak to muzeum wygląda – śmiem powątpiewać.

Końcowe lata pobytu w Kojdach

Narody zjednoczone po wojnie przeznaczają różnorakie wsparcie dla rodzin zasiedlających 'ziemie odzyskane' (tak je wówczas oficjalnie zwano). To wsparcie jest kierowane głównie do repatriantów. Przez wzgląd na to, że w tej wiosce byliśmy jedynymi repatriantami, nasza rodzina w 1946 roku otrzymuje bezpłatnie wielkiego, silnego konia pociągowego z wypalonym znakiem UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration). Przywieziono go z USA. Przyjeżdżam raz z internatu, ojciec go pokazuje, lecz się martwi, że polecień w formie np. 'wio!', 'stój' czy coś w rodzaju 'prrrrr' nie wykonuje. Bata ojciec nigdy nie posiadał, bo koń ciężko pracuje, to za co go jeszcze bić, a szarpanie lejcamy nic nie dawało. Ponieważ już nieco w szkole angielskiego liznąłem, (co prawda o musztrowaniu koni nic nauczyciel nie wspomniał), to po zastanowieniu się wybieram na uruchomienie konia słowo 'go!' oraz na jego zahamowanie 'stop!' lub 'hold!'. Te komendy zadziałały!. Ten

koń nie czuł się u nas dobrze, być może mu obrok nie odpowiadał. Pracował bez sprzeciwu. Nie reagował na obwężywanie (przywitania) przez inne konie. Trzymał łeb zwieszony. Pożył u nas około 4 lata. Gdzieś czytałem o prowadzonych w USA badaniach psychiki koni. Mnie się wydawało, gdy ze stajni brało się konia, najczęściej do ciężkiej pracy, to pozostający w stajni koń śledząc odchodzącego towarzysza, jest raczej zadowolony, że to nie jego biorą do pracy (tak by nie jeden człowiek odczuwał). Tymczasem badania wykazały zgoła inny wynik. Pozostający koń czuje się zbędnym, odtrąconym, z tego powodu wpada w coś w rodzaju depresji. Zwłaszcza, jeżeli to się zdarza często.

A swoją drogą przy okazji należałoby podkreślić znaczącą rolę, jaką UNRRA odgrywała w zapewnieniu środków utrzymania w zniszczonym kraju, dlatego organizacja ta zyskała sobie w Polsce żartobliwe określenie "ciocia UNRRA". Należałoby tylko zbadać, jaka część tej pomocy trafiała do tych, dla których była przeznaczona.

Moje udogodnienia w pracy na wsi

Do tego epizodu czasami w myślach wracam. Nigdy nie uważałem i chyba reszta rodziny także, że te 7 lat spędzonych na warmijskiej wsi zostały jakoś zmarnowane. natomiast praca na 8 hektarowym gospodarstwie nie jest wówczas łatwa. Odczuwam to na własnej skórze zwłaszcza latem. Dlatego, jako przyszły fizyk, staram się wprowadzać udoskonalenia aby zaowocowały ułatwieniem tej harówki. Nie jest to zadanie łatwe, rolnicy wypracowali przez wieki pewną technologię produkcji żywności oraz innych prac z życiem na wsi związanych. natomiast te procedury nie są skostniałe. Na przykład zmieniają się w miarę wynalazków nowych narzędzi. Ojciec czasami się sprzeciwia moim pomysłom, w końcu sąsiedzi mogliby szydzić gdyby innowacja się nie powiodła. i tak szydzili, nie brakowało bowiem powodów. Wystarczyło nieco inaczej prace wykonywać, nie tak jak ich ojcowie uczyli. Czasem mają rację.

Moje usprawnienia były czynione pod kątem zmniejszania uciążliwości prac polowych. Nie miały charakteru nowinek technicznych, lecz bym to określił tak: jeżeli czegoś można nie robić, to nie należy tego robić na siłę'. Oto próbki usprawnień:

rolnicy po skoszeniu owsa wiążą rośliny w snopki. Nalegałem, żeby nie wiązać w snopki, lecz po bezpośrednim skoszeniu kosiarką owsa, układać go w postaci stertek, jak siano. Tak też czynimy mimo oporów ze strony ojca (ten etap pracy do niego nie należał, on kosił zboże kosiarką). Odpadło mozolne, praco-czasochłonne wiązanie każdego snopka, a były ich setki. Usiłowałem ojca przekonać, aby to samo czynić z żytem. Wszelako napotkałem na zdecydowany sprzeciw. Kto to słyszał, żeby żyto traktować jak siano? Mieliśmy więc, mnóstwo mozolnej pracy przy wiązaniu każdego snopka, żeby następnego dnia go rozwiązywać. Stosowaliśmy do tej czynności sznurków pozostawionych przez Niemców, bowiem oni mieli snopowiązałki, które zabrali do Rosji Sowieci. Szpule sznurków zostawili (może nie wiedzieli, że te dwa przedmioty są ze sobą powiązane?). Snopki zatem wiązemy sznurkami i to jako jedyni we wsi tak czynimy.

Rolnicy zboże zwożą do stodoł a potem je młócą aż do Świąt Bożego Narodzenia, wszyscy chodząc z pomocą kolejno od jednego do drugiego sąsiada. Tym ostatnim ubywa w międzyczasie ok. 20% plonów z powodu myszy. No i ciężka praca: raz wyładowywanie z fur drugi raz wrywanie zleżałych w stodole snopków zboża, wrzucanie ich do młockarni i składowanie słomy zwykle na zewnątrz stodoły, bowiem ona jest zajęta przez zboże, a potem przenoszenie słomy z powrotem do stodoły, słowem koszmar. Przy tym pracowało mnóstwo ludzi. Dzięki mnie upraszczamy proceder. Pomysł powstaje dzięki zbiegowi okoliczności związanej z pozostawionej przez Niemców w naszej stodole młockarni. Zatem z pola wozimy zboże bezpośrednio do młockarni. Na młockarni stoi ojciec ja do niego z przed chwila przywiezionej fury rzucam zboże, Genek wyrzuconą przez młockarnię słomę przenosi do wolnego miejsca w stodole. Stodoła jest pusta bez zboża, bowiem ono chwilowo jest na polu, a więc nie brak wolnego miejsca na tę słomę. Po wymłóceniu jednej fury następuje przerwa w młóceniu, jedziemy po kolejną porcję i itd. Po zakończeniu żniw, które trwają parę dni dłużej niż u innych, mamy praco-chłonną młockę z głowy. Straty powodowane przez myszy są też minimalne.

Inni rolnicy nie korzystają z moich usprawnień, bo twierdzili, jakoby zboże musi uleżeć się w stodole i ziarno musi się wysuszyć. Nawiasem mówiąc, dziś taki proceder jest stosowany za pomocą kombajnów i jakoś problem suszenia zboża nie

występuje. Nasze zboże po wymłóceniu było suszone na podłodze w spichrzu. Taką technologię mogli stosować tylko posiadacze młockarni, a takich było we wsi tylko trzech. Chociaż, po ukończeniu tej procedury u jednego gospodarza, młockarnia mogłaby pojechać do kolejnego itd. Tak się dziś dzieje z kombajnami, wykonują pracę po kolei, niektórzy muszą nieco poczekać ze żniwami.

Zboża ojciec nie siał zbyt wiele. Część arealu przeznaczał na buraki cukrowe. Ta uprawa jest kontraktowana z cukrownią i jest bardziej opłacalna niż zboże. Równocześnie nie mało ziemniaków ojciec uprawia. Poniemiecka mechaniczna, ciągnięta przez konie koparka do ziemniaków nad wyraz pracę ułatwiała. Aczkolwiek przy kopaniu buraków i ziemniaków już nie brałem udziału. Byłem w szkole. Ziemniaki głównie były przeznaczane na karmę dla świń. Poniemiecki parnik gotujący ziemniaki w sposób sprawny i wydajny, był w ciągłym użyciu.

Grochu też nieco siał, dzięki temu mamy nieraz grochówkę z boczkiem. Pewnie nie wszyscy wiedzą o wartości odżywczej tej potrawy. Po czym takim drugie obiadowe danie jest zbędne. Mniej kuchceni. Przy okazji dodam ciekawostkę, o której nie wszyscy wiedzą. W średniowieczu w Europie był problem z wyżywieniem ludności. Dzięki wyprawom w zamorskie krainy zaczęto początkowo na wyspach brytyjskich a później na kontynencie uprawiać ziemniaki i fasolę. Te produkty problem żywnościowy poprawiają. Fasola w znacznej mierze może zastąpić droższe mięso. Może groch też?

Stosowanie coraz to bardziej skomplikowanych maszyn nie jest zbyt bezpieczne. Zwłaszcza wśród nieprzeszkolonych w zakresie BHP rolników. Nasza rodzina zdołała uniknąć groźniejszych wypadków. Natomiast zdarzały się skaleczenia, zadrapania bądź inne dolegliwości, jednak tym specjalnie się nie przejmowano. Mimo, że wiemy o poważnych niebezpieczeństwach dla zdrowia. Chociażby tężec. Ponadto na wypadki są narażone zwierzęta. Należy na to być uczulonym. Chociażby taki przykład. Przed koszeniem zaprzęzoną w dwa konie mechaniczną kosiarkę, ojciec pozostawia na dziedzińcu i na chwilę wchodzi do domu. Konie skubiąc trawę obracają się w kierunku z górki, kosiarka rusza na konie kosząc nie tylko trawę lecz też niestety kalecząc nogi jednego z koni. Uciekając przed tą maszyną konie ruszają przez dziedziniec galopem a kosiarka wciąż kaleczy im nogi. Makabra! Na szczęście

wszystko się zatrzymuje gdy kosiarka usiłuje kosić róg ceglanej obory. Ogromny żal nas ściska na widok tylnych nóg jednego z koni z poprzecinanymi ścięgna. Leczenie trwa parę miesięcy. Drugi koń był poza zasięgiem ostrzy, jest poobijany i jakiś czas kuleje. Ta maszyna jest niezwykle niebezpieczna. Niemało wypadków zdarzało się podczas pracy z nią. Media o tym donoszą gdy dotyczy wypadków z ludźmi. Często dotyczy to bawiących się w zbożu dzieci, słabo widocznych dla kosiarza.

Rodzinne spotkania w Kojdach

Niezapomniane są wówczas zjazdy rodzinne w Kojdach w okresie świąt tudzież wakacji. Teraz z komunikacją nie mamy najmniejszych problemów, nie tak jak na Litwie. Małachowscy z Elbląga, Micewiczowie z Olsztyna przyjeżdżali do Kojd w każde wakacje a nieraz w święta także. Kolejowe połączenie nas zbliża. Raz odwiedzają nas bardzo dawno niewidziani Makowiczowie z Warszawy. Na początku, gdy Staś jeszcze do szkoły nie chodzi ciocia Lusja z nim przyjeżdża już w czerwcu. Staś ma świeże powietrze, jak też okazji do bezustannego ruchu. Jest bezpieczniej niż w mieście. Organizujemy wycieczki nad rzekę względnie do lasu. Moja mama z jej siostrą Łucją zajmują się w tym czasie solidarnie gospodarstwem, posiłkami, sprzątnięciem. Ponoć nie było powodów do narzekania.

Sytuacja nieco ulega zmianie po rozpoczęciu się szkolnych wakacji. Wówczas obowiązkowo 'zwalają' się Małachowscy z Elbląga (6 osób). Dla nas młodzieży jest weselej. Zaczynamy od wypychania sianem materacy do spania. Kładziemy je pokotem na podłogi, bo łóżek brak. Niestety moja mama i jej siostra Łucja mają mnóstwo dodatkowej pracy. Pomaga im ciocia Jadzia z Elbląga. To nie było tak stosunkowo łatwo jak teraz w mieście, gdy większość produktów się kupuje i po kłopotcie, jeśli chodzi o wyżywienie. Tam wiele potraw należało w znoju wytworzyć na miejscu. Mamy więc w sumie przynajmniej 15 gąb do wykarmienia. To niewątpliwie jest kosztowne. Należy tu podkreślić, że ta rodzina mojego stryja Jana jest od samego początku przyjazdu do Polski dość majątna. Bowiem, przed opuszczeniem Litwy sprzedają 12 ha gospodarstwo z murowanym 10 letnim domem, oborą, stodołą, cały zestaw do młócenia zboża, narzędzia rolnicze, bydło. Po przyjeździe do Polski otrzymują tak jak my nieodpłatnie umeblowane poniemieckie mieszkanie,

nie na wsi lecz w mieście Elbląg. Gdy przyjeżdżają do nas na wieś nie krępowali się, w końcu wszystko co spożywali nie jest kupowane. Nasze zapasy w postaci wędzonych kielbas szybko znikają. Śniadania i kolacje to pieczywo z produktami mlecznymi. Obiad składał się z pożywnej zupy z kawałkami mięsa i jakiś deser. Tymczasem wówczas ja do Olsztyna na targ nie mam, co wozić, co skutkuje brakiem możliwości odłożenia nieco gotówki na okres naszego pobytu w szkole i na studiach... Czasami chciało się zaprosić koleżankę do kawiarni. Nic z tego.

Ponadto, nasi krewni nie mają zwyczaju pomagać przy pracach w polu ani dokładać się do wyżywienia. Mogliby jakieś puszki z żywnością poprzywozić, dla urozmaicenia. natomiast panuje pogląd, czego jak czego ale z miasta na wieś żywności się nie wozi. Stryj Jan uwielbiał pochłanianie znacznej ilości jajek – ponad 10 dziennie. Tyle ile nasze kury zdołały znieść. Jego skłonność do jajek była związana z prowadzeniem kurzej 'farmy'. Ale my takiej farmy nie mieliśmy, nie widział tego czy jak? To czynił na Litwie jak i potem w Polsce. Był znany z tego, że u siebie rano jednorazowo spożywał 15 gotowanych jajek. Wszak tylko taka ilość mogła go nasycić aż do wieczora. Gdy widzę w TV w krajach zachodnich odbywające się zawody w ilości zjadanych w ciągu godziny jajek, wciąż mi się przypomina stryj Jan. Ich rekordy sięgają około 30 jaj. Stryj musiałby się bardziej postarać i nie wykluczone szanse w tych zawodach, powiedzmy na podium. Czy to mogło przełożyć się na jego przedwczesną śmierć, trudno wyrokować.



Od prawej: Jan Małachowski, Jarek jego syn a mój stryjeczny brat, Luśka moja siostra, Genek mój brat, Rysiek mój stryjeczny brat, Janusz Małachowski, Iwona stryjeczna siostra, Maryna siostra, ciocia Lusja Micewicz, stryjenka Jadwiga, moja mama, Staś Micewicz brat cioteczny, mój ojciec, Wanda stryjeczna siostra (rok 1949).

Bardzo ciemne, bez flesza wykonane zdjęcie naszej rodziny wraz z krewnymi spędzającymi swoje wakacje w malowniczej warmińskiej wsi Kojdy. Z jednej strony tyle osób należało jakoś wyżywić i noclegi im urządzić w czasie całych wakacji. Z drugiej strony z pewnością nikt się nie nudził.

Wówczas o cholesterolu się nie wspominało. Raczej uważano spożywanie jajek, jako zdrowy sposób odżywiania się. natomiast stryj nie pił i nie palił, co wówczas było rzadkością. Jednocześnie nadmieniam, iż wykazano dobroczynny wpływ spożywania jajek. Sami osądźcie: w jajku muszą być zawarte wszystkie składniki niezbędne do wykształcenia żywego organizmu, jak mózg, kości, nerwy itd. Jednak bez przesady - jedno jajko dziennie. Ciocia Jadwiga natomiast była niezastąpiona i pomocna w codziennym przyrządzaniu posiłków dla pracujących w polu rezydentów naszego domu. Gdy stryj wyjeżdżał codziennie mieliśmy przez wszystkich lubianą jajecznicę na skwarkach z cebulką, nieco posoloną. To była pycha i z pewnością sycące danie.

Przepraszam za mój brak gościnności, lecz staram się opisywać fragmenty z naszego życia w sposób, jaki mi utkwił w pamięci i jak to w tamtym momencie widzieli moi rodzice. Nie zamierzam tu przemycać fałszywego obrazu.

Zwłaszcza mama i jej siostra Lusja nie są wówczas zbudowane taką sytuacją. Mogły głęboko odetchnąć z chwilą ich wyjazdu pod koniec sierpnia. My młodzież patrzymy na to inaczej, w końcu ubywało nam towarzystwo do zabaw. Swoją drogą, można byłoby sytuację złagodzić, wszelako wtedy należałoby przeprowadzić krępujące negocjacje. Z tego co pamiętam, negocjacja się nie odbyła. Żeby już nadal o tym nie pisać, nadmienię, że w Elblągu im się wówczas nieźle powodzi. Dowodem tego, były sporej wartości łupy złodziei, którzy się do ich mieszkania włamali, gdy rodzina przebywała u nas. To dla nich była tak bolesna strata, że ciocia Jadzia, która poprzednio nic o tych zasobach nie mówiła, w końcu nie wytrzymała i musiała mojej mamie z siebie to wyrzucić: - zabrali futra, ubrania, pościel, bieliznę kupę kasy, tak 'dobrze ukrytej' w szafie pod stertą pościeli. To wyznanie stawia w innym świetle sprawę nieodpłatnego korzystania z dwumiesięcznych 'wczasów', raczej u niezamożnej naszej rodziny. To były całe 2 miesiące w czasie wakacji i kilkudniowe przyjazdy w okresie świąt także. O ich zasobach nie mieliśmy pojęcia.... Gdyby rodzice nie zrezygnowali z Kojd, ta sytuacja trwałaby jeszcze jakieś 10 lat. Po tym okresie dzieci moich rodziców dochowały się swoich dzieci, a tego towarzystwa było niemało. Gdybyśmy tam urzędowali, powiedzmy do lat siedemdziesiątych, to musielibyśmy im wysłać uprzedzenie w rodzaju: - 'sorry Elbląg, ale już brak miejsca. Nowe pokolenie z dziećmi zważyło się'... Przepraszam, to jest takie sobie ple, ple, ple.

Moja żona, gdy to przeczytała, stwierdziła, że ten cały opis krytycznego spojrzenia na przyjazd gości należy usunąć. Jest to dowód braku gościnności. Może ma rację. Ale co tam, nie usunę i już. Może jakaś miejska rodzina jadąca do wiejskich krewnych – zreflektuje się, ku obopólnej korzyści. Natomiast, gdy zaproponowałem żonie, aby zaprosiła którąś z krewnych rodzin z dziećmi na całe wakacje do naszego warszawskiego mieszkania, to zauważyłem u niej brak entuzjazmu. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – stara prawda, którą już wyżej przytoczyłem. Faktem jest, że karmiliśmy ich za friko w nielekkich powojennych latach.

Stryjostwo biednieje po śmierci głowy ich rodziny, mego stryja Jana. Umiera nagle na wylew w wieku 55 lat. Począwszy od tej chwili, stryja rodzinę wspieramy finansowo. Chciałbym tu zaznaczyć, że raczej nie rozmawiamy w swojej rodzinie o tych sprawach. Te bolączki odżyły z chwilą, gdy się w innej sprawie z tą rodziną skłócamy. Wówczas te wspomnienia powracają. Zaznaczam tu, skłócenie nie dotyczyło wszystkich członków rodzin, tylko seniorów. Związane to było z odmową przyjęcia przez moich rodziców ich syna Ryśka jako sublokatora, w okresie gdy mieszkali w kawalerce w Nowej Hucie. Raczej bym nie obwiniął rodziców, w końcu to Rysiek po znalezieniu pracy w Nowej Hucie gnieździ się pół roku z moimi rodzicami w ich kawalerce (pokój z kuchnią i łazienką). Decyzja odmowna moich rodziców całkowicie ich usprawiedliwia. natomiast bardzo uraziła dumę cioci Jadwigi, matki Ryśka.

Piękna okolica, las, rzeka Pasłęka wszystkich to cieszyło. Wówczas parobków nie trzymamy, wszelako należy zaznaczyć, że z uwagi na niewielki areał ziemi (8 ha), odłogów nie ma. Nawet na tak małym gospodarstwie, pracy jest mnóstwo w tamtych czasach, a być może i w dzisiejszych, mimo maszyn. Sytuację finansową rodziny ratuje niewielka, lecz comiesięczna nauczycielska pensja naszej Mamy, regularne codzienne odstawianie do mleczarni mleko, buraki cukrowe, świnie itd. Dzięki temu możemy kontynuować rozpoczętą na Litwie edukację. W czasie wakacji oraz ferii wytwarzamy masło, sery, śmietanę, jajka. Wożę to wszystko do Olsztyna na targ (30 km), raz na tydzień. Mam tam stałych klientów.

Tak jak już wspomniałem, nieraz żałowaliśmy porzucenia Kojd przez rodziców. Po założeniu swoich rodzin moglibyśmy z dziećmi zjeżdżać się tam. Miejsca było niemało, dom wielki murowany. Rodzice z moją o 13 lat młodszą siostrą zajmowali kuchnię i 2 pokoje. Po likwidacji szkółki, na parterze łącznie są 3 duże pokoje oraz jeden mniejszy, dwa korytarze z dwoma wyjściami z domu. Na piętrze są 4 małe pokoje i dodatkowe 4 z ukośnym sufitem pokoiki na poddaszu. Czyli miejsca na kilka

rodzin! Latem okolica o pięknej scenerii, zimą też trochę atrakcji by się dało wymyślić: sanki, kuligi, spacery, a nawet narty dla początkujących. Z drugiej strony innego wyjścia wówczas nie było, to też rodzice rezygnują z tego wszystkiego i powędrowali do Nowej Huty, gdzie od paru lat mieszkał i pracował ich syn Genek. Obecnie są emerytury rolnicze, gdy się ziemi zrzeknie. Wówczas tego nie było.

16. SZKOŁA W OLSZTYNIE 1946/47 r.

Pierwszą klasę szkoły średniej kończę w Olsztynie uczęszczając do męskiej szkoły ogólnokształcącej na ulicy A. Mickiewicza, będąc wówczas na stacji u Micewiczów, rodziny mojej cioci, siostry mamy. To była moja pierwsza styczność ze szkołą w Polsce. W tym przypadku, nie odczuwałem tremy przy wchodzeniu pierwszy raz do klasy, gdyż była to pierwsza gimnazjalna, więc niemal wszyscy byli sobie obcy. Tuż po wojnie edukacja dziewcząt i chłopców w szkołach średnich odbywała się oddzielnie. Nie wiadomo, jaka była tego przyczyna i kto za tym stał, być może kościół. Na Litwie w szkołach średnich panował identycznie idiotyczny system. W 1947 roku, gdy jestem już w Morągu mamy w klasach dziewczyny także (na budynku szkolnym pojawia się dodatkowe słowo 'koedukacyjna szkoła'). W okresie korzystania ze stacji, Micewiczom częściowo rewanżuję się przywożąc, jakieś produkty żywnościowe (mleko, masło, śmietana, kielbasy wiejskie bądź świeże, solone czy wędzone kawałki wieprzowiny, słoninę, warzywa, jajka). Co tydzień odwiedzałem rodziców jadąc do nich w sobotę i wracając w niedzielę. Wówczas weekendy mieliśmy zdecydowanie krótsze, bowiem zajęcia w szkole odbywały się także w sobotę. W tamtych czasach koszty związane z wyżywieniem stanowią 80% średniego uposażenia.

Przedtem, do września, jak wspomniałem, dużo czytałem, korepetycje z polskiego też pomogły. W Olsztynie niewiele przykładam się do nauki. W sumie wystarczyło to, co usłyszałem w klasie. Jak wspomniałem, w litewskiej szkole w ostatnim roku mnie oceniano źle. Do szkoły musiałem uczęszczać, ale w domu żadnych zadań nie odrabiałem, otrzymywałem za to dwójkę. Bez dwóch zdań, naukę szkolną olewałem,

będąc ‘jedną nogą’ w transporcie do Polski. Tu sytuacja się zmienia – dwóje zniknęły. Wszelako nie odbiegają od trójki. Jest kilka przyczyn tego stanu. Czteroletni Staszek był nad wyraz towarzyski, miły dzieciak, lecz przy nim odrabiać lekcji się nie dało (a może się nie chciało, nie zapamiętałem jak było). Już nie pamiętam, czy go nie puszczano samego na dwór, czy też za tym nie przepadał. Początkowo zna słabo polski. Trudno by mu było dojść do porozumienia z rówieśnikami. Taka sytuacja była około roku po ich przyjeździe, jeszcze się nie nauczył polskiego, z rodzicami po litewsku ze mną po litewsku, z gośćmi też w tym języku, więc to jest trochę dziwne, lecz przed szkołą jednak opanowuje polski. Aha, gdy wpadają z mamą do Kojd to tylko polski język, może to miało wpływ.

Słowem, tak jak na Litwie, z przyzwyczajenia, w Olsztynie także niemal lekcji nie odrabiam, więc w szkole zbieram same trójki. O nauczycielach w olsztyńskiej szkole niewiele jest do powiedzenia, żaden mi nie utkwił w pamięci oprócz może nauczyciela angielskiego. Był to starszy wiekiem wolontariusz ze Szkocji. Ani słowa po polsku. Dyrektor go przedstawiając mówi do nas:

- ten pan nie zna polskiego jest wiekowy, więc się polskiego nie nauczy, tak czy inaczej nie macie wyboru, jesteście sporo młodszy, więc wy musicie się nauczyć angielskiego!

To było logiczne, gdyby nie było w klasie jednego ucznia, który wrócił po wojnie z rodziną z Anglii oraz zna ten język. Majewski odgrywa, więc rolę tłumacza, co przełożyło się na raczej nieznaczną naszą znajomość angielskiego, nauczyciel też się polskiego za wyjątkiem ‘czyndobry’ nie nauczył. Lekcje religii prowadził ksiądz o nazwisku Małachowski. Wszystkich do odpowiedzi wzywał wywołując nazwiska a mnie zwał Michał. Mówił, że mu niezręcznie swoje nazwisko wywoływać.

Drugą przyczyną nie przykładania się do nauki w Olsztynie jest Andrzej Strzelecki. To jest wówczas dobry przyjaciel z klasy, z którym często włączymy się po mieście, trochę boks trenujemy. On przyjeżdża do mnie na wieś, żeby popracować w polu, tylko za wikt z opierunkiem. Motywował się, wskazując na wpływ pracy na roli na wzrost siły jego mięśni, pewnie też na wzmocnienia kości. Na liście spisu nazwisk uczniów w klasie tuż przed moim nazwiskiem było nazwisko

Zbigniewa Makomaskiego, późniejszego znanego olimpijczyka 400 a głównie 800-metrowca z naszego tzw. wunderteamu lekkoatletycznego. Wówczas oczywiście nie był celebrytą. Ja urodzony w 1931 r. on też, ja w lipcu on też, ja 6 on 15-go, ja w miejscowości Eikiniszki, on w Pudiszki. Mieliśmy wówczas po 15 lat. W czasach szkolnych był szczupłym chłopcem raczej słabym fizycznie, czy naukowo także - nie pamiętam. Uwielbia mnie zaczepiać na przerwie. Wyglądało to tak: podchodził szturchnął mnie, po czym uciekał. Dlaczego właśnie mnie wybiera do tych zaczepek? Pewnie to było związane z tym, że nigdy z tego powodu nie obrażałem się. W końcu dobrze jest nieco się rozruszać w czasie przerwy. Dla niego to było niebezpieczne, mógł oberwać, a nawet mieć siniak, ale zawsze umiarkowanie, to była forma zabawy. Lecz miał szczęście, nie byłem w stanie go dogonić, zresztą nie tylko ja. Nieco żartem można określić go jako typ człowieka, o którym nasi przodkowie mówili:

- nigdy się go nie bój, gdy go masz przed sobą i nigdy mu nie ufaj, gdy go masz za plecami.

Należało się go pilnować. To przypomina psa, który nie rzuci się na ciebie, dopóki mu patrzysz w oczy, oczywiście nie mam tu intencji go porównywać do złego psa, wręcz przeciwnie, był miłym chłopcem. Ale przynajmniej nieco na przerwach pobiegaliśmy. Niewątpliwie więc w pewnym stopniu przyczyniłem się do rozwinięcia jego talentu w biegach. Widząc, że nikt go dogonić nie jest w stanie, zaczyna trenować biegi, powiedziałbym profesjonalnie, w wyniku czego, niebawem stał się biegaczem światowej klasy i sławy. Jak przypuszczam, w owych czasach łatwiej było osiągnąć w sporcie klasę światową niż w czasach dzisiejszych. On chyba zdobył medal olimpijski. Na żywo jeden z jego wyczynów zapamiętałem z meczu lekkoatletycznego Polska-USA na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Pokonał wówczas zawodnika USA - złotego medalistę olimpijskiego, którego w owych czasach nikt nie jest w stanie pokonać. To było na tyle niewiarygodne, że zagraniczne agencje sportowe domagały się sprostowania tej wiadomości. Byłem wówczas na stadionie. Trochę się o Zbyszku rozpisalem, lecz zapewne mu się to należy – dał parę razy nieco radości narodowi w tamtych, niezbyt wesołych czasach.

Wspomniany wyżej, Andrzej z Olsztyna jest moim pierwszym przyjacielem w Polsce. Chodzimy do tej samej klasy szkoły średniej. Wracamy ze szkoły tą samą trasą. Świeżo przybył z matką i bratem z zesłania na Syberię. Ojca oficera rozstrzelali w Katyniu.

Uzupełniając w 2011 r., nie mogę się powstrzymać od zanotowania z tym związanego faktu. Otóż wiceminister Putina utajnił akta, jak to nazwał 'z wydarzeń katyńskich'. Nawet się nie zapoznał z ograniczonymi dokumentami dotyczącymi tej sprawy. Dowiedziałby się nie tylko o Katyniu, ale dodatkowo o paru innych miejscach oddalonych od Katynia jak np. Starobielsk, Ostaszków, może przy okazji coś o Łubiance... Któryś z ich przywódców nawet próbował usprawiedliwić tę zbrodnię. Według niego została ona popełniona w czasie zawieruchy wojennej. natomiast kiedy ich rozstrzeliwano w 1940 roku, wojny nie było! Pewnie wspomnianą przez niego zawieruchą nazwał tę, którą Finowie im urządzili, no to przepraszam – miał rację! Tymczasem to miało miejsce po zagarnięciu znacznych obszarów Polski, całych krajów bałtyckich, nie gardząc też częścią Rumunii. Oczywiście Sowieci musieli nie wąsko się wzbogacić. Dzięki zdobyciom niemal bez walki, błogo odpoczywali aż do czerwca 1941 roku. W tym czasie intensywnie zajmowali się represją ludności w zdobytych prawie bez walki terytoriach Europy. Wywózka na Syberię była intensywna, a wywiezieni byli morzeni głodem. Nawet, jeżeli przyjmujemy trudności aprowizacyjne w tym raj, to i tak powstaje pytanie: skoro nie jesteście w stanie wyżywić to, dlaczego wywozicie tych ludzi? Zostawcie ich, a z pewnością sami się wyżywią! Tak jak nasz rząd za czasów ministra Urbana.

A więc wówczas całymi popołudniami rozmawiamy o różnych sprawach oraz włączymy się z Andrzejem po Olsztynie. Przyjaźń rozpoczyna się nietypowo, w pierwszych tygodniach chodzenia do szkoły kłócimy się o coś. Zaskakuje mnie sposobem rozstrzygnięcia sporu, zamiast założenia się np. o 10 zł. następnie szukania prawdy, proponuje pojedynek na pięści i to publicznie na boisku po lekcjach. Nie do końca byłem przekonany do takiego rozwiązania. Osobiście problemów nie szukałem, zwłaszcza na samym początku uczęszczania do polskiej szkoły. Sobie myślę, wystarczy mi bójkę w litewskich szkołach nie muszę to

kontynuować, a na to się zanosi niestety, gdyż odmowa niechybnie oznaczałaby tchórzostwo.

On był na Syberii zaprawiony w takich bójkach, tego się spodziewałem. natomiast o moich doświadczeniach pod tym względem, pewnie nie wiedział. Wszak nieraz w szkołach litewskich musiałem staczać bójki (prześladowali mnie za narodowość). Bez obaw przyjąłem propozycję, wszak był niższy ode mnie, o krótszym zasięgu ramion, myślę - nie będzie w stanie mnie specjalnie sponiewierać... Ja 15 lat on lat 16.

Tak się rozpoczęła moja przyjaźń z Jędrkiem

Ogłosił to w klasie. Pojedynek odbył się na szkolnym boisku tuż po lekcjach. Koledzy obstąpili nas kołem, pojedynek trwał kilka minut, on był szybszy, lecz go



kontrowałem, z nosa mu pociekła krew a potem mnie także, co kończy spór nieroztrzygnięty. W końcu nadszedł czas na zatamowanie krwi. Bez dwóch zdań musieliśmy i tak przerwać, pojawiła się bowiem, nasza

wychowawczyni nauczycielka polskiego, która zobaczyła na boisku grupę mocno hałasujących uczniów. W rezultacie, musieliśmy się stawić jutro przed dyrektorem. Czy świat widział takie rzeczy? W końcu na Litwie znacznie częściej tłukłem się i to na przerwach w klasie. Nigdy z tego powodu nie było problemów z nauczycielami. Gdyby litewski uczeń się poskarżył, musieliby mnie ukarać, na odwrót – nie musieliby. No, ale tu były inne zwyczaje. Powiedziała, że pewnie nas dyrektor usunie ze szkoły.

Wracając razem ze szkoły umawiamy się trzymaniu się następującej taktyki. Przyjechaliliśmy z takich krajów gdzie takowe postępowanie nie jest karalne. Andrzej

na końcu proponuje, żebyśmy od tej chwili byli przyjaciółmi. Nie widziałem takiej możliwości. Nie mam ochoty ciągle pojedynkować się z powodu różnic zdań.

Tak czy owak, nazajutrz bezwzględna nauczycielka nas prowadzi do dyrektora. Jest to w średnim wieku ubrany w garnitur z krawatem lekko łysiejący brunet. Nie wygląda groźnie, ale groźba wydalenia ze szkoły nas denerwuje. Pyta:

- A więc, co ta dwójka nicponi przeskrobała?

Nauczycielka oskarża nas:

- Po lekcjach na szkolnym dziedzińcu tłukli się, jak chuligani jacyś! Dodatkowo zrobiło się zbiegowisko naszych uczniów. Dali niezły przykład uczniom.

- Dziękuję pani. Porozmawiam z nimi sam.

I do nas:

- Nie będę tolerował bójek w tej szkole, skoro chcecie się bić, to nie tu. Radzę żebyście jednak, też gdzie indziej się nie bili. O ile nie posłuchacie mnie, to wyrośnięcie na bandytów. Co macie do powiedzenia?

Zaczyna Andrzej a potem ja. Mówimy mu tak jak uzgodniliśmy. Ja przytaczam moje 'boje' z litewskimi szowinistami on natomiast z rosyjskimi chłopcami w kołchozie na Syberii. Zauważamy u dyrektora wzruszenie zwłaszcza w obliczu ważności Andrzeja syberyjskich przeżyć (może sam tam był, bądź ktoś z rodziny). W rezultacie spotykamy się ze zrozumieniem! Bez 'kazania' oczywiście się nie obeszło. Powiedział, żebyśmy od bójek stronili nie tylko w szkole lecz i w innych miejscach, w końcu uczniom szkoły średniej takie zachowanie nie pasuje. Było to jesienią 1946 roku.

Po pewnym czasie, mimo niedawnej utarczki, stajemy się z Andrzejem nierozłączni. Już nie tłuczemy się, a na przerwach chodzimy po korytarzach, razem też do domu i ze szkoły. Chodzimy też na treningi bokserskie. W szkole to zauważono, nazywają nas ojciec z synkiem (byłem wyższy od niego). Jak wspomniałem, po mojej propozycji przyjeżdża do nas na wieś na wakacje, żeby fizycznie popracować wraz ze wzmacnianiem mięśni oraz kości. Po roku w

Olsztynie przeniósłem się na dalszą naukę do Morağu. To nie zerwało naszej więzi, przed każdymi wakacjami przyjeżdżałem do Olsztyna żeby go zaprosić do Kojd. Przyjaźń trwała parę lat. Jednak i ta przyjaźń się urwała. Jeden miesiąc mnie nie było w czasie wakacji w domu, wyjechałem bowiem na obóz sportowy koło Sulejowa. Wówczas nie było komórek, on nie wiedząc o tym, przyjechał do Kojd. Nie zastawszy mnie, wrócił do Olsztyna, żeby się więcej nie pokazać.

Dziwiło mnie jedno, mimo nagabywania o szczegóły dotyczące jego zsyłki na Sybir, zbywał mnie paroma zdaniem, bez żadnych szczegółów dotyczących pobytu na zesłaniu (za wyjątkiem paru zdań dyrektorowi szkoły), ani też, dlaczego jego ojca taki los spotkał. W takiej samej sytuacji było w olsztyńskiej klasie jeszcze rodzeństwo, też nic nie chcieli mówić. Ponoć ich nastraszyli, żeby nic nie opowiadali, bowiem ponownie wywozą. Andrzej tylko opowiadał o chwilach tuż po przyjeździe do Polski. Otrzymali zapomogę pieniężną, ale przede wszystkim byli miłe zaskoczeni okazywanym współczuciem wraz z chęcią wsparcia ze strony zwykłych ludzi tudzież obsługi sklepów. Kilka dni po przyjeździe, najczęściej nie musieli za produkty żywnościowe płacić. Wobec tego, czego doświadczyli na Syberii, to było bez żadnej wątpliwości miłe zaskoczenie, bez dwóch zdań.

Należy też zwrócić uwagę na potwierdzony fakt wywożenia na Syberię raczej rodzin stosunkowo majątnych. W końcu jest powszechnie wiadome, iż Sowieci biedne rodziny uważali za swoich sojuszników, więc tę kategorię ludzi nie wywozili (reszty ponoć panicznie się bali?). A prawda jest bardzo prozaiczna. Co enkawudziście organizującemu wywózkę da wywiezienie biednego? Co innego wywiezienie bogatego. Tak jak Stasiulisa, cały pozostawiony dobytek ukradli.

Obawiam się, że jest trudniej ludziom przejść od luksusu do skrajnej nędzy. Dlatego tak wielu wywiezionych nie doczekało się chwili możliwości powrotu. Nie poradzili sobie w walce chociażby o żywność. Losy wywiezionych rodzin były różne, w wyjątkowych przypadkach - znośne. Kolega z pracy, jako dziecko kolejarza, został wywieziony z babcią. Ojciec kolejarz był w końcu Sowietom niezbędny na kolei wobec zwiększonej ilości obowiązków związanych z organizowaniem wywozek ludzi oraz zagrabionego polskiego mienia.

Co nieco wiedzieliśmy, w jakie piekło wywiezieni na Syberię się dostawali. Moja ciocia z dziećmi przebywała tam od 1940 roku. Pierwsze listy otrzymaliśmy pod koniec 1940 r. Byli w kołchozie w Altajskim kraju to z głodu nie umarli, mogli co nieco nabierać po kryjomu z pola. Niewolnikom w USA ponad 200 lat wcześniej też nie płacili, jednakże wyżywienie zapewniali przez cały rok. Rosjanie usprawiedliwiali się wojną, lecz to było jedno z niezliczonych bujdz na resorach. Wszak zesłania rozpoczęły się na początku 1940 r. (z własnych terenów nawet wcześniej Polaków wywozili). Intensywnego przygotowania się do wojny też nie mieli, zwłaszcza że, wojna dla nich się rozpoczęła niespodziewanie. Pomijam tu wojnę Fińską. Prawdziwą wojnę mieli od czerwca 1941, czyli półtora roku przed wojną miały miejsce wywózki na Syberię. Od samego początku w takim głodowym położeniu się znaleźli. Dzieci zimą chodziły do szkoły na przemian, posiadały bowiem tylko jedną parę butów. Druga rodzina, która opowiadała o swoim losie, została wywieziona w komplecie z ojcem tuż za Ural do lasu w celu wyrębu drzew. Tu za tę pracę nieco płacili. Czasami coś z żywności dostarczali! Dorośli zesłańcy wraz z rosyjskimi drwalami musieli pracować w lesie, dzieci zbierały runo leśne, z czego czyniono zimowe zapasy żywności. Ojcu tej rodziny pracującej w lesie, wręczyli strzelbę, mógł dzięki temu coś upolować. Przy okazji uwaga o warunkach pracy miejscowych drwali. Przed wojną i w okresie wojny oni mieli marne posiłki i noclegi na podłogach baraków zesłańców. Naród rosyjski wszystko wytrzyma i po rewolucji już się niemal nie buntował. Jeszcze inny przykład. Ojciec rodziny chodził codziennie do pracy w



kopalni złota. Dzienna zapłata za tę pracę to 400 g ciemnego chleba. Członkowie jego rodziny otrzymywali po 200 g. Inni wywiezieni pracowali niewolniczo przy wyrębie lasów. Ponoć w nędzniejszych warunkach od czarnych niewolników w Ameryce.

Niemcy za niewolniczą pracę dali jakieś odszkodowania, a na temat tych zesłańców - cisza. Czekają aż

poumierają, bowiem Niemcy dawali odszkodowania tylko jeszcze żyjącym, rodzinom nie. Na temat warunków w czasie transportu na Syberię oraz pobytu tamże istnieją liczne książki. Nie będę wspominał o nich. Wspomnę tu o bardzo istotnych, bo bezpośrednich relacjach tych szczęśliwców, którzy zdołali z tego

Praca zesłańców

piekła wydostać. Właściwie niechętnie o tym opowiadali, pewnie z obawy przed represjami.

Pewnemu byłemu polskiemu żołnierzowi, będącemu w roku 1978 ze mną i moją rodziną na wczasach nad Bałtykiem, zebrano się na zwierzenia, mimo panujących w tym czasie zagrożeń związanych z ewentualnym doniesieniem do UB. Opisał nam swoją gehennę dokładnie. Już we wrześniu 1939 r. ich, jako jeńców wywożą na Syberię. Zauważcie, do wojny w czerwcu 1941 r. było daleko, panował pokój, jeśli nie liczyć ich lokalnej wojny fińskiej. Potwierdził warunki transportu, jakie wyżej opisałem w przypadku rodziny Stasiulisów, stłoczeni w towarowych wagonach, bez możliwości położenia się. Karmieni solonymi śledziami oraz skąpo obdzielani wodą. Różnica wystąpiła na miejscu. Z tej jego opowieści w naszą pamięć zapadły następujące szczegóły. Wieziono ich, a następnie pędzono po bezludnych terenach na Syberii. Przy dużym obszarze leśnym zatrzymano, wręczono kilofy i łopaty, którymi musieli sobie wykopać oraz zbudować ziemianki do mieszkania. Po wykonaniu tych ziemianek, wręczono im piły i siekiery do wyrębu lasu. Nie wiem jak było zorganizowane żywienie. natomiast żywienie ich było bardzo niedostateczne. Czyżby w tym rajku występowały spore braki żywności? Jak wyżej zaznaczyłem, to był czas pokoju, tłumaczenie się ciężkimi warunkami wojennymi jest kłamstwem. Albo w tym kraju 'szczęśliwości' był brak żywności bądź też głodzenie więźniów oraz zesłańców było zgodne z ich 'humanitarną' ideologią. Te trudności wynikały także w obliczu powszechnej korupcji. Żywienie nie było odpowiednie, gdyż dotkliwy brak warzyw wywołał u tego więźnia szkorbut, zęby wypadały, a ciało pokryły wrzody. Nieleczona skóra przywiera do koszuli. Zostaje zaprowadzony do szpitala. Jeden pielęgniarz zrywa mu koszulę razem z kawałkami skóry. Tymczasem lekarz nieco bardziej ludzki, okropnie beszta tego pielęgniarza. Jakiś czas go leczą. Codziennie ktoś umiera. Twierdził, że od śmierci go wybawia - Hitler. Po katastrofalnych dla

Rosjan początkowych miesiącach prowadzenia wojny, Stalin decyduje się na sformowanie polskiego wojska do walki z Niemcami. To był moment, gdy ten więzień trafia do Andersa, a ten jak wiadomo, wyprowadził wojsko wraz z pewną ilością cywilów do Iranu. Początkowo to wygłodzone i schorowane bractwo jakiś czas doprowadzono do stanu, jakiego wojsko oczekiwało. Ten fakt ratuje życie bohatera tego opowiadania.

17. EDUKACJA W MORĄGU

Po rocznym pobycie w Olsztynie, dalsze nauki pobieramy (ja, Genek oraz Marysia) w szkole ogólnokształcącej w Morągu. Należy tu przypomnieć prawdę, z którą pewnie wszyscy się zgadzają, lecz, o której nie wszyscy pamiętają. Otóż, uczeń wchodząc do klasy jako nowicjusz doznaje nieprzyjemnego stresu, jeżeli reszta klasy jest ze sobą zżyta. Tak właśnie było ze mną, bowiem reszta klasy przynajmniej rok się znała. Znowu ten stres męczy. Jestem nowym uczniem w klasie, w końcu była to już klasa druga, oni się znają a ja poprzedni rok ukończyłem w Olsztynie, więc nie znam nikogo. Z tego co zapamiętałem, gdy we wrześniu wchodzimy po raz pierwszy do klasy (Morąg), stoimy między ławkami, a wychowawca powiedział abyśmy się dobrali parami oraz wybrali sobie ławki. Ja trochę nieśmiało stoję z boku. W tym momencie podchodzi do mnie jeden chłopak, Andrzej Poczynajło się nazywał (obecnie doktor nauk chemicznych) i pyta, czy chciałbym z nim ławkę dzielić. Nie chciał siedzieć z ubiegłorocznym kolegą. Ja odetchnąłem z ulgą, chłopak nie wygląda groźnie, bowiem już sądziłem, że przyjdzie mi siedzieć samemu. Ten moment stał się zwrotnym w moim życiu szkolnym, a być może nawet w dalszym. Bowiem nie byłem w stanie w czymkolwiek Andrzejowi się postawić okoniem. Jak on zarządził tak robiliśmy. Gdyby to były rzeczy niestosowne, to niechybnie bym protestował, ale dotyczyły spędzenia czasu popołudniowego. Chodziło o codzienne, bez wyjątku, solidne przygotowywanie się do jutrzejszych lekcji! Rzeczy dla mnie niewyobrażalne! I nie chodziło tu jedynie o odrabianie zadanych lekcji, czego nie było wiele. Powtarzaliśmy wszystko to, co było omawiane

na ostatniej lekcji z każdego przedmiotu. Zatem chodziło o utrwalenie omawianych wiadomości. To właśnie było esencją naszego uczenia się.

Czy należałoby nas nazwać kujonami? Z punktu widzenia doświadczonego pedagoga, kujonem nazwałbym takiego faceta, któremu z kucia nic nie wychodzi. Natomiast Andrzej Poczynajło no i ja także, po prostu w poczuciu obowiązku utrwalaliśmy zdobytą wiedzę. Byłem lepszy od niego wyłącznie w fizyce i matematyce. Był zajęty przyswajaniem szkolnej wiedzy, nie wykazywał jakiegось przywiązania do mnie a ni ja do niego.

Kiedyś pytam Andrzeja, co go skłoniło, żeby z pośród 30 innych mnie właśnie wybrał do dzielenia ławki? Wyglądałem według niego na spokojnego, poważnego faceta i to zdecydowało, byłem nowy a z poprzednim z pewnych względów nie chciał dzielić ławki. W rezultacie nie tylko siedzimy w tej samej ławce, lecz równocześnie jesteśmy w tym samym internatowym pokoju. Dobrze się stało, bowiem okazało się, był prymusem, a nie przepadał za samodzielnym utrwalaniem zdobytej wiedzy. Zawładnął mną, więc w rezultacie razem regularnie powtarzamy materiał omawiany na lekcjach oraz omawiamy wszystkie zadane lekcje, bez wyjątku. Nawet, gdy nie groziło wywołanie do tablicy! Dla mnie to był początkowo szok, ale odkrywam: prostą prawdę: - przyjemnie jest siedzieć na lekcji i się nie bać wywoływania do odpowiedzi. Zadziałało tu prawo motywacji, do solidnego powtarzania i odrabiania zadanych lekcji.

A tak w Olsztynie nie było, bynajmniej. O tym opowiedziałem cioci Lusi (Micewiczowa), która potem taki rygor stosowała od początku nauki swego syna Staszka. Nawet stosowała, co prawda, dość łagodne, klapsy, gdy perswazja nie skutkowałą. A że był zdolny, więc to zaowocowało samymi piątkami zarówno w szkole jak i na uczelni. Wykształcił się na Politechnice Gdańskiej, jako mgr inżynier w zakresie budowy wiejskich wodociągów. Początkowo pracował w wykonawstwie tych urządzeń, potem w opracowywaniu ich projektów. Zamieszkuje niemal od urodzenia w tym samym mieszkaniu po rodzicach w Olsztynie. Co jest raczej rzadkością. Ja na przykład, nie licząc internatów czy akademików, mieszkam obecnie już w siódmym mieszkaniu.

Teraz w Morągu mieszkamy w odpłatnym internacie z pełnym wyżywieniem. Śpię i odrabiam lekcje w tej samej dużej sali na 6 łóżek. Ostatni i jedyny raz w internacie przebywałem, jeśli nie liczyć późniejszych akademików, na Łotwie. Tam lekcje odrabialiśmy w oddzielnej sali pod okiem nauczyciela! W Morągu rano pobudka o 6, zbiórka w dwuszeregu na korytarzu oraz śpiew 'kiedy ranne wstają zorze...'. Potem lekka gimnastyka, mycie się, ubieranie się, zabieranie przyborów szkolnych do teczek, następnie maszerujemy w dwuszeregu do szkoły (1,5 km). Tam jest stołówka, po śniadaniu do sąsiedniego szkolnego budynku podążamy do swoich klas już nieufornowani w szeregach. W pierwszych latach powojennych zazwyczaj przed rozpoczęciem pierwszej lekcji cała klasa wstaje i wspólnie z nauczycielem odmawiamy krótką modlitwę. Taka procedura miała miejsce także w Olsztynie. To nie było po myśli ówczesnych władz. Należy to zmienić, bez dwóch zdań! Po paru latach odgórnie zakazano takich praktyk, tak zostało do dnia dzisiejszego.

Przed moim przeniesieniem się do Morąga, Gienek wraz z Marysią chodzili do podstawówki w Mostkowie (3 km od Kojd). W każdą niedzielę wieczorem, czasami wcześniej rano w poniedziałek, jedziemy teraz we trójkę do Morąga, a w soboty wracamy pociągiem, 3 stacje kolejowe, następnie pieszo 3 km do domu. Zwykle wyczekuje na nas nasz Azor, czekając na podwórku cierpliwie i to wówczas, gdy nadchodziła pora naszego powrotu. Jak każdy właściciel psa, były czy aktualny, nie powstrzymam się przed opisem losów tych miłych i mądrych zwierząt. Podczas przywitania, jak każdy pies, okazuje bezgraniczną radość. Był nieoceniony w tępieniu bez kosumpcji rozmnożonych w czasie wojny szczurów. Żeby nie powracać do Azora, opiszę tu także jego smutny koniec życia. Gdy rodzice kończą swój pobyt w Kojdach, przenoszą się na kilka dni do Mostkowa, wsi przy stacji kolejowej. Tymczasem dalej Azora ze sobą zabierać nie mogą. Wynajmujący im mieszkanie w Nowej Hucie na psa nie wyraża zgody. Azor więc zostaje u znajomej rodziny przy stacji kolejowej, gdzie kilka dni mieszkali rodzice. Żeby nie podążał śladami swoich panów, zostaje czasowo zamknięty w komórce. Już po odjeździe rodziców wydostaje się z tej komórki, po czym pobiegł śladami swoich panów na kolejową stację. Jak się potem dowiadujemy, Azora już nie mieli możliwości sprowadzić z powrotem. Kilka tygodni widują go w pobliżu stacji, aż pewnego razu zostaje przejechany przez pociąg. Można snuć domysły, co pies w takim przypadku myśli

czy czuje. jest przyzwyczajony do widoku nas wsiadających do pociągu, a zawsze po pewnym czasie wracających. Wyobrażał, więc pewnie, że wciąż tak będzie. Pociąg, ten olbrzymi potwór, pożera ludzi a potem ich wypluwa. Gdyby rodzice wiedzieli, że Azorowi nie będą odpowiadali nowi właściciele, to mimo problemów, jakoś go do nowego miejsca by zabrali. Szkoda pieska. Starał się jak mógł nam służyć. Zabijał bezlitośnie szczury. Raz się przybłąka na nasze podwórko sporo większy pies. Nie zawaha się, rzuca się na niego, wywiązuje się zażarta walka, psy kłębią się w zawrotnym tempie. Ojciec postanawia położyć temu kres, zamachnął się kijem na intruza, lecz trafia w głowę... Azora. Ten znokautowany nieruchomieje na ziemi, a intruz czmychnął.

Jak na owe czasy, nasz pobyt w internacie wraz z kosztami podróży stanowią znaczące obciążenie naszej rodziny. Ponadto należy wspomnieć o zaspokojeniu potrzeb moich sióstr. Nic dziwnego w tym, że domagają się nowych sukienek, bucików – chcą być piękne, żeby dziewczęta zieleniały z zawiści oraz chłopcy zwracali na nie uwagę. Główne środki, to comiesięczna pensyjka mamy, codzienne dostarczanie mleka do mleczarni wraz z uprawą cukrowych buraków czy sprzedażą trzody chlewnej. Ja też staram się przyczynić do zdobywania kasy. Sposoby, które wówczas stosuję, z pewnością w obecnych czasach nie byłyby do zaakceptowania. SANEPID by się niechybnie przyczepił. W okresie wakacyjnym, w dzień targowy rankiem, wybieram się na targ do Olsztyna. Pewnie spytacie, po co? Otóż biorę z sobą wytworzone przez nas produkty rolne do sprzedaży. Niosę na stację torby zazwyczaj z następującymi produktami: jajka, masło, sery, śmietanę. Niezbędne do prawidłowego żywienia rodzin miejskich. Już po paru regularnych wyjazdach mam stałe paniusie, które zaopatruję w przywiezione produkty. Może moje produkty im odpowiadają? Tuż po przyjeździe na targ dowiaduję się, jakie ceny dyktują inni sprzedawcy, następnie kucam na wolnym miejscu i na obrusie bądź ceracie rozkładam swoje produkty ceniąc je trochę niżej niż inni. Muszę przyznać bez zbytniego chwalenia się – moje były dobrej jakości, bez żadnego fałszowania. Dlatego mam stałe klientki, więc szybko towaru się pozbywam. Uczę się gwary sprzedających. Gdy podchodzi klientka, pytam:

- Co paniusia uważa? Ona:

- a co chłopcze przywiozłeś tym razem i czy świeże?

- zawsze mam świeże, proszę paniusi, wczoraj zapakowane.

Są tam pewne problemy z ważeniem. Stosując stałe pojemniki w postaci kubków czy garnuszków, po jednorazowym ważeniu w domu, radzę sobie z masłem i serami. Śmietanę mam w 5-litrowej konewce i z niej nalewam im do słoików. Zwykle mają słoiki ćwierćlitrowe. Nie były to warunki sprzedaży dostatecznie higieniczne. Wówczas, wobec dotkliwych braków żywności, na takie drobiazgi nie zwraca się uwagi. Po sprzedaży chowam kasę, następnie na stację biegnę, żeby zdążyć na powrotny pociąg. W okresie szkolnym raz w miesiącu te produkty wożę cioci Micewiczowej, o ile sama nie mogła po nie do nas przyjechać. W roku szkolnym 1946/47 gdy tam mieszkam, tylko Jej wożę produkty cotygodniowo, z których wszyscy korzystamy. Wówczas przygód z targiem jeszcze nie doświadczam. Ciocia częściowo dzieli się nimi z przyjaciółką rodziny, Puzynowską. Nie pamiętam sposobu rozliczania się, pewnie tym się wtedy nie interesowałem. Przy okazji, Puzynowscy byli repatriantami wileńskimi, należeli do klasy inteligentkiej. Mieli w moim wieku urodziwą córkę Irenę oraz syna Kazika, z którym chodziłem do tej samej szkoły. Był młodszy tudzież nieco za delikatny jak na nas z Andrzejem. Jak to chłopcy, na przerwach nieco szturchamy się dla zabawy, oczywiście. Pani Puzynowska zauważyła na ciele swego synka nieco siniaków, więc prosi moją ciocię Lusię, u której pomieszkowałem, aby wpłynęła na mnie, żebym z Kazikiem nieco delikatniej się obchodził. Ta ingerencja była poza wiedzą Kazika nie skarżył o to. Nigdy nie wyróżniam się agresywnością, mówię, więc zgodnie z prawdą:

- nie szukam okazji do bójek. Dokładnie nie pamiętam, za co on oberwał, wszelako skoro oberwał, to zazwyczaj się dzieje w czasie koleżeńskich żartobliwych poszturchiwań.

On, tak jak kilka innych chłopców w klasie ma wówczas dość delikatną budowę, stąd siniaki. Zwykle jednak one u innych nie powstają. Mówię więc do cioci:

- oczywiście ciociu nie uda ci się przekonanie Puzynowskiej o napaści Kazika na mnie, podczas gdy ja tylko się broniłem. Wszak nie uwierzy w to. Wzajemnie

poszturchiwaliśmy się dla zabawy, no i wyniki jak widać. Możesz natomiast powiedzieć, że u mnie też takie siniaki zauważyłaś.

Nie wiadomo jak jego matka to wyjaśnienie przyjęła. Ale ponoć jego ojciec był dumny, że jego syn, którego uważał za mała, powiedzmy męskiego, potrafi się bić.

Z Kazikiem raz odbyłem dość zabawną rozmowę, z obecnego punktu widzenia. Przyjechał z Litwy pół roku później od nas. Było to pod koniec 1946 roku. Zwraca mi uwagę na mój według niego, nieprawidłowy sposób wymawiania niektórych słów. Nie uwzględniając tego ile wysiłku mnie kosztowało, żebym zaczął mówić nie tak jak mówią ludzie z Lwowa czy Wilna. Pewnego razu Kazik do mnie mówi tak:

- Powinieneś mówić (powinienes mówic) tak: isc, biegac, pisac a nie jakoś tak świszcząco (swiszcząco. Dla uzasadnienia swojego spostrzeżenia dodał, - nawet moi rodzice zauważyli twoje swiszczenie!

Spytałem go, czy i jego siostra Irka tak uważa. Nic nie mówiła. Jej opinia mnie kręciła, zwłaszcza że, była w moim wieku i dodatkowo powabna! Wspominam o tych mało ciekawych zdarzeniach, żeby uświadomić, zwłaszcza młodszą część czytelników, z jakimi problemami musieli się borykać repatrianci ze wschodnich regionów należących do Polski przed wojną, a obecnie przesiedlający się na zachód. Zwłaszcza chodzi mnie o sposób wymawiania pewnych słów. Mam wrażenie, że starsi repatrianci szlifowaniem akcentu zbytnio się nie przejmowali. To mogłem zauważyć u moich rodziców i krewnych. Do końca życia ten kresowy akcent zachowali. Młodzi, nie wyłączając Kazika potrafili się zaadoptować.

Wożenie żywności do Olsztyna w moim wykonaniu trwa 4 lata, to jest okres, gdy uczę się w szkole średniej w Morażu. Zajęcie dość uciążliwe. Nie wyjeżdżam w tym okresie na żadne obozy (jedynie raz), z których młodzież głównie miejska korzysta, a szkoda, w końcu władza ludowa takie obozy funduje bezpłatnie. Muszę sam jeździć, na targ, w końcu chętnych do pomocy w rodzinie nie brakuje, brat czy siostra chętnie ze mną by jechali, lecz zwiększone koszty na to nie zezwalają. Kiedyś po upływie 30 lat Genka pytam, czy pamięta te moje wyjazdy. Nie pamiętał, pewnie ze względu na to, że wychodziłem z domu, kiedy moje rodzeństwo jeszcze

spało. Siostry też pewnie nie pamiętają. Człowiek się trzyma dla innych, a oni nie raczą o tym pamiętać...

Wracam teraz do Morąga. Jak wyglądała moja nauka w Szkole Ogólnokształcącej w Morągu? Słyszysz się czasami, mój syn popadł w złe towarzystwo i marnie skończył. Może w tym jest nieco prawdy. Jednak jak wspominałem wyżej, w moim przypadku raczej bym powiedział, było odwrotnie, popadłem w Morągu w dobre towarzystwo. To już moja siódma szkoła, do której wstępuję w swoim życiu! Moje poprzednie gimnazjalne szkoły, z wyjątkiem Łotwy, zarówno na Litwie jak i w Olsztynie były męskie. Tu – szkoła koedukacyjna. Dziewczęta siadają na pierwszych ławkach, pewnie aby umożliwić podziwianie ich urody. Jedną Krysia, mocno blondynka, trochę rudawa, przez cały okres nauki w Morągu, czasami się odkręcała do tyłu rzucając krótkie spojrzenia na mnie. Natomiast na przerwach do mnie nic nie mówiła, dziwne, no nie? Nie była w moim typie niestety. Tymczasem jedna o nazwisku Górska przyciągała wzroki ponoć nas wszystkich. Może nie była wyjątkowo ładna, lecz na bank seksowna. Słyszano się różne komentarze kolegów w rodzaju: - gdyby dała się namówić na upojną randkę, to bym tę okazję wykorzystał do końca. Ale czy ktoś do tego dążył? Bo bez próby to na pewno nie ma szans na realizację. Nie mam wiedzy na ten temat.



To są moje koleżanki i koledzy w wieku około 17 lat z dwóch równoległych klas w Morągu. Rok 1948. Najwyżej ulokowana głowa, to moja. Mieliśmy uprawnienia nauczyciela szkoły podstawowej, połowa stała się nauczycielami.

Lista maturzystów z roku 1951 Państwowego Koedukacyjnego Ogólnokształcącego stopnia licealnego w Morągu:
Józef Kazimierz Antul, Jan Tadeusz Boenigk, Jerzy Boenigk, Krystyna Borodo, Mikołaj Chmieliński, Stefan Florian Cudny, Antoni Jerzy Czyżewski, Eugenia Dziewiałtowska-Gintowt, Henryk Kazimierz Figlerowicz, Eugeniusz Stefan Frąckowiak, Bohdan Gailard, Stanisław Gąsior, Helena Górską, Bogumiła Maria Hedrych, Marek Waclaw Hilknier, Barbara Ignatiew, Andrzej Franciszek Jurecki, Maria Teresa Karpowicz, Henryka Kucharska, Halina Alina Kulik, Ligia Regina Lech, Kazimierz Lenzion, Romuald Karol Lipski, Henryk Litwinowicz, Paweł Łojewski, Janina Malinowska, Michał Janusz Małachowski, Tadeusz Marian Mańko, Zbigniew Matwiejczyk, Wojciech Piotr Mazurczyk, Zbigniew Mieczysław Mroczyński, Henryk Stanisław Olszewski, Piotr Perczyk, Irena Pławińska, Andrzej Poczynajło, Cecylia Agnieszka Rozkwitalska, Zbigniew Nikodem Rozkwitalski, Weronika Rusak, Kazimierz Sasin, Bohdan Sawicki, Stanisław Sobczuk, Irena Szaryńska, Janina Danuta Wyrzykowska, Jerzy Zieliński.

To jest młodzież urodzona w różnych państwach, oczywiście większość w Polsce. Kilku to tak zwani autochtoni. Urodzeni w niemieckich Warmii i Mazurach. Część nosiła niemieckie nazwiska. W 1920 roku na tych terenach odbyło się referendum z pytaniem czy chcesz aby twój powiat należał do Niemiec czy do Polski. Referendum dotyczyło jedynie powiatów gdzie mieszkali Polacy. Wynik dla Polaków był druzgocący, ponad 97% chciało Niemiec. Przegrali lecz ich większość nadal mieszkała w Niemczech. Znowu mieli problem po przegranej przez Niemców II WŚ. Większość z nich zdecydowała jakoś przetrwać nawałę rosyjską i nie uciekła razem z Niemcami. To ludzie, którzy z uwagi na narodowość byli prześladowani w III Rzeszy, a po nastaniu tam Polski nie mieli łatwo, przynajmniej przez jakiś czas, gdyż nieświadomi polscy przybysze uważali ich za Niemców. Mieliśmy w szkole niemało autochtonów. Często we wspomnieniach tego okresu przejawia się oskarżenia napływowej ludności jakoby ona usiłowała autochtonom uprzykszać życie różnymi sposobami. Niczego takiego nie widzieliśmy. Zwłaszcza w szkole. W naszej szkole

około 20% to autochtoni. Wszystkich uważaliśmy za dobrych kolegów i koleżanek, bez wyjątku. O żadnych szykanach wobec nich nigdy nawet nie słyszałem już od 1946 roku. Skoro jednak można napotkać na ponure przykłady złego traktowania autochtonów, to bym takie przypadki zaliczył do zwykłych zatargów między rolnikami lub wywołanych przez elementy przestępców pragnących uzyskać dodatkowe dobra materialne, a nie działających pod wpływem poglądów szowinistycznych. Najlepszym moim przyjacielem w Morągu, był właśnie autochton Lipski.

Zabytkowy zamek w Morągu



Z Andrzejem rozmawialiśmy o swoich planach po maturze. On zamierzał studiować coś humanistycznego, ja na Politechnice w kierunku elektryczności. Ten kierunek się nazywał Wydział Łączności. Aczkolwiek, jak to często bywa, wyszło coś zupełnie innego dla nas obu, nie ocenilibym tego, że wyszło coś nie tak. Bowiem na przeszkodzie tym planom stanęła decyzja wydziału oświaty, żeby nas zapędzić do wiejskich szkółek. Władze do zwykłych przedmiotów szkoły ogólnokształcącej dodają przedmioty pedagogiczne i proszą o podpisy, na zgodę na pójście do tych szkółek, grożąc niewydaniem świadectw maturalnych w przypadku odmowy podpisania takiego zobowiązania. Mój kolega z ławki Poczynajło idzie do wydziału oświaty i dowiadyuje się, że nie mają prawa nie wydawać świadectw. No i nie podpisuje tego zobowiązania. Tak czy inaczej nie był oddanym mi kolegą, bowiem mnie o tym nie poinformował niestety. Jednak mój podpis zgody na pracę w szkole, przełożył się na problemy związane z wyplątaniem się z tego zobowiązania, bowiem

otrzymałem tak zwany nakaz pracy. Ignorowanie go to przestępstwo ścigane sędownie.

Andrzej potem dostaje się na studia chemii jądrowej w Gorki za Moskwą. Potem cały czas pracował w Instytucie Fizyki Jądrowej w Świerku, jako doktor chemii. Żeby nie było niejasności, ta jego wstrzeźliwość w informowaniu mnie, wyszła mnie na dobre. Tak przynajmniej teraz sądzę. natomiast, trudno jest powiedzieć jak moje życie jako inżyniera po Politechnice by się potoczyło...Kto wie czy jako inżynier łączności byłbym ze swojej pracy zadowolony?

W Morażu przerwy między lekcjami wolałem spędzać ze wspomnianym wyżej kolegą Romkiem Lipskim. Dużo rozpamiętywaliśmy swoje zwłaszcza wojenne przeżycia. Był dobrze zbudowany, silny i często mocowaliśmy się, zwłaszcza na ręce. To był raczej pożyteczny zamiennik lekcji WF. Miał nadprzeciętne zdolności sportowe. Chyba nawzajem lubiliśmy się. Zwykle w poniedziałki serdecznie się witamy. Nigdy go już nie spotkałem. natomiast o nim czasem myślałem. Romek był autochtonem. W przeciwieństwie do większości z nas, był urodzony na Warmii. Znał dobrze niemiecki, gdyż przed i w czasie wojny uczęszczał do szkoły niemieckiej.

Natomiast Poczynaję spotkałem raz będąc już studentem. Opowiadał o swoich studiach w Gorki, określił je jako wymagające, dopiero w Gorki doświadczył, co to znaczy wkuwać wiedzę. Władze w Polsce wymagały od tych studentów (mieli w Świerku pracować) samych piątek z egzaminów. Chemia jak wiadomo, wymaga dobrej pamięci od studentów. W tej dziedzinie nie ma improwizacji jak np. w historii. Przy naszym spotkaniu Andrzej był obwieszony rosyjskimi fotoaparatami. Jak wiadomo, dzięki przejęciu i wywiezieniu do Rosji niemieckich optycznych fabryk Sowietów byli zalani fotoaparatami, z których jeden zakupiłem i mam go wciąż w szafie, jest wciąż sprawny. Używałem go do chwili pojawienia się aparatów japońskich. Polskich studentów za granicą stosunkowo nieźle nasza władza opłacała. Jeżeli chodzi o tego człowieka, to po transformacji ustrojowej, zauważyłem jego nazwisko i imię na słynnych opublikowanych wykazach byłych współpracowników Urzędu Bezpieczeństwa. Nie miałem możliwości aby to sprawdzić, jednak nazwisko jest raczej rzadko spotykane...

Chętnie czynnie uczestniczyłem w różnego rodzaju imprezach sportowych. W tamtych czasach są popularne na przykład marszobiegi czy biegi uliczne. Wciąż byłem w czołówce, wszelako chyba nic nie wygrałem. Do biegów nie miałem talentu. Na końcu, żeby nie było nieporozumień, stwierdzam, że absolutnie do Andrzeja P. nie mam żadnych pretensji. Gdybym miał swobodę wyboru kierunku studiów, wybrałbym Politechnikę Warszawską – Wydział Łączność. A niejako zmuszony studiować fizykę, polubiłem te studia i moja kariera wygląda nienajgorzej.



Biegi uliczne bądź marszobiegi to imprezy, w których uczestniczyłem czynnie

O ile chodzi o mnie, żadnych problemów z nauką w szkole średniej nie miałem, nad wyraz dobrze radziłem z przedmiotami ścisłymi. Mamy wówczas nietypowego nauczyciela matematyki raczej samouk bez uprawnień nauczycielskich. On dodatkowo uczy przedmiotu muzyka. Angażuje się w oba przedmioty. Z nas kompletuje amatorski chór. Wymyśla do śpiewania temat o nazwie "Z biegiem Wisły". Nauczaliśmy się pieśni regionów od gór do morza. Gdy dochodziliśmy do tematu Mazowsze, pasowały nam piosenki z filmu Zakazane Piosenki, na przykład 'Rozszumiały się Wierzby Płaczące', lub piosenkę śpiewaną przez pokonanego żołnierza:

A wtem lotnictwo się pojawiło

*kiedy zwieralim szeregi swe,
a naszych orłów w górze nie było
co nas zmusiło cofnąć się.*

*Tak się cofalim do bram Warszawy,
za nami sunął tankietek wąż,
lecz się nie martwcie, wszak Bóg jest z nami,
wszak nam nie będzie źle tak wciąż.*

*Lub inną z tego repertuaru: Melodyjną piosenkę „Dzis do ciebie przyjść nie mogę”,
lub „Na dworze jest mrok, w pociągu jest tłok, zaczyna się więc sielanka. On objął ją
w pól, ona gruba jak wół, pod paltem schowana rąbanka... Teraz jest wojna, kto
handluje ten żyje. Jak sprzedam kaszankę, słoninę, rąbankę to bimbru się też
napiję”. Jak wynika z tych piosenek, Niemcy w Polsce nie mieli łatwo, na Litwie to co
innego.*

*Jeździmy po okolicznych wsiach i tam w świetlicach szkolnych dajemy
'przedstawienia'. Bez orkiestry. Zwłaszcza ta ostatnia piosenka im się podoba,
proszą, żebyśmy zaśpiewali raz jeszcze 'kaszankę, słoninę, rąbankę'. Nie byliśmy
pewni dlaczego ta właśnie piosenka ich kręciła, rąbanka a może bimber?
Tymczasem po transformacji ustrojowej nie słychać o takich wyjazdach młodzieży
szkolnej, a szkoda, rolnicy chętnie na takie imprezy przychodzą. Także młodzież
szkolna korzysta z tego.*

*Nawet nieco z funduszy gminnych nam za to płacą, ale do wspólnej kasy.
Zarobione pieniądze przeznaczamy na wycieczki, m.inn. do Zakopanego.*

*Z moimi szkolnymi postępami w zakresie matematyki, na początku nic
specjalnego się nie dzieje. Zaczyna się dzać od pewnej klasówki. Otóż pewnego
razu, gdy nauczyciel matmy jest chory, dyrektor szkoły pan Konopka nie mając
ochoty prowadzić normalnej lekcji, zarządza klasówkę z matmy równocześnie dla
naszej klasy 2a i równoległej klasy 2b. Ta klasówka pozwala mi uwierzyć w swoje*

zdolności do matmy. Mam swoje przysłowiowe 5 minut. Bowiem następnego dnia przychodzi do klasy dyrektor z naszymi wypocinami i mówi:

– wszyscy otrzymaliście dwóje oprócz Małachowskiego, który uzyskał czwórkę-

Na Litwie tego przedmiotu uczył nas nauczyciel Polak. Ten przedmiot stał tam na wyższym poziomie niż tuż po wojnie w Polsce. W istocie, bym powiedział, tam źle mówili ojcu o moich zdolnościach matematycznych, gdyż z reguły nie odrabiałem zadań domowych. W Morągu natomiast nauczyciel matematyki, ku zaskoczeniu ojca, zaczyna mnie chwalić za matematyczne uzdolnienia. Moje postępy w matematyce już w Polsce niewątpliwie miały swoje podstawy w litewskich szkołach, zwłaszcza w Poniewieżu. Natomiast do mojej siostry uczącej się o parę klas niżej, nauczyciel morąski zwykł mówić:

- weź się dziewczyno za matematykę, bierz przykład ze swego brata, jest najlepszy w szkole, a ty masz z tym przedmiotem trudności. Jesteś jego siostrą, musisz mieć też takie uzdolnienia, więc przyczyna leży w twoim lenistwie.

Po tych i innych sukcesach szkolnych, mnie się wydawało, że jestem z matmy najlepszy w klasie. Tymczasem po upływie około 50 lat rozmawiam z kolegą ze szkolnej ławki Bohdanem Sawickim, który zamiast mi przypomnieć o moich matematycznych szkolnych sukcesach (potem miałem ich kilka), przypomina mi o swoich sukcesach w tym kierunku. Ja tego u niego wówczas nie widziałem. Z całym szacunkiem dla Bohdana, wszelako muszę nieskromnie przychylić się do swojego poglądu na tę sprawę. On ukończył studia w WAT, gdzie wykładano matematykę, wyższą także. Tymczasem po ukończeniu tej uczelni rozpoczyna studia matematyki na UW (już w sporym stopniu obeznany z matematyką wyższą). Mnie potem tak to relacjonuje swoją przygodę ze studiami matematyki:

- wiesz, poziom tych studiów mnie przerósł. Po pierwszym semestrze musiałem zrezygnować. To dla mnie było za trudne. Ich matematyka to kompletnie coś innego niż na WAT.

Ja natomiast, na pierwszych 2 latach studiów, mam takie same zajęcia z matematyki jak studenci matematyki, czyli to samo co Bohdan i dałem radę. Mówił,

że mu na tych dodatkowych studiach matematycznych nad wyraz zależało. Częściowo go usprawiedliwia równoczesna praca w WAT. Ja tylko studiowałem, chociaż Czesław Rymarz pracując w WAT ukończył matematykę na UW. To był zdolny naukowiec, potem profesor. Bogdan nawet nie został doktorem. Wracając do szkoły średniej, należy zdać sobie sprawę z sytuacji szkolnictwa w okresie kilku lat powojennych. Uczniów nie było mało, jednak nauczycieli niewątpliwie wówczas brakowało. Nie mając wyboru, władze oświatowe zatrudniają do edukacji ludzi nie zawsze w pełni pedagogicznie przygotowanych. Na szczęście wciąż gotowych do doksztalcania się, ambitnych, przyzwyczajonych w przedwojennej Polsce do solidnej pracy. Przypominam pierwszą lekcję fizyki w Morągu. Wchodzi łysawy jegomość i szczerze mówi:

- Mam was uczyć fizyki. Nie jestem nauczycielem fizyki, lecz inżynierem elektrykiem. Będziemy się przede wszystkim kształcić w kierunkach związanych z prądem. Co wiecie na ten temat?

My na to:

- Niewiele. - A ktoś dowcipnie dodaje: Tylko tyle wiemy, że prąd kopie.

On:

- No to, kto powie co elektrownia produkuje?

Ja się wyrwałem jak Filip z konopi:

- Elektrownia prąd produkuje!

- Ależ nie chłopcze! Ona wytwarza tylko napięcie! Prąd to może płynąć dopiero jak coś do tego napięcia podłączymy, np. żarówkę.

Ja się zaczerwieniłem i już mniej pewnie mówię:

- Ale gdyby nie elektrownia to by ten prąd przez żarówkę nie płynął.

- Gdyby żarówkę odłączyć, to elektrownia i tak by pracowała.

Tymczasem po studiach fizyki przyznałbym rację inżynierowi, aczkolwiek nie do końca. Elektrownia bowiem wytwarza SEM (siła elektromotoryczna), to coś w

rodzaju napięcia. Napięcie jest związane z przepływem prądu, np. napięcie na oporniku, na żarówce, a SEM może istnieć bez przepływu prądu. Nie powiem nic nowego, jeżeli wytknę nierzadkie potknięcia w mediach związane z wiadomościami dotyczącymi tego problemu. On zadaje jeszcze pytanie:

- Czy wiecie jakie prawo rządzi elektrycznością?

Wobec zaległej ciszy tym razem, więc powiedział tak:

- Jest to prawo Ohma, ten uczoney żył 100 lat temu niestety w państwie, które było zawsze wrogiem Polakom.

Jedna z uczennic: - w Rosji?

- Nie, w Niemczech.

Spokojnie odpowiedział nauczyciel.

Stwierdzam, że polubiłem fizykę tudzież pracę, jako fizyk. Gdybym postąpił inaczej studiowałbym na Politechnice. Natknąłem się gdzieś na następujący pogląd:

- Skoro lubisz swoje aktualne zajęcie, to w życiu nigdy nie będziesz pracował. Czy w moim przypadku ten pogląd się sprawdził? Bez wątpliwości moja praca mnie odpowiadała, natomiast należy też brać pod uwagę elementy, za którymi nie przepadałem, do nich bym zaliczył nadmiar dydaktyki. Tak czy owak, zgodnie z powyższą maksymą, trochę w życiu popracowałem.

Trochę o naszych powstaniach przeciwko zaborcom...

Lubię wówczas historię uczoną przez nad wyraz rozsądnego przedwojennego nauczyciela. Bardzo dobrze przygotowującego każdą lekcję. Nie kładzie nacisku na walkę klasową, jako siłę napędową zdarzeń historycznych. Przypominam jedno z moich wypowiedzi na lekcji historii dotyczącej insurekcji kościuszkowskiej. Tu i tam i gdzie indziej pisarze i historycy piszą tudzież mówią o bojowych sukcesach bohaterskich kosynierów pod Racławicami i w innych bitwach. Wiem, co to jest kosa oraz czytam powieści o Indianach. Przepraszam za przytaczanie tu tylko moich lekcyjnych wypowiedzi. Inni w klasie się wypowiadali także oraz sukcesy odnosili,

tymczasem w końcu to jest mój pamiętnik, niech inni o swoich piszą a ja będę o swoich. A więc wypowiedziałem się na lekcji historii w ten sposób:

- Jak pan profesor zaznaczył, kosynierzy stanowili liczbowo z grubsza rzecz biorąc 1/3 wojsk Kościuszki, to niemało, ale dlaczego ci chłopcy byli tak słabo uzbrojeni? Dlaczego Kościuszko marnował ich zapas i prowadził ich przeciwko wojskom uzbrojonym w broń palną? Kosy są dobre do cięcia żyta a nie do prowadzenia walki przeciwko broni palnej. Nie należy studiować historii, żeby stwierdzić, iż kilka wieków przedtem np. Indianie amerykańscy byli lepiej uzbrojeni niż ci chłopcy. Mieli ostre włócznie czy skuteczne łuki, czyli broń rażącą na odległość. Ba, legiony rzymskie były już lepiej uzbrojone w włócznie i tarcze, niektóre oddziały w łuki i wyrzutnie kamieni. Nasi chłopcy byli skazani na rzeź. Nie mieli czym osłabić przeciwnika na odległość. Aczkolwiek chłopów w łuki uzbrajać bym nie rekomendował. Ta epoka minęła, czy z tego należałoby się cieszyć to inna para kaloszy. A strzelanie z łuków, żeby było skuteczne, wymagałoby długiego treningu, lecz nawet kusze byłyby skuteczniejsze od kos! Pewnie jest tak, że pod wpływem wielu lektur w powstańcu z kosą widzimy bohatera, lecz gdyby ktoś go przedstawił z kuszą, to wrażenie miałibyśmy jakieś groteskowe. A swoją drogą, taki byłby daleko groźniejszy w walce!

Z pewnością należało zdobyć broń palną lub nie włączać chłopów do walk, czyli nie wszczynać powstań. Prawda, że dzięki zaskoczeniu wraz ze wsparciem pozostałych oddziałów pod Raławicami kosynierzy znaleźli się po stronie zwycięzców. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, wybaczenie wielbicielem narodowych powstań, ale jestem przekonany, że nie było sensu rozpoczynać powstania przy takim uzbrojeniu, a mimo to je rozpoczęto i jak było do przewidzenia walka z uzbrojonymi w broń palną wojskami rosyjskimi skończyła się w końcu klęską pod Maciejowicami. Tam też kosynierzy brali udział. Liczbowo stanowili znaczną część wojska Kościuszki. Gdyby byli lepiej uzbrojeni.... Mało tego, o zgrozo, chłopcy kosynierzy brali udział i w kolejnych powstaniach także, listopadowym, a nawet styczniowym!!! Po prostu zgroza!

Potem się zastanawiałem, skąd wówczas pojawił się w mojej głowie ten problem. Zwłaszcza mnie chodziło o fragment wypowiedzi dotyczący porównania sił bojowych

kosynierów i ich historycznych przeciwników. Może nikt z klasy nie zauważył tego problemu, w końcu dość wstydliwego, ponieważ tylko ja miałem tego rodzaju realne doświadczenie. Mam na myśli nasze chłopięce mikrowalki na proce z litewskim przeciwnikiem. Zauważyliśmy wówczas jak rodzaj uzbrojenia wpływa na przebieg walki.

Po moim 'wystąpieniu' w klasie zalega cisza. Nauczyciel próbuje bronić Kościuszki wskazując na brak lepszego uzbrojenia, natomiast znaczna część wojska miała broń palną, to nie byli tylko kosynierzy. Pewnie Kościuszce chodziło o zwrócenie uwagi świata na problem Polski. Lecz mówił, świat może i zwrócił uwagę, lecz w sumie nic z tego nie wynikło. Jak wiadomo, bitwa pod Maciejowicami była do wygrania - gdyby znaczny oddział wojsk polskich zdążył na czas, żeby włączyć się do bitwy. Przez nieporozumienie do tego nie doszło, żołnierze stali bezczynnie, podczas gdy Moskale gromili słabsze liczebnie i pod względem uzbrojenia wojska Kościuszki. On sam ranny dostał się do niewoli.

Znacznie później, na temat kosynierów znajduję fragment w historycznej powieści 'Dziedzictwo' Zofii Kossak wydanej w 1996 roku a dotyczącej powstania styczniowego. W jednej z wypowiedzi pod koniec książki jest wyrażona opinia zadziwiająco zbieżna z moją wypowiedzią w 1949 roku, lecz bez porównań ze starożytnymi wojskami. Czyli zabrakło relatywistycznego spojrzenia na problem.

Żeby do końca zobrazować sytuację powstańców oraz skandaliczne nieprzygotowanie do powstania styczniowego, należy dodać znany fakt niedoboru kos! Część powstańców jest uzbrojona w drągi! Ówczesna prasa francuska ironizując to pokazuje ilustracjami. Część powstańców, niby jest uzbrojona w broń palną, ale jaką? Głównie myśliwską bądź przestarzałą wojskową. Podczas gdy wojska rosyjskie w większości weterani wojny krymskiej mieli broń zmodernizowaną, wzorowaną na broni ich poprzednich przeciwników, Francuzów i Anglików.



Rzymski

legionista, indiański wojownik i 2000 lat później po legionach rzymskich polscy kosynierzy (pojedynki? – nie daj Boże! Przed żadnymi z nich kosynierzy nie obroniliby Polski!)

Po latach bym dodał, dla lepszego zobrazowania problemu; następujące rozważania. Wyobraźmy sobie, że po przegranej insurekcji kościuszkowskiej, 100 kosynierów uciekając przed represjami, przedostaje się do Ameryki Północnej. Znajdują tam odpowiednie tereny do zagospodarowania. Tymczasem to się nie spodobało Indianom. 100 Indian jak zwykle uzbrojeni w łuki i włócznie napada na naszych kosynierów uzbrojonych w kosy na sztorc. Zanim doszłoby do walki wręcz, niewątpliwie połowa kosynierów byłaby już niezdolna do walki. Być może żaden Indianin by nie poległ, gdyby atakowali jak w westernach: na koniach krążąc wokół naszych biednych kosynierów. Nie inny opłakany skutek bym wyrokował po starciu ze starożytnym wojskiem rzymskim uzbrojonym w łuki, włócznie, tarcze i miecze. Takie porównanie wygląda, bez dwóch zdań, nie tylko przygnębiająco, lecz jednocześnie intelektualnie krępująco, bym powiedział. Na końcu proponuję sięgnąć do czasów nawet odleglejszych, do czasów faraonów egipskich. Jak wyglądałby wynik starcia kosynierów z egipskimi wojownikami uzbrojonymi w łuki, proce, tarcze i włócznie? O matko, lepiej tego dalej nie roztrząsać. Ktoś mógłby zasugerować,

skoro faraonowie mieli oddziały lepiej uzbrojone niż kosynierzy, to w czym trudność, uzbroić powstańców w łuki, oszczepy, tarcze i mielibyśmy jakiś krok do przodu. Bez dwóch zdań takie wojsko by cały świat uznał za groteskowe, śmieszne. A gorzej uzbrojonych w kosy na sztorc to nie groteskowe?

Rozpisałem się na ten temat, w końcu za parę lat będzie obchodzona u nas okrągła 150 rocznica powstania styczniowego, w którym wzięło udział najwięcej powstańców kosynierów. Oby za granicę nie przeniknęły zbyt drobiazgowo opisy tego powstania. Mogliby na przykład spytać: - kto zwycięży czy wyćwiczony legionista rzymski uzbrojony w tarczę, miecz i włócznię czy chcący go pokonać polski chłop kosynier? Nie trzeba być bardzo byстрыm, żeby wskazać zwycięzcę. Po prostu to wszystko w głowie się nie mieści, makabra...

Gdzieś około 1812 r. Amerykanie odpierają inwazję Anglików na południowe obszary Ameryki północnej, którzy mieli po swojej stronie włączone oddziały Indian wszelako już uzbrojonych w broń palną. Byli równorzędnym przeciwnikiem Amerykanów. Jak wiadomo w końcu Anglicy się wycofują a osamotnieni Indianie przegrali tę wojnę.

Trochę się dziwię Kościuszce, w końcu miał kilkuletnie doświadczenie w podobnej wojnie. Pod koniec 18 wieku, Amerykanie wszczęli, jak wiadomo, zwycięskie powstanie pragnąc się wyzwolić od panowania Anglików. Podobnie jak Polacy przeciwko panowaniu Rosjan. Kościuszko w tej wojnie odgrywa znaczącą rolę pomagając Amerykanom. Nawet w amerykańskich powieściach dotyczących tamtego okresu napotykam wzmianki o wojennym geniuszu naszego Rodaka. Tam uzbrojenie obu stron było porównywalne, przewaga Anglików polegała tylko na lepszym wyszkoleniu i doświadczeniu ich żołnierzy. Kościuszko powinien przed zrywem powstańczym w Polsce lepiej uzbroić wojsko, nawet za cenę opóźnienia działań wojennych. Tymczasem także takie rozwiązanie nazwałbym kontrowersyjnym przez wzgląd na siłę militarną zaborcy, co wykazali kilka lat później pokonując Napoleona. Natomiast Anglicy mieli trudności w zaopatrzeniu i w dowiezieniu uzupełnień, te trudności miały przełożenie na rezygnację króla z kontynuowania tej wojny – Amerykanie uzyskali niepodległość.

Co do celów powstania kościuszkowskiego, tu też chodziło o niepodległość. natomiast amerykańska wojna jest na świecie dobrze znana, nasza – niemal nieznaną. Pewnie to i lepiej, bo gdyby zaczęto dyskutować o kosynierach, to nic mądrego dla nas by nie wynikło. Z całym szacunkiem dla powstań i powstańców, lecz gdybyśmy zaczęli eksponować kosynierów, to mogłyby powstawać nowe uszczypliwe dowcipy o naszym narodzie. A może to jest cecha Słowian? Weźmy rosyjskich burłaków ciągnących w górę rzeki ucięte drewniane bele. natomiast ekonomicznym rozwiązaniem byłoby użycie do tej pracy koni, czy wołów?

Następna sprawa dotycząca powstania styczniowego, przede wszystkim jego termin. Około dziesięć lat wcześniej, w 1853 – 1856 r Rosja prowadzi ciężką wojnę z Turcją, Anglią, Francją i Sycylią w rejonie Krymu i jednocześnie w portach Bałtyckich. Celem było przeciwdziałanie rosyjskiej ekspansji na Bałkany, ten cel został osiągnięty. Rosja ponosi ciężkie straty, kilkaset tysięcy zabitych, a więc była mocno w tej wojnie zaangażowana. Gdyby wówczas powstanie w Polsce i na Litwie wybuchło, sukcesy byłyby realne. W interesie Anglii i Francji byłoby dostarczanie broni powstańcom. Co do broni, to carska była mocno przestarzała. Podaje się, że karabiny carskie niosły na 500 m, tymczasem zachodnie aż na 1500 m. Tak czy inaczej car byłby zmuszony przeciw powstańcom skierować nad wyraz zredukowane siły. Niestety jak wiadomo, na początku pięćdziesiątych lat XIX wieku na obszarze naszego kraju panuje błogi spokój. Chociaż, w wojskach koalicji znaleźli się także Polacy oraz w Turcji wystąpiły pewne próby formacji wojsk polskich, wymienię tu usiłowania Adama Mickiewicza. Jednak do powstania wówczas nie doszło. Zmarnowana okazja. Należy przy tym pamiętać, że Polska była pod zaborami trzech państw. Nie wiadomo jak by się Prusy i Austro-Węgry zachowały.

Swego rodzaju ciekawostką jest wybuch wojny secesyjnej w Ameryce Północnej przebiegała w tym samym czasie co nasze powstanie styczniowe. Otóż Amerykanie nie są wówczas przychylni naszemu powstaniu. Powodem tego były przez nich czynione zabiegi u cara, aby w tej ich wojnie zdecydował się wesprzeć Unię. Ostrożny car nie pragnąc drażnić Anglików wspierających Południe, decyduje się wyłącznie wysłać tam swoją flotę i to nie w celu stoczenia bitwy morskiej z okrętami angielskimi. Sotdatów nie wysyła, bowiem są w tym czasie potrzebni na terenach

ogarniętych powstaniem. Dlatego nasze powstanie irytowało Amerykanów. Swoją drogą ciekawsza byłaby Ameryka Północna gdyby jednak do secesji doszło. Mielibyśmy tam dwa państwa: jedno z niewolnikami a drugie bez. Które z nich byłoby państwem z ludźmi bogatszymi?

Z historii oceniali mnie na czwórkę, czasem nie pamiętam dat czy kolejności królów, jacy Polską rządili. Natomiast nauczyciel parę razy mnie chwali za poprawną interpretację zdarzeń historycznych. Moja uczniowska ocena insurekcji jest słuszna, natomiast zapewne wymagałaby uzupełnień, jednak trudno byłoby ją obalić.

Proponowałbym, żeby nasi historycy epizod z kosynierami nie eksponowali w opracowaniach dotyczących powstań. W opracowaniach historyków czasów PRL-u eksponuje się te oddziały ze względów propagandowych (zryw ludu pracującego) i ponoć stąd powszechne mniemanie o ich znaczącej roli w powstaniach. Nie wiadomo jak było w rzeczywistości – być może oni pełnili jedynie jakieś pomocnicze funkcje w staczanych wtedy bitwach, a historycy to rozdmuchali. Podobnie rozdmuchano nieudane ataki polskiej kawalerii na niemieckie czołgi w czasie kampanii wrześniowej, co w rzeczywistości nie miało miejsca.

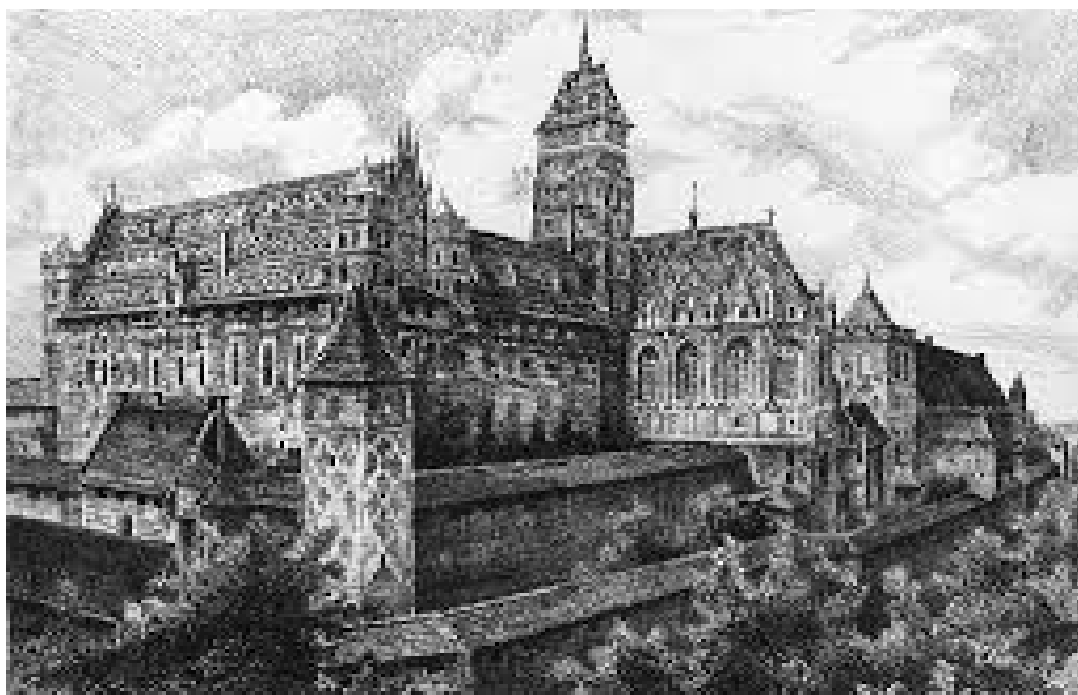
Można jednak liczyć na to, że na Zachodzie historia Polski nie jest tak szczegółowo znana. Jak wiadomo, istnieje zamiar opracowywania historii europejskiej wspólnie z innymi europejskimi krajami. Mogą ten epizod podchwycić i sobie żarty stroić z takiego uzbrojenia Polaków w 19 wieku. Podczas gdy bohaterscy kosynierzy na kpiny nie zasługują, bez dwóch zdań. Jednak mimo wszystko, nie należy się szczyć oddziałami walczącymi w 19 wieku a uzbrojonymi gorzej od wojsk walczących w starożytności! Nawet, jeżeli walczyły w słusznej sprawie.

A swoją drogą, w opracowaniach historyków (zwłaszcza w podręcznikach) nie spotyka się krytyki sensu udziału kosynierów w walkach. A zwłaszcza nie spotyka się relatywizmu w ich opracowaniach. Wprawdzie podkreśla się nad wyraz ubogie uzbrojenie kosynierów w porównaniu z przeciwnikami, lecz nie spotkałem się z twierdzeniem o beznadziejności tego uzbrojenia, było ono sporo słabsze od

uzbrojenia wojsk starożytnych także! W nauce, skoro się chce udowodnić, na przykład słabość czegoś, to dobrze jest podać jakiś przykład porównawczy. Słusznie podkreśla się odwagę tudzież zapał kosynierów. O ile się nie mylę, to byli ochotnicy, a dodatkowo chłopci pańszczyźniani, pozbawieni wolności. Obawiam się, że historycy nie są w większości naukowcami, myślicielami. Skoro są dobrzy w datach i zdarzeniach to dla nich wystarczy. Oczywiście przesadzam. Przytoczę tu dwa przykłady: jeden bardzo dawny drugi nowszy.

Trochę historii i polityki...

Weźmy chociażby niesamowicie oklepaną w podręcznikach bitwę pod Grunwaldem. Niezmiennie historycy podkreślają jedno: wynik zwycięskiej bitwy nie został wykorzystany do końca. Bowiem należało następnie zdobyć ostoję władzy krzyżackiej, jaką był zamek krzyżacki w Malborku. Król Jagiełło poczynił nieudane próby zdobycia tej twierdzy. Trudno go o to winić. W jaki sposób potężną twierdzę w Malborku mogli zwycięskie wojska zdobyć. Król Jagiełło nie był głupi (ha ha ha, wszak w końcu pochodził z Litwy). Zorganizował odpowiednie wojsko lecz do walki w polu. Tymczasem do oblężenia twierdzy w tamtych czasach były konieczne narzędzia i maszyny oblężnicze tudzież specjalnie do tego celu wyszkolone oddziały (analogia do obecnych oddziałów antyterrorystycznych), których nie posiadał. Tak czy inaczej nie był to błąd, lecz realna sytuacja. Po zwycięstwie wojska powróciły tam skąd przybyły. Pewnie liczone na możliwość zdobycia potężnego zamku, z uwagi na zredukowaną jego załogę, lecz usiłowania te spełzły, jak wiadomo, na niczym.



Drugi przykład to krytyka polityki naszego przedwojennego ministra spraw zagranicznych, Becka. Krytycy potępiają tę politykę nie podając przy tym, jaką strategię powinien ich zdaniem zastosować zamiast tej, którą zastosował. Mimo spoglądania na tamte czasy z perspektywy dzisiejszej. Beck zawiera pakt o nieagresję ze wszystkimi liczącymi się państwami, które tego chcą. Francja i Wielka Brytania zobowiązują się udzielić wsparcia zbrojnego. Czego nie dopilnował, może ktoś podpowie? Próbuje on uniknąć wojny z Hitlerem i ze Stalinem, z którymi zawiera pakt o nieagresję. Czy istniał w ówczesnej sytuacji jakiś trik, aby tych agresorów udobruchać? Proszę podpowiedzieć! Wiele innych krajów padło łupem Hitlera i nikt ich rządów za to nie wini, a w Polsce się wini Becka!

Tego rodzaju nauki jak historia w krajach anglosaskich zalicza się do 'art.' a nie 'science'. Pewien znany fizyk na pytanie jak odróżnić dziedzinę naukową od nienaukowej (science od art.), mówi:

- Wyobraźmy dwóch chemików czy fizyków dyskutujących o problemie, który badają. Przysłuchujący się tej rozmowie na przykład historyk nie miałby szansy wtrącenia sensownego zdania o tym problemie. Natomiast w sytuacji odwrotnej taka szansa by istniała.

Z tamtych dawnych czasów wracam do Morağa, do szkoły średniej, gdzie los mnie rzucił w celu kontynuowania kształcenia się. Naukę w szkole średniej wspominam z przyjemnością. Mimo, że edukację odbyłem raczej na prowincji, tymczasem nie stwierdzam braków stawiających mnie w gorszej sytuacji niż koledzy ze mną studiujący, wykształceni w szkołach na przykład warszawskich. Chyba mogę uważać, że zostałem niezłe przygotowany do późniejszych studiów w Warszawie. Maturę zdaję bez problemów. Potem odbywa się jak wszędzie, pamiętny bal maturalny. Cały czas tańczę na nim z Krysią, koleżanką z równoległej klasy, jest w ślicznej, czerwonej w kwiatki sukience i często się śmieje. Mówię jej o swoich

planach studiowania. Ona do studiowania się nie pali. Nawet jej nazwisko nie zostało się w mojej pamięci. Muszę się przyznać, że na randki koleżanek nie namawiałem. Nie chodzi tu o brak czasu czy chęci, lecz jest wiadomo o tym, żeby się na randkę wybrać, należy się trochę wystrój i mieć nieco kasy. Na takie rzeczy brak było funduszy. Wystarczyło ich tylko na opłacenie internatu i kolejowe bilety. Sądziłem i nadal jestem tego zdania, że dziewczyny zwracają baczną uwagę na strój swego chłopaka (oczywiście na swój własny – baczniejszą). Na studiach w Warszawie jest nie inaczej. Nasze bale maturalne różnią się wówczas od tych opisywanych w USA. Tam z wyprzedzeniem zaklepuje się partnerkę na cały bal. Oboje wystrojeni. On ją zabiera autem z jej domu. Przyprawdza na bal i nią się tam opiekuje. Po balu odstawia do domu.

Moja siostra Maryla (1934-2021) uczy się w Morągu z wynikami dostatecznymi. Z matką ma pewne trudności, tymczasem przy minimalnej mojej pomocy z tym przedmiotem się uporała. Potem na dolnym Śląsku kończy szkołę felcherską. Jak sądzę, nie żałuje obranego kierunku wykształcenia i pracy w wyuczonym zawodzie. Miała (może nadal ma) parę uzdolnień. Potrafi pięknie grać na fortepianie z nut. W mojej klasie na tym instrumencie na wyższym poziomie grała koleżanka Rozkwitalska. Na uroczystości zakończenia roku szkolnego dyrektor szkoły mógł sobie pozwolić na oszczędność związaną z wynajęciem profesjonalnej pianistki. Zapowiadał: - A teraz posłuchajcie grania waszych koleżanek. Poproszę Rozkwitalską, a teraz poproszę Małachowską. Marysia grała nie tylko na fortepianie, lecz w piłkę ręczną także, zwaną wówczas szczypiorniakiem (może ta nazwa wzięła się od możliwości szczypania przeciwnika o ile sędzia tego nie widzi). Była w drużynie zmagającej się w klasie A. Jest to agresywna gra, nie dla mięczaków. Jestem pełen podziwu. Po grze ciało jest podrapane, posiniaczone. No i wówczas za to zajęcie nie płacono. Można było liczyć na bezpłatny posiłek, chociaż menu nie zwało z nóg. Gdy po upływie kilku lat, po osiągnięciu dobrego poziomu można wybić się na czoło graczy, to nadchodzi czas kończenia ze sportem przez wzgląd na naukę. Swoją drogą to był i nadal jest wśród naszych krewnych jedyny przypadek sportowca poważnie walczącego o jakieś punkty czy trofeum. Marysia odziedziczyła od swojej matki wyjątkowy węch. Nie rzadko to ułatwiało jej pracę. Podobno była w stanie trafnie rozpoznać niektóre schorzenia tylko za pomocą węchu. Tu przytaczam

dosłowne wspomnienia jednej z jej pacjentek. W oryginalnej pisowni to brzmi tak: - Po powrocie ze szpitala do domu jeszcze 2 tygodnie leżałam w łóżku bo cały czas kręciło mi się w głowie. Na szczęście lekarza - a właściwie felczerkę bo wtedy na wsiach tylko tacy byli (ale byli bardziej skuteczni niż niejeden lekarz) – mieliśmy w tym samym domu przez ścianę i pani Rodakowa często mnie odwiedzała, kazała mi się kłaść na wznak a ja furt odwracałam się na bok bo nie umiem spać na wznak. Koniec cytatu.

Brat Genek natomiast, z problemami w nauce, gorzej sobie radzi w szkole, pomagam mu odrabiać lekcje, no i szkołę podstawową kończy. Potem próbuje już bez mojego wsparcia, lecz bez powodzenia kształcić się w technikum rybołówstwa w Giżycku. Po zrezygnowaniu z tego technikum jedzie do Nowej Huty pracować, odsłużył wojsko, gdzie zdobył zawód kierowcy. Później zarabiał jako kierowca ciężarówki w Nowej Hucie i to więcej niż jego brat do chwili aż został profesorem na wyższej uczelni. Był cenionym kierowcą zawodowym, a więc po wielu próbach znalazł dla siebie odpowiedni zawód.



Autor: Anna Dembińska

www.SportoweFakty.pl

*Dynamika gry w piłkę
ręczną*

18. RODZINA OPUSZCZA WARMIĘ NA ZAWSZE

Na warmińskim gospodarstwie pracujemy przez 9 lat. Ojciec zdał sobie sprawę, że na 8 ha interesu nie zrobi, nie to, co w Eikiniszkach. W końcu był bezetem (bez ziemi ziemianinem). Jak wiadomo, dodatkowym zniechęceniem do tego zawodu, jest irracjonalna w czasach PRLu polityka rolna. Wszak nie jest ona łaskawa dla rolników! Ceny produktów rolnych są regulowane odgórnie przez państwo - są nad wyraz niskie, rolnik mimo ciężkiej pracy ma wówczas, a być może obecnie także, mało kasy. Starsze dzieci naszej rodziny już pracowały gdzieś w Polsce, w czasie wakacji nie mogą rodzice liczyć na ich pomoc. Nie było innego wyjścia jak podjęcie kluczowej decyzji o rezygnacji z tak pięknej posiadłości. Mam w pamięci przejazd wozem konnym z Kojd do Mostkowa, miasteczka przylegającego do stacji kolejowej Gamerki Wielkie (dlaczego 'Wielkie' to trudno uzasadnić). W czasie tego przejazdu taki widok: dwoje nam znanych staruszków na ogromnym polu z rosnącymi burakami, niszczyli motykami chwasty. Pole ogromne, chwastów niemało, gdy po kilku dniach uporają się z tą pracą, chwasty w miejscach po wycięciu na początku tego zajęcia już odrastają. Należy pracę rozpocząć od nowa! Przerwali pracę i spoglądali na nas, chyba z zawiścią. Pomyślałem, że taki los czekałby naszych rodziców gdyby nie zdecydowali się na wyjazd. Wówczas emerytur rolniczych jeszcze nie wynaleziono.

Sądziecie, że rodzice sprzedali to gospodarstwo oraz stali się bogaczami? Nic z tych rzeczy. Żeby sprzedać ziemię i zabudowania, ojciec musiałby wyrobić akt własności. Wszelako to byłoby równoznaczne z rezygnacją własności ziemi pozostawionej na Litwie. Ojciec natomiast nieracjonalnie, jednak był zbyt przywiązany do Eikiniszek, żeby na rezygnację się zdecydować. W tej sytuacji jedynie inwentarz, narzędzia oraz meble sprzedano.

Moja wakacyjna praca na wsi była czasem wyczerpująca fizycznie. Lecz miała miejsce na świeżym powietrzu, posiłki były jak na tamte powojenne czasy obfite i

raczej zdrowe z pokaźnym procentem warzyw. Zatem w sumie nabierałem sił potrzebnych do nauki, wzmacniałem mięśnie, kości i takich wakacji nie ma co żałować. Gdy rodzina przenosi się do miasta, rozpoczynamy inny tryb spędzania wakacji. Rodzice jeździli na wczasy, my młodzi wybieraliśmy się na wakacje w góry bądź nad morze, stosownie do wieku, tak, aby wysiłek fizyczny się zmniejszał z upływem lat.

Czasem się zastanawiam, czy byłem wiejskim czy miejskim człowiekiem. Do 8 lat niewątpliwie wiejskim. Natomiast potem więcej czasu spędzam w miasteczkach oraz w miastach niż na wsi. Do 15 lat nie wykonuję żadnych prac związanych z prowadzeniem gospodarstwa wiejskiego. Po przyjeździe do Polski natomiast, w czasie wakacji 9 lat pracuję na warmińskiej wsi. W 1955 r. nasza rodzina rezygnuje z gospodarstwa wiejskiego, przenosi się do Nowej Huty. W końcu zostawiając gospodarstwo (nie sprzedając) przenosimy się do Krakowa, gdzie Ojciec po krótkim przeszkoleniu – kursie zostaje spawaczem w Hucie. Wreszcie nie muszą już się przejmować tym czy będzie urodzaj i czy krowy są wydojone a świnie nakarmione.



Tu moi rodzice 'bezety' przed 'swoim' blokiem już w Nowej Hucie, gdzie otrzymali mieszkanie (kawalerkę) i pracę (1955 r.).

Przez pewien czas ojciec jak wspomniałem, jest w Hucie spawaczem, matka pracuje w świetlicy. Potem prowadzą kiosk aż do emerytury. Odwiedzam rodziców

średnio 2 razy w roku, zazwyczaj po przyjeździe nocuję tam. Rozmawiamy na tematy rodzinne do północy. Tata szybko zasypia. Gdy rano się budzę już go nie ma. Szedł do kiosku czy będąc na emeryturze też nie czeka aż się obudzę, lecz pędzi na działkę. Piszę o tym, bom pewny, że będąc na jego miejscu chciałbym ze swoim synem porozmawiać te dwa razy w roku. Chciałem go popytać o pewne szczegóły z mego dzieciństwa, a tu klops, nie ma go.

Ten epizod i inne dowodzą, że nie byłem zbyt mocno uczuciowo związany ze swoimi rodzicami. Jaka tego przyczyna? Z tego czego się domyślam, to długie przebywanie poza rodziną. Już od trzeciej klasy szkoły podstawowej mieszkałem na stacji, wracając w soboty do domu, 7 km pieszo (2 lata). Dalsze lata szkoły podstawowej spędziłem na Łotwie w internacie. Będąc tam, ze względu na odległość, do domu nie wracałem nawet przez 2 lub 3 miesiące. Nie inaczej było w szkole średniej. Też spore odległości od domu. Potem szkoła średnia w Morągu – też internat, wracam na weekend. Dalej studia w Warszawie w akademiku, ale jestem już dorosły, wszyscy w tym wieku z domu wyfruwają. Do domu jedynie na święta i wakacje.



Nowa Huta, niestety początkowo silnie zadymiona. Po latach – mniej.

Młodsza siostra Luśka kończy we Wrocławiu wydział filozoficzno-historyczny (kier. pedagogika), wychodzi za mąż i znajdują z mężem pracę w Krakowie w szkolnictwie. Nawiasem mówiąc, dziwię się, że nie studiowała w naszpikowanym uczelniami Krakowie. Mogłaby wówczas mieszkać u rodziców. Los rodziny w Polsce: Eugeniusz – kierowca zawodowy, już nie żyje, ginie w wieku 61 lat tragicznie przejechany przez tramwaj, potem umiera jego żona na raka, zostawiają córkę Aldonę i syna Krzysztofa. Ponieważ mowa tu o potomstwie mego brata, to muszę przytoczyć pewną jego przygodę, którą brat mi przy jednym ze spotkań opowiedział. On pewnego razu w Krakowie przeładowuje mięso z ciężarówki do magazynu.

Zauważa kobietę spoglądającą na niego i chodzącą tam i z powrotem. Myśli, pewnie chodzi jej o mięso. Po pewnym czasie zbliża się do niego i taka rozmowa między nimi się wywiązuje:

- dzień dobry. Proszę pana jestem mężatką.

- to bardzo dobrze proszę pani,

- problem z tym, że wciąż nie mam dziecka,

- to już chyba nie do końca dobrze.

Dalsze zdanie brat słucha w osłupieniu.

- ma pan rację, całkiem niedobrze. Czy mógłby pan w tym pomóc...

Na chwilę brata zamurawuje, nie dziwię się mu, mnie też by zamurowało. Tymczasem spojrzawszy uważniej na nią, czy czasem nie żartuje, wyraża zgodę. Dlaczego brata a nie iogoś innego wybrała? Był wysoki, dobrze zbudowany, silny i dość przystojny. Sądził, że zbytnio nie ryzykuje i w żadne tarapaty nie zostanie wciągnięty skoro jest mężatką. Pani miała już wszystkie szczegóły tego przedsięwzięcia przemyślane, gdzie i kiedy. Tak jest zdesperowana swoją niewesołą sytuacją, że nawet zaproponowała zapłatę za tę usługę. Nie pytam brata czy ją przyjął. Spotykają się już tego samego dnia wieczorem w hotelu. Potem spotkania się powtarzają jakiś czas. Po pewnym czasie tych przygód, ona nie mówiąc bratu o przyczynę żąda, żeby już nigdy nie starał się z nią spotkać. Po upływie roku, czy nieco więcej, brat widzi ją z wózkiem. Ona szybko przechodzi na drugą stronę ulicy. Mimo zaciekawienia, brat do niej nie podszedł. Żeby nie wywoływać zamieszania w rodzinie brata, nie powiem, czy wówczas brat był już żonaty, czy wdowcem. Też nie sposób być pewnym, czy w wózku był potomek brata, czy też kogoś innego. O tej swojej przygodzie opowiedział zarówno mnie, jak i swojej siostrze Luście. Brat był nad wyraz troskliwy o swoje dzieci. O tym może świadczyć to, że był regularnym krwiodawcą. Czynił to dla córki Aldony, bowiem za każdym razem otrzymuje dwie tabliczki czekolady, które oddaje córce. Nie wspominał o ratowaniu w ten sposób zdrowia czy życia sobie nieznanych osób. Wówczas w naszym kraju są czasy 'bezczekoladowe'. Przy okazji powspominajcie sobie tamte trudniejsze od

dzisiejszych czasy. Zwracam na to uwagę, w końcu pamięć ludzka jest zawodna, coraz częściej pojawiają się dyskusje, czy było lepiej za PRLu czy po tym okresie.

3 lata młodsza ode mnie siostra Maryla po mężu Rodak – felczerka, z tego co wiem, jest przez pewien czas w separacji z mężem. W końcu zamieszkali razem w Jaworze. Gdy przebywała w internacie w Morągu w wieku 15-16 lat, moi koledzy czasem pytali mnie o nią, być może im się podobała? Ja się temu dziwiłem. Interesują się taką smarkulą? Obecnie mieszka od dawna w Jaworze. Ma dwóch synów Zygmunta (rocznik 1960) i nieco młodszego Romka. Zygmunt jest jakiś czas nauczycielem w szkole podstawowej. Zdobywa dodatkowe uprawnienia w zakresie gimnastyki i rehabilitacji medycznej. Jest aktualnie kierownikiem zakładu opieki nad niepełnosprawnymi. Ma żonę urzędniczkę wraz z dwojgiem dzieci. Jego syn po politechnice mgr inż. pracuje w kopalni w Lubinie. Romek w czasie służby wojskowej zdobywa zawód kierowcy, jest kierowcą busa pasażerskiego. Jego żona prowadzi sklepik z odzieżą. Mają troje dzieci w wieku szkolnym (uzupełniam to w 2011r.), dwie córki i syna. Mieszkają koło Legnicy w wybudowanym przez siebie domku.

Młodsza siostra Lucja po mężu Góralska, przed emeryturą jest nauczycielką, bowiem jak wspomniałem, ukończyła Uniwersytet Wrocławski (kier. pedagogika). Dwoch moich kolegów Staszek Salamonik i Maciek Niedzielski o jej względy swego czasu zabiegają, lecz bezskutecznie. W końcu jest wówczas zaledwie 16-latką. Z mężem Wojciechem mieszkają pod Krakowem, Jerzmanowice, w jednorodzinny domu. Będąc na emeryturach nauczycielskiej (Lucja) i mundurowej (Wojciech), dorabiają prowadząc mały biznes hodowli rasowych kotów. Wojciech w przeciwieństwie do męża Maryli jest bez zarzutu. Zajmuje się także przydomową pasieką. Jest przywiązany do rodziny. O tej mojej siostrze Luśce wspomina jej o jeden rok młodsza przyjaciółka Sabina. Zapoznały się gdy Luśka odwiedzała swoją siostrę latem. Swoje wrażenia, w zasadzie dziewczyny wiejskiej, Sabina zawarła w następującej formie.

- Lubiłam samotność i czytanie i w takim mniej więcej okresie poznałam Luśkę - wtedy – Małachowską (to jest moja młodsza siostra Góralska po mężu – przyp. MM). To był rok ok. 1960 -ty. Do wspomnianej wcześniej felczerki mieszkającej w naszej posesji Pani Rodakowej (mowa o mojej starszej siostrze – przyp. MM) przyjechała

na wakacje jej siostra z Krakowa właśnie Luśka. Pamiętam, że gdy coraz częściej mijałyśmy się na schodach i słuchałam przypadkiem jak dyskutują ze szwagrem o jakichś silnikach jedno czy dwutaktach zaczynało się we mnie coś dziwnego dziać, jakaś dziwna tęsknota nie wiadomo za czym, poczucie, że gdzieś obok mnie dzieje się coś ciekawego, bardziej interesującego niż pielienie chwastów na działce czy szkółce leśnej, coś na co ja teraz patrzę jakby zza szyby i nie mogę tego bliżej poznać a Ta istota (czyli moja nieznajoma rówieśnica) tak swobodnie rozprawia..też bym tak chciała. Pamiętam, że ogarnęło mnie uczucie beznadziei i przepłakałam cały dzień. Chciałam się do niej zbliżyć a jednocześnie bałam się - bo o czym z taką mądrą dziewczyną (tak wtedy myślałam) będę rozmawiać. Trzymałam się więc z dala i nurknęłam w swoje książki a ponieważ było ciepło często czytałam w ogródku, który wtedy był tuż przy domu. Pannica (Luśka) trochę się nudziła a widząc mnie kilka razy z książką zainteresowała się osobą tak zaciekle czytającą i przemówiła do mnie pierwsza. I zaczęłyśmy rozmawiać - o ile można to nazwać rozmową - ja chłonełam wszystko co wypowiadało do mnie „bóstwo” i gdyby wtedy chciała obalić w mojej świadomości teorię Kopernika to pewnie by jej się to udało. Bałwochwalczo wykonywałam wszystkie pomysły jakie jej wtedy wpadały do głowy (intuicyjnie wyczuwałam, że to wartościowy człowiek dlatego chętnie podporządkowywałam się). Początkowo tylko spacerowałyśmy po lasach (przedtem sama się bała) a ona mówiła, mówiła, mówiła, gdy brakło tematów zaczęła recytować wiersze (najczęściej Gałczyńskiego). W ten sposób powoli oswajałam się i zaczęłam nieco przytomnieć, dostrzegać pewne śmieszności w jej zachowaniu i zaczęła mnie bawić sytuacja np..”. prawda jaki śliczny fiołek? Fiołek jak fiołek (myślę sobie) pełno tu takich albo -.”jaki piękny motylek! I moja myśl – motylka nie widziała?! A to był zwykły bielinek-kapustnik. Tak zachwycała się każdym kwiatuszkiem, gąsienicą - co prawda kolorową ale dla mnie to był zwykły robal. A swoją drogą wynajdowała rzeczywiście piękne okazy gąsienic olbrzymich, kolorowych na które ja nigdy nie zwróciłabym uwagi. Powoli mijał okres egzaltacji i zauroczenia egzotyczną - jak dla mnie – osobowością nowej koleżanki natomiast zaczęłam jej uważniej słuchać, oceniać i przejmować jej poglądy. Moje poglądy były właściwie żadne, niektóre oceny wynikały z mentalności środowiska w którym wzrastałam. Pamiętam jak do jej siostry pełniącej – jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – rolę lekarza rodzinnego, przyszła

dziewczyna w ciąży. Prosta lekko upośledzona, niezamężna ciesząca się niezbyt pochlebną opinią we wsi. Ja, zadowolona, że mam z koleżanką o czym porozmawiać – przekazałam jej sensacyjne ploteczki na temat tej dziewczyny. I wtedy wysłuchałam monologu na temat pochopnych opinii wydawanych przez otoczenie takich dziewcząt.”A dlaczego to tylko o dziewczynach się tak źle mówi a gdzie są sprawcy tych ciąż ?!!!” grzmiąca. Mówiła długo i przekonująco. Pierwszy raz spojrzałam głębiej na problem, z innego punktu widzenia i w ogóle zaczęłam bardziej zastanawiać się nad wydawaniem ocen, dociekać przyczyn negatywnych postaw ludzi a nie tylko oceniać objawy (prawdopodobnie przyczyniło się to do późniejszej działalności jako pracownik socjalny ale to już dużo później) tak minęły nasze a właściwie jej wakacje bo ja przecież nie chodziłam do szkoły a pracując dorywczo czekałam do pełnoletności a teraz na jej następny przyjazd za rok bo nadal byłam pod jej przemożnym wpływem i chciałam choć trochę przybliżyć się do jej świata i tak minął kolejny rok 1960. Atmosfera w domu była nieciekawa, nie umiałam się porozumieć z partnerem mamy a ona próbowała mnie zmusić siłą do nazywania go tatą ale nie udało się to jej, były częste awantury czepiał się mnie o byle co ale nie do mnie zgłaszał pretensje tylko do mamy słusznie licząc, że będzie mnie siłowo zmuszała do posłuszeństwa. Kończyło się to tym, że uciekałam z domu kryjąc się po lasach a biedna mama szukała mnie z poczuciem winy bo - jak już mówiłam – nie była złym człowiekiem tylko teraz znalazła się między młotem a kowadłem bo pan też czasem miał swoje racje ale niepotrzebnie zamiast mnie „truł” mojej mamie tak długo aż się wściekła a jak mama się wściekła to.....

Taki nieciekawy klimat panował w moim domu aż do pamiętnego 1961 roku. W wakacje znowu przyjechała Luśka i zaczęła się „czepiać” dlaczego nie idę do jakiejś szkoły więc jej mówię, że teraz za późno i egzaminy wstępne do wszystkich szkół się odbyły, że informator o szkołach jest u dyrektora szkoły podstawowej a ja skończyłam ją 3 lata temu (akurat przechodziłyśmy koło drzwi tego dyrektora o czym nieopatrznie ją poinformowałam, a ona nie dając mi czasu do namysłu otworzyła te drzwi i wepchnęła mnie tam). Dostałam od Pana Pasternaka informator o szkołach w których dodatkowy nabór był we wrześniu. W ten sposób „wylądowałam” w Zasadniczej Szkole Łączności w Jeleniej Górze i od roku szkolnego 1961/62 zaczęłam naukę i zamieszkałam w internacie przy ul Złotniczej w Jeleniej Górze. Nie

powiem żebym była prymuską w tej szkole bo uczyć się w po zajęciach szkolnych nadal nie umiałam. Do tego w internacie obowiązywał jakiś regulamin i temu podporządkowywać się nie bardzo chciałam i umiałam (zawsze chodziłam swoimi drogami). Był tam np. poobiedni „spęd „ na jadalni pod nazwą „nauka własna” a kompletnie nie mogłam się skoncentrować w dużej grupie. Koniec cytatu wspomnień.

Jak widać mojej siostrze los bliźnich nie był obojętny. Wracając do rodziny siostry Luśki, oni mają dwóch synów Grzegorza (doktor habilitowany nauk biologicznych na UJ). Według mojego rozeznania, głównie z danych internetowych, posiadając niezły dorobek publikacyjny, mógłby rozpocząć (a może już rozpoczął) starania o tytuł profesora. Jego żona też jest nauczycielką akademicką. Mają dwie córki w wieku szkolnym i jednego syna, jedna córka jest uzdolniona matematycznie. Pilnują jej postępów w edukacji, np. „dlaczego dostałaś z kartkówki pięć a nie sześć?”



Jak widać moja młodsza siostra Luśka z Wojtkiem doczekali się niemało wnucząt. Rok 2012. Pierwszy z prawej Grzegorz Góralski jest dr hab. na UJ na wydz. biologii. Wszyscy mieszkają w Krakowie.

Drugi syn mojej siostry, Maciej jest w biznesie elektronicznych tłumaczeń na obce języki, coś studiuje równocześnie. Ma aż cztery córki w wieku szkolnym (piszę w r. 2011). Na zakończenie informuję, że oprócz moich rodziców, Eugeniusza, nie żyje też mój brat stryjeczny Ryszard i dwie siostry stryjeczne Wanda i Iwona. Iwona

wyszła za pana Barszcza, mieszkali w Gdańsku, mieli syna, który się ożenił z Weroniką, urodziła się im córka Paulina. Tuż przed tymi urodzinami Weronika została wdową, gdyż jej mąż zginął tragicznie w wypadku. Paulina bardzo dobrze sobie radziła w szkole. Gdy miała 13 lat odziedziczyła mieszkancko w Warszawie. Weronika mając zawód krawcowej znalazła pracę w Anglii, w fabryce szyjącej odzież. Paulina skorzystała z okazji i kontynuuje kształcenia się w szkole angielskiej. Gdy ją ukończy postanawia studiować. Jak już studiować, to w Oksfordzie powiedziała! Jak powiedziała tak uczyniła! Oto jej mail wysłany do mnie z Buenos Aires w połowie lutego 2014 r.:

<<Moje miejsce w Oksfordzie zostało potwierdzone - to znaczy że na sto procent od października będę ich studentka!

(pisownia oryginalna). A tak z nowosci, spędziłam trochę ponad 3 tygodnie w Brazylii, 5 dni w Urugwaju i parę godzin temu doatrłam do Argentyny- Buenos Aires. Zostane tu tydzień i wyjeżdżam zacząć pracę w Cordobie. Jest bardzo ciepło. Od kad przyjechałam nie widziałam temperatury poniżej 25 stopni, ale przeważnie jest po 30, 35. Praktycznie wcale nie pada, i muszę powiedzieć że trochę mi brakuje normalnej temperatury bo w takim upale nie da się porządnie odpocząć ani wyspać (chyba że jest klimatyzacja)>>

Jak z tego wynika, jest osobką zaradną, wyzwień nie unika.

Syn mego brata Genka Krzysztof jest tramwajarzem. Bez żony. Na nim a równocześnie na moich synach zakończy się gałąź genealogiczna Małachowskich pochodząca od Michała Małachowskiego, mego ojca. Gałęzie genealogiczne tej rodziny są kontynuowane po braciach mego ojca Jana i Piotra.

Nieszczęścia rodziny.

Należałoby zebrać pewne zdarzenia, które zaliczają się do nieszczęść dotyczących całej rodziny. Od czasu do czasu nad Małachowskimi gromadziły się czarne chmury, z których uderzał piorun.

Problem utraty majątku na Litwie. Ktoś mógłby powiedzieć: no zgoda, utraciliście majątek na peryferiach Litwy, lecz zyskaliście w zamian drugi z daleko solidniejszymi

zabudowaniami i z energią elektryczną. Trudno byłoby z takim poglądem się nie zgodzić, gdyby pominąć pewne fakty. Pomijając wielkość areалу: na Litwie 65 ha, na Warmii – 8 ha, należy przyjrzeć się prawom własności. Otóż, majątek na Litwie jest własnością rodziny (wciąż jest, jak sądzę), natomiast ten na Warmii nie był naszą własnością. Takie wówczas jest prawo. Mamy wyłącznie prawo do mieszkania w nim. Podczas opuszczania nie było możliwości ten majątek komuś odsprzedać. Obecnie taka możliwość już istnieje.

Wspomnę tu też o przykrej przygodzie, jaka przytrafiła się memu ojcu, a w sumie pośrednio dotknęło członków rodziny także. Przed przenosinami do Krakowa wszystkie meble, konie, krowy i resztę dobytku sprzedaje. Jak z tego wynika, uzyskana kwota jest pokaźna. Rodzice mieli zamiar się ją podzielić z nami. Tymczasem całą uzyskaną kwotę w czasie podróży kolejną ojciec trzyma niefrasobliwie w tylnej kieszeni spodni! Często sprawdza czy uzyskane środki są na miejscu. Przesiadka w Warszawie wymagała wówczas przejazdu tramwajem z dworca Wschodniego do Głównego. No i w trakcie tej przeprawy coś poszło nie tak. W pewnej chwili ojciec poczuł, że kieszeń już nie zawiera pieniędzy. Nic dziwnego, że to był dla niego wstrząs. Mógł mnie zawiadomić o tym przejeździe, bowiem w tym momencie byłem w W-wie, niewątpliwie przestrzegłbym go przed złodziejami i być może coś takiego nie wydarzyłoby się. Przy tym, Ojciec mógł się narazić na duże niebezpieczeństwo w przypadku gdyby poczuł wyciąganie pieniędzy. W szamotaninie o sumy sporo mniejsze wówczas (i teraz) można było dostać nożem.

To zdarzenie przełożyło się na nad wyraz trudny początek egzystencji w Krakowie. Na przykład właściciel wynajmowanego przez rodziców pokoju oczekiwał z niecierpliwością na zapłatę. O mało ich nie wyrzucił na bruk, gdy zapłaty nie otrzymał. Z całym szacunkiem dla Taty, lecz nie pomyślał o lepszym zabezpieczeniu kasy. Reszta rodziny w tych ciężkich czasach, też liczyła na jakąś część. W końcu to był dorobek nas wszystkich. Czasy były trudne. Na przykład, jako student posiadam odzież w opłakanym stanie. Żywię się też, czym popadło. Studia były trudne. Żeby ich nie zawalić nie mogłem pracować. To była lekkomyślność mego ojca, bez dwóch zdań. Przepraszam rodzinę, że o tym tak piszę, jednak to nie jest powieść, lecz pamiętnik. Staram się fakty przedstawiać wiernie. Inaczej moje wspomnienia stałyby

się niewiarygodne, a więc bezwartościowe. W końcu dorobek kilku lat naszej pracy został zaprzepaszczony.

Dodam jeszcze takie pytanie: czy nie było sposobu aby zapewnić sobie własne mieszkanie w okolicy Krakowa? Bym próbował pochodzić w okolicznych wioskach z taką ofertą do napotkanych ludzi:

- mam na Warmii solidne zabudowania i 8 ha. Może ktoś chciałby zamienić się miejscami. Mnie wystarczy nawet 1 ha z chatą. Być może jakiś młody rolnik na taką propozycję by poszedł. Nabyte w ten sposób podkrakowskie hektary byłyby do sprzedania w odpowiednim momencie. Natomiast rodzice zostawili warmińską posiadłość nieodpłatnie. Z drugiej strony, w 1955 roku w Polsce wiele ludzi uważało, że poniemieckie ziemie nie ostaną się długo w Polsce. natomiast pogląd taki, nawet wówczas był irracjonalny. Jak to w końcu mogło się stać: oddamy ziemie Niemcom i zabierzemy ZSSR?

Podaję pewne przykłady uwag członków rodziny po przeczytaniu pierwszych fragmentów tego pamiętnika. Moja siostra Marysia (młodsza ode mnie o 3 lata) przypomniała, że ojciec uzasadniał pozostawienie tego warmińskiego gospodarstwa, z uwagi na posiadłości litewskie. Sądził, bowiem, że nabycie na własność polskiego gospodarstwa, uniemożliwi ewentualne odzyskanie litewskiego. Tu nietrudno pokusić się o porównanie wartości obu posiadłości. Według mnie posiadłość polska jest bardziej wartościowa, mimo jej mniejszego areалу. Fragmenty mego pamiętnika czytała też moja ciocia Henryka. Po przeczytaniu tak stwierdziła:

- jest to ciekawe, natomiast nie powinieneś pisać o swoim zmaganiu się z tasiemcami w jelitach.

Czy mam wybierać wyłącznie przyjemne zdarzenia? Natomiast moja siostra Marysia tak komentuje fragment pamiętnika:

- ciekawie napisane, wszelako nieprawdą jest, że Stasiulisowie nie wpuszczali nas do swego domu bośmy mieli brudne nogi.

Tymczasem nie napisałem nic takiego. Przy wchodzeniu do cioci domu nogi musimy oczyścić lub obuwie zdjąć! U nas wycieraczka wystarczała. To jest

zrozumiały nawet w teraźniejszych czasach, mimo, że dziś ewentualny naniesiony brud łatwiej jest z podłogi usunąć. Łatwiej byłoby przy wchodzeniu zdjąć obuwie, jednak latem przyjemniej jest biegać na bosaka. Gdybym o tych szczegółach nie pisał, nie mielibyśmy pełnego obrazu naszego życia. Na przykład ten pierwszy fragment o moim zmaganiu z pasożytami pokazuje, że niełatwo było wówczas osiągnąć wiek dojrzały i co stawało na drodze do dojrzałości. W końcu na dzieci czyhały niebezpieczeństwa i to czasami śmiertelne (wojna, choroby, głębokie jezioro). Pokazuję też rodziny dbające o czystość wraz z takimi, które mniej o nią dbały i dlaczego tak było.

Śmierć rodziców (1989 r.) a potem tragiczna śmierć Genka (1994 r.), śmierć mojego syna Michała (2017), oczywiście wstrząsnęły pozostałymi członkami rodziny i to należy wciąż do największych nieszczęść. Niewątpliwie miały miejsce inne nieszczęścia i niepowodzenia również, tymczasem w tym miejscu zebrałem wyłącznie te, które dotyczyły całej rodziny.

19. WSTĘPUJĘ NA STUDIA UNIWERSYTECKIE...

Jeśli chcesz coś osiągnąć nie proś nikogo o zezwolenie.

Staram się zatem, nigdy nie wybiegać myślą czy marzeniami zbytnio w przyszłość. Koncentruję się na najbliższych zadaniach, które mam do wykonania.

Z tego co wiem, większość z moich koleżanek z Morąga i niemal połowa kolegów pozostaje na Warmii i Mazurach jako nauczyciele w szkołach podstawowych. W tamtych czasach tam nie ma komu uczyć dzieci i dodatkowo analfabetów. W tym okresie obowiązuje tzw. nakaz pracy, wręczany tym, którzy nie szli na studia na Uniwersytet. Dla nas nie było możliwości wybrania się na Politechnikę, gdyż wprowadzili kilka przedmiotów pedagogicznych. Niezgłoszenie się do pracy w miejscu wskazanym przez ten nakaz było karane. Absolwentom naszej klasy wręcz nakazuje się natychmiast przystąpić do pracy jako nauczyciele. Z pewnością wyjątki się zdarzały, lecz żeby się znaleźć wśród tych wyjątków należało się o to postarać. Jednym z wyjątków jest uzyskanie w ministerstwie oświaty zwolnienia z tego nakazu

w związku z podjęciem studiów uniwersyteckich. Załatwianiem tej sprawy podejmuje się mój nieoceniony ojciec. Jedzie do Warszawy, znajduje odpowiednie ministerstwo, gdzie kontaktuje się z odpowiednim dyrektorem departamentu, ponoć kadr, pokazuje mu moje niezłe maturalne świadectwo. Dyrektor powiedział z takim świadectwem szkoda byłoby zatrudniać w szkole podstawowej, a do szkoły ponadpodstawowej wymaga się wykształcenia wyższego. Zatem decyzja jest szybka, dyktuje on treść pisemka sekretarce i ojciec przywozi je ze stempelkiem ministerstwa, które zwalnia mnie od pracy, jako nauczyciela szkoły podstawowej. Coś poszło nie tak, gdyż warunkiem zwolnienia z pracy było podjęcie studiów uniwersyteckich z zaznaczeniem - kierunek matematyka! Widocznie nie zdążyłem ojcu wyjaśnić, że chodzi o fizykę. Szczegółów szukania właściwego adresu w Warszawie i w ministerstwie oraz załatwiania nigdy ojciec nie wyjawia. Z pewnością nie było tam żadnej łapówki.

Pokazuję w kuratorium ministerialne pisemko i nakaz anulują. Warunkiem zwolnienia z pracy nauczyciela jest podjęcie studiów nie na Politechnice lecz na Uniwersytecie na przykład Warszawskim. Wówczas wszędzie są obowiązkowe egzaminy wstępne. Marzyłem o politechnice. Oczywiście obecnie nie żałuję politechniki. Przy okazji wspomnę o pewnej różnicy w procedurze jaka czeka kandydata na studia w naszym kraju (zakładam, że to jest wiadome), a w wyższych uczelniach w USA. Otóż tam należy zacząć się starać o przyjęcie z wyprzedzeniem przynajmniej roku. Na początku wypełnia się kwestionariusze, gdzie liczą się osiągnięcia nie tylko mierzone ocenami, lecz jednocześnie istotne są osiągnięcia pozanaukowe. Dominuje tu sport, praca społeczna, a w niej pełnione stanowiska. Należy przyznać, że nie do końca takie podejście jest zrozumiałe. natomiast pewne podobieństwo tu też bym widział, bowiem za czasów PRLu zaangażowanie na przykład w pracach ZMP czy społecznych, także się liczyło.

Co do wyników zmagania maturalnych, nie miałem obaw, poza tym w końcu nie bardzo wiadomo jak się do matury przygotować. Gdy się w miarę solidnie odrabia lekcje, to się bez obaw zasiada do opracowywania poleceń w czasie matury. W klasie maturalnej odwiedza nas kolega z internatu o nazwisku Żak, który zdał maturę rok przede mną. Jest w tamtym momencie w godnej do pozazdroszczenia brązowej

czapce studenta Politechniki Warszawskiej Wydziału Łączności (obecnie Elektroniki). W jednej chwili podejmuję decyzję: - ja też będę w takiej czapce chodził, nawet w tym roku. Okazało się, iż z opisanego wyżej powodu chodziłem w czapce studenckiej, lecz białej z czerwonym otokiem studenta Uniwersytetu Warszawskiego. Można było studiować na Uniwersytecie Gdańskim. Był bliżej miejsca zamieszkania. Jednak Warszawa mnie bardziej nęciła – w końcu stolica to nie Gdańsk. Mój kolega z klasy, Zbyszek Rozkwitalski wybrał Gdańsk, żeby studiować fizykę.

Niektórzy z moich kolegów z planowaniem wybiegają mocno do przodu. Na przykład na studiach mam kolegów, którzy już na początku studiów twierdzą, że ich celem jest bycie profesorem na wyższej uczelni. Nigdy o takich sprawach nie myślę wówczas w ten sposób. Postępuję według wytycznej: - spoglądanie w zbyt odległą przyszłość może działać depresyjnie wobec mnogości piętrzących się barier do pokonania. Tak czy owak mnie humoru i dobrego samopoczucia nie brakuje, nawet, gdy jakiś egzamin poszedł nie tak. A przeszłość już się stała. Czy były zdarzenia dobre czy nie, już ich nie zmienimy. Dlatego nie należy zbyt żałować, że coś poszło nie zgodnie z oczekiwaniem, a powinienem inaczej za to się zabrać. Koncentracja na bliskiej przyszłości jest lepszą opcją. Tak jest łatwo powiedzieć – natomiast myśli i marzenia biegną swoją drogą. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Parę miesięcy minęło i po uzyskaniu świadectwa maturalnego w Morągu, pełen nadziei jadę na egzamin wstępny do Warszawy, żeby się dostać na studia fizyki na Uniwersytecie Warszawskim. Swoje nazwisko znalazłem na liście kandydatów na matematykę. Udało się przeniesienie na listę kandydatów na fizykę, nie obyło się bez chwilowego zawahania, bowiem matematyczki były zdecydowanie ładniejsze od fizyczek. Kwaterują nas w akademiku na placu Narutowicza. Przed egzaminem, przydarza się mi niemiła przygoda, bowiem pod pachą wytwarza się nad wyraz bolesny i wywołujący gorączkę czyrak wielkości włoskiego orzecha. Rano w dzień egzaminu wstępnego, idę do lekarza, żeby mi czymś posmarował, tymczasem lekarz mówi, że nie obejdzie się bez wykonania małej operacji polegającej na wycięciu tego czyraka. Słucham w osłupieniu i myślę:

- Matko, czyżby w obliczu takiej błaźnotki, mam zrezygnować ze studiów na fizyce?

Mówię mu,

- ależ panie doktorze, za 3 godziny mam wstępny egzamin pisemny z matematyki na UW,

doktor z uśmiechem:

- operacja potrwa pół godziny. A swoją drogą nie zazdrozczę panu takiego egzaminu.

Nieraz spotykamy się z tego rodzaju podejściem do matematyki. Nie wiadomo dlaczego? Po operacji bez znieczulenia (nie mieli odpowiednich zastrzyków), obandażował mnie dookoła tułowia, pojechałem na Al. Ujazdowskie i rozwiązałem zadania. Egzaminatorzy ocenili połowę rozwiązujących te zadania jako wymagających doksztalcenia. Wówczas, potem też, na matematykę i fizykę nie było wielu chętnych, więc mimo kiepskich wyników ich przyjęto i przez kilka miesięcy musieli się z podstaw matematyki doksztalać. Mnie to ominęło. Następnego dnia jest egzamin z fizyki. Wileński profesor astronomii Włodzimierz Zon przewodniczy komisji egzaminacyjnej, popatrzył na wynik egzaminu z matematyki i prosi, żebym opisał jak Ziemia się porusza. Poprawia mnie, nie po kole, lecz po elipsie i zdecydował o moim przyjęciu na pierwszy rok fizyki.

Rozpoczynam studia w październiku 1951 r. i od tego czasu wchodzę w zupełnie inny okres mego życia. Mieszkam w akademikach, otrzymuję stypendium ok. 500 zł. Jak sądzę, to tyle, co teraz, jeśli się porówna siły nabywcze żywności. Natomiast patrząc na tę kasę z innej strony, ona wystarczyłaby na nabycie i to na czarnym rynku tylko 4 dolary! Z tego należało się przez cały miesiąc wyżywić, opłacić akademik, odzież itp. Gdy potem podają w mediach o głodzie w Afryce, polegającym na tym, że na jedno dziecko w rodzinie czasem przypada tylko 1 dolar, to na mnie taka wiadomość nie robi specjalnego wrażenia. Ktoś powie, dobrze, ale siła nabywcza jednego dolara była wówczas znaczna, zgoda, a w Afryce mała?

Z domu niemal nic nie ciągnę, więc nie mam odpowiednich ciuchów. Nie ma mowy o podrywaniu studentek, kiepskie ciuchy i brak środków na kawiarnię czy kino. Rozumiałem trudności finansowe Rodziców, mieli na co wydawać kasę, dwie

dorastające córki... Mnie na dorabianie nie było czasu, bowiem przez cały tydzień, dzień w dzień od poniedziałku do piątku po sześć godzin wykładów, ćwiczeń rachunkowych i pracowni a w soboty studium wojskowe. Dawano niemało prac domowych. To były i nadal są niełatwe studia, dawano nam nieźle w kość.

Wykładali nam znani na całym świecie matematycy jak prof. K. Kuratowski, Mostowski tudzież fizycy, jak współpracownik Einsteina prof. Leopold Infeld (1898-1968), Wojciech Rubinowicz (1889-1974), Stefan Pieńkowski (1883-1953), Andrzej Sołtan (1897-1959), Leonard Sosnowski (1911-1986), Marian Danysz (1909-1983), Bronisław Buras (1915-1994), Jerzy Pniewski (1913-1989), Arkadiusz Piekara (1908-1989), czy nieco młodszy Józef Werle (1923-1998), Wojciech Królikowski (1926-2019), Wiesław Wardzyński (1924-1985), tylko 3 lata starszy ode mnie Jerzy Plebański (1928-2005) (wyemigrował do Meksyku), Ewa Skrzypczak (1929-2020), Jerzy Mycielski (1930-1986), astronom Włodzimierz Zon. Kadra nauczająca była solidna. Większość z wykładowców z zakresu fizyki wróciła po wojnie z zachodu, gdzie w czasie wojny pracowali naukowo na uniwersytetach. Współpracowali tam z takimi sławami jak Einstein, Bohr, Sommerfeld. Usiłowali nam przekazywać aktualną wiedzę. Ciekawostką jest, że żyli po z grubsza rzecz biorąc 75 lat, nie wyłączając Einsteina. Jedynie Rubinowicz, Piekara i Buras żyli dłużej. Niektórych asystentów lubiliśmy ze względów pozanaukowych. Głównie chodzi mnie o asystentki. Wymienię tu Ewę Skrzypczak. Prowadziła zajęcia w pracowni fizyki jądrowej. Była w zbliżonym wieku do naszego, ładna, mądra lecz już mężatka, niestety. 10 lat przed śmiercią udzieliła obszernego wywiadu dotyczącego jej życia prywatnego aż do rozpoczęcia pracy. Przytaczam link: <https://www.1944.pl/index.php/archiwum-historii-mowionej/ewa-teresa-skrzypczak,2354.html>

Profesorowie raczej politycznie nie udzielali się, chociaż niektórzy należeli do partii komunistycznej. Wyjątkiem jest pewien pracownik naukowy w stopniu doktora. Nie będę podawał jego nazwiska. Prof. Infeld w swoich wspomnieniach też jego nazwiska nie podaje, nazywa go Stalinkiem. On bardzo się angażuje w działalność partyjną. Na jego celowniku zwłaszcza studenci figurowali. Na początku marca 1953 roku, gdy w niego jak grom z jasnego nieba uderza wiadomość o śmierci Stalina, zwołuje zebranie wszystkich studentów oraz pracowników, żeby o tej tragicznej

katastrofie dla komunistów oznajmić wysokim, załamującym się głosem, o śmierci ojca pracującego ludu całego świata.

Większość studentów, nie wyłączając mnie należy wówczas do komunistycznego związku o niewinnej nazwie 'Związek Młodzieży Polskiej'. Co pewien czas mamy ogłupiające i pełne kłamstw szkolenia. Partia przysyła w tym celu prelegentów, którzy nam przedstawiają zawite problemy polityczne patrząc na nie przez pryzmat teorii komunizmu. Szczególnie zapamiętałem jedno. Niezbyt inteligentny prelegent zaczyna wyjaśniać nam 'rzeczywistą rolę', jaką odgrywała Armia Krajowa w okresie okupacji. Mną wstrząsają jego następujące zdania:

- AK był to karzeł reakcji powiązany z imperializmem. AK nie walczyło z Niemcami.

W tym momencie mój anioł stróż, którego w tamtym czasie, co wieczór proszę 'aniole stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, we dniu i nocy, bądź mi zawsze do pomocy', wtedy musiał pewnie czekać za drzwiami (nie chciał tego bełkotu słuchać). Słowem nie pilnował i żeby prelegenta sprowadzić na ziemię, mnie się wyrwało głupie pytanie:

- Przepraszam, ale skoro to Karzeł Reakcji, to dlaczego skrót jest AK a nie KR?

On, na to czerwony z gniewu (mimo ponoć głupich pytań nie ma – pewnie o tym nie wiedział):

- Jeżeli tak się do tych spraw odnosicie, mimo moich wyjaśnień opartych na badaniach partii, to ja kończę to wystąpienie!



Leśny oddział bohaterских akowców

W sali powiało grozą, a mnie groziły murowane kłopoty. Nie zdarzyło się do tej pory, żeby prelegent partyjny obraził się na młodzież akademicką. Nie pomagają

blągania dr Stalinka i jak powiedział, tak robi, w stanie nad wyraz wzburzonym, nas 'sieroty' opuszcza. Mnie grozi wydalenie ze studiów, jak amen w pacierzu. Tymczasem szczęśliwie w tym czasie mieszkalem w jednym pokoju akademickim z oddanym przyjacielem Stalinka, studentem Mirosławem Kruczykiem, przewodniczącym ZMP. W wolnych chwilach kręci nas, aby śpiewać rosyjskie melodyjne piosenki. Zatem pod warunkiem, że się mną zajmie, sprawę udaje się zatuszować. Mirosław Kruczyk nigdy potem ze mną o tej sprawie nie rozmawia. Zresztą prywatnie w akademiku nigdy nie uczestniczy w naszych dyskusjach politycznych. Jedynie od tego czasu częściej te rosyjskie piosenki śpiewamy. Mógł się pewnie wykazać przed Stalinkiem z efektów pracy nade mną. Tym sposobem pozostaję na studiach. Opowiadam kiedyś o tej mojej przygodzie swojej religijnej żonie i konkluduję, że nawet, o ile ten anioł istnieje to w tym przypadku mnie zawiódł. Żona na to: - a wyrzucili ciebie ze studiów? Więc nie możesz być pewnym braku tej opieki! To prawda, w tych sprawach człowiek nie może być pewien niczego.

Innym razem, inny prelegent usiłuje nam udowodnić, że w kapitalistycznych krajach robotnicy cierpią w obliczu nędznego ich życia. Jako przykład wybrał Włochy.

- Wiecie we Włoszech robotnicy pochodzący z biednych wsi są zatrudniani przez kapitalistów do budowy autostrad. Robotnicy chcą zaoszczędzić, aby potem od obszarnika kupić kawałek ziemi i tam postawić domek dla rodziny. Zatem zamiast jeść normalnie, ograniczają się do spożywania pomarańcz. Wtedy się nie odzywam, nie proszę się o następne kłopoty.

- O jak chciałbym sobie pojeść pomarańcz, - komuś głośno się wrywa.. Śmiech i cała groza wyzysku Włochów zostaje wygaszona. Tu dla młodzieży należy się wyjaśnienie, że nie tylko tuż po wojnie, ale także w całym okresie PRLu pomarańcz władza do Polski nie sprowadzała. Tym razem prelegent się nie przejął swoim chybionym przykładem.

Raz czy dwa z marnym skutkiem usiłuję Mirka namówić do zaśpiewania polskich piosenek. Przypominam o zachęcaniu go do zaśpiewania przedwojennej żołnierskiej piosenki, melodyjnej i o pięknych słowach, nienawołującej do zadania miażdżących ciosów nieprzyjacielowi, nie tak jak w rosyjskich piosenkach rewolucyjnych i

wojennych. Chodzi mi o wspomnianą przez mnie w innym miejscu piosenkę: - 'Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój...'. Mirek na to:

- Nie wiem czy ta pieśń jest dozwolona.

No i mogłem sam od czasu do czasu ją nucić. Pierwszą brygadę nawet nie próbuję proponować. On był przesadnie ostrożny, nawet takiej piosenki jak „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”, nie chciał śpiewać. A jest niewątpliwie melodyjna i nastrojowa. Wówczas wszedł na ekrany naszych kin polski film pt. 'Zakazane piosenki', były one zakazane przez hitlerowców. Kilka lat po wojnie, kiedy już hitlerowców nie było, znowu się pojawiają zakazane piosenki. Czy ktoś ma wątpliwości, skąd nasza władza czerpała wzorce rządzenia, wychowania, zezwoleń i zakazów? To były końcowe podrygi okresu stalinowskiego. A swoją drogą, od tego czasu na zebraniach nienaukowych staram się głosu nie zabierać. Wówczas jednak pomny olbrzymich poświęceń Akowców, nie zdzierżyłem, musiałem mu nosa utrzyć. Miałem wtedy nieco ponad 20 lat.

Skoro mowa tu o piosenkach w powiązaniu z polityką, zwraca uwagę niezwykle upodobanie śpiewania przez towarzyszy partyjnych w okresie PRL-u. Obowiązkowo śpiewali po zakończeniu tzw. zebrań partyjnych (dlaczego „zebrań” a nie np. narad – niewiadomo). W WAT dużym powodzeniem cieszyła się pieśń posiadająca słowa „armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękoma czarnymi od pługa”. Zapewne z uwagi na słowo „armaty”. W okresie bitwy pod stoczkiem jakoby magnaci, prałaci, panowie myśleli o swoich zyskach. Tymczasem wystarczy przeczytać odpowiednie opracownie historyczne, żeby się dowiedzieć jak tam pod tym Stoczkiem było. Co też uczyniłem. Ciekawy jestem, czy w partii nie mieli historyków?

Otóż, było tak: w styczniu 1831 AD w ramach powstania listopadowego Polacy bili Moskali między innymi pod Stoczkiem. W tej bitwie korpus polski składał się po połowie z kawalerii i z piechoty. W kawalerii służyła młodzież szlachecka. W atakach na Moskali i ich armaty brała udział wyłącznie kawaleria, piechota, pewnie częściowo chłopska, prowadziła jedynie ostrzał, bezpośrednio nie atakowali wroga. Jeżeli ktoś odniósł wrażenie, że niedoceniają wkładu chłopów w naszych walkach o niepodległość, to prostuję – bez ich heroicznego poświęcenia nie mielibyśmy wolnej

Polski. Chociaż w czasach bitwy pod Stoczkiem nasi chłopci, zwłaszcza z powodu pańszczyzny byli rozgoryczeni i mogli mieć obiekcje przy decyzji w sprawie przyłączenia się w walce szlachty o wolność kraju w powstaniu listopadowym. Pozostałe strofy jak by nie było sztandarowej pieśni partii nie są lepsze. Za niewolę i kajdany obciąża się panów i magnatów, tymczasem to ruski car w kajdanach w wieloletnią niewolę na Syberię transportował. A czynsze? Gdzie rodziny robotnicze mieszkałyby, gdyby magnaci nie inwestowali w budownictwo kamienic? Zatem przez dziesięciolecia na zebraniach partyjnych fałszowano polską historię i to nie było robione cicho, lecz bardzo głośno na różne głosy śpiewaków.

Partyzanci w różnych krajach. Skoro tu mowa o Akowcach, to chciałbym się z czytelnikami podzielić refleksją o szerszym zasięgu, a mianowicie o partyzantach jako o szczególnej zbrojnej formacji występującej w okresie wojny, okupacji a nawet gdy te okropne czasy przeminęły. Ogólnie bym powiedział, że partyzanci znosili czasem niewiarygodnie ciężkie warunki życia na granicy życia i śmierci, widząc nikłe światło na końcu tunelu w postaci: - teraz muszę przez to przejść, bowiem kiedyś nadejdą lepsze czasy i zostanę odpowiednio wynagrodzony, a przynajmniej będę odczuwał uznanie za wywalczenie wolności. Obecnie możemy to zweryfikować. Partyzanci w przeciwieństwie do żołnierzy, nie byli objęci żadną międzynarodową konwencją. Z wziętymi do niewoli można było zrobić co się chce, jak ze szpiegami. We Francji system partyzancki był zorganizowany inaczej niż w Polsce. Tu główne siły były rozmieszczone w lasach. Tam mieszkali w ciepłych domach zgłaszając się na zbiórki w przypadku akcji. Po zakończeniu wojny, jak wiadomo, francuzcy partyzanci zostali uhonorowani, jednocześnie los partyzantów Europy Środkowo-Wschodniej był zgoła inny. Na przykładzie Akowców można powiedzieć, że ten los był nawet tragiczny, trwający kilka lat. Sytuacja ich stała się trudna, niejednokrotnie zamiast zaprzestać bycia partyzantami po zakończeniu wojny, kontynuowali leśną wojnę. Takie było zderzenie oczekiwań z rzeczywistością.

Los partyzantów nie we wszystkich krajach Wschodniej Europy był jednakowy. Jako świadek znam całkowicie odmienny los partyzantów litewskich.. Opiszę to, albowiem ich dzieje są mało znane. Oni wywodzili się głównie z przedwojennej organizacji paramilitarnej Szaulai. Nieco działali przeciw sowietom w ciągu roku od

połowy 1940 roku do połowy 1941. Dalej w czasie długotrwałej okupacji niemieckiej ich sytuacja była zgoła odmienna wobec tej jaką miała AK, bowiem całkowicie jawnie wspomagali Niemców w wielu płaszczyznach. To było zwalczanie partyzantki sowieckiej, Akowców, pomoc w zabijaniu Żydów, pełnienie służby wartowniczej na Litwie i za granicą. natomiast nie było ich na froncie, tak jak dywizje węgierskie, czy rumuńskie. Sądzę, że podobnie postępowali partyzanci łotewscy. Ten sort partyzantów w zasadzie miał dwa okresy, które można byłoby zaliczyć do formacji zbrojnych zwalczających okupantów. Jak już wspomniałem, mało aktywny okres na początku wojny oraz walka o przeżycie gdzieś od początku 1944 roku aż do zlikwidowania przez Sowietów ostatnich partyzantów gdzieś około 1950 roku. Dużo ich zdołało uciec z Niemcami, a reszta miała nadzieję, że dzięki międzynarodowym powojennym układom kraje bałtyckie uzyskają wolność. A ponieważ te nadzieje nie spełniły się, ich los został przypieczętowany, tak jak to się stało z Akowcami.

Powracam do swoich spraw. Na studiach tym razem jest swoboda, nie mam koleżki, który by ciągnął do uczenia się. Do egzaminów sesji letniej zaczynam się przygotowywać, gdy zakwitły kasztany. Na innych kierunkach pewnie to by wystarczyło, żeby zdać na piątki. Na matematyce, fizyce i chemii – stanowczo za mało. Byłem czwórkowym studentem, czasem trafiały się piątki bądź trójki, bowiem mnie bardziej odpowiada rozwiązywanie zadań, problemów, niż wkuwanie teorii i matematycznych dowodów niezbędnych do zdania egzaminów. To nie znaczy, że teoria poszczególnych przedmiotów jest mniej ważna (sam wykladałem teorię) niż umiejętność rozwiązywania problemów. Teoria jest fundamentem nauki. Studia były nad wyraz wyczerpujące, bowiem zmusili nas do studiowania 4 lata z programem 5-letnich studiów. Jest wtedy dotkliwy brak fizyków, matematyków i chemików, zwłaszcza w szkolnictwie. Tak jak w klasie maturalnej, tak i na studiach dodają przedmioty pedagogiczne takie jak dydaktyka, psychologia. Jeden z egzaminów utkwiał mi w pamięci, więc go tu opiszę. Był to egzamin z przedmiotu chemii organicznej. Wszystkie egzaminy z zakresu fizyki zawierały jakieś zaczepienie w naszych poprzednich wiadomościach. To jest pewnym ułatwieniem w zrozumieniu omawianych problemów. Do chemii nie było takiego odniesienia. Zatem na egzaminie w znacznym stopniu liczyliśmy na szczęśliwe pytanie. Pani

profesor wpuszczała do swego gabinetu po kilka osób i zadawała po kolei pytania. Zauważyłem, grupkę kolegów coś szepczących między sobą i podążających do gabinetu na egzamin. Szybko dołączyłem do nich i usiadłem na końcu. Okazało się, że koledzy wymyślili trik polegający na zadawaniu pani profesor pytań, zamiast oczekiwać ich od egzaminatorki. Ta grupka ten sposób stosowała i przy innych egzaminach, tak to sobie wtedy wyobraziłem. Tym razem haczyk został połknięty i pani wyjaśniała wątpliwości po kolei każdemu. Gdy wreszcie doszło do mnie, przerwała wyjaśnienia i poprosiła o indeksy. Wszystkim wpisała piątki nie wyłączając mnie. Nie powiedziałem ani słowa a otrzymałem 5! O tym dziwnym fakcie dotyczącym mojej osoby, egzaminowana czwórka moich kolegów pamiętała nawet po 40 latach, na naszym zjeździe! Co się wówczas stało? Oni myśleli, że pani profesor miała dość wyjaśnień i nie chciała słuchać dodatkowego pytania. Tymczasem przyczyna była inna. Gdzieś miesiąc przed egzaminem, spieszyłem na jej wykład idąc z przystanku tramwajowego, wyprzedzam panią profesor kłaniając się jej. Ona pyta czy idę na jej wykład i czy wszystko co nam tłumaczy jest zrozumiałe. W czasie rozmowy zgłaszam wątpliwości dotyczące problemu samorzutnego łączenia się atomów tlenu w cząsteczkę. Dwa atomy będąc przecież neutralnymi, przyciągają się tworząc trwałą cząsteczkę. Oświadczyła wówczas: - O to jest skomplikowany problem. Poruszę go na wykładzie. Niestety go nigdy nie wyjaśniła na wykładzie, a nie zapomniała o nim, bowiem na wykładach zerknęła w moją stronę. Chemicy zajmują się nieco innymi problemami. Tymczasem to jest problem fizyków. W szkole średniej ten problem się wyjaśnia na modelu przypominającym klocki logo, elektrony łączą się korzystając z wolnych miejsc na orbitach. Tymczasem musi zadziałać pewna siła aby połączenie doszło do skutku, a także siła utrzymująca taki związek. Gdyby takiej siły nie było, atomy by się łączyły i rozłączały po chwili, tymczasem ten związek pozostaje nienaruszony, trwały. To się wyjaśnia gradientem potencjału w pobliżu atomu. W kostkach logo też paluszki dziecka muszą zadziałać pewną siłą. Pewnie na egzaminie mnie nie niepokoiła, żeby uniknąć tego, jak fizycy wiedzą, dość skomplikowanego wyjaśnienia. Ale mogę się mylić. Wspominam o tym egzaminie mając na względzie jego wyjątkowość (przynajmniej dla mnie). O pozostałych egzaminach nie będę opowiadał: ich scenariusz był niemal identyczny, stało się

przy tablicy z kredą w rękę, a profesor znęcał się zadając pytania. Zwykle brak zadowolającej odpowiedzi na jedno pytanie skutkowało oceną niedostateczną. Jeżeli ktoś miał czelność i wdawał się w negocjacje, mógł liczyć na dostateczną. Wspomnę też o pewnym dość przeciętnym studencie, który przed sesją egzaminacyjną kupował w księgarniach książki dotyczące fizyki i nosił je do egzaminatorów. Nie wypadało im źle go ocenić. Wspomnę przy okazji, że ten student trzymał się pewnego przesądu. Otóż prosił każdego, aby mu nie opowiadali czegoś co nie jest związane z fizyką. - Bowiem mózg ma ograniczoną pojemność a dodatkowe zbędne informacje mogą zająć całą jego pojemność i na fizykę zabraknie miejsca. Sam nieraz coś opowiadał nawet nie na temat fizyki, lecz nigdy nas o nic nie pytał. Jak ten problem przedstawia się w świetle obecnej nauki? Współcześni badacze są zgodni co do tego, iż jedynie niecałe 20% pojemności mózgu jest zajęta przez informacje. Pozostały obszar pamięci jest wolny! Zatem nie potrzebnie kolega się martwił. Należałoby dodać to nie historyjki zajmują dużo pamięci a obrazy, które chcemy czy nie, widzimy cały dzień bez przerwy.

Przy okazji taka sobie historyjka. Do gabinetu profesora wchodzi student. Profesor (wiedząc, że nie ma do czynienia z orłem): - zadam panu dwa pytania. Jeżeli pan na nie odpowie prawidłowo, to zaliczę egzamin. Pierwsze pytanie to jak się nazywam, a drugie z jakiego przedmiotu pan usiłuje u mnie zdawać egzamin? Po opuszczeniu gabinetu ten student mówi do kolegów: - a mówiliście, że u niego wszyscy zdają. Może bym tej niezbyt wymagającej historyjki nie przytoczył, gdyby mnie się nie przytrafiła podobna historia. Otóż na Politechnice Radomskiej dzieliłem gabinet z prof. Dubikiem. Oba nazwiska widniały na drzwiach. Jestem sam w pokoju. Wchodzi nieznajomy student. Wywiązuje się następujący dialog: - dzień dobry, poszukuję pana prof. Małachowskiego, - a w jakiej sprawie pan do niego? - przyszedłem na egzamin. - a z jakiego przedmiotu? - coś z informatyki. - tak się składa, ja jestem Małachowskim. Pewnie pan wolałby przyjść w następnym terminie? Na oba wyżej wymienione pytania nie był w stanie odpowiedzieć: ani jak się nazywam, ani nazwy przedmiotu. On jest przykładem wcale niemałej liczby studentów pracujących zawodowo i równocześnie usiłujących studiować. Zwykle na wykłady nie uczęszczają.

Wracam do moich studiów. Pracę magisterską wykonałem pod kierunkiem W. Wardzyńskiego, wówczas magister. On, jako już profesor był także recenzentem mojej pracy doktorskiej. Był człowiekiem chorowitym. Opowiedział o zawale, którego doświadczył będąc na konferencji w Londynie. W tamtejszym szpitalu poili go koniakiem i pomogło. Wiedziałem o jego problemach zdrowotnych, skarżył się też na niewydolność nerek. Po obronie pracy doktorskiej zaprosiłem komisję mego przewodu do restauracji Krokodyl na Starym Mieście. Jeden z członków komisji wypomniał mi potem moje niefortunne odezwanie się. Zamiast zachęcać do spożywania śledzi, mając na względzie nerki profesora, oświadczyłem, że następne danie będzie zdrowsze. Przecież gdybym wówczas powiedział o nerkach profesora, to byłoby gorzej. Po studiach wręczają nam nakazy pracy. Skoro ktoś poprzednio nie uzgodnił miejsca pracy, to kierowali do pracy nauczycielskiej. W okresie moich studiów, zajęcia z zakresu fizyki miały miejsce na ul. Hożej w Instytucie Fizyki. Natomiast zajęcia z zakresu matematyki (wspólnie ze studentami matematyki) – w Instytucie Matematyki znajdującym się w Parku Łazienkowskim.

Przyjaciele studenci. Na przyjaciół się nie nażeka, chyba jedynie w przypadku zdrady, czy niezastuzonej krytyki. Ja nie miałem ku temu powodów. Za wyjątkiem okresu litewskiego. Zawsze miałem przyjaciela lub dwóch u których mogłem się zwierzyć z problemów mnie nurtujących, lub kogoś wysłuchać gdy się mu zbierze na rozmowę. Nawet na Łotwie miałem przyjaciela w internacie, który na przykład mnie zaprosił do swojej litewskiej rodziny w czasie weekendu. W morąskim internacie jeden z przyjaciół Łojewski zaprosił mnie na weekend do leśniczówki swego ojca. Trochę ryzykując wręczył mi nabitą dubeltówkę, poszliśmy do lasu na polowanie. Posadził mnie na ambonie, nie mówiąc co mam robić, a sam powędrował dalej. Tak stojąc z bronią w ręku zauważyłem pięknego lisa. Był czujny, zauważył mój ruch i czmychnął w krzaki, niestety. W czasie studiów mam kilku niezawodnych przyjaciół także: Petykiewicz, Salamonik, Perzyna, Kruczyk, Duda, Kujawski, Kur, Niedzielski. Z nimi wówczas mieszkam w jednym lub w sąsiednim pokoju akademickim, jeździmy razem na zajęcia, na szkolenia wojskowe, na potańcówki (wówczas nie było dyskotek). W okresie wakacji w czasie studiów a także gdy już pracowaliśmy jeździmy na wycieczki. Były to Tatry

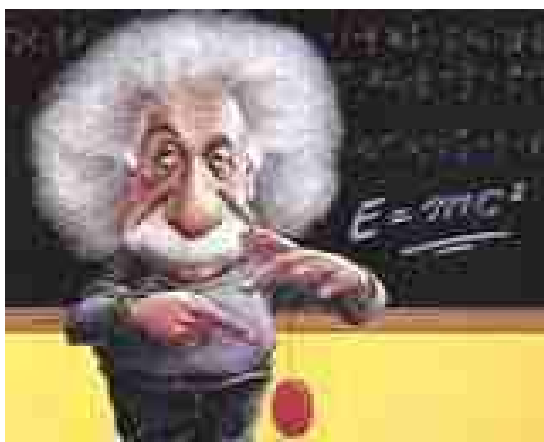
lub Bułgarskie plaże. Znacznie później czterech z nich zostało profesorami. Niektórych postępy naukowe także śledziłem. Petykiewicz był przez współpracowników Politechniki Warszawskiej ceniony. Dowodem były jego wyborcze sukcesy jako Dyrektora Instytutu Fizyki i potem dziekana Wydziału Fizyki. S. Duda to profesor na uniwersytecie hamburskim. Kujawski



kilkakrotnie wyjeżdżał do pracy do ośrodków naukowych za granicą. **Instytut Fizyki przy Hożej** Zatrudniony był na wydziale fizyki na PW. Jeden z jego studentów opowiadał o przebiegu wykładu z zakresu optyki. Zwykle na początku wykładu zaczynał realizować właściwy program, lecz nie wytrzymywał i przechodził do omawiania problemów z zakresu optyki, którymi

aktualnie się zajmował. Studenci nie protestowali, aczkolwiek dla nich to było niezrozumiałe. Powracam do swojego okresu studiów i mieszkaniu w akademiku na pl. Narutowicza. W jednym z sąsiednich pokojach akademiku mieszkał student chińczyk. On studiował na Wydz. Mechanicznym Politechniki. O nim wspominał, bowiem był stosunkowo wysoki, przystojny i inteligentny chłopak. Lubił do nas przychodzić na pogawędki. Opanował dobrze nasz język. Mogliśmy go popytać o zwyczaje chińskie także. Na przykład twierdzi, u nich rano zamiast jakieś 'dzień dobry' czy coś w tym rodzaju, mówi się na przywitanie 'czy już jadłeś?' Zatem gdy tylko go spotykamy, wszyscy chórem do niego „czy coś jadłeś?” mówimy. Cieszył się z tego. A swoją drogą nasze 'dzień dobry' żadnych pytań o zdrowie nie zawiera. W krajach anglosaskich 'How are you?' już lepsze, bo przy odpowiedzi się zadaje to samo pytanie. Wówczas jest wszystko jasne, znaczy rozmówcy są zdrowi, bądź pomoc jest potrzebna. Może się przyjmie rzadko słyszane 'Jak się masz?'. Chociaż wątpię, gdyż tak się odezwać do każdego nie podobna. Na Europejczyków w Chinach mówią 'długie nosy'. Dowiadaliśmy się od niego takich i innych dziwolągów. Był też repatriant z Francji, który studiował na Uniwersytecie filologię romańską. Miał olbrzymią przewagę nad pozostałymi studentami tego kierunku bowiem specjalizował się w języku francuskim. Lepiej mówił po francusku niż kadra nauczająca.

Teorie starego Einsteina pilnie przyswajaliśmy w Instytucie Fizyki Tymczasem mimo to nieco narzekał, gdyż jego program



nauczania obejmował też niemało innych przedmiotów. Chociażby gramatykę polską. Z takimi przedmiotami z kolei inni studenci mieli mniejsze kłopoty. Przy okazji na temat słowa 'repatriant'. Wiadomo 'patria' to ojczyzna, z uwagi na to przedrostek 're', w tym przypadku określa, tego, któremu się ojczyznę przywraca, czy coś w tym rodzaju. Wspomnę tu także o przystudze, jaką wyświadczam koledze studentowi matematyki o nazwisku Ziolo. On od paru dni przeżywa okropnie cierpienia wywołane bólem zęba. Wieczorem, gdy ból jest nie do zniesienia, lituję się nad nim i proponuję, nieco żartem, usunięcie tego zęba. On się tej propozycji chwyta jak tonący brzytwy, gdzieś znajduje obcęgi i zdecydowanie siadając na krzesło krzyknął coś takiego: - rwij Kali! Wówczas miałem ksywę 'Kali'. Ta ksywa przyczepiła się mnie, gdy pewnego razu nieopacznie po posiłku stwierdziłem klepiąc się po brzuchu 'Kali się najeść do syta'. Koledzy to podchwycili i zostałem Kali. Obawiam się, iż wówczas bardziej kochałem jedzenie niż obecnie w obliczu braku środków. Na zjeździe naszego rocznika po 40 latach namawiałem ich do nazywania mnie Kalim, bez skutku, niestety. No więc wahając się przy podjęciu tego dość makabrycznego zadania mówię Ziolo: - czemu nie idziesz do dentysty, nic to nie kosztuje? - boję się, już raz byłem tam, okropnie bolało, rwij, siebie się nie boję. Cóż było robić, zaszły tak daleko, że w sumie wycofać się było nie sposób. Inni koledzy odwracają głowy, chwytam te nieco nadwerężone korozją obcęgi, ściskam nimi wskazany ząb, rozlega się trzask i w dziąśle zostaje koniec utamanego korzenia. Ziolo wstaje, ma pełną gębę krwi, ktoś podaje mu kubek zimnej wody, wypłukuje usta, pokręca głową i oświadcza, że już mniej boli a po pewnym czasie wrzeszczy: - Kali, ten ząb mi w ogóle przestał boleć, niech cię uścisnę! Pewnie nerw został usunięty bądź przerwany. W latach znacznie późniejszych nieraz spotykałem tę swoją ofiarę, w końcu pracowaliśmy w tej samej uczelni. Wciąż się serdecznie do mnie uśmiechał pokazując coraz to mniej zębów – ale do dalszych ubytków jego uzębienia ja już się nie przyłożyłem. Zawsze się cieszę ze spotkań z kolegami z okresu studiów. Skoro jesteśmy w czasach studenckich w domu akademickim, to przy okazji opiszę pewne zachowania dotyczące mnie jak też kolegów. Jak to w czasach powojennych, mamy bym powiedział zbyt mało kasy na wyżywienie. Tylko w okresie przerw świątecznych, czy międzysemestralnych w domach

rodziny objadamy się. Zazwyczaj mamusi zaopatrują nas w prowiant, gdy wracamy do akademików. Tak to wyglądało w pierwszych wyjazdach na pierwszym roku. Tymczasem potem moi koledzy zaczynają przyjeżdżać bez prowiantu. Moja mama wciąż mnie zaopatruje w domowej roboty kiełbasy, jajka. Wiecie jak to jest, - coś blado wyglądasz, posil się tym, gdy będziesz w akademiku, mawiała. Potrafiła wytwarzać też wino z porzeczek. Przywoziłem kilka butelek tego niskoalkoholowego trunku. Nie było na to mocnych, wszystko zniknęło w kolegach i moim żołądkach w ciągu dosłownie jednego dnia. Zgłaszałem do nich pretensje, że oni nic nie przywożą. Twierdzili, że nie mają co przywozić, a prawda jest taka, po jaką cholere mam przywozić, skoro nic z tego nie będę miał, doszczętnie i to niemal błyskawicznie koledzy spożyją. Tylko kolega Seweryn Duda (obecnie profesor w Hamburgu) pochodzący z zamożnej rodziny ze Śląska przywoził prowiant, lecz był w posiadaniu walizki zamykanej na zamek. Z nikim nie dzielił się żywnością. Po 40 latach mamy zjazd naszego roku fizyki. Podchodzi do mnie kolega prof. Duda, zaczynamy wspominać tamte studenckie lata. W pewnym momencie takie zdanie od niego słyszę: - pamiętasz jak przywoziłem prowiant po przerwach w nauce i jak wszyscy rzucaliście się na moje jedzenie. Cała zawartość mojej walizki szybko zniknęła. Nikt z was żywności nie przywoził. Wówczas dyskretnie nic nie odpowiedziałem. Jak widać pamięć bywa zawodna. A może to była próba ostatecznego pogrzebania w pamięci niekoleżeńskich w istocie zachowań kolegi Dudy? A jak wyglądała rzeczywistość? Po skonsumowaniu moich zapasów, następnego dnia łakomie spoglądamy na tę jego walizkę, ale jej zawartość jest zabezpieczona zamkiem. Ktoś wpada na pomysł, żeby mu zrobić kawał. Jeden z nas ma większą walizkę niż ta z prowiantem. Chowamy jego walizkę do większej walizy, co prawda bez zamka, lecz nie mógł się domyśleć gdzie się podział jego skarb. Szukał trzy dni, w końcu odgraża się, zgłoszenie kradzieży i pod jego nieobecność z nienaruszoną żywnością skarb się znalazł pod jego łóżkiem. Rozpisałem się o żywności, obecnie to nie jest problem wymagający omawiania. Za wyjątkiem problemu diety jedynie. natomiast w pierwszych powojennych latach to jej ilość była problemem. Studenci oraz niemało innych obywateli zwykle byli nieco głodni, niestety. Z jedną studentką fizyki zaprzyjaźniłem się bliżej. Z Krysią Szczepaniak początkowo zajmujemy się

Dla Ciebie Ojczyzno biją nasze młode serca



organizowaniem imprez ZMP, na potańcówkach niemal wyłącznie ją proszę do tańca. Przed tym trochę chodziłem na nauki tańców towarzyskich u Braci Sobiszewskich. U nas nie było zwyczaju, żeby w czasie przerw po kolejnych tańcach dotrzymywać towarzystwa swojej partnerce. Maszerowało się do kolegów, żeby np. piwo wypić i wymienić poglądy dotyczące koleżanek. Gdy tylko rozpoczynają grać kolejny kawałek, ruszało się do

zapraszania. Pewnego razu, doszło do nietypowej sytuacji, w momencie ruszenia do zapraszania do tańca, Krysia stała z koleżanką wg mnie bardziej człowieka absorbującą niż Krysia. No i zamiast Krysi proszę do tańca jej koleżankę. Ona zapewne solidaryzując się z Krysią grzecznie mi odmawia. No to ja niezrażony z kolei proszę Krysię. Zgodziła się, wszelako z kwaśną miną powiedziała:- To wygląda na to, skoro ona nie chce, to w końcu ja mogę być twoją partnerką. Na bezrybiu i rak rybą. Tak się w tamtych czasach tańczyło! Zachęcano do zasilania szeregów ZMP Gdyby to rzekła z uśmiechem, to być może potwierdziłbym i wszystko powróciłoby do normy, lecz te słowa zostały wypowiedziane ze sporą dozą pretensji. Mnie to oraz odmowa koleżanki wprowadza w kiepski nastrój i tego wieczora już nie tańczymy ze sobą. Później bez większego entuzjazmu z mojej strony spotykamy się w wolnym czasie w sprawach związanych z ZMP. Obawiam się, nie było warunków na bliższą z nią znajomość. Nie przejawiamy inicjatyw w tym kierunku. Brak środków na kawiarnię, kino czy teatr. Samo ZMP – za mało. Słowem, z końcem studiów ta znajomość się urwała. Przepraszam za te relacje, są to takie sobie, nic nieznaczące ple, ple, ple. Wiele, wiele lat minęło, gdy jedyny raz Krysię spotykam na egzaminie i obronie doktorskiej jej doktorantki dr Ewy Stancel. Krysia jest promotorem, zaś ja w komisji egzaminacyjnej. Udawała, że mnie nie zna,

czyżby nosiła coś w rodzaju urazu do mnie? Skoro zamieściłem spis maturzystów z którymi zdawałem maturę, więc także zamieszczam spis absolwentów kierunku Fizyka na UW, z którymi równocześnie w 1955 roku uzyskałem dyplom mgr fizyki.

Ewa Adamska (Sochacka), Lesław Adamski, Anna Cygan (Rejman), Christian Droste, Seweryn J. Duda, Bogna Frejlik (Święcicka), Wojciech Frejlik, Barbara Feret (Zajac) Zygmunt Frukacz, Sławomir Gibowicz, Krzysztof Haman, Jerzy Jankowski, Marian Jaszczak, Jędrzej Jędrzejewski, Danuta Kowalczyk (Praczkowska), Czesław Królikowski, Jadwiga Kruczyk (Dratkiewicz), Mirosław Kruczyk, Adam Kujawski, Maria Lefeld (Sosnowska), Anna Łaska (Raczunas), Sławomir Maj, Krystyna Mączyńska, Mączyński, Michał Janusz Małachowski, Zbigniew Moroz, Maria Moszyńska, Krzysztof Moszyński, Krystyna Mizeracka (Kuchnio), Stanisław Otwinowski, Jan Petykiewicz, Tadeusz Pietras, Zbigniew Płochocki, Adam Perzyna, Zygmunt Prejbisz, Antoni Rogulski, Edward Rurarz, Andrzej Senatorski, Andrzej Sukiennicki, Stanisław Salamonik, Józef Smolik, Józef Sajniak, Ryszard Sosnowski, Ziemowit Sujkowski, Jerzy Swianiewicz, Jerzy Szymański, Wanda Szymańska (Zalewska), Andrzej Szymborski, Jerzy Przyjemski, Stanisław Ugniewski, Józef Wasiak, Irena Wilczyńska (Górska), Józef Winkowski, Andrzej K Wróblewski, Hipolit Włodarczyk, Janusz Zakrzewski.

20. PO STUDIACH

Tatry i inne cele podróży

Przez wzgląd na trudne studia, mało mamy czasu na rozwijanie przyjaźni zarówno z kolegami jak i dziewczętami. Więcej czasu mamy na to po ukończeniu studiów, w okresie pracy zawodowej. Wówczas w pracy, nasze koleżanki niestety już były mężatkami. Nie bardzo jest jasne dlaczego tylko kilku z nas one wybrały za partnerów dalszego życia. Po studiach wolny czas spędzamy z kolegami jeszcze z okresu studiów. Zaprzyjaźniam się z Maćkiem Niedzielskim, prowadzimy przyjacielskie rozmowy. To jest człowiek, bym powiedział, nietuzinkowy. Nie chodził na koncerty, a jednak posiadał wyjątkową pamięć do poważnej klasycznej muzyki. Wystarczy, że usłyszy jej dźwięki i natychmiast powie jak się ten utwór zwie i kto jest kompozytorem. Przy tym nie potrafił grać na żadnym instrumencie, ani też zaśpiewać jakąkolwiek piosenkę. Z nim w okresie wakacyjnym po górach chodzę. Przed swoją chorobą odwiedza regularnie mnie, nawet, gdy już założyłem rodzinę. Zwłaszcza łożenie z nim po Tatrach z przyjemnością wspominam. Staramy się wtedy postępować według wytycznej: 'Żyj w słońcu, pływaj w morzu, pij świeże powietrze'. Szukaliśmy w Tatrach piękna, w końcu 'wszystko posiada coś pięknego, lecz nie każdy to może dostrzec'. A jednocześnie można stwierdzić za Konfucjuszem, 'najlepsze rzeczy na świecie nie są rzeczami'. Tak czy owak, wówczas nie ganiamy za dodatkowymi zarobkami.

Detalicznie nasze wędrowanie po szczytach Tatr wyglądało następująco. Bierzymy ze sobą sprzęt biwakowy, namiot, śpiwory, materace dmuchane, kuchenkę na denaturat, naczynia do gotowania i do posiłków, i prowiant także. Pociągiem dojeżdżamy do Zakopanego. Następnie bezzwłocznie, w marszu ruszamy w góry. Zazwyczaj na Czerwone Wierchy. W trakcie wspinania się z wyładowanymi plecakami, jeszcze dzisiaj pamiętam 'roztętnioną krew w żyłach', tak jak w piosence. Sił starczy aż do szczytu, gdzie namiot stawiamy (wbrew przepisom). Wylegujemy się do następnego południa, dlatego tak długo, bowiem w nocy niezbyt się dobrze śpi z powodu zimna. Temperatura spada niemal do zera. Po wstaniu posilamy się i oglądamy Tatry z wysokości. W ten sposób wędrowaliśmy po Tatrach 2 tygodnie,



*Przyjem
nie jest tak
beztrosko*

sobie powędrować

schodząc z nich po prowiant od czasu do czasu. Opisuję to, gdyż w latach późniejszych, ze względu na restrykcje ekologiczne, takie wędrowanie staje się utrudnione. Maciek jeździł z nami do Bułgarii także. Potem zachorował psychicznie rezygnując z pracy i z przyjaciół. Nikt z nas nie wie gdzie on aktualnie się znajduje.

Nieraz wakacje spędzaliśmy na plażach bułgarskich.



Nie było innego wyjścia. Przyjaciele z czasów młodości stawali się coraz bardziej nieosiągalni, bowiem zajmowali się pracą i rodziną. Wobec teorii, która głosi: przyroda nie lubi próżni, z upływem czasu pojawiają się inni przyjaciele. W mojej pracy watońskiej bliżej zaprzyjaźniam się z prof. Józefem Żmiją. Spotykam się z moim kuzynem prof. Janem Petykiewiczem także. Nigdy mnie oni nie zawiedli. Nie miałem tego rodzaju potrzeb, aby się zwracać o wsparcie do przyjaciół. Zwykle się prosi przyjaciół o pomoc, gdy się nie ma innego wyjścia. Natomiast do osób krewnych nietrudno się zwracać o wspomoczenie nawet, gdy potrzeba nie jest paląca. Janek pomocy nigdy nie odmówił.

Z Jankiem Petykiewiczem też ze dwa razy wybrałem się w Tatry. On moich synów raz tam zabrał także. Z nim też zapisaliśmy się w 1957 roku na zorganizowany zbiorowy spływ kajakowy od Warszawy do Bydgoszczy. Trwał 13 dni. Wówczas nie było wzdłuż trasy spływu miejsc noclegowych na przykład w domkach kempingowych. Wieźliśmy ze sobą zarówno namioty jak i kuchenki na denaturat. Nocujemy w czasie postojów na dzikich kempingach. Chodzimy po aprowizację do pobliskich sklepów. Taki wyczyn zostaje w pamięci na całe życie. Tymczasem w życiu rodzinnym nie zawsze jest różowo. Jan najwcześniej z nas się ożenił, dochował się syna Krzysia i córki Magdy. Niestety nie ominęła go straszna tragedia. Krzysztof wówczas student PW, pod koniec lat osiemdziesiątych pojechał do Turcji na wycieczkę tylko z przyjacielem. Z relacji którego wynika, że pewien Turek namówił ich na objazd po mieście nieodpłatnie. W aucie poczęstował ich jakimś napojem, bo było gorąco. On poczuł się źle i wysiadł z auta a Krzysz pojechał dalej i już się nie spotkali. Zgłosił to na policję i szybko wrócił do kraju. Po kilku dniach policja

zawiadomiła rodziców Krzysia, że znaleziono zwłoki bez dokumentów i proszą o przyjazd w celu rozpoznania zwłok. Znaleźli go po za miastem w rowie z wodą. Pojechał Jan z narzeczoną córki. Zwłoki były w takim stanie, że ojciec nie był pewny ale jego towarzysz potwierdził. Został w szczelnej trumnie przewieziony do W-wy. Ujęli sprawcę, chcieli aby na rozprawę sądową przybył świadek czyli towarzysz wycieczki, ale on się bał i tam nie pojechał. Podobno mimo to bandyta dostał jakiś wyrok, ale co z tego..

W pracy zaprzyjaźniłem się z Wojciechem Ratyńskim, kończył studia fizyki o rok przed nami. On był inicjatorem naszych obecności na różnego rodzaju imprezach, h muzycznych, głównie koncertów muzyki klasycznej. Jemu zawdzięczam decyzję zdobycia prawa jazdy. Wspólnie z Wojtkiem odbywaliśmy zarówno szkolenia jak i egzaminy. Profesor W. Ratyński stosunkowo szybko realizował karierę naukową w dziedzinie fizyki jądrowej. Na badania naukowe został wysłany na zachód, doszedł do tytułu profesora, potem przez kilka lat kierował Instytutem Fizyki Jądrowej w Świerku. Zmarł na Alzheimera nie osiągając sędziwego wieku.

Z kolegami a potem z rodziną w czasie wakacji staramy się czynić wypadki też za granicę. Nie było wówczas takiej swobody w tym zakresie. Aczkolwiek kilka krajów bez przeszkód można było zwiedzać. Zazwyczaj to były miesięczne wyjazdy. Ponieważ powtarzały się co roku, to takie kraje jak Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Ukrainę, Jugosławię, Grecję, Turcję, Austrię a zwłaszcza Bułgarię poznaliśmy dość dobrze. Wycieczka kilku samochodami z zaprzyjaźnionymi rodzinami jest bezpieczna i zwykle przebieg jej jest weselszy. Przy okazji chciałbym się podzielić następującą refleksją. Jeździliśmy przez różne kraje, w różnych okresach PRLu, lecz w żadnym kraju nie stwierdziliśmy gorszego zaopatrzenia w sklepach niż w Polsce. Oczywiście ktoś za to odpowiadał. Nigdy nie pociągnięto tego kogoś do odpowiedzialności za te niedomagania. Nie twierdzę, że ten ktoś zasłużył na więzienie, wszelako na dymisję z pewnością. Natomiast po roku 1990 odwiedziliśmy prawie każdy kraj europejski. W tym okresie najczęściej korzystamy z wycieczek zorganizowanych przez biura podróży do Włoch, Francji, Hiszpanii, Portugalii. Zwiedziliśmy cmentarz polskich żołnierzy na Monte Cassino (M. C.).

Tu chciałbym się podzielić tematem całkowicie ponoć zamkniętym udokumentowanym do końca w Polsce. Klasztor został zdobyty dzięki bohaterstwu

polskich żołnierzy i basta. Tymczasem w TV oglądałem francuski dokumentalny filmik na ten temat. Otóż wg nich, klasztor zdobyli Francuzi! A przytaczane w tym filmie wywiady z uczestnikami tej bitwy Francuzami, częściowo przeczyły temu. Różne były wypowiedzi, o zaciekłych bojach tam nie padło słowo. Jeden z uczestników twierdził: - nie dążyliśmy do wzajemnego zabijania się. Rozmawialiśmy z Niemcami, nawet im rzucaliśmy papierosy. Potem, gdy Niemcy musieli opuścić teren klasztoru, to nasze oddziały tam weszły (pewnie musieli Niemcy klasztor opuścić, gdyż im papierosów zabrakło).

Pięknie, humanitarnie, bez dwóch zdań. natomiast, gdyby wszyscy tak z Niemcami postępowali, to faszyci by nami rządili do dnia dzisiejszego. Nawet Francuzom daliby 'popalić'. W czasie tamtej wojny Niemców należało zabijać lub brać do niewoli, nie było innej drogi prowadzącej do zwycięstwa. W całym tym francuskim 'dokumencie' o Polakach ani słowa. Swoją drogą – Polacy obrzucali ich granatami, a Francuzi papierosami! Nie wspomnieli, że ocaleni papierosami Niemcy mogli potem w innych bitwach zabić pewną ilość Amerykanów czy Anglików. Jest tam cmentarz naszych i niemieckich żołnierzy, tymczasem francuskich – ani śladu.

W reportażach o tej bitwie pisanych przez Wańkowicza, nie ma wzmianki o francuskich atakach na klasztor. W końcu on tam był – naoczny świadek. Wyjaśnia się sytuacją Francuzów pod okupacją niemiecką. Ponoć 99% Francuzów nie odczuło ani okupacji ani wojny, więc do Niemców wrogo się nie odnosili. Aczkolwiek lądowanie aliantów w Normandii, Francuzów drogo kosztowało. Żeby z M. C. zakończyć, wspomnę dokumentalny film amerykański o wyzwaniu Włoch. Wspominają tam też o zdobyciu M. C. Tego dokonały oddziały różnych narodowości, jednak wśród wymienionych Polacy też byli. Pewnie to niewiele, ale zawsze coś. Francuzów nie wymieniono.

W czasach współczesnego kapitalizmu różnorodność form wypoczynku, czy wypadów turystycznych, znacznie się rozszerzył. Pewnie także możemy większe środki na ten cel przeznaczyć. Wymienię tu tylko niektóre możliwości spędzenia wolnego czasu, takie z których korzysta moja rodzina bądź przyjaciele. Wzdłuż polskich malowniczych rzek, takich jak Wkra czy Pilica powstają firmy ofiarujące kajaki do wypożyczenia, punkty z domkami do odpoczynku i odbioru kajaków. Niemało ludzi preferuje spędzanie czasu na wymagających pewnego fizycznego

wysiłku, takich rozrywkach jak spływy wzdłuż malowniczych krajobrazów oraz przewietrzyć płuca świeżym powietrzem.

W pewnym okresie, gdy możliwości intensywnych wędrówek po górskich szlakach radykalnie spadły, podjąłem decyzję przerwania się na narty. Szukałem wśród przyjaciół partnerów. Paru by się znalazło, lecz warunek – muszą to być narty biegówki, czyli narciarstwo uprawiane na nizinach. Tymczasem mnie interesowała opcja zjazdowa, narciarstwo zwane wysokogórskim. Jedynym partnerem do wyjazdu na narty do Szczyrku czy Zakopanego był mój syn Michał. Jeździliśmy tam co roku, do chwili gdy moje fizyczne możliwości na to pozwalały. Muszę tu się pochwalić, kilkakrotnie zjeżdżałem z Kasprowego Wierchu i to zarówno na stronę wschodnią jak i zachodnią.

Obecnie Polacy nadrabiają zagraniczne wyjazdy turystyczne, których brakowało przedtem. Brakowało wówczas atrakcyjnych krajowych możliwości turystycznych także. A jak jest obecnie, każdy wie. Mam przyjaciela, który co roku z żoną wykupuje dwutygodniowy pobyt w kurortach w Grecji czy Egipcie. Po takim wypoczynku, wciąż im przybywa po parę kilo tłuszczu, jednak jedzenie i picie jest bez ograniczeń, nieco popływania w morzu czy w basenie, leżenie na plaży, trochę spaceru. Mnie taki wypoczynek nie kręci, natomiast środki by się znalazły. Wybrałbym bardziej czynny wypoczynek, tymczasem mam problem – rzadko kogoś udaje mi się namówić na coś takiego. Dwa razy nakłoniłem syna na taką turystykę. Były wyjazdy na narty czy jednodniowy spływ rzeką i to wszystko.

W 2010 roku namówiłem na spływ po Wkrze swego wnuka Pawła i jego kolegę. Zakupiłem 2 pontony. Mieliśmy płynąć 4 dni. Jedną noc spędzamy pod namiotem, a drugiego dnia młodzież nie wyraża chęci na drugi nocleg. Dopłyniemy do Jońca i koniec. W sumie przepłynęliśmy niemal nie wiosłując odcinek od Sohocina do Jońca 17 km. Po drodze mamy przepławę przez zalew i tamę związane z elektrownią wodną. Wszystko należało przetargać poza tę tamę, ok. 400 m. Na końcu tego krótkiego spływu, czekał na nas samochód mamy kolegi Pawła, do którego załadowaliśmy nasz sprzęt.

21. MOJE PRACE

Wojskowa Akademia Techniczna

Po ukończeniu studiów bezzwłocznie podejmuję pracę w Wojskowej Akademii Technicznej na stanowisku asystenta. Wybieram tę uczelnię, bowiem jest w Warszawie i ofiaruje pokój do zamieszkania w uczelnianym hotelu. Mam też propozycję pracy, jako asystenta na Politechnice Warszawskiej u prof. Ścisłowskiego, lecz niestety bez mieszkania. Z żalem muszę zrezygnować zwłaszcza że, profesor obiecuje natychmiastowe rozpoczęcie pracy doktorskiej, lecz pod warunkiem zatrudnienia się na Politechnice Warszawskiej. Przy ówczesnych wynagrodzeniach wynajmowanie mieszkania nie było możliwe. Wówczas bez problemu można było wstąpić do wojska. Dawali na początek stopień podporucznika. Z tej możliwości nie skorzystałem. Jeden z nas skorzystał. Finansowo to on znacznie lepiej został zaopatrzony niż my cywile. Dość powiedzieć, że oficerowie niemal natychmiast uzyskali dogodnie kredyty i w sąsiedztwie WAT rozpoczęli budowy swoich piętrowych wili z ogródkiem.

Tak się rozpoczęła moja praca po studiach. Równocześnie przyjęto do pracy w WAT nas czterech kolegów absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego, kierunku Fizyka. Niestety kierownikiem Katedry Fizyki był mjr dr Gierula całkowicie nie interesujący się swoją rolą jako kierownika. Nawet nie poprosił nas do gabinetu, żeby się przywitać i powiedzieć coś o naszych obowiązkach. Dla nas nastał dość beztroski okres kawalerski. Wówczas mamy więcej wolnego czasu i nieco więcej kasy niż na studiach. Wieczorami spotykamy się z kolegami, zwykle z Maćkiem Niedzielskim i Jankiem Kurem, niestety te spotkania były zakrapiane wódką. Po skończeniu zajęć ze studentami, co drugi dzień jedziemy we trójkę do baru na Nowym Świecie, tak jak w westernowych „saloonach”, zamawiamy po setce wódki wraz z kawałkiem śledzia, wypijamy, gawędzimy, pooglądamy innych odwiedzających ten bar i w dobrych humorach wracamy na Bemowo.

Po paru latach czuję, zaczyna mi alkoholu brakować, tak jakbym z utęsknieniem oczekiwał na chwilę picia. Pomyślałem sobie dość tego! Wszak nie ulega żadnej wątpliwości, że niszczę zdrowie no i mózg, z którego mam w dalszym życiu

korzystać. Znalazłem zrozumienie u Maćka, natomiast tego zrozumienia u Janka nie było. Twierdził perfidnie, musi pić, bowiem mu zęby się psują i bolą. Wódka ten ból zdecydowanie redukuje. Ciekawostką też było to, że w czasie studiów i przed nałogiem, nigdy go nie złapaliśmy na kłamstwie. Kłamać zaczął, gdy wpadł w szpony tego nałogu. Nadal pił regularnie, stał się ofiarą choroby alkoholowej. U Janka wystąpiły zaburzenia równowagi, padaczka i zakończył swój żywot w wieku 54 lat. Wynika stąd, perfidne działanie alkoholu, prowadzi do opłakanego końca. Jeśli ktoś ma silne serce, alkohol powoli niszczy mózg. Odwrotnie, skoro serce nie jest zbyt zdrowe, to niechybnie zabierze się za nie. Gdy jedno i drugie jest w normie, alkohol zabiera się za destrukcję wątroby. Natomiast z Maćkiem przytomnie i we właściwym momencie, postanawiamy swoje życie zmienić według rozsądnej rady: Jeśli jesteś w stanie wyobrazić sobie siebie w przyszłości czerpiącego radość z czegoś innego, niż popijanie alkoholu, to zajmij się właśnie tym czymś.

O tym, czym potem zajmujemy się piszę w innych miejscach. W środowisku akademickim alkoholizm jest zjawiskiem rzadkim. Sądzę, w innych środowiskach nie jest rzadkością. Wystarczy zrobić sobie przechadzkę na cmentarzu wzdłuż grobów osób pogrzebanych w ostatnich latach. Pewnie w przybliżeniu 50% z pogrzebanych nie dożyło wieku emerytalnego. Ja nie jestem abstynentem. Jestem w stanie przy dość rzadkich na szczęście uroczystościach, raczyć się alkoholem. Na szczęście w żaden sposób nie odczuwam braku tego napoju. Nie tęsknię za piciem.

Wracam do swojej pracy. WAT powstała zaledwie 4 lata wcześniej przed moim tam przybyciem. Pierwszym komendantem (rektorem) jest gen. Florian Grabczyński. Przedwojenny oficer, siedział całą wojnę w niemieckim obozie jenieckim. Sowietom ta osoba się nie podoba, po 4 miesiącach urzędowania preparują mu proces o szpiegostwo i wsadzają do więzienia. W 1956 roku go zwalniają z więzienia, ale stanowiska nie przywracają. Po kilku latach umiera. O ile jego krewnym to ma jakieś znaczenie, to przed WAT, na eksponowanym miejscu, stoi na jego cześć postawiony obelisk.

Wszelako nie ma technicznego wykształcenia. Zapamiętałem jego wizytę w naszej Katedrze Fizyki. Meldował mu nasz kierownik Katedry mjr. dr Gerula. Leoszenia: co major? Panno być generał od fizyki, generał od matematyki i generał

od chemii. Taki szczodry był. Po nim stanowisko rektora obejmuje drugi sowiecki generał Owczinnikow. Ten przynajmniej takie wykształcenie posiada. Lecz potrafi budować ogólne opinie o pracownikach na podstawie pojedynczych zdarzeń czy obserwacji. Może jakości badań nie był w stanie lub nie chciał oceniać. Przykład: do naszej katedry fizyki zatrudnia leciwego magistra fizyki. Żeby go zachęcić do pracy w WAT przydziela jemu i jego rodzinie dość obszerne mieszkanie. On popracuje w naszej katedrze pół roku i umiera. Mieszkanie przepadło, a Owczinnikow, zamiast żałować człowieka, ogłasza z wielką satysfakcją: 'widzicie, nasza uczelnia jest już stara', zaczynają nasi pracownicy umierać'. Albo drugi przykład, każdy pracownik ma dostarczone pół litra mleka dziennie. Wobec naszej awersji do mleka, nasza sprzątaczką, żeby go nie wylewać do zlewu, z niego wytwarza sobie sery, gdzieś w kącie. Owczinnikow z adiutantem, mają w zwyczaju co jakiś czas dokonywać dość szczegółowego przeglądu pomieszczeń, natyka się na ten ką. Obejrzał tę wytwórnię serów dokładnie i na jakimś zebraniu stwierdza: 'A w katedrze fizyki, zamiast pracy naukowej urządzili sobie warsztat serowarski'. Nasuwa się pytanie, poco były te przeglądy. Doszliśmy do wniosku, że poszukiwał zakątków gdzie ewentualna produkcja materiałów wybuchowych odchodziła.

Ci rektorzy nie mają obelisków. Po tym Rosjaninie, rektorem nastaje prof. generał Sylwester Kaliski (1928-1978). Ginie w wypadku samochodowym w 1978 roku, będąc w tym momencie od paru lat ministrem szkolnictwa wyższego. Uważa się go za dobrego i pracowitego naukowca, chociaż zdania są podzielone. Głównie to jest związane z jego charakterem, w końcu znany był z braku tolerancji na krytykę i sprzeciw. Aczkolwiek podobnie postępuje wielu kierowników. Słowem, o ile ktoś nie szukał kłopotów, to lepiej dla niego byłoby nie sprzeciwiać się generałowi. Najbardziej znany był konflikt z prof. płk. Góralem. Ten wyraźnie tęsknił za kłopotami. Po kłótni obu, płk. został wyrzucony z WAT. Nie są mi znane przyczyny konfliktu. Dopiszę, o ile ktoś mi podpowie. Głównym celem, do którego dążył, było uzyskanie kontrolowanej syntezy termojądrowej przy zastosowaniu laserów gigantycznej mocy. Ze strony naukowej to nie jest mrzonka. Stosując różne metody, dążą do tego państwa znacznie zasobniejsze od Polski. Jednak należy ocenić, iż nasz potencjał ekonomiczny nie rokuje końcowego sukcesu. Aczkolwiek jak przebieg badań wykazał, uzyskano wiele interesujących odkryć i opracowań. Mógłby ktoś

stwierdzić, że lepszą drogą wydatkowania ogromnych środków przez państwo byłoby finansowanie bardziej realnych badań podnoszących naszą technologię na wyższy poziom i służący naszej gospodarce.

Gen. Kaliski ma ulicę nazwaną jego imieniem. Potem nazwę jej części jednak zmieniono, na ul. gen. Urbanowicza. Bez wątpienia prof. Kaliski był zdolnym naukowcem. Pewnie się mylę, wszelako sądzę (nie tylko ja), że odniósłby sporo więcej uznawanych powszechnie sukcesów, gdyby był po studiach fizyki, zwłaszcza że, jego prace naukowe były z tej dziedziny. Środowisko fizyków na Hożej w W-wie, z którym miałem kontakt, opisywało próby S. Kaliskiego podjęcia studiów fizyki na UW. Były nieudane. Nic dziwnego, bowiem ze względu na wykłady, ćwiczenia, pracownie i nie tylko z zakresu fizyki, lecz matematyki i chemii, nie ma mowy aby równocześnie pracować. Po śmierci profesora Kaliskiego profesor Góral pisze w gazecie artykuł o metodach zdobywania i utrzymywania się na stanowiskach w polskim naukowym świecie. Artykuł był oparty na przykładach metod pracy Kaliskiego (dla kamuflażu w artykule nosi nazwisko czytane na opak Yksilak). W tym artykule Góral pisze: uczoney ten jest uważany za wybitnego, jego badania są mocno finansowane, lecz rezultaty mierne. Publikuje artykuł za artykułem, co miesiąc, więc się domyślcie jakiej one są wartości. Einstein publikował zdecydowanie rzadziej. Podaje też inny przykład naukowca o nazwisku Adder, który tłumaczy i publikuje zachodnie prace, jako własne, wszak znając słabo angielski w trakcie ich przepisywania – tłumaczenia, nie unika błędów. Podane są przykłady błędów wypaczających sens omawianego problemu. Jeden zapamiętałem: angielskie słowo 'product' przetłumaczył na 'produkt', tymczasem jego znaczenie jest zgoła inne, a mianowicie 'iloczyn'.

Oprócz krótkiej współpracy z Puzewiczem na początku mojej pracy w WAT, wymienię obecnego członka Polskiej Akademii Nauk prof. Antoniego Rogalskiego. Rozpoczyna pracę naukową pisząc pracę magisterską pod moim kierunkiem. Dotyczy detektora promieniowania w zakresie widzialnym. Bardzo pracowity, zdolny. Specjalizuje się w konstrukcji i badaniach półprzewodnikowych detektorów w zakresie podczerwieni. Publikuje książki i niemało artykułów naukowych. Jest nad wyraz wydajny w pracy. Miał dwie udane córki, piszę miał, gdyż starsza z nich będąc

na studiach w Warszawie dodatkowo uprawiała wyczynowo taternictwo. Skończyło się to dla niej tragicznie. Bowiem będąc członkiem ekipy Rosjan wspinających się na Elbrus, nieszczęśliwie wpadła w głęboką szczelinę lodową. Członkowie ekipy twierdzili, że nie byli w stanie jej z tamtąd wydobyć. Została tam na zawsze. Druga córka mieszka w Australii.

Prof. Józef Piotrowski wybitny specjalista w konstrukcji i badaniach detektorów podczerwieni. Po studiach w Petersburgu. Początkowo pracuje w WAT, później zakłada i rozwija firmę Vigo w Ożarowie pod Warszawą. Jest m.inn. twórcą elementu półprzewodnikowego zainstalowanego w łaziku NASA pracującego na Marsie. Pierwsza jego żona to Rosjanka, mają z nią syna. Po rozwodzie ona z synem osiadła w USA. Zdolny syn odnosi sukcesy w dziedzinie elektroniki. Z drugiego małżeństwa ma syna Adama, który po studiach w PW i doktoracie pracuje w Vigo na kierowniczym stanowisku. Józef dzięki udanym posunięciom w Vigo mógł sobie pozwolić na wejście w posiadanie pewnych nieruchomości. Obecnie wraz z rodziną mieszka na Wyspach Kanaryjskich. Aktualnie mamy w WAT, w zespole Prof. Rogalskiego kilku zdolnych profesorów zajmujących się badaniem nowych rozwiązań dotyczących detektorów podczerwieni. Wymienię tu prof. Jarosława Rutkowskiego i prof. Krzysztofa Józwickiego, z którym zazwyczaj wiedliśmy długie naukowe dyskusje dotyczące tematyki fizyki detektorów na zakres podczerwieni.

Prof. Józef Żmija (1932 - 2013), z którym współpracuję i publikuję w końcowym okresie mojej pracy w WAT. Jest twórcą watowskiej grupy badaczy ciekłych kryształów. Ta grupa włącznie z jej twórcą posiada znaczący dorobek naukowy i uznanie w zakresie zwłaszcza krajowym. Zespół zajmuje okazały dwupiętrowy budynek w WAT. Sam profesor posiada cenną cechę charakteru w przypadku naukowca, a mianowicie zdolność wyłączenia się na otaczające go zewnętrzne bodźce w momencie gdy się skupia na jakimś wybranym problemie. Nie wiem czy to jasno przedstawiam, tymczasem wówczas można takiej osobie zadawać pytania, a reakcji brak. Ma córkę oraz dwóch synów, wszyscy z rodzinami i dobrze sobie radzą zawodowo.

W okresie mojej pracy w Akademii Jana Długosza w Częstochowie, współpracuję z prof. Ivanem Kitykiem (1967-2019), który przybył z Ukrainy i uzyskał polskie obywatelstwo. Wiele publikuje, jest pracowity i chętny do współpracy. Do swojej przedwczesnej śmierci pracuje na Politechnice Częstochowskiej. W czasie pracy w Akademii współpracuję z bardzo zdolnym małżeństwem Olesików: panią dr fizyki Jadwigą i dr nauk techn. Zygmuntem. Jest to solidna para fizyków, z zaangażowaniem pracują zarówno dydaktycznie jak i naukowo. Dr Zygmunt z oddaniem pracuje społecznie przy organizacji corocznych olimpiad fizycznych. Przyłączam się do nich w badaniach problemów emisji elektronów z cienkich warstw i nieco publikujemy. Przed moim pojawieniem się w tej Uczelni, oni nad tym tematem pracowali pod kierunkiem doc. Bogdana Całusińskiego. Okazało się, że spotykam go nie po raz pierwszy. Pierwsze moje z nim spotkanie miało miejsce w zamierzczłych czasach. A mianowicie w czasie naszych praktyk studenckich w Zakładach Radiowych w Dzierżoniowie. Po 45 latach spotykamy się znowu. Po zakończeniu pracy w Akademii, Państwa Olesików odwiedzam co roku w ich mieszkaniu. Wspominamy przy kieliszku dawne wydarzenia oraz dyskutujemy aktualne problemy, włącznie z naukowymi. Mając niezły dorobek naukowy, mogli spokojnie popracować nad uzyskaniem stopni dr hab., niestety nie uczynili tego. ,

Po zakończeniu pracy w WAT ściśle współpracuję naukowo z prof. Adamem Dubikiem. Z prof. Dubikiem łączy mnie praca dydaktyczna i naukowa w Akademii Jana Długosza w Częstochowie, a następnie w Uniwersytecie Techniczno-Humanistycznym w Radomiu. Owocem naszej współpracy są liczne publikacje z zakresu akceleracji naładowanych cząstek za pomocą lasera. Prof. Dubik jest fizykiem wykształconym w Kijowie, doktorat opracował w WAT pod kierunkiem prof. Z. Jankiewicza, habilitację z fizyki uzyskuje w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki na Politechnice Wrocławskiej i wiele lat pracuje w WAT pod kierunkiem generała prof. Sylwestra Kaliskiego. Dobrze nam się współpracuje. On zajmuje się wyprowadzaniem równań. Ja je interpretuję wspierając wykresami i odpowiednimi tekstami. Artykuły piszę w wersji angielskiej. Nie byłbym szczery, gdybym pominął wspomnienie, że w harmonijnej współpracy czasem pojawiają się różnice zdań natury naukowej jak i pozanaukowej. natomiast to jest raczej normalne przy tego rodzaju pracy. Przykładami mogą być różnice zdań na temat zawartości następnego

artykułu, lub kto ma być pierwszym autorem w danej publikacji. Może nie od razu, ale z upływem czasu zgodnie doszliśmy do wniosku, że te animozje są bez znaczenia.

Przy okazji nieco refleksji o przydatności praktycznej krajowych badań naukowych. Chodzi o badania mające na celu dostarczenie opracowań innowacyjnych w zakresie techniki. Niem mało zespołów w naszym kraju zajmuje się takimi badaniami. Niebagatelne środki są na to przeznaczane. Tymczasem nasze rynki są zalewane niemal kompletnie przez towary zagraniczne. Chodzi mnie o produkty bardziej wymagające pod względem technologicznym, jak samochody czy elektronika. Weźmy przykład zagraniczny. W Korei Samsung posiada naukowe laboratoria, których opracowania są wykorzystywane w produkcji ciągle udoskonalanych telewizorów, komputerów, komórek itp. Z kolei przykład z naszego kraju. Badania ciekłych kryształów i ich zastosowania są prowadzone w kilku ośrodkach naszego kraju. Powstaje projekt, aby do zegarków produkowanych u nas, ciekłokrystaliczny cyferblat był dostarczany do fabryki przez nasze a nie zagraniczne laboratoria. Tymczasem, okazało się, że sama część ciekłokrystaliczna musi kosztować więcej niż tej klasy cały zegarek sprowadzany z zagranicy. No i fabryka bankrutuje. Na tym przykładzie i podobnych wynikają znaczne przeszkody na drodze wdrażania naszych rodzimych opracowań. Marnym pocieszeniem mogą być tego rodzaju problemy występujące też w innych krajach, na przykład tanie japońskie samochody w USA.

Z tym problemem jest związana także inna sprawa. Mam wrażenie, że decydujący o rozdziale funduszy ludzie Unii Europejskiej prowadzą dość perfidną grę. Lepiej posłużyć się przykładem. Chętnie przydzielają środki na zakup kosztownego wyposażenia szpitali w medyczną aparaturę bądź w kosztowną unikalną aparaturę do naukowych laboratoriów. Z chwilą, gdy nasz szpital kupuje tę aparaturę unijne środki przepływają do krajów gdzie aparatura jest produkowana. Tak czy inaczej do fabryk znajdujących się w krajach rozwiniętych. Środki te przyczyniają się, więc do dalszego rozwoju i bogacenia się tych krajów. Proceder ten dotyczy także innych a nie tylko wymienionych przykładów. Nie inna procedura przepływu środków unijnych występuje przy montowaniu w naszym kraju elektrowni wiatrowych. Pewnie przy

zakładaniu elektrowni słonecznych będą postępować podobnie. To wszystko trąci popularnym powiedzeniem: - głodującym daje się rybę zamiast wędki. Prowadzi to do znanego zjawiska, pewne kraje jak Niemcy, Francja, Szwajcaria, Szwecja czy Wielka Brytania bogacą się. O ile dla nich taki system jest do przyjęcia, to dla innych już tak nie jest. Inne natomiast, być może nie biednieją ale notują wolniejszy rozwój ekonomiczny. Tak czy inaczej, na dogonienie bogatszych krajów nie mamy szans. Należałoby uczulić na ten problem naszych europosłów w chwili uchwalania unijnych środków. natomiast nie można przy tym pominąć faktu o częściowej korzyści tychże zakupów, także dla naszego kraju. Sami nie wyprodukujemy nowoczesnych samolotów, czy uzbrojenia. Żeby nie popaść w skrajny pesymizm, należy jednak wspomnieć o trafionych inwestycjach w naszym kraju, realizowanych głównie przez firmy zagraniczne, napędzających naszą gospodarkę. Gdybyśmy mieli mądrych ekonomistów z możliwościami decyzji, można byłoby na przykład więcej środków kierować na inwestycje a nie na gotowe zagraniczne wyroby.

Praca doktorska i habilitacyjna

Wracając do swoich spraw, przypominam, iż chronologię zdobywania stopni naukowych, w trudnych początkowo warunkach, podaję wyżej. Mówi się, że karierę naukową i kolejne wyższe stopnie naukowe zdobywa się nie jadąc windą lecz wspinając się po schodach wieżowca. Żeby nie było to wspinać się zbyt łatwe, doczepiają liczne obciążenia. Znam swoich kolegów ze studiów i wielu współpracowników także, którzy zdołali załapać się na windę w postaci jakiegoś znanego profesora ofiarującego młodemu absolwentowi studiów, projekt pracy doktorskiej. Potem co miesiąc profesor sprawdza postępy w badaniach. Na przykład mówiąc:

- to co pan tu mi pokazuje jest już dawno odkryte. Proszę to zmienić tak i tak.

W ten sposób praca nabiera tempa, doktorant nie błądzi po manowcach i po czterech latach jest się doktorem. Takimi szczęśliwcami byli moi koledzy ze studiów, a później solidnymi naukowcami i oczywiście profesorami fizyki Adam Kujawski, Jan Petykiewicz, Andrzej Wróblewski, Ziemowit Sujkowski czy paru innych. Ze względu na dobre stopnie w czasie studiów, zostają od początku zatrudniani jako asystenci

na uniwersytetach czy politechnikach. Mimo trudnych powojennych warunków zdobywają pierwsze stopnie naukowe stosunkowo szybko. Potem prowadząc badania w większych zespołach kierowanych przez profesorów, pną się na wyższe stopnie naukowe. Jeden z wyżej wymienionych kolegów, tuż po studiach jest wysłany na dwa lata do Szwecji, skąd przywozi pokaźną ilość wyników pomiarowych z zakresu fizyki jądrowej. Część tych wyników 'zużywa' na napisanie pracy doktorskiej a pozostałą na habilitację. Jan Petykiewicz natomiast będąc asystentem na Politechnice Warszawskiej, zaczyna współpracować z generałem Kaliskim. Jednak Jankowi tego rodzaju współpraca nie odpowiada. Mimo gwałtownych sprzeciwów przestaje z Kaliskim obliczać fale mechaniczne pokonowujące coraz to inne przeszkody i wiąże się z profesorem Rubinowiczem. Tu zajmując się ulubioną optyką, po paru latach broni swoją pracę doktorską.

Sytuacja asystenta rozpoczynającego prowadzenie zajęć ze studentami jest odmienna od rozpoczynających pracę w innych zawodach. Gdzie debiutant ma możliwości zwracania się o wsparcie do doświadczonych współpracowników. Od pierwszych godzin pracy asystent zostaje zamknięty w sali sam na sam ze studentami, którym w przypadku matematyki czy fizyki podaje zadania do rozwiązania i musi sam znać sposób ich rozwiązania, interpretację oraz sensownie odpowiadać na pytania studentów. W przypadku, gdy coś zapomni, nie będzie miał pod ręką spieszących z pomocą doświadczonych współpracowników. Asystent też jest obowiązany rozpocząć pracę naukową, albo do niej się włączyć.

A jaką sytuację zastaliśmy w Wojskowej Akademii Technicznej? Rozpoczynając pracę, jako asystenci, ja wraz z moimi kolegami Janem Kurem, Maciejem Niedzielskim, Janem Baranem, Wojciechem Ratyńskim zastajemy sytuację do pracy naukowej nieprzyjazną. Zostajemy umieszczeni w pokoju mieszczącym się w baraku o długim korytarzu. Połowę jego zajmują fizycy, a drugą połowę chemicy. Chemikami kieruje prof. Okoń, jego zastępcą jest dr Biszowt. Mają oni pod opieką kilka młodych urodziwych chemiczek. Zwłaszcza jedna nas kręciła: nazwiska panieńskiego jej nie pamiętam, była brunetką. Tymczasem zainteresował się nią postawny porucznik Radomski. Potem została jego żoną. Nasze nadzieje przeminęły z wiatrem. Zaprzyjaźniam się z dwoma chemikami w moim wieku, Kowalkiewiczem i

Wańkowiczem. Jednak te przyjaźnie się kończą, bowiem obydwaj nagle kończą swoją pracę w WAT. Pytam Kowalkiewicza dlaczego odchodzi z WAT. Takie wyjaśnienie otrzymałem.

- Okoń widząc marne nasze postępy w badaniach, zakłada zeszyt w który musimy wpisywać chwilę wyjścia z pracy, chwilę powrotu i powód opuszczenia Katedry Chemii. To zaczęło nas irytować. Raz tych wpisów nie wykonaliśmy, więc prof. Okoń napisał: - co robiliście całą godzinę? Odpisaliśmy solidarnie: - sr***śmy. Profesor nie znał się na żartach i wystosował do kadr pismo wyrzucające nas z pracy. Wskutek tego zdarzenia kontakt z kolegami chemikami się urwał, bowiem gdzieś zniknęli w instytucjach zatrudniających chemików.

My fizycy, bez przyrządów użytecznych do badań naukowych, działamy pod kierownictwem szefa katedry fizyki doktora Gieruli z Krakowa, zmobilizowanego i wcielonego do wojska oraz mianowanego do stopnia majora z mieszkaniem w stolicy. Nawiasem mówiąc, to mu nie odpowiadało. Wszystko o czym wówczas marzy, to wyrwanie się z wojska i powrót do ukochanego Krakowa. Co mu się po paru latach udaje. Z Krakowa otrzymujemy mnóstwo przedwojennych przyrządów niezbędnych do prowadzenia zajęć dydaktycznych z fizyki. W katedrze są też trzy nasze koleżanki i paru kolegów z 20 lat starszym od nas, magistrem Feliksem Borowskim, który obejmuje kierownictwo katedry po odejściu Gieruli. W pierwszych latach pracy zajmujemy się wyłącznie obowiązkami związanymi z pracą dydaktyczną. Tymczasem w wolnych chwilach dość regularnie gramy w siatkówkę na prymitywnym boisku przy tym baraku. To jednak było możliwe jedynie w okresie letnim. Po za sezonem siatkowym, wiele czasu wytracałem w pracy grając w szachy. Bowiem byłem nakłaniany do tego przez jednego ze starszych współpracowników płk. Sobczaka. Nie uszło to uwadze dr Gieruli, który widząc taki mój zapał do pracy, wstrzymywał przez dwa lata z mianowaniem mnie na starszego asystenta. Tymczasem widząc pracującego pilnie Janka Kura, mianuje go na ten etat już po pół roku. Janka praca polegała na wybieraniu zadań dla studentów. Ja to robiłem w domu, a on wtedy odpoczywał. Czyż nie jest to wskazówką, jak zaskarbiać przychylność przełożonych? Po paru latach pracy w WAT decyduję się nie licząc dydaktyki, równocześnie zająć się samodzielnie pracą naukową. Istnieje w tej

dziedzinie działalności następujące powiedzenie: - wielkie czyny nie zostały osiągnięte przez tych, co kroczą za trendami, popularnymi opiniami, utartymi, uznanymi za skuteczne szlakami. Powiedziałbym muszę wówczas zamiast windą, mozolnie wspinać się po schodach. Na przykład temat pracy doktorskiej sam wymyśliłem, wykonywałem tę pracę parę lat. Lecz nie ukończyłem, bowiem w WAT dr płk Zbigniew Puzewicz zaczął organizować badania nad laserami. Mnie to początkowo zafascynowało i rozpocząłem z nim współpracę. Po roku zdałem sobie sprawę, że z tego nie będzie żadnego doktoratu i wróciłem do swoich rozpoczętych wcześniej badań. Z tego powodu postąpiłem zgodnie z tekstem Wojciecha Młynarskiego: - Róbmy swoje, póki nam jeszcze ciut się chce!

Inspiracją mojej pracy doktorskiej był pokaz działania tranzystora wykonanego przez magistra Rzewuskiego w Instytucie Fizyki. Ten pokaz odbył się u schyłku 1954 roku, gdy jeszcze studiowałem. Rzewuski powiedział, iż jest to świeży wynalazek urządzenia, który zastępuje triodę, lampę elektronową. Znałem działanie tej lampy o trzech elektrodach: katoda, anoda i między nimi umieszczona siatka, wszystko w opróżnionej szklanej bańce. Rzewuski natomiast pokazuje kawałek krystalicznego germanu wielkości nie większej od ziarna fasoli twierdząc, jakoby to działa jak trioda. To było zdumiewające. Jak to? A gdzie siatka? Później, pracując w WAT, przypomniałem ten pokaz i postanawiam swoją pracę doktorską na tym oprzeć.

Moja taktyka, którą realizowałem jest następująca. Początkowo, na prywatnych kursach opanowuję na tyle angielski, aby móc korzystać z naukowej zagranicznej literatury. Przydaje się nabyta na studiach umiejętność samodzielnego rozwiązywania, nieraz skomplikowanych zadań, problemów. Bowiem w czasie studiów starałem się uczciwie wykonywać tego rodzaju ćwiczenia czy prace domowe. Zanim zająłem się tematem, który okazał się być odpowiedni na pracę doktorską, 5 lat badałem mniej skomplikowane zjawiska nieprzydatne do pracy doktorskiej, na przykład liczniki promieniowania jądowego.

Wówczas na świecie bada się nowo wynalezione tranzystory. Różne ich modyfikacje wraz z zastosowaniem także. Pracowicie śledzę te publikacje. Początkowo niewiele z tego jestem w stanie zrozumieć. Tu się przydały nieocenione wykłady prof. L. Sosnowskiego, który nam studentom 4 roku fizyki pracowicie

wypisywał kredą na tablicy. Czytanie i usiłowanie zrozumienia zjawisk występujących w tranzystorze trwa kilka dobrych lat. Główna teza mojej pracy doktorskiej staje się związana z tranzystorami. Usiłuję wykazać możliwości zbudowania tranzystora z materiału do tej pory niestosowanego. To mi się udaje a na podstawie pomiarów jego właściwości poprawnie zinterpretuję zjawiska występujące w tym urządzeniu. Wyniki badań publikuję w naukowym periodyku z zakresu fizyki w Niemczech. Nie mając promotora zmuszony był być „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”, bacząc aby się nie rozbić o liczne „klify”.

Z tego co wiem, w tym okresie w WAT niemal nikt za granicą nie publikował. W późniejszych latach zresztą także. Dlaczego? Przykładami mogą być wiodący naukowcy WAT zajmujący się przeciwpancernymi pociskami kumulacyjnymi. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie mały drobiazg. Teoria tych pocisków została opracowana przed II W.Ś. i te pociski szeroko stosowano w czasie działań wojennych. Amerykańscy żołnierze mając słabsze czołgi od niemieckich, musieli je zwalczać innymi metodami. Otóż, ręczne wyrzutnie pocisków kumulacyjnych okazały się doskonałe do niszczenia czołgów. Zatem powstaje pytanie: czym kierowali się wawowscy badacze tej broni? W końcu możliwe jest udoskonalenie tego pocisku, ale chyba żadnych rewelacji nie osiągnięto. Dowodem może być brak publikacji zagranicznych. Ta broń wówczas nie była tajną, więc publikować można było – publikowano w Biuletynie WAT.

Tu nieco uszczypliwie przedstawiłem jedną tematykę badaną dość dawno. Tymczasem w WAT nie brakowało i nadal nie brakuje naukowców na wysokim poziomie. Nie będę tu podawał nazwisk, bowiem niewymienieni mogliby się czuć urażeni. Na wysokim poziomie są badania w optoelektronice, w szczególności laserów, ciekłych kryształów, elektronice czy w informatyce.

22. Początkowe miesiące badań na laserami w WAT.

Dr Zbigniew Puzewicz (1930-2018) wraz z Kazimierzem Dzięciołowskim w 1962 roku, będąc oficerami WP i kierownikami zakładów o tematyce mikrofal, zdołali swoim zapalem skłonić kierownictwo WAT na wyrażenie zgody na wydzielenie kilkuosobowego zespołu oficerów specjalistów w zakresie techniki mikrofalowej celem

podjęcia konstrukcji laserów. Taką genezę tego przedsięwzięcia mi przedstawił Puzewicz, zachęcając równocześnie do współpracy na zasadzie wolontariusza. Druga wersja początku badań laserowych to: prof. Kaliski wydał odpowiednie rozkazy wobec swojej wizji zainicjowania reakcji termojądrowej za pomocą lasera. Bowiem, pierwszą przeszkodą tej wizji, był bak lasera. Ostatnia wersja wydaje się być bardziej realna, aczkolwiek mniej romantyczna. Wobec słabego powiązania mikrofalowej z laserową, prof. Kaliski poradził poszukać w Katedrze Fizyki chętnego do współpracy. Nie jestem pewien dlaczego to padło na mnie. Obaj kierownicy mnie bez trudu przekonali do uczestniczenia w tym, bardzo ambitnym wyzwaniu. Poczuję, że właśnie znalazłem się w czymś podobnym jak Los Alamos, aczkolwiek mocno zredukowanym. Konsekwentnie, z uporem, dużym zaangażowaniem, przewyżając pokaźną ilość piętrzących się trudności, rozpoczynają tworzenie i rozbudowywanie WAT-owskiego zespołu zajmującego się konstrukcją i badaniem różnych typów laserów. Uznano ich, zwłaszcza Puzewicza za „ojców” dużego Instytutu Optoelektroniki w WAT, aktualnie zatrudniającego wielu naukowców. Dzieląc czas na obowiązki dydaktyczne w Katedrze Fizyki i współpracę z Puzewiczem, rozpocząłem zmianę warunków pacy. Raczej na gorsze pod względem finansowym. Wówczas nasze asystentów wynagrodzenie nie było wystarczające żeby zaspokoić potrzeby trzyosobowej rodziny, nawet gdy żona pracuje. Przedtem jakoś dorabiałem.

Na samym początku pojechałem z Puzewiczem do Skawiny, gdyż tam znajdowała się mała, ale jedyna w kraju fabryczka wytwarzająca piękne czerwone rubiny, głównie do celów jubilerskich, jak nam wyjaśniał inż. Janusz. P. nawiązał z nimi współpracę. Potem nasze wspólne podróże sięgały Poznania, gdzie serdecznie nas przyjmował prof. A. Piekara. Także w W-wie w zakładach optycznych CLO bywaliśmy. Potem te i wiele innych ośrodków w głównej mierze wizytowałem już samodzielnie kpt. Zdzisław Jankiewicz, osiągając sukcesy przyspieszające prace zespołu. Był to zespół młodych oficerów, głównie absolwentów WAT. Wśród wybijających się bym wymienił kpt. Z. Jankiewicza, kpt. T. Machowskiego, por. B. Steca. Już na początku zauważyłem zaciekawienie problemem, którym mają się zajmować – odległym od dotychczas nabytej wiedzy na studiach. Dzieciotowski po pewnym czasie zrezygnował z pracy w tym zespole. Powodem było wydzielenie zespołu badającego masery. Wybijającym się badaczem, silnie zaangażowanym w realizację etapów badań, ściśle związanym z Puzewiczem, po odejściu Dzieciotowskiego był późniejszy profesor Zdzisław Jankiewicz. Jako fizyk chętnie dyskutowałem m.in. z nim, na tematy związane z akcją laserową. Nie wszystkich to interesowało. Można było się zorientować, iż niektórzy z nich traktują ten etap pracy jako coś przejściowego. Aczkolwiek sprawy tak się potoczyły, że innych opcji nie było – jedynie lasery. Puzewicz nie chciał aby ktoś z podległych mu coś wyjaśniał. Wolał sam coś poczytać. Niewiele tego było po polsku, niestety. Tak sytuacja wyglądała w początkowym okresie uruchomienia poszczególnych rodzajów laserów. Potem Z. J. brał udział w konstrukcji i badaniach impulsowych laserów dużej mocy w zespole kierowanym przez prof. Kaliskiego, aż do

jego śmierci. Pamiętam znaczny sprzeciw, jaki Puzewicz na początku napotkał wśród pracowników swego zakładu. Mamy się zajmować optyką? Dziwił się por. Bronisław Stec. Przecież nie znamy optyki, jesteśmy mikrofalowcami! Jednak Puzewicz jako kierownik zakładu i oficer wymógł posłuszeństwo. Dały się zauważyć u członków zespołu pewne braki w zakresie podstaw optyki. Zaproponowałem Puzewiczowi zorganizowanie seminariów, na które mógłbym przygotować odpowiednie wykłady z zakresu optyki. Nie znalazło to akceptacji.

Osiągnięciem moim w tym zespole, jest samodzielne wytworzenie wielowarstwowych zwierciadeł umożliwiających akcję lasera gazowego He-Ne emitującego promieniowanie o barwie czerwonej jak i w zakresie podczerwieni 1,15 μ . Tę pracę podjąłem wobec odmowy CLO. Każdy laserowiec wie, że ten laser gazowy może emitować promieniowanie o kilku długościach fal. Na każdą z nich musi być wytworzone inne, selektywnie odbijające zwierciadło. W celu ich wykonania należy w próżni nałożyć na płytkę szklaną wiele warstw dielektrycznych o odpowiedniej grubości i dobranych współczynnikach załamania światła. W moim przypadku tych warstw było 11. Napylone zostały w próżni pod stałą kontrolą za pomocą układu optycznego. Oczywiście każdy wie, że zwierciadło to jedno, a pozostała część aparatury lasera to nie mniej wymagająca część konstrukcji. Tu należy oddać cześć osobom zajmującym się przetarciem ścieżek technologicznych prowadzących do konstrukcji całego układu lasera He-Pierwszą akcją laserową uzyskałem w obecności Dzieciotowskiego, późniejszego dziekana wydziału. Nie było przy tym Puzewicza, co skutkowało ogłoszeniem tego faktu przy okazji późniejszej powtórki eksperymentu. Puzewicz do mnie, zamiast skakać do sufitu z radości (tak jak ja i K.Dz.): - co to ma znaczyć, partyzantkę pan tu uprawia? Rzekł wyraźnie poirytowany. Tymczasem był to najbardziej spektakularny eksperyment, bowiem uzyskaliśmy czerwoną wiązkę laserową. Odniosłem wrażenie, że Dzieciotowskiemu sława wisi, zwłaszcza wobec groźby konfliktu z P. Wkrótce potem zrezygnowałem ze współpracy z tym zespołem. Przewidywałem długi okres odtwarzania już znanych za granicą laserów. Głównie w celach rozgłosu, dla pozyskania funduszy. A co z moim doktoratem? Mimo niezwykle atrakcyjnej dla fizyka, właśnie rozwijającej się gałęzi nauki, nie widziałem dla siebie miejsca w tych warunkach. Przyszli do mnie P. i Dz., żebym nie zrezygnował ze współpracy, lecz byłem uparty – zająłem się badaniem także nowego urządzenia, jakim był półprzewodnikowy tranzystor. Przez pewien czas wykonywałem dla nich selektywne zwierciadła.

Mnie zaciekał fakt nie zachowania się w pamięci u żadnego z uczestników tych pamiętnych, pionierskich badań, w początkowym okresie pochodzenia selektywnych zwierciadeł. Może Puzewicz nie życzył sobie dzielenia się osiągnięciami z np. Dzieciotowskim, bowiem byłem świadkiem przypomnienia przez niego tego zdarzenia i lekceważącej reakcji P., a było co wspominać – to był pierwszy laser

czerwony w WAT. Wśród zwierciadeł w posiadaniu zespołu mogły też znajdować się pojedyncze zwierciadła jako podarunki z innych zespołów np. z Poznania. Jeden z współpracowników zespołu, Malinowski wytwarzał zwierciadła srebrne, bowiem jedno z dwójki zwierciadeł mogło nie być selektywne. Po upływie paru lat CLO sprowadziło napyłarkę próżniową Balzera, a za wykonywane w niej o niewątpliwie lepszej jakości zwierciadła selektywne, podobno pobierali słone sumy. Potem WAT też nabył Balzera. Małachowski swoją aparaturę mógł rozebrać. Tak wyglądał drobny epizod początkowego okresu laserowych badań w WAT. Może za dużo szczegółów przytaczam? Skłoniło mnie opisanie detali następująca rozmowa. Otóż w roku 2019 spotkałem profesora Bronisława Steca, który był w wyżej wymienionym początkującym zespole. On był w zespole usiłującym wówczas skonstruować laser rubinowy. Przypominam mu o fakcie wyprodukowania przeze mnie zwierciadła selektywnego, co umożliwiło pierwsze uruchomienie lasera Ne-He. On na to: - co pan mówi? Przecież Malinowski napyłał zwierciadła srebrne i laser działał! Jemu należy przypisać pierwszeństwo w tym zakresie! Nie będziemy zmieniać historii laserów w WAT! Może w tym byłaby racja, gdyby się nie pojawił w tej wypowiedzi błąd merytoryczny (zapewne profesor o tym wie), bowiem na wyłącznie srebrnych zwierciadłach akcja laserowa w laserze He-Ne nie następuje.

W tym okresie pracownicy Katedry Fizyki zostają obciążeni znacznymi pracami i czasochłonnymi obowiązkami. Bowiem prof. S. Kaliski w 1962 roku tworzy nowy kierunek studiów nazwany Fizyką Techniczną. Lepiej radzących z studiowaniem studentów innych wydziałów zciągnął do studiowania na tym nowym kierunku. Wśród nich byli też nieco starsi wiekiem. Może wymienię studenta w naszym wieku, późniejszego znanego, zasłużonego profesora Mieczysława Szostakowicza. Po studiach pełnił kilka odpowiedzialnych kierowniczych stanowisk w WAT. Nosił mundur marynarza. Do kształcenia w nowym kierunku niezbędna jest pracownia fizyczna. Między innymi, należało od podstaw zaprojektować i wykonać kilka stanowisk pomiarowych z zakresu kilku działów fizyki, nie pomijając optyki. Musiały być na wyższym poziomie od już istniejących dla innych studentów. Powstało nowe laboratorium, na Uniwersytecie zwane pracownią. Wobec znanych trudności w owych czasach, pracownicy niemal całej Katedry musieli włączyć się w realizację tego dzieła. Oczywiście doszły dodatkowe obowiązki dydaktyczne, nawet dwa

wykłady: *Fizyka Ciała Stałego i Fizyka Statystyczna*. Te dodatkowe obowiązki ograniczały moją aktywność w zespole Puzewicza.

Wracając do moich spraw, z uwagi na wymienione wyżej okoliczności, dopiero w wieku 37 lat byłem gotowy do obrony pracy doktorskiej, bowiem ją wykonałem i napisałem całkowicie samodzielnie, bez promotora. Nie mieliśmy profesora, w Katedrze Fizyki był jeden doktor, który dość szybko przeniósł się do Krakowa. Po napisaniu pracy doktorskiej, na jednej z konferencji fizyków, przekonuję wypatrzonego docenta z Wrocławia doc. Bogdana Sujaka aby zechciał łaskawie być moim promotorem. On i jego zespół zajmowali się wówczas badaniami w tematyce nieco zbliżonej do mojej. Zgodnie z jego sugestią jadę do Wrocławia i tam referuję na seminarium to, co samodzielnie poprzednio przebadalem. Po dyskusji, ku mojemu zadowoleniu promotor stwierdza, że na doktorat wystarcza. A obrona się odbyła w WAT w 1968 r. Według mojej oceny w ówczesnych czasach zdobycie stopnia doktora jest trudniejsze niż później. Powodem był egzamin doktorski. Bowiem później wprowadza się listę zagadnień, do których doktorant się przygotowuje w ciągu miesiąca i z tej listy pytania na egzaminie doktorskim są zadawane. W tamtym czasie takiej listy nie było. Gdy przed egzaminem usiłuję dowiedzieć się od promotora i recenzentów, jakie tematy na egzaminie będą poruszane, otrzymuję odpowiedź: - takie pana zapytanie jest niestosowne. Na egzaminie doktorskim oczekiwałem pytań z różnych dziedzin fizyki, tymczasem każdy egzaminator chcąc się wykazać kompetencją, na egzaminie zadaje mi pytania z dziedziny, w której aktualnie pracuje. A zatem zadawali pytania 'stosowne'. To mnie zaskoczyło, w końcu nie wiedziałem, nad czym oni pracowali. Moje przygotowanie było zerowe i wynik egzaminu nie mógł być budujący. A więc wszystko owiane jest słodką znaną jedynie egzaminatorom tajemnicą! Ku mojemu zaskoczeniu, nagle się okazało, że mam referować teorię ekscytonów, której nigdy, ani na studiach, ani potem dokładniej się nie przyjrzałem. Promotor spytał na czym polega emisja egzoelektronów. Było jeszcze kilka pytań i komisja uznała, że egzamin zdałem. Obecnie znacznym ułatwieniem w zdobywaniu stopnia doktora są studia doktoranckie. Doktorant nie wykonuje dydaktyki, otrzymuje stypendium, więc może się skupić na badaniach naukowych zaprogramowanych przez promotora. W moim przypadku żadnych ulg dydaktycznych mnie nie przyznano.

Z uwagi na pozytywne recenzje i zdany egzamin (mimo potknięć), doktorat nauk technicznych zostaje mi nadany w 1968 roku. Czyli aż 13 lat po ukończeniu studiów! Jak wspomniałem, obecnie są studia doktoranckie. Doktorant otrzymuje temat do przebadania wraz ze stypendium i po 3 lub 4 latach staje się doktorem. Jestem dumny z tematyki jaką opracowałem w ramach pracy doktorskiej. Tranzystor, jak wiadomo dokonał olbrzymiego przełomu w elektronice. Niemal każde elektroniczne urządzenie go zawiera. Nieraz w jednym małym urządzeniu zawarte są miliony różnych rodzajów tranzystorów!

Zdobywanie dalszych naukowych stopni w moim przypadku odbywa się nieco szybciej. Habilitacja w 1975 roku, w tym też roku staje się docentem, w 1985 r. - prof. nadzwyczajny, a tytuł profesora i etat profesora zwyczajnego w 1991 roku.



Moment wręczenia mi dyplomu doktorskiego przez rektora generała Sylwestra Kaliskiego. Rok 1968.

Wielu moich kolegów, których wiadomości na egzaminach zwykle były oceniane na piątki, do profesury nie dochodzą, nieraz kończąc karierę na doktoracie. W końcu jest tak, że do doktoratu ciągnie profesor w którego zespole się pracuje, który jest tym osobiście zainteresowany – ilość doktorów, których wypromował, stanowi istotny składnik jego dorobku. Po doktoracie już młodym naukowcem nikt się nie interesuje. W tym okresie kariery naukowej, skoro się chce nadal prowadzić dalsze badania, należy coś wymyślić samodzielnie, bądź pracować w jakimś zespole badającym

nieznane dotąd zjawiska fizyczne. Na tym etapie nadal profesor jest 'pod ręką' natomiast tobą już przestaje się interesować, ma kolejnych doktorantów. W naszej katedrze nie prowadzono zespołowych badań naukowych, więc wszystko muszę samodzielnie wykonać. Nikogo nie interesują moje prace.

W różny sposób studenci pracują w czasie studiów. Dużo zależy od ich zdolności i pracowitości, bez dwóch zdań. Gdy wykładowca podaje dokładnie czego mają się nauczyć, to część z nich pracowicie materiał przyswaja. Oczywiście, dodatkowo należy dysponować niezawodną pamięcią, aby przyswojony materiał nie wywietrzał do momentu egzaminu. Niestety tacy studenci stają się mało kreatywni w większości. Część z nich jako asystenci na uczelniach wciąż oczekuje wskazań profesora i kończą doktorat. W dalszej pracy już nie zawsze mając wytyczne, nierzadko na tym karierę kończą. Znam takie przykłady. Jako dodatkowe zabezpieczenie uzyskania piątki, na wstępie egzaminu stosują wybiegi polegające na zaskoczeniu egzaminatora przez prośbę o wyjaśnienie wybranego tematu, zjawiska. Zazwyczaj wypowiedź egzaminatora kończy egzamin i następuje wpis kolejnej piątki do indeksu. O takiej taktyce opowiedział mi kolega Wojtek Freilak. Niemal z każdego egzaminu wychodził z piątką, mimo, że na ćwiczeniach rachunkowych nie błyszczał. O tej swojej taktyce nie rozpowiadał kolegom. Być może, odpowiadając na pytania egzaminatora w trybie normalnym, na piątkę także by zasłużył. Tego nie wiem. Tymczasem trochę przypadkowo zapoznają się z tą taktyką, gdy dołączam do grupy czterech studentów, moich kolegów (Wojtek też tam był), w czasie zdawania jednego z egzaminów. Piszę o tym wyżej. Podczas innych egzaminów zazwyczaj muszę mozolnie odpowiadać na pytania egzaminatorów. Wówczas mamy egzaminy wyłącznie ustne. Obecnie egzaminatorzy sobie zaoszczędzają trudu i czasu zarządzając egzaminy zbiorowe w formie pisemnej. W tej opcji nie da się uniknąć plagi oszustw. Bowiem mało kto uważa ściągania za dużego kalibru oszustwo. W uczelniach Wielkiej Brytanii, natomiast owszem. Za udowodnione ściąganie usuwa się z uczelni. Kara jest na tyle dotkliwa, że nikt nie ryzykuje oszustwa.

Od samego początku mojej pracy, badaniami naukowymi byłem zainteresowany, powiedziałbym emocjonalnie. Lubiałem to robić. Jest znane powiedzenie, nie

wiadomo czyjego autorstwa, „if you enjoy what you do, you'll never work”. Nie będziesz nigdy pracował, skoro cieszysz się z tego, co robisz. Pewnie to przesada, ale coś w tym jest. Do WAT w latach 60-tych sprowadzony zostaje elektroniczny komputer URAL. Był zbudowany z dziesiątków tysięcy lamp elektronowych, każda wielkości pudełka od zapalek. Elementy komputera zostały rozmieszczone w kilku pokojach. Nie dawał wyników na ekranie, czy na dyskietce. Rezultaty zwykle skomplikowanych obliczeń, pojawiały się na dziurkowanych kartach twardego papieru czy na dziurkowanej taśmie. Wystarczy wspomnieć o możliwościach liczenia tego giganta. Były one sporo mniejsze niż obecnego laptopa. To dopiero olbrzymi krok w nauce! Umożliwiony zostaje przez wynalezienie tranzystora. URAL nie zawierał też wielu funkcji laptopa, jak chociażby ekranu. Uralem posługuję się w swojej pracy doktorskiej, równania pisząc od końca do początku oraz mozolnie analizując wydruki na podstawie dziurkowanych kartek, taśm.

Badania i publikacje niezbędne do uzyskania stopnia doktora habilitowanego umożliwiają mi ten komputer także. Kilka artykułów publikuję za granicą. Ten stopień uzyskuję w 1975 roku w WAT. Potem centralna komisja do stopni naukowych go zatwierdza. Przewodniczącym komisji habilitacyjnej był gen. prof. Sylwester Kaliski. Wówczas już minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Otrzymuję etat docenta. Po wypromowaniu 4 doktorów i kilku dodatkowych publikacjach za granicą, w 1991 roku nadany mi został tytuł profesora. Każdy z ‘moich’ czterech doktorów to oddzielne tematy. Wybaczcie ale nie będę tych tematów rozwijał, bowiem przed obroną promotor ma obowiązek przedstawić w formie pisemnej swoją opinię o doktorancie. To też wówczas wykonywałem.

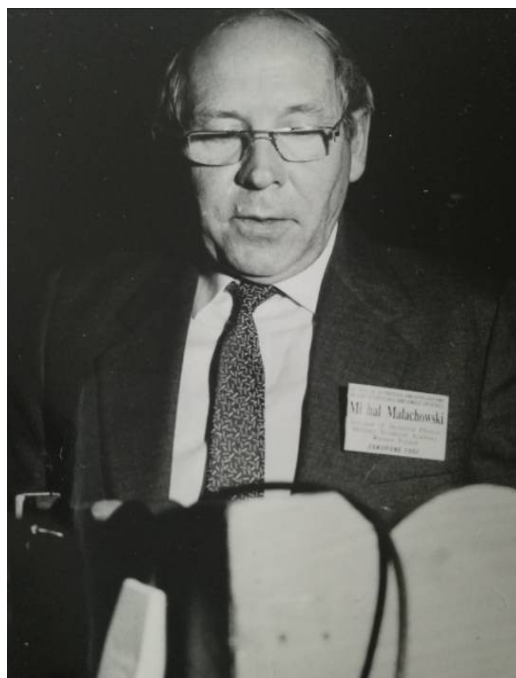


Moment wręczenia mi tytułu profesora przez prezydenta L. Wałęsę rok 1991.

Wyjazdy na konferencje.

W czasie pracy w WAT wielokrotnie wyjeżdżam na krajowe i zagraniczne konferencje naukowe gdzie referuję rezultaty swoich badań. Odwiedziłem wówczas kilka krajów, jak USA, Anglię, Irlandię, Szkocję, Francję, Hiszpanię, Niemcy, Moskwę, Kijów, Krym, Pragę, Budapeszt, Armenię. Ponadto przy okazji konferencji istnieje możliwość zwiedzania miast. Mógłbym niemało napisać o zabytkach tych miast, o ludziach, warunkach życia, lecz byłoby to nudne. Czasem jest bez sensu zwiedzanie muzeum w niektórych krajach. Wymienię tu Moskwę, przy Placu Czerwonym istnieje muzeum militarne. Myślę sobie odwiedzę go. Tymczasem przy wejściu do niego wisi okazała tablica z wyszczególnionymi państwami Europy podbitymi przez Niemcy w czasie II W.Ś. A tam taki rodzynek - Polska została przez Niemców pokonana w ciągu 17 dni września! Po przeczytaniu tego, odeszła ochota na zwiedzanie tego muzeum. Żadna informacja tam udostępniona, nie jest pewna! Podobnie jak w ich książkach historycznych. Tendencyjne fałszowanie historii Rosji przeniesione zostało na ich republiki. Przykładem może być moja rozmowa z profesorem historii Erewańskiego uniwersytetu. Na pytanie czy wspomina na swoich wykładach o wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. Odpowiada: - owszem, to była krótka wojna, gdy wojska armii bolszewickiej podeszły pod Warszawę, robotnicy polscy uprosili Lenina aby zaprzestał inwazji. Lenin na to przystał.

Tymczasem strona polska w okresie PRL-u także neguje zwycięstwo polskiego wojska, może nie w taki prymitywny sposób jak Ormianie, jednak o pobiciu bolszewików mowy nie było! Dlaczego? Tak się tylko pytam i tyle...



1997 r. Wygłaszam referat na międzynarodowej konferencji w Zakopanem.

Podczas wyjazdów na zagraniczne konferencje, zwykle na zwiedzania mamy mało czasu. Nieraz referat należało wygłaszać pod koniec konferencji, oczekiwanie i końcowe przygotowania do niego, jest denerwujące tudzież pochtania niemało czasu. Można zwykle na własny koszt pobyt przedłużyć. To zrobiłem na Wyspach Kanaryjskich oraz w Bostonie USA, gdzie zainteresowałem się wystawą naukową (jest czynna permanentnie), wystawa dinozaurów wraz z ogromnym, całkowicie oszklonym akwariem z rybami morskimi, które jest wysokie na 3 piętra. Zwiedzający chodzą po schodach otaczających to akwarium. W supermarketach kasjerki sprawdzają zawartość podręcznych bagaży klientów i nikt nie protestuje. natomiast u nas bez protestów nie obeszłoby się, tak sędzę. Jedna rzecz mnie nieco ubawiła (może niesłusznie). W centralnej części miasta jest okazały pomnik bohaterskiego Amerykanina z okolic Bostonu. Jego wyczyn polegał na zawiadomieniu obrony Bostonu w czasie wojny z Anglikami o ich obecności w odległości 30 mil od Bostonu. Musiał tę odległość przebyć konno w ciągu nocy. Nie wyspał się biedak! Ma za ten wyczyn okazały pomnik w centrum miasta.



INTL EF HOUSE w Bostonie

Całego Bostonu nie zwiedziłem, być może gdzieś stoją inne pomniki, ku czci większych bohaterów. A my nie stawiamy pomników wszystkim bohaterom, którzy nawet polegli w obronie ojczyzny z bronią w ręku, gdyż tych pomników byłoby zbyt wiele. Pewnie o tym Amerykaninie piszę zbyt uszczypliwie, więc dodam, że nie mam też wątpliwości co do tego, że nie jeden bostończyk poległ zarówno wówczas, tudzież w innych wojnach jak 1 i 2 wojna światowa, koreańska, wietnamska itd. Tak czy inaczej w Stanach nie brakuje bohaterów. Jeszcze jedno spostrzeżenie, pewnie nie uwierzycie, bostońskie tramwaje są znacznie starsze i mniej wygodne niż warszawskie. Pasażerowie wchodzą obok motorniczego i tam rzucają na miedzianą tacę odliczoną kwotę za bilet.

Nie zawsze podróż jest udana. Bywa, że coś pójdzie nie tak. W 1996 roku pojechałem własną mazdą razem z prof. Plucińskim z WAT na konferencję do Montpellier we Francji. Ulegam we Francji wypadkowi. Na szosie postanawiamy skręcić w lewo na odpoczynek. Francuski kierowca dostawczego samochodu natomiast postanawia mnie wyprzedzić na samym skrzyżowaniu. Przecina ciągłą linię, zjeżdża na lewy pas jezdni i uderza w bok mazdy w czasie skręcania w lewo już na drugim pasie. Prawidłowo postąpiłby gdyby poczekał aż zwolnię mu miejsce na jazdę wprost.



Na międzynarodowych konferencjach zagraniczni uczestnicy byli chętni do wymiany poglądów. 1994 r. ze mną para z Anglii na konferencji w Zakopanem.



Na konferencjach organizowane są także krótkie wycieczki. Tu nad Zmarzłym Stawem w Tatrach. 1998 r.

Tymczasem mazda została zniszczona, pozostawiam ją w warsztacie. Ja ranny w głowę – do szpitala. Chirurg założył mi kilka szwów. Tam spędzam noc. Następnego dnia jadę taksówką na policję, właściwie na żandarmerię. Tam składam zeznania w języku angielskim a żandarm, który pisał protokół w miejscu wypadku spisuje teraz moje zeznanie po francusku. Pytam go, kogo wini za ten wypadek. Oświadcza, że on nie jest od tego, żeby ocenić, kto jest winien. Już wówczas zaczynam

podejrzewać mataczenie. Bowiem policjant zawsze musi swoją opinię przedstawić. Pluciński będąc w innym szpitalu na obserwacji, spotyka Polkę tam pracującą pielęgniarkę. Ona dowiaduje się, że żandarm i sprawca wypadku się znają. Mieszkają w tej samej miejscowości. Obładowani bagażami, dojeżdżamy pociągiem na konferencję. Po konferencji autokarem wracamy do kraju. Po pół roku dowiaduję się o zakończonej rozprawie przed francuskim sądem, na którym żandarm przedstawił swoją opinię. Otóż ze względu na to, iż nie zrobiłem miejsca na prawym pasie jezdni, kierowca francuski musiał (nie miał takiego prawa, gdyż powinien się zatrzymać za mną) mnie wyprzedzić lewym pasem jezdni, z tego powodu ja jestem odpowiedzialny za ten wypadek. Podczas gdy mnie przecież zapewniał, że opinia to nie jego rzecz. Taka tam jest sprawiedliwość. To była moja nad wyraz kosztowna wyprawa.

23. MOJA PRACA W ANGLII.

Jak wszystkim wiadomo, stan wojenny wprowadzono w naszym kraju 13 grudnia 1981 roku. W sierpniu tegoż roku wracam po pracy autobusem do domu. Siada obok mnie pułkownik, wita się. Znam go z widzenia, ale nazwiska nie znałem. Tak do mnie zagaja.

- No i co pan docent sądzi o tych wszystkich strajkach? Jak to się skończy?

- Sądzę, że musi dojść do zmian we władzach, muszą ugodę jakąś zawrzeć. Trudno byłoby nie brać pod uwagę ich żądań.

- A ja panu mówię, że te strajki skończą się szybko.

- Nie widzę takiej możliwości. Solidarność ma już 10 milionów członków.

- Nic nie szkodzi -.na to jest sposób. Strajki i niepokoje niebawem znikną. Pan popamięta moje słowa. Strajkujący nic nie wywalczą.

On miał rację! Chyba był wtajemniczony w plany stanu wojennego. Nie wierzyłem mu. Gdybym wierzył, mógłbym zawiadomić kogoś z opozycji. Aczkolwiek powątpiewam czy ktokolwiek taką informacją by się przejął.

Tymczasem jest już rok 1983 – stan wojenny, zatem perspektywy na godziwe życie w kraju znikają jak kamfora. Nie istnieją także realne perspektywy na pracę za granicą. Na przekór wszystkim postanowiłem jednak w tym kierunku zadziałać. Nawiązuję korespondencję o charakterze naukowym z naukowcem na stanowisku readera pracującym na Uniwersytecie Nottingham dr Donardem de Coganem. Wówczas Internetu nie było. Pisaliśmy do siebie listy, na których oprócz znaczka i adresów widniał nieodmiennie stempel “OCENZUROWANO”. Donard zdziwił mnie zwracając uwagę z uznaniem na ten stempel, bowiem u nich czytanie korespondencji ma postać utajnioną. Sądzę, że tam wówczas mieli problem z Irlandczykami i arabskimi terrorystami. Po pewnym czasie pytam go o możliwość rocznych z nim badań na tym Uniwersytecie. Po przeczytaniu moich publikacji, zauważył podobieństwo ich tematyki z zagadnieniami którymi aktualnie się zajmuje. Decyduje się sprawą zająć i ogłosił konkurs o roczne stanowisko naukowca badającego metodą symulacji komputerowej procesy fizyczne w wybranych przyrządach półprzewodnikowych. Po wygraniu konkursu o to stanowisko, cały 1984 rok pracuję na Uniwersytecie w Nottingham w Anglii, nad symulacją komputerową zjawisk elektronowych w półprzewodnikach. Ścisłe współpracuję z dr de Coganem. W tym czasie, zaprzyjaźniłem się z nim. Ta przyjaźń trwa nadal.

W okresie mojego tam pobytu, spotykałem się z nim prywatnie, chodziliśmy na spacerunki czy zakupy. Czasem mnie zabierał swoim autem – najczęściej gdy coś załatwiał w Londynie. Już wówczas spotykało się Polaków na ulicach angielskich miast. On miał muzyczne ucho i gdy mijali nas rozmawiający po polsku przechodnie, pytał mnie czy to nie jest przypadkiem mowa polska. Zaintrygowany spytałem go jak ją odróżnia od innych. Otóż według niego, ta mowa przypomina szum zmiatanych przez wiatr zeschniętych jesiennych liści. Ciekawe porównanie, prawda? Niewątpliwie brak u nas melodyjności podobnej do mowy włoskiej. Nie da się ukryć, mamy niemało tych sz, cz, dż ‘w Szczepieszynie, chrząszcz brzmi w czcinie’.

Wracając do Cogana, zadziwia mnie swoim hobby. Pewnego razu ujawnia, że od roku usiłuje wykonać model parowozu kompletnie z metalu, ze wszystkimi detalami. Zachęca mnie do pomocy w tym jego przedsięwzięciu. Zawozi mnie na miasto, wchodzimy do jakiegoś starego budynku z dużym pomieszczeniem pełnym różnego rodzaju maszyn. Mnie postawia przed olbrzymią obrabiarką, wręcza kawałek

żelaznego walca i mówi, żebym z tego wykonał dwa koła do modelu parowozu. Niemal co tydzień tam w soboty jeździmy. Taka konstrukcja tylko wygląda na prostą. W rzeczywistości, podejrzewam, że on nadal tego parowozu nie wykończył, mimo upływu 30 lat. Wystarczy powiedzieć o moich dokonaniach, w okresie jednego roku pracując w niektóre weekendy, wytoczyłem tylko 2 koła

Na uniwersytecie mają wówczas już komputery osobiste. Obliczeniowa moc ich nie była wystarczająca do moich badań. Więc mój komputer był permanentnie połączony z centralnym komputerem uczelni. Przy okazji dowiaduję się, że twórcami komputera osobistego są dwaj Amerykanie. Steve Jobs i Steve Wozniak. Trochę satysfakcji, w końcu nasz rodak dokonał takiego przełomowego wynalazku. Tym bardziej, bowiem Jobs wyłącznie podawał pomysł jak to urządzenie ma wyglądać i jakie funkcje spełniać. Wszelako wykonawcą tego rewolucyjnie zmniejszonego komputera był Woźniak. Jobs mając 18 lat powiedział kolegom, że mając 26 lat będzie w posiadaniu 6 milionów dolarów i tak się stało! Pod koniec życia jego fortuna była oceniana na ponad 60 miliardów! Swoim 3 synom przekazał po 10 milionów a resztę oddał na cele charytatywne. Zmarł przedwcześnie na raka trzustki. Woźniak nadal unowocześnia elektronikę. Odwiedza też Polskę, kraj jego przodków.

Począwszy od tego czasu do chwili obecnej współpracuję z prof. Donardem de Coganem, który przeniósł się do Norwich. W czasie pobytu w Anglii mieszkam w Nottingham na terenie Uniwersytetu, stołuję się z kilkunastoma pracownikami uniwersytetu (nie tylko z Anglii). Stołujemy się wszyscy w dużej sali, jadalni, podzielonej na dwie części, mniejszej dla kilkunastu pracowników uczelni. Pozostała część sali jest zastawiona stołami dla studentów. My mamy oddzielny, tylko dla nas przeznaczony stół, przy którym studenci nie siadają. Podłoga naszej części jest o pół metra wyżej, co umożliwia obserwację, co się dzieje u studentów. Oni pobierają posiłki z okienka a my mamy je umieszczone w termostatach w sąsiednim pomieszczeniu. Każdy z nas tam idzie i sobie nakłada na talerze. Mamy trzy posiłki, o 8, potem o 13 i 16-tej. Za każdym razem można się najeść ile się chce. Po posiłku pijemy kawę. Za mieszkanie i posiłki płacę miesięcznie 200 funtów z mojej pensji wynoszącej 650 funtów. W tamtym okresie płace i ceny są inne niż w 21 wieku. Dotyczy to też naszego kraju. Podam dla przykładu pewne kwoty. Po przyjeździe do

Polski kupuję synowi kawalerkę w stolicy płacąc tylko 3500\$! Był to rok 1985. Potem te relacje cenowe mocno się zmieniały.

Oprócz pracy naukowej, na Uniwersytecie Nottingham jednocześnie sporadycznie biorę udział w pracy dydaktycznej. Uczestniczę bowiem w ćwiczeniach rachunkowych i laboratoryjnych w zakresie elektroniki ciała stałego. Użyłem słowa 'uczestniczę' a nie jak u nas 'prowadzę', ze względu na dwie bądź trzy kompetentne osoby obecne równocześnie na tych zajęciach. Na ćwiczeniach rozwiązywania zadań lub problemów mają miejsce w sali wykładowej, są obecni jednocześnie wszyscy studenci danego roku. Oni mają na kilku kartkach wszystkie zadania przeznaczone do rozwiązania w danym semestrze. Na ćwiczeniach one nie są rozwiązywane na tablicy, jak to jest przyjęte u nas. Zwykle dobierają się dwójkami i na ćwiczeniach po cichu te zadania rozwiązują. Gdy rozwiązywanie się nie udaje, wówczas podnoszą rękę i asystenci chodzący wzdłuż ławek śpieszą, żeby udzielić wsparcia. Zwykle, gdy są trzy grupy, to na sali są trzej asystenci. Nie mają oni łatwo, bowiem w zasadzie każda dwójka rozwiązuje inne zadanie – są w różnym etapie rozwiązywania zadań przeznaczonych na cały semestr. Zadania nie są trywialne. Prowadzący musi wszystkie zadania znać i nie guzdrać się przy jednym studencie, podczas gdy inni czekają. Na końcu semestru jest zaliczanie polegające na samodzielnym rozwiązaniu dwóch podanych przez asystenta zadań. Byłem obecny przy zaliczaniu – nikt nie ściągał. Ten system ma zalety – oni uczą się samodzielnego rozwiązywania zadań, a na zaliczeniu muszą to mieć opanowane. Pewnym mankamentem jest mniejsza ilość zadań przerobionych wobec ilości w naszym tablicowym systemie, który jest kontynuacją systemu szkolnego.

Uniwersytecka przerwa śniadaniowa zasługuje także na komentarz. O 10-tej mamy przerwę na wypicie kawy z mlekiem, rzadko kto wyciąga do tego kanapkę. W tym celu zbieramy się wszyscy w dużej sali, siadamy z kubkiem kawy wokół przy ścianach, zwróceni twarzą do środka sali, widzimy więc wszystkich uczestników. Mimo około 30 osób obu płci, w danym momencie jedna osoba głośno wypowiada jakieś zdania. Dyskusję podchwytuje osoba następna i tak dalej po kolei. Nie ma ogólnego gwaru, tak jak to ma miejsce u nas, gdzie zwykle tworzą się grupki kilku osób głośno rozmawiających, czyniących ogólny gwar., (może tam też czasem słychać równoczesne skierowane do sąsiada inne wypowiedzi ale w sposób bardzo

ściszony). Oni twierdzą, że taki styl dyskusji uzgodnili, bowiem jest okazja skonfrontowania poglądów z dużą ilością słuchaczy. Natomiast rozmowę z wybraną osobą można przeprowadzić w każdym innym miejscu i terminie. Uczestnictwo na tej kawie jest quasiobowiązkowe, bowiem słyszy się takie ponaglenia „nie chcesz iść tam, przecież długo o taką kawę i przerwę w pracy walczyliśmy”.

Przed końcem roku akademickiego wybrane osoby są proszone na uroczyste dinner z udziałem najważniejszych oficjeli uniwersytetu. Zostałem tam też zaproszony. Obowiązkowym strojem mężczyźni jest frak. Nowy kosztuje 400 funtów. Zadowolilem się wypożyczonym za 70 funtów. Były uroczyste przemówienia, toast na cześć królowej, wiele dań i nieco alkoholu, wykwitne dekoracje. W sumie przyjemnie.

Skoro mowa o fraku, to mnie się przypomniało, natępujące miniwydarzenie w WAT. Nasza katedralna koleżanka Wanda Dulewicz, poufnie ogłasza, że minister gen. Kaliski wysłał jej męża pułkownika do Paryża jako atache wojskowego. U krawca na miarę uszyli za własne środki elegancki frak, a ona drogie modne suknie. Tymczasem coś poszło nie tak i z wyjazdu nici. Koleżanka ubolewała, że mają teraz w szafie niepotrzebne rzeczy.

Po powrocie do kraju wymyśliłem przypominający angielski sposób prowadzenia ćwiczeń rozwiązywania zadań z fizyki. Musiałem go uprościć ze względu na brak zgody władz uczelni na łączne zajęć dla trzech grup równocześnie. Nasze władze uczelniane kontrolują oceny studentów w czasie trwania semestru, a w systemie angielskim jest brak ocen w czasie semestru – słowem niemało przeszkód. Po powrocie do kraju zastosowałem angielską ‘podróbkę’. Na początku dwugodzinnych zajęć dyktowałem treść zadań i zachęcałem studentów do samodzielnego rozwiązywania. Tym, którzy rozwiązywali stawałem pozytywne oceny. Średnio o połowę mniej zadań rozwiązywaliśmy, niektórzy jedynie odpisywali od kolegów. Zamiast, jak przedtem wygodnie siedzieć przy tablicy i kontrolować przebieg rozwiązywania przez studenta na tablicy, musiałem chodzić po sali i wyjaśniać każdemu z osobna. Tak męczyłem się przez dwa lata, w końcu wróciłem do starej metody i tyle. Studenci nie byli zachwyceni tą innowacją, niestety.



Wykładowcy i inni niestudenci stołujący się w uczelnianej stołówce, nie mają lekko. Raz w roku przyrządzają posiłek sobie i studentom. Tu na zdjęciu w niełatwych kulinarnych wyczynach pomaga mi lektorka języka niemieckiego Metchild Schlageter.

Oczywiście, w czasie rocznego pobytu spotykam się tam z różnymi osobami, nieraz z takimi, których nigdy nie zapomnę. Wspólne posiłki spożywam z osobami pochodzącymi nie tylko z Anglii. Ci ostatni nie byli skłonni cokolwiek mówić o swoim pochodzeniu, rodzinie. W czasie mojego rocznego pobytu jedynie pewna asystentka mnie powiedziała, że jest córką pastora. Mam wrażenie, w naszym kraju mówi się bardziej bezpośrednio o sobie, innych osobach lub o swoich przemyśleniach, niż to się widzi tam. Oni są specjalistami w wyciąganiu wniosków z twojej wypowiedzi na podstawie na przykład intonacji, niedokończonego zdania. Nie jest przyjęte tam mówienie 'prosto z mostu', bez ogródek. Jest tam wówczas też młoda Niemka Metchild Schlageter, zatrudniona jako lektorka języka niemieckiego. Ta częściej rozmawia ze mną o swojej rodzinie mieszkającej w malowniczej miejscowości w Bawarii, do której nieustannie tęskni. Pracuje w Anglii tylko wyłącznie z braku pracy w Niemczech w jej zawodzie. Zapamiętuję fragment dotyczący Polski. Znaleźli w Zielonej Górze biedną rodzinę, do której co miesiąc wysyłają paczki z żywnością i odzieżą. Gawędzimy z nią na różne tematy. Raz stwierdziłem, że w czasie ostatniej wojny nienawidziliśmy Niemców za wojnę i cierpienia ludzi z nią związane. Jednak obecnie (1984 r), już to minęło, a nienawidzimy Rosjan, bo nie możemy swój przedwojenny ustrój kontynuować. Niemcom stawialiśmy opór przez pięć lat, a Rosjanom aż do tej chwili, natomiast teraz to jest walka ideologiczna, a nie zbrojna

jak z Niemcami. W okresie wojny w lasach mieliśmy ruch oporu w postaci żołnierzy skupionych w AK. Zadała pytanie czy zabijaliśmy Niemców. Tak, ale to były raczej przypadki obrony lub karania zbrodniarzy. Były też napaści na żołnierzy Wehrmachtu aby zdobyć broń i amunicję. Powiedziałem, że zanucę piosenkę śpiewaną przez partyzantów ilustrującą taką napaść, bo są tam też słowa niemieckie. Wobec zainteresowania z jej strony, zanucilem: okrążali koszary, warta stała u bramy, Janek z nami skoczyli do drzwi, Hande hoch krzyczy głośno, Szwaby ręce podnoszą, a ze strachu aż każdy z nich drży. Przetłumaczyłem jej z grubsza i dodałem, że nie było tu zabijania, jedynie broń zabrali i zostawili ich. Nie wiem dlaczego, ale wyraźnie ją to ucieszyło.

Kilka tygodni przebywa na uniwersytecie profesor z Indii. Określił swoją pensję tam na kwotę 50 funtów (tam są rupie, więc przeliczył). Mimo tych skromnych dochodów ma tam dom, służącą.

Na uniwersytecie w Nottingham istnieje zwyczaj przy okazji jakiegoś święta czy jakiegoś dnia uczelni, zapraszania wyróżniającego się studenta na uroczysty posiłek przy stole dla personelu nauczającego. Raz posadzili przy mnie piękną brunetkę studiującą medycynę. Powiedziała mi, że jest córką Litwina, który jako nieletni przybył z rodziną do Anglii po wojnie. Rodzina przybrała nazwisko Smith. No to skoro ich zamiarem było ukrycie się przed Sowietami, to nazwisko jest jak najbardziej odpowiednie. Nie sądzę, żeby ewentualni agenci sowieccy chcieli sprawdzać prawdziwość genealogii każdego z dziesiątków tysięcy Smith'ów! Nie dopytywałem się jej, w jaki sposób się dostali do Anglii. W końcu nie trudno się domyślić, że to zazwyczaj byli ludzie, którzy nie mogli liczyć na wyrozumiałość Sowietów, więc ryzykowali ucieczkę w tych niebezpiecznych czasach. Na przykład mogli pełnić funkcje państwowe w przedwojennej Litwie, bądź w czasie wojny służyć w formacjach kolaborantów w Polsce czy w swoim kraju, na Litwie wykonywać działania represyjne na Żydach. O jednym z nich wiem. O tym piszę w innym miejscu. Jego matka, gdy przebywałem jeszcze na Litwie, mnie prosiła, żebym jej Vitautasa poszukał w Busku (gdyż pisał do niej z tego miasteczka) gdy przyjadę do Polski. Prośba bez sensu, o ile go Sowietci nie zgładzili, to zdołał uciec z Niemcami na zachód. Z pewnością w Busku nie oczekiwał z utęsknieniem Rosjan.

Potem często spotykam tę studentkę, obiecałem nadejście do niej listu od syna. Tymczasem Michał nie chciał pisać, ona kilkakrotnie mnie pyta, dlaczego nie pisze. W niedziele natomiast spotykam się na terenie zabudowań polskiej parafii z członkami Polskiej społeczności. Część z nich brała udział w minionej wojnie. Mieszkający tam Polacy w czasie wojny przebywają różne drogi. Częściej spotyka się w Anglii tych, którzy przeszli szlak z armią generała Andersa. Są tacy, co byli w Anglii lotnikami w samolotach bojowych i brali udział w walkach z Niemcami w obronie Anglii. Czasem spotykam się z byłym oficerem oświatowym w armii Andersa. Niezmiennie prosi, żebym ja coś opowiadał i swoje poglądy na różne tematy przedstawiał. O sobie mało mówi. Nie naciskałem, nie prosiłem go o opowiadanie dotyczące jego wojennych czy powojennych losów. Oni byli chyba przesadnie ostrożni. Jednak opowiada mnie, że w Polsce przed wojną zakochuje się w dziewczynie i obiecuje, iż po wojnie ją odnajdzie i będą razem. Jak wiadomo wojna długo trwała. Tymczasem pamięć o dziewczynie przetrwała. Zdołał ją sprowadzić do Anglii, tymczasem mi mówi: - to już jest co innego niż uczucie przedwojenne. Tym niemniej z nią się żeni. Ma do niej pretensję o brak chęci integrowania się z angielskimi sąsiadami i nauki angielskiego. To czasem przekładało się na niezręczne przygody na przykład w sklepach. On z kolei chorował na cukrzycę. W czasie pogawędki czasem bez powodu wpadał w złość. Zmarł pod koniec mego pobytu. Zupełnie inne przygody wyjawiał drugi mój rozmówca. Nie bywał na spotkaniach Polaków. W czasie wojny został wcielony do służby w Wermachcie. Brał udział w walkach przeciwko aliantom. We Francji dostaje się do niewoli amerykańskiej. Tak ten moment mnie relacjonuje:

- idę w nocnym patrolu żołnierzy Wermachtu. Nas było 7. Wtem do nas z bliska z ukrycia posypały się strzały. Dowódca padł zabity, dwóch rannych, ja się schowałem za skrzynką z amunicją, którą targam. Na chwilę przestają strzelać, każą się poddać, my ręce podnosimy i to był koniec mojego udziału w wojnie. Niemców pędzą do obozu a mnie jako Polaka odtransportowują oddzielnie.

Na Uniwersytecie on jest pracownikiem technicznym, pomocniczym. Ożenił się z Angielką. Kiedyś zaprasza mnie do swego domu na obiad. Przyjemna rodzina z dwoma córkami. On nigdy nie przychodzi do domu polskiego w niedziele, żeby się piwa napić i porozmawiać z rodakami. Pewnie andersowscy się boczą na niego z

uwagi na jego przeszłość, chociaż to byłoby niesprawiedliwe, jego wcielili do wermachtu przymusowo, w końcu mieszkał na terenach wcielonych do Niemiec.

Bliżej zaprzyjaźniam się z rodziną Lichtarowiczów. On pracuje na Uniwersytecie na stanowisku 'reader' a naukowo zajmuje się mechaniką zjawisk na granicy woda-metal. Jest w moim wieku, więc w wojnie udziału nie mógł brać. Ma dwie córki i dwóch niemal identycznie wyglądających bliźniaków. Córki ambitne, obecnie jedna z nich Ewa jest lekarką, druga Ania reporterką BBC. Obie dobrze sobie radzą w pracy zawodowej. Można o tym się przekonać za pośrednictwem Google wystukując ich imiona i nazwisko rodowe. Gdy tam bywam Ewa kończy szkołę średnią. Zaprasza do swego domu na kawę kolegów pochodzenia polskiego. Wciąż dyskutują o różnych sprawach, a wyglądało to tak: oni mówią używając języka angielskiego a ona polskiego. Oznaczało to, że goście mają problemy w mówieniu po polsku, lecz ten język nadal rozumieli. Bliźniaki także radzą sobie przyzwoicie, bowiem są inżynierami w zakresie informatyki.

W niektóre niedziele jeżdżę na samotne wycieczki autobusowe do większych miast. Należy korzystać z okazji i poznawać dany kraj. Raz doświadczyłem nietypowej przygody. Na pierwszą wycieczkę wybrałem Birmingham. Docieram do stacji autobusowej. Kupuję w kasie bilet, zaczynam szukać na dworcu odpowiedniego autobusu. W momencie, gdy go w końcu wypatrzyłem, autobus rusza i odjechał. Wracam do poczekalni i mówię w informacji o moim nieszczęściu. Facet popatrzył na mój bilet i mówi abym szybko za nim ruszył. Wsadza mnie do auta i szybko jedzie. Złapał mój autobus, który zatrzymał się na innym przystanku w naszym mieście. Wsadził mnie do środka i odjechał. U nas chyba nie słyszy się o takich przypadkach, zwłaszcza w okresie PRLu. Innym razem w mieście, z którego wracałem, na dworcu stały dwa autobusy do Nottingham, jadące w odstępie pół godziny. Wsiadłem do jednego z nich. Okazało się, że to były autobusy konkurujących ze sobą firm. Oczywiście jestem w autobusie nie tej firmy, w której bilet powrotny nabyłem. W czasie podróży, przy sprawdzaniu biletów pomyłka się wydaje, a konduktor jest mocno zdenerwowany. Jestem gapowiczem. Na moje szczęście dla cudzoziemców czasem odpuszczają. Tak też robi i tym razem. Zabiera bilet i należność odbierze z tej drugiej firmy. Gdy opowiadam znajomym, to dziwią się łagodnością z jaką mnie potraktowano.

Innym razem obok mnie siedzi jegomość starszy ode mnie o jakieś 10 lat. Zaczynamy rozmawiać, gdy dowiaduje się kim jestem mówi, że w czasie wojny na obozie, gdzieś w północnej Afryce, szkolił polskich żołnierzy, w zakresie budowy broni i jej posługiwaniu się. Tę swoją pracę dobrze wspomina. Wszystko co mówiłem, ich nadzwyczaj mocno interesowało. Byli bardzo pojętni i chętni w szkoleniu.

Wreszcie kończy się mój kontrakt w Nottingham. Na ostatnim niedzielnym spotkaniu w przykościelnym pubie siedzę przy stoliku popijając piwo, razem z trzema innymi ostatnio zaprzyjaźnionymi Polakami i oznajmiam o nadejściu końca mojej pracy w Anglii i to jest ostatnia moja wizyta w tym pubie, bowiem wracam do kraju. Mówię, że wprawdzie mam propozycję podjęcia pracy w Instytucie Elektroniki w Irlandii w mieście Cork, jednak rezygnuję z tego i wracam do kraju. Już wówczas ubył z naszej czwórki od piwa i pogawędek przy stole były oficer oświatowy, bowiem zmarł, będąc od dawna chory na cukrzycę. Jeden z nich powiedział:

- Ta pana decyzja jest dziwna. Mógłby pan spokojnie w Irlandii pracować i zapewnić rodzinie godziwe życie.

Zamiast odpowiedzi, pewnie pod wpływem piwa (na trzeźwo bym tego nie robił) zanuciłem przy stole

- Nie rzucim ziemi skąd nasz ród, nie damy pogrzeć mowy.... Oni w milczeniu słuchają tego i mają łzy w oczach. Oczywiście nie ze względu na mój wyjazd. Tak czy inaczej, taką ich reakcję należy przypisać tęsknocie za Polską. Jeden powiedział tylko:

- nie musi pan już nic wyjaśniać.

Wypiliśmy jeszcze po kuflu angielskiego piwa, już śpiewać nie chciałem i spytałem, czy przypadkiem nie zaprotestują, jeżeli zarecytuję krótki wierszyk. Oni nie protestowali, więc taki wierszyk im zafundowałem:

*Być może, być może, że wszystko gdzieś lepsze
i ptaki, i gwiazdy, i śpiew, i powietrze,
że były gdzieś nawet szczęśliwsze narody
i drzewa wdzięczniejsze od wierzby u wody.*

*Być może, gdzie indziej... lecz sercu jest droższa
piosenka nad Wisłą i piasek Mazowska.*

Tego słuchali także siedzący przy sąsiednim stoliku. Gdy skończyłem otrzymałem oklaski. Później jeden mi powiedział: - może pan nie uwierzy, ale bardziej wzruszyliśmy się pana popisami niż tydzień temu recitałem Rosiewicza, który nas tu odwiedził. O matko! pomyślałem. Ale oni potrafią przesadzać! A potem po powrocie do kraju w W-wie na przyjęciu imieninowym u bratowej mojej żony postanowiłem dla eksperymentu taki sam popis zrobić. Zadzwoiłem w kieliszek bo inaczej gwar by nie ucichł i mówię:

- jak już mówiłem, właśnie wróciłem z Anglii. Tam na przyjęciach lubią śpiewać, tak jak tu zresztą. Czy chcecie posłuchać co ja im zaśpiewałem?

Oni: - chcemy, chcemy!

No to zaśpiewałem i zarecytowałem to co tam.

I co? Zapewne żadne oko się nie zaszklilo, nikt nie westchnął, natomiast moje wspomnienia zostały przerwane bowiem zabrzmiał donośny głos wielce zatroskanej gospodyni domu: - a może ktoś jeszcze chce faszerowanego jajka? W odpowiedzi usłyszała: - już nie, już dość! I poprzedni gwar o sprawach bieżących trwał nadal. Chyba my tu jesteśmy mniej sentymentalni niż nasza Polonia

Jeżeli chodzi o osobiste wrażenia wyniesione z Anglii to nie zauważam, aby Anglicy do kogoś zwracali się w sposób przykry, nie pamiętam takiego przypadku, nawet nie poprawiają mój angielski, taką mają mentalność, być może nie wszyscy, oczywiście. Czasem zdarza się mnie tak zdanie pokręcić, że stawało się jedynie dla mnie zrozumiałe, wtedy zwykle proszą o powtórkę (please, start again). Skoro ktoś poprawiał mój angielski, najczęściej był to obcokrajowiec. Raz mnie się taki przypadek zdażył. Raz w miesiącu nasza grupa wspólnie spożywająca posiłki robi składkę na wybrane gazety. Te gazety codziennie pojawiają się na stole obok. Po posiłku oni pobieżnie je przeglądają. Ponieważ mnie to czytanie zabiera więcej czasu, więc potem zabieram jakąś gazetę do siebie coby ją dokładniej obejrzeć. Angielka pełniąca funkcję naszej starościny zwróciła mi uwagę, żebym tak nie robił, bo to musi być dostępne dla wszystkich.

Polacy w Anglii zachowują się inaczej, czasem chcą być bardzo angielscy, tymczasem szydło zazwyczaj wyłazi z worka. Przykład: popijamy piwo we czterech, my dwaj z Polski wraz z dwoma osiadłymi tam od dawna, mój znajomy z Polski pyta jednego z osiadłych,

- jak dawno pan jest w Anglii?,

a ten gniewnie marszcząc brwi na to:

- to nie pana interes.

Nie wyobrażam takiej niegrzecznej odpowiedzi z ust Anglika, za wyjątkiem jakiejś ostrej kłótni oczywiście. Z tej rozmowy wyciągnąłem wniosek (nie jestem pewien czy słuszny). Otóż, Polakom w Anglii nie należy zadawać zbyt osobistych pytań. Pewnie zadają sobie ostrzegawcze pytanie czy przypadkiem pytający nie jest wysłannikiem UB? Co przy wizytach w Polsce może zaszkodzić. Zresztą przy stolikach w tym pubie są sami Polacy i czasem słychać kłótnie. Polacy w razie sporu nie chcą się zakładać, tak jak to czynią Amerykanie, wolą uzupełniać swój punkt widzenia nowymi faktami, prawdziwymi bądź nie do końca, a to rodzi kłótnie. Gdzieś przeczyłem, jakoby Anglicy się zachowują względem ciebie tak, jakby byli twoimi przyjaciółmi. Podczas gdy w rzeczywistości w najmniejszym stopniu oni nie traktują tego w taki sposób. Anglicy pewnie się kłócą, lecz nie byłem tego świadkiem. Ponoć, o ile wynika różnica zdań, to zamiast wrzeszczeć jeden na drugiego, jest proponowany zakład pieniężny (wszelako nie każdy spór da się rozstrzygnąć w ten sposób). Amerykanie tę metodę częściej stosują. No to spróbujcie zaprzeczyć w czymś, co napisałem, natychmiast zaproponuję zakład! Nie honor zakładu nie przyjąć. Więc lepiej dwa razy się zastanowić niż komuś zaprzeczyć, wszak można kasę stracić. Czasem pokazują w filmach jak się toczy życie w amerykańskich klubach. Tam się zbierają mężczyźni po pracy, a zwyczaj zakładania się tak spowszechniał, to o ile brakuje zakładów związanych z różnicami zdań, wówczas w takiej sytuacji wymyślają sobie inne zdarzenia pasujące do zawierania zakładów. Chociażby wyścig karaluchów – też jest akceptowany. Aby tylko jakieś dolary postawić. A emocji – co nie miara!

Wobec braku wówczas w Polsce walki wyborczej (1984) między różnymi partiami, pytam kiedyś Polaków, na jaką partię zazwyczaj głosują Polacy w Anglii. Usiłowałem dowiedzieć się jakie walory przyciągają wyborców do tej a nie innej partii. Tymczasem odparli ku mojemu zdziwieniu:

- My w ogóle nie głosujemy, w końcu w tym państwie dobrze się dzieje i to od wieków, to oni wiedzą, na kogo głosować. Nasze głosy mogłyby ten proces zaburzać.

Z tego nie sposób nie wyciągnąć wniosku, iż problem głosowania nie jest prosty. Często się słyszy o konieczności wprowadzania zmian w ordynacji wyborczej. Nic dziwnego, obecnie w 21 wieku Polacy mając zaledwie 20 letnią praktykę w głosowaniu, nie zawsze stawiają na właściwego 'koniu'. Wyborcy ciągle zmieniają partię rządzącą. Niewątpliwie kiedyś ten problem się unormuje. Musi upłynąć nieco czasu. Niektórzy sądzą, że to nie są wolne wybory. Podsuwają wyborcy Janowi Kowalskiemu gotowe listy kandydatów i na nich może głosować lub nie głosować i tyle. Tych kandydatów ustalają kilkusobowe grupy danej partii. Najczęściej kandydatami są ci, którzy wykazują lojalność przywódcom danej partii, a nie najbardziej kompetentni. A czy ktoś ma pomysł na lepszą ordynację wyborczą? Jeszcze nikt nie wymyślił coś lepszego! Kogoś należy wybrać, nie sprawdzi się ten, to będziemy głosować na kogoś innego, aż w końcu trafimy na idealnego (mrzonki). Wybrany oraz jego krewni mają szansę się wzbogacić w ciągu czterech lat będąc u 'koryta', stara się z tego korzystać. Stąd prosta droga do korupcji. Przy okazji, każda partia oskarża przeciwników o chęci dorwania się do koryta. Tymczasem wszyscy, zwłaszcza rolnicy wiedzą: - w korycie nic wartościowego dla przeciwników nie ma! Zatem to jest kłamstwo, że oni do koryta chcą się dorwać! Do czegoś innego, to może tak, ale nie do koryta!

Z wyborami luźno się wiąże problem roli ławników, wybieranych do rozpraw sądowych. W krajach anglosaskich i nie tylko, ławnicy po rozprawie naradzają się oraz orzekają o winie, a nawet sugerują wysokość kary. Rola sądu polega na wymierzeniu takiej czy innej kary zgodnej z danym kodeksem. Ławnicy to podpisują. A jak u nas to wygląda? Teściowa mego syna jest od wielu lat ławnikiem w sądzie rejonowym. Twierdzi, że sędzia o wszystkim decyduje. Obowiązkiem ławników jest

podpisanie wyroku. Na moje pytanie, czy ławnik może się nie zgodzić z decyzją sędziego, odpowiedziała, to się zdarzyło jeden r.az. Wtedy sędzia wrzasnął na ławniczkę:

- Czy pani zdaje sobie sprawę, że ja jestem po studiach prawniczych, a pani chce mnie pouczać?

Na tym dyskusja się skończyła. Już ta ławniczka była była pomijana przy dalszych rozprawach. Tymczasem ławnicy chcą mieć powołania na rozprawy ze względu na świadczenia. Oznacza to, że sędzia decyduje o składzie ławy przysięgłych! Ten przykład wskazuje, że w zasadzie wszędzie taki scenariusz rozpraw jest możliwy. Zatem system należy zreformować, ale nie tak jak się obecnie proponuje, żeby sądy uzależnić od ministerstwa sprawiedliwości, o nie! Natomiast tak czy inaczej, instytucja ławników w naszym kraju, powinna ulec przeobrażeniom. Być może coś w rodzaju systemu przedwojennego? Od czasu do czasu nasza prasa podaje opis przebiegu procesu słynnej Gorgoniowej. Ta krakowianka w początkowych latach trzydziestych została oskarżona o morderstwo. Ponieważ były wątpliwości jej winy, więc o winie zdecydowała ława przysięgłych. Na dziesięciu siedmiu zdecydowało o jej winie, więc osadzono morderczynię w więzieniu. Taki system bym popierał. Obecnie mówi się dużo o reformie sądownictwa, nawet się reformuje ale w kierunku uzależnienia od rządzących. Tymczasem w celu eliminowania możliwości korupcji sędziów, oni powinni być kontrolowani przez społeczeństwo przy pomocy ławników. To się robi przez wybieranie niezależnych od sędziego ławników. Po przez uzależnienie od ławników, sędziowie, jak w USA, muszą się liczyć z opinią społeczeństwa i nawet gdyby pragnęli przypodobać się rządowi nie mieliby takiej możliwości. O wysokości kary, ławnicy nie decydują. Ewentualna reforma sądownictwa musi uwzględnić ten problem. Bardzo skomplikowany jest proceder wyboru uczciwych ławników niezależnych od jakiegokolwiek ugrupowania politycznego. Natomiast uzależnienie sądów od ministerstwa sprawiedliwości, to paranoja demokracji i sprawiedliwości. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – nie odkrywam tu Ameryki, sprawujący władzę ustawodawczą czy wykonawczą o tym co napisałem wiedzą. Tymczasem z różnych względów tej reformy dotychczas nie przeprowadzili. Co więcej, opozycja też o niezależnych od sędziów ławnikach milczy,

pewnie im także odpowiadają tacy ławnicy jacy są? Zwykle dyskusję zamyka się stwierdzeniem „ława przysięgłych jest niezależna ustawowo”. A jak jest w rzeczywistości? Opozycja pragnie przywrócenia systemu sprzed reformami PiS, lecz takie zmiany byłyby zbyt skromne.

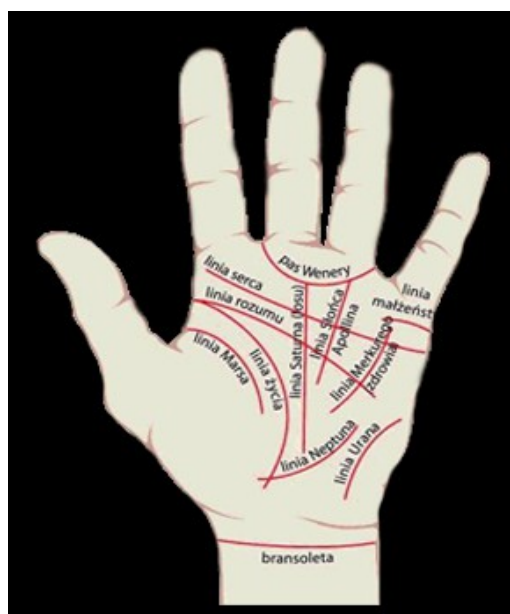
Wróżby.

Zdziwiła mnie u obcokrajowców ich wiara we wróżby, gdyż u nas ta wiara raczej zanika. W ostatnim miesiącu mego pobytu w Anglii postanawiam wykazać się zdolnościami w zakresie wróżbiarstwa. Jestem fałszywym wróżbitem. A są niefalshywi? Korzystam z faktu, że oni nie mają pojęcia jaki ze mnie wróżbita (nie wyjawię jaki). Kiedyś zaznajamiam się z liniami rysującymi się na ludzkiej wewnętrznej stronie dłoni oraz co one oznaczają. To się nazywa chiromancja. W tamtym momencie przy stole nas jest kilkunastu; kobiet oraz mężczyzn. Po spożyciu dinner i nalaniu sobie po kubeczku kawy, oświadczam dość niepewnie:

- O ile ktoś sobie życzy, mogę powiedzieć jacy jesteście oraz zrobić przepowiednię waszych najbardziej istotnych losów życiowych, wszystko co mi potrzeba, to wasze lewe ręce (all I want are your left hands).

Po co mi to było? Dotąd nie mam pojęcia! Ku memu zdziwieniu, wszyscy bez wyjątku żywo tą propozycją się interesują. Mówię wam, po prostu zastygli w oczekiwaniu. Biorę pierwszego z brzegu i wróżbę wypowiadam, wszyscy w skupieniu słuchają – są ciekawi jacy ich znajomi są a przede wszystkim własnych przyszłych losów. Niektórzy nad wyraz przepowiednię się przejmują. Przypominam wielkie zmartwienie jednej z koleżanek (Niemka), po moim komentarzu o jej linii życia.

-



Jakoby jej życie będzie wprawdzie długie, lecz niestety umrze nie w swoim kraju (jej linia życia była rozdwojona w końcowej części). Dopytuje się czy przypadkiem się nie pomyliłem. Wówczas jej pokazuję niezbity dowód – ta linia życia się w tym miejscu rozdwa. Okropnie się tym przejęła: - ja chcę w mojej Bawarii życie zakończyć!. Zauważam też, iż nie należy przy wróżbach żarty sobie stroić z kogoś. Zwłaszcza przykrzych. Na przykład powiedziałem tak:

- Wiesz Steve, jestem zdziwiony widokiem twojej linii mądrości jest gruba, co oznacza mądrość.

W czasie reszty mego tam pobytu, Steve już nie odzywa się do mnie, siedzi wyraźnie urażony, a przedtem chodziliśmy razem na uniwersyteckie przedstawienia teatralne. Kiedyś zwraca uwagę na mój ubiór. Pytał dlaczego noszę ciasne swetry, czy to jest związane z oszczędnością materiału w Polsce. Ta uwaga dała impuls do nabycia luźnego swetra. Nie zdążyłem publicznie wyjaśnić, że przy jego wróżbie pozwoliłem sobie na niestosowny żart nic nie mający coś wspólnego z rzeczywistością. U nich nie wolno sobie żarty stroić z walorów umysłowych człowieka – my chyba tym się zbyt nie przejmujemy. Steve był w rzeczywistości nad wyraz rozsądnym młodym człowiekiem. Po co było mi potrzebne dodanie 'jestem zdziwiony'? Na wiarę w moje przepowiednie może częściowo wpływał mój niemłody wiek (aż 53 lata!) i pewnie wschodni akcent także. Tak jak my bardziej wierzymy Cygance, trochę dziwnie mówiącej po polsku. Może myśleli, że mają do czynienia z doświadczonego wróżbitą. Byłyby szanse, żeby zamiast ciężką pracą, na chleb zarobić wróżbami, skoro ja niedoświadczonego w tym zakresie spotkałem się z żywym zainteresowaniem. Natomiast jak to wygląda w naszym ponurym kraju? Kiedyś na wczasach w Polsce wróżyłem osobom przy stoliku, a zainteresowanie było znikome niestety. Nikt się tym nie przejmował. Co oczywiście nie sprawiło mnie w dobry humor bynajmniej.

Jest taki dzień w roku w międzynarodowych środowiskach uniwersyteckich w Wielkiej Brytanii, gdy wszyscy przygotowują jakąś potrawę popularną w swoim kraju. Ja postanowiłem bez przemyślenia ugotować czerwony buraczany barszcz, nie analizując tego wszechstronnie, jedynie, że to uchodzi za potrawę polską. Oczywiście to była totalna klapa, nikt tego nawet skosztować nie chciał. Steve do mnie:

-dlaczego nie kupiłeś kabanosów?

Doskonała rada, ale spóźniona. Skąd on wiedział, że to polski specyfik? Bo od wielu lat o kabanosach w Polsce można było tylko pomarzyć niestety!

Przypominam, jestem w Anglii w 1984 roku. W naszym kraju kończył się powoli stan wojenny. Dotkliwie odczuwało się niedobór wielu produktów. Kto by obecnie pomyślał aby z zagranicy przesłać do Polski paczkę z pomarańczami, czekoladą. Ja taką wówczas wysyłałem. Doszczętnie ją okradli z tych produktów. Zostawili książki, rekwirując 'Folwark Zwierząt' Orwella niestety. Następnym razem już nie wysyłałem. Przy okazji wspomnę z autopsji, że okradania paczek wysyłanych na Sybir nie spotykało się. Za cara też tak było i bolszewicy tego nie zniszczyli.

24. MOJA PRACA W AKADEMII JANA DŁUGOSZA (AJD) W CZĘSTOCHOWIE

W roku 1995 nieco znudziła mnie jednostajność pracy w WAT, więc na jakiejś konferencji spytałem dziekana AJD w Częstochowie o możliwości dodatkowego tam zatrudnienia. Dziekan się zgodził, przyjechałem do tej uczelni, odbyłem rozmowę z rektorem prof. Józefem Świątkiem i rozpocząłem tam dziesięcioletnią pracę w Katedrze Fizyki. Zostałem wyjątkowo życzliwie przyjęty przez kierownika katedry i jego pracowników. Rozpoczęliśmy wymianę poglądów przy kawie. Kierownikiem katedry jest wówczas docent Bogdan Całusiński, a jednocześnie przy tej kawie uczestniczyło małżeństwo dr Jadwiga i mgr Zygmunt Olesikowie. Jak wyżej

wspomniałem, Doc. Całusiński okazał się jednym z trójki studentów, z którymi przed laty równocześnie z dwoma kolegami odbywaliśmy praktykę w Zakładach Radiowych w Dzierżoniowie. Oni studiowali wówczas fizykę w Łodzi a my w Warszawie. Minęło 40 lat... Nie zapamiętał faktu ówczesnego spotkania ze mną niestety. Ja natomiast pamiętałem, gdyż pracując w WAT, z kolegami wspominaliśmy tę trójkę studentów z Łodzi. Nawet jego nietypowe nazwisko pamiętaliśmy. On natomiast od swoich kolegów był przez te lata odseparowany. Tu leży odpowiedź, dlaczego pewne zdarzenia nam w pamięci się zacierają. Nie tylko kiepska pamięć, lecz powtarzanie, odświeżanie w rozmowach jest istotne.

Jak już wyżej wspomniałem, z nad wyraz uczynnym i dla mnie przyjaznym małżeństwem Olesików współpracowałem naukowo i zaprzyjaźniliśmy się. Zostałem też promotorem pracy doktorskiej Zygmunta, którą w wysmienitym stylu obronił w WAT. To był mój czwarty i ostatni wypromowany doktor. Nadal tę sympatyczną rodzinę odwiedzam (raz w roku) ilekroć jestem w Częstochowie. Mają dwie udane córki, pokończyły studia, wyszły za mąż. Państwo Olesikowie doczekali się udanych wnucząt. Mam też wspólne publikacje naukowe z Nimi.

Po rozpoczęciu pracy w AJD, przybywałem tam pociągiem porą wieczorową, nocowałem tamże, a następnego dnia po zakończeniu zajęć dydaktycznych wracałem. Pozostałe dni w tygodniu pracowałem nadal w WAT. Zaprzyjaźniłem się także z profesorem Ivanem Kitykiem. On okazał się nad wyraz pracowitym oraz płodnym naukowo nabytkiem AJD, który wraz ze swoją rodziną przeniósł się ze Lwowa. Potem się przeniósł na Politechnikę Częstochowską. Kilka początkowych lat tam jeździłem koleją w towarzystwie profesora fizyka Janusza Rondio, aż do Jego śmierci w wypadku samochodowym. Był miłym, uczynnym człowiekiem. Jego córka Ewa jest profesorem fizyki o międzynarodowej sławie. Poszedłem niezwłocznie do Jego szefa w AJD z tą smutną wiadomością. Po wysłuchaniu mnie powiedział 'aha' i dalej ciągnął rozmowę z kimś siedzącym z nim przy kawie.

Nawet zostałem wybrany do senatu AJD. Pierwszy rząd trzeci od lewej.

Tacy ludzie też bywają! Jeżeli rozumiecie co mam na myśli. Drugim towarzyszem moich wojaży do AJD zostaje profesor fizyk Adam Dubik. Nad wyraz uczynny,

przyjazny człowiek. Z pewnością nie minę się z prawdą, że w Polsce zwykle z podobnymi ludźmi przyszło mi się przyjaźnić. Podwozi mnie do stacji W-wa Zachodnia, dalej pociągiem. A po powrocie, też jego samochodem do domu. Po kilku latach już sam jeżdżę, gdyż prof. Dubik przenosi się do Politechniki Radomskiej, gdzie ja także po paru latach zacznę pracować.

25. MOJA PRACA NA UNIWERSYTECIE PRZYRODNICZO-HUMANISTYCZNYM W RADOMIU

Po upływie dekady mój kontrakt o pracę w AJD w Częstochowie ulega wygaśnięciu. Tego kontraktu nie przedłużono, z powodu drastycznego spadku ilości studentów, co przekłada się na braki w godzinach dydaktycznych. Po roku bezczynności, dzięki znajomemu prof. Adamowi Dubikowi znalazłem pracę na UTH (wówczas Politechnice Radomskiej), gdzie on już pracował. Wyjątkowo przychylnie zostałem przyjęty przez dziekana wydziału Matematyczno-Przyrodniczego dr hab. Janusza Walaska, z którym odbyłem wstępną rozmowę w warszawskiej kawiarni i rozpocząłem siedmioletnią pracę w 2006 r.

Ściśle współpracuję z prof. Dubikiem w zakresie badań naukowych nad akceleracją naładowanych cząstek pod wpływem wiązki laserowej. Z nim jeżdżę wówczas do Radomia. Wyjeżdżaliśmy samochodem rano, skoro świt, cały dzień dydaktyka oraz powrót późno wieczorem, w zależności kiedy zajęcia się kończyły. Do transportu używamy na przemian swoich aut. Zarówno wspólny transport, jak i współpraca w zakresie naukowym dobrze nam się układała i mimo zakończenia mojej pracy na uczelni przeze mnie, wciąż się układa.

Uczelnia toleruje pracowników naukowo-dydaktycznych z poza Radomia wpadających tam tylko na jeden dzień w tygodniu pod warunkiem, że tacy pracownicy wypełniają zobowiązania dydaktyczne oraz regularnie wykazują się pracą naukową w postaci publikacji. Jest to możliwe w przypadku pracy mającej charakter teoretycznych dociekań. W końcu wówczas te dociekania można

realizować w swoim mieszkaniu. Natomiast dociekania eksperymentalne zazwyczaj wymagają zaopatrzenia się w kosztowną aparaturę wraz z materiałami, co raczej gromadzić w swoim mieszkaniu nie sposób. Niestety miejscowi pracownicy naukowo-dydaktyczni nie zawsze są tego świadomi. Krzyczą: – skandal! Pracuje on jeden dzień w tygodniu, a wynagradzany jest jak my, co tyramy cały tydzień! natomiast nieraz to właśnie ich tyranie nie przekłada się na rezultaty, zwłaszcza ta część o charakterze naukowym nierzadko kuleje.

Na UTH mój kontrakt wygasł po siedmiu latach z tych samych powodów jak w AJD. Co przełożyło się na wygaszenie w 2013 roku mojej pracy zawodowej na dobre. Obecnie, będąc na emeryturze, kiedy na to mam ochotę, nieco pracuję naukowo, ale na zwolnionych obrotach, w końcu żadne terminy mnie nie gonią. Jest to praca jak gdyby społeczna. Nadal zajmuję się niuansami zjawiska akceleracji cząstek w wiązce laserowej. Podsumowaniem tej pracy będzie monografia.

Skoro jestem przy haśle ‘emerytura’, to taka dygresja. Od dziesięcioleci w mediach, a także w rozmowach towarzyskich pojawia się, wydawałoby się oczywiste stwierdzenie, jakoby emeryci są dużym ekonomicznym obciążeniem dla państwa. Chciałbym tu przedstawić odmienną opinię. Wyobraźmy sobie pojawienie się jakiegoś wirusa ‘anty emerytalnego’, wywołującego pomór wszystkich, lub znaczącej części ich populacji. W Polsce ubywa 5 lub 2 miliony, konsumentów. Zamówienia sklepów na towary gwałtownie spadają powodując spadek produkcji fabryk, które zwalniają znaczną część pracowników. Rolnicy też produkują zdecydowanie mniej żywności. Bezrobocie gwałtownie wzrasta. Państwo wraz z ZUS-em płacą zasiłki dla niepracujących. Słowem krach, załamanie gospodarcze w całym kraju. Nie spotkałem analizy tego problemu. Niech żyją emeryci jak najdłużej!!! Nie bronię emerytów ze względu na to, że sam jestem emerytem bynajmniej.

26. MOJA BEZPOŚREDNIA RODZINA. MOI SYNOWIE

Żenię się w 1960 r. z 22 letnią panną Stenią Kurek kończącą w tamtym okresie studia na wydz. Farmacji Akademii Medycznej w Warszawie. Czasem niektórych może interesować chwila zapoznania się przyszłych małżonków. Otóż, poszedłem na ślub mego kolegi Jana Petykiewicza i tam wypatrzyłem swoją przyszłą żonę, która okazała się być cioteczną siostrą Janka. Po paru dniach, proszę Janka aby nas zapoznał. On w grudniu przyprowadza na umówione miejsce Stenię, po czym natychmiast się oddalił. Zabieram w ten sposób nowo poznaną dziewczynę do kawiarni. Ponieważ nie znamy się, obawiam się o chwilę krępującej ciszy przy picciu kawy. Tymczasem moje obawy były płonne, Stenia niemal bez przerwy mówi. Ja nie muszę. Tematy dotyczą studiów tudzież dzieciństwa jej stryjecznego brata Jana (tego samego, który ją przed chwilą przyprowadził) i tak się zaczynają nasze następne spotkania. Mam teraz z kim spędzić bal sylwestrowy urządzony w WAT.



Tu jestem z żoną i synem Olgierdem, który wykazuje zadowolenie, bowiem już po Komunii (1978).



Żona z Olgierdem (5 lat) i Michałem (13 lat). 1976 r.

Po upływie pół roku bierzemy ślub, po czym urządzam wesele. W 1963 r. rodzi się nam syn Michał, a w 1971 r. Olgierd. Oczywiście, witamy ich na tym świecie z największą radością. Nie było powikłań, byli od początku zdrowi. Przy Michale miałem mniej zajęć, był niemowlęciem raczej spokojnym np. całą noc spał. Olgierd dał mi za to popalić. Nie było nocy, żeby się nie obudził z krzykiem. Ja łatwiej od Steni znosiłem nocne wstawania. Tak czy owak wstawałem, podgrzewam jakiś pokarm w butelce, gdy się najadł zaraz zasypiał. Oczywiście jak każdemu dziecku w wieku przedszkolnym, więc i moim synom przydarzało się powiedzieć coś zabawnego.

Michał, 1963 - 2017.

W okresie dwóch lat po jego urodzeniu, mieliśmy złe warunki mieszkaniowe, żeby go mieć u siebie, z uwagi na to przebywał u dziadków na Mokotowie. Często

przyjeżdżaliśmy, żeby nim się zająć, czy na spacerze w pobliskim tzw. Parku Sztucznych go w wózku powozić. Parkowe spacery nie były zbyt bezpieczne. Raz nam drogę zastąpili chuligani w liczbie około dziesięciu. Żona z wózkiem szybko się oddaliła. Zostałem otoczony przez krzyczącą zgraję gotową do bicia. Zaczęło się szarpanie mojej jesionki. Wówczas zapytałem:

- Czy naprawdę chcecie szarpać profesora politechniki?

Takie pytanie mnie się nasunęło ze względu na część wydziałów Politechniki Warszawskiej w pobliżu umieszczonych. Wówczas najwyższy z nich po prostu powiedział „dość wystarczy idziemy dalej”. Nie wiem dlaczego, ale obelżywe krzyki nagle umilkły no i powędrowali dalej. Odeszli, a następnego dnia warszawska prasa doniosła o napaściach chuliganów na ludzi chodzących po tym parku i o utarczkach z żołnierzami.

Michał uwielbiał zabawy w chowanego (ponoć jak każde dziecko). Chował się w mieszkaniu, ja czekam w łazience i potem go szukam. Raz za długo szukam i 3-letniemu Michasiowi znudziło się czekać a może nie chciał abym się zbyt zmęczył tym szukaniem. Więc przed schowaniem się kolejnym razem mnie poinformował gdzie on będzie schowany i to dość dokładnie.

W okresie wczesnego dzieciństwa Michała, od czasu do czasu w sposób żartobliwy zwracałem się do żony, tak jak to czynili ludzie partii, tzn. per wy. Np. Czy moglibyście mnie zaparzyć herbatę? Michał szybko tę formę przyswoił oraz do nas w tej formie się zwracał także. Przy okazji dygresja, na Litwie komuna taką formę utrwaliła na stałe. Pewnego razu będąc na spacerze z Michałem, żona uległa wypadkowi, potknęła się, runęła, kapelusz się potoczył w kurzu i jak później się okazało, złamała rękę. Michał nie przejął się upadkiem i wykrzyknął:

- patrzcie, jak wasz kapelusz wygląda!

Synowie nie wyrażali ochoty wyjazdu na sponsorowane przez państwo dziecięce kolonie. Wszelako, gdy Michał był 9 letni wypchnęliśmy go na kolonię letnią organizowaną przez WAT do Komorowa. Syn profesora chemii Dąbrowski w tym samym wieku co Michał też tam był. Wychowawca tej kolonii mówi do mnie:

- mimo, że był już czas, żeby oni w dużej sypialni powinni spać, tymczasem słyszę rozmowy. Uchylam drzwi a wszyscy klęczą koło łóżek i mówią pacierz. Zamknąłem drzwi po 5 minutach uchylam je, a oni wciąż się modlą.

Inspiratorem tych modłów był Dąbrowski, jednak, wyjątkowo w tym wieku religijny, ponadto potrafiący wszystkich zachęcić do modlitwy przed spaniem. W tamtym okresie PRLu władza nie po to sponsorowała i organizowała kolonie dla dzieci, żeby one tam się modliły! Wprost przeciwnie, po to aby je oderwać od wpływu Kościoła i religijnych rodziców. Dąbrowski jest obecnie taksówkarzem. Jego zapach religijny wyparował.

Michała pobyty na letnich dziecięcych koloniach kończą się w następnym roku, gdy po 3 dniach zawiadamiają mnie, żebym go zabrał do domu bo jest ranny. Okazało się, że tym razem przebywa tam zamiast modlących się chłopaczków zdeprawowana łobuzeria. Jeden z nich wykręcił boleśnie Michałowi kciuk. Usiłował go odgiąć tak aby był równoległy do ręki. Miał całą dłoń zabandażowaną. Po tym zdarzeniu ani Michała ani Olgierda na kolonie już nie wysyłamy. Zresztą żaden z nich tego nie pragnął. Do harcerstwa też nie należeli. Woleli z nami jeździć samochodem do Bułgarii, Turcji czy Grecji. Michał od dzieciństwa był miłośnikiem motoryzacji. Gdy tylko się urodził Olo, 8 letni Michał uwielbia go wozić wózkiem. Wyobrażając, że pędzi samochodem. Czasami nieco za szybko, były nierówności przy ul. Krasieńskiego, wózek wpada do jakiegoś dołka, poręcz wózka wyrzywa się z rąk i wózek wywraca się do góry kołami (dachował). Olo wpadł w pokrywę wózka, zwaną budką, a na niego zwała się pościel. Okropnie ryknął. Michał w stresie zamiast go wydobyć z trudnego położenia, pozostawia go w tej ciężkiej sytuacji, po czym z wielkim płaczem biegnie do domu po ratunek. Mamie mówi: - Ołowi coś się stało! Mama widząc z daleka wywrócony wózek z wielkim płaczem biegnie do wózka i ratuje dziecko. Olo żadnych obrażeń nie odniósł. Potem już Michał uważniej ten wózek prowadził.

W stosownym wieku uzyskuje bez problemów prawo jazdy. Czasami pozwalał mu prowadzić samochód. Ma niegroźną kolizję w Rumunii, nie zdąża wyhamować jadąc za autem, które gwałtownie zahamowało. Zresztą mnie też identyczny

wypadek się przytrafia na Węgrzech. Od tego czasu takich kolizji nie mamy, trzymamy się w odpowiedniej odległości od wehikułu sunącego przed nami.

Skoro chodzi o edukację, to Michał ukończył pomaturalne technikum elektroniczne, lecz pracuje w zawodzie taksówkarza. Miał zdolności do przedmiotów ścisłych, lecz nie byłem w stanie go skłonić do ukończenia studiów. Zaczyna dwukrotnie na wydziale Elektroniki, a potem Mechanicznym Politechniki. Twierdzi, jakoby ma kiepską pamięć nie będąc w stanie zapamiętać materiału z wykładów. Jakiś filozof odkrył, że w życiu człowieka czasem się zdarzy coś, co się wydaje mało istotne, lecz okazuje się później decydujące o całym życiu. Nieraz w złym sensie, wręcz katastrofalnym. Odnoszę wrażenie, że w tym okresie to się zdarzyło Michałowi niestety.

Ten filozoficzny wątek tak przedstawia genialny powieściopisarz Irwin Shaw w swojej powieści 'Lucy Crown' w 1956 roku: „Kiedy odwracamy się wstecz, by spojrzeć w przeszłość, rozpoznajemy określony punkt na taśmie czasu. Punkt, który okazał się decydujący, od którego poczynając przemienił się wzór naszego życia. Moment, w którym nieodwracalnie ruszyliśmy w nowym kierunku. Ta odmiana może być równie dobrze skutkiem świadomego zamiaru, jak i przypadku. Możemy pozostawiać za sobą uczucie szczęścia albo ruinę i kroczyć naprzód ku innemu szczęściu albo ku bardziej gruntownej ruinie. Ale nie ma już dla nas powrotu. Ów moment może być tylko mgnieniem, jedną sekundą, w ciągu której obróci się jakieś koło, spojrzenie skrzyżuje się z innym spojrzeniem, zostanie wypowiedziane jakieś zdanie. Może to być jednak tak samo długie popołudnie, tydzień lub nawet pora roku, w ciągu której ostatnie słowo pozostaje wciąż w zawieszeniu, koło wykonuje setki obrotów pozwalając gromadzić się drobnym, przypadkowym zdarzeniom”. Tak to ujął pisarz, a co wy sądzicie o tym? Może powinno się przed podjęciem jakiejś istotnej decyzji, przynajmniej przez tydzień się zastanowić? Z drugiej strony, ten zwrotny moment nie zawsze jest wynikiem naszej decyzji.

W tym momencie zaproponuję, żeby czytelnik spróbował przypomnieć taki moment ze swojego własnego życia. Dodałbym, że w realnym życiu być może występuje kilka takich momentów, tymczasem ten pierwszy jest najważniejszy. Czasem jest tak, jak gdyby winda człowieka ciągnie w górę, potem jest przesiadka

do następnej windy ciągnącej dalej. Niestety jednocześnie bywają windy ciągnące nieustannie w dół. W moim przypadku, za takie zwrotne momenty, o których mogłem sam decydować, uważam szkołę w Morağu, a dokładniej propozycja Andrzeja Poczynajły dotycząca dzielenia z nim ławki szkolnej oraz wybór studiów na kierunku fizyki, co z kolei było realne dzięki naciskom Poczynajły na wspólne przyswajanie wiedzy szkolnej.

A jak było z Michałem? W paźdz. 1981 r. Michał rozpoczął studia na Politechnice Warszawskiej na Wydz. Elektroniki. Na samym początku tej przygody, coś poszło nie tak. Narobił pewnych zaległości, między innymi w pracowni geometrii wykreślnej. 13 grudnia nastąpił stan wojenny, co wywołało zawieszenie toku studiów na Politechnice. Gdyby studia trwały, te zaległości by się zwiększały, lecz nastąpiła przerwa i to na kilka miesięcy. Pojawia się więc niespodziewana okazja, żeby te zaległości zniwelować. Lecz Michał zamiast tego zrobił coś takiego: uprasza mnie o fundusze, po czym wyskoczył do Zakopanego na narty. Sądziłem, że powróci niebawem. Wraca jednak po zbyt długim tam pobycie, gdy zajęcia zostają wznowione niestety. Nie był w stanie zaległości odrobić. Wystarczyło wówczas tych funduszy mu odmówić, i to był ten decydujący o jego życiu moment.

Ze zdolnościami i zamiłowaniem w przedmiotach ścisłych, mógłby dostać pracę, jako inżynier w branży elektronicznej. Stałe pobory, możliwości uzupełnienia kasy. Być może by się przekwalifikował w kierunku informatyki. Tymczasem tak się nie stało. Po ukończeniu technikum elektronicznego, początkowo pracuje w branży elektronicznej. Powinien w tym kierunku specjalizować się, lecz w pewnym momencie postępuje według znanego sloganu (niektórzy uważają tę myśl za mądrą a nie slogan): nie potrzebuję qrwa, żeby ktoś mi mówił, co mam robić! A on nagle robić zdecydował się w zawodzie taksówkarz, w zawodzie którego po 20 latach zaczyna nienawidzić. Chyba zawsze w jakimś sensie ktoś nam mówi co mamy robić, taksówkarz też wykonuje polecenia pasażera. Podejmowałem próby odwiedzenia go od tego zamiaru. Uważał ten zawód za niezły, można sobie robić urlopy kiedy się tylko chce. Ja mu na to: - co to za urlopy, zawsze niepłatne, niemal w każdej pracy takie urlopy są do otrzymania. Gdy wszystkie moje argumenty nie trafiały do niego, wypaliłem:

- za taksówkarza, żadna szanująca się dziewczyna nie wyjdzie za mąż!

On, pewnie nie mając innych argumentów spokojnie mówi:

- nie mam zamiaru się żenić.

I co można na to odpowiedzieć? Oczywiście boczyłem się na taki wybór zawodu, lecz potem myślę sobie, zawód kiepski, lecz ma też dobrą stronę, wszak uniemożliwia picia alkoholu. Myliłem się, w jego przypadku – umożliwił, niestety. Jak się potem okazało, w tym zawodzie wręcz na swoje narzędzie pracy nie jest w stanie zarobić. Dodatkowo ten zawód nie należy do bezpiecznych. Zwłaszcza w Warszawie, miał kilka zatargów z tzw. pasażerami, nawet dochodziło do rękoczynów. Nie przejawia też chęci doskonalenia się w przez siebie wybranym zawodzie kierowcy, chociażby w zdobyciu prawa jazdy kategorii 'C, D'. Bardziej interesują go komputery, Internet. Mimo wcześniejszych deklaracji, w końcu żeni się z Ewą Kosińską, która ma syna Pawła (wtedy 6 l.) z poprzedniego małżeństwa.

Na koniec rozważań o Michale, aby zilustrować jak w Warszawie praca taksówkarza wygląda. Przytoczę ponoć często zdarzający się przebieg jednego z kursów na Pragę w czasie dyżuru nocnego. Rozmowa Michała z pasażerem, jaką mi syn przestał.

Spróbuję ci opisać sytuację, która się zdarza w zasadzie co drugi dzień.

Moje teksty są z plusem, pasażera z minusem:

- <trzask drzwiami z całej siły, siedzi>

+ dobry wieczór, na jakie nazwisko było zamówienie?

- ja nie mówiłem

+ aha ale ja mam podane nazwisko jednak i muszę o nie zapytać

- jakie?

+ niestety ja muszę o to zapytać

- pojebało cie? jedź cierpie!!!!!!

+ jednak muszę przed rozpoczęciem kursu zapytać o to nazwisko ze zlecenia

- wygwizdowski pedale!!!

+ niestety nie zgadza się proszę pana

- jedz chu... głupi bo cię dojebię zara

+ no dobrze a dokąd?

- tam no jedz

<ruszam niemrawo>

- na Bródno

+ jaka ulica?

- pokażę ci

<dojeżdżam na Wysockiego, on śpi>

+ proszę pana?

+ proszę pana?!

+proszę pana?!!!!!!!!!!!!!!!

<otwieram drzwi, nie płaci oczywiście, usuwam go na chodnik, jadę na herbatę na Orlen, trochę wątpliwe, żeby ta herbata zapobiegła moim wrzodom na żołądku.>

Skoro mowa o wrzodach, to Michał nie ma dobrego zdrowia. Mając 17 lat zapada na ciężką anginę, karetką pogotowia wiozą do szpitala. Efekt leczenia jest taki, że nabawia się poważnej wady serca. Po powrocie do domu zaczyna się uczyć chodzić. Potem już nigdy szybkość pulsu nie spadała poniżej 100/min. Długie godziny spania umożliwiają mu względnie normalną egzystencję. Być może ta dolegliwość przełożyła się na niepowodzenia w studiach. A także przyczyniła się do jego przedwczesnej śmierci w lutym 2017 roku..... Może zarówno w stosunku do Michała jak i Olgierda jakaś inna strategia mojego oddziaływania na nich ułatwiłaby im dorosłe życie, kto wie. Aczkolwiek nie sprawię, by pewne rzeczy się „odstały” choć bardzo bym chciał.

Olgierd, rocznik 1971.

Z kolei dla sprawiedliwości o młodszym synu Olgierdzie. Ma bliskiego kolegę z podwórka Rafała. Dla przykładu przytoczę wrażenia z wywiadówek Ola. W pierwszych trzech klasach dość młoda wychowawczyni zapewnia mnie:

- Olgierd dobrze radzi z nauką, jest lepszy od Rafała,*
- natomiast już w czwartej, ku memu niedowierzaniu twierdzi:*
- Olgierd opuszcza się w nauce, dziś już Rafał jest lepszy.*

Po tej wywiadówce postanawiam naprawić sytuację po przez zastosowanie metody podobnej do tej, jaką przerobiłszy z sukcesem przed laty z kolegą Andrzejem Poczynajłą i którą także zastosowała moja ciocia Lusja w stosunku do swego syna Stasia. Nastąpiła jednak niespodziewana moja porażka na całej linii. Olgierdowi jednak to nie spodobało się. Stosował bierny opór. Ja te lekcje czytałem, natomiast on obok siedząc nie brał w tym udziału. Chyba uważał, skoro nauczyciel tego robić nie nakazywał, więc tego robić nie muszę, taka praca byłaby bez sensu. Uważam, że takie jego podejście do naprawy sytuacji w szkole, mogło być tym punktem o którym już wspomniałem, decydującym o takim a nie innym życiu Olgierda. Do końca jego edukacji sytuacja nie uległa zmianie. Usiłuję nieraz mu pomóc w odrabianiu lekcji, niestety miał dziwny zwyczaj, żeby nie nawiązywać współpracy – odczuwam brak reakcji na moje wyjaśnienia czy pytania. Czy posiadał zdolności w jakimś kierunku? Mimo, że jestem jego ojcem oraz doświadczony w kształceniu młodzieży, szczerze mówiąc nie wiem. Nie przykładał większej uwagi do żadnego przedmiotu, więc miał ze wszystkiego trójki, czasem dwójki. Musiał się więc czuć niezbyt komfortowo w czasie lekcji...Gdyby się przyłożył do uczenia się przynajmniej w jakimś kierunku – przedmiotów ścisłych bądź humanistycznych, to może by się lepiej czuł na lekcjach. Żeby być sprawiedliwym, wspomnę o jego zadziwiającej znajomości ortografii. Nigdy nie popełnia tego rodzaju błędów. Mógłby startować w konkursach ortograficznych. Powtarzał maturalną klasę. Ogólnokształcącą maturę zdał.

Wspomnę tu o perypetiach Olgierda związanych z dostaniem się do liceum. Egzamin wstępny zdaje, a na liście przyjęć znalazły się osoby, które nie zdały, a jego nazwiska tam nie było. To był rok 1984, ja przebywam wówczas w Anglii. Steni interwencja w dyrekcji szkoły nic nie daje, więc idzie do sekretarza dzielnicowego PZPR na skargę nie bacząc na znaczne różnice światopoglądowe (ona superkatoliczka, on wojujący ateista), i polityczne dodatkowo. Tymczasem mimo to, towarzysz sekretarz nakazuje dyrektorowi szkoły umieścić Ola na liście przyjęć, jako argumentu użył pracy jego ojca w resorcie oświaty.

Może to zabrzmiało jako niespotykane w demokratycznych krajach ingerencja sekretarza partii w sprawy szkoły. Tymczasem gdy się zastanowić nad podobną sytuacją w dzisiejszej demokratycznej Polsce, to na przykład burmistrz telefonując do dyrektora szkoły może liczyć na przychylność jego prośbie. Olgierd zrobił maturę ogólnokształcącą, też nie przejawiał chęci studiowania. Dostał się na pomaturalne studium bibliotekarskie, jednakże po pierwszym semestrze zostaje wydalony za niedostateczne postępy w nauce. Twierdził, że wymiarów regałów książkowych uczyć się nie ma zamiaru. A szkoda, dziś pracuje w tym zawodzie. Świadectwo ukończenia by się przydało. Niemal zdołał się dostać na hungarystykę na UW. Wówczas trzeba było zdać egzamin wstępny. No i z angielskim mu poszło coś nie tak. Więc trzeba było pójść do pracy. Miesiąc czy dwa pracuje w sklepie zoologicznym. Potem dość obiecująca, lecz niestety tylko roczna praca w firmie tworzącej komputerową mapę Polski. Potem w bibliotece w WAT, gdzie go zwolniono w czasie akcji redukcji etatów. Obecnie pracuje w prywatnej spółce z o. o. Biblioteka Analiz. Jest kawalerem. Michał natomiast ze wstępnymi egzaminami na politechnikę radził wyśmienicie. Pomagamy materialnie naszym synom postępując według reguły: - szczęście nie zmniejsza się wskutek dzielenia się nim z innymi. Jest inne powiedzenie: - z płonącej świecy można zapalić tysiące innych świec, bez skracania jej czasu palenia się. Póki co ta świeca się pali.

Olo, jak to w Warszawie, przeżywa kilka niebezpiecznych napadów na siebie o charakterze rabunkowym. Wobec braku akcji obronnych z jego strony, na ciele nie odnosił obrażeń. Materialnie też niewiele tracił, w końcu nie był majątny, nie nosił ni srebra ni złota. Pewnie jakieś ślady na psychice pozostają. Raz przyszedł do domu z solidnie poranionymi nogami. Zdołamy jedynie wydobyć wyjaśnienie, że to sprawa

natknięcia się w ciemności na drut kolczasty. Może w tym miejscu sam napisze coś więcej o tej przygodzie...

W okresie niemowlęcym nie sprawia nam poważniejszych kłopotów, o ile pominąć wspomniane wyżej, regularne budzenie się o 3-ciej w nocy. Budzi się z głośnym rykiem. Stenia zajmowała się we dnie opieką nad nim, a ja zwykle musiałem wstawać w nocy. Podchodziłem do niego z pytaniem: - co, paliwo się skończyło? Podgrzewałem butelkę z mlekiem. Z chwilą rozpoczęcia karmienia, natychmiast płakać przestawał, a potem już spał do rana.

Raz 3-letni Olo wpędza nas w nie lada zakłopotanie. Stoimy z nim w kościele i wtem głośno wypowiada:

- jasna cholela.

Zauważa, że to robi wrażenie na nas oraz innych, więc próby uciszenia nic nie dały, musieliśmy go powtarzającego 'jasna cholela, jasna cholela' wyprowadzić na zewnątrz.

Zdarzyła się nieco poważniejsza przygoda także. W pewną ciepłą wiosenną niedzielę wyjechaliśmy autem do puszczy Kampinoskiej. Na kocyku położyliśmy się, ja zdrzemnąłem, Stenia coś czytała, Michał się czymś bawił, wtem zdajemy sobie sprawę, o nieobecności naszego trzyletniego Oła, po prostu zniknął, jak hobbit. Od naszego biwaku, w różnych kierunkach odchodzą 3 leśne drogi. Wołanie nic nie daje, zaczynam biegać po tych drogach. Nigdzie go nie ma! Wszyscy mocno denerwujemy się, las gęsty, nie sposób na dalszej odległości coś wypatrzyć – jak to w lesie. Poszukiwania trwają około 2 godzin, zanim na niego natknąłem się wędrującego sobie spokojnie po jednej z leśnych dróg. Miał szczęście, że wilki już dawno zostały wytępione.

Rodzice zazwyczaj swoje dzieci przygotowują do sytuacji, z jakimi one mogą się spotkać w swoim życiu. Czasem się próbuje sprawdzać jaki efekt przyniosło to przygotowywanie. Przypominam taką rozmowę z 3,5-letnim Olem, chociaż głowy bym nie dam że to z nim ta rozmowa się odbyła.

- Olo co byś powiedział gdyby ci się zdarzyło puścić bąka przy innych ludziach?

- Ja nie puszczam bąka.

- No ale na przykład najadłeś się czegoś niedobrego i puściłeś bąka. Co należałoby powiedzieć?

- powiedziałbym przepraszam.

- dobrze, ale jeżeli przy tobie twój kolega puści bąka, co ty byś powiedział?

Na początku mówi, że nie wie, a po chwili mówi:

- bym powiedział dziękuję.

Jak widać Olo jest dość rozmowny w młodości. Potem staje się raczej oszczędny w mówieniu, zwłaszcza w domu. Przyjechała do nas 75-letnia ciocia z Kowna. Coś do 6-letniego Ola mówi, potem go pogłaskała oraz poklepała po zadku. Olo musi to oddać, więc też 75 letnią ciocię poklepał po zadku. Wyglądał na nieśmiałego lecz czasem zaskakiwał zachowaniem się. W przedszkolu Stenia mówi wychowawczyni o jego nieśmiałości, a ona:

- co pani mówi, nieśmiały? Wiadomo jest, że należy do niejadków. Pytam się go, co tak szybko zjadłeś kanapkę? On nic nie mówi, ale mnie odpycha od kosza do którego chciałam zajrzeć.

Wszelako, gdy synowie dorośli, to w sytuacjach załatwiania różnych spraw, na przykład urzędowych, są mało, powiedziałbym, operatywni, a może po prostu czują się nieco niepewnie w takich sytuacjach, zwłaszcza Olo. Gdy byłem młody, też w ten sposób zachowywałem się. Podam przykład. Wchodzę do pokoju, a tam siedzą 4 urzędniczki. Gdy byłem młody, po wejściu stoję czekając aż któraś mnie spyta z jaką sprawą przyszedłem. Tymczasem potem i teraz, zaraz po wejściu do takiego pokoju, mówię wyraźnie w miarę głośno do wszystkich, niezależnie czy są w pokoju inni interesanci, na przykład:

- dzień dobry, chciałbym otrzymać zaświadczenie o zarobkach!

To działa niezawodnie, zaraz któraś się odzywa. Należy starać się śmiało mówić. Nikt za to cię nie próbuje skarcić, zwłaszcza teraz. Czytając to, ktoś może powiedzieć: - znalazł się psycholog!

Moi synowie byli nad wyraz do siebie przywiązani. Mały Olo patrzył na swego dużego brata z uwielbieniem. Nie słyszałem, żeby choć raz się pokłócili, nie mówiąc

już o bójce. Czasem Michał nie mógł odrabiać lekcji, bo Olo nad nim 'wisiał', zamiast go przepędzać, wolał nas do tego angażować. Wówczas Michał mówił do nas:

- zróbcie coś, bo on mi przeszkadza.

Trzeba było wówczas widzieć zdziwioną tudzież bardzo smutną minę Ola. Jak to możliwe, żeby on przeszkadzał, w końcu jest tak fajnie z bratem się bawić? Od chwili gdy Michał w wieku 23 lat wyprowadza się do swojej kawalerki, te relacje rozluźniają się. Obecnie, gdy są dorośli, mieszkając obaj w Warszawie potrafią nie widywać się ze sobą i nie komunikować się nawet cały rok! Trudno mi to zrozumieć. Tymczasem także po rozstaniu się nie zauważyłem, żeby się o coś kłócili po spotkaniu.

Nie tak sobie wyobrażałem ich dorosłe życie. Wyobrażałem sobie ich życie różnie, lecz takiego jaki przyszło im przeżywać, w moich wyobrażeniach nie było. Przede wszystkim byłem pewien, że tak jak rodzice, oni podobnie ukończą jakieś studia. Co do kierunków studiowania nie zamierzałem ingerować. Na studiowanie mieli wymiennie warunki: zapewnione mieszkanie, utrzymanie, a na dodatek miasto z kilkoma uczelniami na miejscu. Niestety tego nie osiągnęli, a warunki intelektualne posiadali do udanego studiowania. Ku naszemu rodziców rozczarowaniu, nie skorzystali z tych możliwości i udogodnień. W swojej praktyce wykładowcy na uczelniach napotykam udanie studiujących studentów o poziomie intelektualnym zbliżonym do poziomu moich synów. A nawet mniej zdolnych, a mimo to kończących studia. Zwykle w takich sytuacjach mówi się: - jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Tymczasem w tej raczej kiepskiej pościeli nie tylko oni, lecz równocześnie my rodzice musimy spać. Na taki obrót spraw nie liczyłem, zwłaszcza, że w początkowych pierwszych latach nauki szło im nieźle. Michałowi zresztą też później szło dobrze w średniej i pomaturalnej szkole.



Tu stoję sobie przed dębem nazwanym imieniem księcia litewskiego Algirdas, w samym sercu Puszczy Białowieskiej. 1992 r.

Synowie w swojej młodości raczej stronią od sportu. Można ich określić jako 'nietypowych' bym powiedział. Już to zauważyłem gdy byli niemowlętami, np. żaden z nich nie raczkował, a takie poruszanie się przed robieniem pierwszych kroków, jest typowe dla dzieci. Jedyne sport to jeżdżenie na rowerach. Niestety w końcu Olo przestaje w ogóle jeździć na rowerze gdy zauważy jadąc pod górkę dziewczynę go wyprzedzającą. W końcu mogła to być sportsmenka, kolarka! Jako dzieci nie przejawiają jakiegokolwiek zainteresowania we włączaniu się do zabaw dzieci na podwórku. Czy powinienem ich do tego zachęcać? Nie bardzo było wiadomo jak do tego zabrać się. Chodziło się z nimi na spacer względnie na jakieś imprezy i tyle. Czasami robiliśmy krótkie wypadki do lasu, nawet do Puszczy Białowieskiej z noclegiem w hotelu. Czasem się słyszy od znanych ludzi, że ich rodzice nie ingerowali w wybory drogi życia czy zawodu. Uważają, że to była przyczyna ich życiowych sukcesów. Ja ponawiałem próby ingerencji, natomiast wybrali swoje drogi życia....

W sumie stwierdzam, że ze względu na stworzone warunki przeze mnie i żonę moi synowie mogliby sobie stworzyć lepsze warunki egzystencji. Czy inne rodziny lepiej sobie radzą pod tym względem? Niewątpliwie mamy mnóstwo przykładów

pasujących na odpowiedź: - tak. Tymczasem nie brakuje także przykładów na: - nie. Ponoć słuszne jest twierdzenie oceniające sukces rodziny według sukcesów potomstwa.

Na koniec taka "przygoda". Zabrałem synów skodą na wakacje pod namiot. Tym razem los nas rzucił nad jeziora mazurskie. Po podróży rozbiliśmy namiot przy jeziorze Wigry. Śpimy sobie spokojnie aż tu w nocy nas budzi niesamowity łomot tuż przy naszym namiocie. Ciemna noc nic nie widać, lecz łomot ustał i zaległa cisza. Rano widzimy w jeziorze do połowy zanurzony autokar. Okazało się był on zaparkowany na szosie, która biegła na wzniesieniu, a nasze pole namiotowe niżej. Pewnie źle był zahamowany, no i stoczył się z górki z łomotem między naszym i Niemca z NRD namiotami. Wystarczyło umieścić namiot o parę metrów w bok, a byłoby po nas.

27. ETAPY ŻYCIA RODZINY ORAZ NASI PRZYJACIELE

Stenia początkowo pracuje w laboratorium badania żywności w Warszawie, gdzie zaprzyjaźnia się na resztę życia z koleżankami wspólnie badającymi dostarczoną żywność. Tymczasem większość lat pracy spędza pracując w aptekach, nieraz jako kierowniczka. Nie będę o niej pisał, może sama coś napisze. Ważne etapy naszego życia są związane ze zmianami miejsca zamieszkania wraz ze zmieniającymi się warunkami mieszkaniowymi jednak w obrębie Warszawy. Pierwszym mieszkaniem po rozpoczęciu pracy w WAT jest pokój w hoteliku przy uczelni, dzielony z kolegą Janem Kurem. Potem po ożenku, oddzielny pokój w bloku przy WAT. Tam się rodzi syn Michał. Potem kupujemy 2 pokojowe mieszkanie spółdzielcze przy ulicy Krasińskiego. Tam się rodzi syn Olgierd. Następnie 3 pokojowe mieszkanie przy ulicy Jasnodworskiej, które przekazujemy Michałowi, a sami wprowadzamy się w końcu do 3 pokojowego mieszkania w bloku przy ul. Łagowskiej.

Moje przygody z motoryzacją rozpoczynają się w 1956 roku. Kupuję wtedy motocykl WFM 125. Następnie, w 1968 roku, dzięki wygranej w samochodowej

loterii otrzymujemy samochód Warszawa. Po Warszawie była Skoda, cinquecento, mazda, 2 razy opel astra.

O rodzinach krewnych Małachowskich pisałem wyżej. Panuje powszechna opinia, że naszych kochanych krewnych żadni przyjaciele nie zastąpią. natomiast krewni Małachowskich nie mieszkają tak jak ja w Warszawie, za wyjątkiem Makowiczów, którzy już są w tym lepszym (ponoć) świecie. Do którego, nawiasem mówiąc, nikomu się nie śpieszy. Nie wyłączając głęboko wierzących. Makowicz spędza jakiś czas w więzieniu Polski Ludowej, wg. jego żony za przynależność do AK. Wydaje się, że tak do końca nie o to chodziło. Wśród jego krewnych panuje zgoła inna prawda. On się zajmował pszczelarstwem, więc gromadził cukier w większych ilościach niż przeciętna rodzina. Wobec braków tego produktu w sprzedaży, zgłaszali się do niego znajomi o odstąpienie paru kg cukru. To się doniosło do lokalnych władz, co spowodowało wniesienie oskarżenia na wuja o spekulację. W końcu każda lokalna władza musiała się wykazać czujnością.

Natomiast w dalszej części opowiem o naszych przyjaciółach, niezwiązanych z nami węzłami pokrewieństwa. Skoro chodzi o życie towarzyskie, jesteśmy nieco nietypową rodziną. Gdy pytam różnych znajomych o ich życie towarzyskie, zazwyczaj twierdzą, że czasem jakieś imieniny urządzą, lecz to ma miejsce w gronie rodzinnym. Przychodzą na nie zwykle dzieci z rodzinami. Mają ekscytujące spotkania na przykład z wnukami. My natomiast, mamy takie spotkania z okazji zwykle imienin nie tylko z naszymi synami lecz także z udziałem zaprzyjaźnionych od dawien dawna niespokrewnionych z nami rodzinami. Niemal wyłącznie parami małżeńskimi w przybliżeniu naszego wieku. Skąd te dość trwałe znajomości?

Otóż, moja żona Stenia po upływie roku od naszego ślubu, jak już wspomniałem, otrzymuje pracę w placówce badającej żywność produkowaną w kraju. Tam zostaje przyjęta z tego co wiem, nad wyraz serdecznie przez trzy pracujące tam od niedawna panie, też absolwentki farmacji. Ta czwórka bardzo się zżyła i zaczyna się spotykać w kawiarni po pracy. Potem te panie się spotykają już w swoich mieszkaniach z okazji imienin przyprowadzając swoich mężów. To trwa niezmiennie od 1961 roku.

Wymienię te trzy rodziny nie podając ich wieku, bowiem jest zbliżony do naszego. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi i ich rodzinami na trwale. Irek oraz Irka Powiłańscy. Nad wyraz towarzyska para. Chętnie z nimi się spotykamy i rozmawiamy na różne tematy. Spotykamy się z okazji imienin i nie tylko. Mają mądrego i zaradnego syna Marcina. Ukończył Politechnikę, zmieniał pracę niemało razy m.inn. w bankach. Mimo, że jest dość bystry oraz zaradny, to go kilka razy zwalniali z pracy. Dość humorystycznie mówił do rodziców:

- co się dzieje, jestem młody, mądry, obrotny oraz przystojny, a mimo to mnie zwalniają!

Potwierdzam – jest posiadaczem wszystkich tych cech. Zatem, w końcu uruchomił własną dochodową firmę jednoosobową, reklamową. Dość dobrze zarabia. Ma wspaniałą córkę. Rodzice go dopingują w jego wysiłku związanym z budową domu w pobliżu puszczy Kampinoskiej. Podsumowując, dobrze sobie w życiu radzi. Skoro tu piszę o pracy i zatrudnianiu pracowników, to dodam z doświadczenia w jaki sposób należy postępować przy rekrutacji nowych osób. Ujmę to bardzo ogólnie w dwóch słowach, komunikatywność i kompetencja. Wiecie o co chodzi, kandydat musi posiadać naturalne zdolności i chęci dzielenia się ze współpracownikami wiadomościami i podejmowaniem dyskusji. Drugiej cechy nie muszę tu rozwijać. Jeżeli u kandydata stwierdzimy te cechy, będzie z niego pożytek w pracy, bowiem inne dodatnie cechy wypływają z tych dwóch. Oczywiście spoglądamy też na zależny od wieku dorobek kandydata, a więc na jego pracowitość. No dobrze, tak by problem wyglądał od strony teoretycznej, a jak to wyglądało w praktyce, u żywych ludzi. Moi synowie byli słabi w komunikowaniu się z obcymi. Marcin był w tym bardzo dobry. Wszyscy trzej posiadali braki w kompetencji. Zwłaszcza w chwili podjęcia pracy. Nawet Marcin bowiem był po studiach na Politechnice, lecz w wyuczonym zawodzie nie pracował. Może Michał, bowiem przez 3 lata pracował w zawodzie elektryka będąc absolwentem Technikum Elektrycznego.

Rostworowscy Kazik i Alicja. Też sympatyczna para. Spotykamy się z okazji imienin. Mają córkę Monikę, która wyszła za Francuza i tam mieszka oraz pracuje. Mają też pracowitego, zaradnego syna Michała z rodziną. Aktualnie w nocy jest taksówkarzem a rano rozwozi towary po sklepach. Przed laty Monika z naszym

Michałem wybrali się samochodem do Francji do pracy przy winobraniu. Samochód po drodze uległ poważnej awarii. Michał zabrał się za jego naprawę, a Monika kontynuowała podróż autostopem. Poznaje po drodze młodego Francuza, za którego niebawem wychodzi za mąż. Mają syna.



Moja żona (z lewej), Irena Powiłańska i Ala Roztworowska. (1962 r.).

Zarembowie Maria i Dariusz (już nie żyje). Mieli syna Roberta. Musieli przeżyć ciężką tragedię, gdyż syn zachorował w wieku 26 lat i zmarł. Mają też córkę Beatę (rocznik 1965) mądrą dziewczynę po studiach matematyki. Długo pracowała przy komputerach w LOT. Obecnie jest w innej firmie oraz rozpoczęła studia prawnicze.

Zazwyczaj z okazji imienin te rodziny urządzą trwające kilka godzin przyjęcia. Niezmiennie jest obfite jedzenie wraz z pićm. Dużo się dyskutuje na tematy, przedtem związane z pracą, potem więcej na temat zdrowia i o polityce dodatkowo. Na przyjęcia czasami do tego grona dołączają też inne osoby związane z rodziną obchodzącą uroczystość imieninową.

Na koniec przytoczę tu kilka znanych mnie przypadków z autentycznego życia. Z których wynika, że to jak nasze dzieci będą w dorosłym życiu radziły, nieraz jest

mocno odbiegające od naszych marzeń czy życzeń. Z pewnością wielu z nas zetknęło się lub słyszało o dramatach rodzinnych. W mojej rodzinie też tego “dobrego” nie brakowało. W tych opisach nie wymienię nazwisk, gdyż nie jestem pewien czy opisane osoby tego życzą.

1. Na początku problem z mojej rodziny po mieczu. Otóż ojciec opisywanej rodziny ma problemy z 30-letnim synem. Syn się obiecująco ożenił. W rodzinie wszystko grało, doczekali się dwójki udanych dzieci. Aż tu nie z tego ni owego syn oświadczył żonie, że już dłużej nie wytrzyma, gdyż się boi iść do pracy. Mimo usilnych perswazji został w mieszkaniu. Po pewnym czasie go wywalili z roboty. Żona takiego postępowania nie mogła tolerować i odesłała go do ojca. Teraz go tata utrzymuje, a on nie interesuje się ani szukaniem pracy ani rodziną. Unika ludzi. Nigdy nie wdaje się w rozmowy z innymi ludźmi, oprócz z ojcem. Niewątpliwie to jakaś choroba psychiczna, depresja, jednak leczenia unika.

2. Mamy znajomą wdowę, której 60 letni syn rozstał się ze swoją rodziną i zamieszkał z matką. Jego problem pojawił się po ciężkim zawale. Przestał pracować i żona go wypędziła razem z psem. Obecnie ten stan zwykle określa się jako depresję. Matka twierdzi, że syn jest cały czas w domu i w różny sposób staje się kijem w szprychy codziennych jej czynności. Nie chodzi o alkohol lecz o nieustanne wtrącanie się we wszystko co ona robi. Nawet jak karmi psa – np. twierdzi, że psa wystarczy karmić kośćmi. Jest ona tak tą sytuacją zmęczona, że syna nienawidzi i ma myśli samobójcze, lecz się boi skoczyć z 8 piętra czy powiesić się. Jej znajoma usiłowała odebrać sobie życie połykając dużą dawkę tabletek, lecz ją odratowano. Więc jest przekonana, że bezboleśnie trudno się rozstać z tym światem.

3. Przykład z rodziny mojej żony. Wdowa ma córkę, do niej zaczął się zalecać zapoznany na jakiejś potańcówce afrykański murzyn. Niby studiujący w Polsce. Ona początkowo go spławiła, lecz był wytrwały, np. czekał przy bloku na chwilę gdy wychodziła do pracy czy gdy kończyła pracę. Po pewnym czasie ona uległa i się pobrali. Po czym zamieszkali we trójkę. Sąsiadka twierdzi, że oni po pewnym czasie przestali ze sobą rozmawiać, lecz bez przerwy kłócili się. Córka miała tej całej sytuacji dość, wyprowadziła się, wynajmuje sobie oddzielne mieszkanie. Chce rozwodu, lecz w sytuacji gdy on nie jest polskim obywatelem, procedura jest

skomplikowana. Tymczasem murzyn mieszka z wdową, która go ma po dziurki w nosie: żywi, pierze jego rzeczy, bo jakie ma wyjście?

Te przykłady dotyczą problemów z potomstwem. Są one bardzo różne i wywołane różnymi przyczynami. Jak widać bardzo trudnych problemów związanych z potomstwem nie brakuje. Wspólną cechą tych trzech przypadków jest brak rozwiązania, w sensie pozbycia się problemu.

Skoro mowa o dyskusjach politycznych, to mnie dziwi jedno. W czasach PRLu, kiedy rządzący dokonywali posunięć bezsprzecznie absurdalnych, wręcz idiotycznych oraz nie liczyli się z obywatelami, tymczasem tak zażartych dyskusji krytykujących osoby rządzące nie było jakie odbywają się po upadku PRLu. U Powiłańskich zwykle był obecny z żoną były dzielnicowy sekretarz PZPR Brzozowicz (już nie żyje, jego synem jest znany krytyk od muzyki), będący przyjacielem jednego z członków KC. Uważał, że poprzedni ustrój był niezły, można go było zreformować, po czym byłby lepszy niż obecny, krwiożerczy kapitalizm. Tymczasem większość zebranych jest innego zdania. Razu pewnego mocno jego poglądy reszta biesiadników zaatakowała, zdenerwował się, a gdy dodatkowo jego własna żona przyłączyła się do atakujących, nie zdzierzył koncentrycznego ataku, wstał i wypalił krzykiem:

- Wobec takiego ataku na mnie, ja tu nie mam po co przychodzić! A ty żono, co pełną garścią korzystałaś z dobrodziejstw jakie mieliśmy będąc na placówce w Jugosławii, dziś na tamte czasy plujesz?! Żegnam, bawcie się dobrze bez emnie! Miłego wieczoru!



Za czasów PRLu, długa kolejka klientów sklepu mięsnego. Starsi mają do dyspozycji specjalnie ustawione ławki. W całym kraju odczuwaliśmy dotkliwe braki w zakresie podaży mięsa i nie tylko tego artykułu.

To powiedziawszy opuścił towarzystwo bez żony. Mało tego, tak się wkurzył, że więcej go na naszych 'biesiadach' nie widzieliśmy. Ten nasz atak był skierowany raczej na tamte czasy, a nie na jego osobę. Widocznie utożsamiał się z tamtym strojem. i chyba słusznie. Kto atakuje PRL, ten atakuje Brzozowicza! Na poprzednich przyjęciach imieninowych, przed tym incydem, po paru głębszych, mając niezły głos, były sekretarz uwielbiał śpiewanie zachęcając do śpiewu innych, nawet 'pierwszą brygadę'. Dariusz człowiek uszkodzony przez system komunistyczny, bowiem stracił ojca w Katyniu, a wobec doznania osobiście represji także, takiej bezczelności nie wytrzymał przerywając te śpiewy krzykiem:

- Co pan śpiewa?! A międzynarodówkę powinien pan śpiewać zamiast brygadę!

Po takich słowach sekretarzowi (byłemu) odchodziła ochota na kontynuowanie śpiewu. Epizody śpiewania stopniowo zanikały wobec braku sekretarza. Muszę wyznać, wolałbym aby sekretarz nadal bywał na imieninach, bowiem chętnie bym sobie też pośpiewał przy winku. On był wśród naszego grona pierwszym tenorem, bym przesadnie określił. Nawiasem mówiąc na mojej byłej uczelni WAT, także mają miejsce intensywne polityczne dyskusje, krytykujące aktualnie rządzących, zwłaszcza w czasach gdy PIS był u władzy. W czasach władzy ludowej takich krytycznych dyskusji ze zrozumiałych względów nie było. Zwłaszcza w wojsku.

Na innych przyjęciach imieninowych spotykam się z Frelkiem (już nie żyje). On był bratem członka KC PZPR o tym samym nazwisku. Ciekawostką było jego zachowanie się w stanie upojenia alkoholowego. Otóż, zwykł był wówczas wykrzykiwać, że nic swemu bratu nie zawdzięcza, do wszystkiego doszedł własnymi siłami. Tymczasem trudno było z taką jego samooceną się zgodzić biorąc pod uwagę wysyłanie jego łącznie z rodziną na zagraniczne placówki dyplomatyczne. Z powyższych dwóch przykładów wynika, że nie tylko obecnie, lecz także wówczas osoby będące u steru władzy starały się ułatwiać kariery swoim krewnym czy przyjaciółom. W tym procederze kwalifikacje są drugorzędne. Na ile to jest szkodliwe dla gospodarki państwa jest trudno ocenić.

Potem spory dotyczyły ogólnie rzecz biorąc, problemu PO-PiS. Chociaż, mam wrażenie, żaden z przywódców w/w partii nie zgodziłby się w całej rozciągłości z tam głoszonymi poglądami. Większość popiera PO z pewnymi modyfikacjami. Rodzina Rostworowskich oraz moja żona to pisowcy. Rostworowscy są bym powiedział przesadnie religijni, uczestniczą w kółkach przykościelnych, biorą udział w pewnych pracach kościelnych np. zliczając datki na tacę. W tej rodzinie, jak przystało katolikom, to co się w kościele głosi, jest święte. Każda krytyka to grzech z którego należy się spowiadać. Dlatego od nich krytyki kościoła nie usłyszy się. Po co się potem z tego spowiadać. Tymczasem papież zachęca do głoszenia religijnych wątpliwości. Tygodnik Niedziela tego poglądu papieża nie przekazuje czytelnikom. Przepraszam, obawiam się, że nieco sprawę upraszczam. Raz na przyjęciu u Powiłańskich z pisowców jest tylko moja żona. Tak jak kiedyś sekretarz tak i ona nie wytrzymała skoncentrowanego ataku na PiS, wstała oraz nad wyraz zburzona oświadczyła:

- Wobec takiego ataku dłużej tu nie wytrzymam i wychodzę! Dziwię się atakom na PiS biorąc pod uwagę, że wszyscy regularnie chodzą do kościoła.

Taka to jest logika kobiet. Tym razem gospodarze dość energicznie zareagowali i jakoś skłonili moją małżonkę do zajęcia poprzedniego miejsca przy stole. Takie niezbyt przyjemne zdarzenia się powtarzają, na przykład na przyjęciu u nas Powiłańska z kolei poczuła się obrażona, w końcu popierała PO a moja żona takich ludzi obraźliwie nazwała. Ponieważ Irka do tych ludzi należy, więc chce wracać do domu. W końcu ulega mediacjom i zostaje. Jeśli chodzi o mnie, chętnie dyskutuję z osobami o różnych poglądach politycznych czy religijnych. No bez przesady, nie chciałbym się spotykać z ludźmi o skrajnych poglądach, dla przykładu, zaliczyłbym do nich tych, co uważają, że holokaust był czymś dobrym i pożytecznym, że represje komunistyczne, czy zbrodnie Rosjan i Ukraińców na ludności polskiej, można usprawiedliwić. Jak łatwo stwierdzić, nasze grono nie jest wyjątkiem, lecz niewątpliwie na innych spotkaniach towarzyskich poglądy polityczne w czasach post-peerelowskich zradikalizowały się do tego stopnia, że przyjaźnie trwające od wielu lat ulegają pęknięciom.

Rzadko zdarza się, żeby raz obroną orientację polityczną, ktoś zmienił. Zatem marne widoki na obalenie władzy prawicy. Przy tym nie widać ludzi apolitycznych. Może się zdarzyć ktoś twierdzący, że mu polityka wisi, ale mam wrażenie tylko po to aby nie zrazić osoby od której jest jakoś zależny albo na której zależy. Jestem takiego zdania: zredukuj płace politykom do poziomu minimalnej płacy, no bez przesady, do poziomu średnich zarobków, a się przekonasz jak szybko będą następowały zmiany. W końcu politycy w naszym kraju wywodzą się z ludzi, którym się nie powiodło w wyuczonym zawodzie. Są to ludzie o różnych zawodach. Zakładając, że mając wyższe wykształcenie, zapewne usiłowali wybić się w zawodzie wyuczonym. Zapewne ze względu na braki intelektualne, coś poszło nie tak, więc próbują działać w polityce, często "liżąc buty" jakiegoś przywódcy. Z tego powodu nami rządzą ludzie słabi intelektualnie, a na listach wyborczych innych nie ma. W krajach zachodnich, politycy w większości są wykształceni w tym kierunku. Nawet kiedyś słynnemu prezesowi się powiedziało: - najważniejsza jest lojalność, kompetencje mniej istotne.

To są panowie, którzy wzbudzają nadspodziewane emocje na niemal każdym zebraniu towarzyskim



Jest znany niemiecki dowcip ilustrujący polityków. Kanclerz Kohl przekracza granicę, lecz zapomniał wziąć ze sobą paszportu. Strażnik graniczny mówi:

- nie przepuszczę pana.

- jak to? Nie zna mnie pan? Jestem kanclerzem Niemiec.

- panie, zdarza się, że ktoś zapomni paszportu. Ostatnio jeden mówi, że zapomniał paszportu, ale jest reprezentantem kraju w piłce nożnej, Muller się nazywam. Więc go poprosiłem, aby pożonglował piłką. Zrobił to i puściłem. Innym razem ktoś mówi, że jest znanym pianistą. Zagrał mi i też puściłem.

Kohl na to: - ale ja nic nie umiem!

- o, teraz pana poznaję. Proszę przejść.

W miarę jak posuwamy się w latach, spotkania stają się rzadsze. Kiedyś w okresie wakacji organizujemy wspólne wyjazdy z tymi rodzinami nad nasze czy bułgarskie morze. Kiedyś także sylwestra spędzamy razem na hucznych balach... Od czasu do czasu w WAT. Pamiętny był tam zorganizowany bal z balonikami napełnionymi palnym gazem z butli, wszak tylko takie unoszą się w powietrzu. Podpici dowcipnisie zaczęli do tych baloników przykładać zapalone papierosy. Następował wybuch i kula ognia. Należało się spodziewać murowanych kłopotów. W wyniku tego kilka osób zostało nieco poparzonych.

Jak wspomniałem, również niektórzy z moich kolegów z pracy imieniny świętują, z tą różnicą, że to organizują dla grona rodzinnego. Jednocześnie obowiązkowo spotkania imieninowe organizuje się w miejscu pracy. A szkoda, można w niedzielne popołudnie na przykład przy grillu mile porozmawiać, podyskutować bądź powspominać dawne czasy, nie wybiegając zbytnio w przyszłość.

Moja działka rekreacyjna

WAT wydzierżawił kilkuhektarowy obszar nieużytków położony nad rzeką Wkrą należący do gminy Sochocin 70 km od Warszawy. Teren został ogrodzony tudzież podzielony na 125 w zasadzie jednakowej wielkości działek. Tam też otrzymałem jedną z nich. Ludzie z fabryczki drewnianych domków postawili mi domek. Inni dobudowali ceglaną łazienkę oraz magazynek na narzędzia, hydraulicy zainstalowali bieżącą wodę, elektrycy doprowadzili prąd, także solidny blaszany dach został położony. W rezultacie istnieją znośne warunki na spędzenie tam wolnego czasu. Robię wypady na swoją działkę. Mam tam kilka drzew owocowych. Zwłaszcza brzoskwinie dają dorodne soczyste owoce, które są niestety nietrwałe. Natomiast nabyte w sklepach owoce są daleko bardziej trwałe. Profesjonalni ogrodnicy muszą te owoce czymś nasączać aby niegniły. Nie jestem do końca przekonany czy taki

zabieg jest obojętny dla zdrowia. Uprawiam także nieco warzyw. Przy tym zauważyłem, że moje warzywa są daleko mniejsze od tych, które można kupić w sklepach. Zapewne te sprzedawane są nasycone azotynami – niezbyt zdrowymi dla ludzi. Media donoszą, że zagranica (zwłaszcza Rosjanie) ma nam sporo do zarzucenia z tego powodu. U nas systematycznie się nie bada pod tym względem warzyw. Tak czy owak problematyczne staje się nawoływanie, aby często konsumować warzywa, bo to zdrowe. Niestety moje ilości warzyw są zbyt małe abyśmy nie musieli ich kupować, nie wyłączając okresu letniego.

Jak widać sceptycznie odnoszę się do owoców, czy jarzyn kupowanych w sklepach czy w mniejszych punktach ich sprzedaży, jak na bazarach czy w stoiskach przy chodnikach. Moje truskawki po przyniesieniu do domu po dwóch dniach zaczynają gnić, podczas gdy kupione są zdatne do spożycia nawet po tygodniu. Następujący eksperyment wykonałem. Wziąłem dwa jabłka, jeden kupiony a drugi ze swojej działki. Położyłem je na półce, następnie każde uderzyłem młotkiem. Moje zaczęło gnić a kupione nie. W kupionym jedynie stłuczone miejsce zmieniło kolor. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, musi w nim być jakaś substancja przeciwnilna. Czy jest ona obojętna dla zdrowia? Czy musimy tę substancję spożywać? Tak tylko się pytam i tyle...

Lubię tam weekendy spędzać, jest okazja nie tylko fizycznie popracować, lecz równocześnie naukowo, w końcu mam tam komputer. Przy okazji dodam, że mam też jeden czy dwa ule z pszczołami usytuowanymi na tej działce pracowniczej koło Sochocina. Czasem obserwuję zachowanie się pszczół. Nawet raz wypatrzyłem ciekawostkę, wprawdzie znaną - wszelako trudno to uchwycić. Mianowicie pszczoły mają zwyczaj w jesiennych miesiącach wyrzucać z ula wszystkie trutnie. To czynią z obawy, że zimą może zabraknąć w ulu nagromadzonego latem miodu. Czym mniej gąb do jedzenia, tym lepiej. Skąd my to znamy? Wówczas wszystkim pszczołom groziłaby śmierć głodowa. A zimą trutnie są jak najbardziej zbędne. Wygląda to tak. Pojedyncza pszczoła wyciąga z ula silnie sprzeciwiającego się trutnia. Po upływie kwadransa tych zmagañ, zdołała go wyrzucić na ziemię. Lecz truteń pofrunął i wlaź do ula z powrotem. Musi go powtórnie wytaskać. Zastanowiło mnie, dlaczego pszczoła nie użyła żądła w tej walce (truteń go nie posiada), w końcu każdego

innego owada wdzierającego się do ula czeka użądlenie. Więc trutnie latem spędzają beztrudne życie delektując się przynoszonym przez pszczoły nektarem i miodem, jesienią ponoszą konsekwencje nieróbstwa. Obawiam się, że podobnie jest u ludzi, jeśli się nie pracuje to na ogół się łąduje pod mostem. Swoją drogą bolszewicy mieli hasło: kto nie pracuje ten nie je. Pewnie ściągnęli to od pszczół. Może są tacy co sądzą, to tylko hasło, tymczasem są dowody dosłownego relizowania tego hasła – jak u pszczół

Tu wspomnę o zwyczajach sympatycznych barwnych owadów, nieco przypinających pszczoły. Mam na myśli trzmiele. One także tworzą rój, lecz raczej mało liczny. Zwykle trzmiele żyją jedynie latem. Zimę przeżywa tylko królowa-matka, po zakopaniu się jesienią głęboko w ziemi. Ona produkuje potomstwo. Następnie jest zjadana przez nie. Wyrasta następna matka. Trzmiele ze względu na swoją masę, muszą spożywać dużo nektaru i owoców, więc w zasadzie bez przerwy szukają lub coś jedzą.

Od czasu do czasu, media wszczynają dyskusje związane z problemem zmniejszania się ilości rodzin pszczelich. Grozi to zmniejszaniem się produkcji w rolnictwie. Szacuje się, że praca pszczół w samej Europie owocuje 240 miliardami euro rocznej produkcji rolnej. Zagrożeniem jest stosowanie niektórych środków ochrony roślin uprawianych przez rolników. Osobiście zaobserwowałem następujące zjawisko. Miejsce w którym stoi mój ul jest otoczone 125 działkami. Około połowa działkowiczów posiada jakieś drzewka owocowe. Gdy tylko one zakwitną, działkowicze przyrządzają odpowiednie roztwory, opryskując nimi te drzewka. Czynią to w dzień, bowiem pod wieczór wyjeżdżają do Warszawy, w końcu na nocowanie jest zbyt zimno wiosną. Zazwyczaj roztworu jest za dużo, więc opryskiwanie jest w ciągu dnia powtarzane (szkoda roztwór wylewać). Moje pszczoły, mimo rozmnażania się, w okresie oprysków gwałtownie zmniejszają swoją populację. Na wiosnę powinno ich być z grubsza 30 tys., a jest zaledwie kilka tys. Zwykle na miód nie mogę liczyć. Później jest mniej kwitnących roślin, więc ilość pszczół już się zbytnio nie zwiększa. Jest ich za mało do karmienia larw i do produkcji miodu. To dodatkowo uniemożliwia przetrwania zimy, mały rój nie jest w

stanie utrzymać odpowiedniej temperatury w ulu. Pojawia się światełko w tunelu, bowiem zauważyłem, że ilość działek z drzewami owocowymi maleje.

Mój wuj Jerzy Makowicz swoje 40 uli wywoził w miejsca gdzie był tzw. pożytek, na przykład kwitnący rzepak. Efekt był widoczny: populacja pszczół gwałtownie zwiększała się oraz miodu przybywało. Tymczasem przewożenie pasieki jest pracochłonne oraz kosztowne. Należy tę operację wykonywać nocą. W trakcie przewożenia mimo starań pszczelarza, pszczoły wydostają się z uli i atakują robotników. Byłem świadkiem, gdy taki atak nastąpił (bowiem wuja ule były niezbyt szczelne), robotnicy zrezygnowali z zapłaty i puciekali do domów. Zostaliśmy z wujem we dwóch z rozsierdzonymi pszczołami i przyczepą do traktora pełną uli. Jak z tego wynika, prawdziwi pszczelarze są gotowi do poświęceń.

Pytałem pszczelarzy, czy obecnie praktykuje się wywożenie pasiek na rzepak. Odpowiedź jest pesymistyczna. Nieraz się zdarza, że takie przemieszczanie uli, zamiast przyrostu populacji pszczół, wywołuje wyraźne zmniejszenie się ich ilości oraz z tym związany brak miodu. Dokładna przyczyna tego stanu rzeczy nie jest znana. Jedni obwiniają środki ochrony roślin, inni zmiany w samych roślinach. Pewnie przyczyna jest różna w różnych uprawach. Badania są utrudnione, skoro niemało czynników może szkodzić tym owadom. W Chinach wybito wróble, nastąpił nagły wzrost ilości owadów-szkodników zbiorów rolnych, więc zastosowano opryski niszczące te szkodniki, a przy okazji pszczoły. Przy okazji, mnie nad wyraz zdziwiło doniesienie mediów o podjęciu postępowania sądowego wobec pszczelarza, który dla próby bez konsultacji z weterynarzem zastosował dla SWOICH pszczół pewien lek powodujący nieoczekiwane wyginiecie tych owadów, niestety.

Bywają też średnio przyjemne, bym powiedział, zetknięcie się z owadami. Będąc po raz ostatni w sezonie na działce w listopadzie, miałem tam taką przygodę. Po przyjeździe, jak zawsze przebieram się w ciuchy działkowe. Wciągam działkowe spodnie i z bólu pociemniało w oczach. Okazało się, że na sen zimowy moje spodnie wybrał szerszeń. Nikt nie lubi budzenia, więc on użądlił moje kolano które mocno spuchło. Wyjaśnieniem tej przygody, jak już wspomniałem, jest zwyczaj samicy, która jest w stanie przetrwać zimę żeby na wiosnę znieść dużo jajek. W tym celu wynajduje odpowiednie miejsce. Reszta tych owadów ginie przed zimą.

Uwaga: statystyczne badania wykazały pozytywny wpływ działalności działkowej na zdrowie psychiczne, fizyczne i na długość życia!!!

O naszym psie parę słów. Należy mu się parę zdań, za wytrzymanie z nami aż 8 lat Mego psa basseta zawsze zabieram na działkę. On tam się dobrze czuł. Otóż mieszkając w Warszawie nasza rodzina przez pewien czas była w posiadaniu wychowanego przez nas od szczeniaka psa Edi rasy basset. Są to psy raczej o małej szybkości poruszania się, wszelako zaliczane są do rasy myśliwskiej. Sądziłem, że do polowania na kuropatwy należy psa w tym celu przyuczyć. Nigdy go niczego nie uczyliśmy, oprócz podania łapy przy witaniu. Jak każdy pies nie załatwiał się w mieszkaniu, cierpliwie czekając na wyprowadzenie. To oczywiście nikogo nie dziwi, jednak on nie załatwiał się na terenie naszej 500 m² działki, a także na chodnikach. Należało go w tym celu z niej wyprowadzić. Psy tej rasy posiadają czułe powonienie. Czasami nas zadziwia, na przykład będąc na spacerze z nim w okolicach Sochocina, idziemy szosą. Wtem nasz pies się zatrzymuje i nieruchomieje. Za Chiny nie daje się zachęcić do dalszej wędrówki. Po dokładnym obejrzeniu kępki traw, na którą pyskiem wskazuje dostrzegamy trzy kuropatwy przytulone do siebie. Gdy nachylamy się nad nimi, one błyskawicznie wyskakują w powietrze. One tam siedziały mimo ruchu na tej drodze.

Wielokrotnie stwierdziłem następującą dodatkową umiejętność Ediego. Proszę wyobrazić jego i mnie na łące oddalonych od siebie o 100 metrów. Następnie wołam go do siebie i równocześnie biegnę w kierunku prostopadłym do prostej nas łączącej. W celu spotkania się ze mną, Edi nie biegnie wzdłuż kierunku do mnie, lecz w kierunku spodziewanego punktu spotkania. Jakoś to sobie wylicza w zależności od szybkości mojego biegu i swoich możliwości biegowych, bowiem położenie tego punktu zależy od obu wymienionych szybkości. Gdy to spostrzegam po raz pierwszy, bieg jego wygląda na tyle dziwnie, że sądzę, iż biegnie nie do mnie, lecz do innego celu. Tymczasem powtórki tego doświadczenia dały identyczny wynik. Nawiasem mówiąc, tego rodzaju zadania z fizyki dawałem do rozwiązania swoim studentom. Z tego być może wypływa wniosek, iż psów rasy myśliwskiej do sposobu zachowania się przy polowaniu, na przykład na kuropatwy, czy sposobu ścigania zwierzyny, uczyć nie ma potrzeby, mają to w swoim instynkcie zakodowane.

Edi będąc przez większą część roku w Warszawie był wygłodzony potrzebą tropienia zwierzyny. Czasem gdy byliśmy na działce, gdzieś się zapodziewał i na noc go nie było sposobu sprowadzić do domu. Tropi wówczas całą noc zając i kuropatwy, nie robiąc im krzywdy, rano przychodzi bardzo zmęczony. To zmęczenie było ponad jego siły. Pewnego ranka, co prawda przyszedł, lecz jedzenia nie tknął, popatrzył na nas długo, następnie oddalił się od działki jakieś 50 metrów i pod drzewem położył się, a po godzinie wyzionął ducha. Pewnie musiał się nadmiernie zmęczyć. Nie był stary żył 8 lat. Gdzieś czytałem, że psy niektórych ras można nauczyć zrozumienia nawet około 100 słów. Skoro chodzi o Ediego, można było zauważyć, iż słucha naszej rozmowy i niektóre zdania rozumie. Przykład: wystarczy, że usłyszy 'Janusz trzeba z psem wyjść na dwór', a pies natychmiast podrywa się i staje koło drzwi. Co więcej, jeżeli tę sugestię wyrazimy w nieco innych słowach, też zrozumie. Przytoczę nieco myśli o psach: -Pies jest jedynym stworzeniem na ziemi, które kocha cię bardziej niż siebie samego. Kocha bezwarunkowo. On będzie wiernie na ciebie czekał i nie ważne jak długo. Przykładem może być nasz wierny Azor, którego pozostawiliśmy na Warmii. Następne odnoszące się do mediów informacyjnych: - nic nie jest warta informacja, że pies ugryzł człowieka, natomiast napewno jest coś warta wiadomość, iż człowiek ugryzł psa.

Uwagi na temat moich poglądów przedstawionych powyżej

Z niektórymi moimi wyżej przedstawionymi poglądami a dotyczącymi charakterystyki Litwinów, Niemców, Żydów czy Sowietów, wreszcie zmagających powstańców, czytelnik może się nie zgodzić. To jest zrozumiałe i niektórzy mogą mieć częściową rację. Każdy człowiek pewnie ma swój wyrobiony sąd o tych problemach tudzież własną ocenę wydarzeń. Nieco przesadzając powiedziałbym, że istnieją niewątpliwie ludzie, którzy uważają większość Litwinów za ludzi sprawiedliwych, przyjaźnie nastawionych do swoich sąsiadów. Niemców, za humanitarnie, rycersko prowadzących wojnę i to obronną. Sowietów, za pragnących uszczęśliwienia nie tylko swojego lecz i światowego ludu pracującego wyzwalając go z wyzysku. Są także ludzie uważający, że nie można szargać świętości jaką są zrywy powstańcze w Polsce (staram się nie szargać), bowiem rola kosynierów była decydująca, tylko szkoda, że do ich szeregów wstąpiła stosunkowo nieznaczna ilość chłopów. Oczywiście takie poglądy istnieją. Starłem się podać swoje poglądy

popierając je odpowiednimi przykładami. Jestem w komfortowej sytuacji, bowiem żyłem przed wojną, w czasie jej trwania, w okresie władzy komunistów i po ich obaleniu.

Odnośnie zaś relacji faktów z życia członków rodzin, przedstawiłem ciekawostki tudzież inne najistotniejsze dane. Niestety przedstawione opisy są subiektywne. Inaczej ponoć pamiętników nie da się napisać. Nie są tu spisane jedynie zdarzenia pomyślne dla naszych rodzin. Zamieszczam wszystkie jakie zapadły w mojej pamięci, zarówno dobre jak i złe. Nie pomijam faktów niekorzystnych. Gdybym tak zrobił, pamiętnik traciłby w obliczu y fałszem. W końcu można kłamać po przez jednocześnie pomijanie pewnych faktów czy zdarzeń w sposób tendencyjny. Może też ktoś stwierdzić, że opisuję błaheści. Niektóre zdarzenia w chwili ich zaistnienia wydawały się błahe, lecz z czasem nabierały wagi i odwrotnie ważne wydarzenie staje się nieistotne w obliczu zdarzeń istotniejszych.. Zgodnie z myślą pewnego filozofa, dobrze jest czasami się cieszyć w życiu małymi rzeczami, bowiem pewnego dnia wspominając je stwierdzimy, że to były wielkie rzeczy. Jednocześnie należy bardziej wspominać swoje szczęśliwe zdarzenia, starając się zapomnieć te nieszczęśliwe.

Może oprócz mnie, ktoś podąży śladami naszej rodziny, znajdzie fragmenty śladów lepiej odcisniętych. Byłbym wdzięczny za uzupełnienia, czy spojrzenia z innej strony.

Plan zabudowań siedliska w Eikiniszkach, jak widać brak tu systemu prostokątnego, typowego na Warmii.

omentarz

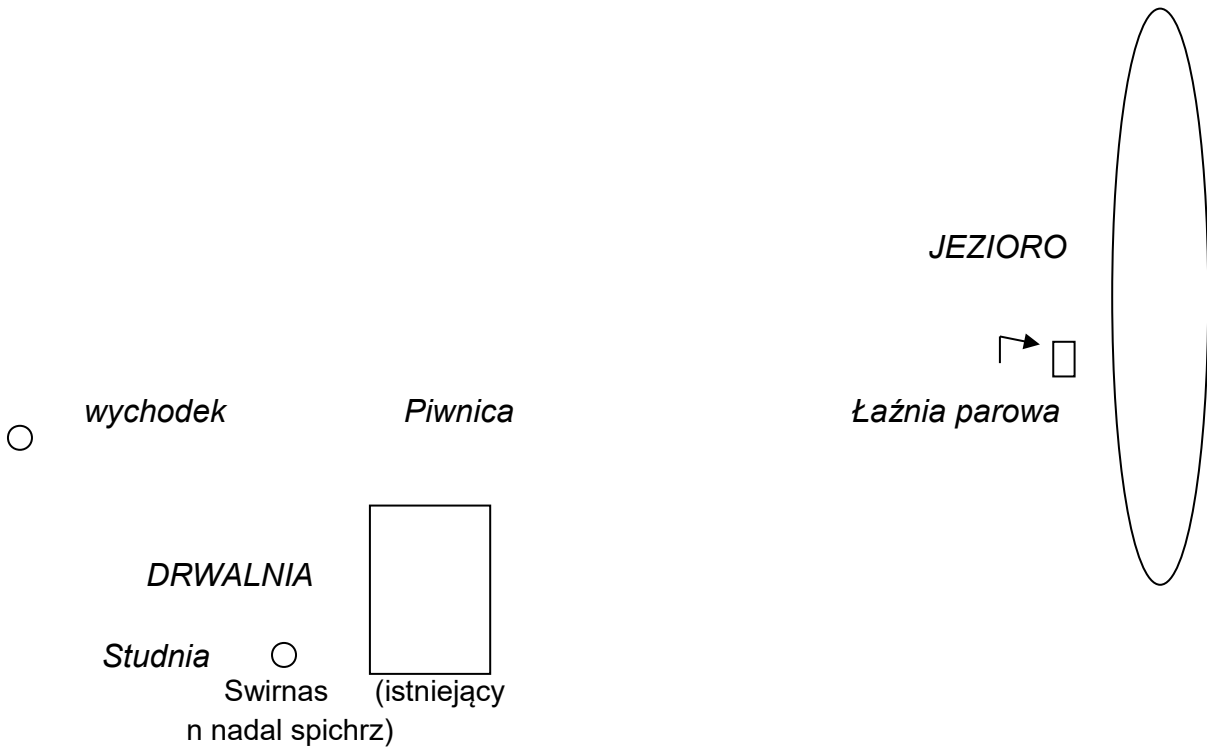


Klonowa aleja

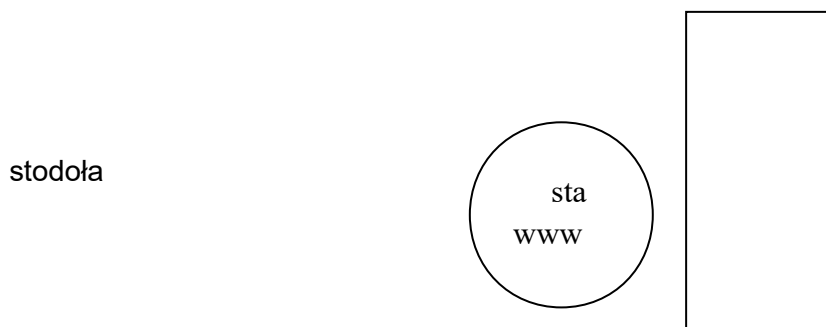
wędzarnia



sad
Dom parterowy, kuchnia,
5 pokoi



Stodoła i obora



Wszystko, co tu narysowałem już zniknęło bezpowrotnie, oprócz swirnasza (spichrz zbożowy), jeziora tudzież zdewastowanego cmentarza.

Siedlisko było otoczone obecnie nieistniejącymi sadem z jabłoniami oraz wiekowymi drzewami: klony, lipy, dęby, kasztany. Na jednym z klonów było gniazdo bocianie, dlaczego go nie zostawili, wszak wokół jeziora bociany mieliby pod dostatkiem żab (teraz jest pogląd, że bociany żab nie lubią, wolą owady)?

Drzewa genealogiczne związane z Małachowskimi.

Potomstwo mojego pradziadka Konstantego Małachowskiego (1840-1913) po pierwszej wojnie światowej rozproszyło się po Litwie, tylko jego syn a mój dziadek Jan (1880-1956) został na tym majątku o nazwie Niewieźniki. W pobliżu dziadka dworu dla jego pierworodnego syna Jana utworzono z majątkowej ziemi 12 ha działkę. Brat mego dziadka Paweł wyemigrował do USA. Nic prawie o nim nie wiemy. Te rozproszone po Litwie rodziny po 2-giej Wojnie Światowej wyjechały do Polski. Dotyczy to potomstwa mego dziadka Jana, chociaż jedna córka dziadka Irena została na Litwie, a druga córka Henryka już w 1930 r. wyemigrowała z Litwy do Polski. Musiała to uczynić nielegalnie przez zieloną granicę, bowiem w tym czasie stosunki między tymi krajami były napięte. Syn Piotra Andrzej ok. 1970 r. w wieku ok. 24 lat wyemigrował do Kanady i słuch po nim zaginął.

Zachował się dokument z herbem 'NAŁĘCZ'.

Na tym kończę pamiętnik, jest 22 luty 2011 rok, dziś jest pogrzeb w Kownie Ireny Meszkauskiene, ostatniej osoby generacji mego ojca. Ona pod koniec swego życia niemal stała się niewidoma. Pisała o swojej niedoli w ten sposób: - nie jestem w stanie czytać ani oglądać TV. Jedyne co mi zostało z rozrywek to słuchanie Radia Maryja.

Czasami uzupełniam to moje "dzieło". Gdy myślą powracam w dawne czasy, coś mi się przypomina i wówczas dodatkowy fragment gdzieś umieszczam. Po ostatniej osobie z poprzedniej generacji, jaką była ciocia Irena, dziś zaczynają 'brać z naszej

półki', - naszej generacji. Już kilka osób zostało zabranych. Takie jest życie oraz prawa związane z naturą i upływem czasu. Ponoć kiedyś czasu nie było, aczkolwiek przyznaję, trudno to wyobrazić. Istnieje bowiem taka teoria wymyślona przez fizyków. Czas zaczął płynąć z chwilą wielkiego wybuchu materii nie zawierającej atomów a nawet nukleonów. To była jedna ciągła masa o olbrzymiej gęstości. Powstają też inne teorie, negujące wielki wybuch. Tak czy inaczej jakoś to wszystko musiało się rozpocząć, bez dwóch zdań. Od tego momentu czas płynie i nic na to nie poradzimy. Jedni się tym martwią, inni się cieszą, a większość tym się nie przejmuje. Jak się żyje te kilkadziesiąt lat, to można się przyzwyczaić do płynięcia czasu. Pisanie pamiętnika jest coś w rodzaju próbą zatrzymania czasu.

Czarne dziury obecnie wzbudzają niemało emocji, zwłaszcza w powiązaniu z epokowymi eksperymentami prowadzonymi za pomocą zderzacza hadronów w Genewie. Czarna dziura może wchłonąć duże masy sama mimo to będąc małą. Na przykład po wchłonięciu całego naszego globu, on gdyby się nie rozpadł, miałby średnicę około 2 cm. Naukowcy pracujący nad tymi zagadnieniami, są zdania, że nie istnieje niebezpieczeństwo związane z wchłonięciem naszego globu przez czarną dziurę. Mało tego, czarna dziura może mieć zastosowanie w postaci pojemnika na odpady. Tymczasem są pojedyncze osoby mające zdanie przeciwne. Przestrzegają przed możliwością wchłonięcia przez czarną dziurę bezwzględnie wszystkiego co żywe czy martwe.

Sport

Swoją aktywność sportową w okresie młodości bym ocenił jako słabą. Owszem, uczęszczałem dość chętnie na zajęcia WF. Pewnego razu nauczyciel WF wysłał mnie na dwutygodniowy obóz sportowy nad Pilicą, koło Sulejowa. Tymczasem nie brałem udziału w żadnych treningach, żeby stać się specjalistą w biegach czy skokach. Moja wakacyjna praca na ojca posiadłości na Warmii, miała przełożenie na moje zdrowie i nabycie sił do trudów szkolnych i studenckich.

Wykazywałem natomiast pewne zainteresowanie wydarzeniami sportowymi. Można więc, mnie nazwać kibicem. Zwłaszcza darzę zainteresowaniem zmagania sportowe na poziomie współzawodnictwa międzynarodowego. Bywałem także na krajowych stadionach. Byłem i jestem kibicem warszawskiej Legii. Kręciło nas

oglądanie meczów z udziałem drużyn śląskich. Ci gracze odznaczyli się dobrym wyszkoleniem technicznym. Pokazywali niemało „sztuczek” piłkarskich. W tamtych czasach nie mieliśmy piłkarzy zagranicznych, ba, nawet przeniesienie zawodnika z miasta do miasta było rzadkością. Legia załatwiała to drogą poboru do wojska.

Były czasy, gdy polscy zawodnicy odnosili znacznie więcej sukcesów w zawodach z zawodnikami zagranicznymi. Mam na myśli olimpiady, mistrzostwa świata czy Europy. W ostatnich latach pod tym względem nasi sportowcy nas nie rozpieszczają. Podejmę próbę, chociaż częściowego wyjaśnienia tego zjawiska.

Kiedyś, a właściwie niemal od początku zawodów sportowych, posiadały one charakter amatorski. Zainkasowanie pieniędzy przez sportowca za swoje wyniki, nieraz skutkowało jego dyskwalifikacją. Równocześnie miały miejsce zawodowe imprezy sportowe. Tego nie było z tej strony żelaznej kurtyny. W świetle braku bodźców finansowych, w krajach zachodnich, olbrzymia większość zawodników amatorów, nie przykładała się zbytnio do treningów. Wyjątek dotyczył sportowców z krajów, z których sam wyjazd za granicę był wystarczającym motywem żeby przykładać się do treningów. To dotyczyło między innymi ZSRR i krajów demokracji ludowej. Natomiast dla kogoś mieszkającego na zachodzie wyjazd zagraniczny nie stanowił żadnej atrakcji. A dodatkowo za dobry wynik sportowy praktycznie otrzymywał jedynie podziękowanie. To większości zachodnich zawodników nie kręciło. Dlatego nasz obóz odnosił sukcesy. Kilka lat temu zezwolono na wynagradzanie sportowców. Sport stał się zawodowy. Obecnie zarobki sportowców, zwłaszcza odnoszących sukcesy, stały się niebagatelne, więc wszyscy utalentowani młodzi ludzie rzucili się do treningów. To nie znaczy, że nasi nie trenują. Owszem także intensywnie, tymczasem z uwagi na dużą liczbę krajów, średnio na nasz kraj przypadających sukcesów jest obecnie mniej niż w poprzednim okresie. Jednak to nie oznacza, że jesteśmy w ogonie sportowego świata. Krótko mówiąc, komercyjny sport wywołał równomierne rozłożenie znaczących osiągnięć.

28. EPILOG

Starąłem się opowiedzieć historię moją tudzież rodziny tak szczerze, jak to możliwe, dokonując prób otworzenia okna na świat, w którym żyliśmy. Niech inni ocenią, czy zrealizowałem swoje zadanie. Ale zapewniam, że jest to prawdziwa historia życia mojego i rodziny, obejmująca okres przed, podczas i po II W.Ś., napisana z autopsji autora. Wybaczcie ale ta opowieść nie miałaby sensu, gdyby nie była do końca szczerą. Jednak w końcu ta opowieść jest widziana moimi oczami. Tak jak ją zapamiętałem. Niemało osób uczestniczy w tej historii. Mogą one niektóre fakty i wydarzenia a zwłaszcza interpretacje spostrzegać inaczej. Nie znaczy to, że nie mają racji. W równej mierze to nie oznacza, że ja nie mam racji. Jak już wspominałem, historia nie jest nauką ścisłą, może być interpretowana na wiele sposobów i każdy może być przynajmniej częściowo właściwy. Niekoniecznie w sensie globalnym, może jedynie w jakimś środowisku. Interpretować w różny sposób można o ile poglądy nie przeczą faktom. Są kraje nie przestrzegające tej prawidłowości, niestety.

Ta historia jest pisana dla kręgu rodzinnego i w obecnej wersji nie zawiera zmian imion czy nazwisk. W przypadku podjęcia decyzji o rozszerzeniu kręgu odbiorców, dokonam odpowiednich zmian, żeby być w zgodzie z wymogami na przykład prawnymi, a także w celu uniknięcia wyrządzenia komuś krzywdy. Natomiast starałem się, aby żadna z wprowadzonych zmian nie miała wpływu na sedno opisywanych wydarzeń.

Ten pamiętnik opisuje wydarzenia z przeszłości. Nawet jeżeli jakiś fragment nawiązuje do wydarzenia w chwili gdy to piszę, to i tak w chwili czytania to już przeszłość. Uważam, że najbaczniejszą uwagę należy skupiać na wydarzeniach które dzieją się tu i teraz. Przeszłość i przyszłość są drugorzędne.

Wszystko co napisałem jest ważne, ale nie poważne.

Żeby nie zasłużyć na szybkie wytarcie,

podpisuję się na ostatniej karcie.

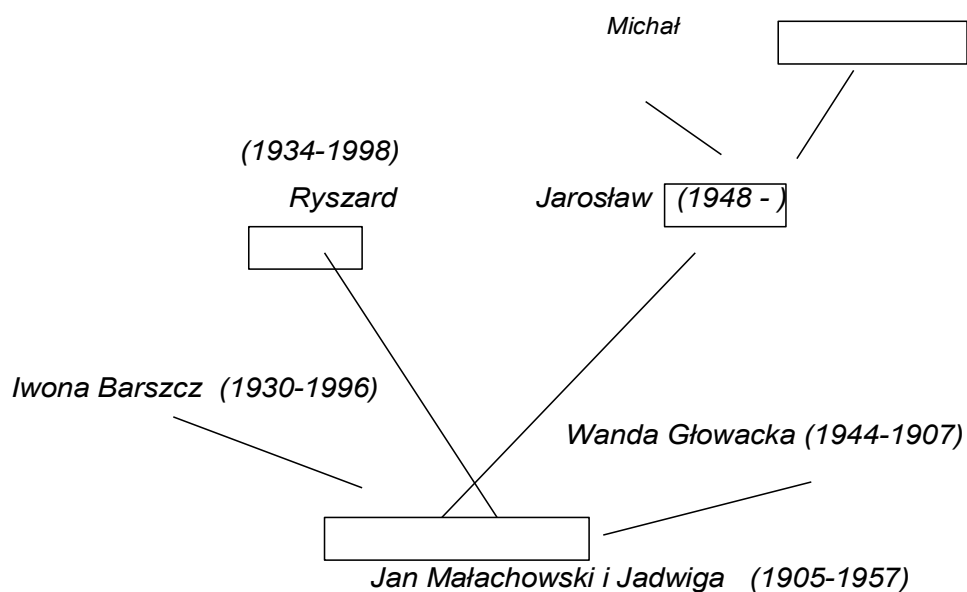
M.J. Małachowski

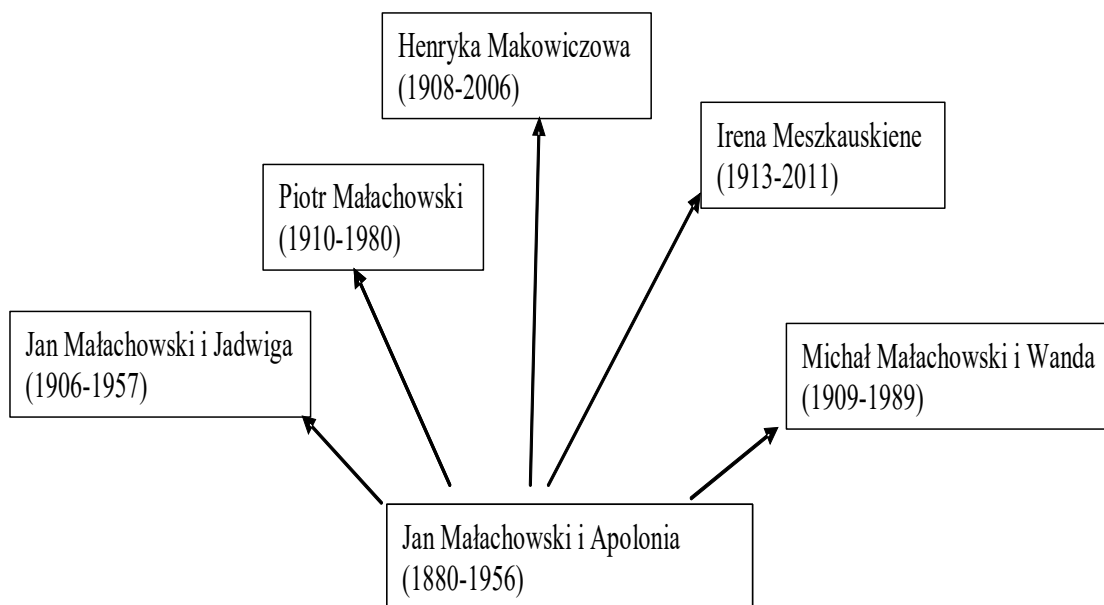
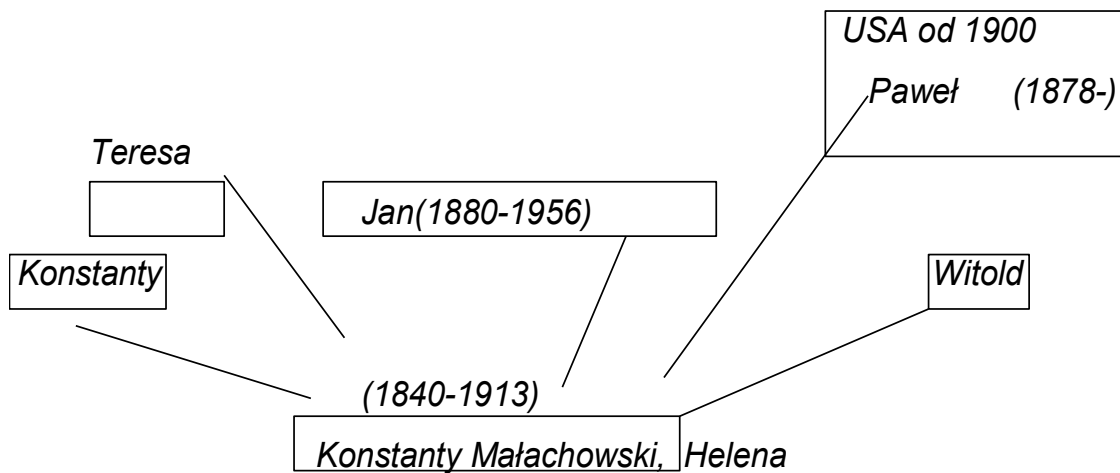
NA TYM KOŃCZĘ PISANIE PAMIĘTNIKA. JEST 8.02.2017. WŁAŚNIE DOWIEDZIAŁEM SIĘ O ŚMIERCI MOJEGO PIERWORODNEGO SYNA. MICHAŁ MIAŁ 54 LATA. W GODZINACH PRZED-POŁUDNIOWYCH SAMOTNIE W SWOIM MIESZKANIU ZAKOŃCZYŁ ŻYCIE. Już nic więcej do pamiętnika nie dodam. O Jego chorobie serca pisałem wyżej.

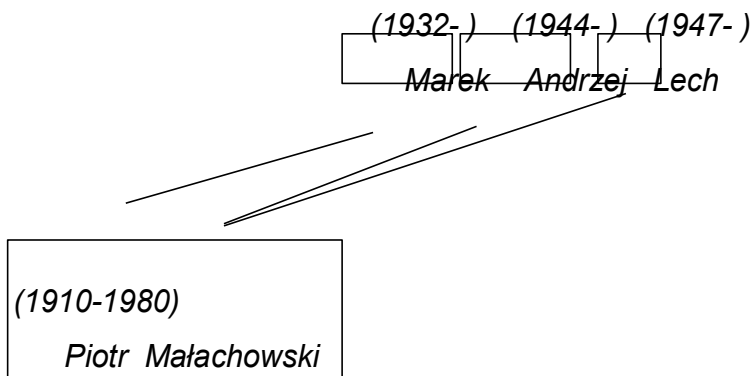
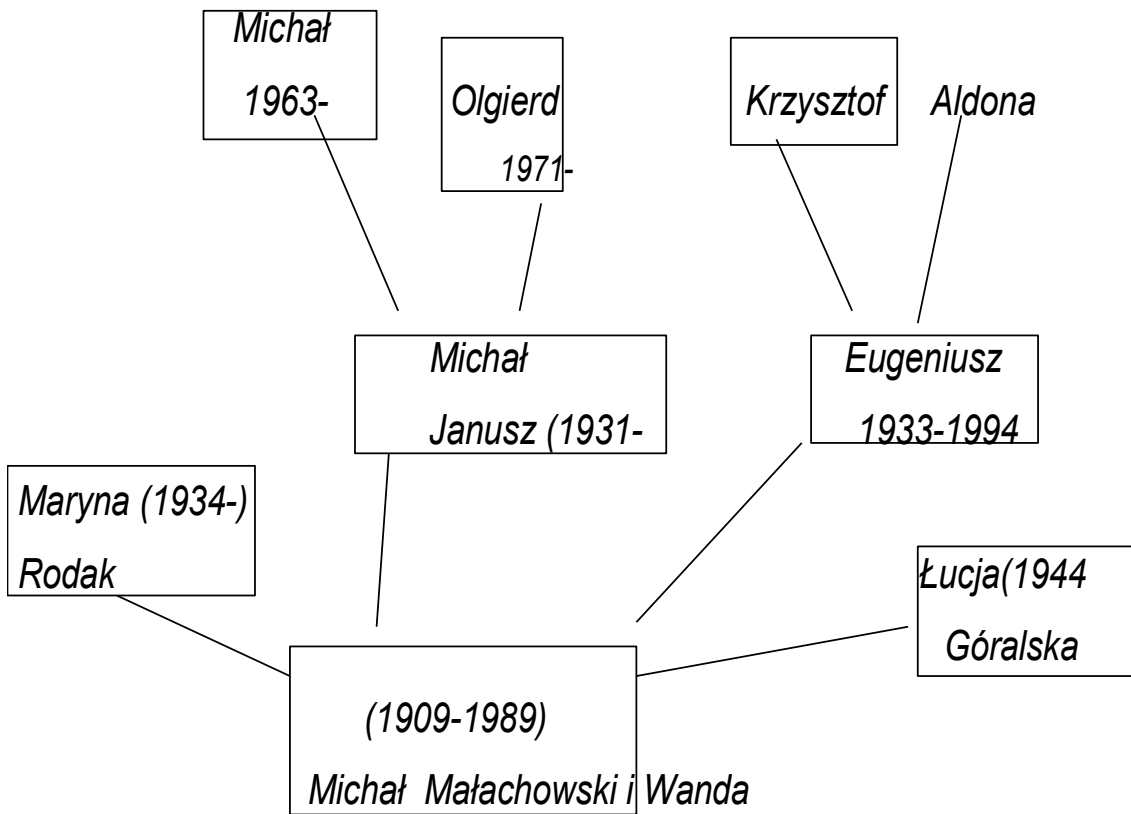
DODATKI

Nasze drzewo genealogiczne

Kolorem niebieskim zaznaczony autor tego drzewa. Oddzielnie narysowane są trzy linie braci Jana, Ojca i Piotra.. Ostatnia wspólnie z siostrami Henryką i Ireną.







Dodatek związany z okolicą Eikiniszek

Ten fragment, znaleziony w Internecie zamieszczam, bowiem opisany tu majątek należący do przodków naszego prezydenta (jest na urzędzie od 2010 r.) był niezbyt odległy od Eikiniszek, nasz majątek przylegał do granicy łotewskiej, natomiast Kowaliszki to przedmieście Rokiszkis. Dość daleko od granicy łotewskiej, a od nas jakieś 25 km. Pewnie nasz ojciec znał ich. Tak czy owak, już nie ma jak spytać o to.

Kowaliszki –Bronisław Komorowski, Kavoliszkis, Litwa: dobra Komorowskich

Dawny majątek rodziny polskiego prezydenta Bronisława Komorowskiego na Litwie w Kowaliszkach (Kavoliszkis) został wciągnięty na listę tras turystycznych Polaków - pisze w czwartek dziennik "Lietuvos Žinios".

Gazeta zauważa, że z wyrażanego już przez polskich turystów zainteresowania dawnym majątkiem przodków Komorowskiego najbardziej cieszą się mieszkańcy półtora tysięcznej miejscowości. Liczą oni na ożywienie miasteczka znajdującego się na obrzeżach kraju, przy granicy z Łotwą.

Przodkowie Komorowskiego mieszkali w Kowaliszkach przez 300 lat. Centrum majątku obejmującego 2200 ha stanowił dwór zbudowany około 1700 roku i przebudowany w stylu klasycystycznym pod koniec XVIII wieku. Dwór miał 27 pokoi, dwa salony, pokój z bilardem i biblioteką oraz dużą jadalnię. Na piętrze były pokoje gościnne. Na terenie majątku znajdowała się fabryka cukierków. Po 1944 roku dwór pełnił funkcję domu ludowego. W 1982 roku zburzono go, po czym wybudowano na jego miejscu szkołę.

Jak mówi na łamach "Lietuvos Žinios" przedstawicielka lokalnych władz Dalia Januliene, dziś z posiadłości zachował się budynek fabryki, park i staw. Na uporządkowanie pozostałości majątku zostało przyznanych 835 tys. litów (prawie 1 mln złotych) z funduszy strukturalnych UE. Dzięki tym funduszom w ciągu roku zostanie uporządkowany park, odnowiony dom kultury, uporządkowane chodniki i przystanek autobusowy.

Dodatek ilustrujący Polsko-Litewskie międzywojenne relacje



Wilno

Rażenie seksem

Litewskie agentki stały się sprawczyniami najdotkliwszych porażek polskiego wywiadu.

W okresie międzywojennym polski wywiad bardzo interesował się sprawami Litwy /Polska Zbrojna

Konflikt o Wilno sprawił, że przez cały okres międzywojenny polski wywiad uważnie obserwował potencjał militarny Litwy, interesował się jej wewnętrzną sytuacją polityczną i społeczno-ekonomiczną oraz działaniami na arenie międzynarodowej. Zdobywanie informacji nasycało jednak wielu problemów. Przeszkodą był przede wszystkim brak w tym kraju, aż do wiosny 1938 roku, polskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego oraz funkcjonującego w jego ramach ataszatu wojskowego. Nie było tam także innych oficjalnych bądź półoficjalnych przedstawicielstw - prasowych, handlowych, kulturalnych.

Ścisłe inwigilowanie polskiej mniejszości

Brak legalnego bezpośredniego dostępu do oficjalnych źródeł litewskich, zarówno rządowych, wojskowych, administracyjnych, jak i gospodarczych, zmuszał do zdobywania wiadomości w sposób pośredni. Polacy starali się więc korzystać z życzliwości akredytowanych w Kownie reprezentantów innych państw. Pozostało im też stosowanie na szeroką skalę klasycznych technik operacyjnych, w których główną rolę odgrywał tak zwany czynnik ludzki. Kijem w szprychy dla pracy polskiej agentury był obowiązujący na obszarze Republiki Litewskiej aż do lata 1926 roku stan wojenny. Prerogatywy, jakie w tym okresie miały litewskie służby specjalne,

ułatwiały im prowadzenie skutecznych działań operacyjnych i kontrwywiadowcze kontrolowanie obszaru państwa, a także ściśle inwigilowanie polskiej mniejszości.

Ogromnym zagrożeniem dla polskiego wywiadu były litewskie agentki. To one były sprawczyniami najdotkliwszych jego porażek. Pierwsze kobiety przyjęto do tajnej służby już jesienią 1918 roku. Wtedy to Liudas Gira, któremu polecono stworzyć wojskową służbę informacyjną, wytypował około 20 pań przydatnych do tej pracy. Uznał bowiem, że "one jako pierwsze mogły najlepiej poznać wszelkie pogłoski w mieście [...], a oprócz tego wydawały się nam największymi idealistkami, które rzeczywiście będą pracować rzetelnie i bez wynagrodzenia".

Sprawnie działająca siatka wywiadowcza

Wśród nich była Marcele Kubiliute, którą w 1919 roku wysłano do Wilna z zadaniem zdobywania informacji o polskim garnizonie i transportach wojskowych przejeżdżających przez ten węzeł kolejowy, zbierania polskiej prasy wojskowej i tym podobnych. Wkrótce, przybrawszy pseudonim "Elza", została rezydentką litewskiego wywiadu w tym mieście i stworzyła sprawnie działającą siatkę wywiadowczą. Zebrane przez nią materiały przewoziła do Kowna łączniczka Ona Mikalauskaite. Poczynaniami Kubiliute kierował porucznik Juozas Matusaitis z oddziału wywiadowczego (Zvalgybos Skyrius) litewskiego sztabu generalnego.

Oficjalnie Kubiliute była ekspedytorem i redaktorem wydawanych w Wilnie w języku litewskim periodyków: gazety "Niepodległa Litwa" ("Nepriklausoma Lietuva") i tygodnika "Głos Wilna" ("Vilnius Garsas"). Utrzymywała także kontakty z redakcją wychodzącego od 15 maja 1919 roku w języku polskim "Głosu Litwy". Wydawany na wysokim poziomie dziennik, redagowany przez Mykolasa Biržiškę, miał docierać do spolonizowanych Litwinów oraz służyć informowaniu wileńskich Polaków o stanowisku strony litewskiej w kwestii przynależności państwowej Wileńszczyzny. W praktyce nastawiony był bardzo nieprzychylnie wobec ich poczynań.

Zobacz także

- [Zawód: Szpieg](#)

Niezastąpieni w zdobywaniu tajnych informacji. Zawsze działają pod przykrywką. W ich słowniku nie figuruje słowo rutyna. Zmieniają bieg historii i wpływają na politykę. Szpieczy. Praca realnego Jamesa Bonda do łatwych nie należy. [więcej »](#)

Cenzury prasy wileńskiej

Redaktorem odpowiedzialnym "Głosu Litwy" była Aldona Čarnackaite, która współpracę z wywiadem rozpoczęła już w 1918 roku po powrocie na Litwę z Petersburga, gdzie studiowała medycynę. Pomagała w organizowaniu litewskiego wojska, była sekretarką czołowego działacza narodowego ruchu litewskiego Jonasa Basanavičiusa. Po ewakuowaniu z Wilna na przełomie 1918 i 1919 roku centralnych władz litewskich pozostała w mieście i stała się zaufaną współpracowniczką Biržiški.

Jako redaktorki wileńskich periodyków obie kobiety miały częsty kontakt z sekcją cenzury prasy wileńskiej Ekspozytury Oddziału II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, którą kierował wtedy kapitan Marian Kościółkowski. W tej instytucji pracował podoficer Piotr Wróblewski. Cieszył się dużym zaufaniem kapitana Kościółkowskiego, więc miał dostęp do najtajniejszych dokumentów. Nie wiemy, kiedy dokładnie i w jakich okolicznościach Wróblewski podjął współpracę z litewskim wywiadem. Wszystko wskazuje jednak na to, że stało się to pod wpływem Aldony Čarnackaite latem 1919 roku.

Do Kowna ze specjalnymi zadaniami

Właśnie wtedy kowieński okręg Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), kierowany przez porucznika Rajmunda Kawalca, podległy Ekspozyturze Oddziału II w Wilnie, kończył przygotowania do powstania na Litwie Kowieńskiej, które miało doprowadzić do obalenia nieprzyjaznego Polsce rządu Mykolasas Sleževičiusa i rozwiązania Rady Krajowej (Taryby). Plany te znał Wróblewski. Trudno dziś wskazać jednoznacznie motywy jego działania, mogły to być kwestie materialne, zaangażowanie uczuciowe, a niewykluczone, że jedno i drugie. W każdym razie Wróblewski pochwalił się Čarnackaite, że jest zaufanym pracownikiem kapitana Kościółkowskiego i na jego polecenie jeździ do Kowna ze specjalnymi zadaniami.

Twierdził, że znane są mu polskie plany wojskowe wobec Litwy i że za odpowiednim wynagrodzeniem może je przekazać premierowi Sleževičiusowi.

Informacja o jego ofercie dotarła do Kubiliute, a ta za pośrednictwem łączniczki Mikalauskaite przekazała ją do Kowna. Litwini przyjęli propozycję. Nadali Wróblewskiemu pseudonim "Daukantas" i zażądali konkretów. Wtedy Wróblewski przekazał im wiadomość, że 28 sierpnia ma nastąpić zbrojne wystąpienie POW, wspierane przez członków Organizacji Strzelców Nadniemeńskich (OSN). Wkrótce zabrany przez niego z **archiwum** wileńskiego okręgu POW wykaz 66 członków OSN trafił w ręce Litwinów.

Kilkugodzinna rewizja

W nocy z 28 na 29 sierpnia na polecenie Liudasa Giry, szefa Oddziału Wywiadowczego, rozpoczęły się aresztowania. Zatrzymano około 200 osób, w tym 15 oficerów. Brakowało jednak niepodważalnych dowodów, że przygotowywali oni przewrót. Jeden z oficerów kowieńskiej komendantury Jurgis Bobelis, który uczestniczył w likwidacji spisku, pisał: "Mieliśmy wiadomości, że gdzieś w Kownie jest całe **archiwum** POW, po którego znalezieniu wszystko się wyjaśni. Przez pewien czas błądziliśmy jak ślepi. Otrzymaliśmy wiadomość, że archiwum przechowywane jest w Czerwonym Dworze. Pojechaliśmy, przejrzelśmy wszystkie kąty i wróciliśmy, niczego nie znaleźliśmy".

Prawdopodobnie nigdy by tego archiwum nie odkryli, gdyby znowu nie pomógł "Daukantas". Zdawał sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może zostać zdemaskowany, więc 21 września 1919 roku zabrał z szaf ekspozytury następne ważne dokumenty i wręczył Čarnackaite. Od niej trafiły do Biržiški, który załatwił ich przerzut do Kowna. Tam także uciekł Wróblewski i poinformował Litwinów, że archiwum POW znajduje się w Kownie, w domu Niekraszów, przy ulicy Podgórnej 36. Pojechał tam niezwłocznie oddział komendantury i po kilkugodzinnej rewizji, nawet przekopaniu ogrodu, natrafiono na dokumenty ukryte w kotle blaszanym. Znalezione także szyfr, więc odczytano nazwiska 369 peowiaków i 122 Litwinów, którzy z nimi sympatyzowali. Natychmiast rozpoczęły się aresztowania. Zatrzymani zostali między innymi Rajmund Kawalec i Stanisław Niekrasz, naczelnik Wydziału Wywiadowczego POW.

Z Wilna musiała także uciekać Aldona Čarnackaite. Pojechała do Kowna, a po kilku miesiącach, w 1920 roku, wysłano ją do Berlina na studia medyczne. Ukończyła je cztery lata później. Za zasługi w wojnie o niepodległość, a konkretnie za wkład w likwidację polskiej konspiracji na Kowieńszczyźnie, odznaczono ją w 1928 roku ówczesnym najwyższym odznaczeniem litewskim - Krzyżem Pogoni (Vyčio Kryžius).

Wywiad intymny

W aferze Wróblewskiego nie została ujawniona rola Kubiliute, rezydentki litewskiego wywiadu w Wilnie. Mogła więc jeszcze przez prawie trzy lata prowadzić działalność szpiegowską, którą tak opisała: "Gdy pracowałam w litewskim wywiadzie, wykorzystałam zaloty polskiego majora Antoniego Jankowskiego. Był on na jakimś stanowisku w sztabie wojskowym i interesował się nim litewski oddział sztabu generalnego. Wykonując zadania tego oddziału, pozostawiałam dłuższy czas w intymnym związku z majorem Jankowskim i jednocześnie uzyskiwałam od niego potrzebne litewskiemu wywiadowi dane o polskim wojsku".

Agenturalną działalność Kubiliute ujawniono dopiero w 1922 roku. Zdołała jednak opuścić Wilno. Posługiwała się dokumentami wystawionymi na nazwisko Elżbieta Boniewicz. Na Litwie zatrudniono ją w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Za zasługi w wojnie o niepodległość także i ona została odznaczona w 1928 roku Krzyżem Pogoni.

Mówi się, że historia jest nauczycielką życia. Ta słuszna sentencja Cycerona bywa jednak często zapominana. Wydawało się, że wydarzenia z 1919 roku i lat 1920-1921 utkwiały w pamięci pracowników Oddziału II. Tak się jednak nie stało. Sześć lat później doszło do kolejnej wielkiej afery wywiadowczej. Tym razem w głównej roli wystąpił porucznik Ryszard Grzybowski, kierownik Referatu Kontrwywiadowczego Ekspozytury numer 1 Oddziału II w Wilnie.

Historia się powtarza

Cała historia zaczęła się w 1924 roku, kiedy oddział informacyjny litewskiego sztabu generalnego otrzymał informację, że w Wilnie jeden z pracowników polskiego

wywiadu prowadzi bujne życie towarzyskie. Prawie codziennie widziano go w najlepszych lokalach, często w otoczeniu kobiet. Litwini postanowili to wykorzystać. Wkrótce w wileńskich kawiarniach i restauracjach, w miejscach, które najczęściej odwiedzał polski oficer, zaczęła pojawiać się młoda, ładna i elegancka kobieta. Porucznik Grzybowski od razu zwrócił na nią uwagę i znalazł okazję, aby ją poznać. Zaczęli się coraz częściej spotykać, a rachunki w restauracjach i kawiarniach opłacała dziewczyna.

Rozpoczął się burzliwy romans. Niebawem porucznik Grzybowski zaczął ją zapraszać do swojego pokoju w wileńskiej ekspozyturze, co było złamaniem wszelkich zasad pracy. W kwietniu 1925 roku, w czasie kolejnej upojnej randki, litewska agentka wsypała mu do szklanki środek nasenny. Po przebudzeniu się porucznik Grzybowski zobaczył, że kochanka zniknęła. Prawdziwe przerażenie ogarnęło go jednak wtedy, kiedy zauważył brak teczek personalnych polskich agentów pracujących na kierunku litewskim. Lekkomyślnemu oficerowi groził proces, a sąd wojskowy mógł go skazać nawet na najwyższy wymiar kary - rozstrzelanie.

W tej sytuacji porucznik uznał, że jedynym rozwiązaniem jest ucieczka na Litwę. Jak pomyślał, tak zrobił. Tam przekazał oficerom litewskiego oddziału informacyjnego wszystkie dane dotyczące metod pracy wywiadu polskiego na Litwie, wydał również znanych mu agentów i konfidentów. Pozwoliło to kontrwywiadowi litewskiemu zlikwidować większość polskich placówek wywiadowczych, aresztować wielu agentów. Ci, którzy ocaleli, musieli uciekać z Litwy. Była to jedna z największych i najdotkliwszych klęsk polskiego przedwojennego wywiadu wojskowego.

A teraz z innej beczki: W świetle ewolucji

"Nic w biologii nie ma sensu, jeśli nie patrzy się na nią pod kątem ewolucji" - to słynne stwierdzenie Theodosiusa Dobzhansky'ego stało się metodologicznym mottem współczesnej biologii. W mechanizmach biologicznych poszukuje się ewolucyjnych adaptacji - usprawnień (biorących się z korzystnych mutacji genetycznych), które zwiększają zdolności reprodukcyjne organizmów (pomagają organizmom przeżyć tudzież spłodzić potomstwo i je wychować).

Psychologia ewolucyjna szuka adaptacyjnych zachowań. Oparte na matematycznej teorii gier obliczenia pokazują, że adaptatywnym zachowaniem może być stosowanie się do reguł moralnych, zwłaszcza wśród organizmów, które tworzą złożone grupy społeczne. Pomaganie innym, powstrzymanie się od kradzieży czy zabijania członków własnej społeczności czy gatunku, a nawet tworzenie związków monogamicznych może sprzyjać zdolnościom reprodukcyjnym, a więc może być promowane przez dobór naturalny i dobór płciowy (więcej w artykule Mateusza Hohola ["Dlaczego człowiek jest z natury dobry"](#)).

Nie brakuje badań, które sugerują, że w ludzkich mózgach ewolucyjnie zakodowane są pewne uniwersalne systemy moralne (więcej na ten temat w artykule profesora Bartosza Brożka ["Gilotyna Hume'a: moralność poza granicami nauki?"](#)). Jeśli w naszych mózgach wbudowane są jakieś zasady moralne, zgodnie z którymi powinniśmy postępować, interpretator będzie miał dostęp do tych danych. Co z nimi zrobi?

Przytaczam uwagi jakie zanotował mój przyjaciel prof. Adam Dubik po przeczytaniu tego pamiętnika.

Rewelacja. Tak po bardzo pobieżnym przejrzaniu oceniam historyczny przegląd okresu w którym uczestniczyłeś, wyżyny intelektualnych analiz, wieloaspektowość obserwacji życia i autorski obiektywizm prezentowanych osądów. To 360 stron. Na przedstawienie pełniejszego obrazu potrzeba czasu. Bardzo bardzo wartościowa historia.

Może zainteresować badaczy historii relacji polsko-litewskich.

Pamiętnik jest wspaniały, miejscami smutny, tragiczny, ale i dowcipny z subtelnym poczuciem humoru. Praca jest fascynująca. Straszny był ten okres okupacji sowieckiej i niemieckiej na Litwie i zrozumiałe szczęście z powrotu w 46 r. do Polski i nadzieja z tym powrotem związana. Dobrze, że okraszasz tekst humorem np. zupa wołowa, gęsi dziadka, Antka inwestycje pieniężne.

Jesteś utalentowanym gawędziarzem kulinarnym. W trakcie czytania tego co jedliście na Litwie, poprosiłem żonę o szybkie podanie obiadu niedoczytując do końca Twojego tekstu. Czytając pamiętnik, zdałem sobie sprawę, że Ty masz takie zdolności obserwacyjne i pamięciowe, o jakich mnie się nie śniło. Po prostu przez 80% książki, pozwalasz się czytającemu co jakiś czas śmiać, co jest bardzo higieniczne, bo czyta się o ciężkich sprawach. Pozwalasz odpocząć i szybko zregenerowanym iść dalej.

W pamiętniku zostało udostępnionych wiele krytycznych uwag, których źródłem była wnikliwa i śmiała interpretacja nie tylko dobrych wydarzeń.

Skończyłem czytanie. Dużo się dowiedziałem, trochę zrozumiałem a przede wszystkim przeżyłem piękną podróż w 4 wymiarach za którą dziękuję.

Dodatkowo, dla tych co się zasmucili

Siedzą dwie kury w kurniku i tak rozmawiają: - Ja znoszę jajka za 6 groszy. Druga kura na to: - a ja większe, za 7 groszy. Pierwsza kura na to: - dla jednego grosza nie mam zamiaru sobie doopy rozrywać.

W Polsce pułapki na myszy niefrasobliwą mysz zabijają. Na Ukrainie – łapią żywą. Dlaczego? A no Ukrainiec mysz podrzuca sąsiadowi.

Baca ciągnie sznur. Przechodzi obok bacy turysta i się pyta: - Baco czego ciągniesz ten sznur? Na to baca z poirytowaniem: - A co mam go pchać??

Baca siedzi na drzewie. Przechodzący pytają się go: - Baco, co robisz na drzewie? Odpowiada: - Pilnuję, - A czego?, - Żeby nie spodł.

Przychodzi baca do sklepu mięsnego i pyta: - Cy jest kiełbasa?, - Jest Beskidzka, - Bes cego??

Przychodzi baca do spowiedzi, zaczyna się spowiadać i mówi: - Proszę księdza ukradłem łańcuch. - Jaki? - pyta ksiądz. Na to baca: - Taki zwykły, trzy metrowy. - A co było na końcu tego łańcucha?, - Krowa..

W pewnej wsi była straszna powódź. Przyjechało wojsko by ratować ludzi i ich dobytek. Po wzburzonych falach płyną żołnierze amfibią i nagle zobaczyli unoszący się na wodzie męski kapelusz. Któryś z żołnierzy chciał go wrzucić do amfibii, ale nagle zobaczył, że pod kapeluszem jest cały i żywy rolnik. - Gospodarzu, a co wy w tej wodzie robicie? Przecież jest powódź! - Powódź nie powódź, orać trzeba..

Siedzi wieczorem baca w domu i nagle słyszy głos z podwórka: - Baco, potrzebne jest wam drewno na opał?, - Nie - odpowiada baca. Rano baca wstaje, patrzy, a tu drewno zniknęło.

Baca się rozwodzi. Sędzia pyta go o powód, a baca : Bo mi nie odpowiada sex z nią. A z tyłu gość się odzywa : Całej wsi odpowiada, tylko jemu nie!

Gospodarz leży z żoną w łóżku i zastanawia się na czym by tu zaoszczędzić. Patrzy na piersi żony i mówi: - Gdyby to dawało mleko, nie musieli byśmy trzymać krowy... Żona spojrzała na jego przyrodzenie i mówi: - Gdyby to było większe, nie musieli byśmy trzymać parobka.

Pyta kuma kumę: - I jak wasza wnuczka, dostała jakiś prezent od tego Włocha którego poderwała? - Ano dostała. A co? powiedzcie. – Mówi, że syfilis. - A co to takiego? - No nie pokazała mi, ale myślę że coś większego jak mercedes. - Jak to? - Bo powiedziała, że teraz to cała wieś się na tym przejedzie.

Obok pola truskawek był "dom wariatów". Nagle wychyla się wariat i widzi rolnika. Wariat woła - "Hej co ty robisz?", - "Ja nawożę truskawki", - "A co to znaczy?", - "To znaczy że

posypuje truskawki gnojem", - "Aaaaa, no bo wiesz, ja tam posypuje truskawki cukrem. Ale wiesz, tak robię bo jestem stuknięty.

W czasie suszy chłopci wybrali się do odległej pustelni prosić pustelnika, aby swoimi modłami sprowadził deszcz. Pustelnik popatrzył na nich i kręcąc głową odmówił. - Dlaczego wielebny ojczy? - dziwią się chłopci. - Bo nie macie do mnie zaufania. - Jak to nie mamy? Przecież przyszliśmy do ciebie taki szmat drogi. - Nie macie, bo gdybyście mieli to byście przyszli z parasolami...

Weterynarz zwraca uwagę gospodarzowi: - Jak wy Zenek mogliście postawić chlew tuż przy oknach własnego domu? Przecież to niezdrowo! - Eeee tam...żaden wieprz mi nie zachorował.

Wjechał chłop korbajnem na pole, walnął się w czoło i mówi: - O kurde, zapomniałem zasiać.

Do sklepu z maszynami rolniczymi wchodzi rolnik i pyta sprzedawcę: - Czy są lemieszki? - Są ale razem z pługiem. Po chwili gospodarz się pyta: - A czy są zęby do bron? - Są, ale razem z broną. Gospodarz zdenerwowany wychodzi. Sprzedawca za nim woła: - Gospodarzu, macie jajka? - Mam, ale razem z choojem!

Na furmance pełnej siana wraca z łąki chłop z żoną. W pewnej chwili odwraca się i widząc pięciu punków jadących na motorach, woła: - Patrz stara, jakie cudaki zaraz będą nas wyprzedzać! Chłop zaczyna dłużyć w nosie, nagle patrzy, a tu wyprzedza furmankę motor z punkiem bez głowy. Po chwili drugi, też bez głowy, zaraz następnym... Chłop woła ponownie do żony: - Stara, lepiej postaw tę kosę w pionie, bo wszystkich powyrzynasz!

Idzie rolnik przez wieś i się uśmiecha od ucha do ucha. - Zenobiak z czego się tak cieszysz - pyta się go sąsiad - Zostałem ojcem. Mam syna. - Gratuluje ci. Niech ci się malec dobrze chowa. A jak się czuje twoja żona? - Nie wiem, jeszcze jej o tym nie powiedziałem.

Zając przykucnął pod drzewem i spoglądając na wronę siedzącą na drzewie mówi: 'ty to masz dobrze, siedzisz sobie i nic nie robisz'. Wrona na to: 'co za problem, ty też możesz siedzieć i nic nie robić'. Zając pomyślał, że to dobry pomysł, więc usiadł sobie na miedzy i nic nie robił. Jednak nadbiegły psy, zająca rozszarpały i zjadły zostawiwszy parę marnych kłaczek z futerka. Wrona widząc to, mówi: 'o rany, zapomniałam powiedzieć mu, żeby móc nic nie robić to należy wysoko siedzieć'.

Nieco leciwi, mąż z żoną położyli się do łóżka. Jej się zebralo na wspomnienia i mówi: 'teraz mnie traktujesz z mniejszą czułością niż w młodości'. Mąż: 'ja tam nie widzę różnicy'. Żona: 'jak tak możesz mówić? Pamiętasz gdy się spotkaliśmy pierwszy raz pocałowałeś mnie w policzek'. Mąż cmoknął w policzek. Żona: 'A pamiętasz na drugiej randce pocałowałeś mnie w usta'. Mąż pocałował ją w usta. Żona: 'A pamiętasz na trzeciej randce ugryzłeś mnie w uszko'. Mąż zrywa się z łóżka i biegnie. Żona: 'gdzie biegniesz?'. Mąż: 'po zęby do łazienki!'

SPIS TREŚCI – nieaktualny

PAMIĘTNIK MICHAŁA JANUSZA MAŁACHOWSKIEGO	1
1. PROLOG	1
<i>Tragiczny los Żydów pewnego miasteczka</i>	1
<i>Żydzi</i>	2
<i>Znaleziony w Internecie list Żyda Smidta.</i>	14
<i>Latter to Ruth Green, Cape Town</i>	16
<i>Wywiad z Żydówką Green znaleziony w Internecie</i>	19
<i>Moje uwagi na temat listu oraz wywiadu załączonych powyżej</i>	22
2. JEDZIEMY DO POLSKI!	26
3. ŚLADAMI RODZINY MAŁACHOWSKICH	33
<i>Przodkowie mojej mamy (po kądzieli).</i>	34
<i>Kossarscy</i>	35
<i>Małachowscy.</i>	39
4. W EIKINISZKACH	47
<i>Moja rodzina i dalsi krewni</i>	47
<i>Kossarscy.</i>	47
<i>Małachowscy.</i>	52
<i>Wywózka na Syberię rodziny cioci</i>	57
<i>Ogólne uwagi o wywózkach na Sybir.</i>	63
5. JAK NAM SIĘ ŻYŁO NA LITWIE?	66
<i>Posiłki</i>	69
<i>Ubrania</i>	80
<i>Służba zdrowia</i>	81
<i>Transport</i>	85

<i>Ulubione zajęcia dorosłych</i>	86	
<i>Jaki był mój ojciec?</i>	89	
<i>Ogólne uwagi o okolicy i ludziach</i>	94	
<i>Praca – personel, służby w Eikiniškach</i>	98	
<i>Wizyta w Eikiniškach 1999 roku</i>	104	
6. POBIERANIE NAUKI	106	
<i>Mój okres w szkołach litewskich</i>	106	
<i>Jadę na Łotwę, gdzie kończę ostatnie klasy szkoły podstawowej.</i>	109	
<i>Rąkiszki (Rakiszkis)</i>	114	
<i>Poniewież (Panevežis).</i>	119	
<i>Chronologiczna kolejność edukacji mojej osoby.</i>	124	
7. MOI PRZYJACIELE Z LAT SZKOLNYCH ORAZ PÓŹNIEJ	126	
<i>Litwa, do 1945 r.</i>	126	
8. OKRES WOJENNY NA LITWIE	130	
<i>Początkowy okres wojny</i>	130	
<i>Agresorzy.</i>	138	
9. PO NAPAŚCI NIEMCÓW NA ZWIĄZEK SOWIECKI	138	
<i>Partyzantka sowiecka na Litwie</i>	144	
<i>AK a partyzantka radziecka</i>	147	
<i>Powtórne wkroczenie sowieców</i>	150	
10. NA LITWIE PRZED I PODCZAS DRUGIEJ WOJNY	161	
<i>Polacy</i>	161	
<i>Litwini</i>	164	
11. WYJAZD DO POLSKI – REPATRIACJA	170	
<i>Przygotowanie do wyjazdu do Polski</i>	170	
<i>Wyjazd z Litwy</i>	175	

12. NARESZCIE POLSKA!!!	180	
<i>Na Dolny Śląsk</i>	180	
<i>Z powrotem w kierunku Warmii</i>	181	
<i>Poszukiwanie miejsca na ziemi. Na rozstajnych drogach</i>		184
<i>Kojdy</i>	192	
13. LOSY RODZINY PO OSIEDLENIU SIĘ W POLSCE		198
<i>Praca na roli i sąsiedzi.</i>	198	
<i>Moja Mama nauczycielką w wiejskiej szkółce</i>		202
<i>Czy brzydkie uczucie, którym jest zawiść jest nieuchronna?</i>		208
<i>Moje udogodnienia w pracy na wsi</i>	218	
<i>Rodzinne spotkania w Kojdach</i>	220	
14. SZKOŁA W OLSZTYNIE 1946/47 r.		224
15. EDUKACJA W MORĄGU	233	
<i>Trochę o naszych powstaniach przeciwko zaborcom...</i>		247
<i>Trochę historii i polityki...</i>	254	
16. RODZINA OPUSZCZA WARMIEŃ NA ZAWSZE		258
<i>Nieszczęścia rodziny.</i>	266	
17. WSTĘPUJĘ NA STUDIA UNIWERSYTECKIE...		269
<i>Jeśli chcesz coś osiągnąć nie proś nikogo o zezwolenie.</i>		269
<i>Partyzanci</i>	276	
<i>Przyjaciele studenci.</i>	280	
18. PO STUDIACH	288	
<i>Tatry i inne cele podróży.</i>	288	
19. MOJE PRACE	293	
<i>Wojskowa Akademia Techniczna</i>		293
<i>Praca doktorska i habilitacyjna</i>		300

<i>Wyjazdy na konferencje.</i>	308	
21. MOJA PRACA W AKADEMII JANA DŁUGOSZA (AJD) W CZĘSTOCHOWIE		
326		
22. MOJA PRACA NA UNIWERSYTECIE PRZYRODNICZO-HUMANISTYCZNYM W RADOMIU	328	
23. MOJA BEZPOŚREDNIA RODZINA. MOI SYNOWIE		329
<i>Michał, 1963 - 2017.</i>	331	
<i>Olgierd, rocznik 1971.</i>	337	
24. ETAPY ŻYCIA RODZINY ORAZ NASI PRZYJACIELE		343
<i>Moja działka rekreacyjna</i>	352	
<i>O naszym psie parę słów.</i>	355	
<i>Uwagi na temat moich poglądów przedstawionych powyżej</i>		357
<i>Plan zabudowań siedliska, w którym mieszkaliśmy w Eikiniszkach</i>		358
<i>Moje poglądy religijne</i>	361	
<i>Sport</i>	363	
25. EPILOG	365	
DODATKI	366	
<i>Nasze drzewo genealogiczne</i>	366	
<i>Dodatek związany z okolicą Eikiniszek</i>		370
<i>Dodatek ilustrujący Polsko-Litewskie międzywojenne relacje</i>		371
<i>Rażenie seksem</i>	371	

<i>Ścisłe inwigilowanie polskiej mniejszości</i>		371
<i>Sprawnie działająca siatka wywiadowcza</i>		372
<i>Cenzury prasy wileńskiej</i>	373	
<i>Do Kowna ze specjalnymi zadaniami</i>		373
<i>Kilkugodzinna rewizja</i>	374	
<i>Wywiad intymny</i>	375	
<i>Historia się powtarza</i>	375	
<i>A teraz z innej beczki: W świetle ewolucji</i>		376